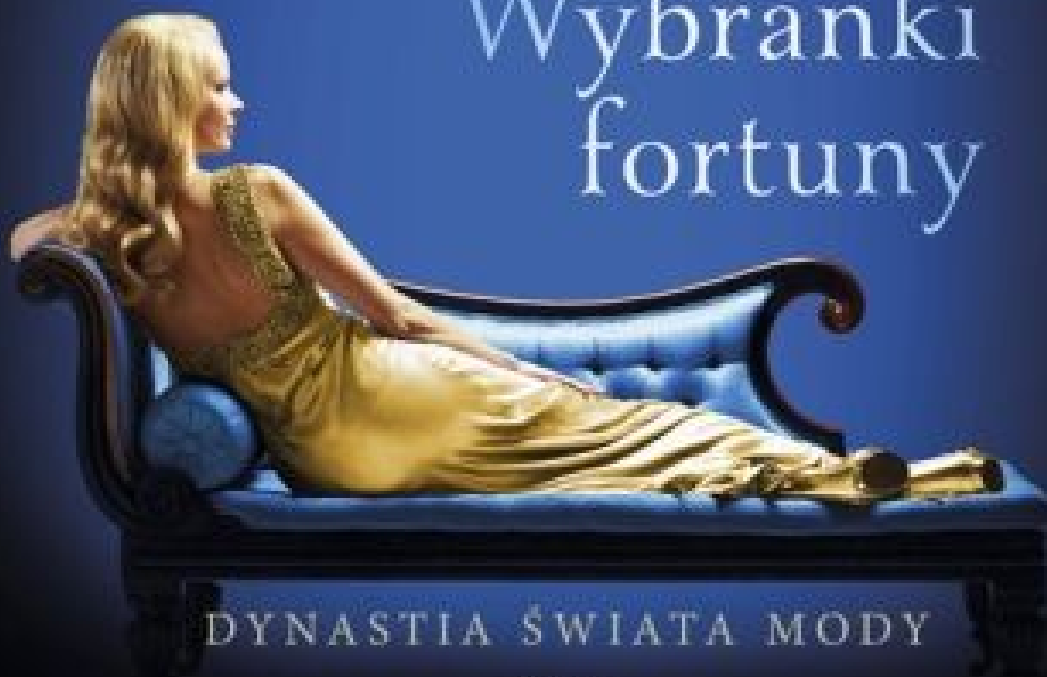


Tara Hyland

Wybranki
fortuny



DYNASTIA ŚWIATA MODY

-Książnica-

Hyland Tara

Wybranki fortuny

Córki Williama Melvilla są dziedziczkami jednego z największych na świecie imperiów mody. Wszyscy zazdroszczą im urody i bogactwa. Ale za błyszczącą fasadą wystawnego życia, każda z nich skrywa mroczny sekret. Ich ujawnienie na zawsze może podzielić klan Melvillów. W miarę jak dziedziczki fortuny Melvilów próbują odnaleźć swoje przeznaczenie, każda z nich musi dokonywać trudnych wyborów, których konsekwencje oddalają je od siebie.

Niemniej gdy rodzinne imperium znajdzie się w niebezpieczeństwie, losy sióstr na powrót się splecą, bowiem nie sposób jest zapomnieć o nierozzerwalnych więzach krwi.

Prolog

Londyn, wrzesień roku 1974

Młoda kobieta szła spiesznie ulicą. W ciągu ostatniej godziny zdążyła przemierzyć Eaton Square już trzy razy, a teraz robiła to po raz czwarty. Liczyła każdy nawrót, żywiąc przy tym niemiłe podejrzenia, że stojący na rogu policjant robi to samo. Odrzuciła w tył głowę, starając się wyglądać tak, jakby tu przynależała, jakby pomiędzy rzędami zdobionych sztukaterią, eleganckich kamienic, tak charakterystycznych dla Belgravii, było jej miejsce. Próżne nadzieje. Wystarczył jeden rzut oka na znoszone buty i tani płaszcz, by każdy, kto na nią spojrział, uświadomił sobie, że Katie O'Dwyer nie ma tu czego szukać. Doszedłszy do środkowej części ulicy, zwolniła, a potem zatrzymała się przed numerem dwudziestym, wspaniałą georgiańską rezydencją, bliźniaczo podobną do sąsiadujących z nią domów, wysoką na sześć pięter i pomalowaną na kolor dziewiczej bieli. Było jasne, że właściciela nie ma w domu. Światło paliło się jedynie w suterenie, w pomieszczeniach dla personelu. Okna na górze, gdzie mieszkał, pozostawały ciemne. Kusiło ją, aby zapukać do drzwi i spytać, czy mogłaby poczekać w cieple. Wiedziała jednak, iż sprowokowałoby to pytania, a nie chciała ryzykować, że przysporzy mu kłopotów. Przeszła więc przez ulicę i usiadła na ławce na skwerku. Nic nie przesłaniało jej wejścia, było to więc równie dobre miejsce, jak każde inne, by czekać.

Zaczął padać drobny deszcz. Katie uśmiechnęła się mimo woli. Tamtego wieczoru, kiedy przybyła po raz pierwszy do Anglii, a było to nieco ponad rok wcześniej, także padało. Przypomniała sobie, jak zeszła w Holyhead z pokładu łodzi, z żołądkiem nadal niespokojnym

po podróży, podekscytowana wielce tym, że wyrwała się wreszcie z Irlandii.

Nie chodziło o to, że życie tam było złe — było po prostu nudne. Dorastała w małej wiosce w hrabstwie Mayo, na konserwatywnym zachodzie kraju, jako jedyne dziecko nadopiekuńczych rodziców. Przyszła na świat po piętnastu latach nieustannych prób dochowania się potomstwa, kiedy rodzice stracili już nadzieję, a matka skończyła właśnie czterdzieści lat. Uznali to za cud, traktowali więc córkę, jakby była ze szkła i w każdej chwili mogła rozpaść się na kawałki. Nim Katie skończyła osiemnaście lat, tęskniła już rozpaczliwie za odrobiną wolności i emocji, za tym, by pojechać do Londynu, zobaczyć Carnaby Street i King's Road. Rozmowa, jaką odbyła z rodzicami, nie była łatwa, lecz wreszcie, po tygodniach błagań i krzyków, ustąpili i ze łzami w oczach pożegnali jedynaczkę w dokach Dun Laoghaire.

Przybyła do katolickiego hostelu w dzielnicy Earls Court pełna oczekiwań, znalezienie pracy okazało się jednak trudniejsze, niż się spodziewała. Optymizm początku lat siedemdziesiątych zdążył już zblednąć, inflacja i bezrobocie rosły, kampania terroru IRA była w pełnym rozkwicie — to zaś oznaczało, że Irlandczyków mało kto chciał zatrudniać. Już miała się poddać i wrócić do domu, kiedy Nuala, współlokatorka z hostelu, wspomniała, że w firmie, gdzie pracuje, zwolniła się posada.

— Haruje się długo i za marne grosze — oznajmiła radośnie — lecz zawsze to praca, prawda? Tymczasem posada asystentki do spraw sprzedaży u Melville'a wydawała się Katie czymś cudownym. Ekskluzywny angielski dom mody znany był w świecie ze skórzanych butów ręcznej roboty, znakomitych torebek i zachwycających apaszek. Jego nazwa stanowiła synonim gustu i klasy. Idolki Katie, Audrey Hepburn i Jackie Onassis, zostały ostatnio sfotografowane, kiedy dzierżyły w dłoniach torebki Melville'a, wystawiając z dumą na pokaz charakterystyczne zapięcie w kształcie litery M. Następnego ranka Katie włożyła zatem najlepsze ciuchy i ruszyła na Old Bond Street, gdzie znajdowały się najbardziej eleganckie i ekskluzywne sklepy w Londynie. Otwierając szeroko z podziwu oczy, mijając galerie sztuki, salony jubilerskie, butiki Gucciego i Cha-

nel... by dotrzeć w końcu do Melville'a. Nawet z zewnątrz sklep robił onieśmielające wrażenie. Przyciemnione szyby i aksamitne kotary w oknach nie pozwalały dojrzeć, co znajduje się w środku. Portier w liberii otworzył zdobione złotem drzwi, a potem je przytrzymał. Katie zaczerpnęła głęboko powietrza i weszła. I to był jej pierwszy błąd.

— Ekspedientki wchodzą tylnym wejściem — powiedziała później tego ranka kierowniczka, Anne Harper, oprowadzając ją po sklepie. Nuala musiała skutecznie zarekomendować koleżankę, gdyż pani Harper, przepytawszy Katie pobieżnie, zgodziła się przyjąć ją na próbę. Zostało to powiedziane tonem, który jasno sugerował, iż nie spodziewa się, by nowa pracownica ostała się w firmie na dłużej.

— Jeśli przyłapię cię na tym, że wchodzisz znów głównym wejściem, zostaniesz zwolniona — kontynuowała. — Stanie się tak również wtedy, gdy będziesz się spóźniać albo poskarży się na ciebie klient.

Katie szybko wyzbyła się złudzeń co do tego, iż praca u Melville'a będzie czymś wspaniałym. Nuala miała rację: godziny pracy były tu długie, płaca marna, a ludzie niemili — zarówno klienci, jak i personel. Prawie nie widywała Nuali, gdyż pracowała jako sekretarka w przyległym biurówcu, zaś pozostałe ekspedientki pochodziły przeważnie z bogatych rodzin i traktowały pracę jako zajęcie tymczasowe, pozwalające im zabić czas, póki nie wyjdą za mąż. Katie zdawała sobie sprawę, że patrzą na nią, prostą irlandzką dziewczynę, z góry. Kiedy czyniły plany na weekend — plany, w których nigdy jej nie uwzględniano — udawała, że nie słyszy.

Wobec tak otwartej wrogości zapewne poszukałaby sobie pracy gdzie indziej, zdarzyło się jednak coś niespodziewanego. Katie się zakochała.

Zaczął się od serii kradzieży. Z magazynu zniknęło pięć torebek, a potem tuzin jedwabnych apaszek. Jednak dopiero gdy okazało się, że w kasie brakuje dwudziestu funtów, kierownictwo zdecydowało, że pora położyć temu kres. Pani Harper zwołała po zamknięciu sklepu zebranie personelu i zarządziła, by przed wyjściem sprawdzono każdej pracownicy torebkę.

Katie ustawiła się, jak inne, w kolejce. Kiedy czekała, ktoś trącił ją w ramię. Odwróciła się i zobaczyła Fionę Clinton, dziewczynę o końskiej twarzy i wiejskim typie urody, która była wobec niej szczególnie niemiła. Wąska twarz Fiony pojaśniała, kiedy dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.

— Wyyybacz, skaarbie — zabczała.

Katie już miała powiedzieć, że nic nie szkodzi, lecz poproszono ją, aby otworzyła torebkę. Patrzyła, jak szef ochrony wyjmuje z niej parasolkę, szminkę Max Factora i chusteczkę. W końcu zaczął przeszukiwać kieszonki, by na oczach pani Harper i pozostałych członków personelu wyciągnąć z jednej z nich dwudziestofuntowy banknot. Odwrócił go, aby pokazać znak uczyniony pomarańczowym markerem i wskazujący, że banknot pochodzi z kasy sklepu.

— To nie moje! — protestowała Katie. — Ktoś mi go podrzucił! Lecz oczywiście nikt jej nie wierzył.

Pani Harper chwyciła ją za ramię. — Pójdiesz ze mną. Pan Melville życzy sobie załatwić to osobiście.

Serce zamarło Katie w piersi. William Melville był prawnikiem założyciela. Groźnym i wspaniałym człowiekiem, który nie znalazł dotąd czasu, by zejść do sklepu. Nie była w stanie sobie wyobrazić, by mógł wysłuchać jej słów obrony. Nie miała jednak wyboru, musiała podążyć za panią Harper do biur zarządu firmy.

Pomieszczenia usytuowane tuż za sklepem sprawiały wrażenie komfortu i zamożności: tonące w półmroku korytarze, puszyste dywany i portrety rodzinne zdobiące ściany. Gabinet Williama Melville'a znajdował się na najwyższym piętrze. Pani Harper zapukała do masywnych drzwi.

— Proszę wejść — dobiegło wypowiedziane burkliwym głosem zaproszenie. Pokój był w każdym calu równie imponujący jak korytarz. Pośrodku stało piękne biurko w stylu Ludwika XIV, zrobione z solidnego ciemnego dębu, z blatem pokrytym skórą w kolorze burgunda.

Katie odgadła prawidłowo, że człowiekiem, który za nim siedzi, jest William Melville, mężczyzna wysoki, mocno zbudowany, silny, poważny i bezkompromisowy — jednym słowem, urodzony po to, by zarządzać firmą taką jak ta. Nie spojrzał na nie, gdy weszły.

- Chwileczke - wymamrotał. Kalie poruszyła się niespokojnie. Pani Harper nadal ścisnęła ją boleśnie za ramię, nie ośmieliła się jednak wyrwać ani zaprotestować.

W końcu pan Melville zamknął skoroszyt i raczył podnieść wzrok.

— Zatem co mogę dla ciebie zrobić, Anne?

Głos miał silny i czysty, wymowę zaś — tak przynajmniej zdawało się Katie — przerażająco wręcz wytworną.

Patrzyła wprost przed siebie, gdy pani Harper opowiadała, co się wydarzyło.

William Melville nie zaszczycił jej nawet jednym spojrzeniem i Katie poczuła, że ogarniają ją wątpliwości. Na pewno uwierzy we wszystko, co powie pani Harper i prawdopodobnie zadzwoni na policję. Pomyślała o tym, że zostanie odesłana w niesławie do Irlandii, przysparzając wstydu rodzinie... Łzy zaktęły ją pod powiekami, zamrugła więc, by je odpędzić. Nie da im tej satysfakcji.

Pani Harper umilkła. William spojrzał wreszcie na Katie. Musiał mieć niewiele ponad trzydzieści lat, jednak poważna mina, uszyty na Saviie Row garnitur i siwiejące skronie sprawiały, że wydawał się starszy. Przyglądał się Katie przez dłuższą chwilę, jakby próbował ocenić jej charakter. Odpowiedziała buntowniczym spojrzeniem. Przeniósł wzrok niżej, na ramię dziewczyny, nadal ścisł mocno przez panią Harper. Zmarszczył brwi. — Chyba możesz już puścić młodą damę, Anne — powiedział spokojnie. — Nic sędzę, by zamierzała uciec.

Kierowniczka zrobiła, co jej polecono, a William zwrócił się do Katie.

— Powiedz, Katie — zapytał, jakby byli starymi znajomymi — dlaczego u licha przysporzyłaś pani Harper tyle kłopotu?

Zostało to powiedziane tonem łagodnej nagany.

Odczekał chwilę, jakby spodziewał się, że Katie odpowie. Milczała jednak, nie miała bowiem pojęcia, o co mu chodzi. Potrząsnął zatem głową i zwrócił się do pani Harper.

— Przykro mi, Anne, wiem jednak na pewno, że Katie nie ukradła tych pieniędzy. Widzisz, wziąłem ten banknot z podręcznej kasy i dałem jej go dziś rano, by mogła odebrać moje rzeczy z pralni. Se-

kret arka gdzieś znikła, poprosiłem więc Katie, by wyskoczyła po nie podczas przerwy.

Katie przyglądała się z niedowierzaniem, jak zmusza panią Harper, by wygłosiła niechętne przeprosiny. Nie miała pojęcia, dlaczego skłamał w jej obronie, lecz jeśli miało to oznaczać, że zachowa posadę, z ochotą będzie trzymała język za zębami.

— Dlaczego pan to zrobił? — spytała, gdy pani Harper wyszła.

William wzruszył ramionami z nonszalancją właściwą człowiekowi przywykłemu, iż jego polecenia wykonywane są natychmiast i bez dyskusji.

— Wyglądałaś tak, jakby przydał ci się sojusznik. Przez chwilę przetrawiała to, co powiedział.

— Dziękuję panu — powiedziała w końcu.

— Proszę bardzo. — Jego spojrzenie stwardniało. — Postaraj się tylko, by to się więcej nie powtórzyło. Następnym razem nie będę już tak wyrozumiały.

Uświadomiła sobie, iż nadal uważają za winną.

— Ja nie... — zaczęła, lecz jej przerwano.

— Wszystko, o co proszę, to by kradzieże się nie powtórzyły — stwierdził szorstko.

Pochylił znów głowę nad dokumentami, dając jej znak, iż jeśli chodzi o niego, rozmowa jest skończona. Katie chciała powiedzieć coś jeszcze, wiedziała jednak, że to się na nic nie zda. Wyśliznęła się więc tylko z pokoju.

Zbiegła po schodach i wyszła w chłodną, zimową noc. Wiedziała, że powinna czuć ulgę — dopisało jej szczęście i wywinęła się z kłopotów. Z jakiegoś powodu incydent jednak ją przygnębił. Nie mogła znieść myśli, iż William Melville uważa ją za złodziejkę.

Miesiąc później schwytano prawdziwego winowajcę. Ochroniarze przyłapali Fionę Clinton, gdy pakowała do plecaka pięć par butów. Najwidoczniej kieszonkowe od tatusia nie wystarczało już, by zaspokoić postępujący głód kokainy. Została z miejsca wylana.

Katie zaś, oczyszczona w pełni z zarzutów, doczekała się kolejnych, cokolwiek wymuszonych przeprosin od pani Harper... oraz liściku od

Williama McIlville'a, w którym zapraszał ją jeszcze tego wieczoru na kolację.

Nie prosił, by utrzymała zaproszenie w tajemnicy, nie wspomniała jednak o nim koleżankom, by nie zaczęły plotkować. Skończyła pracę jak zwykle o siódmej, a potem czekała do umówionej godziny w pobliskiej kawiarni. Nie mogła poradzić nic na to, że czuje się zdenerwowana. Nie miała zbyt dużego doświadczenia, jeśli chodzi o mężczyzn. Miewała, oczywiście, wielbicieli, co zawdzięczała charakterystycznej, gaelickiej urodzie — błyszczącym granatowoczarnym włosom i bardzo jasnej karnacji — a także pełnej figurze. Nie chodziła jednak dotąd z chłopakiem. W domu groźne spojrzenia ojca odstraszały skutecznie kandydatów. W Londynie miała co prawda więcej swobody, jednak surowe katolickie wychowanie sprawiało, że randki kończyły się nieodmiennie w ten sam sposób — odpychała natarczywe dłonie, a potem była odprowadzana w ponurym milczeniu pod drzwi hostelu. Postanowiła, że jeśli William też będzie się do niej przystawiał, wróci prosto do domu, choćby miało to oznaczać utratę posady. Nie była przecież takim typem dziewczyny.

Wróciła pod drzwi sklepu o ósmej. William już tam był. Zauważyła, że przyszedł wcześniej i w płaszczu z granatowego kaszmiru prezentuje się niezwykle elegancko. Katie, ubrana w bluzkę z poliestru

i długą do połowy łydki sztruksową spódniczkę, nie wydawała się być dla niego odpowiednią towarzyszką. Czekala, niepewna, jak się zachować.

— Cieszę się, że przyszedłeś, Katie — powiedział głębokim, kulturalnym głosem, który sprawiał, że tym dobitniej uświadamiała sobie, iż sama mówi z irlandzkim akcentem.

— To miło z pańskiej strony, że mnie pan zaprosił. Uśmiechnął się do niej.

— Jeśli mamy zjeść razem kolację, zmuszony jestem nalegać, abyś zwracała się do mnie po imieniu.

Katie zawahała się na chwilę, a potem także się uśmiechnęła.

— Dziękuję... Williamie — powiedziała.

Był to dla niej magiczny wieczór. William zabrat ją do Ritza. Restauracja, ze swym staroświeckim cokolwiek urokiem i dyskretną obsługą, okazała się spełnieniem marzeń. Znajdowała się blisko biura, więc William najwidoczniej często tam jadał. Katie nie była w stanie wyobrazić sobie, by mogła zachowywać się w podobnym miejscu z taką nonszalancją i swobodą, jak robił to jej towarzysz. Powiedziała mu o tym, nie zastanawiając się, czy to wypada. Uśmiechnął się i odparł, iż przyglądanie się wszystkiemu jej oczami pozwala mu od nowa to docenić. Martwiła się, że w towarzystwie Williama będzie niezdarna i onieśmielona, wydawał się jednak szczerze nią zainteresowany i to sprawiło, że się odprężyła.

Po kolacji uparł się, by odwieźć ją do domu. Kiedy zasiedli w prowadzonym przez szofera rolls-royse, opierając się o gładkie skórzane siedzenia, była już pewna, iż przeżywa oto jeden z najwspanialszych wieczorów w życiu.

Gdy dojechali do hostelu, wysiadł i otworzył przed nią drzwi, jak prawdziwy dżentelmen powinien.

— Dobranoc, Katie — powiedział.

Pochylił się i ucałował jej dłoń. Poczowała na skórze dotyk jego warg i przeszył ją dreszcz. Odwróciła się bez słowa i wbiegła do domu, zabierając ze sobą wspomnienia.

Nie umówili się na kolejne spotkanie, lecz następnego czwartku Katie znów otrzymała list. William pytał, czy ma wolny wieczór i może zjeść z nim kolację.

Tym razem się zawahała. Wiedziała, że jest żonaty i ma dwuletnią córeczkę. Opowiedział jej o żonie i dziecku, gdy się poprzednio spotkali. Przebywały w wiejskiej posiadłości Melville'ów w Somerset. On mieszkał w tygodniu w rezydencji w Belgravii, weekendy zaś spędzał z rodziną na wsi. Katie nie miała pojęcia, co to zaproszenie oznaczało dla niego, wiedziała jednak doskonale, co oznacza dla niej. I właśnie dlatego zastanawiała się, czy nie powinna go odrzucić.

Lecz mimo dobrych chęci, za dziesięć ósma stała znowu przed wejściem do sklepu. William już tam był. Uśmiechnął się, gdy ją zobaczył.

— Cieszę się, że przyszłaś.

Ja także - odparła i uświadomiła sobie, że to prawda.

— Pomyślałem, że moglibyśmy zjeść dzisiaj gdzie indziej — powiedział, gdy szli ulicą. — W jakimś... — zawahał się — mniej eksponowanym miejscu.

Odgadła, iż ma na myśli miejsce, gdzie nie tak łatwo byłoby zobaczyć ich razem.

Zabrał ją do francuskiego bistro znajdującego się w uliczce za sklepem. Rzeczywiście miejsce było, jak obiecał, mniej eksponowane i Katie przekonała się, że bez względu na to jakie kierowały nim pobudki, czuje się tu swobodniej niż u Ritza.

Kiedy w następnym tygodniu otrzymała kolejne zaproszenie, nie była już ani trochę zaskoczona.

Jadali razem kolację w każdy czwartek przez dwa następne miesiące. Na pozór nic ich nie łączyło. Okazało się jednak, iż są sobą zafascynowani. William nie wspominał więcej o żonie, a Katie nie widziała powodu, by poruszać niewygodny temat. Prawdę mówiąc, zaskoczyło ją, iż tak łatwo było zapomnieć, kim jest William. Wkrótce opowiadała mu o już o tym, jak minął jej dzień i jak okropnie zachowują się wobec niej koleżanki. Zupełnie, jakby byli starymi przyjaciółmi.

— Mógłbym coś zrobić — powiedział pewnego razu. — Przenieść cię do innego działu...

— Nic — odparła stanowczo. — Nic chcę, byś robił cokolwiek. Tak naprawdę chodziło jej o to, aby nie robił nic, co przyciągnęłoby ku nim uwagę.

Nie miała pojęcia, co takiego w niej widzi, ani dokąd zmierza ich znajomość. Na pożegnanie całował ją w rękę, nie próbował jednak posunąć się dalej. Jediną osobą, która wiedziała o spotkaniach, była Nuala. Przyjaciółka nie kryła, że ich nie pochwała.

— On może chcieć od ciebie tylko jednego, Katie — powtarzała.

— Nie — protestowała Katie. — To nie tak.

Nuala prychała wówczas z powątpiewaniem, zajęta przygotowaniami do ślubu z pewnym młodzieńcem, którego poznała w jednym z licznych w Londynie irlandzkich pubów. Miała zostać wkrótce mężatką i nie podobało jej się, iż żonaty mężczyzna umawia się z samotną ładną dziewczyną, starając się ją oczarować.

— Kalie, ty głuptasie — mówiła z silnym irlandzkim akcentem. — Chyba w to nie wierzysz?

Tymczasem Katie niemal przekonała samą siebie, że są z Williamem po prostu przyjaciółmi. A potem, pewnego mroźnego styczniowego wieczoru, kiedy wracali do samochodu Williama, pośliznęła się na oblodzonym chodniku, a on pomógł jej się podnieść. Spojrzała w dół, by ocenić szkody i przekonała się, że ma podarte rajstopy i obtarte do krwi kolana. Łzy napłynęły jej do oczu.

— Nic ci nie jest? — spytał zatroskany.

— Wszystko w porządku — odparła, pociągając nosem.

— Nieprawda.

— Naprawdę nic mi nie jest. Zachowuję się niemądrze. Wyciągnął dłoń i otarł łzę z mokrego policzka Katie, jakby chciał udowodnić, że to on ma rację. I nagle nie mogła już przestać płakać.

William się nie odezwał. Otoczył ją po prostu ramionami i przytulił. Wiedziała, że postępują źle, a jednak nie była w stanie się odsunąć. Zamiast tego zamknęła oczy i odprężyła się, wsparta o jego pierś.

— Och, Katie, Katie — wymamrotał z twarzą wtuloną w jej włosy. — I co my teraz zrobimy?

Tego wieczoru, zamiast odwieźć Katie do domu, zabrał ją do siebie.

Wiedziała, że tak być nie powinno. Że będzie smażyła się w piekle przez całą wieczność. Nie mogła się jednak powstrzymać. Katie O'Dwyer, która przysięgła zakonnicom, że zachowa dziewictwo do ślubu, oddała się tej nocy mężowi innej kobiety. Na zdobionych haftem jedwabnych prześcieradłach, w obcym łóżku, z żoną i dzieckiem kochanka spoglądającymi na nią ze zdjęć na ścianie, ofiarowała mu zarówno ciało, jak serce.

Krew i ból znikły po pierwszym razie. Potem nie spotykali się już w restauracjach. Wynajął dla niej małe mieszkanie w Clapham i każdego czwartku — a także w poniedziałek, wtorek i środę — rezygnowali z kolacji i kierowali się wprost tam, by spędzić wieczór w swoich ramionach.

I tak minęło osiem miesięcy. Osiem cudownych miesięcy udawania, że świat dookoła nie istnieje.

A potem pewnego wieczoru powiedział jej, że zamierza wyjechać wkrótce do Włoch. Coroczne rodzinne wakacje, nie może się od tego wymówić, dwa tygodnie nad jeziorem Como, w miejscu, o którym nawet nie słyszała. To, iż nie będzie widywała Williama przez czternaście dni, przeszkadzało jej bardziej niż świadomość, że spędzi te dni z żoną. Scałował jej łzy i obiecał, że zobaczy się z nią zaraz po powrocie, jeszcze tego samego wieczoru.

I wtedy Katie przekonała się po raz pierwszy, jak obłudni potrafią być mężczyźni. Dwa dni po tym, jak William wyjechał, wezwano ją do biura Anne Harper i poinformowano, że została zwolniona.

— Ależ to niemożliwe — wybuchła. — Nie może pani tego zrobić. Proszę zapytać... — Już miała powiedzieć „Williama”, lecz powstrzymała się na czas.

Kierowniczką uśmiechnęła się złośliwie. — ... pana Melville'a, to chciałaś powiedzieć? — Widać było, iż dobrze się bawi. — Nic by ci to nie dało, Katie, zważywszy, że to on kazał mi się ciebie pozbyć.

Spotkanie nie trwało potem zbyt długo. Katie słuchała oszołomiona, jak Anne mówi, iż spodziewają się, że opuści wynajęte przez Williama mieszkanie przed końcem tygodnia. Kierowniczką przesunęła ku niej po blacie biurka kopertę.

— To powinno wynagrodzić ci wszelkie niedogodności — stwierdziła chłodno. — Jestem też pewna, że nie muszę sugerować, byś zachowała treść tej rozmowy dla siebie?

Katie usłyszała w głosie kobiety ostrzeżenie. Jakoś udało jej się wymamrotać, że nie chce sprawiać kłopotów, po czym nadal oszołomiona, wstała i ruszyła, potykając się, ku drzwiom.

Na górze, w pokoju dla personelu, otworzyła ciężką kremową kopertę, łudząc się, iż znajdzie w niej list od Williama wyjaśniający, dlaczego tak z nią postąpił. W kopercie znajdowało się jednak tylko krótkie, oficjalne pismo na firmowym papierze, z nagłówkiem działu personalnego, objaśniające warunki wypowiedzenia oraz czek na tysiąc funtów, mający stanowić zapewne odprawę. Suma była — w porównaniu z okresem zatrudnienia Katie i jej normalną pensją — tak absurdalnie wysoka, że o mało się nie roześmiała. Zamiast

tęgo wsunęła kopertę, list i czek do kieszeni i opróżniła szafkę. Potem, nie odzywając się do nikogo, opuściła Melville'a na dobre.

Tęgo wieczoru zrobiła to, czego życzył sobie William — zniknęła na zawsze z jego życia. Miał rację, pomyślała, pakując się. Lepiej przerwać to od razu. I jeśli żałowała, że nie miał odwagi powiedzieć jej wprost, że z nimi koniec, pocieszała się myślą, iż stchórzył, ponieważ obawiał się, że jego postanowienie osłabnie, jeśli się spotkają. Było to łatwiejsze do zniesienia, niż uznać, że nigdy mu na niej nie zależało.

Nie wróciła już do Melville'a. Znalazła tańsze lokum i przekonała właściciela niewielkiej kawiarni, by ją zatrudnił. William miał rację, powtarzała sobie co wieczór, utulając się płaczem do snu. Trzeba było skończyć ten romans. Teraz musi o nim zapomnieć, aby on mógł zapomnieć o niej i być z żoną. Jakkolwiek było to bolesne, tak właśnie należało postąpić.

Od tamtych wydarzeń minęły dwa miesiące i oto stała znowu przed domem, gdzie spędzili pierwszą wspólną noc.

Znajomy pomruk silnika wyrwał ją z zamyślenia. Podniosła wzrok. Tak, to z pewnością rolls-royce Williama. Serce zaczęło szybciej bić jej w piersi. Pomimo godnych pochwały postanowień, pomimo tego, co zrobił, rozpaczliwie pragnęła znów go zobaczyć.

Samochód zwolnił i zatrzymał się przed domem. Kierowca wysiadł pierwszy, włożył czapkę i otworzył przed Williamem drzwi.

William wysiadł i stanął na chodniku. W przymglonym świetle ulicznej latarni ledwie była w stanie dostrzec zarys jego szerokich ramion i poważną minę. Wstała, drżąc z chłodu i oczekiwania. Już miała wykrzyknąć imię kochanka, kiedy odwrócił się ku otwartym drzwiom samochodu i wyciągnął rękę. Patrzyła, jak smukłe palce zaciskają się na jego silnym nadgarstku.

Natychmiast domyśliła się, że elegancka blondynka w futrze z lisów to jego żona, Isabelle. Ciekawe, gdzie też mogli spędzić wieczór, pomyślała zupełnie bez sensu. W operze? Na kolacji z przyjaciółmi? Cóż, nic jej do tego.

Przyglądała się, jak wchodzą po stopniach i znikają w domu. Po chwili na choince ustawionej we frontowym pokoju zapaliły się Jampki. Mimo panującego w pomieszczeniu półmroku dostrzegła, że William przyciąga żonę do siebie i ją obejmuje. Wskazał na zawieszoną powyżej jemiolę i kobieta się roześmiała. Odsunął jej z czoła jasne włosy i pochylił głowę.

Katie nie mogła dłużej na to patrzeć. Zamknęła oczy, próbując wyprzeć ze świadomości obraz tych dwojga — razem. Opuściła dłoń i dotknęła nieznacznej wypukłości brzucha. Teraz nie mogła mu już powiedzieć. Postąpiła niemądrze, przychodząc tutaj, a wcześniej, zadając się z żonatym mężczyzną. Będzie musiała sama poradzić sobie z konsekwencjami.

CZĘŚĆ 1

***Maj - grudzień
roku 1990***

Rozdział pierwszy

Valleymount, Irlandia

Katie O'Dwyer zmarła we wtorek. Pochowano ją trzy dni później, w ciepy majowy poranek: pierwszy przebłysk zbliżającego się do Valleymount lata. Na pogrzebie stawiała się cała wioska, Katie lubili bowiem wszyscy. Piętnastoletnia córka zmarłej, Caitlin, stała przy mogile, przyglądając się, jak grabarze opuszczają trumnę do grobu. Przetrwiała jakoś mszę, powstrzymując łzy, lecz teraz, gdy ksiądz ją odmawiać modlitwy, powierzając nieboszczkę Bogu, rzeczywistość uderzyła w nią z siłą kowalskiego młota. Mama odeszła, a ona została, po raz pierwszy w życiu, sama.

Odkąd sięgała pamięcią, były tylko we dwie: ona i mama. Nie miała pojęcia, jak niewiele brakowało, by matka ją oddała. Samotna, w ciąży, nie miała wielu możliwości. Znała co prawda dziewczęta, które „pozbyły się problemu”, katolickie wychowanie nie pozwalało jej wszakże pójść w ich ślady. Nie mogła też powiedzieć o dziecku rodzicom, postanowiła zatem, że urodzi w Londynie, odda maleństwo do adopcji i wróci do domu. Nikt nie musi się dowiedzieć...

Gdy nadszedł czas porodu, udała się do domu dla samotnych matek na East Endzie. Personel nie okazywał położnicom sympatii ani współczucia. Młode matki zachęcano, by oddały dziecko, a potem odsyłano je, ostrzegając, aby ponownie nie zgrzeszyły.

Po pięciu godzinach zadziwiająco lekkiego porodu Katie spojrzała w szeroko otwarte, błękitne oczy córki i już wiedziała, jak dać małej na imię.

— Wyglądasz mi na Caitlin — szepnęła do noworodka.

Pielęgniarka podsłuchiwała ją i prychnęła lekceważąco. — Nieważne, jak ją nazwiesz, i tak to matka nada dziecku imię.

Ale to ja jestem jej matką, pomyślała Katie.

Dwa dni później, po wielkiej kłótni z przełożoną pielęgniarek, opuściła szpital, trzymając w ramionach Caitlin. Była to odważna decyzja. Oznaczała, iż Katie nie ma wyjścia: musi wrócić do Irlandii.

Caitlin nie pamiętała dziadków, i pewnie tak było lepiej. Kiedy Katie stanęła na progu rodzinnego domu z dwumiesięcznym niemowlęciem na ręku, rodzice nie kryli pogardy. Zapewnili córcę i jej dziecku kąpiel i spanie i niewiele poza tym. Caitlin była traktowana jak drobny, brudny sekret. Całe szczęście, że nie wiedzą, iż ojciec małej był żonaty, myślała często Katie.

Kiedy po dwóch latach zmarli — ojciec pierwszy, w wyniku udaru, a w kilka tygodni po nim matka, na serce — Katie uznała, że czas zacząć od nowa. Cienka złota obrączka na palcu lewej ręki nie zwiódła sąsiadów, ona zaś nie chciała, by mała dorastała w miejscu, gdzie wszyscy nazywali ją bękartem. Przez ostatnie dwa lata pozostawała w kontakcie z Nualą. Przyjaciółka wyszła za męża za poznanego w Londynie młodzieńca, po czym wrócili razem do Irlandii i zamieszkali w hrabstwie Wicklow, w malowniczej wiosce zwanej Vaŕleymount. Miejscowość, znaną jako „ogród Irlandii”, otaczały porośnięte bujną roślinnością wzgórza, jeziora o gładkiej jak szkło powierzchni i spadające z szumem wodospady. Odwiedzając dwukrotnie Nualę, Katie pomyślała, że to cudowne miejsce, aby wychować tam Caitlin. Sprzedała zatem rodzinną farmę, kupiła niewielki domek i zamieszkała w pobliżu przyjaciółki. Okazało się, że było to dobre posunięcie. Caitlin dorastała, uganiając się na bosaka z gromadą wiejskich dzieciaków po ślicznych dolinach i pływając w jeziorach Belssington. W latach osiemdziesiątych w Irlandii trudno było co prawda o pracę, Katie udało się jednak znaleźć zatrudnienie w jednym z pobliskich hoteli dla bogaczy. Pracowała tam jako sprzątaczką. Każdego dnia po szkole Caitlin pomagała mamie odkurzać pokoje i uzupełniać zapasy w łazienkach. Nie miały wiele pieniędzy, mimo to były szczęśliwe. Dwa razy w roku wyruszały w godzinną podróż autobusem do Dublina, gdzie spędzały dzień,

buszując w sklepach na Grafion Street, by napić się potem herbaty u Bewleya. Przez resztę czasu były zadowolone, mając to, co oferowało Yallemount oraz siebie nawzajem.

— Szczęściara z ciebie, Katie — powtarzała Nuala z zazdrością. — Caitlin to anioł. — O jej córce, Róisín, z pewnością nie dało się tego powiedzieć.

Gdy Caitlin skończyła dwanaście lat, posłano ją do miejscowego gimnazjum, zwanego Holy Cross, Święty Krzyż. Ponieważ większość z dwudziestki zaledwie uczniów stanowiły dzieciaki, z którymi dorastała, było to jak spędzanie co dzień kilku godzin z rodziną. Caitlin była bystrą uczennicą, nie rwała się jednak szczególnie do nauki. Interesowała ją głównie sztuka, przejawiała też spory talent artystyczny. Spędzała całe godziny, rysując, potrafiła też oddać podobieństwo za pomocą kilku zaledwie pociągnięć ołówkiem.

Oczywiście dorastanie niosło z sobą zmiany. Aparycja królowny Śnieżki — czarne włosy i jasna, mleczna karnacja — sprawiły, że szybko stała się, podobnie jak matka, piękną. A kiedy spod dziecięcego tłuszczu wyłoniły się krągłe kobiece kształty, chłopcy, z którymi dotąd beztrudnie się bawiła, zrobili się zaskakująco nieśmiali. Zapraszali ją, jaskając się z przejęcia, do kina, lecz zawsze odmawiała, gdyż randki były jedynym, na co matka z uporem jej nie pozwalała.

Caitlin nie miała pojęcia, dlaczego tak się dzieje. Wszystkie jej przyjaciółki spotykały się z chłopcami. W sobotnie wieczory wyruszały z nimi do miasta, pograć w kręgle.

— Wymknij się, gdy mama zaśnie i przyłącz do nas — namawiała ją Róisín. Podobnie jak kiedyś ich matki, dziewczęta bardzo się zaprzyjaźniły.

Lecz Caitlin nie słuchała. Była posłuszna Katie, a to dlatego, że były tylko we dwie. Musiały trzymać się razem, miast pozostawać w stanie permanentnej wojny, jak Róisín i jej matka. Róisín tego nie rozumiała. Zapewne dzieje się tak dlatego, że ona ma ojca, tłumaczyła sobie Caitlin, podczas gdy jej tata zmarł, zanim się urodziła, zostawiając żonę, aby wychowywała córkę sama. Pod względem finansowym zawsze było im ciężko i Caitlin nie chciała dokładać mamie zmartwień.

Czasami zastanawiała się, dlaczego mama nie wyszła ponownie za mąż. Wielu mężczyzn z wioski chętnie by ją poślubiło. Matka nie chciała jednak o tym mówić i Caitlin uznała, że widać nie przeboleła jeszcze śmierci jej ojca. Nie naciskała zatem i żyły sobie szczęśliwie i bez większych zmartwień. Wszystko zmieniło się przed sześcioma miesiącami.

Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że matka jest chora, pewnego wieczoru po kolacji. Gdy wyrzucała do kosza resztki, zauważyła, że mama ledwie tknęła zapiekaną pasterską, którą przygotowała tego dnia w szkole w ramach zajęć z prowadzenia gospodarstwa domowego. Potrawa nie była może kulinarnym osiągnięciem, lecz Katie opróżniała zazwyczaj talerz do czysta, a tego dnia zrobiłaby to na pewno, już choćby po to, by nie urazić uczuć córki.

Przez kilka następnych dni Caitlin sprawdzała, co trafia wieczorem do kosza. Przekonała się, że matka prawie nie tyka kolacji. Zapytała, czy coś jest nie tak, lecz Katie zbyła ją, mówiąc, iż nabawiła się niestrawności. Caitlin nie naciskała. Zauważyła jednak, że o ile wcześniej matka odsyłała ją zazwyczaj po wieczornym posiłku do lekcji, teraz z ulgą pozwalała, by to córka sprzątała naczynia, podczas gdy sama siedziała, drzemiąc, przed telewizorem.

Mijały tygodnie, a Katie nie wracał apetyt. Wkrótce trudno już było nie zauważyć, że ma zapadnięte oczy, jej włosy straciły połysk, zaś pulchne niegdyś policzki stały się niemal wklęsłe. Jednak ilekroć Caitlin sugerowała, że matka powinna pójść do lekarza, Katie zbywała ją ze wzrastającą irytacją.

— Daj spokój, Caitlin — prychnęła pewnego czwartkowego wieczoru. — Nic mi...

Nie zdążyła dokończyć zdania, tylko rzuciła się pędem do łazienki. Caitlin czekała na zewnątrz, przysłuchując się, jak zwraca kolację, którą zdołała wmusić w siebie wcześniej. W końcu odgłosy ucichły, otworzyła więc drzwi. Matka leżała bez sił na podłodze.

Caitlin podeszła do umywalki i zaczęła ją myć. Tym razem nie mogła zignorować tego, co tam zobaczyła — krwi. Nie odezwała się, póki nie pomogła matce wejść na górę i się przebrać. Położyła Katie

do łóżka i przysiadła na jego skraju, gładząc mamę po włosach i przyglądając się, jak odpływa w sen.

— Proszę, idź do lekarza — powiedziała w końcu. — Nic jesteś zdrowa.

Po raz pierwszy mama nie zaprotestowała. I to zmartwiło Caitlin najbardziej.

Doktor Hannon uśmiechnął się do obu pań i powiedział, że prawdopodobnie nie ma się czym martwić — chciałby jednak poddać Katie dalszym badaniom. Uśmiech nie potrafił zamaskować zmartwienia widocznego w jego spojrzeniu.

Po kilku tygodniach siedziały razem w gabinecie specjalisty. Powiedział im, że choć rak trzustki został zdiagnozowany bardzo późno, jest jeszcze nadzieja. Podobnie jak doktor Hannon, nie zdołał oszukać kobiet z rodu O'Dwyer. Wyjaśnił, że poddadzą Katie chemioterapii, by doprowadzić do zmniejszenia guza, a potem go wytną. Tak naprawdę oznaczało to, iż w chwili obecnej nie ma sensu operować i pozostaje tylko modlić się o cud.

Dla Caitlin nastął trudny okres. Kiedy nie przytrzymywała miednicy, by matka mogła zwymiotować, lub nie pomagała jej owinać łysej głowy chustką, spędzała czas w szpitalnej kaplicy, modląc się o cud, który jednak nie nastąpił. Lekarze zdecydowali się w końcu na operację, lecz było już za późno. Stwierdzono przerzuty. Pozostało jedynie czekać.

Caitlin starała się nie pokazywać po sobie, jak bardzo jest przerażona. Chociaż widywała matkę codziennie i zdążyła przywyknąć do zapachu środków odkażających i śmierci, nadal nie była w stanie poradzić sobie z tym, jak szybko postępuje choroba. Katie, niezdolna jeść normalnie od tygodni, skurczyła się do rozmiaru niemalże szkieletu nie zajmującego prawie miejsca na wąskim, pojedynczym łóżku. Jedynie wzdęty brzuch pełen zrakowaciałych komórek sprawiał, że jej ciało pod wykrochmafonym białym prześcieradłem miało w ogóle jakiś kształt. Oczy miała zamknięte i była tak blada, że tylko delikatne unoszenie się i opadanie klatki piersiowej świadczyły o tym, że nie jest martwa, a jedynie śpi.

Caitlin zajęła się szukaniem miejsca, gdzie mogłaby ustawić wazon z zerwanymi tego ranka dzwonekami. Okazało się to niełatwe, gdyż szafka przy łóżku zastawiona była na w pół zwiędłymi kwiatami, kartkami z życzeniami zdrowia oraz winogronami, które nigdy nie zostaną zjedzone. Zdażyła usunąć połowę zwiędłych kwiatów, gdy usłyszała, że matka ją woła.

— Jestem tutaj, mamusiu — powiedziała, podchodząc do łóżka.

— Przynieść ci coś? Może trochę wody?

— Nie... Nie... Nie o to chodzi.

Katie zamilkła i w pokoju słychać było teraz jedynie jej wysiłony oddech, a właściwie głębokie rżenie. Wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Caitlin. Palce miała wychudłe i zimne jak śmierć.

— Nie zostało mi już wiele czasu, Cat — zaczęła. Caitlin otworzyła usta, aby zaprotestować, lecz matka powstrzymała ją spojrzeniem.

— Nie sprzeczasz się ze mną. Muszę o czymś ci powiedzieć.

— O co chodzi, mamusiu?

— O twojego ojca. Nigdy ci o nim wiele nie mówiłam. Powinłam była...

— Nie martw się o to teraz. On odszedł. Nie ma o czym mówić. Matka zamknęła oczy, a gdy je otworzyła, Caitlin zobaczyła, że błyszczą od łez.

— O to chodzi, Caitlin — powiedziała. — To właśnie próbuję ci powiedzieć. On nie umarł.

Przez następne pół godziny opowiadała córce o tym, jak poznała Williama i się w nim zakochała. Miał żonę i córkę, oni zaś, choć wiedzieli, że postępują źle, nie potrafili zrezygnować z romansu, wyrzec się tego, co ich łączyło. Przemawiała z absolutną determinacją, zdecydowana zrzucić ciężar z piersi. Widać łoże śmierci to doskonały konfesjonał.

— To się skończyło, nim przekonałam się, że jestem w ciąży — powiedziała, nie wspominając o szczegółach zerwania. — No i byliśmy razem szczęśliwi, prawda? — mówiła dalej, gdy Caitlin milczała.

— Tylko my dwie. Niczego bym nie zmieniła.

Caitlin zmusiła się, by skinąć głową. Wiedziała, że powinna coś powiedzieć, zaoferować matce jakiś rodzaj pociechy. Była jednak zbyt oszołomiona.

Napisałam do niego, Caitlin. Caitlin uniosła gwałtownie głowę.

— Co takiego zrobiłaś?

— Napisałam do niego i poinformowałam, że ma córkę. Piękną, piętnastoletnią córkę.

Caitlin puściła dłoń matki i wstała.

— Skontaktował się ze mną — powiedziała szybko Katie. — Zostawił wiadomość, że przyjeżdża.

Caitlin zobaczyła, że matka spogląda na drzwi, jakby spodziewała się, że dawny kochanek stanie za chwilę w progu. Teraz wiedziała już, dlaczego Katie nie wyszła nigdy za męża. Nadal go kochała. Po wszystkich tych latach. Caitlin się odwróciła.

— Caitlin? — usłyszała głos matki, słaby, błagalny. Czowała, że Katie próbuje jej dosięgnąć, dotrzeć do niej. — Caitlin? Nie gniewaj się, proszę. Przepraszam, że ci o nim nie powiedziałam. Powinnam była powiedzieć coś wcześniej.

Umilkła i Caitlin wiedziała, że czeka, aby to ona coś powiedziała. Nie była jednak w stanie tego zrobić. Jeszcze nie.

— Wybacz mi, Caitlin. Powiedz, że mi wybaczasz.

Caitlin zamknęła oczy i przełknęła łzy. Mogła myśleć jedynie o tym, że matka okłamywała ją przez piętnaście lat. To zbyt wiele, by tak od razu się z tym uporać. Wiedziała jednak, że musi.

— Wszystko w porządku, mamó — powiedziała w końcu, otwierając oczy. — Rozumiem.

Wzięła głęboki oddech i się odwróciła.

— Wybaczam ci.

Słowa zamarły jej w gardle. Spojrzała w dół, na matkę. Usta miała otwarte, jakby chciała coś powiedzieć, lecz oczy patrzyły, niewidzące, w przestrzeń. Za późno na wybaczenie. Katie odeszła.

Siedziała przy zwłokach tak długo, jak było to możliwe. W końcu pielęgniarka przekonała ją, że powinna napić się herbaty. Wracała na oddział, kiedy go zobaczyła. Był wysoki, dobrze ubrany i rozmawiał właśnie z przełożoną. Musiał uświadomić sobie jej obecność, podniósł bowiem wzrok. Na chwilę twarz mu stężała.

— Katie? — powiedział.

Sposób mówienia wykształconego Anglika nie pozostawiał wątpliwości, kim jest przybyły.

— Nie. Jestem Caitlin.

— Myślałem...

Caitlin skinęła głową. Nie potrzebowała wyjaśnień. Widziała wystarczająco dużo zdjęć matki z czasów, gdy była młodą dziewczyną, by wiedzieć, że nietrudno je pomylić. Nie widział jej matki od szesnastu lat. Dla niego nie zestarzała się nawet o jeden dzień.

Wynajął pokój w hotelu Grand, gdzie pracowała Katie, i zajął się organizacją pogrzebu. Im częściej go widywała, tym trudniej było jej uwierzyć, iż może być jej ojcem. A jeszcze trudniej zrozumieć, jak to się stało, że matka wplątała się w romans z kimś takim jak on. Powtarzała z uporem, że się kochali. Tymczasem podczas tych kilku dni, jakie minęły, odkąd go poznała, William Melville wyrażał się o ich związku z o wiele większą powściągliwością.

Podczas mszy i pogrzebu stał skromnie z boku. Caitlin właściwie spodziewała się, że wyjedzie zaraz po ceremonii. Ku jej zaskoczeniu przyszedł jednak na stypę. Nim dotarli do pubu, gdzie ją zorganizowano, lokal był już bardzo zatłoczony. Żałobnicy raczyli się kiełbaskami i kanapkami z szynką. William — Caitlin nie była w stanie zwracać się do niego jak do ojca, a i on nic takiego nie zaproponował — stał pośród nasilającego się harmidru sztywny i milczący. Widać było, że czuje się nieswojo.

Koło piątej ludzie zaczęli się rozchodzić.

Róisín podeszła do Caitlin.

— Wychodzimy. Idziesz z nami?

Caitlin zobaczyła kręcącą się koło wejścia grupkę dziewcząt. Z racji pogrzebu zwolniono je ze szkoły i teraz nie mogły doczekać się, by uciec jak najdalej od dorosłych. Caitlin miała ochotę z nimi pójść, zapomnieć o wszystkim, choćby na chwilę. Spostrzegła jednak, że William stoi nieopodal i domyśliła się, że czeka, aby z nią porozmawiać.

— Zaraz wyjdę.

— Jasne. — Róisín wzruszyła ramionami.

Odeszła i przyłączyła się do pozostałych. Dziewczęta gapiły się na Williama bezwstydnie przez całe popołudnie. Jego tożsamość miała

pozostać tajemnicą, Caitlin domyśliła się jednak, że Róisín wszystko rozpowiedziała. Przyjaciółka czy nic, nigdy nie potrafiła utrzymać języka za zębami.

Williamowi chyba jednak nie przeszkadzało, że stał się obiektem powszechnego zainteresowania. Nawet o tym nie wspomniał, kiedy odciągał Caitlin na bok, z dala od ciekawych uszu.

— Muszę wrócić teraz do Anglii — powiedział. — Za kilka dni skontaktuję się jednak z Nualą w kwestii twojego przylotu.

— Przylotu? Skinał krótko głową.

— Tak. Zakładam, że będziesz chciała pozostać tu jeszcze przez kilka tygodni, do końca roku szkolnego. Gdy już pożegnasz się z przyjaciółmi, przylecisz do Anglii i zamieszkasz ze mną i z moją rodziną.

Caitlin pierwszy raz o tym słyszała.

— Ale ja nie chcę wyjeżdżać z Valleymount. — Zauważyła, że Nuala kręci się w pobliżu. Gdy matka musiała iść w końcu do szpitala, przyjaciółka z chęcią przyjęła Caitlin pod swój dach. Caitlin zakładała, że teraz, gdy mama odeszła, pozostanie nadal z rodziną Nuali.

— Nie możesz zostać tu sama, Caitlin — powiedział William.

— Lecz ciocia Nuala...

— Nuala nie jest twoją krewną — przerwał jej. — A ja tak. Caitlin spojrzała na Nualę próbującą dodać jej uśmiechem otuchy.

Caitlin czuła jednak, że kobieta nie jest zadowolona z ustaleń, jakie podjęto bez pytania ich o zdanie. Niestety, wyglądało na to, iż nie mają w tej sprawie nic do powiedzenia. Jeśli William Melville życzył sobie, by przyjechała i zamieszkała z jego rodziną, tak właśnie się stanie.

Później tego wieczoru Caitlin leżała, nic śpiąc, w łóżku. Od strony Róisín dobiegało ją cichutkie pochrapywanie. Był to dźwięk dodający otuchy, poza tym przywykła do niego podczas kilku minionych tygodni, kiedy sen przestał przychodzić, jak wcześniej, na zawołanie. Przyglądanie się, jak matka słabnie, cierpi, ponieważ morfina przestała już działać... trudno wyrzucić coś takiego z pamięci. Nic nie było jednak tak straszne jak to, przez co musiała przejść dzisiaj. Patrzenie

na matkę w otwartej trumnie, wyglądającą tak samo, a przecież nie tę samą... Świadomość tego, że jej ciało to już tylko pusta muszla i że choćby nie wiem jak przypominało mamę, to już nie jest ona i nigdy nią nie będzie.

Wspomnienie znów wycisnęło jej z oczu łzy. Odwróciła się do ściany i zakryła dłonią usta, by stłumić szloch i nie obudzić po raz kolejny Róisin. Przyjaciółka, na ogół bezmyślna i trochę samolubna, przez kilka ostatnich tygodni zachowywała się wspaniale. Caitlin trudno byłoby zliczyć, ile razy siadała przy niej, tuląc i pocieszając, kiedy nie mogła powstrzymać łez. Podobnie Nuala.

A teraz będzie musiała opuścić wioskę, w której dorastała, ludzi, których uważała za rodzinę i miejsce, które stało się jej domem—zostawić wszystko, co wiązało ją z mamą po to jedynie, aby zamieszkać w miejscu, o którym nic nie wiedziała, z ojcem, którego nie znała i o istnieniu którego dowiedziała się przed dwoma zaledwie tygodniami.

— Dlaczego musiałaś mu o mnie powiedzieć, mamó? — wyszeptała w ciemności. Myśli spowodowały kolejny przyływ gniewu i łez, zmieszanych z poczuciem winy i niepewnością. Długo potrwa, nim uda jej się tej nocy zasnąć.

Rozdział drugi

Somerset, Anglia

Elizabeth Melville przerzuciła piłkę na drugą stronę kortu, zdecydowana wygrać tym strzałem mecz. Jednak James Evans, jej trener, wyskoczył w przód i zdołał odeprzeć atak gładkim backhandem. Odpowiedziała odbiciem z woleja i błyskawiczna wymiana piłek nie ustawała.

Grali już od półtorej godziny i żadne nie zamierzało ustąpić. Milmowlony obserwator doszedłby zapewne do wniosku, że James ma wszelkie szanse, aby zwyciężyć. Przy wzroście stu osiemdziesięciu siedmiu centymetrów, był o dziesięć centymetrów wyższy i o dwadzieścia pięć kilogramów cięższy niż Elizabeth. Lecz Elizabeth posiadała coś, czego brakowało Jamesowi: żądzę zwycięstwa.

Długie złote włosy fruwały w powietrzu, a opalone członki śmigały, kiedy wyprowadzała kolejny mocny forehand. James, przyłapany w chwili nieuwagi przy siatce, cofnął się szybko, by go odebrać. Okazał się jednak odrobinę za wolny i piłka upadła poza zasięgiem jego rakiety.

Elizabeth wydała triumfalny okrzyk.

— Gem, set i mecz — zawołała.

James potrząsnął głową w geście udawanej rozpacz.

— Trzeci raz w tym tygodniu? Sprawiasz, że zaczynam czuć się staro, Elizabeth.

Roześmiała się. Odnotowywany kiedyś wysoko w rankingach zawodnik świętował miesiąc wcześniej czterdzieste urodziny, nadał był jednak w znakomitej formie i oboje o tym wiedzieli.

— Właśnie — zażartowała. — Fora odstawić cię na boczny tor.

Podeszli spacerkiem do wielkich kamiennych stopni odgradzających korty od reszty posiadłości, gawędząc i śmiejąc się ze swobodą ludzi, którzy znają się od lat. James zaczął udzielać Elizabeth lekcji, gdy miała pięć lat. Od dawna już ich nie potrzebowała, mimo to, ilekroć wracała do domu ze szkoły, wpadał, żeby „utrzymać ją w pionie”, jak zwykł mawiać. Zresztą nie miał nic przeciwko temu, by przyjeżdżać do Aldringham, wspaniałej rezydencji, którą pradziadek Elizabeth nabył ponad sto lat temu. Położona na stokach Quantock Hills w hrabstwie Somerset, z widokiem na Kanał Bristolski i znajdujące się za nim walijskie doliny, stanowiła klasyczny przykład angielskiej posiadłości z trawnikami, na których można było grać w krykieta, ukrytymi pośród zieleni alejkami i parkiem ze zwierzyną płową. James gościł w wielu ekskluzywnych domach, lecz Aldringham wszystkie je przewyższało.

Elizabeth i James skierowali się ku georgiańskiej oranżerii przylegającej do głównego budynku. W przepelnionej zapachem cytryn cieplarni znaleźli dzbanek domowej lemoniady, pozostawiony tam dla nich przez gospodynię, panią Hutchins. James opadł zmęczony na najbliższe krzesło, z zadowoleniem przyglądając się, jak Elizabeth nalewa lemoniadę. Podała mu szklankę i usiadła naprzeciw, wyglądając w każdym calu jak młoda dama.

W wieku siedemnastu lat była dziewczęciem bystrym, zrównoważonym i żądnym rywalizacji. Czy to na korcie, czy w klasie ekskluzywnej szkoły z internatem — wszędzie musiała być najlepsza. Posągowa blondynka, nie była właściwie piękna — przeszkadzały w tym nieco za długi nos i zbyt spiczasta broda — ale zdecydowanie atrakcyjna, w ten z lekka arogancki, niewzruszony sposób. Było w niej coś — chłodna pewność siebie, opanowanie — niezwykle u osoby w tym wieku. Jamesowi nietrudno było wyobrazić ją sobie w łóżku, rzucającą rozkazy jakiemuś nieszczęsnemu chłopakowi i odmawiającą zadowolenia się czymś pośledniejszym niż doskonały orgazm. Ta myśl sprawiła, że się uśmiechnął.

Elizabeth odpowiedziała uśmiechem.

— Co za paskudne myśli chodzą ci po głowie?

Zignorował niepojętą zdolność czytania w jego umyśle i zamiast odpowiedzieć, zadał pytanie, które prześladowało go przez całe popołudnie.

— Prawdę mówiąc, zastanawiałem się, kiedy przyjedzie twoja przyrodnia siostra. Pojawi się tu dzisiaj, prawda?

Wyraz twarzy Elizabeth nie zmienił się. — Owszem — odparła neutralnym tonem.

James był rozczarowany, choć nie zaskoczony tym, że dziewczyna nie zechciała się przed nim odsłonić. Przeczytał o nieślubnej córce Melville'a w tabloidach, jak wszyscy. Dla Elizabeth musiało to być trudne — wiedział, iż bardzo szanuje ojca. Jak dotąd nie zdradziła, co czuje w związku z pojawieniem się nowego członka rodziny. Była doprawdy niebywale opanowana.

Nim zdążył zapytać o coś jeszcze, na stół padł cień. Podniósł wzrok i zobaczył Williama Melville'a. Stał nad nimi, ubrany w strój weekendowy: starannie wyprasowane bawełniane spodnie, zapinaną na guziki koszulę i skórzane mokasyny. Nieoficjalny ubiór nie sprawiał bynajmniej, że wyglądał choć trochę mniej onieśmialająco.

— Tatuś! — Elizabeth rozpromieniła się i widać było, że uwielbia ojca.

— Caitlin zaraz tu będzie, Elizabeth. Powiedziałem waszej matce, by czekała wraz z Amber w salonie o czwartej. Spodziewam się, że ty także tam będziesz.

Uśmiech znikł z twarzy Elizabeth jak zdmuchnięty. — Oczywiście — odparła. — Skończyliśmy jednak dopiero co mecz i muszę wziąć prysznic.

— Zatem się pośpiesz — rzucił William zniecierpliwiony. — Caitlin należy teraz do rodziny i życzę sobie, byśmy powitali ją w komplecie.

Elizabeth spuściła wzrok.

— Tak, tatusiu.

Zostało to powiedziane tonem niemal przeprasającym, nie zmyliło jednak Jamesa nawet na sekundę. Dostrzegł na twarzy Elizabeth przebłysk emocji, kiedy patrzyła w ślad za ojcem zmierzającym na powrót ku domowi. Uznał, że była w tym spojrzeniu irytacja. Może

nawet gniew. Pozostały lani przez sekundę, a potem znikły. Gdyby nic znał jej tak dobrze, pewnie nic by nie zauważył.

— Obawiam się, że muszę cię opuścić, Jamesie — powiedziała jak gdyby nigdy nic. — W przyszłym tygodniu rozegramy jednak na pewno rewanż.

— Kiedy zechcesz — powiedział, żałując, iż nie może pozostać w pobliżu i przekonać się na własne oczy, jak też wygląda ów najnowszy dodatek do rodziny.

Tymczasem Isabelle Melville patrzyła z okna sypialni na piętrze, jak starsza córka podąża za ojcem do domu. Wiedziała, dlaczego William poszedł po Elizabeth. A także to, że powinna zejść i do nich dołączyć. Potrzebowała jednak kilku chwil, by się uspokoić i zapanować nad uczuciami.

Podeszła do toaletki i spojrzała w lustro, zastanawiając się, czy powinna zrobić sobie makijaż, a jeśli tak, to jaki. W wieku czterdziestu dwóch lat nadal była atrakcyjną kobietą. Dzięki delikatnej budowie, jasnej karnacji i urodzie „angielskiej róży” nie starzała się szybko. Wokół oczu i ust pojawiło się już co prawda kilka zdradzieckich zmarszczek, ale przestała je maskować, uznawszy, iż dodają nieco charakteru pięknej co prawda, lecz pozbawionej wyrazu twarzy.

Po chwili uznała, że najlepiej postawić na naturalność — trochę nawilżającego podkładu i odrobina błyszcząka załatwią sprawę. Taki makijaż pasował do kremowej lnianej garsonki, którą wybrała na tę okazję. Uznała ten strój za najodpowiedniejszy, był bowiem elegancki, lecz niezbyt oficjalny. Choć z drugiej strony, czy ktoś wiedział, jak należałoby się ubrać, aby powitać w rodzinie nieślubną córkę męża?

Na szczęście dla siebie nieskłonna była popadać w zgorzknienie. Osoba mniejszego formatu mogłaby protestować przeciwko temu, by dziecko innej kobiety zamieszkało w jej domu. Isabelle pogodziła się z sytuacją bez słowa protestu, przejęta współczuciem wobec biednej dziewczyny, która straciła właśnie matkę. Zapewne pomogło jej to, że z upływem lat jej więź z Williamem zmieniła się w przyjaźń. Zresztą nigdy nie łudziła się, że ich małżeństwo zawarte zostało z miłości — a już na pewno nie przez Williama.

Isabelle znalazła Williama przez całe swoje życie. Jej ojciec - jeden z głównych dostawców bawełny dla McIlvillea — był bliskim przyjacielem matki Williama, Rosalind, i rodziny często się spotykały. Isabelle dorastała zafascynowana Williamem i otaczającą go aurą tajemniczości. Dla trzynastolatki atrakcyjny, dobrze ubrany i pewny siebie dwudziestojednoletni student Cambridge stanowił obiekt młodzieńczych westchnień.

Zanim skończyła osiemnaście lat, była już w nim prawie zakochana. William nie poświęcał jej zbyt wiele uwagi — uważał, że jest głupiotką i powierzchowną. Były lata sześćdziesiąte i wiele jej przyjaciółek, idąc z duchem czasu, kształciło się, by zostać lekarzami, prawnikami czy robić karierę w biznesie. Isabelle nie miała takich ambicji. Największym osiągnięciem w jej życiu był jak dotąd udany debiut — w czasach, gdy nie znaczyło to zbyt wiele. Zdawała sobie sprawę, że William, który już wtedy był bardzo poważnym młodym człowiekiem, uważa ją za okropnie niemądrą.

Wszystko zmieniło się w roku, kiedy skończyła dwadzieścia trzy lata. Podczas urodzinowego balu William po raz pierwszy szukał jej towarzystwa, tańczył z nią i poświęcał uwagę w sposób, jakiego nie pamiętała. Wcześniej z pewnością tak się nie zachowywał. Tego lata towarzyszył jej podczas największych imprez sezonu — wyścigów konnych w Henley i Ascot, motorowych w Goodwood czy festiwalu operowego w Glyndebourne. Wtedy Isabelle wolała nie dociekać, dlaczego zmienił wobec niej nastawienie. Łatwiej było założyć, że wydorosła w jego oczach i w końcu zobaczył ją taką, jaka naprawdę jest. Teraz, spoglądając wstecz, widziała, że to Rosalind, jej budząca podziw i grozę teściowa, zachęcała syna, aby zabiegał o względy Isabelle. Uznała bowiem, że ładna, potulna dziewczyna, na dodatek jedyna dziedziczka fabryk ojca, doskonale nadawałaby się na żonę dla Williama.

Powody, dla których William zadośćuczynił życzeniu matki, nie wydawały się już tak oczywiste. Lata pomiędzy dwudziestym a trzydziestym rokiem życia minęły mu na romansowaniu z coraz to innymi, nieodmiennie długonogimi modelkami. Oprawdzał je po nocnych klubach, takich jak Tramp i Annabel's, lecz żadnej nie udało się zainteresować go na dłużej. Isabelle podejrzewała, iż uznał w końcu,

że nie jest w stanie się zakochać, a skoro tak, mógł się przynajmniej dobrze ożenić. Jakiegokolwiek kierowały nim motywy, oświadczył się Isabelle jesienią roku 1971. Ona zaś uszczęśliwiona, że w końcu go dostała, pośpiesznie się zgodziła.

Gdy spoglądała teraz wstecz, uświadamiała sobie, że czuła się nieszczęśliwa na długo przed tym, nim William nawiązał romans. Samotność zaczęła dokuczać jej już w pierwszym roku małżeństwa. Uziemiona przez cały tydzień w Aldringham, czekała z rosnącym podekscytowaniem na piątek, by zostać wezwaną w ostatniej chwili do telefonu i usłyszeć, że w biurze wynikła pilna sprawa i William nie będzie mógł przyjechać.

— Postanowiłem zostać na weekend w Londynie. Nie przeszkadza ci to za bardzo, prawda?

— Nie, oczywiście, że nie — odpowiadała dzielnie, ignorując uczucie głębokiego zawodu, jakie ogarniało ją na myśl o tym, że będzie musiała spędzić bez męża kolejny weekend.

Oczywiście miała wiele przyjaciółek — podobnych do niej kobiet, które poznała, zasiadając w komitetach organizacji dobroczynnych. U nich jednak zawsze wiele się działo.

— Teraz, kiedy mam dzieci, chętnie oglądam plecy Tima w poniedziałkowy ranek — wyznała pewnego dnia jedna z jej szkolnych przyjaciółek, Penelope Whitton. I tak na świat przyszła Elizabeth, w stosowne osiemnaście miesięcy po tym, jak Isabelle i William się pobrali.

Pojawienie się dziecka niczego jednak nie zmieniło. Dalej czuła się samotna. William rzadko wracał na weekend do Aldringham, zaś opieka nad córką nic była w stanie wypełnić, jak miała nadzieję, pustki w życiu Isabelle. Tym bardziej że Elizabeth zdawała się woleć ojca od matki i wręcz go uwielbiała.

— Tatuś szybko przyjedzie? — pytała z nadzieją, gdy tylko nauczyła się mówić, a jej mała twarzyczka rozpromieniała się, gdy słyszała, że tak właśnie będzie. W niedzielne wieczory, po tym jak William wyjeżdżał, płakała rozpaczliwie godzinami i trudno było ją uspokoić. Po raz kolejny Isabelle została pozostawiona sama sobie z poczuciem, że do niczego się nic nadaje. Pamiętała, że kiedy dowiedziała się o romansie Williama, poczuła się zraniona, ale nie zasko-

czona. Powiedziała jej o tym, niby przypadkiem, Penelope. Natknęła się na Williama, gdy była w Londynie. — Oczywiście zawołałam go, kochanie, lecz chyba nie usłyszał — opowiadała, a potem dodała, że był widać zbyt zaabsorbowany rozmową ze swoją towarzyszką... z dziewczyną. — Nie znam jej — dodała, przyglądając się uważnie Isabelle, by sprawdzić, jak zareaguje — lecz była młoda. Straszliwie młoda... i ładna.

Oczywiście miało to sens. W głębi duszy zdawała sobie sprawę, że jej mąż kogoś ma — w końcu podczas długiego gorącego lata roku 1974 prawie nie pokazywał się w domu, a kiedy już się pojawiał, i tak z nią nie sypiał. Poczowała niemalże ulgę, wiedząc, że jego oddalanie się miało konkretny powód.

Lecz nawet gdy romans się skończył — wyczuła, że stało się to w kilka miesięcy później — sprawy nie uległy poprawie. Przyjeżdżał co prawda częściej, lecz wszystko co robiła, zdawało się go irytować. Nie była pewna, czy właśnie to stanowiło ostatnią kropkę. W końcu nie była szczęśliwa już przedtem. Pod koniec roku 1975 pojawiły się jednak epizody. Napady zaczynały się dość niewinnie, od zimnych potów. Lecz potem jej dłonie zaczynały się trząść, pierś się zaciskała i ledwie była w stanie oddychać.

Za poradą Penelope poszła na wizytę do dyskretnego młodego lekarza z Harley Street. Wysłuchał ze współczuciem opisu objawów, zbadał ją dokładnie i powiedział, że jego zdaniem Isabelle doświadcza ataków paniki.

— Wszyscy narażeni jesteśmy na stres, pani Melville, lecz każdy organizm radzi sobie z nim inaczej. Niektórzy potrzebują większej pomocy niż inni. — Zaczął wypisywać receptę. — Mnóstwo kobiet w pani sytuacji przekonało się, że lek pomaga im przetrwać trudny okres w życiu.

Wydarł receptę z bloczka i podał Isabelle. Spojrzała i przeczytała, że przepisał jej valium.

Zalecił, by przyjmowała pigułkę, ilekroć poczuje, że zbliża się atak i wróciła po miesiącu, by mógł sprawdzić, czy kuracja skutkuje.

Gdy obudziła się następnego ranka i poczuła znajomy ucisk w piersi, sięgnęła do szuflady nocnego stolika i wyjęła buteleczkę.

Jedna biała tabletką wystarczyła, by sprowadzić błogi spokój. Dla Isabelle był to cud.

Nie powiedziała Williamowi o wizycie u doktora Haywarda, ani o tabletkach. Czuła, że by tego nie zaaprobował. Tymczasem, chociaż William nie wiedział, co go spowodowało, rezultat kuracji wielce go zadowalała. — Cieszę się, że już ci lepiej, Isabelle — powiedział w wigilię Bożego Narodzenia, gdy przyglądali się, jak Elizabeth wiesza swoją pończochę.

Uśmiechnęła się, cokolwiek oszołomiona. Ostatnio tabletki nie były już tak skuteczne, doktor zalecił więc, by zwiększyła dawkę. Z początku trochę ją to martwiło, lecz teraz widząc, jak zadowolony jest William, uznała, że postępuje słusznie.

W ciągu kilku następnych miesięcy przeszła z pigułek białych na żółte, a potem na niebieskie. Może i była czasem trochę senna i odrobinę dezorientowana, a jej reakcje spowolnione, lecz obezwładniający niepokój zniknął.

A potem pewnego dnia Elizabeth, niespełna pięcioletnia, wróciła do domu ze szkoły i znalazła matkę nieprzytomną. Choć była tak mała, wyczuła, że coś jest bardzo nie w porządku i zawołała gospodynię. Wezwano karetkę i powiadomiono Williama. Wrócił pospiesznie z Londynu. Potem, po kilku poważnych rozmowach, Isabelle spędziła kilka tygodni w prywatnej klinice.

A kiedy po sześciu miesiącach oznajmiła, że jest w ciąży, nikt nie był tym szczególnie zdziwiony. Niektórzy ludzie sprowadzają na świat dzieci po to, by uratować małżeństwo; ona zrobiła to, by uratować siebie.

Jeśli Elizabeth była córeczką tatusia, z Amber od początku sprawa miała się inaczej. Podczas gdy pierwsze dziecko otrzymało imię po babce Williama ze strony matki, tej córce Isabelle wybrała imię sama.

Rosalind była przerażona. — Amber? Nie słyszałam o tak idiotycznym imieniu. Czemu nie Anna albo Amanda? Coś bardziej sensownego.

Jednak ten jeden raz William postanowił ustąpić żonie. — Takie imię wybrała i nie życzę sobie, byś ją niepokoiła — powiedział z niezwykłą u niego stanowczością.

Amber okazała się być dla Isabelle idealną córką, i to pod każdym względem. Nawet wyglądała jak matka — z białymi loczkami i mleczno-brzoskwiniową cerą sprawiała wrażenie o wiele bardziej delikatnej niż jej krzepka starsza siostra. W przeciwieństwie do Elizabeth nie była silna i niezależna — od początku potrzebowała Isabelle. Gdy jakiś chłopak popchnął ją na placu zabaw, biegła z krzykiem do mamy, podczas gdy Elizabeth po prostu stawiałaby mu czoło i popchnęła mocniej. Z Amber Isabelle mogła robić wszystkie te rzeczy, które nie interesowały Elizabeth: chodzić po sklepach, plotkować, rozmawiać o kłótniach z przyjaciółkami i rozpadających się przyjaźniach.

Od narodzin Amber przed jedenastoma laty w domu Melville'ów zapanowała swego rodzaju równowaga. Isabelle nic nie była pewna, czy może powiedzieć o sobie, że jest szczęśliwa, odzyskała jednak spokój.

A potem w ich życiu pojawiła się na powrót Katie O'Dwyer.

Isabelle nadal nie była w stanie gniewać się na Williama. Widziała, jak bardzo poruszył go list Katie. Jak cierpiał na myśl o wszystkich tych latach, których nie spędził z nią i jej dzieckiem. Wiedziała, że boli go, iż nie zdołał zobaczyć się z Katie, zanim umarła. Pocieszała też męża najlepiej, jak umiała. Miała świadomość, że nie jest i nigdy nie będzie miłością życia Williama. Lecz była jego przyjaciółką, zaufaną osobą, jedyną, która widywała go w chwilach słabości, i to jej wystarczało.

A teraz, za pół godziny, pojawi się tu jej pasierbica. Nie protestowała, kiedy William postanowił, że dziewczyna zamieszka z nimi, wiedziała także, iż zrobi, co tylko będzie mogła, by Caitlin czuła się u nich jak w domu. Jednak mimo iż była tak wyrozumiała, nie potrafiła pozbyć się złych przeczuc. Obecność Caitlin zmieni wszystko, a nie była wcale pewna, czy będą to zmiany na lepsze. Zwłaszcza dla Elizabeth, uwielbiającej ojca bezgranicznie i tak bardzo rozczarowanej tym, co zrobił.

Elizabeth stała przed północną fasadą budynku, przyglądając się, jak motocykl Jamesa oddala się podjazdem. Dopiero kiedy zupełnie zniknął jej z oczu, pozwoliła, by sztuczny uśmiech znikł jej z twarzy.

Boże, nie mogła znieść myśli o tym, co czeka ją tego popołudnia. Już to, że dowiedziała się o wyskoku ojca, było dostatecznie okropne. Lecz to, że postanowił sprowadzić dziewczynę do ich domu, by przypominała im nieustannie o jego słabości, było jeszcze gorsze. Fakt, że ojciec tak bardzo przejmował się nią i robił tyle zamieszania, irytował Elizabeth nieskończenie — głównie dlatego, że całe jej życie było nieustającą walką o to, by zwrócić na siebie jego uwagę. Walką, którą przegrywała od dnia narodzin.

Caitlin dorastała w domu pełnym miłości, choć pozbawionym pieniędzy, zaś doświadczenia Elizabeth były skrajnie różne. Pod względem materialnym nigdy niczego jej nie brakowało. Przyszła na świat otoczona iście królewską opieką, poród odbył się bowiem w prywatnym skrzydle londyńskiego szpitala St.Mary, pod okiem światowej sławy profesora ginekologii i położnictwa. Jedynym, chociaż decydującym elementem, którego zabrakło w tej scenie, był dumny ojciec.

— Zatrzymano mnie w Nowym Jorku — powiedział wyczerpanej, zapłakanej Elizabeth przez telefon. Pojawił się na scenie dzień później, niż jego pierworodna i to beztrioskie zaniedbanie określiło ton późniejszych stosunków pomiędzy ojcem a córką.

Elizabeth dorastała otoczona przywilejami i zbytkiem, jaki mogą zapewnić pieniądze. Co rok nowy wierzchowiec, lekcje tenisa ze znanym tenisistą i jazdy na nartach pod okiem instruktora z medalem olimpijskim. Brakowało jej tylko jednego, tego, za czym tak bardzo tęskniła: uwagi ojca. Młodej dziewczynie jawił się jako tajemnicza postać, nieosiągalna i przez to fascynująca. Zrozumiała też bardzo wcześnie, że jest kimś ważnym, niezwykle zajęтым prowadzeniem rodzinnych interesów.

— Tatuś musi pracować — usprawiedliwiała męża Isabelle, gdy nie pojawił się na kolejnym uwieczonym sukcesem koncercie kolęd albo występie baletowym. Elizabeth nie traciła jednak nadziei, że kiedyś przyjdzie i ją doceni.

Dziewczynie rażący brak zainteresowania ze strony ojca wydawał się zawsze równie zagadkowy jak bolesny. Od wczesnego dzieciństwa miała świadomość, że jest jego pierworodnym dzieckiem, to zaś oznaczało, że odziedziczy pewnego dnia pakiet kontrolny udziałów w ro-

dzinnej firmie. Coś takiego powinno być przecież dla niego ważne? Jej babka i wujek Pierś, młodszy brat ojca, z pewnością świata poza nią nie widzieli — poświęcając Elizabeth o wiele więcej uwagi niż jej młodszej siostrze, Amber. Co zatem robiła źle, że ojciec był wobec niej tak obojętny?

Boże, tak bardzo go kochała — i tak tęskniła za jego aprobatą! Pragnęła sprawić, żeby był z niej zadowolony, uznał za godną tego, by mogła przejąć po nim pewnego dnia firmę — zareagowała więc na brak zainteresowania, stając się przesadnie ambitna. Dla Elizabeth drugie miejsce oznaczało porażkę. Nawet jeśli nie miała do czegoś talentu, pracowała ciężko, by stać się najlepszą. Nic nie mogło przeszkodzić jej w zdobyciu tego, co sobie zamierzyła. Kiedy miała zaledwie dziesięć lat, spadła z konia, próbując przeskoczyć nowy parkan. Stajenny podbiegł przestraszony.

— Nic się panience nie stało?

Lecz Elizabeth zdążyła już wstać. — Po prostu pomóż mi wsiąść — powiedziała, trzymając wodze w dłoni. Dopiero gdy przeskoczyła nieszczęsne ogrodzenie, pozwoliła, aby obejrzał jej ramię, fioletowe teraz i spuchnięte — a także złamane w trzech miejscach.

Ta determinacja przejawiała się w każdym aspekcie życia Elizabeth — nawet w jej wyglądzie. Używała drogich kosmetyków, aby podkreślić urodę, i szybko odkryła, jakie stroje uwydatniają zalety jej figury. Co sześć tygodni pojawiała się w luksusowym salonie fryzjerskim w Chelsea, gdzie rozjaśniano jej mysiobrazowe włosy na złoty blond. Godziny spędzane na uprawianiu sportu nadały smukłej figurze Elizabeth właściwy kształt, mięśniom napięcie, a skórze opaleniznę. Jej wygląd stanowił efekt wysiłku i ciężkiej pracy, Elizabeth to jednak nie przeszkadzało. Nic, o co warto zabiegać, nie przychodzi łatwo, brzmiało jej motto. Właśnie tego rodzaju nastawienie pozwalało jej nieustająco zwyciężać. Była najlepszą uczennicą w swojej klasie w Greycourt, wybieraną jednogłośnie na przewodniczącą. Spodziewano się powszechnie, że po Bożym Narodzeniu otrzyma propozycję studiowania w Cambridge. Wszystko w jej życiu układało się doskonale, póki ojciec, osoba, którą poważała i ceniła najbardziej, tak strasznie jej nie zawiódł. Co gorsza, inaczej niż w większości aspektów jej życia, nie

mogła poradzić nic na to, że skonfrontowano ją ze skutkami jego słabości.

Westchnąwszy z rezygnacją, weszła do domu i ruszyła schodami na piętro. Kiedy znalazła się w połowie korytarza, zauważyła, że drzwi do jej pokoju stoją otworem. Zmarszczyła brwi pewna, że zamknęła je, wychodząc — to zaś mogło oznaczać tylko jedno. Amber, pomyślała, przyśpieszając.

I rzeczywiście, zastała siostrę stojącą przed toaletką, na której leżała otwarta zabytkowa szkatułka z biżuterią.

— Amber! — zawołała i dziewczynka spojrzała na nią z poczuciem winy. — Nie mówiłam ci, że masz zapytać, nim zaczniesz grzebać w moich rzeczach?

— Chciałam — odparła Amber cokolwiek rozdrażniona. — Szukałam jednak i szukałam, lecz nigdzie nie mogłam cię znaleźć. Pomyślałam, że nie będziesz miała nic przeciwko temu...

Elizabeth słyszała już te wykręty, i to nie raz. Podeszła i zatrzasnęła wieczko ręcznej roboty szkatułka z kości słoniowej, datowanej na dziewiętnasty wiek. Dostała ją od babki Rosalind na ostatnie rodziny, wraz z kilkoma sztukami biżuterii. Szkatułka i biżuteria miały dla Elizabeth wartość nie tylko materialną, lecz przede wszystkim sentymentalną, dlatego zabroniła siostrze ich dotykać. Nie powstrzymało to jednak Amber.

— Oddaj mi je — powiedziała, wskazując sznur pereł, który siostra zdążyła zawiesić sobie na szyi.

Sięgnęła po naszyjnik, lecz Amber także go chwyciła. Przez chwilę szamotały się, ciągnąc perły w przeciwnych kierunkach. Nagle sznur pękł, a perły rozsypały się po wypolerowanej podłodze.

— Och, na miłość boską! — krzyknęła Elizabeth. — Spójrz tylko, co się stało. Przyklękła i zaczęła zbierać perły. — Chodź, Amber, możesz przynajmniej mi pomóc.

— To nic moja wina — powiedziała Amber drżącym głosem.

— Oczywiście, że nie — wymamrotała Elizabeth. — Nigdy nie jest. — Spojrzała na siostrę. — Zaczekaj tylko, aż powiem babci.

Usłyszawszy to, Amber uderzyła w płacz.

— Dziewczęta? Co tu się dzieje?

Elizabeth i Amber podniosły wzrok i zobaczyły matkę. Nim Elizabeth zdążyła cokolwiek wyjaśnić, Amber wybiegła z pokoju, zawodząc głośno.

— Amber! — zawołała Isabelle, lecz córka się nie zatrzymała. Po chwili usłyszały odgłos zamykanych z hukiem drzwi.

Isabelle spojrzała z przyganą na starszą córkę. — Co się u licha dzieje z Amber?

— Dramatyzuje. Jak zwykle. Powiedziała matce o zerwanym naszyjniku.

— Cóż, wygląda mi to na wypadek — zauważyła Isabelle z wahaniem.

Elizabeth nawet nie próbowała ukryć, jak bardzo jest zła. — Wypadek! Dobrze wiesz, że nie powinna grzebać w moich rzeczach.

Po co w ogóle zadaję sobie trud, pomyślała. Matka przymyka oczy na wszelkie przewinienia Amber. Trzy nianie powtarzały jej, że jest zbyt pobłażliwa wobec rozpuszczonej córki. — Kiedyś będzie pani miała z nią nie lada problemy — ostrzegła pracodawczynię ostatnia. — Nie powinno się pozwalać, by czuła, iż może przyciągnąć pani uwagę, robiąc sceny.

Elizabeth zgadzała się z nią całym sercem, lecz Isabelle nie brała ostrzeżeń poważnie, pozwalając córce malować się i nosić stroje nieodpowiednie dla dziewczynki w jej wieku, nie zważając na to, co mówi William.

Isabelle zniżyła głos. — Proszę, Elizabeth. Wiesz, że to... cała ta sytuacja nie jest dla niej łatwa.

— Nie jest łatwa dla żadnej z nas, czyż nie, mamo?

Czekała przez chwilę na odpowiedź, a kiedy ta nie padła, westchnęła cicho. Na tym polegał problem z matką — była słaba. Zawsze szła po linii najmniejszego oporu. Na przykład godząc się na to, by Caitlin O'Dwyer zamieszkała w ich domu. Elizabeth nie rozumiała, dlaczego matka nie powiedziała po prostu „nie”, dowodząc, że to nie w porządku wobec niej i dwóch ślubnych córek. Zamiast tego ustąpiła, jak zwykle bez walki. Jaka kobieta zostaje z mężczyzną, który aż tak ją upokorzył?

Westchnęła znowu, zniecierpliwiona. — Jeśli nie masz do mnie żadnej sprawy, może zostawiłabyś mnie, bym mogła wziąć prysznic?

— Tak, oczywiście. — Isabelle spojrzała na zegarek. — Lepiej się pośpiesz. Caitlin...

— ...wkrótce tu będzie — wtrąciła Elizabeth. — Wiem.

Widać było, że pogardliwy ton, jakim zostało to powiedziane, sprawił Isabelle przykrość.

— Cóż, lepiej cię zostawię — powiedziała jednak spokojnie.

Elizabeth już miała rzucić kolejną niemłą uwagę, ale powstrzymał ją dobiegający z zewnątrz odgłos kół samochodu zatrzymującego się na zwirowanym podjeździe. Obie, matka i córka, odwróciły się instynktownie ku oknu. Cholera, pomyślała Elizabeth. Nie zdąży wziąć prysznicza i się przebrać. Tamta już tu jest.

Rozdział trzeci

— Panienko? — Perkins zerknął we wsteczne lustro. Dziewczyna siedziała zatopiona w myślach, wpatrując się z nieobecną miną w krajobraz za oknem. I tak od trzech godzin. Skulona przy drzwiach, wydawała się niezwykle młoda i tak bardzo smutna. Niemal czuł się zakłopotany, że musi jej przeszkodzić.

— Panienko? — powtórzył, podnosząc nieco głos.

Tym razem usłyszała, podskoczyła bowiem i zwróciła na niego puste spojrzenie niebieskich oczu.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, panienko Caitlin. Pomyślałem jednak, że chciałaby panieka wiedzieć — oto i Aldrigham.

Wskazał kierunek, ciekaw jej reakcji. Większość ludzi, nawet wielce światowych i wyrafinowanych, wzdychała mimo woli, widząc Aldrigham po raz pierwszy. Położone na grzbiecie wzgórza, dominowało zdecydowanie nad okolicą. Bogata wiejska posiadłość, zbudowana w dominującym w osiemnastym wieku stylu neoklasycznym, przypominała rzymski pałac, najpiękniejszy o tej porze dnia, gdy słońce padało wprost na fasadę z białego marmuru. Perkins nie mógłby dotrzeć tu w lepszym momencie, choćby nic wiem jak się starał.

— Robi wrażenie, prawda? — zagaił.

Caitlin nie odpowiedziała. Nie to, że chciała być niegrzeczna, nie obchodziło jej jednak zupełnie, jak wygląda jej przyszły dom. Ani trochę o to nie dbała. Jak mogłaby, skoro znalazła się tutaj jedynie z powodu tego, co przydarzyło się jej mamie? Łzy napłynęły jej do oczu, więc pośpiesznie je otarła. Obiecała sobie, że nie będzie płakać. A już na pewno, póki nie zostanie sama.

Od pogrzebu minelo sześć tygodni. Wszyscy powtarzali jej, że z czasem ból zelżeje. Co oni wiedzieli? Nie mieli pojęcia, jak to jest, obudzić się rano i zastanawiać, czy jest sens wstać; czuć się tak przygnębionym, że trudno było wykrzesać z siebie dość energii, by ubrać się lub zjeść posiłek.

Dzięki ci, Boże, za ciotkę Nualę, pomyślała. Przyjaciółka matki trwała przy niej niezachwianie przez cały ten trudny okres. Rozumiała ją jak nikt inny. Dostrzegała, jak bardzo Caitlin czuje się zdezorientowana tym, że matka okłamywała ją co do Williama. Widziała miotające nią na przemian gniew i pogardę, tak bardzo niezgodne z naturą dziewczyny, że aż ją to przerażało, i nadchodzące po nich poczucie winy oraz żal spowodowany tym, że mogła myśleć źle o mamie.

— To niełatwe, dowiedzieć się, że osoba, którą kochasz, ukrywała coś przed tobą — powiedziała kiedyś. — Zwłaszcza coś tak poważnego. Lecz twoja mama miała powody, by tak postąpić. Robiła to, co uważała za najlepsze dla ciebie. Musisz też pamiętać, że bardzo cię kochała.

Może nie sprawiło to, że Caitlin poczuła się dużo lepiej, trochę jednak pomogło.

I tylko Nuala zdawała się rozumieć, że choć minione sześć tygodni było okropne, najgorsze miało dopiero nadejść: musiała opuścić Valleymount. Pożegnać znajomych ludzi i miejsca — to jakby zerwać ostatnią więź łączącą ją z matką. W dzień przed wylotem wróciła wraz z Nualą do domu, spakować to, co jeszcze się tam znajdowało. Caitlin nie była jednak w stanie przejrzeć rzeczy matki, Nuala zaoferowała się więc, że zrobi to sama.

— Wiem, co chciałaby, abyś zatrzymała — powiedziała łagodnie.

Rankiem odwiozły ją z Róisín na lotnisko w Dublinie.

— Zadzwoń i powiedz, kiedy będę mogła cię odwiedzić — powiedziała na pożegnanie Róisín, uściskawszy po raz ostatni przyjaciółkę. Nie była w stanie pojąć, dlaczego Caitlin nie czuje się bardziej podniekcytowana tym, że zacznie wkrótce nowe życie z bogatą rodziną. Jej bowiem wydawało się to o wiele bardziej wspaniałe aniżeli bezbarwna egzystencja w Valleymount.

I to Nuala, bardziej świadoma obaw Caitlin, powiedziała: Jeśli będziesz się tam czuć nieszczęśliwa, daj mi znać. Wykombinujemy coś, byś mogła wrócić i zamieszkać z nami.

Caitlin ledwie zdążyła zapewnić ciotkę, że da sobie radę, kiedy pojawiła się opiekunka z Aer Lingus, by zaprowadzić ją do samolotu.

Reszta podróży minęła jak we mgle. Kierowca Melville'ów odebrał ją z lotniska i zaniósł bagaże do czarnego smukłego samochodu. Potem jechali przez trzy godziny autostradą, a Caitlin przyglądała się, jak miasto przechodzi z wolna w przedmieścia, a po nich w pofalowany angielski krajobraz... póki Perkins nie wskazał jej Aldringham.

— Wkrótce będziemy na miejscu — powiedział. Tymczasem minęło jeszcze piętnaście minut, zanim skręcili

w prywatną drogę prowadzącą do posiadłości. Elektronicznie sterowana brama otwarła się bezszelestnie i Bentley wjechał na kręty podjazd obrzeżony wielkimi cedrami. Poprzez pokryte bujnym listowiem gałęzie dostrzegła fragmenty gruntów: pięćdziesiąt akrów rosnącego swobodnie parku wznoszącego się ku oficjalnym, wypielegnowanym ogrodom z tyłu domu.

Zadrżała, zdjeta nagłym lękiem. Choć sprawy w Valleymount nie układały się dobrze od miesięcy, otaczali ją tam przyjaciele tacy jak Nuala, troszczący się o nią i o jej matkę. Teraz miała zamieszkać w domu pełnym obcych.

William czekał, by ją powitać. Wydawał się w każdym calu tak onieśmielający, jakim go zapamiętała. Gdy dorastając, rozmyślała czasami o tym, jak mógł wyglądać jej ojciec, wyobrażała sobie, że był podobny do taty Róisín: mężczyzny prostego, łagodnego i dobrze znanego. William Melville taki nie był. Ze swym nieskazitelnym akcentem i sztywnym sposobem bycia wydał jej się pełen rezerwy i nieprzystępny. Z trudem mogła uwierzyć, że są spokrewnieni.

Stała skrepowana, kiedy pochylił się, by pocałować ją w policzek.

— Witaj w Aldringham, Caitlin.

Odwrócił się do zadbanej kobiety stojącej nieco z tyłu. Ubrana w drogą kremową garsonkę, z jasnymi włosami splecionymi starannie we francuski warkocz, wyglądała niezwykle elegancko.

— To moja żona, Isabelle.

Caitlin poczuła, że ogarnia ją zdenerwowanie. Spodziewała się wrogości, tymczasem Isahclle ją zaskoczyła. Podeszła bowiem, nie zachęcana przez męża, i ją objęła.

— Cieszymy się, że jesteś z nami — powiedziała łagodnie i zaskakująco szczerze.

William skinął głową, ewidentnie zadowolony.

— Wejźmy do domu. Córki czekają, by cię poznać.

Hol był w każdym calu tak imponujący, jak Caitlin sobie wyobrażała, z podłogą z kamiennych płyt, dębową boazerią i wspaniałą klatką schodową. Nie miała jednak czasu się rozejrzeć, gdyż William poprowadził ją przez labirynt długich mrocznych korytarzy. Próbowwała zapamiętać drogę powrotną do holu, lecz w końcu się poddała.

Idąc, zastanawiała się, jakie też będą Elizabeth i Amber. Dorastając, marzyła o braciach i siostrach. Nie była jednak pewna, czy zdoła dogadać się z dziewczętami wychowanymi w miejscu takim jak to. Doszli wreszcie do salonu. William pchnął ciężkie mahoniowe drzwi, a Caitlin rozciągnęła wargi w przyjaznym uśmiechu, mając nadzieję, że jej obawy okażą się bezpodstawne. Niestety, tak się nie stało. Twarze dziewcząt wyrażały bowiem niechęć i urazę.

— To jest Elizabeth — William wskazał wyniosłą blondynkę, siedzącą ze sztywno wyprostowanymi plecami i skrzyżowanymi skromnie nogami na wyściełanej aksamitem kanapie.

Caitlin poczuła się zarazem onieśmielona i zazdrosna. Nie mogła uwierzyć, że Elizabeth ma zaledwie siedemnaście lat, czyli jest od niej tylko o dwa lata starsza. Wydawała się tak... wyrafinowana. Przyglądała niesforne, bujne loki, zawstydzona niezbyt starannym strojem i wyglądem.

— Cześć, Elizabeth. — Uśmiechnęła się niepewnie. — Miło cię poznać. Elizabeth uśmiechnęła się chłodno. — Mnie także. — W wypowiedzianych staranną angielszczyzną słowach nietrudno było usłyszeć ton sarkazmu.

Uśmiech Caitlin zbladł. Elizabeth nie sprawiała wrażenia, jakby zamierzała powiedzieć coś więcej. Wpatrywała się po prostu w Caitlin, odrzuciwszy do tyłu długie jasne włosy gestem wyrażającym jawne lekceważenie. Z Amber sprawa miała się inaczej. O ile Elizabeth

wydawała się wroga, jej młodsza siostra przejawiała absolutny brak zainteresowania nowo przybyłą. Gdy tylko się przywitała, spytała, czy może odejść.

— Oczywiście, że nie — odparła Isabelle, rzucając Caitlini przeprasające spojrzenie. — Caitlin dopiero przyjechała.

Amber się nadała. Caitlin nie mogła uwierzyć, iż nikt z dorosłych jej nie zganił. Gdy była w wieku Amber, tak niegrzeczne zachowanie nie uszłoby jej bezkarnie. Tylko że Amber nie przypominała żadnej znanej Caitlini jedenastolatki. Była pięknym dzieckiem o porcelanowej cerze, a śliczne, niemal białe loczki nadawały jej wygląd cherubinka. Lecz naturalne piękno zostało zepsute, gdyż dziewczynka ubrana była i umalowana jak dorosła. Letnia sukienka bez ramiączek, okrywająca nierozwinięte jeszcze ciało, wydawała się absolutnie niestosowna, podobnie jak jaskraworóżowa szminka i niebieski cień do powiek. Efekt końcowy był zarówno groteskowy, jak i niepokojący.

Zapadła długa cisza. Caitlin spuściła wzrok i wpatrywała się zmieszana w podłogę. William spoglądał to na jedną dziewczynę, to na drugą, marszcząc brwi, jakby nie był w stanie zrozumieć, dlaczego nie zaczęły z miejsca się zaprzyjaźniać.

— Może nalałabyś herbaty? — powiedział w końcu do żony. — Musisz być głodna po podróży, Caitlin. Możemy zaproponować ci coś do jedzenia?

Caitlin, która zdążyła już stracić apetyt, odparła, że nie jest głodna, lecz chętnie napije się herbaty. Podano ją w absurdalnie cienkiej filiżance. Piła ostrożnie, uważając, żeby nie rozlać ani kropli na drogi dywan. Pijąc, zastanawiała się, czy to możliwe, by sytuacja stała się choć trochę mniej niezręczna.

Nic takiego nie nastąpiło. Poczwała ulgę, kiedy po półgodzinie William zasugerował wreszcie, że powinna się rozpakować.

— Rozłokujesz się przed kolacją — powiedział. Spojrzał na Elizabeth, która zdążyła już wstać. — Może pokazałabyś Caitlin jej pokój? Umieściliśmy ją w Różanym Apartamencie. Potem mogłabyś oprowadzić siostrę szybko po posiadłości, by mogła zorientować się, gdzie się co znajduje.

Pracząc jedną straszną chwilę Caitlin sądziła, że Elizabeth odmówi. Jednak stanowcze spojrzenie ojca uciszyło ewentualny protest.

— Doskonale. — Spojrzała ostro na Caitlin zielonymi oczami. — To jak? Idziesz?

Musiała niemal biec, gdy Elizabeth prowadziła ją przez kolejny labirynt korytarzy, a potem dwie kondygnacje w górę schodami wyglądającym inaczej, niż te w holu. Były strome i pokryte ciemnoniebieską wykładziną. — Kłątka dla personelu — wyjaśniła Elizabeth krótko. Wybrała ją, ponieważ wtedy najszybciej można było dojść do wschodniego skrzydła, gdzie umieszczono Caitlin. Poza tym nie odezwała się do siostry nawet słowem.

Gdy doszły w końcu do kremowych drzwi, odsunęła się i podała Caitlin klucz. Dziewczyna poczuła się jak w hotelu.

— Na pewno jesteś zmęczona, może więc darujemy sobie wycieczkę? — Nie dała Caitlin szansy, by mogła odpowiedzieć. — Kolacja jest o wpół do ósmej. I, och, cokolwiek będziesz robiła, uważaj, by się nie spóźnić. To jedyna rzecz, która naprawdę wyprowadza tatę z równowagi.

Odwróciła się, zarzucając wspaniałymi miodowymi włosami i odeszła, zostawiając Caitlin samą w holu.

Caitlin spoglądała za nią ze łzami w oczach. Nic sądziła, iż może czuć się gorzej niż w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Jednak bycie traktowaną w ten sposób, z nieukrywaną pogardą, było o wiele gorsze. Pozostawiona samej sobie w obcym, wrogim miejscu, zatęskniła za matką jak nigdy przedtem.

Zgarbiona, wsunęła klucz w zamek i otworzyła drzwi do swego nowego pokoju. Był oczywiście piękny — olbrzymi i elegancko umeblowany. Caitlin nie była jednak w nastroju, aby podziwiać antyki czy zapierający dech w piersi widok na ogrody i park. Podeszła do łóżka z czterema słupkami, zwinęła się w kłębek i zapłakała.

— Jest taka dziwna!

— Amber! — zganiała siostrę bez przekonania Elizabeth.

— Ale to prawda! — upierała się Amber. — To znaczy, widziałaś sweter, który miała na sobie przy kolacji? I te dzinsy! Są tak bez

kształtne! Na pewno nie lewisy. Zmarszczyła nos. Hoże, chyba bym umarła, gdyby ktoś zobaczył mnie w takim stroju.

Elizabeth musiała się roześmiać. Nie lubiła plotkować, uważając, że to poniżej jej godności. Lecz nawet ona nie mogła się powstrzymać, by nie pogadać o nowo przybyłej. Dlatego pozwoliła, by Amber przyszła po kolacji do jej pokoju.

— Wiem, co masz na myśli — powiedziała z zastanowieniem.

— Strzyżenie też by jej nie zaszkodziło.

Długie włosy były w porządku, o ile się o nie dbało. Jednak gęstwina niesfornych czarnych loków nie dodawała Caitlin urody. Nie to, że była nieatrakcyjna. Przeciwnie, przyznała niechętnie Elizabeth, całkiem ładna w ten nieco dziki, celtycki sposób. Trudno było jednak cokolwiek powiedzieć, gdy tak niewiele ze sobą robiła.

Amber pochyliła się ku siostrze, leżąc w poprzek łóżka. — Wiesz

— wyszeptła scenicznym szeptem — myślę, że ona może być trochę opóźniona.

Elizabeth znowu się roześmiała. — Skąd ci to przyszło do głowy?

— Była tak cicha przy kolacji. Prawie się nie odzywała. Elizabeth zastanawiała się przez chwilę. — Pewnie jest przygnębiona tym, że umarła jej matka.

Ledwie to powiedziała, poczuła przypływ wyrzutów sumienia z powodu tego, jak potraktowała Caitlin. Stłumiła jednak to uczucie.

— To nie ma jednak z nami nic wspólnego — dodała pośpiesznie. Amber z poważną miną skinęła głową. — Zgadza się. To nie ma z nami nic wspólnego — powtórzyła za siostrą.

Spoglądając wstecz, Caitlin nie była pewna, jak udało jej się przetrwać pierwszy miesiąc w Aldringham.

William zniknął następnego dnia po tym, jak przyjechała.

— Musiał wrócić do Londynu — poinformowała ją z przeproszącą miną Isabelle przy śniadaniu. — Pilne sprawy w biurze. Jestem pewna, że wróci, gdy tylko będzie mógł.

Zostało to powiedziane z ewidentnym brakiem przekonania. To by było na tyle, jeśli chodzi o to, że chce mnie poznać, pomyślała Caitlin, zastanawiając się, dlaczego u licha tak się uparł, by ściągnąć ją do Anglii. Może, skoro nie obchodzi go, co się z nią dzieje, pozwoli jej

wrócić do Valleymount? W głębi duszy wiedziała jednak, że to próżne nadzieje. Z jakiegoś powodu William życzył sobie mieć ją tutaj, w Aldringham. Wiedziała, że gdyby można było wyperswadować mu ten pomysł, Nuala już by to zrobiła.

Później tego ranka Elizabeth przyszła do pokoju Caitlin. Najwidoczniej ojciec polecił jej, aby zajęła się gościem, co jej zdecydowanie nie cieszyło.

— To co chcesz dzisiaj robić? — spytała. Caitlin odparła szczerze, że wszystko jej jedno.

Elizabeth westchnęła. Widać nie takiej odpowiedzi oczekiwała. — Jeździsz konno? — spytała zniecierpliwiona. Caitlin potrząsnęła głową.

— Grasz w tenisa? Kolejne zaprzeczenie.

— Cudownie — wymamrotała Elizabeth pod nosem. — Cóż, chyba będę musiała cię nauczyć.

Jak należało się spodziewać, lekcja gry okazała się katastrofą. Po tym jak Elizabeth próbowała przez godzinę wydawać jej zniecierpliwionym tonem instrukcje, zdyszana i czerwona na twarzy Caitlin zaproponowała, by dały sobie spokój. Elizabeth ochoczo się zgodziła. Caitlin nie poprosiła o kolejne lekcje, a Elizabeth ich nie zaproponowała. Tak bardzo się różniły. Prawdę mówiąc, Caitlin uważała naturalną pewnością siebie Elizabeth za onieśmielającą.

Co najdziwniejsze, to Isabelle była wobec niej najbardziej miła.

— Chciałabyś zadzwonić do tej pani, u której mieszkałaś? — spytała w kilka dni po przyjeździe Caitlin. — Przyjaciółki twojej matki... jak ona ma na imię?

— Nuala. Ciocia Nuala.

— Tak, oczywiście, Nuala. Cóż, możesz zadzwonić do niej, kiedy tylko zechcesz — powiedziała uprzejmie. — Nie musisz pytać o pozwolenie. W twoim pokoju jest telefon, będziesz więc mogła rozmawiać swobodnie.

Caitlin postanowiła zaczekać do wieczora, przypuszczając, że rodzina będzie już wtedy w domu. Po raz pierwszy odkąd przybyła do Aldringham, miała na co czekać.

Gdy usłyszała głos Nuali, ledwie zdołała wykrztusić powitanie.

Milo z tobą porozmawiać — powiedziała Nuala ciepło.

- Z toba także — odparła Caitlin, pociągając nosem. Nie ufała sobie na tyle, by powiedzieć coś więcej, gdyż obawiała się, że wybuchnie płaczem. Intensywność odczuwanych emocji wprawiała ją w zakłopotanie — w końcu przebywała poza domem zaledwie od tygodnia.

— Róisín tu jest — poinformowała ją Nuala, wyczuwając, że dziewczyna zaraz się załamie. — Może ją zawołam?

Rozmowa z Róisín była zdecydowanie łatwiejsza.

— Jak wygląda dom? — dopytywała się. — Jest wielki? Z basenem? Kiedy będę mogła cię odwiedzić?

— Dom jest bardzo ładny — odparła słabo Caitlin. Woląca nie rozvodzić się na ten temat. — Opowiedz mi lepiej, co u ciebie.

Róisín nie potrzebowała dalszej zachęty. — Och, wszystko po starciu. Mary znalazła sobie faceta i jej matka ma w związku z tym nerwy w strzępach...

Paplała beztróska przez pół godziny, póki nie zawołano jej na podwieczorek.

— Zadzwoń znów do mnie, tylko szybko! — powiedziała radośnie.

Caitlin odłożyła z wolna słuchawkę. Rozmowa zamiast poprawić jej samopoczucie, sprawiła, że poczuła się jeszcze gorzej. To okropne, że wszyscy jej przyjaciele zostali w Valleymount, a ona nie może być tam z nimi.

Isabelle nic zapytała taktownie o rozmowę. Sprawilo to Caitlin ulgę. W ciągu kilku tygodni, jakie minęły od przyjazdu, odkryła, że macocha jest dosyć wrażliwa. Czasami zastanawiała się nawet, czy Isabelle jest w Aldringham równie nieszczęśliwa jak ona. William rzadko pojawiał się w domu, wypełniała więc sobie dni, umawiając się na lunch z przyjaciółkami lub zajmując działalnością charytatywną. Mnóstwo czasu spędzała też na zakupach z Amber w Londynie. Kilka razy zaprosiła Caitlin, by im towarzyszyła.

— Byłoby cudownie, gdybyś wybrała się z nami — powiedziała, ignorując mało zachęcającą minę Amber. — Poza tym potrzebujesz nowych rzeczy, nim zacznie się rok szkolny.

Amber prychnęła. - Duże niedopowiedzenie — wymamrotała pod nosem. Jak dotąd, mimo ponawianych zaproszeń, Caitlin nie miała ochoty niczego kupować. I choć zdawała sobie sprawę, że jej ubrania są o wiele tańsze i mniej modne niż te noszone przez siostry, pozbycie się ich i zastąpienie nowymi wydawało jej się swego rodzaju niełojalnością. Mama pracowała tak ciężko, by za nie zapłacić — to byłoby jak zdrada. Poza tym rodzina zostawiała zazwyczaj Caitlin w spokoju, pozwalając, aby robiła, co chce. Trwały wakacje, mogła więc buszować bez przeszkód po domu i okolicy, odkrywając nowe miejsca i oddając się ulubionym zajęciom: czytaniu i szkicowaniu.

Nadal tęskniła rozpaczliwie za matką i Valleymount. Aldringham było piękne, lecz zimne. Podobnie jego mieszkańcy. Jej apartament mógł sobie mieć osobną garderobę, salonik i luksusową, wykładaną marmurem łazienkę, tylko co z tego? Każdego wieczoru kładła się do łóżka z czterema słupkami, luksusową pościelą i poduszkami z gęsiego pierza, a potem leżała, nie mogąc zasnąć i tęskniąc za dawnym, prostym życiem i prawdziwym domem.

Rozmyślając o tym, czy to uczucie kiedykolwiek ją opuści.

Rozdział czwarty

To, iż tak trudno jej było się przystosować, nie pozostało niezauważone. William świadomy problemu robił, co mógł, by go rozwiązać. Teraz jednak, siedząc w swoim biurze w głównej siedzibie firmy w Londynie, skupiał uwagę na tym, co najpilniejsze: kwartalnym sprawozdaniu finansowym.

Wraz z nim w pokoju przebywały dwie osoby, którym ufał najbardziej na świecie: jego matka Rosalind i brat Piers. Chociaż czterdzieści procent udziałów firmy znajdowało się w obrocie giełdowym, Melville nadal zarządzane było jak typowa firma rodzinna. Najważniejsze decyzje podejmowano tutaj, w gabinecie Williama, z dala od sali posiedzeń zarządu — i samego zarządu.

Piers poprawił okulary i zaczął:

— Oczywiście czekamy jeszcze na ostateczne wyniki. Lecz to, co już otrzymaliśmy, wygląda bardzo obiecująco.

Piers, obecnie trzydziestodwuletni, był o dziesięć lat młodszy od Williama, jednak powolny, stateczny sposób bycia sprawiał, że wydawał się starszy. Podobnie jak William, był dobrze ubrany i potrafił wysławiać się jak na angielskiego dżentelmena przystało, lecz na tym podobieństwo się kończyło. Podczas gdy William ze swą mocną sylwetką, ciemnymi włosami, ostrym jak brzytwa umysłem i dominującą osobowością wywierał imponujące wrażenie, jasny koloryt i delikatne rysy Piersa, zwłaszcza w połączeniu z przyciężkawym sposobem bycia i rzucającym się w oczy brakiem charyzmy sprawiały, że wydawał się wątki i słabowity. Pomijając te cechy — a może dzięki

nim - nadawał się idealnie, aby być tym, kim był: prawą ręką Williama. Komuś innemu mogłoby się nie podobać, iż znajduje się wiecznie w cieniu brata, Piersowi to jednak nic przeszkadzało. Przeciwnie, brak osobistych ambicji i niezachwiana lojalność wobec firmy sprawiały, że nie kwestionował faktu, iż to William, nie on, został wybrany, aby zarządzać rodzinnym biznesem.

— Jakkolwiek by było, sprzedaż wzrosła o pięć procent — mówił właśnie. — Odnotowaliśmy też wzrost o pięćdziesiąt punktów bazowych marży brutto.

William przysłuchiwał się z uwagą, jak brat przedstawia wyliczenia. Młodzieńcza nieśmiałość Piersa przerodziła się z czasem w spokój oraz rozwagę, to zaś w połączeniu z wrażliwością na detale sprawiało, że był doskonałym dyrektorem finansowym.

— A skąd dokładnie pochodzi ten wzrost? — zapytał William. Znał odpowiedź na to pytanie, ale i tak chciał ją usłyszeć.

— Głównie z Melville Essentials.

Tak nazywano w firmie linię tanich ubrań oraz dodatków.

William zerknął znacząco na matkę. Rosalind, głowa rodu, budziła podziw i strach. Swego czasu podjęła się zarządzać w pojedynkę odnoszącą umiarkowane sukcesy angielską firmą i przekształciła ją w znaną na całym świecie markę. Teraz, w wieku siedemdziesięciu lat, wyglądała na osobę o dziesięć lat młodszą, zachowała też bystry umysł.

Skinęła głową, uznając jego zasługi.

— Wiem, Williamie — powiedziała z nutką rozbawienia w głosie, — Po raz kolejny dowiodłeś, że Melville Essentials było doskonałym pomysłem.

William zdawał sobie sprawę, że to po prostu śmieszne, iż tak bardzo zależy mu na aprobacie ze strony matki. W wieku pięćdziesięciu lat dawno powinien zaniechać podobnie dziecinnych zachowań. Lecz zarządzanie firmą po kimś takim jak Rosalind nie było zadaniem łatwym. Choć weszła do rodziny poprzez małżeństwo i w jej żyłach nie płynęła krew Melville'ow, mogła jednak rościć sobie do firmy więcej praw niż ktokolwiek inny. Przez trzydzieści lat zarządzała nią, odnosząc bezdyskusyjne sukcesy. Trudno było wyjść z jej cienia.

Gdy William objął w roku 1972 stanowisko dyrektora naczelnego, zdecydowany był odcisnąć na firmie własne piętno. Skończył trzydzieści lat i uważał, że nie ma czasu do stracenia. Melville posiadało wówczas czternaście eleganckich sklepów w największych miastach świata.

William uznał, że wobec kryzysu naftowego i panującej w Europie oraz Stanach Zjednoczonych recesji otwieranie dalszych placówek nie ma sensu. Globalna ekspansja była strategią jego matki — on potrzebował własnej.

Najpierw ocenił więc słabe i mocne strony firmy. Linia gotowych do noszenia ubrań nigdy nie przynosiła dużych zysków, a główny dochód przedsiębiorstwa pochodził, ze sprzedaży dodatków — butów i torebek. Wziąwszy to pod uwagę i mając w pamięci kryzys finansowy, postanowił wypuścić na rynek linię tańszych produktów, zastępując nimi częściowo ekskluzywne, ręcznie robione akcesoria ze skóry. Kosmetyczki, portmonetki i pojemne torby nosiłyby co prawda logo Melville'a, zostałyby jednak wyprodukowane z tańszych materiałów. Pomysł polegał na tym, aby wprowadzić je do sprzedaży w drogeriach i domach towarowych, docierając w ten sposób do klientów, którzy nie podróżują za wiele i czują się zbyt onieśmieleni, by wejść do firmowego buliku.

Rosalind sprzeciwiała się temu, argumentując, że w firmie wytwarzającej towary luksusowe nie ma miejsca dla tańszych wyrobów. William przeforsował jednak zmiany i jego strategia zaowocowała sukcesem — tak dużym, że tańsza linia zaczęła skutecznie konkurować z tradycją.

Kiedy pod koniec lat osiemdziesiątych obroty firmy sięgnęły trzystu milionów, Rosalind przyznała w końcu, że się myliła. Była to dla Williama wielka chwila. W niecałe dwadzieścia lat potroił obroty, a zyski wzrosły czterokrotnie. Odnosił niekwestionowany sukces — na tyle duży, iż w piśmie *Forbes* napisano o nim: „William Melville stanowi siłę napędową jednej z przodujących w świecie dynastii związanych z modą”. Nadal trzymał egzemplarz z tym artykułem w najwyższej szufladzie biurka.

— Dziękuję, Piers — powiedział w dziesięć minut później, gdy brat zakończył sprawozdanie. — Mogę to zabrać i przeczytać podczas weekendu?

— Oczywiście.

Piers podał mu oprawioną kopię. William wsunął ją do aktówki i zamknął energicznie zatrzask. Wstał i sięgnął po marynarkę.

Rosalind położyła na ramieniu syna kościstą dłoń. — Naprawdę aż tak ci się spieszy, kochanie? Miałam nadzieję, że zjemy razem wczesną kolację.

— Wybacz, lecz chciałbym wyjechać jak najszybciej do Aldringham, sprawdzić, co u Caitlin.

Odwrócił się i skierował ku drzwiom. Pośpiech sprawił, że nie zauważył przepelnionego niepokojem spojrzenia, jakie wymienili matka i brat.

Perkins czekał już w bentleyu. Było piątkowe popołudnie i William nie myślał o czekającym go zadaniu z przyjemnością. Kiedy zadzwonił poprzedniego wieczoru do Isabelle, żeby zapytać, jak radzi sobie Caitlin, nic, co powiedziała mu żona, ani trochę mu się nie spodobało. Wyglądało bowiem na to, że córka spędza większość czasu sama.

Od początku wiedział, że wiodącej dotąd skromne życie dziewczynie z małej wioski w Irlandii niełatwo będzie przywyknąć do zmian. Bardzo chciał jej w tym pomóc. Niewielu rzeczy w życiu żałował, a jedną z nich było to, jak skończył się jego romans z Katie. Teraz mógł już tylko dopilnować, aby jej dziecko — ich dziecko, poprawił się szybko — zyskało szansę na szczęśliwe życie. Zdawał sobie sprawę, że nie był zbyt oddanym ojcem dla Amber i Elizabeth, podświadomie przenosząc na córki frustracje, których źródłem było nieudane małżeństwo. Nie chciał popełnić tego samego błędu z Caitlin. Pragnął ją poznać i czuwać nad jej życiem w Aldringham. Mógł zrobić dla Katie przynajmniej tyle.

Później tego wieczoru Rosalind Melville siedziała sama w dostojnej ciszy swego mieszkania w Mayfair. Położone w kwartale luksusowych kamienic przy Grosvenor Street, stanowiło jeden z najbardziej prestiżowych adresów w Londynie. Dziś nie była w stanie jednak się tym cieszyć.

Na biurku stała na wpół opróżniona szklaneczka koniaku Hennessy Ellipse, jej ulubionego trunku. Obok leżały dokumenty, które przygotował prawnik.

— Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? — zapytał Gus Fellows, przyjaciel i doradca prawny Rosalind od ponad trzydziestu lat, kiedy podrzucił wieczorem dokumenty.

Pewna? Pociągnęła solidny łyk koniaku. Oczywiście, że nie była pewna. Nie miała jednak niestety wyboru, zważywszy, jak bardzo zależało jej na firmie, którą z poświęceniem pielęgnowała i rozwinęła.

Historia Melville'a zawsze ją fascynowała. Zaczęła się w roku 1860, kiedy w rodzinie szewca Millera z Northampton przyszedł na świat syn, któremu dano na imię John. W tamtych czasach buty produkowano chałupniczo. Jednak John pragnął czegoś więcej. Bystry i ambitny, zdawał sobie sprawę, że jeśli chce zarobić prawdziwe pieniądze, musi pozbyć się pośredników. Dogadał się zatem z innymi handlowcami i jął zaopatrywać rynek detaliczny w Londynie. Zbywające zyski inwestował, zwiększając zakres działań bez obniżania jakości.

Jak na dobrego biznesmena przystało, dostosował wygląd, zachowanie oraz styl życia do klientów, jaką chciał zdobyć: zamożnych członków wiktoriańskiego towarzystwa, gotowych przepłacać za wysokiej jakości, ręcznie szyte buty. Uznawszy, że nazwisko Miller nie brzmi dostatecznie wytwornie, zmienił je oficjalnie na Melville w roku 1900. Melville było jedną z najwcześniejszych marek, zarejestrowaną w 1910. W tym samym roku otworzył swój pierwszy sklep, i to od razu na Old Bond Street. Nad wejściem zawiesił mosiężną tablicę ze słowami *Meliora Cogito: Dążę do najlepszego*. Stało się to oficjalnym mottem firmy.

Lata intensywnego palenia tytoniu zebrały w końcu żniwo i John umarł w 1925 na raka płuc. Firmę przejął po nim syn Oliver. Poważny, zrównoważony mężczyzna idealnie nadawał się do tego, by przeprowadzić rodzinne przedsiębiorstwo przez kryzys końca lat dwudziestych i w następnej dekadzie firma nadal prosperowała.

Rosalind — albo Rosie Flint, jak się wtedy nazywała — zaczęła pracę w firmie w roku 1938, w przededniu drugiej wojny światowej.

Pochodziła z klasy pracującej: ojciec był dokerem, matka sprzątaczką. W wieku siedemnastu lat zgłosiła się na rozmowę kwalifikacyjną do Melville'a, aby zatrudnić się jako sprzedawczyni. Kierownik nie chciał z początku jej przyjąć, wydała mu się bowiem zbyt pospolita. Lecz kiedy zaczęła mówić, zmienił zdanie.

— Przywykłam ciężko pracować i nigdy nie choruję — powiedziała, wyczuwając jego wątpliwości. Spojrzała mu w oczy i powiedziała z absolutną szczerością: — Potrzebuję tej pracy i nie zamierzam marnować pańskiego czasu.

Z miejsca ją zatrudnił. Osoba obdarzona podobną zdolnością przekonywania z pewnością okaże się doskonałym sprzedawcą. No i klienci mężczyźni docenią niewątpliwie jej urodę.

Rosie była bystra i ambitna. Nie zamierzała pozostać sprzedawczynią do końca życia. Praca u Melville'a stanowiła szansę i zamierzała w pełni ją wykorzystać. Szybko pozbyła się charakterystycznego dla klasy robotniczej akcentu. Wkrótce zwróciła też na siebie uwagę Edwarda Melville'a, najstarszego syna, który miał odziedziczyć kiedyś firmę.

Wiedziała o nim wszystko: przystojny, czarujący i miły, był też notorycznym podrywaczem znanym z tego, że wybiera sobie dziewczynę, zapewnia jej przez jakiś czas dobrą zabawę, a potem bez skrupułów ją porzuca. Rosie pragnęła czegoś więcej. Kiedy poprosił ją więc, aby z nim wyszła, grzecznie odmówiła.

— Jestem zaręczona — skłamała.

Edward nienawykły, by mu odmawiano, poczuł się zaintrygowany. Do czasu, kiedy zerwała wreszcie z wyimaginowanym narzeczonym i zgodziła się pójść z nim na randkę, był już prawie zakochany.

Było lato roku 1939. Chodziły słuchy, że w Europie źle się dzieje. Kiedy Chamberlain wypowiedział we wrześniu wojnę Niemcom, Edward był jednym z pierwszych, którzy zgłosili się do służby w RAF-ie. Rosie nadal mu się opierała, lecz tego wieczoru, kiedy znaleźli się w alejce na tyłach sali tańca, ich pocałunki były szczególnie namiętne i przepelnione pożądaniem. Rosalind odsunęła się pierwsza.

— Chciałabym być z tobą... do końca — powiedziała bez tchu.

— W pobliżu jest pensjonat — powiedział Edward pośpiesznie.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi, niewinnymi oczami. - Ale to byłby grzech.

Edward, zdjęty brawurą i pełn romantycznego uniesienia, z miejsca się oświadczył.

Pobrali się jeszcze tego weekendu, za specjalnym pozwoleniem, mając za świadków dwoje obcych ludzi. Kiedy rodzina dowiedziała się o ślubie, nie dano się już nic zrobić,

— Jak mogłeś być tak głupi! — krzyczał ojciec. — Ona jest zwykłą dziewczką!

— Jest moją żoną, sir — odparł spokojnie Edward. — I będziecie musieli przyjąć ją do rodziny.

Kiedy ruszył w następnym tygodniu na wojnę, Rosie przeniosła się do rezydencji Melville'ow w Belgravii. Nie było to tak przyjemne, jak oczekiwała. Oliver nie chciał jej zaakceptować. Posiłki przebiegały w milczeniu. Nieraz zastanawiała się, czy nie wrócić do domu rodziców. Pracowała jednak za ciężko, by teraz łatwo się poddać.

Zamiast tego poszukała sposobu, by wkraść się w łaski teścia. Wojna dała jej po temu okazję. Trzech synów Olivera oraz wielu spośród pracowników zaciągnęło się do wojska i teść ledwie dawał radę zarządzać w pojedynkę firmą. Rosie знаła sklep od podszewki i zaoferowała pomoc. Pewnego dnia zasiadła więc za biurkiem jako kierowniczką i wzięła się do roboty.

Stopniowo zasłużyła sobie na szacunek Olivera. Kiedy zaczęły się naloty, jego żona i pozostałe synowe wyjechały do Aldringham.

— Spodziewam się, że i ty wkrótce do nich dołączysz, Rosie — burknął.

— Nie. Zostanę w Londynie. — Zamilkła na chwilę. — Proszę, abys w przyszłości zwracał się do mnie: Rosalind.

Uznała, że bardziej pasuje to do jej nowego statusu i stanowiska.

Kiedy Edward przyjechał w Boże Narodzenie 1941 roku na przepustkę, ucieszyło go, iż ojciec i żona dobrze się dogadują. W miesiąc po tym jak wrócił do jednostki, Rosalind z zadowoleniem przekonała się, że jest w ciąży.

Szczyście nie trwało jednak długo. Pod koniec sierpnia dostarczono jej telegram. Samolot Edwarda został zestrzelony nad Francją.

Szok, powiększony jeszcze przez nalot, wywołał przedwczesny poród. Dziecko, zdrowy chłopiec, przyszło na świat w mało wytwornym otoczeniu stacji metra London Bridge. Rosalind poczuła przyływ euforii, przewyższający ból po stracie męża. Nazwała chłopca William: wspaniałe, budzące szacunek imię, odpowiednie dla królów. Pierworodny pośród pierworodnych, dziedzic fortuny Melville'ow. Jej pozycja w rodzinie została ugruntowana.

Po jakimś czasie dotarła do nich wiadomość, że Edward nie zginął. Przebywał jako jeńiec w oflagu w Kreuzburgu, na terenach dawnej Polski. Kiedy wrócił do domu na początku roku 1946, Rosalind i Oliver, razem z młodym Williamem, wyszli powitać go w porcie. Powiedziano im, że Edward nie poniósł uszczerbku na zdrowiu i rzeczywiście, na pozór tak właśnie było. Lecz kiedy zszedł na nabrzeże i Rosalind podbiegła, by go uściskać, stał biernie z opuszczonymi ramionami, pozwalając jej się obejmować. Spojrzał po raz pierwszy na swego trzyletniego syna, lecz ani trochę się nim nie zainteresował. Nawet nie wziął go na ręce.

Dla Rosalind zaczął się trudny okres. Bracia Edwarda krążyli wokół niczym rekiny. — Nie nadaje się do niczego — powtarzali ojcu. — Nie możesz powierzyć mu prowadzenia firmy.

Rosalind była jednak zdeterminowana: to William powinien przejąć kiedyś Melville'a. Powierzyła zatem opiekę nad synem niani i towarzyszyła Edwardowi co dzień do biura, gdzie pociągała dyskretnie za sznurki, udając, że to jej mąż podejmuje decyzje.

— Widzicie? Z Edwardem wszystko w porządku — mawiał Oliver, kiedy Rosalind przedstawiała kolejny ze swoich pomysłów jako wysunięty przez męża. — Przestańcie burczeć i dostarczcie mi równie wartościowych innowacji, a zastanowię się, czy przekazać wam interes. W przeciwnym razie...

Bracia zorientowawszy się, że zostali przechytrzeni, zrobili w końcu to, na co od początku miała nadzieję Rosalind i wyjechali, przysięgając nie odezwać się słowem do ojca, póki nie zmądrzeje. Zona Olivera robiła, co mogła, by doprowadzić do pojednania pomiędzy mężem a synami, lecz kiedy zmarła w następnym roku we śnie, wyglądało na to, że przepaść nigdy nie zostanie zasypiana.

Tymczasem firma prosperowała. Optymizm lat powojennych okazał się dla przemysłu modowego zbawienny. W Paryżu haute couture Christiana Diora otwierało nową erę w projektowaniu. Rosalind nie ustawała w wyszukiwaniu okazji mogących przysporzyć firmie korzyści. Fabryka tuż obok Melville'a produkowała podczas wojny spadochrony. Rosalind postanowiła wykupić ją i szyć tam jedwabne szaliki oraz płaszcze według tych samych wysokich standardów, jakie stosowano już przy produkcji butów, rozszerzonej wkrótce o torebki oraz walizki.

W 1951 roku Rosalind ponownie zaszła w ciążę. Natychmiast zaczęły się plotki, podejrzewano bowiem powszechnie, że Edward nie odwiedził sypialni żony od powrotu z niewoli. Nie było jednak na to dowodu. Urodziła na początku następnego roku. Tym razem poród był długi i bolesny. Podczas gdy William wydostał się na świat, walcząc, jej drugi syn wypełził z łona matki słaby i obarczony żółtaczką. Dała mu na imię Piers i dziesięć dni po porodzie wróciła do pracy.

W pięć lat później biedny Edward zmarł. W *Timesie* podano, iż kornet orzekł nieszczęśliwy wypadek. Rodzina posiadała już wówczas na tyle silne wpływy i powiązania, aby zapobiec ujawnieniu informacji, że tak naprawdę skorzystał z pomocy rewolweru, aby strzelić sobie w łeb. Rosalind nie płakała. Trudno jej było uronić choćby łzę żalu po kimś, kto tak naprawdę nie żył już od dziesięciu z górą lat.

Edwarda pochowano w mroźny lutowy dzień. Wbrew zaleceniom lekarza słabowity już wówczas Oliver uparł się, by uczestniczyć w pogrzebie ukochanego syna. Dwa dni później zachorował na zapalenie płuc.

Wiedział, że umiera, na długo przed tym zanim nastąpił koniec. Kiedy tak leżał w luksusowej pościeli łoża z baldachimem w Aldringham, kaszląc i odkrztuszając flegmę, jego myśli zwróciły się ku dwóm pozostałym synom. Nie widział ich od lat. Teraz, zbliżając się do kresu drogi, zapragnął to naprawić. Poprosił Rosalind, aby się z nimi skontaktowała. Zapewniła, że to zrobi.

— Przyjadą? — pytał z nadzieją każdego dnia.

— Jutro — odpowiadała, ocierając mu czoło. — Jutro tu będą. Trzymał się życia jeszcze przez tydzień, samotny i przerażony, czekając na synów, dziwiąc się, dlaczego poza Rosalind nikt go nie od-

wiedza. Ósmego dnia zmarł. Dopiero wtedy Rosalind skontaktowała się z jego synami. Nie mogła przecież ryzykować, że zmięknie i zmieni testament.

Teraz zyskała wreszcie całkowitą kontrolę nad firmą.

Ale i to jej nie wystarczyło. Miała wielkie plany. Nie zamierzała jedynie zachować firmy dla Williama — pragnęła ją rozwijać.

Aż do tej chwili trzymała się z dala od odzieży, wiedząc, że Melville nie ma szans w rywalizacji z paryskimi domami mody. Lecz lata sześćdziesiąte przyniosły radykalizm, rewolucję seksualną — a wraz nimi poważne zmiany na rynku odzieżowym.

Droga, nazbyt stateczna haute couture wypadła z łask. Teraz na topie były tańsze, gotowe wyroby odzwierciedlające powszechną żądzę zabawy i podekscytowanie. Mary Quant i Ossie Clark, Kings Road i Barnaby Street... Niepokorny, swingujący Londyn lat sześćdziesiątych przewyższył Paryż i stał się stolicą mody.

Rosalind uznała, iż jest to doskonały czas, by wylansować produkowany przez Melville'a asortyment. Choć nic udało jej się ściągnąć do firmy żadnego z młodych utalentowanych projektantów, kogoś, kto potrafiłby uczynić ją naprawdę *cool*, szum wokół pozostałych wyrobów Melville'a — zwłaszcza luksusowych torebek i butów — oznaczał, że popyt istnieje, wystarczy tylko go rozbudzić. Wkrótce w *Vanity Fair* i *Vogue* pełno było zdjęć bluzek, sukienek i spodni z logo firmy. Świat zdawał się łaknąć wciąż nowych produktów Melville'a.

By zdyskontować w pełni tę popularność, Rosalind otwarła sklepy w Europie i Ameryce Północnej. Na to potrzeba było jednak dużych pieniędzy, zasugerowano jej więc, by wprowadziła firmę na giełdę. Z początku się opierała, nie chcąc stracić nad przedsiębiorstwem kontroli. Doradcy zapewniali jednak, iż może sprzedać tylko część udziałów, zachowując ich wystarczająco dużo, by mieć decydujący głos w zarządzie.

25 stycznia 1964 roku czterdzieści procent akcji Melville'a rzucono na giełdę, pozostałe sześćdziesiąt zaś podzielono między rodzinę: czterdzieści pięć procent dla Williama, symboliczne dziesięć procent dla Rosalind i pozostałe pięć dla Piersa. Uzyskane z giełdy pieniądze pozwoliły jej zrealizować marzenie o tym, aby Melville zostało

Przedsiębiorstwo o zasięgu międzynarodowym. Kiedy w roku 1965 otwarto sklep na Fifth Avenue w Nowym Jorku, o Merville'u można już było powiedzieć, iż jest przedsięwzięciem na skalę globalną.

W roku 1970 znajdowało się u szczytu popularności. Marka stała się synonimem świetności i statusu, wybierały ją gwiazdy kina oraz osoby bogate, goniące za modą i często podróżujące. Rosalind mogła być z siebie zadowolona. Rozwinęła firmę, którą pozostawił Oliver, na niebywałą skalę — było to dziedzictwo, które z dumą mogła przekazać starszemu synowi, Williamowi.

Oczywiście rozwój firmy wymagał ze strony Rosalind poświęceń. Skupiona na pracy, powierzyła wychowanie synów opiekunkom, a potem szkole z internatem. Uważała jednak, iż możliwość pozostawienia im tak wspaniałego dziedzictwa jest tego warta. Wydawało się także, iż fakt, że poświęcała synom niewiele czasu, zupełnie im nie zaszkodził. Nadal byli z sobą zżyci, szanowali matkę i wyrastali na bystrych, przystojnych chłopców. Piers był co prawda trochę zbyt cichy i nieśmiały, bardziej wykonawca niż przywódca, lecz choć dorastał w cieniu starszego brata, to, iż odgrywał w firmie mniejszą rolę, zdawało się zupełnie mu nie przeszkadzać. Rosalind tego dopilnowała.

— William może i stoi na czele firmy, a to co robi, bardziej rzuca się w oczy, ty jednak jesteś jej sercem — powtarzała mu, kiedy dorastał.

— Musisz czuwać nad bratem. Twoim zadaniem jest chronić rodzinę i nazwisko. Zatem, jak życzyła sobie Rosalind, obaj synowie zaczęli pracę w spółce. Kiedy postanowiła ograniczyć zawodową aktywność, William przejął po niej stanowisko dyrektora naczelnego. Nie przestała mu jednak doradzać, podobnie jak Piers. Pod rządami Williama firma nadal prosperowała. Prawdę mówiąc, wszystko układało się doskonale, póki przed kilkoma miesiącami nie wynikła sprawa z tą O'Dwyer.

Rosalind nie ukrywała od początku, że nie podoba jej się pomysł, aby sprowadzić do Aldringham nieślubne dziecko.

— To nic w porządku wobec niej, a także wobec Elizabeth i Amber — stwierdziła pewnego razu. — Jeśli ta Nuala chce się nią zająć, czemu jej na to nic pozwolisz? Daj dziewczynie trochę pieniędzy, lecz nie wywracaj do góry nogami jej życia. Ani życia rodziny.

William spojrzął malce prosto w oczy i powiedział: — Caitlin to także rodzina, mamó.

Nie powiedział nic więcej, ale Rosalind to wystarczyło. Dowiedziała się tego, co chciała wiedzieć: William zamierzał traktować dziewczynę jak członka rodziny, podczas gdy dla Rosalind Caitlin miała pozostać outsiderką. I ani trochę się jej nie podobało, że ktoś taki może położyć w przyszłości rękę choćby na części majątku. Do tej pory zamierzała zostawić swoje dziesięć procent udziałów Williamowi. Pojawienie się Caitlin zmieniło wszystko. Wzięła dokument leżący przed nią na biurku. Nie zaszkodzi przeczytać go jeszcze raz. Po prostu po to, by się upewnić.

Tymczasem Elizabeth siedziała tego samego wieczoru w gabinecie ojca, starając się nie okazywać irytacji, gdy wypytywał ją, ile czasu spędziła z siostrą, odkąd Caitlin z nimi zamieszkała.

Zbyt dużo, pomyślała, ale głośno powiedziała: — Tyle, ile mogłam. — Na miłość boską, czego się spodziewał? Wyglądało na to, że ona i Caitlin nie mają ze sobą nic wspólnego. Caitlin była cicha i nieśmiała. Nie jeździła konno i nie grała w tenisa, interesowało ją wyłącznie czytanie i szkicowanie. Nudy. Nie przynależała tutaj. Nie wyglądała nawet jak ktoś z rodziny Melville'ów. Ze swą urodą ciemnowłosej Irlandki nic przypominała Elizabeth i Amber, które odziedziczyły jasne włosy i patrycjuszowskie rysy po babce.

— Robiłam, co mogłam — powiedziała. — Lecz mamy tak różne zainteresowania...

— Doceniam to, Elizabeth. Jesteś jednak starsza i to ty musisz bardziej się starać. Caitlin ma za sobą ciężki okres. Jej matka umarła, a ona musiała zostawić wszystko, co było jej bliskie i znajome.

Na chwilę Elizabeth zrobiło się żal Caitlin. Jednak nic z tego, co przydarzyło się dziewczynie, nie było przecież winą Elizabeth.

— Zdaję sobie sprawę, że cała ta sytuacja nie jest dla ciebie łatwa — kontynuował William. — Nie ma jednak powodu, aby odbiło się to na Caitlin. Ona nie jest tak silna jak ty, Elizabeth. Potrzebuje twojej pomocy i ochrony.

Elizabeth spuściła wzrok, uznawszy, że najszybszym sposobem, aby wydostać się z gabinetu, będzie udawać, iż przyjmuje naganę. - Oczywiście, tatusiu, rozumiem. Będę się bardziej starała.

— Dobrze. — Zamilkł na chwilę, a Elizabeth poczuła się nagle tak, jakby weszła dobrowolnie do pułapki. Nie musiała czekać długo. Jej obawy potwierdziły się, gdy ojciec powiedział: — Nie będzie zatem problemu z weekendem.

Elizabeth zamarła. — Jakiego problemu?

Co roku Melville'owie spędzali przedłużony sierpniowy weekend w swojej willi nad jeziorem Como. Tym razem Elizabeth udało się namówić rodziców, by pozwolili jej zostać i zaprosić piętnaścioro przyjaciół ze szkoły.

— Postanowiłem, że Caitlin zostanie z tobą. Jesienią pójdzie do Greycourt, byłoby więc dobrze, gdyby poznała innych uczniów. Ułatwiłoby jej to start.

Elizabeth wpatrywała się w niego przerażona. Na szczęście lata praktyki sprawiły, że potrafiła powstrzymać się przed ujawnieniem tego, co naprawdę czuła.

— Oczywiście — wykrztusiła. — To chyba dobry pomysł. William się odprężył. — Doskonale. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Wracając do swego pokoju, Elizabeth zastanawiała się gorączkowo, jak utrzymać w nadchodzący weekend Caitlin z dala od jej przyjaciół.

Rozdział piąty

W piątek rano William, Isabelle i Amber wyruszyli do Włoch, pozostawiając dziewczęta same w Aldringham. O trzeciej po południu szeroki podjazd zastawiony już był luksusowymi samochodami kolegów Elizabeth: porsche, mercedesami i ferrari. Tuzin najbardziej popularnych uczniów szkoły w Greycourt zaległo w popołudniowym słońcu nad basenem. Dziewczęta odziane w skąpe bikini przyglądały się, rozciągnięte na leżakach, jak chłopcy popisują się w wodzie. Ponieważ byli bardzo wysportowani — jeden w drugiego gwiazdy rugby albo wioślarstwa — starali się przewyższyć kolegów, wykonując skoki w tył z podwójnym albo potrójnym obrotem.

— To co, poznamy dziś twoją siostrę? — spytała Morgan Wood-house, przyjaciółka i okazjonalna rywalka Elizabeth. Dziewczęta leżały obok siebie, nabierając opalenizny w słońcu letniego popołudnia.

— Siostrę przyrodnią — poprawiła ją odruchowo Elizabeth. — Nie, nie poznacie.

Rozmawiała z Caitlin rano i powiedziała, iż może oczywiście przyjść, ale zapewne będzie się nudziła, słuchając, jak wymieniają ostatnie nowinki. Może byłoby po prostu lepiej, gdyby przyłączyła się do nich później, podczas turnieju piłki wodnej... Nim wyszła, była już pewna, że dziewczyna odebrała przesłanie: nie będzie mile widziana.

— I jaka jest ta mała wieśniara? — dopytywała się Morgan. Większość ludzi domyśliłaby się, że Elizabeth nie życzy sobie rozmawiać o Caitlin. Większość, ale nie Morgan.

Po prostu nudna. Elizabeth przewróciła się na brzuch, by zasygnalizować brak zainteresowania tematem. — Czy ktoś mógłby posmarować mi plecy? — spytała, gładko zmieniając przedmiot rozmowy.

— Z przyjemnością.

Nie zaskoczyło jej, że to Elliott Falconer zaoferował się z pomocą. Elliott był najlepszym rugbystą i niekwestionowanym kandydatem do tytułu najprzystojniejszego chłopaka w szkole, z czego aż nazbyt dobrze zdawał sobie sprawę. Był też notorycznym podrywaczem. Elizabeth nie musiała prosić dwa razy. Po chwili klęczał już nad nią, wmasowując jej w ramiona chłodny balsam do opalania.

— Rozwiąż mi stanik, dobrze? — wymamrotała. — Nie chcę mieć na plecach białego paska.

Zrobił, o co go poprosiła i wycisnął więcej balsamu na plecy Elizabeth. Przesuwał dłonie w górę i na boki, muskając celowo jej piersi i pozostawiając tam ręce dłużej, niż było trzeba. Elizabeth mogła tylko mieć nadzieję, że Morgan niczego nie zauważy.

Elliott i Morgan byli nierozłączni, póki Elliott nie rzucił jej na początku wakacji. Od rozstania nie tracił ani chwili, starając się poderwać każdą żywą istotę płci żeńskiej. Elizabeth zawsze go odtrącała. Lecz Elliott nie uznawał odmowy. Teraz też czuła na udzie dotyk jego twardniejącego członka. Domyśliła się, że robi to specjalnie. Subtelność nie była jego mocną stroną.

— Wystarczy — powiedziała, a kiedy nie przestał jej dotykać, wymierzyła mu łokciem mocnego kuksańca.

— Jezu, Elizabeth! — poskarżył się. — To boli. — Może i bolało, wywarło jednak pożądaný skutek. Usiadł na leżaku, przewiesiwszy sobie przez biodra ręcznik. Nie wydawał się ani trochę zażenowany.

Przesunął na czoło okulary marki Ray-Ban i przez chwilę się jej przyglądał. — Wiesz, na czym polega twój problem?

— Na czym?

— Potrzebujesz dobrego, mocnego rżnięcia, by się rozluźnić.

— Pieprz się, Elliott.

Elliott przeciągnął się leniwie. — Kiedykolwiek zechcesz, Elizabeth.

Elizabeth nic zadała sobie trudu, by odpowiedzieć. Zamknęła tylko oczy, sygnalizując koniec rozmowy.

Morgan spoczywała na swoim leżaku, zerkając z zazdrością na przyjaciółkę. W tłumie ponadprzeciętnie urodziwych ludzi Elizabeth i tak potrafiła się wyróżnić. Białe bikini Dolce&Gabbany podkreślało nieskazitelne piękno opalonego, jędrnego ciała, a wiązany wokół szyi stanik i mikroskopijne szorty nadawały dziewczynie zdrowy wygląd sportsmenki. Morgan opalała się przez całe popołudnie topless, rozkoszując się pełnymi uznania spojrzzeniami chłopców. Teraz jednak, spoglądając na Elizabeth, tak niewymuszenie elegancką, poczuła nagle, że w stringach z imitacji skóry lamparta wygląda po prostu tandetnie. Sięgnęła po koszulkę.

Jakkolwiek by się starała, Elizabeth zawsze udawało się ją przewyższyć. A przecież była, podobnie jak przyjaciółka, wysoka, szczupła i jasnowłosa. Lecz Elizabeth miała w sobie coś, czego brakowało Morgan — naturalną rezerwę. Nie obchodziło jej ani trochę, co myślą o niej inni. Morgan z reguły za bardzo się starała, to zaś skazywało ją na zajmowanie w grupie drugiej pozycji. Była boleśnie świadoma tego stanu rzeczy i zdecydowana go zmienić.

Zastanawiała się przez chwilę, czy to co powiedział Elliott, może być prawdą i czy Elizabeth naprawdę jest jeszcze dziewicą. W zeszłym roku plotkowano w szkole o niej i o trenerze tenisa, panu Butlerze. Nie wspomniała o tym jednak. Wiedziała, że nie ma sensu pytać. Elizabeth nigdy się jej nie zwierzała.

Był to jeden z przejawów braku równowagi w ich przyjaźni. Jednak przy całym wyrafinowaniu Elizabeth, czyż seks nie był tym, w czym mogłaby w końcu nad nią zatriumfować?

Z pewnością Elizabeth nic wydawała się dotąd zainteresowana tym, by mieć chłopaka. Morgan przeciwnie, nienawidziła być bez pary. Zerknęła z nadzieją ku miejscu, gdzie Elliott gawędził właśnie z ładnym rudzielcem, Lucille Elkin. W głębi duszy Morgan zdawała sobie sprawę, że chłopak jest łobuzem, lecz stanowiło to część jego uroku.

Patrzyła, jak wyjmuje platynową zapalniczkę, którą podarowała mu na urodziny i zapala Lucille papierosa. Gest wydał jej się nie do

zniesienia intymny. Z zazdrości aż ścisnęło ją w dolku. Wiedziała, że nie ma czym się przejmować, Elliott po prostu taki był — flirtował tak, jak oddychał, instynktownie. Ale to nadał bolało. Powiedział coś, a Lucille roześmiała się uszczęśliwiona i odrzuciła w tył głowę, rozkoszując się tym, że obiekt klasowych westchnień poświęca jej całą uwagę. Morgan zmrużyła gniewnie oczy.

Wstała. Wiedziała, że Elliott nie potrafi skupić się na niczym zbyt długo. Irytowało ją to, gdy byli parą, teraz mogła jednak tę cechę wykorzystać. Wsunęła się bezszelestnie do basenu i podpłynęła do miejsca, gdzie siedział, ryzykownie przy samym brzegu. Był do niej odwrócony plecami i nie zauważył, że się zbliża. Nabrała w dłonie wody i go oblała. Był to dziecinny trik, lecz poskutkował.

— Hej! — zawołał. Morgan nie pomyliła się w rachubach. Przestał rozmawiać z Lucille i odwrócił się, by sprawdzić, kto go zaatakował. Zobaczył Morgan i się uśmiechnął, biorąc zaczepkę za to, czym naprawdę była — zaproszeniem do seksu.

Wstał i ściągnął koszulkę, prezentując doskonale umięśnioną pierś.

— Pożałujesz tego, Morgan... — powiedział z żartobliwą groźbą w głosie. Lucille zmarszczyła brwi zirytowana tym, że tak szybko o niej zapomniał. Wskoczył do basenu. Wyprężone, opalone ciało przecięło gładko powierzchnię. Morgan uczyniła nieprzekonywającą próbę, by uciec, po czym pisnęła teatralnie, gdy ją pochwycił.

— Przestań! — protestowała słabo, kiedy uniósł ją bez wysiłku w silnych ramionach. — Natychmiast mnie postaw!

Nie mówiła jednak poważnie. Uwielbiała, kiedy poświęcał jej całą uwagę i żałowała jedynie, że on nie czuje tak samo.

Na górze Caitlin zakryła dłońmi uszy, by nie słyszeć dobiegających znad basenu radosnych okrzyków. Nic to jednak nie dało. Przeczytała ustęp w książce po raz trzeci i nadal nie miała pojęcia, co zostało tam napisane. Kryminał Agaty Christie wydawał się dobrym pomysłem na spędzenie długiego popołudnia, lecz trudno skupić uwagę na czytaniu, kiedy słyszy się śmiech i pokrzykiwania świadczące, że w pobliżu ludzie dobrze się bawią.

Schroniła się w swoim pokoju, gdy pojawili się pierwsi goście.

— Nie czuj się zobowiązana, żeby zejść na dol — powiedziała rano Elizabeth. — Pewnie masz już dość poznawania nowych ludzi, poza tym oni i tak będą w wyższej klasie...

Caitlin dobrze wiedziała, co to miało znaczyć. Elizabeth uważała, że nie jest dość dobra, aby przedstawić ją przyjaciołom. Cóż, szczerze mówiąc, jeśli ci ludzie są choć trochę podobni do Elizabeth, i tak nie chciałabym się z nimi zadawać, pomyślała buntowniczo, otwierając książkę.

Po chwili kolejny okrzyk podekscytowania przeszył powietrze. Caitlin westchnęła. Zagięła róg strony i odłożyła powieść. Kogo próbowała oszukać? Umierała z chęci, aby zobaczyć, co dzieje się na dole.

Odsunęła narzutę i podeszła do siedziska przy oknie. Spojrzała w dół i zobaczyła około tuzina najpiękniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek widziała. Cechowała ich pewność siebie, widywana dotąd jedynie u dorosłych. Nie słyszała, o czym dokładnie rozmawiają, mogłaby się jednak założyć, że dowcipy są wyrafinowane, a przekomarzanie błyskotliwe. Spojrzała na parę w basenie — nie mogło być inaczej, zważywszy, że robili najwięcej hałasu. Nawet z tej odległości nietrudno było się zorientować, co się tam dzieje. Chłopak gonił dziewczynę, ta zaś piszcziała, rozkoszując się każdą minutą tej gry. Wyglądała jak szczuplejsza, bardziej jasnowłosa kopia Elizabeth. Jest bardzo ładna, pomyślała Caitlin z odrobiną zazdrości. Sądziła dotąd, że tylko jej siostra wygląda i zachowuje się w sposób tak wyrafinowany. Teraz okazało się, że są też inni, bardzo do niej podobni. A jeśli wszystkie dziewczęta w Greycourt okażą się klonami Elizabeth?

Jednak to chłopak przyciągnął jej uwagę. Z ciemnymi, miękkimi włosami i rzeźbionymi rysami wyglądał jak model lub gwiazda popkultury. Był też wysoki i ewidentnie silny, wyniósł bowiem blondynkę nad wodę, jakby nic nie ważyła i trzymał ją mocno, kiedy wierciła się i próbowała uwolnić. A potem zanurzył dziewczynę niespodziewanie i parsknął śmiechem, gdy wyłoniła się na powierzchnię, wykrzykując pod jego adresem żartobliwe groźby. Caitlin pożałowała przez chwilę, iż nie może być jak blondynka w basenie, otwarta i pewna siebie, czująca się absolutnie swobodnie w towarzystwie kogoś tak przystojnego jak ten chłopak.

Nie pasowała do świata ludzi bogatych i uprzywilejowanych. Nie była też jednak są sama osobą, co w Irlandii. Dzwoniła do Róisín regularnie. Planowały, że Caitlin przyjedzie w odwiedziny do Valleymount, a Róisín nie mogła się już doczekać, kiedy zobaczy Aldringham. tylko że podczas kilku ostatnich rozmów Caitlin wyczuła, że Róisín staje się trochę zazdrosna. Próbowwała wyjaśnić, że nie cierpi tego miejsca, lecz przyjaciółka nie była w stanie pojąć, co jej się tu może nie podobać. Róisín wszystko wydawało się cudowne i wspaniałe: wielki dom, basen, korty...

— Nie mogę teraz rozmawiać — powiedziała, kiedy Caitlin ostatnio do niej zadzwoniła. Rozmawiały zaledwie od dwóch minut. — Idę do kina z Mary i Ann.

Caitlin odłożyła słuchawkę, czując pustkę i smutek. Życie w Valleymount toczyło się dalej — bez niej. Nie może tam już wrócić. Utknęła pomiędzy dwoma światami — nie pasowała do Melville'ow, ale nie była już także tamtą Caitlin O'Dwyer.

Spojrzała z zazdrością na parę w basenie. Nie miało sensu się zastanawiać, jakby to było: należeć do ich paczki. Nigdy nie będzie miała okazji tego sprawdzić.

Pozostała ukryta w swoim pokoju przez resztę dnia. O zmierzchu pani Hutchins, gospodyni, przyniosła jej posiłek. Caitlin była wdzięczna. Zdawała sobie sprawę, że personel ma tego dnia mnóstwo pracy.

— Chętnie zostałabym i trochę z tobą pogawędziła — powiedziała gospodyni, stawiając tacę na toaletce. — Lecz kuchnia pracuje pełną parą, by zdążyć z kolacją na wpół do ósmej. Lepiej tam wróć.

Rzuciła dziewczynie współczujące spojrzenie i wyszła. Caitlin była miłym dzieciakiem, wszyscy spośród personelu tak sądzili. Prawdę mówiąc, z trójki dzieci to ona miała najlepsze maniery, nie zapominając nigdy o takich słowach jak „proszę” czy „dziękuję”. Potwierdzało to starą prawdę, że za pieniądze nie można kupić wszystkiego.

W godzinę później Caitlin skończyła wreszcie książkę. Podeszła do okna. Patio było puste. Elizabeth i jej przyjaciele jedli zapewne kolację. Doskonały moment, by wyjść i zaczerpnąć trochę powietrza.

Zeszła na parter schodami dla personelu. Jadalnia znajdowała się z tyłu domu, musiała więc jakoś ją ominąć. Przemknęła obok tak cicho, jak tylko była w stanie, chociaż odgłosy rozmów, śmiechu oraz pobrzękiwanie sztućców i szkła z pewnością zagłuszyłyby każdy dźwięk.

Na zewnątrz zachodziło słońce. Lecz choć zapadał już zmierzch, powietrze było nadal ciepłe. Caitlin minęła basen i zeszła po kamiennych stopniach. Na dole zamiast skręcić w lewo, ku oświetlonym rzęsiście kortom, skierowała się w przeciwną stronę, schodząc po opadających w dół trawnikach, za którymi znajdował się otoczony murem ogród.

Weszła do środka przez Bramę Żołędzi. Uwielbiała to miejsce, przedkładając przypadkowość i nieład rosnących swobodnie roślin nad wypielegnowane piękno reszty gruntów. W wysokim murze porośniętym obficie bluszczem, w przepychających się ku światłu różach, żonkilach i dzwoneczkach, a także w słodkiej, przyciągającej motyle i pszczoły woni kapryfolium przesycającej powietrze było coś zdecydowanie romantycznego.

Ruszyła ku środkowi ogrodu. To miejsce lubiła najbardziej. Na polance ukrytej za kręgiem buków znajdowała się śliczna sadzawka. Nikt poza nią tam nie bywał. Polanka stała się jej schronieniem. Przychodziła tu, żeby szkicować lub uciec na jakiś czas od domu i Melvil-le'ów. Znalazła tam też starą huśtawkę, zawieszoną na dwóch solidnych konarach. Gdy po raz pierwszy ją zobaczyła, nie była pewna, czy zdoła utrzymać jej ciężar. Stare drzewo było jednak mocne. Potem przychodziła tu często, gdy ogarniało ją przygnębienie. Siedziała, bujając się w przód i w tył i wpatrując w głębokie wody sadzawki. Było to jedyne miejsce, gdzie czuła się spokojna.

Lecz tego wieczoru, kiedy przedarła się przez zarośla i wyszła na polankę, zobaczyła, że ktoś już tam jest. Na huśtawce siedział, kołyszając się od niechcienia w chłodnym wieczornym wiatku i paląc papierosa, chłopak, którego widziała wcześniej w basenie.

Z bliska wydał się Caitlin jeszcze bardziej przystojny: wysoki i krzepki, o imponującej sylwetce gracza w rugby, z oczami równie ciemnymi jak włosy, mocno zarysowaną szczęką i regularnymi rysami. O czym ja myślę, zganiała się w duchu, postępując krok w tył. Był

tak zajęty paleniem, że nie podniósł wzroku. Dotarła już niemal do linii drzew, gdy nadepnięta niebacznie gałązka pękła z głośnym trzaskiem. Cholera! Niemożliwe, by tego nie usłyszał.

I rzeczywiście, usłyszał. Kimkolwiek był, zaskoczony spojrzął w jej stronę.

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi, niebieskimi oczami, wielkimi niczym u przestraszonej łani. Odpowiedział spojrzeniem, o wiele jednak spokojniejszym. W rzeczy samej nie wydawał się ani trochę zaniepokojony. Zaciągnął się z wolna papierosem i zmierzył Caitlin od stóp do głów wzrokiem, zatrzymując wzrok na jej biuście. Poczula, że się rumieni, i otuliła się ciaśniej połami swetra.

— A kim ty, jeśli wolno spytać, jesteś? — zapytał w końcu. Wymawiał słowa cicho, powoli, z rozmyślnym zastanowieniem, przeciągając głoski, jak zwykli to robić ludzie z wyższych sfer.

— Caitlin — dobyło się z jej ust, bardziej pisk niż słowo. Poczula, że rumieniec na twarzy jeszcze się pogłębia, przyjmując barwę szkarłatu.

Uśmiechnął się, jakby go coś rozbawiło.

— Aha — powiedział. — Więc to ty jesteś Caitlin.

Wymówił jej imię bardzo dokładnie, przeciągając sylaby. Zabrzmiało to tak, jakby przywykł do tego, że cały świat czeka z zapartym tchem, aby usłyszeć, co ma do powiedzenia. — Tajemnicza siostra przyrodnia Elizabeth.

Skinęła głową. Opis równie dobry jak każdy inny.

— Zgadza się — odparła, uśmiechając się z zakłopotaniem.

— Cóż, Caitlin — powiedział, cedząc słowa. — Tak się składa, że jestem jednym z najbliższych przyjaciół Elizabeth. Może więc tu podejdziesz — poklepał siedzenie huśtawki — byśmy mogli poznać się trochę lepiej?

Zawahała się na moment, a potem zrobiła, o co ją poprosił. Wszelka myśl o ucieczce ulotniła się jak za sprawą czarów.

— A skoro już o tym mowa, jestem Elliott — powiedział, kiedy usiadła tuż obok niego. — Elliott Falconer.

Wypowiedział swoje nazwisko, jakby spodziewał się, że je rozpozna. Lecz gdy tak się nie stało, wcale się nie przejął. Prawdę mówiąc, wydawał się absolutnie niewzruszony. Dopiero teraz spostrzegła, że

ma na sobie dzinsy i koszulkę rugbyisty. Ciekawe, jak udało mu się uchować, pomyślała. Zdażyła już się przekonać, że w Aldringham przebiera się do kolacji.

Przełożył papieros do lewej ręki i podał jej prawą. Ujęła ją zaskoczona tym, jak chłodna wydaje się jego skóra, powietrze było bowiem ciągle nagrzane.

— Dlaczego dotąd cię nie widziałem? — zapytał.

Milczała, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Zrozumiał najwidoczniej jej dylemat, uśmiechnął się bowiem jeszcze szerzej.

— Niech no zgadnę. Twoja śliczna siostra uznała, że będzie lepiej dla wszystkich, jeśli pozostaniesz ukryta w swoim pokoju?

Caitlin uśmiechnęła się leciutko, lecz się nie odezwała.

— Hmm — zaciągnął się papierosem. — Ta oskarżycielska cisza mówi sama za siebie. — Zerknął na Caitlin z boku, utkwiwszy spojrzenie ciemnych, przenikliwych oczu w jej twarzy. — Nie bierz sobie tego tak bardzo do serca. To nic osobistego. Lizzie taka już jest.

Sięgnął do kieszeni, wyjął paczkę Marlboro i wyciągnął ku niej. Potrząsnęła głową.

— Dzięki, nie palę.

Zaśmiał się cicho. — To dobrze. Okropny nawyk. Stale sobie obiecuję, że go rzucę.

Zapewnienie wywarło skutek odwrotny do zamierzonego. Nagle poczuła się naiwna i zbyt spięta. Elliott palił w milczeniu, a ona zastanawiała się gorączkowo, co by tu mądrego powiedzieć. Oczywiście nic nie przychodziło jej do głowy. Była o krok od tego, aby poprosić jednak o papierosa, choćby po to, żeby podtrzymać rozmowę, lecz nim zdażyła się odezwać, odgłos łamanych gałązek powiedział jej, że ktoś przedziera się ku nim przez krzaki.

Podnieśli oboje wzrok, aby przekonać się, kto to taki. Caitlin rozpoznała ją od razu. To była dziewczyna z basenu, ta, która udawała, że przed nim ucieka. W krótkiej połyskującej sukience, jakiej Caitlin za nic nie odważyłaby się włożyć, wyglądała oszołamiająco wspaniale. Caitlin poczuła rozczarowanie. Żałowała, że im przeszkadzono. Blondynka też nie wydawała się zachwycona.

— Jezu, Elliott, tu jesteś — prychnęła. — Wszędzie cię szukam.

Elliotta to najwidoczniej nic obeszło. Zniknąłem zaledwie na dwadzieścia minut, Morgan. Nic ma potrzeby organizować poszukiwań.

Oczy Morgan zwięzły się. Przeniosła uwagę na Caitlin i zmierzyła ją uważnym spojrzeniem. Caitlin poczuła, że nie spodobało jej się to, co zobaczyła.

— A to kto? — patrzyła nadal na Caitlin, pytanie było jednak skierowane ewidentnie do Elliotta.

— To moja nowa przyjaciółka, Caitlin. — Elliott otoczył ramieniem barki Caitlin i lekko je uściśnął. — Wiesz, siostra przyrodnia Elizabeth.

— Rzeczywiście. — Morgan nie wydawała się poruszona. — Cóż, tak czy inaczej przyszedł ci powiedzieć, że Elizabeth chce podać deser. Czekają tylko na ciebie.

Na Elliottcie nie wywarło to wrażenia. — Jestem pewien, że nie padną z głodu, jeśli poczekają jeszcze pięć minut.

Morgan zacisnęła lekko szczęki. — Rób, co chcesz. Ja wracam.

Rzuciła Caitlin ostatnie lekceważące spojrzenie i ruszyła szybko ku domowi.

Elliott spojrzał na Caitlin i przewrócił teatralnie oczami.

— Cóż, obowiązek wzywa. — Zaciągnął się po raz ostatni papierosem, rzucił go na ziemię i przydeptał. Wstał i lekko się jej uklonił. — Miło było cię poznać, Caitlin.

Patrzyła, jak zmierza, stąpając wyniośle, ku domowi. Może w Greycourt nie będzie jednak tak źle, pomyślała.

Rozdział szósty

Druga niedziela września przyniosła ochłodzenie. Liście zaczynały opadać, zwiastując koniec lata. Tego właśnie dnia trójka dziewcząt z Aldringham spakowała się i wyruszyła do Prywatnej Koedukacyjnej Szkoły Greycourt.

Elizabeth opuściła dom pierwsza, mknąc samotnie Porsche 911 Carrera w kolorze arktycznego srebra, podarowanym jej z okazji siedemnastych urodzin przez Williama. Perkins miał odwiedzić Caitlin i Amber później tego ranka. Jak należało się spodziewać, Amber urządziła pokazową scenę, próbując zabrać trzy kufry i cztery walizki pełne strojów pochodzących z codziennych niemalże wypraw na zakupy, jakie odbywała z matką przez całe lato. Oczywiście bagaż nie zmieścił się do auta,

— Nie możesz zabrać wszystkiego, Amber — próbowała przekonać córkę Isabelle. — W samochodzie nie ma po prostu dość miejsca.

Amber zacisnęła z uporem usta. — Ale ja nie chcę wyglądać jak żebraczka!

I tak to trwało, póki nie wezwano na pomoc Williama.

— To niemożliwe, abyś potrzebowała wszystkich tych ubrań — powiedział znużony. — Przez pięć dni w tygodniu nosisz przecież mundurek...

Amber przyparta do muru postąpiła, jak zwykle w takich sytuacjach — zalała się łzami i uciekła do domu.

Isabelle podążyła za córką. Kiedy mijała Caitlin czekającą spokojnie, aż wygasną fajerwerki, zastanawiała się, na czym polegał se-

kret Katie O'Dwyer. Jak samotna matka mogła wychować tak mile, spokojne dziecko, nie sprawiające w ogóle kłopotów? W porównaniu z jej córkami... Czasami, myśląc o nich, wpadała w rozpacz. Elizabeth była co prawda bystra oraz rozsądna, ale też zimna niczym ryba. A Amber.... Cóż, to piękny dzieciak, absolutnie jednak nieznośny i rozpuszczony. Gdzie popełnili z Williamem błąd?

Po półgodzinie osiągnięto kompromis. Ze względów praktycznych jeden z kufrów miał pozostać w domu. Następnego dnia wyśle się go do Greycourt. Uspokoilo to wreszcie Amber. Łzy w cudowny sposób obeschły i mogli w końcu wyruszyć.

Caitlin spojrzała na Greycourt i poczuła dreszcz oczekiwania. To co zobaczyła, spełniało wszelkie jej wyobrażenia o tym, jak powinna wyglądać angielska szkoła z internatem. Budynek o barwie miodu sprawiał wrażenie starych i dostojnych, ogrody były nieskazitelne, a boiska ciągnęły się hen, po horyzont. W chłodnym, jaskrawym jesiennym słońcu wydały jej się piękne na swój imponujący, wspaniałe sposoby.

Greycourt było czwartą co od wielkości brytyjską szkołą z internatem — po Eton, Millfield i Oundle — i z nich najznakomitszą. Za rok nauki tutaj żądano astronomicznej kwoty trzydziestu tysięcy funtów i było to tyle warte. Założona w roku 1840 przez Davida Greycourta, przemysłowca i filantropa, w celu „kształcenia synów szlachty”, zajmowała obszar stu akrów pasa zieleni, położonego w odległości półtorej mili malowniczego spaceru od pięknego miasteczka Towcester w hrabstwie Northampton.

Choć Greycourt szczyliło się tym, iż dba się tu o tradycje, zarządzający szkołą nauczyli się z upływem lat, że chcąc przetrwać, trzeba nadać za współczesnością. Jak wielu członków tego elitarnego bractwa, postanowili — po gorącej debacie — znieść w 1983 zakaz przyjmowania dziewcząt. Rada szkoły nie miała dotąd powodu, aby żałować tej decyzji. Obecnie Greycourt zapewniało doskonałe wykształcenie niemal tysiącowi uczniów oraz uczennic w wieku pomiędzy jedenastym a osiemnastym rokiem życia. Siedmiuset spośród nich mieszkało w internacie, reszta dojeżdżała co dzień na zajęcia. Archiwa szkoły mówiły same za siebie: dwadzieścia pięć procent

zeszłorocznych absolwentów dostało się do Oxbridge; wyniki, jakie uzyskiwali, regularnie trafiały na szczyt listy *Timesu*, zaś na stronach *Daily Telegraph* poświęconych edukacji ukazał się właśnie pochwalny artykuł na temat szkoły.

William wyjaśnił to Caitlin, kiedy poruszył po raz pierwszy sprawę jej przyszłej edukacji. Jeśli zamierzał sprawić w ten sposób, aby podeszła do wyjazdu z entuzjazmem, to jego plan przyniósł odwrotny skutek. Caitlin nie była sobie bowiem w stanie wyobrazić, że mogłaby do takiego miejsca pasować. Jednak członkowie rodziny Melville'ów od lat kształcili się właśnie tam. Inna możliwość nie wchodziła po prostu w rachubę. Rodzinna tradycja musiała zostać zachowana.

Zazwyczaj uczniów przyjmowano dopiero po zdaniu egzaminów wstępnych i rozmowie kwalifikacyjnej z dyrektorką, doktor Philips. Williamowi udało się jednak spowodować, by nagięto nieco zasady. Co najdziwniejsze, w miarę jak zbliżał się termin wyjazdu, Caitlin odkryła, że niemal się na to cieszy. Po lecie spędzonym w klaustrofobicznym odosobnieniu Aldringham nie mogła już się doczekać zmiany scenerii. Poza tym będzie miała okazję zobaczyć znowu Elliotta.

W wydrukowanej na błyszczącym papierze gazecie reklamowej z dumą informowano czytelnika, że do dyspozycji uczniów pozostaje czternaście internatów zwanych Domami: osiem przeznaczono dla chłopców, a sześć dla dziewcząt. Caitlin została przydzielona do domu zwanego Berrylands, Jagodowa Kraina. Kiedy ujrzała po raz pierwszy jego siedzibę, mimo woli poczuła się rozczarowana. Budynek, ukryty w odległym zakątku kampusu, wzniesiony został w latach sześćdziesiątych, kiedy architektura stała na najniższym poziomie. Nie miał więc za grosz starodawnego uroku wspaniałych neogotyckich budynków stojących bliżej wejścia. Na jego korzyść przemawiał jedynie jagodowy żywopłot obramowujący niewielki ogród. To od niego dom wzięł swoją nazwę.

— Nie spodziewałaś się czegoś tak nowoczesnego, prawda? — spytała pani Collins, opiekunka domu, uśmiechając się z miną osoby dobrze poinformowanej. — Większość uczniów woli mieszkać w którymś ze starszych domów, Gladstone lub Pankhurst. Są piękne w środku, mają dębową boazerię i kręcone schody. Uwierz mi jed-

nak ściszyła konspiracyjnie głos w tym przypadku wygląda to naprawdę nie wszystko. Nie mamy w Berrylands oryginalnych dębowych sufitów, lecz mamy sprawnie działające prysznice, a to o wiele ważniejsze. Hydraulika w tych wiktoriańskich budynkach pozostawia wiele do życzenia.

Caitlin natychmiast polubiła panią Collins. Pulchna kobieta po pięćdziesiątce gawędziła non stop, prowadząc Caitlin do jej pokoju. Każdy dom ma opiekunów, poinformowała dziewczynę, parę małżeńską, uczącą w szkole. Ona uczyła gospodarstwa domowego, zaś jej mąż stał na czele wydziału fizyki.

— Wpadnie później, by się przedstawić — dodała.

Caitlin ulżyło, kiedy spotkała kogoś tak otwartego i przyjaznego. Jak było do przewidzenia, żadna z sióstr nie przejawiała zainteresowania tym, by pomóc jej się rozlokować. Elizabeth była zbyt zajęta: musiała zorganizować zebranie prefektów. Był to jej pierwszy obowiązek jako przewodniczącej wybranej, aby reprezentować w tym roku szkołę. Potem czekał ją trening tenisa. Amber, która rozpoczynała w tym roku naukę w Greycourt, знаła większość kolegów i koleżanek, ponieważ uczestniczyła wraz z nimi w kursie przygotowawczym. Nic zatem dziwnego, że ledwie się pojawiła, natychmiast otoczył ją tłumek chłopców chętnych posłuchać o tym, jak spędziła wakacje. Pokój Caitlin znajdował się na piątym piętrze. Kiedy mijaly wielkie okno w korytarzu, zauważyła, że rozciąga się zeń wspaniały widok. Budynki wzniesione w różnych dekadach ostatnich stu pięćdziesięciu lat otaczały kampus, stanowiąc przykład różnorodności stylów architektonicznych oraz pomnik historii tego miejsca. Wszędzie panował ożywiony ruch. Uczniowie napływali od ósmej rano. Znekani rodzice oraz ich dzieci biegali od samochodów do budynków, wnosząc pudła, kufry i walizki długimi, wąskimi schodami.

— Oto twój pokój — powiedziała pani Collins, odsuwając się od anonimowych beżowych drzwi, oznaczonych jako 5c.

— Zostawię cię, żebyś poznała współlokatorkę. Nazywa się... eee... — Zerknęła szybko na listę. — Tak, umieszczono cię z Gorginą Mitchell. Miła dziewczyna. Jestem pewna, że szybko się dogadacie.

W pokoju nowe współlokatorki przyglądały się sobie badawczo. Caitlin odprężyła się pierwsza. Wystarczyło jedno spojrzenie i już

wiedziała, że ze strony Georginy nic ma się czego obawiać. Jeśli wygląd miałby stanowić jakąś wskazówkę, dziewczyna nie przypominała ani trochę Morgan. Solidnie zbudowana, z szopą krótkich, mocno kręconych włosów i rumianą cerą, sprawiała wrażenie osoby nie troszczącej się o to, co ktoś o niej pomyśli. Ubrana w luźne dżinsy i rozciągnięty podkoszulek, wyglądała niemal jak chłopak.

— Widzę, że lubisz konie — powiedziała Caitlin, wskazując skinnieniem głowy część pokoju zajętą przez Georginę. Było to niedopowiedzenie. Ściany, biurko i wbudowaną szafę zapępniały jeździeckie parafernalia — plakaty przedstawiające zwycięzców Wielkiej Narodowej, zdjęcia Georginy z zawodów jeździeckich oraz trofea, jakie w nich zdobyła.

Georgina się uśmiechnęła. — Pewnie!

Przełamało to lody i nie minęło pół godziny, a dziewczęta już się zaprzyjaźniły. Okazało się, że Georgina — wołała, aby nazywać ją George — również martwiła się tym, iż przyjdzie jej dzielić pokój z jedną z panien Melville.

— Ty jednak wydajesz się w porządku — oznajmiła. — Nie tak jak Elizabeth.

Caitlin się uśmiechnęła. Przeczucie jej nie myliło. Pobyt w Grey-court nic zapowiadał się znowu tak źle. Zastanawiała się przez chwilę, czy George zna Elliotta, uznała jednak, że za wcześnie o to pytać.

W szkole bardzo się starano, by stworzyć wśród uczniów poczucie wspólnoty. Posiłki, podawane we wspaniałej jadalni, celebrowano. Młodsze roczniki — od pierwszego do czwartego — zasiadały do stołu punktualnie o osiemnastej. Uczniowie starszych klas, piątej i szóstej, zbierali się o bardziej cywilizowanej godzinie dziewiętnastej trzydzieści.

Jadalnia jako taka posiadała wystrój stylizowany na salę bankietową z epoki Tudorów: sklepienie sufitu, potężne drewniane belki i wielkie łukowe okna w kamiennych ścianach. Pomieszczenie oświetlały olbrzymie kandelabry — było to ryzykowne ze względów zdrowotnych oraz bezpieczeństwa, lecz kto by się przejmował? Nic nie mogło stanąć na drodze tradycji. Ze ścian spoglądały na jeżdzących portrety poprzednich dyrektorów.

Dwadzieścia po siódmej Caitlin i George weszły do jadalni wraz z gromadą uczniów starszych klas. George wskazała odległy kąt sali. — Moja paczka siada zwykle tam. — Pomachała do jednej z przyjaciółek, która obiecała zająć im miejsca.

Panowała atmosfera ogólnego podekscytowania. Była to pierwsza kolacja nowego roku szkolnego, uczniowie kręcili się więc przez jakiś czas bezładnie, odnawiając znajomości i szukając sobie miejsca. George i Caitiin musiały przedzierać się przez tłum, by dotrzeć do swoich.

Gdy przeciskała się pomiędzy ścianą a plecami krzepkiego rug-bysty, mignęła jej w tłumie znajoma twarz. To był Elliott. Wsparty o boazerię, rozmawiał swobodnie z kilkoma dziewczętami. Otarła spocone nagle dłonie o dzinsy, zastanawiając się gorączkowo, co by tu mądrego powiedzieć. Nic nie przychodziło jej do głowy. Kiedy się więc z nim zrównała, uśmiechnęła się tylko nieśmiało i zwolniła.

— Cześć, Elliott.

— Cześć. — Spoglądał na Caitiin przez chwilę zakłopotany, nim ją rozpoznał. — Siostra Elizabeth, tak?

— Caitiin — podpowiedziała, starając się nie czuć rozczarowania z powodu tego, że nie pamiętał, jak ma na imię.

Skinął głową. — Tak, Caitiin. Jasne. — Rozciągnął wargi w powolnym, leniwym uśmiechu i Caitiin zapało dech. — Wiedziałem. Miło cię znowu zobaczyć.

A potem odwrócił się do siedzącej obok ładnej rudowłosej dziewczyny i kontynuował rozmowę z nią.

Caitiin stała, czując się trochę głupio. Przez kilka ostatnich tygodni fantazjowała o tym, jak to będzie, spotkać się z nim znowu. A teraz było po wszystkim. Ledwie na nią spojrzał. Próbowwała wymyślić coś jeszcze, co mogłaby mu powiedzieć. Nie zdążyła jednak, gdyż George chwyciła ją za rękę.

— Rusz się, nauczyciele zaraz tu wejdą, a wtedy musimy siedzieć już na swoich miejscach.

Caitiin nie miała wyboru: musiała podążyć za przyjaciółką.

— Znasz Elliotta? — spytała, gdy oddaliły się od jego grupy.

— Wszyscy znają Elliotta Falconera. — Zostało to powiedziane tonem, który nie wydał się Caitiin szczególnie pochlebny. George

zatrzymała się i spojrzała na Caitiin. — Dlaczego pytasz? Kiedy go poznałaś?

Caitiin szybko wyjaśniła. — Wydał mi się całkiem sympatyczny — dodała, pragnąc usłyszeć, co sądzi o nim George.

Przyjaciółka prychnęła z lekceważeniem. — Tak. Elliott potrafi być czarujący, jeśli chce.

— Jak dobrze go znasz? — naciskała Caitiin. — Jesteście przyjaciółmi?

George nie odpowiedziała od razu. Dopiero kiedy usiadły i przedstawiła wszystkim Caitiin, spojrzała na przyjaciółkę spod oka i wyjaśniła:

— Posłuchaj, musisz zrozumieć jedno: tu, w Greycourt, panuje ścisła hierarchia. Tacy jak my — wskazała gromadkę przyjaciół na ławce — nie przyjaźnią się z ludźmi pokroju Elliotta i Morgan. I szczerze mówiąc, tak jest lepiej.

Zanim Caitiin zdążyła odpowiedzieć, rozległ się gong, uciszając gwar. Zaskrzypiały odsuwane ławy. Uczniowie wstali. Po chwili do jadalni weszli nauczyciele, kierując się ku przeznaczonemu dla nich stołowi. Kiedy usiedli, na środek wyszła Elizabeth. Wszyscy pochylili głowy. Jako przewodnicząca, miała rozpocząć oficjalnie rok szkolny, odmawiając starą modlitwę. Po chwili w sali rozbrzmiał jej dźwięczny, czysty głos.

— *Benedic, Domine, nos et dona tua...* Pobłogosław, Panie, nas i dary Twoje...

Podczas posiłku Caitiin próbowała skupić się na tym, co mówią George i jej przyjaciółki. Wydawały się być miłymi, rozsądnymi dziewczętami, takimi jak sama George. Jej wzrok umykał jednak co rusz ku stołowi, gdzie siedział Elliott. Wszyscy wokół niego wydawali się tak spokojni i pewni siebie. Chłopcy byli przystojni, dziewczęta smukłe i ładne. Caitiin spojrzała na otaczające ją, swobodnie ubrane i nieprzesadnie zadbane towarzyszki. Teraz widziała jasno, że George miała rację: te dwie grupy nie mieszały się ze sobą. W Świętym Krzyżu, w Irlandii, byłoby to niemożliwe. Szkoła była za mała, by mogły utworzyć się koterie. Oto kolejna zmiana, do której będą musiała przywyknąć, pomyślała.

Rozdział siódmy

Pierwszy miesiąc w Greycourt minął z zastraszającą szybkością, głównie z powodu natłoku spraw, do których musiała przywyknąć. Przywileje otaczały ją na każdym kroku. Warunki były wręcz niewiarygodne. Uczniowie mieli do dyspozycji sale do szermierki i judo, kryty basen olimpijskich rozmiarów i dziewięciodołkowe pole golfowe. Caitlin nie mogła się powstrzymać, by nie porównywać tej szkoły ze Świętym Krzyżem. Oba miejsca dzieliły galaktyki.

A już najbardziej było to widoczne podczas lekcji. W Greycourt ceniono waleczność i pęd do wiedzy. Motto szkoły — *Sapere Aude*, Miej odwagę być mądrym — jasno to uwidaczniało. Współzawodnictwo było brutalne. Caitlin szybko się o tym przekonała. Sekretarka szkoły wręczyła jej co prawda plan kampusu, odbitka była jednak tak kiepskiej jakości, że Caitlin szybko zgubiła się w labiryncie mrocznych korytarzy. Żaden z uczniów śpieszących kruzgankami nie zatrzymał się, by pomóc nowej koleżance.

Spóźniła się w związku z tym kwadrans na pierwszą lekcję, angielski. Pan Reynolds, podobny do gryzonia mężczyzna z upodobaniem do tweedu, nie był zainteresowany jej usprawiedliwieniami.

— W przyszłości proszę być w klasie na czas, panno Melville — powiedział, demonstracyjnie znudzony. — Inaczej Berrylands straci dziesięć punktów.

Caitlin znalazła sobie miejsce z tyłu. Otaczały ją nieznanymi twarzami. Uczniów podzielono w zależności od tego, jak oceniano ich potencjał. Niestety, George i jej przyjaciółki znalazły się w klasie dla

najzdolniejszych. Caitlin upchnięło na oddziale dla mniej utalentowanych — „Póki nie okaże się, ile jest warta”, powiedziała rankiem tego dnia dyrektorka. Caitlin szybko zaczęła podejrzewać, że już tu zostanie.

Lekcja dotyczyła twórczości poetów metafizycznych i zapewniła Caitlin wgląd w darwinowskie podejście szkoły do nauczania: przetrwać mieli tylko najsilniejsi. Pan Reynolds czytał na głos sonety, wyznaczając od czasu do czasu któregoś z uczniów, by zinterpretował słynne koncepty Donne'a. Jeśli delikwent nie odpowiedział prawidłowo, pan Reynolds głośno jęczał, podczas gdy reszta klasy chichotała.

W końcu nadeszła kolej Caitlin. Pan Reynolds stanął nad jej ławką i burknął: — Panna Melville! *Pożegnanie*. Klasyczny wiersz Donne'a. Co może mi pani o nim powiedzieć?

Jedenaście par oczu, chętnych ją ocenić, utkwilo w Caitlin zaciekawione spojrzenie. Caitlin wbiła wzrok w zeszyt, próbując zebrać myśli. Jednak pan Reynolds nic zamierzał dać jej po temu szansy.

— Czas minął, panno Melville! — Odwrócił się do reszty klasy. — Ktoś chciałby zabrać głos?

Tuzin rąk wystrzeliło momentalnie ku górze.

— Tak, panno Adams? — nauczyciel ruszył ku wyróżniającej się urodą brunetce. — Mogłaby pani oświecić nas tam, gdzie panna Melville nie zdołała?

— Donne wprowadza tu jedną ze swych najbardziej znanych koncepcji — powiedziała brunetka, spoglądając z lekceważeniem na Caitlin. — Dwoje kochanków porównuje do dwóch ramion cyrkla. Na pierwszy rzut oka może się to wydawać śmieszne, lecz w pozostałej części wiersza Donne udowadnia, że porównanie ma sens.

Kiedy mówiła, pan Reynolds ochoczo przytakiwał.

— Dobrze, dobrze, panno Adams — powiedział. Brunetka rozpromieniła się, dumna z pochwały. — A w jaki sposób to robi?

Przez resztę lekcji Caitlin próbowała nadażyć za klasą, czuła jednak, że coraz bardziej odstaje. A nie była to przecież klasa dla najzdolniejszych...

— Za nic nic zdążę odrobić pracy domowej — poskarżyła się przyjaciółce któregoś dnia w pierwszym tygodniu nauki, zmagając

się z trygonometrią. Siedziała nad zadaniem już od dwudziestu minut i nadal nic wiedziała, jak je rozwiązać. A zostało jej jeszcze piętnaście, nim będzie mogła pójść wreszcie spać.

George zerknęła na zadanie. — Nie martw się, zaraz ci w tym pomogę. — Skinęła głową, wskazując leżący przed nią podręcznik do geografii. — Daj mi pięć minut, bym mogła to skończyć.

Dotrzymała słowa i wytłumaczyła lekcję tak, że Caitlin wiedziała dokładnie, co ma robić. Caitlin nic była tym zaskoczona. George miała naturę uczonego. Nie lubiła jednak rywalizacji, dlatego wylądowała w Berrylands.

Caitlin odkryła wkrótce, iż każdy z domów ma odrębny charakter. Dyrektorka przeprowadzała z kandydatem rozmowę, aby przekonać się, gdzie najlepiej byłoby go umieścić. Dla większości uczniów Berrylands było żartem. Zachęcano ich do rywalizacji, przydzielając punkty za stopnie i osiągnięcia w sporcie. Co roku publikowano wyniki współzawodnictwa.

— Berrylands zajmuje zawsze ostatnie miejsce — poinformowała Caitlin radośnie George.

Porządek dziobania obowiązywał w szkole na każdym kroku. Jak zaobserwowała pierwszego wieczoru, istniał ścisły podział na tych, którzy cieszyli się popularnością i pozostałych. Stawiało to Elliotta daleko poza jej zasięgiem. Nie tylko był od niej o dwa lata starszy, ale należał też do elity szkoły. Przyjaźń z George i jej paczką oznaczała, że nigdy nie znajdzie się na ekranie jego radaru.

Działało to w obie strony. George i jej przyjaciółki także nie miały dla tamtych czasu.

— Spójrzcie tylko na Barbie — powiedziała George z pogardą, wskazując siedzącą po drugiej stronie sali Morgan. — Nie wiem, po co w ogóle nakłada sobie jedzenie. I tak za pół godziny je wyrzyga.

Zaśmiała się i wszyscy jej zawtórowali. Caitlin nie mogła się jednak powstrzymać, aby nie zerkać tęsknie na Elliotta. Część niej — płytka i powierzchowna, dobrze o tym wiedziała — zastanawiała się, jakie to uczucie, należeć do jego paczki.

Jedynie lekcje plastyki sprawiały jej przyjemność. Zwłaszcza iż doskonale dogadywała się z panem Wrightem odpowiadającym za

nauczanie przedmiotów artystycznych. Sympatyczny mężczyzna już po czterdziestce miał talent do przekazywania wiedzy. Rada szkoły nie była co prawda zachwycona niekonwencjonalnym stylem ubierania się profesora — preferował czarne podkoszulki z wizerunkiem Black Sabbath i czarne dżinsy, a w jego lewym uchu tkwił, połyskując prowokacyjnie, diamentowy kolczyk — osiągał jednak dobre rezultaty, więc go tolerowano.

Pod koniec pierwszej lekcji poprosił Caitlin, by została trochę dłużej. Niema! spodziewała się usłyszeć, że nie spełnia oczekiwań. Zamiast tego zapytał ją, czy nie chciałaby uczyć w środy i piątki na prowadzone przez niego po południu zajęcia pozalekcyjne.

— Przeznaczone są głównie dla uczniów szóstej klasy, uważam jednak, że mogłabyś wiele się nauczyć. Oczywiście jeśli będziesz chciała.

Miał na myśli to, że zaproszenie do uczestnictwa w nich powinna poczytać sobie za przywilej.

Zajęcia dostarczyły jej więcej przyjemności, niż się spodziewała. Przeznaczone były dla uczniów zamierzających uczyć w przyszłości na uczelni artystyczne, studentów zachęcano więc, by eksperymentowali, szukając własnego stylu. Po raz pierwszy Caitlin trafiła się okazja, aby zabłysnąć.

Jedyny problem polegał na tym, że w zajęciach uczestniczyła też Morgan.

Ponieważ odbywały się one po południu, mundurki nie były wymagane. Pierwszego dnia Caitlin pojawiła się więc w długiej kasztanowej spódnicy i oliwkowym podkoszulku z rękawami. Kiedy szła do swoich sztalug, Morgan pochyliła się ku sąsiadce i powiedziała scenicznym szeptem:

— Boże, co ona *ma* na sobie?

— Nie wiem — zachichotała przyjaciółka. — Chyba sądzi, że styl hippie znowu jest w modzie!

Caitlin zignorowała drwiącą uwagę, sądząc, że Morgan w końcu się znudzi i da jej spokój. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Sytuacja się nie poprawiła, zwłaszcza gdy wyszło na jaw, jak utalentowana jest Caitlin. Morgan przywykła do tego, że jest najlepsza, jeśli chodzi o zajęcia plastyczne i nie zamierzała dać się zdetronizować.

Caitlin odsunęła się od sztalug, by pan Wright mógł zobaczyć, nad czym pracuje. Dwa tygodnie wcześniej przedstawił klasie nowy projekt zatytułowany: „Mój alternatywny autoportret”. Caitlin zdecydowała się zobrazować zmiany, jakie zaszły w jej życiu w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Podzieliła płótno na dziewięć kwadratów, z których każdy przedstawiał scenę z jej życia. Cała dziewiątka zaś, zebrana razem, tworzyła duży portret.

Teraz miała przedstawić swoje dzieło panu Wrightowi i niecierpliwie czekała na jego opinię. Wpatrywał się przez długą chwilę w płótno, a potem jął kiwać potakująco głową.

— Jest dobry — powiedział zamyślony.

Wpatrywał się w obraz jeszcze przez kilka chwil, a potem oderwał od niego wzrok i spojrzał na Caitlin. Minę miał śmiertelnie poważną.

— Powinienem powiedzieć, że więcej niż dobry. Jest wyjątkowy.

— Przykucnął obok niej. — Wiesz, galeria Saatchi organizuje co rok konkurs dla uczniów. Uważam, że powinnaś się zgłosić. Jeśli wygrasz, twoja praca zostanie wystawiona w galerii i będziesz mogła ubiegać się o stypendium którejs z renomowanych uczelni artystycznych.

Cisza, jaka zapadła nagle w klasie, świadczyła o tym, że wszyscy usłyszeli tę bezprzykładną pochwałę. Morgan uniosła raptownie głowę i spojrzała naburmuszona na Caitlin.

Pan Wright wpatrywał się w jej pracę jeszcze przez chwilę, a potem ruszył w obchód klasy, udzielając w zależności od potrzeb pochwał lub rad. W końcu dotarł do Morgan. Uśmiechała się z miną wyrażającą absolutną pewność siebie. Praca, olej na płótnie, przedstawiała autorkę namalowaną tak, jak zrobiłby to Picasso w okresie zafascynowania kubizmem.

Pan Wright przyglądał się dziełu przez chwilę, zmarszczywszy brwi. — Morgan — powiedział w końcu — nie zrozumiałaś chyba, o co chodziło w tym ćwiczeniu.

Morgan przestała się uśmiechać.

— Technicznie obraz jest dobry, lecz autoportret powinien wyrażać osobowość artysty, być wynikiem podróży w głąb samego siebie

— wyjaśnił łagodnie. — Odzwierciedlać samą istotę malarza. Ty zaś

pokazujesz, mi swój portret namalowany w stylu Picassa. To nie mówi mi nic o tobie.

Morgan oblala się rumieńcem, lecz pan Wright chyba tego nie zauważył, kontynuował bowiem niewzruszenie: — Zajęcia już prawie się skończyły. Spróbuj wykorzystać weekend, by zastanowić się, co chciałabyś o sobie powiedzieć, i w jaki sposób.

Nim Morgan zdążyła zareagować, rozległ się dzwonek. Uczniowie zaczęli się rozchodzić, rozmawiając o planach na weekend. Caitlin była ostatnia w kolejce do mycia pędzli. Ledwie wróciła z nimi do sztalug, kiedy podeszła do niej Morgan z jedną ze swoich kumpelek. Spojrzała z lekceważeniem na obraz Caitlin.

— Nie wiem, co w tym takiego wyjątkowego — powiedziała na tyle głośno, by Caitlin ją usłyszała.

— Panu Wrightowi jest jej zapewne żal — podsunęła usłużnie przyjaciółka.

George przyszła, by spotkać się z Caitlin po zajęciach. Było piątkowe popołudnie i dziewczęta zaplanowały wyprawę na czekoladę i ciastka do herbaciarni The Little Tea Shop na Waitting Street. George usłyszała wredny komentarz Morgan i potrząsnęła głową.

— Nie przejmuj się nimi — powiedziała. — Są po prostu zazdrosne.

Caitlin odpowiedziała słabym uśmiechem. To, że George miała rację, jakoś nie pomagało.

W okolicy Towcester znajdowało się mnóstwo ciekawych wiejskich pubów. White Hart, Biały Jeleń, do nich nie należał. Obskurny lokal na rogatkach miasta, gdzie podłogi lepily się od brudu, a w toalecie nigdy nie było papieru, cuchnął zastałym dymem tytoniowym i piwem. Jednak właściciel nie był przesadnie dociekliwy i nie zaglądał gościom w metryki, dlatego szóstoklasiści z Greycourt często tam zaglądali.

Był piątkowy wieczór i Elliott Falconer rezydował jak zwykle przy końcu baru, otoczony dworem. Poczuł, że Morgan przesuwając pod zniszczonym blatem dłoń w górę jego uda, a potem pociera knykciami krocze. Westchnął. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, było kolejne przypadkowe bzykanko z niezrównoważoną byłą dziewczyną.

Sięgnął w dół i odsunął jej dłoń.

— Daj spokój, Morgan.

Powiedział to rozmyślnie szorstkim tonem, nie pozostawiającym wątpliwości, iż mówi poważnie. Ostatnio niewiele z tego co mówił, do niej docierało. Ile razy można komuś powtarzać, że wszystko skończone? Choć może upijanie się i sypianie z nią co kilka tygodni nie było najlepszym pomysłem, jeśli rzeczywiście chciał, by dała mu spokój...

— Dlaczego nie poderwiesz sobie kogoś innego? — Wskazał skinieniem dalszą część sali. — Na przykład tamtego faceta w rogu? Wydaje się dość zdesperowany.

Całe towarzystwo odwróciło się, by sprawdzić, kogo ma na myśli. Okazało się, że to podtatusiały, łysiejący facet po pięćdziesiątce. Parsknęli zgodnym śmiechem. Wszyscy poza Morgan.

— Pieprz się — odparła nachmurzona.

Przekleństwo wypowiedziane kulturalnym głosem osoby z wyższych sfer zabrzmiało tak absurdalnie, że wszyscy znowu się roześmieli.

Elliott odstawił kufel. To niepodobne do Morgan, reagować tak przesadnie na jego docinki. Zwykle znosiła cierpliwie każdą kpinę. W Greycourt tylko on mógł traktować ją jak gówno i uchodziło mu to na sucho.

— Co się z tobą dzieje? — zapytał.

— Nic — odparła, odwracając wzrok.

Już miał dać spokój wypytywaniu, zwłaszcza że i tak nic go to nie obchodziło. Lecz potem Lucille Lewis, której Morgan od czasu do czasu się zwierzała, powiedziała coś ciekawego.

— Chodzi o Caitlin Melville. — Jak większość dziewcząt w Greycourt, Lucille gotowa była zdradzić czyjeś zaufanie, jeśli mogło jej to zaskarbić choćby chwilowe zainteresowanie ze strony Elliotta. — Została nową ulubienicą pana Wrighta i Morgan jest zazdrosna.

Morgan rzuciła Lucille pełne furii spojrzenie. Nie życzyła sobie, aby poniżający incydent w klasie przedostał się do publicznej wiadomości.

— Nie bądź głupia — powiedziała szybko. — Jestem po prostu zmęczona.

Elliott zorientował się jednak, że kłamie, i nie potrafił się powstrzymać, by nie dolać oliwy do ognia.

— Caitlin Melville — powiedział z namysłem, uśmiechając się leniwie. — O tak, pamiętam ją. Gorąca sztuka.

Morgan zeszywniała.

— Nie bądź śmieszny. Wzruszył ramionami.

— Nie jestem. To laska.

Chłopcy przy stole zaszemrali potakująco. Caitlin, nawet o tym nie wiedząc, stała się obiektem pożądania napakowanych hormonami kolegów. Rozmawiając o niej w szatni, stwierdzili zgodnie, że nie należy do dziewcząt, z jakimi zwykle się umawiali. Była cicha, nieśmiała nawet. A ta jej paczka — nudne, kiepsko ubrane lesby, takie jak George Mitchell. No i nie robiła nic, by zwrócić na siebie uwagę. Inne dziewczęta skracaly po cichu spódniczki albo nosiły o numer za małe. Nic Caitlin. Nie malowała się, a kruczoczarne włosy ściągała w koński ogon. Ale i tak nie miało to znaczenia. Jej naturalna uroda — kremowa cera, ciemnoniebieskie oczy i pełne, odęte usta — nie wymagała żadnych poprawek. No i ta zwalająca z nóg figura... Podczas gdy Elizabeth była gibka i wysportowana, ciało Caitlin składało się z prerafaelickich krzywizn.

— Taaa. — Spojrzenie Elliotta przybrało nieobecny wyraz. Wcześniej tego wieczoru, w jadalni, stanął jej rozmyślnie na drodze, zmuszając, by się koło niego przecisnęła. Pamiętał jeszcze, jak to było, poczuć na torsie dotyk jej piersi. Musi nosić miseczkę D, ocenił. Co najmniej D. W szkole, gdzie większość dziewcząt albo w ogóle nie jadła, albo zwracała to, co zjadła, przyzwoitych rozmiarów biust był rzadkością, dostrzeganą i wysoko cenioną.

— Zdecydowanie super.

Morgan zacisnęła usta. Nie znosiła, gdy komplementowano inne dziewczęta. A już to, że chłopakom spodobała się ta mała wieśniara, naprawdę jej dopiekło.

— I tak ci się z nią nie uda — prychnęła. — Dziewica Maryja nie zamierza rozłożyć nóg.

Elliott uśmiechnął się z pewnością siebie wynikającą z faktu, iż przespał się z połową klasy i zdawał sobie sprawę, że jeśli tylko ze-

chce, bez trudu zaliczy też drugą połowę. Zauważył, że Caitlin wodzi za nim ciełym spojrzeniem.

Nie byłbym taki pewny — powiedział z charakterystyczną dla niego arogancją.

Odpowiedziały mu chóralne gwizdy i pohukiwania.

— To brzmi jak wyzwanie — zauważył Sebastian Ashford, najlepszy przyjaciel i współlokator Elliotta.

— Stawiam pięćdziesiąt funciaków na to, że nic zdołasz dobrać się do niej przed Balem Śnieżki — dodał brat Scba, Nicholas.

Bracia Ashford, obdarzeni przez naturę jasnymi, miękkimi włosami i delikatnymi rysami, byli przystojni w sposób niemal dziewczęcy. Ich uroda nie sięgała jednak głębiej, byli bowiem wyjątkowo cyniczni i zdemoralizowani. Niejedna z siedzących teraz przy stole dziewcząt nie potrafiłaby z całą pewnością powiedzieć, z którym z nich spała. A może robili to z nią na zmianę? Ich bystre umysły domagały się ciągłego pobudzania, to wyzwanie wydawało się zaś równie dobre jak każde inne, by ich zabawić — przynajmniej przez chwilę.

Elliott rozejrzał się pośpiesznie po sali, by sprawdzić, czy w zasięgu słuchu nic ma Elizabeth Melville. Może i nie spędzała z siostrą zbyt wiele czasu, miał jednak przeczucie, że to by się jej nie spodobało. Dopiero kiedy upewnił się, że nigdzie jej nie widać, skinął głową i powiedział: — Stoi.

W pół godziny później zakłady zostały poczynione. Elliott mógł wygrać — lub przegrać — dużą sumę. Pieniądze nie stanowiły problemu. Pokażne kieszonkowe pokryje z pewnością ewentualne straty. Chodziło raczej o reputację uwodziciela, któremu nie sposób się oprzeć. Cenił ją sobie i nie zamierzał stracić. W żadnym razie.

Nietrudno mu było znaleźć pretekst, by zagadnąć Caitlin.

W poniedziałek w porze lunchu podsłuchał, jak dwaj palanci z kółka teatralnego rozmawiają o niej w świetlicy. Najwidoczniej udało im się namówić dziewczynę, aby zrobiła dekoracje do następnej wystawianej przez kółko sztuki, *Opowieści zimowej*. Powiedziała jednemu z nich, Robowi Greenwayowi, że wysokie na siedem stóp kolumny, które zaprojektowała do aktu pierwszego, zdążyły już wyschnąć.

Mieli spotkać się z nią po lekcjach w pracowni i znieść dekoracje na dół, do holu. Elliott zwietrzył okazję. Bez trudu namówił Roba, żeby pozwolił się zastąpić.

Wszedł do pracowni i przywitał się z Caitlin jak stary przyjaciel. Posunął się nawet do tego, by się poskarżyć, iż nie widuje jej zbyt często, odkąd zaczął się semestr. Caitlin pomyślała, że przecież mijała go w różnych miejscach co najmniej tuzin razy i zawsze ją ignorował. Natychmiast jednak o tym zapomniała.

Przyglądała się, jak podnosi bez trudu jedną z kolumn. Tuż obok Paul Edmunds, drugi członek zespołu odpowiadającego za przeniesienie scenografii, zmagął się ze swoją.

— Nie wiedziałam, że działasz w kółku teatralnym — zauważyła, gdy ruszył ku teatrowi.

Wzruszył nonszalancko ramionami. — Och, pomagam im od czasu do czasu. — Uśmiechnął się. — Głównie gdy trzeba przenieść coś ciężkiego.

Paul prychnął zdegustowany. Elliott rzucił mu gniewne spojrzenie i zerknął znowu na Caitlin. Niczego nie zauważyła. Zbyt była zajęta zamartwianiem się o to, że ma na sobie poplamione farbą dzinsy i bezkształtny podkoszulek.

— Cóż, ruszajmy z tym...

Caitlin nie chciała, by to popołudnie się skończyło. Na szczęście Elliott nigdzie się nie spieszył. Kiedy przenieśli dekoracje, a Paul dyskretnie się ulotnił, oparł się o ścianę i obdarował Caitlin powolnym, leniwym uśmiechem, od którego zawsze łaskotało ją w brzuchu.

— Masz czas na kawę? — spytał. — Moglibyśmy pojechać do miasta...

Caitlin się zawahała. — Nie mogę — powiedziała z żalem. — Obiecałam George, że przyjdę popatrzeć, jak jeździ. O czwartej staje do zawodów.

To ją wystaw, pomyślał. Nie powiedział jednak tego głośno. Większość dziewcząt porzuciłaby z radością przyjaciółkę, by spędzić z nim choć godzinę, czuł jednak, że Caitlin taka nie jest.

— To kiedy masz czas? — zapytał, starając się, aby zabrzmiało to tak, jakby odmowa sprawiła mu przykrość. — Chyba że była to jedynie wymówka i tak naprawdę wcale nie chcesz się ze mną umówić...

Może w sobotę? - zaproponowała z ledwie skrywanym entuzjazmem.
Elliott nic dał się jednak oszukać. Uśmiechnął się leniwie. - Sobota będzie doskonała.

Twarz Caitlin wyjaśniała, potwierdzając odczucia Elliotta. To będzie łatwizna, pomyślał.

Rozdział ósmy

Elizabeth nie była pewna, kiedy zobaczyta po raz pierwszy Caitlin i Elliotta razem. Miała w tym semestrze wyjątkowo dużo zajęć: cztery przedmioty na najwyższym poziomie, obowiązki przewodniczącej, zajęcia dodatkowe, starania o przyjęcie do Cambridge i organizowanie Balu Śnieżki... Wszystko to sprawiało, że na rozrywki nie zostawało jej zbyt wiele czasu. Nic miała także ochoty pójść w tamtą sobotę na mecz rugby. Przychodziły jej na myśl lepsze zajęcia, niż stanie w listopadowej mżawce i obserwowanie, jak trzydziestu mężczyzn ugania się po błotnistym boisku. Grali jednak z Oundle, największym rywalem Greycourt, więc jako przewodniczącej nie wypadało jej tego zlekceważyć. Należało przyjść i dodawać otuchy zawodnikom. Skuliła się więc na bocznej linii wraz z gromadką zaprzysięgłych kibiców.

Do końca meczu zostały już tylko dwie minuty, a Greycourt przegrywało trzema punktami. Sebastian, jeden ze środkowych napastników, przekazał piłkę Elliottowi grającemu na pozycji fly-half. Ten popędził wzdłuż boiska, mijając obrońców Oundle... Tłum zakrzyknął, kiedy umieścił piłkę na polu bramkowym i strzelił gola, zapewniając w jednej chwili swojej drużynie dwupunktową przewagę.

Elizabeth klaskała i wznosiła triumfalne okrzyki wraz z innymi. Przewróciła oczami widząc, jak Elliott biegnie przez boisko, przybijając po drodze piątki kolegom z drużyny. Ależ ten facet uwielbia odgrywać bohatera, pomyślała. Przyglądała się rozbawiona, jak podchodzi do gromadki wielbicielek. Wybrał jedną z nich, pochwycił i zawirował z nią w objęciach. Elliott ma więc nową dziewczynę,

pomyślała. Biedna kretynka. Romans nie potrwa długo, to pewne. W końcu Elliott postawił dziewczynę. Rozmawiali przez chwilę, a potem ją pocałował i ruszył ku szatniom. Przebiegł około dwudziestu metrów, po czym odwrócił się i coś zawołał. Obiekt jego zainteresowania odwrócił głowę i Elizabeth mogła zobaczyć twarz dziewczyny.

Zamrugła raz, potem drugi.

Co tu się u diabła dzieje? pomyślała zaskoczona.

Po meczu w stołówce podano poczęstunek. Gdy tylko się tam znalazła, odszukała Morgan. Jeśli ktokolwiek wiedział, co zaszło pomiędzy Elliottem i Caitlin, tym kimś mogła być jedynie ona.

— To prawda? — zapytała.

Morgan podążyła za nią spojrzeniem ku Caitlin i Elliottowi. — Co mianowicie? — spytała, próbując zyskać na czasie.

— Ze Caitlin i Elliott się spotykają? Morgan wzruszyła ramionami. — Chyba tak...

— Od jak dawna?

— Od kilku tygodni... — przyznała Morgan niechętnie. — Może dłużej.

Elizabeth potrząsnęła z niedowierzaniem głową. Jak mogła tego nie zauważyć? No dobrze, nie spędzała w tym roku zbyt wiele czasu ze swoją paczką. Mimo to...

Pomyślała z poczuciem winy o obietnicy, jaką złożyła ojcu. Wezwał ją do gabinetu w wieczór przed ich wyjazdem i poprosił, by miała Caitlin na oku. Tymczasem odkąd przyjechały, rozmawiała z siostrą zaledwie kilka razy.

— Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? — spytała Morgan.

— Sama nie wiem... Nic uważałam chyba, że to ważne.

— Nie uważałaś...? — spytała Elizabeth drwiąco. — Na ogół wystarczy, że inna dziewczyna choćby spojrzy na Elliotta, a ty wyglądasz, jakbyś chciała ją zamordować.

Morgan zacisnęła wargi. — Co mam ci powiedzieć? Chyba wreszcie mi przeszło.

Elizabeth zastanawiała się nad tym przez chwilę. Nie była pewna, czy powinna uwierzyć Morgan. Lecz jaki mogłaby mieć powód, by kłamać...

— Więc to poważne? — spytała w końcu.

— Skąd mam wiedzieć? prychnęła Morgan. Nie podobało jej się to wypytywanie. Wiedziała, że Elizabeth jest od niej bystrzejsza i bała się, że jeśli przyjaciółka zechce zadać sobie trud, aby ją podejść, może odkryć coś, czego wiedzieć nie powinna. — Dlaczego nie zapytasz ich?

Elizabeth spojrzała na drugi koniec stołówki, gdzie Elliott i Caitlin pili razem sok. Choć raz Morgan miała rację: musi dowiedzieć się, o co tu chodzi, z pierwszej ręki. Czuła jednak, że lepiej będzie poczekać i dopaść jedno z nich na osobności.

Caitlin odsunęła się od chłopaka.

— Nie, Elliott. — Spojrzała na drzwi, na krzesło wsunięte pod klamkę na wypadek, gdyby wrócił któryś ze współlokatorów Elliotta. — Myślę, że powinniśmy przestać.

— Naprawdę? — Spojrzył na nią. W miękkim świetle nocnej lampki dostrzegła w jego ciemnych, inteligentnych oczach rozbawienie. Domyślał się, że nie mówi poważnie.

Pochylił głowę i pocałował ją znowu. Po chwili westchnęła cicho i wiedział już, że ją ma. Powoli, z wprawą, przewrócił Caitlin na plecy. Pojedyncze łóżko zatrzeszczało pod ciężarem dwojga ciał. Tym razem, kiedy poczuła, że unosi spódniczkę z szarej wełny, pieszcząc delikatnie jedną dłonią wewnątrz jej uda, a drugą odpinając guziki bluzki, nie zaprotestowała.

A to dlatego, że wcale nie chciała, by przestał. Przeciwnie, w głębi duszy pragnęła, by kontynuował, chciała się dowiedzieć, jak by to było, poczuć, jak jego palce wsuwają się pod białe bawełniane majtki, jakie noszono powszechnie w Greycourt, dotykają pulsującego tęnym bólem miejsca pomiędzy nogami. Ten ból, to pulsowanie pojawiało się tam za każdym razem, gdy Elliott był w pobliżu. Jeszcze miesiąc temu nie była w stanie sobie wyobrazić, że mogłaby czuć coś takiego. Uważała się za dziewczynę rozsądną, lecz tam, gdzie chodziło o Elliotta Falconera, nie była w stanie myśleć jasno. A on o tym wiedział.

Zaczął się tamtego dnia w pracowni. Następnej soboty pojechali po lunchu do Northampton. Caitlin poświęciła na przygotowania cały ranek. Po raz pierwszy aż tak przejmowała się wyglądem. George nie mogła jej pomóc, skończyło się więc tak, że poprosiła o radę Lu-

Cille Lewis, pełniąca w Berrylands rolę wyroczni mody. I choć Lucille przyjaźniła się z Morgan, okazała się nadzwyczaj miła. O jedenastej Caitlin miała już na sobie obcisłe lewisy Lucille zamiast bezkształtnych dzinsów marki Dunns, które zwykła nosić, oraz nieprzyzwoicie opięty sweter. Lucille pomogła wysuszyć i wyprostować szaleńczo poskręcane włosy Caitlin tak, że spływały połyskliwą, czarną jak heban falą niemal do pasa, a nawet skłoniła koleżankę, by nieco się umalowała. Rezultat zadowolił Caitlin — spojrzała w lustro i uznała, że wygląda prawie tak dobrze jak dziewczęta, którymi zwykle otaczał się Elliott.

Mieli spotkać się w jej pokoju o drugiej. Czekala i czekała, ignorując spojrzenia George sugerujące, iż tego się właśnie spodziewała. Pojawił się tuż przed trzecią, wspominając coś o wydłużonym treningu rugby. Wszelkie rozczarowanie znikło, gdy zmierzył ją spojrzeniem z nieskrywaną aprobatą. Martwiła się, czy dekolt swetra nie jest zbyt duży, Lucille upierała się jednak, że ciuch idealnie eksponuje jej „największe atuty”, jak je nazwała. Elliott wydawał się podzielać tę opinię.

— Dobrze wyglądasz, Melville — powiedział z aprobatą, wpatrując się w jej biust. Rozpromieniła się zachwycona komplementem i zadowolona, że zadała sobie trud.

Zanim dotarli do miasta, dochodziła czwarta i Caitlin zaczęła martwić się o to, jak zdoła wrócić przed wyznaczoną na sobotę dla piątoklasistów godziną szóstą. Wiedziała, że jeśli nie pojawi się na kolacji, dostanie szlaban. Elliott pozostał, jak zwykle, beztroski. Zapewnił Caitlin, że zna Hannah Goldman, prefekta domu Berrylands. Zadzwoi do niej i dopilnuje, aby przymknęła oko...

Caitlin zawahała się, rozdarta pomiędzy chęcią pozostania z Elliottem jak najdłużej, a obawą, że napyta sobie biedy. Nie chciała jednak, by Elliott uznał ją za dziecinną...

Dostrzegł jej wahanie i się uśmiechnął. — Zaufaj mi. Czy wpakowałbym cię w kłopoty?

Tak łatwo było się poddać. Gdy była z Elliottem, czuła się odważna i beztroska. Był tak pewny siebie, zupełnie niepodobny do chłopców, których znała w Valleymount. Tamci zawsze wydawali się podczas randki zdenerwowani, przesadnie uważający. Elliott Falco-

ner, gwiazda szkolnej drużyny rugby, najbardziej popularny chłopak w szkole, przejmował po prostu kontrolę. Oprowadził ją po ślicznym miasteczku Northampton, z jego gotycką architekturą i oryginalnymi brukowanymi uliczkami. Szybko znużył się jednak zwiedzaniem i zaproponował, żeby coś zjedli. Caitlin z ochotą się podporządkowała. Nie obchodziło jej, co robi, byle robiła to z nim.

Zabrał ją do Lamport Swan, pubu, który najwidoczniej lubił. Uświadomiła sobie, że musiał zamówić stolik, zanim zgodziła się z nim zostać, lecz nic nie powiedziała. W Irlandii rzadko bywała w restauracjach i czuła się pubie nieswojo, jakby udawała dorosłą. Elliott nie miał tego rodzaju problemów. Zamówił butelkę czerwonego wina oraz jedzenie, nie pytając jej o zdanie. Wszystko to wydawało się Caitlin niebezpieczne i podniecające zarazem. Podczas kolacji, gdy dotknął przypadkiem pod stołem nogą jej łydki, poczuła dziwne poruszenie w brzuchu. Nigdy przedtem tak się nie czuła.

Kiedy wrócili o jedenastej do Greycourt, odprowadził ją pod same drzwi Berrylands. A potem, nie pytając o pozwolenie, pochylił się i pocałował ją z wprawą i pewnością siebie, które sprawiły, że zaparło jej dech. Kiedy się w końcu odsunął, spokojny i opanowany, wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę oszołomiona, a potem odwróciła i bez słowa uciekła.

Elliott był w tych sprawach ekspertem. Wiedział, że najlepiej będzie nie naciskać. Wyczuł jej reakcję i był już pewny swego. Następnego dnia była niedziela.

Cała szkoła poszła do kaplicy. Kiedy przechodził obok Caitlin, posłał jej ten swój leniwy, wszystkowiedzący uśmiech. Poczowała przytępienie — tak silny i głęboki, że aż się wzdrygnęła. A gdy wróciła później tego ranka do bursy, nie zaskoczyło jej, że czeka pod drzwiami.

Od tamtej chwili zostali parą.

To, że została dziewczyną Elliotta, zmieniło wszystko. Nagle stała się częścią jego paczki. Siadywała obok niego w jadalni. Chodziła wraz z innymi dziewczętami dopingować go podczas meczów rugby. Każdego piątku i soboty wychodzili wieczorem — do kina, pubu lub na imprezę w którymś z domów. Nowy status Caitlin nie przeszedł

niezauważony uczniowie, którzy przedtem ją ignorowali, teraz nadkładali drogi, by się przywitać.

Z początku całe to zainteresowanie, konieczność zadawania się z tłumem nowych osób, były dla niej trudne. Nie miała im wiele do powiedzenia — podobnie jak Elliottowi, jeśli już o tym mowa. Zwłaszcza zaś nie lubiła jego współlokatorów — Sebastiana i Nicholasa Ashfordów. Całej trójce udało się zająć najlepsze lokum w kampusie — apartament z trzema sypialniami w starej wieży dzwonnej Heath House. Ze swą olbrzymią, wspólną bawialnią oraz kuchnią i łazienką przy każdej z sypialń, przewyższał znacznie standardem pokoje innych uczniów. Caitlin nie lubiła jednak tam chodzić, a to z powodu braci Ashford. Było w nich coś niemiłego, oślizłego, choć nie potrafiła określić, co dokładnie. Zwykle ją ignorowali, jednak czasami przyłapywała któregoś — nie wiedziała nigdy, którego — na tym, że popatruje na nią z rozbawieniem, jakby uczestniczyła, nie mając o tym pojęcia, w jakimś żarcie. Kilka razy zdarzyło im się wparować do pokoju Elliotta, gdy przebywali tam we dwoje, i wcale nie była pewna, czy stało się tak za sprawą przypadku. Dlatego upierała się, by Elliott podpierał klamkę krzesłem.

Zastanawiała się, czy fakt, że nie dogaduje się zbyt dobrze z jego przyjaciółmi, może stanowić problem. Elliott sprawiał jednak wrażenie, że o to nie dba.

Wiedziała, że uczniowie o nich plotkują. Nikt nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że są razem — a właściwie, co Elliott w niej widzi. Caitlin nietrudno było się domyślić, co mówią. Podjęła zatem starania, by dopasować się do jego paczki. Na początku roku szkolnego William dał jej szczodre kieszonkowe. Dotąd ledwie tknęła pieniądze, lecz teraz wybrała się na zakupy z Lucille i zainwestowała w nową garderobę. Przekonała się, że ma dobre oko i potrafi wybrać dla siebie odpowiedni strój. Podczas gdy Lucille podążała ślepo za modą, nie zwracając uwagi, czy jest jej w czymś dobrze, Caitlin była bardziej krytyczna.

— Co myślisz? — spytała Lucille, wychodząc z przymierzalni Peacocks, domu towarowego w Northampton. Miała na sobie rozszerzaną spódniczkę, podkoszulek, ciemne, kryjące rajstopy i martensy. Strój zupełnie do niej nie pasował — sprawiał, że wydawała się bardziej

przysadzista, niż naprawdę byki. Dziewczęta miały podobną budowę — obie były dość niskie i krągłe, nic zaś wysokie i smukłe — i Caitlin nie przyszłoby do głowy tak się ubrać. Nie chciała jednak urazić nowej przyjaciółki.

— Wyglądasz dobrze — powiedziała zatem dyplomatycznie. — Ale widziałam tu chyba coś, co mogłoby bardziej ci się spodobać...

Po pięciu minutach Lucille wyłoniła się z przymierzalni ubrana w sukienkę z dzianiny o barwie burgunda. Przylegała ciasno do ciała, uwydatniając, podobnie jak poprzedni strój, kształty, ale ze zgoła innym skutkiem. Lucille wyglądała wspaniale.

— Jest cudowna! — wykrzyknęła, obracając się przed lustrem.

— Biorę ją. Zdecydowanie!

Caitlin uśmiechnęła się, rozbawiona zachwytem przyjaciółki. Zamierzała kupić sukienkę dla siebie, wiedziała jednak, że Lucille umówiła się na wieczór z Nickiem Ashfordem. Szalała za nim od wieków i chciała wyglądać wyjątkowo. Caitlin nie mogła jej tego odebrać. Znajdzie dla siebie coś innego.

Płacąc za sukienkę, Lucille pomyślała mimo woli, że przyjaźń z Caitlin nie jest wcale taka zła. Morgan za nic nie poświęciłaby czasu, by pomóc jej wybrać ciuchy na randkę. Przypomniała sobie o zakładzie i ogarnęło ją poczucie winy. Stłumiła jednak rodzące się wyrzuty sumienia. Jeśli ona zaczynała lubić Caitlin, może Elliott też ją polubi. I zrezygnuje z wypełnienia warunków zakładu.

Caitlin zdawała sobie sprawę, że zaniedbuje przyjaciół. Lecz jakoś tak się działo, że za każdym razem siadywała w jadalni z Elliottem i jego paczką lub wychodziła z nimi po szkole.

Kilka razy George próbowała z nią o tym rozmawiać. Nie była w stanie zrozumieć, dlaczego Caitlin zadaje się z Elliottem i nie wzbraniała się o to zapytać.

— To facet, któremu chodzi zawsze tylko o jedno — powiedziała pewnego wieczoru, kiedy siedziały we dwie w pokoju.

Caitlin spłonęła rumieńcem. — To nie tak — zaprotestowała bez przekonania.

— Taaa, pewnie — odparła George, unosząc sceptycznie brwi.

Teraz, gdy Elliott rozpinał jej stanik, wspomniała słowa George. Może i była naiwna, ale nie głupia. Wiedziała, że Elliott ma w tych sprawach doświadczenie i chce czegoś więcej. Nic była jednak pewna, czy jest gotowa mu to dać. Może i żyli w latach dziewięćdziesiątych, lecz Caitlin została wychowana przez zakonnice i odczuwała w kwestii seksu ten sam podszyty fascynacją lęk, co tysiące dziewcząt z katolickich rodzin. A Elliott nie próbował skłonić jej, by mu się oddała. Cóż, przynajmniej nie słowami.

Nie była jednak w stanie dłużej się nad tym zastanawiać. Nie, kiedy wyłuskiwał z miseczki stanika jej pierś, gładząc ją tak, jak lubiła najbardziej, pieszcząc sutek, aż stał się sztywny i nabrzmiały. Kiedy to robił, trudno jej było myśleć o czymkolwiek.

Czuła, że zabiera dłoń z jej uda, przesuwając ją leciutko po majtkach w kroku. Zwykle, gdy tylko zbliżał dłoń do bielizny, powstrzymywała go. Lecz dziś pozwoliła jej pozostawać tam zbyt długo. Poruszyła się pod dotykiem tej dłoni, naparła na nią, zachęcając go, by kontynuował. Cienki materiał zrobił się wilgotny, a jemu spodobało się, że jest już gotowa. Nie zamierzał jednak się spieszyć. Dotykał ją delikatnie, drażniąc, rozkoszując się tym, że teraz to ona wierci się, czując niedosyt.

Udawała, że niczego nie zauważa, więc wsunął dłoń pod majtki i objął nią kępkę włosów, a potem położył palec wskazujący na pewnym miejscu i poruszał nim z wolna, delikatnie, w górę i w dół. Czuła budzące się pomiędzy nogami napięcie, podobne temu, które pojawiał się, gdy chciało jej się siusiać, tyle że znacznie przyjemniejsze. Jęknęła bezwiednie. Usłyszał to i roześmiał się cicho. — Podoba ci się, co?

Nie odezwała się. Nie musiała. Jej reakcja mówiła sama za siebie. Przykleknął nad nią i odsunął zawadzającą bieliznę. Starła się nie myśleć o tym, co robi, kiedy wepchnął w nią palec. Znieruchomiał na chwilę, jakby spodziewał się, że Caitlin zaprotestuje. Kiedy tak się nie stało, wepchnął drugi.

Tym razem trochę ją zabolalo. Był to jednak przyjemny rodzaj bólu. Poruszał z wprawą palcami, to wsuwając je, to wysuwając i nie przestając pocierać łechtaczki. Poczula, że staje się coraz bardziej wilgotna. Chwyciła kurczowo skraj narzuty. Zacisnęła kolana — nie

po to, by go powstrzymać, lecz by wzmocnić przyjemność. Czują, że znajduje się na krawędzi czegoś...

Elliott zamarł, wyczuwając, że coś się zmieniło. Na to właśnie czekał, doprowadzając ją rozmyślnie do punktu, z którego nie zechciałaby już wracać. Zacheęony cofnął dłoń i zaczął rozpinać dzinsy.

Dźwięk suwaka otrzeźwił Caitlin, przywołując ją do rzeczywistości. Mgła pożądania rozviała się i wszystkie miłe uczucia zniknęły — Elliott... nie — wymamrotała.

Lecz on nie słuchał, zajęty uwalnianiem się od dzinsów.

— Poważnie, Elliott. Myślę, że powinniśmy przestać...

Próbowała obciągnąć spódnicę, zakryć się, lecz chwycił ją za nadgarstek. Nie zachowywał się rozsądnie i Caitlin poczuła, że ogarniają panika. Zebrała się w sobie, oparła wolną dłoń na jego piersi i mocno pchnęła.

— Nie!

Tym razem nie mogło być wątpliwości, że mówi serio. Elliott odsunął się raptownie, uderzając głową o nocną lampkę.

— Cholera! — Zmarszczył brwi i spojrzał na nią, pocierając głowę. — Czemu u diabła to zrobiłaś?

— Inaczej byś nie przestał — wymamrotała.

— Cóż, nie wyglądało na to, byś tego naprawdę chciała — odpalił.

Caitlin odwróciła głowę, aż nazbyt świadoma, że Elliott ma rację. Obciągnęła spódnicę i jeła zapinać bluzkę. Poczucie winy wróciło. Czują się brudna, zawstydzona. Jak mogła pozwolić, by robił z nią coś takiego?

W pokoju było teraz tak cicho, że słyszała, jak jego oddech zwalnia i się wyrównuje. Dopiero kiedy był w stanie oddychać normalnie, wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

— Posłuchaj, przepraszam. Poniosło mnie. Wiesz, jak to jest. Po prostu trudno mi się kontrolować, gdy jestem z tobą...

Magiczne słowa, które tak uwielbiała... *Me mogę się powstrzymać, jesteś taka piękna. Boże, ale mnie podniecasz. Tak bardzo cię pragnę.*

Choć za nic by tego nie przyznała, podobało jej się, że tak bardzo na niego działa. Przyglądanie się, jak traci nad sobą kontrolę, a jego oddech przyspiesza, jak stara się opanować... wszystko to dawało jej poczucie mocy tak silne, że niemal uzależniające. Raz, w chwili gniewu, nazwał ją podpuszczałką. Rozpłakała się wtedy, a on przeprosił. Teraz zaczynała się jednak zastanawiać, czy nie miał aby racji.

Nie wiedziała, jak długo zdoła mu odmawiać. Za każdym razem gdy to robiła, bała się, iż Elliott powie, że z nią zrywa. Chciała, by ją lubił. Chciała pozostać jego dziewczyną, należeć do jego paczki. Po raz pierwszy odkąd stała się częścią rodziny Melville'ów, czuła, że uprzywilejowany świat elit ją akceptuje. Nie chciała, by to się skończyło.

Teraz bała się na niego spojrzeć. Nie wiedziała nawet, co czuje. Gniew, frustrację, zakłopotanie? W końcu czy byłoby to takie złe? Mama wychowała ją podług zasad restrykcyjnej katolickiej moralności, lecz sama najwidoczniej ich nie przestrzegała.

Elliott ujął Caitlin pod brodę i zmusił, by uniosła ku niemu twarz. Ich spojrzenia się spotkały.

— Posłuchaj, naprawdę bardzo mi przykro...

Dostrzegła szczerłość w jego ciemnych oczach i to ją, jak zawsze, rozbroiło.

— W porządku, lecz lepiej już chodźmy. Nie chcemy spóźnić się na kolację.

Uśmiechnął się, a ona się odprężyła. Nie mogła uwierzyć, że jest wobec niej tak wyrozumiały. Zastanawiała się tylko, jak długo zechce czekać i co ważniejsze, jak długo ona zdoła się opierać.

Po półgodzinie siedział naprzeciw niej w sali jadalnej, udając, że słucha, jak rozprawia o kolejnym artystycznym projekcie. Wolałby, żeby pochyliła się znowu nad stołem, dając mu okazję zerknięcia na kremowe wzniesienie piersi.

Byli parą od sześciu tygodni, a dopiero dziś udało mu się przejść za pierwszą barierę. Sześć długich tygodni wstrzemięzliwości i starań. Otwierania drzwi. Odsuwania krzesła. Podawania płaszcza. Przysłuchiwanie się z uwagą, jak nawija monotonicznie na temat tych pieprzonych zajęć plastycznych. Rozpalania jej — a przy okazji i siebie — po

to, by wycofała się w ostatniej chwili, spoglądając na niego szeroko otwartymi, przestraszonymi oczami. A potem udawania, że wie, o co ten cały szum. Nigdy przedtem nie zadał sobie tyle trudu, by namówić dziewczynę na seks.

Myślał, że już ją ma. Doprowadził ją na skraj orgazmu, sądząc, że będzie zbyt oszołomiona, by się wycofać. Ale nie. Dźgnął widelcem strączek zielonej fasolki, przenosząc frustrację na rozgotowane warzywo. Miał świadomość, że goni go czas. Do balu zostały tylko dwa tygodnie. Większość szóstego rocznika poczyniła już zakłady. Niestety, dwie trzecie uczniów postawiło przeciwko niemu. Sądziła widać, że Caitlin jest zbyt porządna, by mu się oddać. On miał jednak plan. Zaprosił dziewczynę na bal, poświęci wieczór, by zawrócić jej ze szczętem w głowie i pod koniec będzie błagała go, by ją wziął. Na samą myśl o tym jego członek drgnął. I właśnie to najbardziej Elliotta dziwiło — nie chodziło już o pieniądze czy reputację. Naprawdę jej pragnął. Bardziej, niż którejkolwiek z dziewcząt przedtem. Może dlatego, że ona jedna mu odmówiła.

Przyglądał się, jak zakłada za uszy ciężkie czarne włosy i podnosi wzrok, spoglądając na niego tymi wielkimi fiołkowymi oczami. Była w nich niewinność, jakiej nie sposób udawać. Podobała mu się myśl, że to on pozbawi ją dziewictwa. Na początku będzie zapewne skrepowana, może nawet nieśmiała. Mógłby się jednak założyć, że kiedy już ją rozpali, z pewnością to pokocha...

Uświadomił sobie, że Caitlin spogląda na niego pytająco. Cholera. Nic słuchał.

— I co o tym myślisz? — spytała.

Spojrzał na różane usta, lekko odęte. Akurat w tej chwili myślał o tym, że przyjemnie byłoby poczuć, jak te pulchne wargi zaciskają się wokół twardego członka.

Caitlin zmarszczyła brwi.

— Słyszysz mnie, Elliott? Mam użyć farb olejnych czy akrylowych?

Zmusił się, by wrócić szybko do rzeczywistości i wymyślić stosowną odpowiedź.

— Zrób, jak uważasz — powiedział, a potem zmienił temat. — Co chciałabyś robić później?

Spędzili wieczór, oglądając przytuleni film na wideo był to wybór Caillin. Zanim się w końcu pożegnali, Elliott miał wrażenie, że zaraz eksploduje. Wsiadł do samochodu i pojechał do klubu Cave w Northampton, gdzie zebrała się jego paczka. Lecz nadal myślał o Caitlin. Jak zwykle bardzo go podnieciła i potrzebował znaleźć dla tego podniecenia ujście — szybko. Utkwił spojrzenie w pijanej i zdesperowanej Morgan. Wystarczyły dwa kolejne rummy z colą plus mglista sugestia, że zastanawia się, czy do niej nie wrócić — i z ochotą ruszyła za nim do męskiej toalety.

Przy pisuarach stało kilku facetów. Zerknęli na nich domyślnie, lecz Morgan albo tego nie zauważyła, albo zupełnie jej to nie przeszkadzało. Wciągnął ją do kabiny i zamknął drzwi. Smród uryny, a nawet czegoś jeszcze gorszego, nie działał szczególnie pobudzająco, lecz było mu już wszystko jedno. Przycisnął Morgan do pokrytej graffiti ścianki, chwycił za pierś i mocno ścisnął. I to by było na tyle, jeśli chodzi o grę wstępną. Ściągnął jej majtki, zadarł spódniczkę i postawił nogę na sedesie, by zyskać łatwiejszy dostęp. A kiedy w końcu zanurzył się w miękkie, wilgotne wnętrze jej ciała, zamknął oczy i wyobraził sobie, że jest z Caitlin.

Elliott wahał się, czy przyprowadzić Morgan tego wieczoru do swej sypialni — w końcu nie byłoby dobrze, gdyby Caitlin *zobaczyła* ich razem. Zrobił to jednak i nie żałował. Po tym, jak skończyła mu obciążać, ostrzegła go w kwestii Elizabeth.

— Bądź ostrożny — powiedziała. Wzięła do ust łyk wody, przepłukała je i wypluła wodę do zlewu. — Ona ma was na oku.

— I co z tego? To wolny kraj. Nie może zabronić nam się spotykać.

Morgan prychnęła. — Jeśli naprawdę tak myślisz, to znaczy, że palisz za dużo tego. — Skinęła głową, wskazując skręta, którego miał właśnie zapalić.

— Daj spokój, znasz Elizabeth. Jeśli uzna, że dzieje się coś paskudnego, zrobi, co będzie trzeba, by to powstrzymać.

Po wyjściu Morgan Elliott długo zastanawiał się, jak pokonać ten drobny problem. Rozwiązanie, kiedy już na nie wpadł, okazało się zadziwiająco proste.

Rozdział dziewiąty

Następnego dnia po meczu rugby Elizabeth przyszła po południu do pokoju Caitlin, by porozmawiać o Elliotcie.

Zarówno Caitlin, jak i George wyglądały na zaskoczone niespodziewaną wizytą. Przypomniało to Elizabeth, że odwiedza Caitlin po raz pierwszy od rozpoczęcia roku szkolnego. Poczła przyływ poczucia winy, lecz szybko je odepchnęła. Cóż, w końcu jednak tu była, prawda? I tylko to się liczyło.

Zapytała George, czy mogłaby zostawić je same. Dopiero kiedy dziewczyna chwyciła książki i wyszła, by popracować we wspólnym pokoju do nauki, Elizabeth usiadła wreszcie na łóżku. Caitlin przycupnęła na biurku.

— O czym chcesz ze mną rozmawiać? — spytała zaciekawiona nagłym przejawem zainteresowania ze strony siostry.

— O Elliotcie — odparła Elizabeth, uznając, iż najlepiej będzie mówić wprost.

Caitlin zmarszczyła brwi. — O Elliotcie? Nie rozumiem...

— Posłuchaj, zauważyłam, że spędzacie sporo czasu razem — powiedziała Elizabeth, starając się być tak delikatna i taktowna, jak tylko było to możliwe — i trochę mnie to zmartwiło.

— Zmartwiło? Dlaczego?

— Cóż... Uważam, że to nie jest najbardziej odpowiedni chłopak dla ciebie. Po pierwsze, jest o dwa lata starszy. No i nie... — zamilkła, zastanawiając się, jak by to najlepiej ująć. Caitlin była tak rozpaczliwie naiwna, że trudno było się zorientować, czy jest w stanie zrozu-

mieć intencje kogoś takiego jak Elliott. Cóż, nie cieszy się dobrą opinią. Jeśli chodzi o dziewczęta, no wiesz.

Caitlin się uśmiechnęła. — Wiem, że chodził z wieloma dziewczętami, Elizabeth. A także to, że jest... — zarumieniła się — ...doświadczony.

Dobre i to, pomyślała z ulgą Elizabeth. Nie jest więc tak zupełnie zielona.

— Ale jest dla mnie naprawdę miły — mówiła dalej Caitlin.

Elizabeth parsknęła cynicznym śmiechem. — Taa, pewnie, na razie... Elliott potrafi być prawdziwym dżentelmenem, jeśli chce. Ale to tylko gra. Zachowuje się tak, póki mu to pasuje. Kiedy dostanie to, o co mu naprawdę chodzi... — wzruszyła ramionami, pozwalając, by Caitlin wyciągnęła własne wnioski.

Lecz Caitlin potrząsała już głową. — To nie tak — zaprotestowała.

Elizabeth westchnęła zirytowana. — Posłuchaj, Caitlin — powiedziała zniecierpliwiona. Nie spodziewała się, że będzie musiała toczyć z młodszą siostrą taką bitwę. — Myślę, że znam go lepiej niż

W pokoju zapadło milczenie. Żadna nie odezwała się przez minutę czy dwie. Potem Caitlin spytała niepewnie: — Czy on ci się podoba?

Elizabeth zatkało. — Co takiego? — Było to tak nieprawdopodobne przypuszczenie, że o mało się nie roześmiała. O mało. — Myślisz, że mówię ci to, ponieważ zależy mi na Elliotcie? — Prychnęła. — Daj spokój. On ci to powiedział?

Prawdę mówiąc, Elliott napomknął coś Caitlin tego ranka. Nie powiedział wprost, że Elizabeth jest zazdrosna — wspomniał jedynie, że kiedy zaczął chodzić z Morgan, przestała tak często się z nim widywać. Lecz Caitlin nie mogła powiedzieć tego Elizabeth — w końcu przyrzekła Elliotowi, że go nie zdradzi. — Nie — powiedziała zatem, zła na siebie o to, że kłamie. — Nic mi nie powiedział.

Lecz Elizabeth nie słuchała. — A ty mu oczywiście wierzysz?

Caitlin zastanawiała się odrobinę zbyt długo, próbując znaleźć odpowiedź i nie urazić przy tym Elizabeth, ani nie zawieść zaufania Elliotta.

Lecz nie zdążyła. Elizabeth dość już usłyszała.

— Wiesz co? Jeśli nie chcesz mnie słuchać, to twój problem. Sama się przekonasz. I wierz mi, nie będzie to przyjemne. Wychodząc, trzasnęła głośno drzwiami.

Elizabeth postanowiła wyrzucić cały ten niefortunny incydent z pamięci. Miała na głowie o wiele ważniejsze sprawy niż dociekanie, w co też wpakowała się jej młodsza siostra. Powiedziała, co miała do powiedzenia — jeśli Caitlin woli zignorować jej radę, niewiele da się na to poradzić. Za trzy tygodnie, na początku grudnia, miała odbyć rozmowę kwalifikacyjną decydującą o przyjęciu do Cambridge, powinna więc skupić się na tym.

Umówiła się na spotkanie z ojcem w Londynie w weekend poprzedzający rozmowę. Jako absolwent Christ's College przeszedł kiedyś cały proces rekrutacyjny, liczyła więc na to, że podzieli się z nią kilkoma cennymi uwagami. No i będzie miała okazję spędzić z nim trochę czasu.

W ciągu tygodnia dzwoniła kilka razy, aby upewnić się, że będzie wolny. Asystentka ojca zapewniała ją z rosnącym rozbawieniem, że tak, zarezerwował na spotkanie z córką cały wieczór. Po lekcjach opuściła więc Greycourt w doskonałym nastroju. Skierowała porsche na autostradę M11 i przebyła dystans dzielący ją od Londynu w niespełna półtorej godziny. Na Eaton Square pojawiła się zatem na tyle wcześnie, by wziąć bez pośpiechu długą kąpiel i odświeżyć się przed spotkaniem.

Umówili się w Le Caprice, niedaleko Piccadilly, o wpół do ósmej. Czarująca knajpka, położona dogodnie w pobliżu biur Melville'a, stała się ulubionym lokalem Williama od otwarcia, co miało miejsce przed dziesięcioma laty. O siódmej Elizabeth, bardzo szykowna w czarnej sukni Versace bez ramiączek, ze świeżo umyтыми włosami, opadającymi na ramiona, była już gotowa. Miała właśnie wyjść, kiedy zadzwonił telefon.

Ojciec odwoływał spotkanie. Stary przyjaciel, Magnus Bernstein, przyjechał do miasta i skontaktował się z nim w ostatniej chwili, pytając, czy ma wolny wieczór.

— Miał zjeść kolację z klientem, ale zostało to odwołane. Powiedziałem więc, że się z nim spotkam.

Mogę też przyjść? - spytała pospiesznie.

Nie bądź niemądra, Elizabeth. Na pewno masz w piątkowy wieczór coś lepszego do roboty.

— Ale chciałam zapytać cię o tę rozmowę... — słowa wyrwały się jej, zanim zdołała je powstrzymać. Nie znosiła mówić w ten sposób

— tonem płaczącym, niemal błagalnym.

William westchnął. — Porozmawiamy jutro przy śniadaniu, zanim wyjadę do Somerset. Może być?

Tak, zgodziła się Elizabeth, w porządku. Co innego mogła powiedzieć? Kiedy się pożegnali, usiadła na schodach i przez chwilę się zastanawiała. A potem podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Claridge'a. Przypomniała sobie, że Magnus wspomniał kiedyś, iż zatrzymuje się tam, ilekroć przyjeżdża do Londynu. Pamięć nie zawiodła Elizabeth. Wielce pomocna recepcjonistka poinformowała ją bowiem, że pan Bernstein wyszedł co prawda i nie będzie go przez cały wieczór, lecz gdyby zechciała zostawić wiadomość...

Elizabeth zawahała się, lecz w końcu powiedziała, że zatelefonuje później. Nie zamierzała jednak tego robić. Wolą spotkać się z nim osobiście.

Jej najwcześniejsze wspomnienia dotyczące się Magnusa Bernsteina były fragmentaryczne. On i William poznali się na początku lat osiemdziesiątych, kiedy to Magnus przeniósł się do Sedgwicka Harta, by poprowadzić ich biuro maklerskie. Zawodowa zażyłość szybko przerodziła się w przyjaźń, a kiedy obaj panowie ożenili się i na świat przyszły dzieci, było już oczywiste, że ich rodziny będą spędzać razem dużo czasu. A kiedy nadeszła pora ochrzcić Elizabeth w słynnej katedrze w Wells, to właśnie Magnus został jej ojcem chrzestnym.

Nie, żeby zbyt przykładał się do wypełniania związanych z tym obowiązków. Dzieci nie bardzo go interesowały, nawet własne. Oczywiście przestrzegano wszelkich nakazanych tradycją rytuałów

— jego cokolwiek bezbarwna żona wysyłała Elizabeth z okazji urodzin i Bożego Narodzenia kartki oraz podarki w postaci kosztownej biżuterii — poza tym jednak Magnus pozostawał w życiu dziewczynki postacią mglistą i oddaloną, trochę tak jak jej ojciec.

W tym samym roku gdy Elizabeth skończyła osiem lat, Magnus przeprowadził się do Nowego Jorku, aby powołać tam do życia fundusz hedgingowy. To były dla niego pracowite lata. Podczas rzadkich podróży do Londynu nie starczało mu czasu, by odwiedzać przyjaciół w Somerset. Elizabeth, która i tak prawie go nie знаła, ledwie zauważyła, że zniknął zupełnie z jej życia. Wszystko zmieniło się, kiedy skończyła szesnaście lat, na rok przed tym jak w Aldringham pojawiła się Caitlin.

Rodzina spędzała jak zwykle lato w Villa Regina, eleganckiej kamiennej willi nad brzegiem jeziora Como. Lago di Como, położone w północnym regionie Włoch, Lombardii, znajdowało się niecałą godzinę jazdy od Mediolanu i jeszcze bliżej Szwajcarii. Otaczały je góry wznoszące się wprost z wody i porośnięte bujną śródziemnomorską roślinnością. Za nimi widać było majaczące w oddali alpejskie szczyty, pokryte wiecznym śniegiem. Było to idylliczne miejsce. Tego lata Elizabeth z trudem zachowywała jednak idylliczny nastrój. Trzeciego dnia była już bowiem śmiertelnie znudzona. Matka i siostra opalały się lub buszowały po sklepach — żadne z tych zajęć nie interesowało Elizabeth — ojciec zaś wisiał nieustannie na telefonie, załatwiając służbowe sprawy. Wujek Piers, jej stały sojusznik, został w Anglii, by opiekować się Rosalind dochodzącą do siebie po zawale. Elizabeth czuła się jak w pułapce i marzyła o tym, by dwa tygodnie jak najszybciej minęły.

Tego szczególnego dnia obudziła się z poobiedniej drzemki wcześniej niż reszta domowników. Włożyła cieniutką letnią sukienkę i wyszła na balkon. Żar sierpniowego popołudnia zastąpił już wczesnowieczorny chłód — doskonała pora, by wybrać się na spacer po należących do willi gruntach.

Udało jej się wymknąć, nie budząc nikogo. Natychmiast poczuła się lepiej. Jak większość ekskluzywnych posiadłości nad jeziorem Como, Villa Regina posiadała czarujące ogrody, opadające tarasami ku wodzie. Elizabeth ruszyła w dół brukowaną ścieżką wijącą się pomiędzy drzewami oliwnymi, cytrynowymi i cyprysami. Pod wpływem impulsu zagłębiła się w chłodny, wilgotny tunel prowadzący do doku, gdzie przycumowano należące do rodziny żaglówkę oraz motorówkę. Podeszła do skraju nabrzeża i usiadła, zwieszając nogi tak, iż palce

zanurzone miała w wodzie. Zamknęła oczy, z zadowoleniem przysłuchując się rytmicznym odgłosom uderzania fal o wielkie kamienne ściany otaczające willę.

Zamyśliła się tak głęboko, że nie zauważyła, iż ktoś przyłączył się do niej na nabrzeżu, póki nie usłyszała, jak drewno trzeszczy pod ciężarem jego ciała.

Odwróciła głowę, spodziewając się zobaczyć ojca. Tymczasem stał przed nią wysoki, przystojny mężczyzna tuż po czterdziestce.

— Witaj, Lizzie — powiedział z uderzającą swobodą. Dostrzegł zakłopotanie dziewczyny i się uśmiechnął. — Nie martw się, ja też ledwo cię poznałem — zapomniałem, że musiałaś przecież dorosnąć! Jestem wujek Magnus. — Podał Elizabeth dłoń i pomógł jej się podnieść. Gdy wstała i mógł objąć spojrzeniem jej rozkwitającą figurę, doskonale widoczną w skapej sukience, coś w wyrazie jego twarzy się zmieniło. — Choć może już pora, byśmy zarzucili tego „wujka”.

Elizabeth poczuła, że poprawia jej się humor. Może wakacje nie będą jednak takie okropne. Kiedy wracali do willi, powiedział jej, że zdecydował się przyjechać nad jezioro w ostatniej chwili. Miał za sobą przykry rozwód i była żona zabrała dzieci na lato do domu w Hamptons. Pragnął trochę odpocząć, toteż gdy William zaproponował, aby przyłączył się do nich na tydzień lub dwa, uznał, że właśnie tego mu trzeba. Elizabeth przysłuchiwała się z uwagą wszystkiemu, co mówił. Aż do tego lata nie przejawiała zainteresowania płcią przeciwną. W Greycourt uważano ją za królową śniegu: pełną rezerwy, poważną... ewidentnie oziębłą. Tylko w ten sposób odrzuceni adoratorzy potrafili usprawiedliwić swoją porażkę. Tymczasem Elizabeth nie interesowali chłopcy myślący jedynie o tym, aby się upić i przespać z dziewczyną. Magnus Bernstein w niczym ich nie przypominał. Był inteligentny, elegancki oraz — zważywszy, że zdołał zgromadzić majątek wart półtora miliarda — był też człowiekiem sukcesu. Jednym słowem był kimś, kogo mogła szanować. O tym, że ma czterdzieści jeden lat, nawet nie pomyślała.

Przez kilka następnych dni robiła, co mogła, by spędzać z nim sam na sam jak najwięcej czasu. Nie było to trudne. Oboje uwielbiali przebywać na powietrzu, zostawiali więc resztę rodziny opalającą

sie na leżakach wokół basenu, aby surfować we dwoje na desce lub jeździć na nartach wodnych po jeziorze. Wieczory bywały zazwyczaj spokojne, gdyż nocne życie prawie tu nie istniało. Po obowiązkowej, trwającej trzy godziny kolacji przechodzili zatem do sali bilardowej lub do pokoju wypoczynkowego, gdzie przesiadywali do późna w noc, rozmawiając. To, iż tak dobrze czuli się w swoim towarzystwie, nie uszło uwagi domowników, lecz nikt się nad tym nie zastanawiał. Elizabeth zawsze była nad wiek dojrzała, Magnus był zaś przecież jej ojcem chrzestnym. Nawet nie przyszło im do głowy, by doszukiwać się we wzajemnym zainteresowaniu tej pary jakichś podtekstów.

Elizabeth czekała grzecznie, by Magnus uczynił pierwszy krok. Dni mijały jednak i nic się nie działo, zaczęła więc tracić cierpliwość. Czyżby źle odczytała sygnały? Była pewna, że mu się podoba. Wakacje zbliżały się do końca, wiedziała zatem, że jeśli szybko czegoś nie zrobi, nic się nie wydarzy.

Nadszedł ostatni dzień ich pobytu. Nie ulegało wątpliwości, że Magnus i Elizabeth spędzą ten dzień razem. zaproponowała, by wzięli wcześniej rano łódź, popłynęli, nim robi się gorąco, do miasteczka Menaggio i spędzili ranek, wędrując po zboczach i podziwiając widoczne w oddali malownicze wioski. W południe bezlitosne słońce było już wysoko na niebie. Znaleźli ocienione miejsce pod gałęziami gigantycznej sosny i zasiedli, aby zjeść przygotowany przez Elizabeth posiłek: domowe salami, polentę, ser pecorino i dojrzałe w słońcu pomidory z własnego ogrodu, popijając jedzenie butelką dosyć przeciętnego miejscowego wina.

Wrócili na łódź, lecz żadne nic miało ochoty popłynąć do willi, oznaczało to bowiem koniec wakacji. Skierowali się więc, zgodnie z sugestią Elizabeth, ku opustoszałej zatoczce, gdzie zakotwiczili łódź i wskoczyli do jeziora, aby spłukać spowodowane wycieczką zmęczenie.

Magnus wyszedł z wody pierwszy. Elizabeth przyglądała się grze mięśni na jego muskularnych ramionach, kiedy podciągał się na pokład. Pozostała w wodzie przez dłuższą chwilę zadowolona, iż może mu się zaprezentować, kiedy tak stał, osuszając ciało ręcznikiem. Pluskała się, unosząc na plecach, pływając do i od łodzi i zdając sobie doskonale sprawę, że jej opalone ciało, przecinające zgrabnie czystą

wodę, musi wyglądać niezwykle pociągająco. Zanurkowała, zaglądając w głąb jeziora, a polem wynurzyła się, odrzucając z twarzy mokre wtosy i tnąc bez wysiłku wodę mocnymi nogami. Z zadowoleniem przekonała się, że Magnus nadal się jej przygląda.

W końcu uznała, że dość tych popisów i wróciła na łódź.

— Rany, Lizzie, skąd w tobie tyle energii? — zażartował, kiedy się wycierała. — Czuję się zmęczony już od samego patrzenia.

— Wszystko, byle utrzymać się w formie — zażartowała, rozmyślnie przyciągając znów jego uwagę ku swemu smukłemu, zgrabnemu ciału. Przełknął głośno i odwrócił pośpiesznie wzrok.

Postanowili, że poleżą przez chwilę na pokładzie, by wyschnąć. Magnus wyciągnął się na plażowym ręczniku, osłaniając jedną ręką oczy przed blaskiem odbijającego się w wodzie słońca. Elizabeth opadła na deski tuż obok niego.

Leżeli w ciszy przerywanej jedynie okrzykami i wybuchami śmiechu, dobiegającymi z innych łodzi. Po chwili Elizabeth przewróciła się na bok i oparła na łokciu, by móc przyglądać się Magnusowi. Oczy miał nadal zamknięte. Teraz lub nigdy... Po chwili wahania wyciągnęła rękę i musnęła leciutko palcami jego płaski brzuch. Dotyk jej dłoni był lekki jak piórko, prawie pytający. Odczekała chwilę, by sprawdzić, czy Magnus się odwróci, dając jej znak, by przestała. Niczego takiego nie zrobił. Leżał spokojnie, jakby niczego nie poczuł.

Ośmielona powtórzyła pieszczotę, przesuwając delikatnie palcami po twardym brzuchu mężczyzny. Usłyszała, że zaczął szybciej oddychać. Powoli, z rozmysłem, okrążyła kciukiem jego pępek: raz, a potem drugi, nim podążyła śladem rozjaśnionych przez słońce włosów niknących pod kąpielówkami. Gdy natrafiła na gumkę w talii, zatrzymała się, by trochę go podręczyć, a potem nacisnęła ciepłe ciało i wsunęła kciuk pod materiał. Kiedy dotarła do zagłębienia przy kości biodrowej, westchnął cicho, z zadowoleniem. Zabrzmiało to niemal jak jęk dobywający się z głębi piersi. Usłyszeli go oboje i zamarli. Przez chwilę żadne się nie poruszyło. Słyszać było tylko ich oddechy i uderzenia fal o burtę łodzi. Elizabeth wiedziała, że musi coś zrobić, i to szybko, inaczej chwila przeminie i znów nic się nie wydarzy. Pochyliła się więc i pocałowała go mocno w usta.

Postarała się, by w pocałunku nie było nic platonicznego. Miał powiedzieć Magnusowi, czego by sobie życzyła. Nawet jeśli zrobi z siebie idiotkę, i tak będzie warto, choćby po to, aby przekonać się, jak to jest, całować się z nim.

Jednak ryzyko się opłaciło. Ponieważ Magnus oddał pocałunek. Objął ją i pociągnął w dół, na siebie. A potem z wprawą skłonił, by rozchyliła wargi i wsunął pomiędzy nie delikatnie język. Nie był to pierwszy pocałunek Elizabeth, ale z pewnością najlepszy. Pocałunek mężczyzny doświadczonego.

Przetaczali się przez chwilę po ręczniku, a ich rozgrzane słońcem członki splatały się ze sobą. W pewnej chwili Elizabeth poczuła, że nie ma już na sobie stanika. Nie miało to znaczenia. W skąpych kostiumach kąpielowych byli i tak praktycznie nago. Magnus w żaden sposób nie byłby w stanie ukryć, że jest nią zainteresowany. Przez kilka ostatnich dni wyobrażała sobie tę chwilę i teraz nie mogła się już doczekać, aby posunąć się dalej. Zaczepiła palce o skraj majteczek, gotowa natychmiast je zdjąć. Lecz nim zdążyła to zrobić, chwycił ją za nadgarstki i powstrzymał.

— Nie rób tego — powiedział.

Odsunął się gwałtownie i usiadł. Elizabeth leżała niepewna, co się właściwie dzieje. Magnus odczekał chwilę, by odzyskać nad sobą kontrolę, a kiedy mógł wreszcie normalnie oddychać, odwrócił się i spojrzał na nią.

— Boże, Elizabeth, przepraszam.

— Nie przepraszaj. — Uśmiechnęła się. — Podobało mi się.

Parsknął krótkim śmieszkiem. — Wiem — powiedział, przeczesując palcami włosy. — Mnie także. Tylko, że... cóż... masz szesnaście lat, a ja czterdzieści jeden. Nie chcę cię wykorzystać.

— Nic takiego nie miałoby miejsca.

Mówiła poważnie. Perspektywa utraty dziewictwa ani trochę jej nie przerażała. Kiedy raz wbiła sobie coś do głowy, nie rezygnowała w ostatniej chwili, by potem tego żałować.

Uśmiechnął się z niejakim trudem, lecz zaraz spoważniał.

— Może teraz tak mówisz. Nie chciałbym jednak, byś potem tego żałowała. — Zamilkł na chwilę. — Za bardzo mi na tobie zależy, Lizzie.

Przyjrzała mu się uważnie i uznała, że mówi serio. Nagle poczuła się bardzo naga i bardzo miotła.

Usiadła więc i zaczęła rozglądać się za podkoszulkiem, by jak najszybciej się okryć.

— Jasne — powiedziała, próbując wyglądać tak, jakby nic wielkiego się nie stało. — Rozumiem. Pewnie masz rację. Odrzuciła nonszalanckim gestem włosy. — Płyniemy do brzegu?

Magnus otworzył usta, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz zmienił zdanie.

— Oczywiście — przytaknął tylko. — Ruszajmy.

Elizabeth zawsze będzie dumna z tego, jak zachowywała się tamtego dnia. Po tym jak włożyła podkoszulek, wyciągnęła ręce do Magnusa, by pomógł jej wstać. A potem zaproponowała zaskakująco obojętnym tonem, by przed powrotem do willi zatrzymali się w Bellagio na lody.

Udało jej się zachować pełen godności spokój, póki nie rozstali się następnego ranka na lotnisku. Dopiero na pokładzie samolotu do Anglii przyznała wreszcie sama przed sobą, że czuje się upokorzona. Po tym jak całymi latami powtarzano jej, że jest dojrzała jak na swój wiek, ktoś w końcu powiedział coś przeciwnego. I chociaż w szkole radziła sobie doskonale, musi się jeszcze wiele nauczyć, nim stanie się w pełni kobietą. Wracała do Anglii zdecydowana coś z tym zrobić.

Podeszła do problemu pozbycia się uciążliwego dziewictwa z tą samą chłodną logiką, jaką posługiwała się, rozwiązując zadania z fizyki. Należało znaleźć odpowiedniego partnera. Mogła oczywiście, wybrać któregoś z kolegów, lecz Greycourt stanowiło zamkniętą społeczność. Obojętnie, którego z chłopców by wybrała, zaczęłby przechwalać się tym, że przyszpilił nieprzystępną spadkobierczynię Melville'a, nim zdążyłaby podciągnąć majtki. Nie — potrzebowała kogoś, komu zależałoby na dyskrecji tak bardzo, jak jej.

Giles Butler, trener tenisa, stanowił oczywisty wybór. Zaledwie trzydziestoletni, był bez wątpienia najprzystojniejszym mężczyzną spośród grona pedagogicznego Greycourt. Co roku co najmniej tuzin dziewcząt próbowało go uwieść i żadnej się to nie udało. Nie dlatego, by romans z atrakcyjną nastolatką go nie kusił. Jednak sypianie

z uczennica staonowilo zbrodnię karana natychmiastowym zwolnieniem. Zadowalał się więc romansowaniem ze znudzonymi mężatkami, które uczył w weekendy. Nie docenił jednak determinacji Elizabeth Melville. Kiedy już się na coś uwzięta, musiała dopiąć swego.

Uwiedzenie go nie byto trudne. Jako kapitan drużyny tenisa, zawsze mogła przyjść do mieszkania trenera, by porozmawiać o terminach rozgrywek. Kiedy już się tam znalazła, poskarżyła się, że boli ją nadwężone więzadło w prawej łydce. Gdyby chodziło o inną dziewczynę, Giles zastanowiłby się dwa razy, nim przystąpiłby do zbadania nogi w prywatnym pokoju. Jednak rozsądna, godna zaufania Elizabeth była ostatnią osobą, którą ktokolwiek mógłby posądzić o to, iż może zachować się niestosownie.

— Nie wygląda na spuchnięte — powiedział, przesuwając dłońmi po łydce dziewczyny. Tak był zajęty szukaniem bolącego miejsca, iż nie od razu zauważył, że Elizabeth wyciąga nogę, przesuwa ją coraz dalej i zaczyna masować delikatnie czubkami palców jego krocze...

Zamarł. — Elizabeth!

Wydawał się zaszokowany, rozgniewany nawet. Zauważyła jednak, że nie próbuje odsunąć stopy, pieszczącej na wpół wzwiedziony teraz członek. Uwolniła powoli nogę, wstała, podeszła do drzwi i zamknęła je na klucz. Kiedy się odwróciła, zdejmował już koszulę.

Jej pierwszy raz okazał się zadziwiająco łatwy. Przeżyła nawet słaby orgazm, choć nie umywał się on do tego, co była w stanie osiągnąć sama w swej sypialni.

Odtąd spotykali się co najmniej dwa razy w tygodniu w jego pokoju. Wąskie rozkładane łóżko stało się areną pierwszych seksualnych doświadczeń Elizabeth. Jak w każdym innym aspekcie jej życia, z zapalem przystąpiła do nauki. Zanim nadeszło Boże Narodzenie, Giles zrobił się sentymentalny, a ona znudzona.

— Nic wiem, jak wytrzymam bez ciebie cały miesiąc — wymamrotał, kiedy leżeli obok siebie w noc przed wyjazdem Elizabeth do domu. Przesunął palcami po jej nagich plecach i ledwie zdołała powstrzymać odruch zniecierpliwienia.

Potem dał jej pięknie zapakowany prezent gwiazdkowy — nie zabrała go ze sobą, kiedy wyjeżdżała następnego dnia z Greycourt. Nie

zawracała sobie też głowy odpowiadaniem na coraz bardziej natarczywe telefony. A kiedy wróciła w styczniu do Greycourt poinformowała go delikatnie, choć stanowczo, że między nim wszystko skończone.

Giles był zdruzgotany. Elizabeth przeciwnie. Wpadł jej już bowiem w oko przybyły niedawno i zachowujący się z większą rezerwą nauczyciel historii, Oliver Reynolds. Świeżo po studiach w Bristolu, spędzał czas, ucząc i rozwijając karierę zawodowego krykiecisty. Podejrzewała, że widuje się z innymi dziewczętami, lecz o to nie dbała. Nie była w nim zakochana i nie zależało jej, aby być tą jedyną.

Po nim byli inni. W żadnym się nie zakochała.

Nie widziała Magnusa od tamtego upokarzającego dnia we Włoszech, ponad rok temu. Teraz, bogatsza o doświadczenie, zamierzała doprowadzić wreszcie do końca to, co wówczas zaczęli.

Pogodziwszy się z tym, że nie zje kolacji z ojcem, spędziła wieczór, czytając w salonie na pierwszym piętrze domu przy Eaton Square. Gdy usłyszała, że antyczny zegar dziadka wybija wreszcie jedenastą, odłożyła podręcznik fizyki, wyszła z domu i skierowała się na Belgrave Road, gdzie z łatwością złapała taksówkę.

W recepcji Claridge'a poinformowano ją, że Magnus jeszcze nie wrócił. Zostawiła mu wiadomość prosząc, by zajrzał po powrocie do baru.

Zdażyła wypić pół lampki koniaku, gdy się pojawił. Jeśli widok Elizabeth go zaskoczył, nie pokazał tego po sobie.

— Masz szczęście, że twój ojciec ze mną nie wrócił — powiedział, kiedy czekali na windę.

Elizabeth spojrzała na niego chłodno. — To raczej tobie dopisało szczęście. Jest więcej niż prawdopodobne, że tatuś obwinilby osobę dorosłą. Nie sądzisz?

Kiedy drzwi windy się zamykały, Magnus nadal się śmiał.

Następnego ranka Elizabeth obudziła się wcześnie. Po szybkim prysznicu zostawiła Magnusa śpiącego i wróciła na Eaton Square. Ojciec jeszcze się nie pokazał. Zostawiła mu krótki list z wiadomością, że musiała wrócić pilnie do Greycourt i że zadzwoni do niego w tygodniu, by porozmawiać.

Nie pofatygowała się jednak, by to zrobić. Pojechała do Cambridge bez ojcowskich rad. Oczywiście nie uczyniło to różnicy. Po trzech rozmowach kwalifikacyjnych, które przebiegły dokładnie tak, jak zamierzyła, była już pewna, że zapewniła sobie tam miejsce.

Przez cały ten czas nie poświęciła Caitlin i Elliottowi nawet jednej myśli. Lecz w następnym tygodniu, kiedy sprawdzała, jak idzie sprzedaż biletów na Bal Śnieżki, zauważyła nazwisko Elliotta. W sąsiedniej kolumnie, oznaczonej jako „gość”, figurowała Caitlin.

Usiadła i przez chwilę się zastanawiała. Po ostatniej rozmowie z Caitlin instynkt podpowiadał jej, by się nie wtrącała. Nie była jednak w stanie poradzić nic na to, że czuje się po części odpowiedzialna za przyrodnią siostrę. Może powinna bardziej się postarać i jeszcze raz przemówić Caitlin do rozsądku.

W końcu postanowiła, że pójdzie do niej później, zaproponuje, aby wybrały się razem po zakup balowej sukni, a kiedy już znajdą się poza szkołą, przycisnie ją znów w kwestii Elliotta.

Rozdział dziesiąty

Caitlin stała przed wysokim lustrem, wygładzając fałdy sukienki. Był wieczór balu. We wszystkich pokojach dziewczęta układały włosy, malowały się i dokonywały ostatnich poprawek stroju.

Po wyprawie z Elizabeth do sklepów, będącej totalną katastrofą, Caitlin sama zaprojektowała dla siebie sukienkę. Dziewczęta spędziły poranek, odwiedzając jeden elegancki butik po drugim i próbując znaleźć dla Caitlin odpowiednią kreację. Wszystkie były wszakże jak na jej gust zbyt wyrafinowane.

Elizabeth zaczęła się już niecierpliwić, kiedy natknęły się na sklep z wyrobami artystycznymi. Na wystawie Caitlin spostrzegła reprodukcję swego ulubionego obrazu: „Pasowanie” Edmunda Blaira Leigh-ona. Ukazywał dziewczynę pasującą na rycerza klęczącego wojownika. Dziewczę odziane było w średniowieczną suknię z fałdzistego jedwabiu o barwie kości słoniowej, ozdobioną w talii, dookoła dekoltu i ramion złotym celtyckim haftem. Bajkowa suknia przywodząca na myśl dawno zapomniany wiek rycerskości i romantyzmu... Podsunęło to Caitlin pomysł. Zaciągnęła Elizabeth do nędznego sklepiku z materiałami, gdzie kupiła kilka jardów przecenionej tkaniny.

Uszycie sukni nie było trudne. Jej matka miała smykałkę do szycia, a Caitlin często jej pomagała. Pani Linton, opiekunka Berrylands oraz nauczycielka gospodarstwa domowego, pozwoliła jej korzystać wieczorami ze szkolnej maszyny do szycia. Teraz Caitlin stała przed lustrem w sukni będącej niemal idealną kopią tej ze zdjęcia. Zamiana bladego jedwabiu na zielony aksamit przydała kreacji dramatycznego,

ale też bardziej zimowego charakteru, podkreślając jasną karnację Caitlin. Z ciemnym włosami opadającymi w splotach na jedno ramię, wyglądała niczym Ginewra z zamku Camelot.

— Wyglądasz cudownie.

George stała za Caitlin, uśmiechając się do niej w lustrze.

— Dzięki — powiedziała Caitlin, dotykając loków. — I dziękuję za pomoc. — George układała przez kilka godzin wijące się dziko włosy Caitlin w schludne, ładne pierścionki. Caitlin chciała powiedzieć coś jeszcze, przeprosić za to, że zaniedbywała ostatnio przyjaciółkę, lecz nim zdążyła się odezwać, zapukano do drzwi.

To był Elliott. Kiedy zobaczył Caitlin, po prostu zapało mu dech.

— Rany — wykrztusił w końcu, dając jasno do zrozumienia, co myśli.

Caitlin odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem. Martwiła się, że Elliottowi nie spodoba się suknia. Wiedziała, że inne dziewczęta będą starały się pokazać jak najwięcej ciała. Jednak dopasowane, skąpe szatki nie pasowały do jej figury.

Elliott wyciągnął zza pleców bukiet miniaturowych róż. Elizabeth myli się co do niego, pomyślała Caitlin, pochmurniejąc na wspomnienie rozmowy, jaką odbyła tamtego dnia z siostrą. Kiedy skończyły już z zakupami, Elizabeth poruszyła znów temat EUiotta, powtarzając to, co mówiła wcześniej: że ją wykorzystuje i opowiadając, jak traktuje Morgan. Caitlin upierała się, że to wszystko nieprawda; Elizabeth rozgniewała się w końcu, zła o to, że Caitlin nie chce jej słuchać i drogę powrotną do Greycourt odbyły w milczeniu.

Teraz widząc, jak słodki jest wobec niej Elliott, utwierdziła się w przekonaniu, że miała co do niego rację. George wzięła kwiaty, obiecując, że włoży je do wody i ponaglając ich, by już sobie poszli. Nawet ona odłożyła tego wieczoru na bok niechęć do Elliotta i uśmiechnęła się życzliwie, gdy wychodzili. Nie widziała dotąd Caitlin tak szczęśliwej. Miała nadzieję, że przyjaciółka spędzi cudowny wieczór. W pełni na to zasługiwała.

Jak wszystko inne w Greycourt, doroczny Bal Śnieżki stanowił najdoskonalszy z możliwych przejaw wyrafinowania i dobrego sma-

ku. Chłopcy mieli na sobie smokingi - kupione, nie wypożyczone a dziewczęta sukienki z. Sellridgc'a, Liberty lub od Harveya Nicholisa. Jedynie nieszczęśnicy utrzymujący się ze stypendiów zmuszeni byli kupić stroje w sklepach takich jak Moss Bros czy Top Shop.

Wchodząc do olbrzymiego namiotu ustawionego na gruntach należących do szkofy, wszyscy stwierdzali zgodnie, że komitet organizacyjny przeszedł w tym roku sam siebie. Należało się tego spodziewać, zważywszy, że przewodniczącą była Elizabeth Melville.

Parkiet szybko zapełnił się tańczącymi, a do bufetu ustawiła się kolejka — goście ochoczo częstowali się delikatnymi kanapkami dostarczonymi przez sklep Fortnuma&Masona. Spory tłum otaczał też stolik do ruletki. Elizabeth wyglądała jak zwykle bardzo wytwornie w sukni bez ramiączek, uszytej z czerwonej krepy, z włosami splecionymi we francuski warkocz i sznurem pereł otaczającym łabędzią szyję. Ustawiła się obok stolika, gdzie podawano drinki, witając każdego, kto wchodzi — i pilnując, aby wziął tylko jeden dozwolony kieliszek bąbelków.

Do ósmej wszyscy uczniowie szóstych klas już się zjawili. Caitlin i Elliott przyszli niemal jako ostatni. Kiedy wchodzili ramię w ramię do namiotu, Caitlin nie zdawała sobie sprawy, jakie wzbudzają poruszenie. Elliott, odziany w smoking, z ciemnymi włosami nadal wilgotnymi po prysznicu, wyglądał w każdym calu jak niegrzeczny chłopak z wyższych sfer. Caitlin zaś stanowiła intrygującą mieszankę niewinności i erotyzmu. Choć byli bez wątpienia najlepiej prezentującą się parą, nie dlatego wszyscy się im przyglądali. Pogłoska o zakładzie rozeszła się wszędzie i większość uczniów szóstego rocznika — z wyjątkiem Elizabeth Melville — wiedziała, że tego wieczoru wszystko się rozstrzygnie. O niczym innym nie rozmawiano. Morgan stała z przyjaciółkami w kącie, przyglądając się wchodzącym. — Caitlin wygląda cudownie — powiedziała z zazdrością Lucille Lewis, spoglądając na swoją nudną czarną sukienkę bez ramiączek. Dziewczęta przytaknęły, pomrukując zgodnie. Morgan zmrużyła oczy, boleśnie świadoma, że nikt nie skomplementował jej wyglądu. Może wybór koktajlowej sukienki w odcieniu delikatnego różu był jednak błędem. Sprzedawczyni próbowała prze-

konać ją, że blady kolor sprawi, iż będzie wyglądała bezbarwnie, ale jak zwykle Morgan nie posłuchała dobrej rady.

— Myślę, że wygląda dziwacznie — stwierdziła.

Nikt się nic odezwał. Było oczywiste, że przemawia przez nią zazdrość i przyjaciółki uznały to za przejaw słabości. Lucy Briars, stojąca obok Morgan, westchnęła rozmarzona. Studentka anglistyki, uwielbiająca romantyczną literaturę i obdarzona nader żywą wyobraźnią, obserwowała z wielkim zainteresowaniem rozkwitającą zażyłość pomiędzy Caitlin a Elliottem.

— Zastanawiam się, czy są w sobie zakochani.

— Nie bądź śmieszna — prychnęła Morgan. — Elliott robi to tylko z powodu zakładu.

Lecz w duchu nawet ona zaczęła się zastanawiać, czy Elliott wciąż tylko udaje uczucie. Przyłapała go, jak wpatrywał się w Caitlin, kiedy sądził, że nikt go nie widzi. Było w tym pożądanie... ale i coś jeszcze. Tak, czułość. Zdawała sobie sprawę, że na nią nigdy tak nie spoglądał i aż skręcało ją z zazdrości. Miała tylko nadzieję, że Caitlin dostanie tego wieczoru za swoje.

Przed jedenastą Elliott musiał na chwilę wyjść. Wspomniał, że idzie do toalety, po czym wymknął się na zewnątrz i okrążył budynki Wydziału Nauki. Nauczyciele wydawali się tego wieczoru szczególnie czujni, to zaś było jedyne miejsce, którego nie patrolowali. Picie alkoholu było surowo zabronione. Szkoła nie mogła sobie pozwolić na powtórkę wydarzeń, jakie miały miejsce w poprzednim roku, kiedy to dwóch uczniów trzeba było odwieźć do szpitala, by przepłukano im żołądki. Nikomu w Greycourt nie zależało na tego rodzaju rozgłosie.

Nim dotarł do laboratorium chemicznego, zebrał się tam już spory tłum. Palono papierosy, a parki tuliły się do siebie. Pewien przedsiębiorczy facet przyniósł alkohol i teraz sprzedawał go po słonej cenie. Zgromadziło się tam niemal tyle samo ludzi, co w namiocie. Było tylko kwestią czasu, nim ktoś zorientuje się, gdzie wszyscy znikają.

Kilka osób pozdrowiło Elliotta, kiedy przechodził, lecz większość go zignorowała. Ponury wyraz twarzy chłopaka stanowił wystarczające ostrzeżenie. Przykucnął, ukryty za murem.

Wieczór nie rozwijał się po jego myśli. Sądził, że będzie to łatwe, a nawet zabawne. Nie spodziewał się, że będzie czuł... cóż, wyrzuty sumienia. Kiedy przyszedł po Caitlin i zobaczył ją stojącą przed nim, tak piękną i niewinną, zaczął się zastanawiać, czy nie powinien jednak się wycofać...

Lecz jeśli to zrobi, wszyscy będą się z niego śmiać. Jego reputacja legnie w gruzach. A tego by nie zniósł.

Wsunął rękę do kieszeni. Pigułki nadal tam były: GHB, nielegalny zamiennik sterydów anabolicznych. Dostał je od kulturystów z miejscowej siłowni, kiedy chciał zwiększyć przed sezonem rozgrywek masę mięśniową. Okazało się, że mają też bardzo przydatny skutek uboczny, działając jak rohypnol, czyli pigułka gwałtu.

Była to ostateczność, z każdą chwilą jednak bardziej prawdopodobna. Wyjął srebrną piersiówkę i pociągnął solidny łyk niemal czystej wódki. Poczł się lepiej, wypił więc jeszcze trochę. Za chwilę będzie musiał wrócić. Potrzebował jednak odrobiny czasu, by zebrać myśli.

Caitlin przeżywała cudowne chwile. Bal nie przypominał w niczym wieczorków tanecznych w Irlandii, kiedy to chłopcy z pobliskiej szkoły chowali się po kątach, podczas gdy dziewczęta stały, chichocząc, w grupkach.

Tutaj pary tańczyły jak należy, wypróbowując kroki walca, quickstepa i jive'a, których nauczyły się podczas obowiązkowych lekcji tańca, pobieranych przez kilka poprzedzających bal tygodni. Wszystko to sprawiało bardzo dorosłe wrażenie.

Po raz pierwszy odkąd przybyła do Greycourt, czuła się w pełni akceptowana. Mnóstwo dziewcząt pytało ją, gdzie kupiła sukienkę, a kiedy przyznała, że uszyła ją sama, widać było, że wywarło to na nich wrażenie.

— Czy właśnie to chcesz kiedyś robić? — spytała Lucille, dotykając stanika z zielonego aksamitu. — Projektować?

— Sama nie wiem. — Była to uczciwa odpowiedź. Nie zastanawiała się dotąd, co chce zrobić ze swoim życiem. Inni planowali i planowali. Ona nie była taka. Przyjemnie było jednak pomyśleć, że ktoś mógł uznać, iż nadaje się, by robić coś tak fascynującego.

Poczuła na ramieniu dotyk dłoni. To był Elliott. Oczywiście wyglądał tego wieczoru bajecznie, przystojny w mroczny, odrobinę niebezpieczny sposób. Bez wątplenia urodził się po to, by nosić smoking. Uśmiechnęła się do niego. — Zastanawiałam się, gdzie się podziałeś.

Wzruszył ramionami. — Wyszedłem trochę się przewietrzyć. — Wyciągnął do niej rękę. — Zatańczysz ze mną?

Caitlin odpowiedziała uśmiechem. Na to czekała przez cały wieczór. Wszystko idealnie się zgrało. Światła przygasły i w namiocie rozbrzmiała nastrojowa piosenka Roxette // *must have been love*, rozślawiona przez filmowy przebój lata, *Pretty Woman*. Elliott objął Caitlin. Wspierała głowę na jego silnej piersi i zamknęła oczy. Odgarnął jej włosy z twarzy, a potem przyciągnął bliżej. Ich ciała poruszały się w zgodnym rytmie. Caitlin westchnęła z zadowoleniem. Wszystko o czym marzyła i na co czekała, właśnie się spełniało.

— Usiądźmy na trochę — powiedział Elliott po chwili.

Caitlin nie miała na to specjalnej ochoty. Była szczęśliwa, tańcząc. Pozwoliła jednak, by podprowadził ją do stolika w rogu. Było to ciemne, odosobnione miejsce, ukryte za ozdobnym filarem. Po chwili uświadomiła sobie, że wybrał je celowo — sięgnął bowiem do kieszeni i wyjął oprawną w skórę płaską flaszkę. Wyciągnął ją ku niej. — Panie pierwsze. Zawahała się. Nie piła dotąd alkoholu i wiedziała, że jest on na terenie szkoły zakazany. Tylko szóstoklasiści mogli napić się tego wieczoru czegoś mocniejszego, a i to w ograniczonej ilości jednej lampki szampana oraz dwóch drinków.

Elliott dostrzegł jej wahanie. — Hej, nie przejmuj się. Jeśli nie chcesz, w porządku.

Zrobiło jej się głupio. Dlaczego nie spróbować odrobinę? Zawsze postępowała zgodnie z zasadami. Może już pora trochę zaszaleć.

Wódka zapiekła ją w gardle. Zakrztusiła się zaskoczona i trochę alkoholu pociekło jej po brodzie. Wytarła go ze śmiechem.

— Dokończ, jeśli chcesz — powiedział Elliott. — Tam, skąd pochodzi, jest tego jeszcze mnóstwo.

Zmusiła się, by przełknąć alkohol i udowodnić mu, że potrafi być równie wyluzowana jak Morgan czy Lucille. Przyglądał jej się zadowolony, czekając, aż odda mu butelkę.

Dobra dziewczynka - powiedział, wsuwając piersiówkę na powrót do kieszeni.

Podał Caitlin rękę i poprowadził znowu na parkiet.

Szczytowym punktem programu, z którego Elizabeth byta szczególnie dumna, miał być pokaz sztucznych ogni. Udało jej się namówić zespół zawodowych pirotechników, by przygotowali go za darmo. Pracowali od dwóch dni, wznosząc na boisku platformy załadowane po brzegi fajerwerkami. Ich odpalaniem miały zawiadywać trzy komputery. Pokaz zaplanowano na czternaście minut i dwadzieścia trzy sekundy — tyle trwała bowiem uwertura *1812* Czajkowskiego, która miała rozbrzmiewać w tym samym czasie z głośników. Gwoździem programu było skomplikowane tableau w kształcie insygniów Greycourt.

Za kwadrans dwunasta Elizabeth zaczęła ponaglać gości, by wyszli z namiotu. Sto pięćdziesiąt osób — uczniów i nauczycieli — zgromadziło się na boisku do rugby. Dziewczęta drżały w skąpych sukienkach, wbijając obcasy w rozmiękłą ziemię. Zbyt próżne, by się okryć, czekały, aż rycerscy partnerzy zaoferują im swoje marynarki. W budynku internatu młodsi uczniowie wstali z łóżek i stanęli gromadnie przy oknach z nosami przyciśniętymi do szyb, by nie uronić nic z widowiska.

Caitlin wyszła z namiotu za Elliottem. Potknęła się na stopniach i musiał ją podtrzymać. Podziękowała, mamrocząc niewyraźnie i zastanawiając się, co jest z nią nie tak. Nie była w stanie jasno myśleć i plątały jej się nogi. Nie wspomniała jednak o tym nikomu, gdyż właśnie zaczynał się pokaz.

Zaczęto odliczać czas do północy.

— Dziesięć... dziewięć... — skandował tłum.

Caitlin próbowała się przyłączyć, ale z jakiegoś powodu język nie chciał jej słuchać.

— Pięć... cztery...

Teraz była już pewna, że dzieje się z nią coś złego. Lecz jeśli wytrwa jeszcze trochę, będzie mogła wrócić do pokoju i się położyć.

— Trzy... dwa... jeden...

Rozbłysła pierwsza rakietka, zalewając niebo kaskadą drżącego światła: złota i czerwieni. Tłum westchnął zachwycony.

Gdzieś z tyłu Caitlin próbowała skupić wzrok na fajerwerkach. Czowała się taka zmęczona... Ledwie mogła utrzymać prosto głowę, a oczy same się jej zamykały. Może to przez alkohol. Lecz nie wypła przecież aż tak dużo...

Elliott mówił coś do niej. Widziała, że jego wargi się poruszają, lecz nie słyszała słów. Osunęła się, a wtedy objął ją w talii i podtrzymał.

A potem... potem... Nic.

Elliott na poły ciągnął, na poły niósł Caitlin przez szkołę. Nim dotarł do spiralnej klatki schodowej prowadzącej do jego pokoju, dyszał ciężko, a koszulę mokną miał od potu. Spróbował wejść na stopień i ugiął się pod ciężarem bezwładnego ciała.

Uznał, że najpierw odpocznie, i oparł Caitlin o ścianę. Przytrzymał dziewczynę jedną ręką, drugą szukając w kieszeni papierosów.

Tak był tym zajęty, że nie zauważył braci Ashford. Nadeszli w ślad za nim, a kiedy zobaczyli nieprzytomną Caitlin, uśmiechnęli się do siebie.

— A gdzież to się nasz kochaś wymyka?

Elliott podskoczył z poczuciem winy, sądząc, że został przyłapany-

Chwilę zajęło mu uświadomienie sobie, że to tylko współ lokatorzy czają się w półmroku. Ubrani w identyczne smokingi, wydawali się wręcz nie do odróżnienia.

Odprężył się trochę, na tyle, na ile mógł, starając się utrzymać na nogach nieprzytomną Caitlin.

— Co wy tu u diabła robicie?

— Znudziło nam się — powiedział Seb.

Nick pokazał butelkę Bollingera, którą zwinął po drodze.

— Pomyśleliśmy więc, że przeniesiemy zabawę na górę. Nie spodziewaliśmy się, że będziesz „przyjmował tu gością"... tak to nazwijmy.

Spojrzeli jednocześnie na Caitlin osuwającą się po ścianie.

O rany - powiedział Seb, przeciągając głoski. Nie wygląda dobrze, co, Nick?

Nick skinął z powagą głową, przytakując bratu. — Rzeczywiście, nie jest z nią za dobrze.

— Musiała wypić zbyt dużo — powiedział Elliott bez przekonania. — Pomyślałem, że łatwiej będzie przytaszczyć ją tutaj...

Bliźniacy unieśli jak na komendę brwi w geście absolutnego niedowierzania.

Seb wysunął się do przodu. — Może ci pomożemy?

We trzech bez trudu wnieśli Caitlin po schodach, a potem do sypialni Elliotta. Rzucili ją twarzą w dół na łóżko, a potem Seb i Nick wyszli.

To co musiał teraz zrobić, nie było tak przyjemne, jak się spodziewał. Przywykł do tego, że dziewczęta, z którymi idzie do łóżka, reagują na pieszczoty, pragnąc seksu tak samo jak on. Bezwładne ciało nie było szczególnie podniecające.

Dobiegające z saloniku odgłosy otwierania szampana i śmiechu także nie pomagały. Podejrzewał, że bliźniacy zachowują się tak z czystej złościwości.

Gdy było wreszcie po wszystkim, poczuł ulgę. Poprawił Caitlin ubranie i wyszedł do braci.

Kiedy przechodził przez próg, Seb dopił szampana, wstał i ruszył do pokoju Elliotta.

— Co robisz? — zapytał Elliott nerwowo,

— A jak ci się wydaje? — odpowiedział pytaniem Seb, wpatrując się w niego.

Elliott chciał zaprotestować, lecz jakie miał prawo zgrywać moralistę? A ona i tak niczego nie zauważy. Zatem dlaczego nie? Patrzył, jak Seb zamyka za sobą drzwi sypialni.

— Masz jeszcze coś do picia? — zapytał Nicka.

Teraz nie pozostało mu już nic innego, jak tylko porządnie się upić.

Rozdział jedenasty

Gdy Caitlin obudziła się rano po balu, wiedziała, że coś jest z nią nie tak. Z pozoru wszystko było jak trzeba. Znajdowała się w swoim pokoju, w swoim łóżku, bezpieczna pod różową kołdrą, ubrana w piżamę. Balowa suknia leżała, poskładana starannie, na oparciu krzesła. Wiedziała jednak, że coś jest bardzo nie w porządku. Czuła się źle. Mięśnie bolały ją jak przy grypie i było jej niedobrze. Ciekawe, czy to jest właśnie kac, pomyślała.

Pamiętała, że była na balu, tańczyła, rozmawiała i dużo się śmiała... A potem obraz bladł. Wspomnienia czekały ukryte w głębi umysłu. Zamknęła oczy i spróbowała je przywołać. Musiała zasnąć, ponieważ w następnej chwili śniła oddzielona od ciała, jakby obserwowała samą siebie w kinie...

Była w pokoju ciemnym niczym jaskinia. Leżała na łóżku zarzuconym ubraniami. Z początku sądziła, że jest tam sama. Lecz potem materac się ugiął i wiedziała już, że ktoś jest tam z nią. Piżmowa woń wody po goleniu powiedziała jej, że to mężczyzna.

— Elliott? — próbowała zapytać, kiedy przysunął się bliżej.

Lecz potem poczuła, że kładzie się na niej całym ciężarem i rozsuwa jej nogi. Wiedziała, że to nie może być Elliott, ponieważ on nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Mimo oszołomienia poczuła rozrywający wnętrzności ból. A potem mężczyzna jął wbijać się w nią tak mocno i bezlitośnie, że miała ochotę się rozpłakać. Nie mogła jednak. Pompował i pompował, aż wreszcie zeszywniał i opadł na nią bezwładnie.

Po chwili jego oddech się uspokoił. Zszedł z niej, leżała zatem spokojnie, sądząc, że przynajmniej jest już po wszystkim. Lecz potem drzwi się otwały, usłyszały szmer prowadzonej przyciszonym głosem rozmowy i kolejny mężczyzna zajął miejsce pierwszego. A potem następny... póki nie była już tak obolała, że każda cząstka jej ciała wołała bezgłośnie o litość.

Tym razem, kiedy się obudziła, policzki mokre miała od łez.

Wszyscy wiedzieli. Nie miała pojęcia skąd, ale wiedzieli. Dokądkolwiek poszła, ludzie się na nią gapili. Kiedy szła korytarzem, żeby wziąć prysznic, czuła na sobie ich wzrok. I plotkowali. Rozmowy milkły, kiedy wchodziła do pokoju i rozbrzmiewały znowu, ledwie zamknęły się za nią drzwi. Uczniowie odprowadzali ją spojrzeniami, szepcząc i śmiejąc się z niej za plecami.

Otuliła się ciasno ręcznikiem i wróciła do pokoju.

Czekała, aż Elliott przyjdzie i się z nią zobaczy. Gdy tego nie zrobił, nie wiedziała, co począć. Nie miała z kim porozmawiać. George ledwie była w stanie spojrzeć jej w oczy.

Nie poszła wieczorem do jadalni. Powiedziała opiekunce, pani Linton, że źle się czuje. Prawda wyglądała jednak tak, że nie byłaby w stanie stawić czoła ciekawskim spojrzeniom.

Siedziała sama w pokoju, wpatrując się w mrok za oknem, gdy zapukano do drzwi. Wstała pewna, że to pani Linton przyszła sprawdzić, jak się czuje. Lecz kiedy otworzyła drzwi, zobaczyła Elizabeth. Stała w progu rozgniewana i bez cienia uśmiechu na twarzy.

Serce podeszło Caitlin do gardła. Więc ona też już słyszała.

— Musimy zameldować o tym, co zrobił.

Elizabeth mówiła tonem nie dopuszczającym sprzeciwu. Usłyszała rano w jadalni plotki. Caitlin z Elliottem i bliźniakami Ashford... Morgan z rozkoszą się nad tym rozwodziła.

Z początku sądziła, że to tylko takie gadanie. Przyszła powiedzieć siostrze, co się o niej mówi po to, by mogły wszystko wyprostować. Ale gdy tylko zobaczyła Caitlin, z szarą cerą i zaczerwienionymi oczami, domyśliła się, że musi być w tym coś więcej. Zmusiła dziewczynę, by powiedziała, co pamięta. To oczywiście, co musiało wydarzyć się

w nocy. Caitlin była po prostu zbyt naiwna, by się tego domyślić. Sądziła, że się upiła i dopuściła do czegoś, czego teraz bardzo żałowała. Elizabeth wiedziała lepiej. Słyszała plotki już przedtem, nie sądziła jednak, że Elliott mógłby upaść tak nisko... Choć nie dałaby pięciu groszy za bliźniaków. Cóż, tym razem się im nie upiecze. Już ona tego dopilnuje.

— Pójdziemy do doktor Philips — powiedziała. — Pójdę z tobą i będę cię wspierała.

Lecz Caitlin była nieugięta. — Nie chcę. Ze mną wszystko w porządku...

— Nic nie jest z tobą w porządku! — wybuchła Elizabeth. — Boże! — Potrząsnęła zirytowana głową. — Niczego się nie nauczyłaś? Gdybyś mnie wtedy posłuchała, może...

Zamilkła gwałtownie, lecz było już za późno. Zranione spojrzenie Caitlin mówiło jasno, że dokończyła w duchu zdanie: ...może nic by się nie stało.

Do licha. Czy naprawdę to powiedziała? Nie chciała, by Caitlin poczuła się jeszcze gorzej. Nie była jednak dobra w pocieszaniu. Jej domeną było działanie. No i czuła się winna. Gdyby nie była tak zajęta, może zorientowałyby się, co Elliott i pozostali knują, i byłaby w stanie powstrzymać. Obiecała zaopiekować się Caitlin i sromotnie zawiodła. Nie miała pojęcia, jak zdoła teraz to naprawić.

Caitlin podniosła wzrok i spojrzała na Elizabeth. Wydawała się tak rozgniewana. Caitlin nie potrafiła odnaleźć w sobie tego rodzaju uczucia. Czuła się... winna. Cokolwiek mówiła Elizabeth, nie była w stanie wyzbyć się uczucia, że to wszystko jej wina. Pragnęła tego, czyż nie? Za każdym razem gdy była z Elliottem, zastanawiała się, jakby to było, kochać się z nim. I może on to wyczuł.

Elizabeth wpatrywała się w nią uważnie.

— To nie twoja wina — powiedziała, jakby czytała w myślach Caitlin.

— Może i nie — odparła Caitlin z wolna. — Ale proszę... nie możesz nikomu powiedzieć.

— Caitlin...

— Nie. — Po raz pierwszy to Caitlin okazała stanowczość. Chciała zapomnieć, co się wydarzyło. Wciąganie w to dyrektorki tylko po-

gorszyłoby sprawę. Mówię poważnie. Musisz mi przyrzec, że nikomu nie powiesz.

Caitlin widziała, że Elizabeth ma ochotę z nią dyskutować. Zdawała sobie jednak sprawę, że siostra nie jest typem osoby, która zrobiłaby coś takiego za jej plecami. Jeśli Elizabeth obieca zachować milczenie, dotrzyma przyrzeczenia.

— Proszę, Elizabeth. Tu chodzi o mnie, a ja właśnie tego chcę. Elizabeth westchnęła, poddając się niechętnie.

— Dobrze. Nie powiem. — Jej zielone oczy zwężyły się niebezpiecznie. — Lecz nadal uważam, że EUiott powinien za to zapłacić.

Kilka dni później plotki na temat Caitlin zagłuszył większy skandal. Doktor Phillips, dyrektorka Greycourt, otrzymała anonimowy donos, z którego wynikało, że któryś z szóstokiasistów przetrzymuje w pokoju wielkie ilości narkotyków. Oskarżenie nie mogło zostać zignorowane. O świcie następnego dnia czterech starszych członków grona pedagogicznego przystąpiło do niezapowiedzianego przeszukania pokoi uczniów szóstej klasy.

Rewizja trwała trochę ponad czterdzieści minut. Przerwano ją, gdy w saloniku zajmowanym przez Elliotta Falconera i bliźniaków Ashford znaleziono pół kilograma kokainy. Winowajcy zostali zaprowadzeni tak jak stali, w bokserkach i koszulkach drużyny rugby, do dyrektorki. Szli, protestując i zapewniając o swej niewinności.

Nikt im nie uwierzył. W kampusie od dawna plotkowano, że cała trójka zażywa narkotyki. Grono przymykało oczy, póki odbywało się to dyskretnie, a ilość prochów nie przekraczała dawki potrzebnej do osobistego użytku. Tym razem posunęli się jednak za daleko: twardy narkotyk, do tego w ilości, jaka nie mogła być przeznaczona tylko dla nich. Cała trójka została natychmiast wydalona.

— Jeśli wyjadą, nie robiąc zamieszania — oznajmiła rodzicom doktor Phillips — nie trzeba będzie wzywać policji.

Elizabeth nic jej nie powiedziała, a Caitlin nie zapytała siostry wprost, czy miała z tą sprawą coś wspólnego. Lecz kiedy następnym razem mijała Elizabeth na korytarzu, uśmiechnęła się do niej. I po raz pierwszy, odkąd się znały, Elizabeth odpowiedziała uśmiechem.

Po tych wydarzeniach ostatnie dni semestru minęły szybko. Caitlin przetrwała je, śmiejąc się w odpowiednich momentach wystawianej przez młodsze roczniki pantomimy, śpiewając kolędy podczas pasterki, rozrywając papierową tubę z niespodzianką podczas bożonarodzeniowego śniadania. Na pozór zachowywała się normalnie, ale w środku nie była już taka, jak przed feralnym wieczorem. George zaprosiła ją, by spędziła u niej kilka dni, lecz Caitlin nie miała ochoty nikogo odwiedzać. Chciała, aby zostawiono ją w spokoju..

Kiedy wróciły do Aldringham, trudno jej było zaangażować się w świąteczne rozrywki. Czuła się wyobcowana, chociaż na pozór nie było po temu powodu. Incydent, jak zwykła go nazywać, przeminął. Tamci zniknęli z jej życia na zawsze. Nie było sensu pograżać się w czarnych myślach. Pewnego razu, gdy były same, Elizabeth powiedziała, że jeśli Caitlin chciałaby kiedyś porozmawiać, z ochotą jej wysłucha.

Lecz Caitlin dała siostrze jasno do zrozumienia, że tak się nie stanie. Jedyne, czego pragnęła, to zostawić tamte wydarzenia za sobą.

Głośny śmiech sprawił, że podniosła głowę znad szkicownika. Z olbrzymiego wykuszowego okna jej pokoju roztaczał się widok na rozległe tereny posiadłości. Spojrzała obojętnie na Amber i Elizabeth wracające ze spaceru po zasypanych śniegiem gruntach do ciepłego domu. Chris, stajenny Melville'ów, szedł z tyłu, ciągnąc sześciostopowy świerk ścięty w lesie za Aldringham. Dziewczęta poszły z nim, by wybrać choinkę. Chris ściał drzewko i zmierzał z nim do salonu. Później, wieczorem, udekorują je, popijając brandy i pogryzając babeczki z leguminą. Był to doroczny rytuał dzieci Melville'ów, jak poinformowała Caitlin podczas śniadania Elizabeth, zapraszając siostrę, by do nich dołączyła. Caitlin przyjęła zaproszenie, lecz po południu okazało się, że nie ma już na to ochoty.

Prawdę mówiąc, coś takiego zdarzało jej się ostatnio coraz częściej. Odkąd wróciły do domu na święta, głównie spała i szkicowała. Elizabeth próbowała wciągnąć ją do przygotowań, lecz Caitlin nie wykazała zainteresowania.

Na ogół czuła się otepiała, i z tym potrafiła sobie poradzić. Jednak czasami ogarniał ją gniew tak gwałtowny, iż przerażało ją, że jest

w stanie odczuwać coś tak nieokiełznanego. Zadręczała się, rozmyślając o tym, co by było, gdyby... Gdyby matka nie umarła, a jej nie wysłano do Melville'ow, nic by się nie wydarzyło. Prześladowały ją myśli o tym, że nic powinna była przyjeżdżać do Aldringham, że tu nic przynależy.

Spojrzała bezwiednie na wielki drewniany kufer stojący w kącie pokoju. Zawierał ubrania i osobiste rzeczy jej matki. Ciocia Nuala zapakowała go jeszcze w czerwcu, kiedy musiały zabrać wszystko z domku.

Skrzynię wyprawiono statkiem do Aldringham krótko po tym, jak Caitlin tam przyjechała, lecz do tej pory nie czuła się na siłach, by do niej zajrzeć. Teraz, po wszystkim co się wydarzyło, chciała dotknąć znów rzeczy matki. Miała nadzieję, że przyniesie jej to pociechę.

Podeszła do kufra i uklękła. Kluczyk nosiła zawieszony na szyi. Zamek stawiał co prawda niewielki opór, ale udało się go otworzyć. Powoli, ostrożnie uniosła ciężkie dębowe wieko. Wnętrze skrzyni, wyłożone aksamitem, prezentowało się luksusowo. Był to jedyny mebel, jaki Katie zabrała z domu rodzinnego, przenosząc się do Wicklow. Caitlin wspomniała, że kufer stał w nogach łóżka mamy, służąc jako pojemnik na pościel.

Na wierzchu leżały dwa albumy. Otworzyła pierwszy i przekonała się, że zawiera prowadzoną z miłością i oddaniem dokumentację jej życia — święta i urodziny, wakacje i szkolne zabawy. Świadoma, że zaczyna pograżać się we wspomnieniach, zamknęła album i odłożyła go na bok. Chciała zobaczyć, co jeszcze jest w skrzyni. Przez następne pół godziny buszowała pośród jej zawartości. Nuala zapakowała wszystko, co jej zdaniem Caitlin chciałaby zachować: od ulubionych ubrań jej matki po odświętną porcelanę — przy czym każdą sztukę owinięto starannie w papierowe ręczniki, by się nie stłukła.

Na dole znajdował się skoroszyt pełen dokumentów — świadectwo ukończenia przez Katie szkoły średniej, metryka Caitlin, tytuł własności domku. Wszystko to spodziewała się znaleźć, lecz była też niespodzianka: pod teczką z dokumentami leżała paczka listów związanych czerwoną wstążką. Wyglądały zdecydowanie interesująco. Obróciła pakiet w dłoniach. Koperty, identycznego kształtu i rozmia-

ru, wykonano z drogiego kremowego papieru. Rozwiązała wstążkę i rozłożyła listy na podłodze. Było ich szesnaście.

Nie miała pojęcia, dlaczego tak jest, czuła jednak, że fakt, iż je znalazła, ma znaczenie. Zawahała się niepewna, czy mama pochwaliłaby to, że przegląda jej prywatną korespondencję. Lecz teraz nie była już w stanie się powstrzymać. Czując lekkie wyrzuty sumienia, wzięła do rąk pierwszy list i przyjrzała mu się dokładniej. Na kopercie widniało nazwisko matki. Nie było na niej znaczka.

Otworzyła kopertę i wyjęła zawartość. W środku znajdował się list napisany na sztywnym kremowym papierze, równie dobrej jakości, co koperta. Nie od razu uświadomiła sobie, iż napisany został na firmowym papierze firmy Melville. Przebiegła pospiesznie wzrokiem liniiki tekstu i przekonała się, że ma przed sobą oficjalne pismo: wypowiedzenie z pracy. Do pisma przypięto czek na tysiąc funtów — nie zrealizowany.

Cóż mogło to oznaczać? Matka nie powiedziała jej zbyt wiele o tym, co zaszło pomiędzy nią a Williamem. Wspomniała tylko, że zostawił ją, zanim zorientowała się, że jest w ciąży. A czy została też wyrzucona z pracy... Z bijącym mocno sercem otworzyła drugą kopertę — też niezaadresowaną. I znów oficjalne pismo informujące o czeku, stanowiącym rekompensatę za „przedwczesne zwolnienie”. Tym razem czek opiewał na pięć tysięcy funtów. Caitlin już miała odłożyć list, lecz coś zwróciło jej uwagę. Data na czeku: 3 maja 1975, dzień jej urodzin. Zrozumienie, co się za tym kryje, zajęło dziewczynie dobrą chwilę. Nie był to z pewnością zbieg okoliczności — to zaś mogło oznaczać tylko jedno: William wiedział od początku, że ma jeszcze jedną córkę.

Resztę listów wysłano do Irlandii — najpierw do domu dziadków Caitlin, a potem do domku w Valleymount. Caitlin przejrzała wszystkie. Zawierały to samo — krótkie potwierdzenie i czek datowany na dzień jej kolejnych urodzin. Wartość czeku wzrastała z każdym rokiem o pięć procent, lecz poza tym nic się nie zmieniało.

Trochę potrwało, nim Caitlin zdołała zebrać się w sobie. Schowała wszystko starannie do kufra i go zamknęła. Podeszła do garderoby, wyjęła plecak i zaczęła upychać do niego ubrania. Teraz wiedziała

już, co musi zrobić uciec od Melville'ow i ich świata. Wyjazd i rozpoczęcie gdzieś indziej nowego życia to jedyny sposób, aby zostawić przeszłość za sobą.

Dziś w nocy, obiecała sobie. Musi przetrwać do chwili, aż domownicy pójda spać, a potem wszystko będzie już dobrze.

— Brakowało nam ciebie dziś po południu,

Elizabeth schodziła ku niej ze schodów, a za nią podążała Amber. Cała trójka kierowała się do salonu, gdzie podawano przed kolacją napoje.

— Znalazłyśmy olbrzymią choinkę — powiedziała, zrównując się z przyrodnią siostrą, a kiedy Caitlin nie odpowiedziała, kontynuowała: — I spędziłyśmy popołudnie, ubierając ją.

Caitlin nadal się nie odzywała.

— A ty... co robiłaś?

— Kiedy? — spytała Caitlin obojętnie.

— Po południu. Czym się zajmowałaś, kiedy nas nie było? Caitlin wzruszyła ramionami. — Nie robiłam nic ważnego.

— Och. — Elizabeth nie bardzo wiedziała, jak zareagować.

— Cóż, powinnaś była wybrać się z nami — zakończyła niezręcznie.

— Tak, Caitlin, powinnaś była z nami pójść — wtrąciła cienkim głosem Amber. Wsunęła rękę w dłoń Caitlin. Elizabeth zauważyła to i się uśmiechnęła. Na początku ferii poleciła siostrze, żeby zaczęła odnosić się przyjaźniej do Caitlin.

— Dlaczego? — spytała Amber.

— Bo może myliłam się co do niej — odparła uczciwie Elizabeth.

— Nie jest taka zła.

Wystarczyło to Amber i teraz opowiadała w najlepsze Caitlin o roli, którą, jest tego absolutnie pewna, otrzyma w przedstawieniu baletowym podczas wiosennego semestru.

— Sienna przechwala się, że pani Abbot obiecała wybrać ją, aleja jestem o wiele lepszą tancerką.

Paplała dalej bez troski i Elizabeth zerknęła spod oka na Caitlin. Wyglądała okropnie: blada i zmęczona. Prawdę mówiąc, wydawała się równie wymizerowana jak wtedy, kiedy przybyła do Aldringham

po śmierci matki. Martwiło to Elizabeth, widziała bowiem, że Caitlin bardzo cierpi i tylko ona wie dlaczego. Nie miała jednak pojęcia, czy powinna spożytkować tę wiedzę, a jeśli już, to jak.

Caitlin poprosiła ją o dyskrecję i Elizabeth próbowała dotrzymać danego słowa. Zastanawiała się długo i intensywnie nad tym, czy postąpiły słusznie, nie informując nikogo, co się wydarzyło. Lecz Caitlin tego właśnie sobie życzyła, a ona nie chciała zawieść pokładanego w niej zaufania. Zrobiła co mogła, by jakoś pomóc siostrze — włącznie z tym, że zaciągnęła Caitlin do prywatnej kliniki w sąsiednim mieście, gdzie zrobiono jej test ciążowy oraz wykrywający chorobę weneryczną, a potem zawiozła po odbiór wyników — jak na razie, na szczęście, negatywnych. Dowiedziała się od George, co Caitlin powinna załatwić przed końcem semestru, a potem ją wyręczyła — o czym Caitlin nie miała zapewne pojęcia.

Lecz jeśli pominać sprawy praktyczne, nie bardzo wiedziała, co mogłaby jeszcze zrobić. Jak dotąd wszelkie przyjazne gesty z jej strony zostały odrzucone. Cóż, nie mogła winić za to Caitlin. Nie postarała się, by siostra dobrze się u nich poczuła, gdy przyjechała po raz pierwszy do Aldringham. Prawdę mówiąc, nie poświęciła nawet chwili, aby się zastanowić, jak przygnębiona i zdeprymowana musi być Caitlin. Nie powinno jej więc dziwić, że teraz siostra nie chce mieć z nią nic do czynienia. Lecz Elizabeth postanowiła, że nie pozwoli się zniechęcić. Poprzednim razem popełniła błąd, zbyt szybko się poddając, i nie zamierzała go powtarzać. Martwiło ją tylko, że cokolwiek zrobi, może być już za późno: Caitlin była zbyt załamana, aby w ogóle ją to obeszło.

Wieczór ciągnął się w nieskończoność. Ponieważ do Bożego Narodzenia zostały już tylko dwa dni, Rosalind i Piers zjechali do Aldringham. Oznaczało to, że kolacja, obfitsza niż zazwyczaj i podana w jadalni o sklepionym suficie, potrwa tego dnia znacznie dłużej. Potem wszyscy zabiorą filiżanki z kawą i przejdą z nimi do salonu, gdzie „dziewczeta”, jak nazywała je Rosalind, ułożą pod choinką prezenty. — Och, i ty, Caitlin, także — dodała starsza pani, jakby dopiero teraz sobie o niej przypomniała.

Przedtem bolały ją te drobne uszczypliwości, lecz teraz mogła je zignorować, pocieszając się świadomością, że jeszcze kilka godzin i nie będzie musiała więcej ich znosić.

O dziesiątej nie była już w stanie wytrzymać i poprosiła, by pozwolono jej odejść, gdyż czuje, że łapie ją grypa. Jediną osobą, która choć odrobinę się tym przejęła, była pani Hutchins. Przyniosła Caitlin paracetamol i podała szklanek wody. Ponieważ wyglądało na to, że nie ma ochoty wyjść, Caitlin udała, że zasypia i gospodyni zostawiła ją wreszcie samą. Caitlin pomyślała, że pani Hutchins to jedyna osoba, za którą być może zatęskni, kiedy opuści Aldringham.

Gdy wyszła, Caitlin otwarła natychmiast oczy. Nie mogła ryzykować, że zaśnie. Leżała zatem w ciemności, czekając, aż w domu zapadnie cisza. Niestety, w tak dużym domostwie trudno było stwierdzić to na pewno. Patrzyła więc na zegar przy łóżku, przyglądając się, jak przesuwają się jego świecące wskazówki, wskazując godzinę pierwszą, a potem drugą... O wpół do trzeciej uznała, że jest już bezpieczna. Włożyła dzinsy, sweter i adidas, chwyciła plecak i rozejrzała się po raz ostatni po pokoju. Potem zaś, z sercem bijącym mocno ze strachu i podekscytowania, otwarła drzwi najciszej, jak mogła i wymknęła się na korytarz.

Nie sposób było dotrzeć do wyjścia, nie robiąc hałasu. Chociaż starała się stąpać ostrożnie, deski podłogi trzeszczały, a drzwi skrzypiały. Mogła mieć tylko nadzieję, że jeśli ktoś to usłyszy, uzna odgłosy za typowe dla starego budynku i nie przyjdzie mu do głowy je badać. Kiedy tak wędrowała w ciemności długimi korytarzami, nawet jej zdarzyło się kilka razy podskoczyć. Czuła się tak, jakby poza nią był tam ktoś jeszcze. A może to wiatr poruszał okiennicą... Zeszła bez problemu na parter, otworzyła frontowe drzwi i dotarła się do zamykanej elektronicznie bramy. Zapamiętała kod, gdy Perkins przywiózł je do domu na ferie. Nacisnęła pospiesznie zapamiętane cyfry, modląc się w duchu, aby nie okazało się, że zostały zmienione. Kiedy brama otwarła się bezszelestnie, odetchnęła z ulgą. Od stacji kolejowej dzieliło ją dziesięć mil marszu w chłodzie grudniowej nocy. Był to długi, męczący spacer krętymi wiejskimi drogami. Kilka razy musiała uskakiwać i kryć się w krzakach, aby nie potracił jej samochód wiozący ludzi wracających z bożonarodzeniowego

przyjęcia. Nie mogła ryzykować, że zostanie złapana. Liczyła na to, że do późnego ranka nikt nie zorientuje się, iż zniknęła. Dawało jej to kilka cennych godzin przewagi.

Kiedy dotarła w końcu do stacji, wstawał kolejny zimowy dzień. Odszukała poczekalnię i skuliła się w kącie, tak daleko od drzwi i ciągnącego spod nich chłodu, jak tylko było to możliwe.

Kasę otwarto na krótko przed przybyciem pierwszego pociągu. Miała kilkaset funtów, które zabrała wieczorem z toaletki Isabelle. Caitlin O'Dwyer: uciekinierka i złodziejka. Kto by w to uwierzył? Sądziła, że kradnie fortunę, lecz szybko okazało się, że pieniędzy starczyło co prawda na zakup nie zarezerwowanego wcześniej biletu, lecz pochłonęło to większość skradzionej sumy.

Gdy szła na peron, mężczyzna za ladą obrzucił ją zaciekawionym spojrzeniem. Młoda dziewczyna, sama, kupująca bilet do Londynu, i to w Wigilię. Gdy tylko znalazła się poza zasięgiem słuchu, sięgnął po słuchawkę.

Zobaczyła ich, kiedy wysiadła na stacji Paddington. Trzej policjanci strzegący barierki, a obok nich dwaj krzepcy cywile w ciemnych ubraniach, przyglądający się twarzom podróżnych. Wiedziała instynktownie, że to jej szukają. Rozejrzała się, szukając drogi ucieczki. Przemknęło jej przez myśl, by wrócić do pociągu. Lecz tłum podróżnych parł nieubłaganie naprzód, pociągając ją za sobą. Nie da rady zawrócić — będzie musiała jakoś się przemknąć. Dołączyła do wielkiej, hałaśliwej rodziny, starając się sprawiać wrażenie, że jest jednym z jej członków.

Podeszła pewnym krokiem do wyjścia. Gdy jeden policjantów napotkał jej spojrzenie, nie spuściła wzroku. Patrzyła mu prosto w oczy, jakby nic miała nic do ukrycia. Lecz plan, choć sprytny, nie wypalił. Ktoś położył jej dłoń na ramieniu i powiedział: — Nie będzie panienka miała nic przeciwko temu, aby pójść tędy?

Spojrzała z zazdrością na wielką, szczęśliwą rodzinę kontynuującą podróż bez niej.

Dwaj krzepcy mężczyźni okazali się współpracownikami Williama oddelegowanymi, aby sprowadzić ją do domu. Podróż powrotna do Aldringham przebiegła w absolutnym milczeniu. Kiedy znaleź-

li się wczesnym wieczorem na miejscu, William już na nią czekał. Sam.

W gabinecie rozpoczął wykład, który przygotowywał najwidoczniej przez całe popołudnie. Co ona sobie myślała? Naraziła się na niebezpieczeństwo, przysparzając zmartwienia jemu i reszcie rodziny. Caitlin słuchała go z posępną miną.

William patrzył przygnębiony na pozbawioną wyrazu, gniewną Iwarz córki. Posępna i nadąsana? Caitlin? Te słowa do niej nie pasowały. Co stało się ze słodką, spokojną dziewczyną, którą poznał przed sześcioma miesiącami? Co sprawiło, że tak się zmieniła?

— Rozumiesz przynajmniej, na jakie niebezpieczeństwo się naraziłaś? — zapytał, sfrustrowany brakiem reakcji z jej strony. — Co ci u licha wpadło do głowy? Odpowiedziało mu milczenie. Znowu.

Twarz miał pobladłą z gniewu. Ledwie był w stanie nad nim panować. A gniew wynikał z lęku.

Tyle rzeczy mogło się jej przydarzyć, kiedy szła w nocy drogą... Gdyby pani Hutchins nie zajrzała rano do sypialni Caitlin, chcąc sprawdzić, jak dziewczyna się czuje... Gdyby ten człowiek ze stacji nie zadzwonił na policję... Znajdowała się pod jego opieką, musiał więc dopilnować, by nic takiego się nie powtórzyło.

— Nie jestem pewien, czy dociera do ciebie to, co mówię, Caitlin. Wyjaśnijmy więc sobie jedno. — Pochylił się nad biurkiem. Minę miał stanowczą. — Możesz uciekać, ile razy zechcesz. Zapewniam cię jednak, że za każdym razem sprowadzę cię z powrotem. Nieważne, dokąd pójdziesz i co zrobisz, i tak cię znajdę. Póki nie skończysz osiemnastu lat, pozostaniesz pod moim dachem. Zrozumiałaś? — Gdy nie odpowiedziała, powtórzył kwestię. — Pytałem, czy zrozumiałaś?

Podniosła powoli wzrok. — Tak. Zrozumiałam. Spojrzał jej w oczy. Była w nich pogarda, ale i rezygnacja.

— Doskonale — powiedział przekonany, że udało mu się do niej dotrzeć. — A teraz — zapytał nieco łagodniejszym tonem — czy jest coś, o czym chciałabyś ze mną porozmawiać? Jeśli powiesz mi, dlaczego jesteś tak nieszczęśliwa, może zdołam jakoś ci pomóc.

— Wszystko ze mną w porządku — odparła. — Jestem po prostu zmęczona. Jeśli to możliwe, chętnie się położę.

Widziała, że czuje się zawiedziony, lecz ani trochę jej to nie obchodziło. Nic była mu nic winna. Prawdę mówiąc, kusilo ją, by powiedzieć, co czuje — że gardzi nim za to, iż porzucił jej matkę, kiedy naprawdę go potrzebowała i teraz nie musi udawać, że zależy mu na niej. Nie miało to jednak sensu. Kiedy William raz się na coś uparł, nie było sposobu, by przekonać go do zmiany zdania. Nie oznaczało to jednak, że ona nie może obmyślić planu, który pozwoli jej wydostać się z Aldringham na własnych warunkach.

Kiedy wchodziła po schodach na piętro, umysł miała jaśniejszy niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich tygodni. To nie miejsce dla niej. Lecz skoro William nie pozwala jej odejść, będzie musiała zostać, przynajmniej przez jakiś czas. Ale sam to powiedział: gdy skończy osiemnaście lat i będzie w stanie sama się o siebie zatroszczyć, odejdzie od Melville'ów. Nadzieja na to, że kiedyś tak się stanie, pomoże jej przetrwać.

CZĘŚĆ II

Czerwiec 1993 — czerwiec 1995

Rozdział dwunasty

— Trzymaj się z dala od Belleville — powtarzały dziewczęta w hostelu.

Wyrażały się absolutnie jasno. Belleville to dzielnica Paryża, której należy unikać. Paskudna, zaniedbana, brudna i niebezpieczna. Prawdziwy galijski Harlem.

Lecz tylko na nią mogła sobie pozwolić.

Agent powiedział to bez ogródek, gdy przedstawiła mu stan swoich finansów. Zapewne wolałaby mieszkanie w dzielnicy Saint-Germain albo Marais. Kto by nie wołał? Lecz mógł jej zaoferować jedynie Belleville.

W godzinę później, stojąc przed domem, którego adres nabazgrał, wiedziała już, dlaczego jest tu tak tanio. Place Sle Marthe, ukryty w labiryncie wąskich brukowanych uliczek za Boulevard de la Villeite, obramowywały dwa rzędy zaniedbanych kamienic z przełomu wieków. Ich wyblakłe fasady mogłyby wyglądać całkiem oryginalnie, gdyby nie pokrywały ich graffiti, a okien i drzwi nie zabito na amen deskami.

Wnętrze nie przedstawiało się wiele lepiej. Pięć kondygnacji wąskich schodów zawiodło Caitlin na najwyższe piętro. Agent opisał — w przypiływie nieuzasadnionego optymizmu — małą mansardę jako *bijou*, klejnot. Tymczasem lokal składał się z małego pokoiku, gdzie upchnięto z trudem popsutą sofę, kuchenkę z dwoma palnikami gazowymi i starą lodówkę, oraz cuchnącej stęchlizną łazienki z pokrytą warstwą brudu wanną na lwich łapach. Caitlin rozejrzała się i pomyślała o wytwornie urządzonej mieszkanie Williama na

szczyt kamienicy przy ekskluzywnej Rou Saint-Honore. Mogłaby płać się tam w luksusie.

Tylko że jej nie zależało na luksusie. Pragnęła wolności i niezależności. To zaś oznaczało, że będzie musiała zamieszkać tutaj.

Podjąwszy decyzję, odwróciła się do gospodyni o zaokrąglonych ramionach i powiedziała z promienną miną:

— *C'est parfait*. Jest doskonałe.

Starsza kobieta otworzyła szeroko oczy, ukryła jednak zaskoczenie. Jeśli *la belle Anglaise* ma życzenie przepłacać za tę norę, nie będzie jej powstrzymywała. Pobrata od Caitlin depozyt w gotówce i czym prędzej wysła. A nuż dziewczyna się rozmyśli?

Caitlin otworzyła plecak i rozejrzała się za miejscem, gdzie mogłaby powiesić ubrania. W pokoju znajdowała się mała drewniana szafa i chwiejnie wyglądająca komoda. Na szczęście Caitlin nie dorobiła się zbyt wielu rzeczy: para martensów, adidas, trzy pary dżinsów i kilka podkoszulków.

Kiedy zaczęła się rozpakowywać, podchwyciła swoje odbicie w lustrze. Z nieśmiałej, naiwnej dziewczyny, która przybyła przed trzema laty do Aldringham, nic już nie zostało. Teraz wyglądała na posępną i cokolwiek znerwicowaną. Długie włosy zniknęły, zastąpione wygodną elfią fryzurką z opadającymi na czoło i policzki kosmykami, które pracując, zakładała bezwiednie za uszy. W Greycourt, gdzie wygląd miał podstawowe znaczenie, odstawała od reszty. Kiedy szła liczącymi setkę lat szkolnymi korytarzami ubrana w swój zwykły strój: wyblakłe dżinsy i podkoszulek z podobizną nieznanego hinduskiego zespołu, wyglądała w każdym calu na osobę, którą była: zbuntowaną samotniczkę.

Greycourt. Dzięki Bogu, miała to już za sobą. Dotrzymała obietnicy danej Williamowi i nie próbowała więcej uciekać. Wróciła do szkoły, ale zrobiła to na własnych warunkach. **Tym** razem nie starała się pozyskać przyjaciół ani akceptacji. Nie dbała o to, co o niej mówią. I jakoś, kiedy przestała się przejmować, wszystko stało się łatwiejsze. George nadal starała się z nią zaprzyjaźnić, lecz Caitlin nawet ją trzymała na dystans. George była sympatyczną dziewczyną, Caitlin wiedziała jednak, że nie ma sensu zawierać przyjaźni, skoro

nie zamierzała utrzymywać kontaktu z nikim, kto znał ją jako członka rodziny Melville'ów.

Teraz, w wieku osiemnastu lat, była wreszcie wystarczająco dorosła, by się uniezależnić. A Paryż mógł dać jej po temu okazję.

O ironio, to William podsunął Caitlin pomysł, aby wyjechać właśnie tam. Było to przed niespełna rokiem. Jak większość uczniów ostatniej klasy, rozmyślała dużo o przyszłości. Plastyka była jedynym przedmiotem, do którego się przykładała, kurs mody i projektowania wydawał się więc oczywistym wyborem.

Połowę jesiennego semestru spędziła, wypełniając formularze zgłoszeniowe. Na czele listy znajdowało się Central Saint Martins w Londynie. Choć szkoła miała opinię cokolwiek ekscentrycznej, było to doskonale miejsce, aby studiować modę. I pewnie by tam trafiła, gdyby William nie zorientował się, co zamierza.

— Mam w St Martins znajomości — powiedział. — Daj mi znać, kiedy wyznaczą ci spotkanie, a wstawię się za tobą...

St Martins nagle straciło dla Caitlin cały urok.

Kiedy Perkins odwiózł ją w niedzielę wieczorem do szkoły, poszła natychmiast do sali, gdzie zgromadzono informacje na temat możliwości dalszego kształcenia. Odnalazła folder z kursami sztuki oraz designu i zaczęła go przeglądać, szukając najlepszych miejsc, gdzie można studiować modę — poza Londynem. Po półgodzinie natknęła się na prospekt Chambre Syndicale Fashion School w Paryżu.

Zdecydowanie, że Chambre Syndicale to dla niej doskonale miejsce, nie zajęło Caitlin wiele czasu. Ich dwuletni kurs projektowania oraz kroju znany był w całym świecie. To tam doskonalili się najwięksi: Yves Saint Laurent, Issey Miyake, Valentino... Wieczorem wypełniła liczący dziesięć stron formularz. A kiedy poprosiła nauczyciela plastyki, aby wystawił jej opinię, nie skomentował nagłej zmiany planów — chociaż zaciekało go, dlaczego podpisała aplikację: Caitlin O'Dwyer.

— Nazwisko Melville jest w świecie mody zbyt znane — wyjaśniła i powtarzała to później każdemu, kto zapytał.

Prawda wyglądała jednakże tak, iż nie czuła się członkiem tej rodziny i wiedziała, że to się nie zmieni. Wyjazd do Paryża stanowił szansę, by mogła zacząć od nowa jako O'Dwyer.

Nie powiedziała Williamowi, że złożyła papiery do Chambre Syndicale. Nic chciała ryzykować, że znowu się wtrąci. Na rozmowę kwalifikacyjną pojechała, korzystając z wolnego dnia. Jej francuski był tak kiepski, że ledwie przez nią przebrnęła. Grono szykownie ubranych paryżan maglowało ją przez blisko dwie godziny, wpytując o gusta i pomysły. Przejrzeli uważnie jej portfolio, oceniając i krytykując zawarte w nim prace. A kiedy w końcu ją wypuścili, czuła się wyczerpana i zdeprymowana. Miejsc było mało, a po przesłuchaniu, jakie jej zaserwowano, nie oceniała swoich szans wysoko. Jednak po kilku tygodniach poinformowano ją telefonicznie, że została przyjęta. William nie był zadowolony. Nie mógł jednak nic zrobić. Decyzja została już podjęta.

Rok szkolny zakończył się przed dziesięcioma dniami. Caitlin nie zawracała sobie głowy balem absolwentów. Zamiast tego wybrała się na krótką doroczną wycieczkę do Valleymount, na grób matki. Nie odwiedziła jednak Nuali. Podczas ostatnich trzech lat kontakty pomiędzy nimi znacznie osłabły, ograniczając się do wymiany kartek świątecznych i urodzinowych. Caitlin podejrzewała, że to głównie jej wina. Jednak słuchanie o tym, co dzieje się w miejscu, za którym nadal tęskniła, było dla niej zbyt bolesne.

Wróciła z Irlandii w piątek późnym popołudniem. Weekend spędziła w Aldringham, pakując się, w poniedziałkowy rano miała bowiem wyruszyć pociągiem Eurostar do Paryża.

Zakończywszy rozpakowywanie, podeszła do wielkiego okna zajmującego niemal całą ścianę pokoju. Roztaczał się stąd widok na morze dachów, rozciągające się aż po kanał Saint-Martin. Nie myślała już o Williamie, Greycourt ani czymkolwiek innym. Była w Paryżu i tylko to miało teraz znaczenie.

Znalazłszy lokum, zaczęła rozglądać się za pracą. Postanowiła bowiem, i to już przed kilkoma miesiącami, że nie weźmie od Williama nawet pensa. Następnego ranka wstała więc wcześniej i wyruszyła na poszukiwania. Poza wszystkim dawało jej to okazję, by mogła poznać okolice.

Nie była nawet w przybliżeniu tak okropna, jak jej to opisywano. Belleville, położone na wzgórzach północno-wschodniego Pa-

ryża, w 20. *arrodissement*, nie było może zbyt szacowne, za to zdecydowanie malownicze. Kiedyś była to dzielnica zamieszкана głównie przez klasę robotniczą. Jej przypominające labirynt uliczki zapewniały schronienie i dach nad głową pokoleniom zubożałych pa ryżan oraz imigrantów. Idąc, co i rusz natykała się na relikty historii tego miejsca: chińskie jadłodajnie i żydowskie księgarenki, Arabów palących w drzwiach sklepików fajki zwane sziszami oraz reklamujących głośno towar — głównie słodkie ziemniaki oraz banany — ulicznych sprzedawców z północnej Afryki. Do szerokich bulwarów i drogich butików środkowych dzielnic Paryża było stąd niewyobrażalnie daleko. Może nie będzie mi tu tak źle, pomyślała.

Lecz późnym popołudniem optymizm zaczął ją opuszczać. Zajrzała już chyba do każdego sklepu, baru i kawiarni pomiędzy Belleville a kanałem Saint-Martin — bez powodzenia. Właściciele albo zdążyli zatrudnić kogoś na lato, albo reagowali pogardą na zabarwiony angielskim akcentem francuski Caitlin. Ponieważ lipcowe słońce mocno przypiekało, a ona lepiła się od potu, postanowiła wrócić do nowego mieszkania bulwarem de la Villette.

Po drodze kupiła w sklepie z wyrobami tytoniowymi pismo *Car-ñers et Emploi*. W pobliżu kamienicy, w której zamieszkała, znajdował się tani bar kawowy. Weszła i zamówiła espresso. Nie przepadała za mocną kawą, lecz była to najtańsza pozycja w menu.

Odszukała dział, gdzie oferowano pracę w usługach i rozłożyła gazetę na stoliku.

Kelner postawił przed nią filiżankę. Lecz zamiast wziąć pieniądze i odejść, zatrzymał się na chwilę. Caitlin podniosła wzrok, by sprawdzić, na czym polega problem. Wysoki szczupły mężczyzna pod czterdziestkę, o cokolwiek zniewieściałym wyglądzie, odwzajemnił spojrzenie.

— Mogę w czymś pomóc? — spytała Caitlin.

Mężczyzna uśmiechnął się na dźwięk niewprawnej francuszczyzny.

— *Non*. Lecz może ja mógłbym pomóc tobie — wskazał głową gazetę.

— Szukasz pracy?

— Zgadza się.

— Jedna z kelnerek nie przyszła na swoją zmianę. Właściciel jest zdesperowany. Jeśli możesz zacząć od razu, to właśnie znalazłaś posadę.

Caitlin przełknęła gorącą kawę i wstała.

— Mój kiepski francuski nie będzie stanowił problemu? — spytała, podążając za kelnerem do kuchni.

— Nie sędzę, by przeszkadzało to właścicielowi. Caitlin zmarszczyła brwi. — Jak może być pan tak pewny? Odwrócił się z uśmiechem. — Ponieważ właściciel stoi właśnie przed tobą.

Przedstawił się jako Alain Chabot i nad kolejną filiżanką kawy opowiedział Caitlin historię swojego życia. Po ukończeniu École des Beaux-Arts, znakomitej paryskiej akademii sztuk pięknych, zarabiał na życie jako ceniony rzeźbiarz, póki przedwczesny atak osteoporozy nie zakończył jego artystycznej kariery. Zamiast opłakiwać stratę, rozejrzał się za nowymi możliwościami. Rok wcześniej zainwestował oszczędności całego życia w Café des Amis. Było to sprytne posunięcie. Alain dostrzegł bowiem ważny trend — Belleville się zmieniało. Obszar, postrzegany dotąd jako surowy i niezachęcający, zaczął przyciągać nową falę mieszkańców: brać artystyczną Paryża. Młodzi artyści, pisarze i muzycy napływali gromadnie, zwabieni, jak Caitlin, niskimi kosztami wynajmu, przekształcając niespodziewanie — i w piorunującym tempie — Belleville w najmodniejszą dzielnicę pulsującą nocnym życiem i twórczym zaangażowaniem. Opuszczone magazyny przekształcano w rozkwitające, cieszące się popularnością galerie. Obok etnicznych restauracji i sklepów powstawały modne kafejki zatrudniające nowe zespoły i didżejów. A Café des Amis nadawała okolicy ton.

— **vSkala** sukcesu zaskoczyła nawet mnie — powiedział dumnie Alain.

Caitlin rozejrzała się z powątpiewaniem. Dochodziła szósta po południu, a kafejka była prawie pusta.

Alain zauważył jej spojrzenie i się uśmiechnął. — Uwierz mi. Za kilka godzin nie poznasz tego miejsca. I pożałujesz, że nie jest tak spokojne jak teraz.

Miał rację. Ta noc stanowiła chrzest bojowy Caitlin. Do północy lokal pełen był dymu, hałasu i goniących za modnymi rozrywkami młodych ludzi. Większość przyszła, aby posłuchać didżeja. Pomieszczenie zatłoczone było tańczącymi, poruszającymi się w takt elektronicznej muzyki i rozgrzewającymi przed pójściem do klubów. Od kilku godzin nie podawano już do stolików i Caitlin stała wraz z pięcioma innymi kelnerkami za kiepsko oświetlonym barem, podczas gdy pijana klientela wykrzykiwała zamówienia, starając się zagłuszyć gwar rozmów i muzykę. Pomyliła więcej zamówień, niż miała prawo, ale na szczęście Alain zdawał się nie zwracać na to uwagi. Gdy tylko dowiedział się, że przyjechała do Paryża, aby studiować projektowanie, uznał, że doskonale wpasuje się w klimat Cafe des Amis.

— Pracując tutaj, poprawisz w mgnieniu oka swój francuski! — zażartował, kiedy usiłowała zapamiętać zamówienie na sześć różnych drinków.

Była najmłodsza spośród personelu, jej obowiązkiem było więc dopilnować, by mieli dość czystych szklanek i kieliszków. Gdy zanosilo się na to, że ich zabraknie, wybiegała na zewnątrz, gdzie młodzi ludzie, odziani w czerń i bardzo *cool*, siedzieli w nonszalanckich pozach przy stolikach, pijąc czerwone wino lub pastis, paląc i flirtując. Oddychała przez chwilę wolnym od dymu powietrzem, zbierała puste naczynia, wracała, myła je i stawiała znowu za barem.

Nad ranem była już kompletnie wyczerpana.

— Nie martw się — powiedział Alain, podając jej zwitek franków. — Z czasem będzie ci łatwiej, zapewniam.

I rzeczywiście. Lato mijało, a ona przywykała do conocnej rutyny. Praca była ciężka, a napiwki niezbyt satysfakcjonujące, ale kelnerki dość sympatyczne. Poza tym Alainowi zawsze brakowało personelu, mogła więc brać tyle zmian, ile chciała, przynajmniej póki nie rozpoczną się zajęcia.

Kiedy nie pracowała, spędzała czas, zwiedzając miasto. Kupowała na śniadanie rogaliki w pobliskiej *boulangerie*, piła *cafe au lait* w słynnej kawiarni Les Deux Magots i wędrowała godzinami po ślicznych ulicach i modnych butikach dzielnicy Marais.

Po dwóch tygodniach zadzwonił William, by sprawdzić, jak sobie radzi.

— Będę w przyszły czwartek w Paryżu — powiedział, kończąc krótką rozmowę. — Zjemy razem kolację. Zamówiłem stół w *La Tour d'Argent*.

— Jasne — odparła posłusznie.

Lecz kiedy ponownie zadzwonił, odpowiedziała mu automatyczna sekretarka.

Rozdział trzynasty

Nadeszła jesień i pora, by rozpocząć naukę. Pierwszego dnia pojawiła się w szkole o pół godziny za wcześnie, a i tak okazało się, że przyszła ostatnia. Gorliwość uczniów stanowiła dobitne przypomnienie, że *Chambre Syndicale* to jedna z najbardziej znanych szkół mody na świecie. Nikt nie przychodził tu się objąć.

Zajęcia odbywały się pod numerem 45 przy *Rue St Roch*, w bok od słynnej *Rue de Tivoli*, gdzie znajdował się *Luwr* i ogrody *Tuileries*. Z zewnątrz budynek prezentował charakterystyczny dla tej dzielnicy urok i elegancję, lekcje zaś prowadzono w przestronnych, wielkich pracowniach z obligatoryjnie białymi ścianami, dużymi oknami i fluorescencyjnym oświetleniem. W pomieszczeniach dominowały olbrzymie stoły krawieckie, na których ustawiono maszyny do szycia i manekiny.

Każdy rocznik liczył czterdziestu pięciu uczniów, podzielonych na trzy grupy, by nauczyciele mogli poświęcić każdemu z podopiecznych wystarczająco dużo czasu. Zanim znalazła właściwą salę, czternaścioro jej kolegów zajęło już miejsca. Większość ubrana była ekstrawagancko, jakby starali się udowodnić, i to już pierwszego dnia, że mają własny styl. Caitlin, odziana w spłowiałe džinsy i podkoszulek, wypadła na tym tle blado. Może ludzie uznają za dziwny fakt, że ktoś, kto chce być projektantem, tak mało uwagi poświęca własnemu wyglądowi. Caitlin nie widziała w tym jednak sprzeczności. Uważała, że projektowanie to nic innego jak tworzenie za pomocą materiału i nici dzieła sztuki, nie zaś niewolnicze naśladowanie tego, co pokazu-

je się w pismach poświęconych modzie. To jak wygląda, nie miało nic wspólnego z jej talentem.

W klasie znajdowali się zarówno Francuzi, jak i osoby innych narodowości — Japończycy, Amerykanie i Australijczycy. Obowiązującym językiem był angielski, a nieliczne, cokolwiek sztuczne rozmowy inicjowano raczej po to, aby ocenić konkurencję, niż by się zaprzyjaźnić.

— U Parsonsa dosłownie błagali mnie, bym do nich przyszła

— przechwalała się arogancka dziewczyna z Nowego Jorku imieniem Brooke.

Przesadnie wystrojony młodzieniec z Hongkongu o nieco zniewieściałym wyglądzie włączył się do rozmowy, rzucając nazwisko znanego projektanta, u którego terminował podczas wakacji. — Praktycznie zagwarantowali mi po skończeniu kursu posadę.

Caitlin się wyłączyła. Szybko okaże się, kto naprawdę ma talent

— przechwałki na nic się nie zdadzą. Na szczęście właśnie w tej chwili drzwi otwarły się, zwiastując przybycie prowadzącej kurs *madame* Maigret. Rozmowy natychmiast ucichły.

Madame była nienaturalnie chuda, bajecznie szykowna i zdecydowanie przerażająca. Skórę miała naciągniętą, nie sposób więc było zgadnąć, ile właściwie ma lat. Ubrana była klasycznie w czerń i granat.

— Kobieta w pewnym wieku nie powinna uganiać się za modą

— powiedziała po pięciu minutach. — Może i nakazuje ona, by pokazywać pępek, nie znaczy to jednak, że ktokolwiek chciałby oglądać mój, *n'est-ce pas?*

Kilka osób zachichotało niepewnie, lecz uciszyła je spojrzeniem. Utykała w dostrzegalny sposób. — Któregoś dnia opowiem wam, jak do tego doszło — powiedziała tajemniczo. Chodząc, podpierała się rzeźbioną laseczką o wysadzaną klejnotami główce. Posługiwała się nią również, by wskazać niczego nie podejrzewającego studenta. Wyglądało też na to, że uwielbia stukać laską w podłogę, aby podkreślić swój punkt widzenia.

— Przybyliście tu, pragnąc stać się następnym Yves'em Saint-Lau-rentem — powiedziała na powitanie, wałąc laską o podłogę. Nowi zaczęli się już domyślać, dlaczego w deskach znajduje się tyle wkłę-

śnieć. — Lecz bez wątpienia niektórzy z obecnych skończa, projektując — waham się, czy powinnam użyć tego określenia — dla mas. Jeśli nie chcecie znaleźć się wśród nich, zdecydujcie o tym teraz. Uczniowie skinęli jak jeden mąż głowami.

— Kurs dzieli się na dwie części — kontynuowała. — Artystyczną, kiedy to zachęceni będziecie, aby uwolnić umysł od tego, w czym tak wygodnie się zadomowił oraz techniczną, której celem będzie nauczyć was, jak przekształcić kilka arkuszy papieru w strój nadający się na wybieg.

Uczniowie chłonęli każde słowo *madame*. Zanim wróciła do Francji, by uczyć, stała na czele zespołu projektantów Donny Karan i wszyscy wiedzieli, że jeśli chcą być najlepsi, muszą pilnie wsłuchiwać się w to, co ma im do powiedzenia. Miała też fenomenalne kontakty w przemyśle odzieżowym. Dawało to pewność, że jej ulubieńcy zostaną przez najważniejsze domy mody zauważeni. To na niej musieli zrobić wrażenie — choć Caitlin przeczuwała, że nie będzie to zadanie łatwe.

Rzeczywiście, podczas kilku następnych tygodni przekonała się, jak dalece niełatwe. Kurs był trudniejszy, niż sobie wyobrażała. *Chambre Syndicale* znana była z tradycyjnego podejścia i metod nauczania. Wiedziała, że tak właśnie jest, a jednak to, jak sztywno przestrzegano tu programu, nadal ją zadziwiała.

— Pierwszy rok jest po to, byście poznali technikę i nabrali biegłości w posługiwaniu się nią — poinformowała ich *madame* na początku.

I nie kłamała. Caitlin przyszła do szkoły, spodziewając się, że jej twórcze zdolności zostaną tu rozbudzone, zamiast tego oczekiwano od niej, że będzie doskonalić nudną sztukę konstrukcji odzieży i sporządzania wykrojów, znosić lekcje projektowania komputerowego i pisać eseje na temat historii mody.

— Kiedy zaczniemy pracować nad własnymi projektami? — spytała pewnego dnia po szczególnie nudnej lekcji na temat wpływu filmu na modę.

Madame rzuciła jej chłodne spojrzenie. — Kiedy opanujecie w końcu prostą umiejętność zszywania dwóch kawałków materiału.

— By zilustrować, co ma na myśli, wzięła spódnicę, nad którą pracowała Caitlin i rozerwała ją jednym ruchem, nie wkładając w to zbyt wiele wysiłku. Rzuciła zde gustowana materiał na stół i odeszła, postukując laseczką.

Po tej reprimendzie Caitlin siedziała już cicho, próbując zapamiętać wszystko, co mówiła *madame* i powtarzając sobie w duchu, że jest tu po to, by się uczyć. Pocieszający był jedynie fakt, że inni studenci musieli starać się równie mocno. Wszystko co mogła zrobić, to nie wychylać się i pracować najciężej, jak potrafiła.

William odłożył słuchawkę, walcząc z uczuciem rozczarowania. Dzwoniła Caitlin, informując, że nie przyjedzie do Aldringham na Wielkanoc. Powiedziała, że ma zbyt wiele pracy. Podobną wymówką posłużyła się, by zostać w Paryżu na Boże Narodzenie.

Kiedy po chwili telefon znowu zadzwonił, poczuł przypływ nadziei. Może Caitlin zmieniła jednak zdanie. Niestety, dzwoniła sekretarka.

— Wszyscy zebrali się w sali posiedzeń zarządu, panie Melville. Jest pan gotowy, by się z nimi spotkać? — Lata praktyki nauczyły go szufladkować uczucia. Zrobił to teraz, odsuwając myśli o córce i rosnącym dystansie pomiędzy nimi. Nie mógł pozwolić sobie, aby cokolwiek go rozpraszało. Nie dziś.

— Tak, jestem — odparł z taką pewnością siebie, że aż go to zaskoczyło.

Miał nadzieję, że naprawdę tak jest.

To Piers Melville pierwszy usłyszał o szykującym się przejęciu. Do obowiązków dyrektora finansowego należało bowiem śledzenie kursu akcji przedsiębiorstwa. Kiedy po otwarciu giełdy okazało się, że cena skoczyła od ostatniego zamknięcia o pięć procent, wiedział już, że dzieje się coś dziwnego.

Jeden telefon do analityka towarów luksusowych u Morgana Stanleya wyjaśnił sprawę — krążyły plotki, że wobec Melville'a wystosowano ofertę.

— Kto? — dopytywał się Piers. — Kto za tym stoi? Nazwisko brzmiało: Armand Bouchard.

Gdy je usłyszał, przeszył go dreszcz. Francuski biznesmen miał opinie bezwzględnie drapieżcy. Piers zakończył rozmowę i pośpieszył do znajdującego się w sąsiedztwie biura Williama. Wpadł tam bez pukania. William odkładał właśnie słuchawkę. Piers zerknął na ponurą twarz brata i domyślił się, że William już wie.

— To był Armand Bouchard — powiedział do Piersa. — Chce spotkać się z nami w przyszłym tygodniu.

Nie było czasu do stracenia. Należało przygotować obronę, William zadzwonił więc do amerykańskiego banku inwestycyjnego Sedgwick Hart. Osoba, z którą rozmawiał, obiecała przysłać zatrudnionego w Londynie specjalistę od przejęć: Cole'a Greenwaya.

Teraz, późnym popołudniem, jedenastu dyrektorów Melville'a zebrało się w pokoju konferencyjnym, czekając na przybycie obiecanego fachowca. Kiedy po dziesięciu minutach Cole się pojawił, William z trudem ukrył zaskoczenie. Ostatnio miewał do czynienia głównie z działem *private banking* Sedgwicka Harta, gdzie pracowali korpulentni panowie w średnim wieku, jeden w drugiego absolwenci drogich prywatnych szkół. Cole Greenway w niczym ich nie przypominał. Młody czarnoskóry Amerykanin wyglądał, zdaniem Williama, bardziej jak raper niż wysokiej rangi pracownik banku. Jedynie wart tysiąc dolarów garnitur Hugo Bossa i okulary w oprawkach Armaniego zdradzały jego profesję. William odgadł prawidłowo, że właśnie po to je nosił. Lecz kiedy przybyły zaczął mówić, wszelkie wątpliwości, jakie mógłby żywić względem niego William, zniknęły. Zważywszy, że na przyjrzenie się firmie dano mu zaledwie godzinę, wykazywał znajomość rządzących nią mechanizmów równą tej, jaką prezentowała większość członków zarządu Melville'a. A co ważniejsze, posiadał też encyklopedyczną wiedzę na temat agresora, Armanda Boucharda.

Francuski biznesmen był założycielem oraz prezesem konglomeratu Grenier, Masse et Sanci, specjalizującego się w obrocie towarami luksusowymi. Dysponując kontami pełnymi wolnej gotówki, wykorzystywał recesję lat dziewięćdziesiątych — która odbiła się szczególnie na rynku towarów luksusowych — by przejmować za marny grosz mniejsze spółki. Podczas kilku ostatnich lat wiele marek przemysłu modowego zostało włączonych do grupy GMS. Williamowi

nie przeszło jednak przez myśl, że Melville też znajdzie się na celowniku.

— Bouchard preferuje tak zwane *creeping takeover*, przejęcia dokonywane poprzez wykupywanie przez dłuższy czas niewielkich ilości akcji — mówił zafascynowanej publiczności Cole, spoglądając na nich ponad modnymi prostokątnymi oprawkami okularów.

Miał akcent nowojorczyka wywodzącego się raczej z Bronksu niż Upper West Side. Chłopak z biednej rodziny, któremu udało się zrobić karierę, ocenił go w duchu William.

— Lubi skupować udziały stopniowo, póki nie zyska całkowitej kontroli — kontynuował Cole. — Zważywszy, że sześćdziesiąt procent akcji Melville'a nadal znajduje się w rękach rodziny, jedynym sposobem, by mógł to zrobić, jest przekonanie was, byście zaczęli sprzedawać.

— Nie zamierzamy zrobić niczego takiego — przerwał mu William.

Mówiąc, Cole przemierzał salę. Teraz zatrzymał się raptownie i położył dłonie na oparciu wolnego krzesła. Uśmiechnął się krzywo do Williama.

— Hej, muszę być z wami szczerzy. Nie wy pierwsi to mówicie. Lecz Bouchard to błyskotliwy facet. Nie przybędzie tu z naładowaną bronią, żądając, byście przekazali mu spółkę. Jego sposób działania... — Zamilkł, a potem powiedział, dobierając starannie słowa — ...cóż, jego sposób działania polega na tym, by przekonać ludzi, że współpraca z nim leży w ich najlepiej pojętym interesie. I owszem — kontynuował pośpiesznie, zorientowawszy się, że William zamierza mu znów przerwać — obejmuje to również ludzi takich jak wy, żywiących nieugięte przekonanie, że niczego podobnego nie uczynią.

William poczuł ukłucie strachu. — Co więc zrobimy? — zapytał szorstko. Nie zamierzał dać po sobie poznać, jak bardzo się martwi.

Cole wyprostował się na wysokość swych stu dziewięćdziesięciu dwóch centymetrów. Był to imponujący widok. — Najlepiej przekonać go, by w ogóle się w to nie angażował. Nie wolno nam dopuścić, by zyskał choć maleńki przyczółek. A oto jak proponuję tego dokonać.

Choć raz William zamknął się i słuchał.

Cole promieniował energią, która okazała się zaraźliwa. Większość zarządu stanowili starsi mężczyźni, niczainteresowani angażowaniem się w walkę. Zostali wybrani po to, by zatwierdzać decyzje Williama, nie ze względu na wrodzone zdolności. Lecz Cole zamierzał zwyciężyć. William był mu wdzięczny. Zdawał sobie sprawę, że człowiekowi z zewnątrz niełatwo zrozumieć, jak ważna rola przypada w firmie takiej jak ta rodzinie. Tymczasem były z sobą nierozzerwalnie związane.

Żałował, że nie ma tu jego matki. Jednak stan serca Rosalind ostatnio tak się pogorszył, że choroba przykuła ją do łóżka. William zerknął w lewo, na brata. Piers zapisywał wszystko, co mówił Cole, sporządzając notatki starannym, schludnym charakterem pisma. William wiedział, że brat dopilnuje detali, on zaś będzie mógł skupić się na szerszym obrazie. Piers zrobiłby wszystko dla brata i dla firmy. Był odpowiedzialny i kompetentny — lecz nie twórczy. Zawsze będzie oglądał się na Williama, spodziewając się, że ten nada spółce kierunek. Tymczasem Rosalind byłaby dla Boucharda bardzo wymagającym przeciwnikiem, nawet teraz.

Ze ścian spoglądały na Williama portrety trzech pokoleń przodków. Czuł, że byliby dumni z tego, co osiągnął ich potomek. Choć może — niechętnie to przyznawał — ostatnio blask marki jakby nieco przygasł.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych marka była w oczach klienteli tak nierozzerwalnie związana z pojęciem luksusu, że praktycznie każdy produkt opatrzone etykietką Melville sprzedawał się na pniu. Te czasy jednak minęły. W ostatnim dziesięcioleciu Melville zaczęło tracić powab. Podstawowa linia torebek i butów nadal cieszyła się powodzeniem — ich klasyczny angielski styl był bowiem ponadczasowy. Tańsze towary, sprzedawane za pośrednictwem Melville Essentials, też przynosiły dochód. Jednak szum i podekscytowanie, które sprawiały kiedyś, że produkty opatrzone metką Melville po prostu trzeba było mieć, minęły.

Williamowi nie spędzało to snu z powiek. Nie odbierał spadku zainteresowania jako odzwierciedlenia swoich zdolności menedżerskich. Uważał je za część cyklu, jaki przechodziły wszystkie luksu-

sowo marki. I choć dla Melvillea minely już dni chwały, nadal był to jeden z największych domów mody na świecie, marka kojarzona z klasą i dobrym urodzeniem, wartościami staromodnej Anglii. Nadal wierzył, że zadbał skutecznie o dziedzictwo.

William należał do czwartej generacji właścicieli marki Melville. I nie zamierzał przejść do historii jako ten, który je sprzedał. Armand Bouchard będzie musiał w końcu się z tym pogodzić.

Zebranie dobiegło końca. A gdy członkowie zarządu wyszli, William przyparł Cole'a do muru.

— Myśli pan, że to zadziała? — zapytał skwapliwie. — Wystarczy, by utrzymać go z dala?

Pomysły Cole'a wywarły na nim wrażenie.

Właściwie był już przekonany, że Bouchard się wycofa.

Cole był bardziej ostrożny. — Na jakiś czas, zapewne. Póki nie znajdzie innej szczeliny w waszej zbroi.

Lecz William nie życzył sobie złych wiadomości. Pragnął świętować zwycięstwo.

— Cóż, jestem pewien, że dopilnuje pan, aby niczego takiego nie znalazł — powiedział. Ufał teraz Cole'owi w pełni i zapragnął poznać bystrego młodego człowieka lepiej. — Wydaję w ten weekend małe przyjęcie w mojej rezydencji w Somerset. Może by pan do nas dołączył? Pozna pan moją żonę i córki. To znaczy, jeśli nie ma pan innych planów...

Prawdę mówiąc, Cole miał plany — plany dotyczące małej ślicznotki imieniem Chenille, którą poderwał w Kensington Roof Gardens w zeszły piątek. Nie potrafił wyobrazić sobie niczego gorszego niż impreza w domu Williama Melville'a. Był jednak za ambitny, aby odmówić.

— Nie mam planów, których nie mógłbym zmienić.

— Wspaniale! — wykrzyknął William rozpromieniony. — Po-mówmy więc o szczegółach.

Rozdział czternasty

Kiedy taksówka skręciła na drogę prowadzącą do Aldringham, Cole gwizdnął cicho, zaskoczony.

— To miejsce jest po prostu nierzeczywiste!

Poczuł, że jego zły nastrój się ulatnia. Przyjechał z Londynu pociągiem, rozmyślając o tym, co wolałby robić, zamiast spędzać nudny weekend z Williamem Melville'em. Piątkowe noce były dla Cole'a święte. Pracował tak dużo, że musiał upuścić czasem trochę pary. A spędzenie dwóch dni z brygadą w zielonych kaloszach nie mieściło się jego zdaniem w pojęciu dobrej zabawy.

Lecz teraz, gdy już się tu znalazł, to lekceważące podejście minęło. Aldringham było jak pałac. Jeśli nie będę się dobrze bawił, przynajmniej zdobędę nowe doświadczenia...

William wyszedł, by osobiście go powitać. Ścisnął Cole'owi dłoń i poklepywał go po plecach, jakby witał dawno niewidzianego przyjaciela.

— Jest tu mnóstwo osób, którym chciałbym cię przedstawić — powiedział, porzucając oficjalny ton i prowadząc Cole'a przez wspaniałą korytarz. — Mam też biznesową propozycję. To może jednak poczekać do jutra.

Tymczasem Cole zastanawiał się, czy reszta domu będzie równie imponująca jak wejście — w końcu wiele z tych wiejskich posiadłości znajdowało się u progu ruiny. Wiele, lecz nie Aldringham. Pokoje na parterze były wspaniałe i urządzone ze smakiem: miały drewnianą boazerię, ozdobne, ręcznie malowane sufity oraz podłogi z kamien-

nych płyt. Sypialnia, którą mu przydzielono, zrobiła na Cole'u jeszcze większe wrażenie. Jak wszędzie w domu, okna były tu podwójnej wysokości, a sufity wysokie. Ten pokój przeznaczony był jednak ewidentnie dla mężczyzny. Męski klimat wprowadzały oprawne w ramki sztychy przedstawiające sceny łowieckie oraz gablotki z zabytkowymi muszkietami. Na ścianie naprzeciw łóżka wisiała, przytwierdzona do drewnianej płyty, głowa jelenia. Cole opadł na wyściełany skórą fotel w kolorze byczej krwi i głośno się roześmiał. Przeszedłeś, bracie, długą drogę, pomyślał z zadowoleniem.

William nie mylił się co do przeszłości Cole'a: chłopak pochodził z bardzo biednej rodziny i zrobił imponującą karierę. Cole Greenwood dorastał w cieszącej się złą sławą części Bronksu, zwaną Soundview. Przyszedł na świat w jednym z anonimowych wielopiętrowych domów na styku 174th Street i Morrison Avenue. O jego ojcu wiadano jedynie tyle, że był czarny. Matka zaś była typową, bezwolną i pozbawioną wszelkich ambicji Afroamerykanką: pięcioro dzieci, każde z innym mężczyzną i jedna minimalnie opłacana posada za drugą. Soundview jako takie było po prostu śmietnikiem. Rozszerzająca się epidemia uzależnienia od cracku i dwadzieścia zabójstw rocznie — w takim miejscu trudno doprawdy o marzenia. Cole stanowił wytwór swego otoczenia. Nim skończył piętnaście lat, wagary, picie od rana do wieczora i kradzieże samochodów stanowiły część jego codziennego życia.

Lecz potem wszystko się zmieniło. Pewnego mroźnego nowojorskiego popołudnia najlepszy przyjaciel Cole'a stał się numerem osiemnaście w dorocznej statystyce zabójstw. Przypadkowa kula. Przerwane życie. Kolejna pozycja w wykazie.

— Gdyby znajdował się tam, gdzie powinien: na lekcji angielskiego, nic by mu się nie stało — powtarzała podczas pogrzebu jego matka.

Wstrząs wywołany śmiercią przyjaciela sprawił, że Cole się otrząsnął. Zaczął uczęszczać regularnie na lekcje i na nich uważać. Ku swemu zaskoczeniu przekonał się, że nauka łatwo mu przychodzi. A przy swoim prawie dwumetrowym wzroście okazał się też niezłym koszykarzem. Spróbował dostać się do drużyny i to mu się udało. Trener baczenie mu się przyglądał, potrafił bowiem rozpoznać talent,

kiedy go widział, nawet jeśli diament nie był jeszcze oszlifowany. Gdy nadszedł właściwy czas, zaprosił na mecz, kogo trzeba.

Stypendium sportowe pozwoliło Coleowi ukończyć bez problemu Dartmouth. Lecz nic był bez mózgi m osiłkiem. Ze średnią 4,0 mógł to osiągnąć nawet bez sportu. Grał jednak przez całe cztery lata, osiągając w tym czasie wyniki w nauce, dzięki którym zaliczał się do jednej czwartej najlepszych uczniów w klasie. Wspominano nawet o NBA, lecz uraz kolana sprawił, że Cole zaczął się zastanawiać. Zdecydowanie, jak ma wyglądać jego przyszłość, nie zajęło chłopakowi wicie czasu. Pragnął pieniędzy. Bezpieczeństwa. Pragnął Wall Street.

Zgłosił się na rozmowy kwalifikacyjne do wszystkich dużych banków. U Sedgwicka Harta byli uszczęśliwieni, mogąc zatrudnić go w dziale finansów korporacyjnych. Płacili więcej od innych, przyjął więc chętnie propozycję. Pozostali stażyści przyjrzeni mu się pierwszego dnia i uznali, że został przyjęty jedynie ze względu na kolor skóry. Szybko udowodnił im, że się mylą. Poprawność polityczna nie miała tu nic do rzeczy. Przez pierwszy rok pracował po dziewięćdziesiąt godzin tygodniowo. W wieku dwudziestu czterech lat został wiceprezesem. W *Wall Street Journal* zamieszczono o nim pochwalny artykuł. Był uosobieniem amerykańskiego marzenia. W zeszłym roku, skończywszy zaledwie trzydzieści lat, awansował na dyrektora wykonawczego najmłodszego w historii banku.

W dniu, kiedy dowiedział się o awansie, jeden ze starszych współpracowników zaprosił go do luksusowego gabinetu w rogu budynku i zaproponował oddelegowanie do Londynu, napomykając, że jeśli pojedzie, niewykluczone, iż za dwa lata z pracownika awansuje na partnera. Colc'owi nie trzeba było powtarzać dwa razy. Nic nie trzymało go w Ameryce. Kobiety przychodziły i odchodziły, gdyż był zanadto skupiony na karierze, aby zbudować poważny związek.

Pojechał i wziął Londyn szturmem. Szybko wyrobił sobie w biurze przy Canary Wharf nazwisko jako specjalista od wrogich przejęć. Kiedy William Melville skontaktował się z bankiem, szukając doradcy, Cole stanowił oczywisty wybór.

Cole dostrzegł w oczach Williama ów szczególny wyraz i wiedział dokładnie, co on oznacza. Przywykł już do tego. Za młody i zbyt czar-

ny —jedno i drugie nie wzbudzało zaufania. Zazwyczaj nie potrzebował jednak wiele czasu, by pokazać, ile jest wart. A wtedy wszyscy zaczęli okazywać mu sympatię. Jak teraz William.

Spotkanie z GMS przebiegło dobrze. Cole przedstawił sprawę jasno: skoro sześćdziesiąt procent udziałów pozostaje w rękach rodziny, GMS nie zdoła przejąć nad firmą kontroli.

— Moglibyśmy skupywać stopniowo akcje — powiedział Francuz
— a potem domagać się miejsca w zarządzie.

Lecz Cole był na to przygotowany. — Owszem. Lecz oddalibyśmy wtedy sprawę do sądu, twierdząc, że istnieje tu konflikt interesów, skoro Melville konkuruje na rynku z GMS. Zostalibyście z zamrożoną gotówką — dwustoma milionami funtów, których nie sposób byłoby ruszyć.

Bouchard musiał się z tym zgodzić — i zrezygnować. William, wielce zadowolony z przebiegu spraw, nalegał tym bardziej, by Cole spędził weekend z jego rodziną. Cole domyślił się już dlaczego. William nie był pierwszym klientem, który próbował ściągnąć go do swojej firmy. Żadnemu się to jednak nie udało. Nikt nie mógł bowiem przebić amerykańskiego banku inwestycyjnego i zaoferować mu wyższego wynagrodzenia. Jemu zaś chodziło właśnie o to — o pieniądze. I zarabiał krocie. Chociaż nic dość, by móc pozwolić sobie na miejsce takie jak to, pomyślał, rozglądając się po luksusowo urządzonym pokoju. Jeszcze nie.

Wsparty na łokciach, zastanawiał się, czym by się tu zająć. Pokojówka rozwiesiła już w szafie ubrania. Nie zajęło jej to zbyt dużo czasu

— przywiózł jedynie wypożyczony smoking, dodatkową parę spodni i dżinsy, które miał w tej chwili na sobie.

Zerknął na zegarek luksusowej szwajcarskiej marki TAG Heuer, kupiony za pierwszą premię. Była dopiero szósta. Do chwili gdy zaczęną podawać przedobiednie drinki — cokolwiek by to oznaczało

— pozostawała jeszcze godzina. Postanowił przejść się po posiadłości.

Znalazł drogę na parter, a jeden z członków personelu wskazał mu kierunek. Nie było tu rosnącej dziko roślinności. Grunty zagospodarowano w stylu: stara Anglia spotyka kalifornijską nowoczesność. Mijając olbrzymi basen, zanurzył dłoń w wodzie. To, że była podgrze-

wana, zrobiło na nim wrażenie. Zszedł po stopniach wykutych w litej skale i ruszył wzdłuż trawiastych kortów. Od tego miejsca teren opadał nieustannie w dół. Wypielegnowane trawniki zamykał w oddali dopiero rosnący dziko park.

Zatrzymał się na chwilę, osłonił dłonią oczy i spojrzał przed siebie. Porośnięte bujną roślinnością pola ciągnęły się aż po horyzont. Za nimi wyrastał las dębów i jaworów. W odległości wielu mil nie widać było żadnej ludzkiej istoty. Jezu, nie widział dotąd tak rozległej przestrzeni. Odetchnął głęboko, rozkoszując się tym, jak czyste powietrze wypełnia mu płuca. Była to istna wiejska idylla i Cole był nią zauroczony. On, który reagował dotąd alergią na każdy krajobraz pozbawiony betonu i samochodów!

Już miał zawrócić, gdy ruch w oddali przyciągnął jego uwagę. Ktoś lub coś wyłoniło się pomiędzy drzew otaczających park. Początkowo był to jedynie błysk, ciemna smuga na horyzoncie. Cole ściągnął brwi i zmrużył oczy. Smuga przybliżyła się i mógł zobaczyć ją dokładniej: jeździec na koniu, galopujący ku niemu przez pola.

Cole nie znał się zbytnio na koniach, potrafił jednak docenić piękno poruszających się w zgodnym rytmie człowieka i zwierzęcia. A także to, że jeździec, dosiadający wspaniałego czarnego ogiera, musiał być nieustraszony. Chryste, nawet z tej odległości bestia budziła w nim lęk, kiedy pędziła tak po płaskiej przestrzeni, uderzając kopytami o ziemię i przeskakując przez żywopłoty sięgające Colebwi do ramienia. Nie sposób nie podziwiać faceta... Lecz kiedy jeździec i koń się zbliżyli, uświadomił sobie, że się pomylił. Jeździec nie był bowiem mężczyzną, lecz młodą kobietą. I to naprawdę niczego sobie, pomyślał z uśmiechem. Ubrana w obcisłe bryczesy, z jasnymi włosami powiewającymi spod toczka z czarnego aksamitu, z wyrazem podekscytowania na twarzy, wyglądała jak współczesna lady Godiva — niestety, w pełni ubrana.

Stał z rękami na biodrach, czekając, aż się z nim zrówna.

Z bliska wydała mu się jeszcze ładniejsza, atrakcyjna w ten arystokratyczny angielski sposób. Ma niewiele ponad dwadzieścia lat, ocenił. Zdecydowanie dziedziczka. Potrafił dostrzec klasę, kiedy ją widział. Jeśli nagroda ma tak wyglądać, może weekend nie okaże się zupełnie stracony. Kobiety nigdy nie stanowiły dla Cole'a problemu

i kiedy dziewczyna zatrzymała przed nim wierzchowca, był już gotowy ją oczarować. Niestety, nie dano mu po temu szansy.

— Domyślam się, że się pan zgubił?

Głos miała taki, jak się spodziewał: mówiła wyniośle, odmierzając głoski jak na dobrze urodzoną panienkę przystało.

Uśmiechnął się swobodnie. — Nic podobnego. Przechadzałem się po prostu...

Już miał powiedzieć: przed kolacją, lecz mu przerwała.

— Cóż, nie powinien pan tu być — rzuciła. Koń zarżał, reagując na irytację w głosie swej pani. Cole zerknął nerwowo na zwierzę — było doprawdy ogromne. Lecz na dziewczynie nie robiło to wrażenia. Poklepała bestię uspokajającym gestem po grzywie.

— Jestem pewna, że poinformowano pana, gdzie może pan chodzić, a gdzie nie. Ten ogród jest zakazany. Warzywnik znajduje się z boku domu. Jeśli czegoś pan nie zrozumiał, proszę wyjaśnić to ze swoim szefem.

Zmarszczył brwi, nie bardzo wiedząc, o czym ona mówi. A potem go olśniło. Sądziła, że jest kimś w rodzaju kelnera. Pożądanie zmieniło się natychmiast w gniew. Dostrzegł pogardę w jej oczach i to, że spogląda na niego z góry, wyniośle. Zupełnie jak synowie znanych bostońskich rodzin, uczęszczający z nim do Dartmouth — szczęśliwi, że mogą przyjaźnić się z gwiazdą koszykówki podczas roku szkolnego, lecz uważający, że nic jest wystarczająco dobry, aby zaprosić go na wakacje do domu na Cape Cod.

Już miał wyjaśnić dziewczynie, jak bardzo się myli, nie dała mu jednak na to szansy. Zdzieliła konia w zad harapem. Bestia stanęła na tylnych nogach, niemal zwalając Cole'a z nóg. Odskoczył instynktownie. Dziewczyna ściągnęła wodze, obracając konia jednym wprawnym ruchem. Cole uświadomił sobie zbyt późno, że nie odsunął się wystarczająco daleko. Zamarł, patrząc bezradnie, jak wielkie kopyta lądują wprost w kałuży. Błotnista woda trysnęła wysoko, plamiąc mu dzinsy.

— Cholera!

Dziewczyna usłyszała przekleństwo i odwróciła na moment głowę. Zerknęła na Cole'a, oceniając szkodę.

— Przepraszam — zawołała, nie wyglądając ani trochę na skruszoną. — Ale to pańska wina. Nic powinien pan tu przebywać.

Po czym ścisnęła jędrnymi udami boki konia i odjechała galopem. Cole przyglądał się, jak jej wyprostowana sylwetka niknie w oddali. Cóż, kimkolwiek była, jedno było pewne: prawdziwa z niej jędza.

Elizabeth wróciła z przejażdżki w dobrym humorze. Jej nastrój jeszcze się poprawił, gdy otrzymała wiadomość od Magnusa. Zawia-
damał, że na pewno przybędzie wieczorem do Aldringham. To dla-
lego wróciła na weekend z Cambridge; z powodu nikłej szansy, że będzie
mogła się z nim zobaczyć.

Od trzech lat spotykali się, kiedy tylko mogli. Nie byli jednak sobie
wierni. Magnus postawił sprawę jasno: — Dobrze się razem bawimy,
Elizabeth — powiedział. — Lecz na tym koniec. To nie będzie stały
związek.

Z początku ją to zabolalo. Z czasem uznała jednak, że Magnus miał
rację. Za kilka miesięcy zacznie staż w rodzinnej firmie. Będzie musiała
skupić się na karierze. Nie będzie czasu na związki. Seks bez zobowiązań
jej odpowiadał. W Cambridge sypiała czasem z innymi i każdy z
wybranych przez nią młodzieńców stanowiłby dobrą partię. Lecz kiedy
sprawa zaczynała wyglądać poważnie, zrywała. Magnus był jej jedynym
stałym partnerem.

Teraz, rozmyślając o tym, że wkrótce spotka się z nim na dole, wzięła
błyskawiczny prysznic i wśliznęła się w sukienkę Ghosta, skąpy łaszek ze
śliskiej krey w kolorze nieskalanej bieli, podkreślającej uzyskaną na
korcie opaleniznę. Prostota i elegancja, oto jej styl. Wilgotne włosy
opadały jej swobodnie na ramiona. Wsunęła na stopy pasujące do
sukienki pantofle na wysokich obcasach. Dzięki Bogu Magnus liczył
sobie ponad sześć stóp wzrostu, mogła je więc nosić.

W salonie podano już drinki. Elizabeth pojawiła się jako jedna z
ostatnich. Długie na pięćdziesiąt stóp pomieszczenie pełne było
mężczyzn w smokingach. Tu i ówdzie widać było plamy koloru, two-
rzone przez suknie towarzyszących im kobiet. Jako że było lato, okna z
przesuwanymi pionowo skrzydłami otwarto, a zasłony podwiązano, by
wpuścić do pomieszczenia świeży powiew.

Elizabeth wzięła z tacy przechodzącego kelnera lampkę szampana
marki Krug i zaczęła krążyć od gościa do gościa. Nie sprawiało jej to
trudności — ot, uśmiech tu, pusty komplement tam. Kiedy krążyła

swobodnie po pokoju, ktoś obserwujący ją z zewnątrz mógłby uznać, że jest po prostu towarzyska, tymczasem Elizabeth szukała Magnusa. Przez jedną straszną chwilę zastanawiała się, czy nie zmienił jednak zdania. Lecz wtedy go zobaczyła. Stał po drugiej stronie pokoju, obok kominka.

Wygląda dobrze, pomyślała. Bardziej niż dobrze, poprawiła się. Wygląda wspaniale. W wieku czterdziestu pięciu lat był przystojny w ten wyrafinowany i swobodny zarazem sposób, jak potrafią być przystojni mężczyźni z wyższych sfer. Pozostał smukły — ani śladu brzuszka, stanowiącego pamiątkę zbyt wielu biznesowych lunchów. Musiał poczuć na sobie jej spojrzenie, podniósł bowiem wzrok, zobaczył ją i się uśmiechnął.

— Cześć — powiedziała bezgłośnie i uczyniła gest wskazujący, że zaraz do niego podejdzie. Lecz nim zdążyła to zrobić, u jej boku pojawił się ojciec.

— Tu jesteś, Elizabeth.

Po drugiej stronie pokoju Magnus zauważył, co się dzieje i wzruszył ramionami w geście mówiącym „trudno, zobaczymy się później”. Elizabeth stłumiła rozczarowanie i poświęciła całą uwagę ojcu.

— Tak, tatusiu?

Ujął ją pod ramię. — Chciałbym przedstawić ci młodemu człowiekowi, o którym ci opowiadałem, temu z Sedgwicka Harta.

Elizabeth przywołała na usta grzecznościowy uśmiech i ruszyła za ojcem przez pokój. Nie była ani trochę zainteresowana poznaniem finansowego geniusza, o którym jej ojciec rozprawiał z zapalem od tygodnia. Lecz prościej było pójść z nim od razu, niż się przeciwstawić.

William zwolnił, gdy doszli do zaimprovizowanego baru. Stał tam wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna, odwrócony do nich tyłem i pogrążony w rozmowie z przemysłowcem, którego Elizabeth ledwie знаła. Przystanęła za ojcem, a William postukał lekko mężczyznę w ramię, by zwrócić jego uwagę.

— Przepraszam, że przeszkadzam — usłyszała — lecz chciałbym przedstawić ci moją najstarszą córkę, Elizabeth.

Uśmiech zamarł na twarzy Elizabeth, kiedy mężczyzna odwrócił się i zobaczyła, kogo ma przed sobą.

Elizabeth - mowil tymczasem ojciec nieświadom napięcia oto człowiek, o którym ci opowiadałem i który tak bardzo pomógł nam w zeszłym tygodniu — Cole Greenwood.

Cole spodziewał się, że ta chwila dostarczy mu więcej satysfakcji. Zauważył jasnowłosą amazonkę, gdy tylko zeszła po schodach i szybko domyślił się, kim jest: jedną z córek Williama. Rozpuszczonym bachorem, urodzonym ze srebrną łyżeczką w ustach.

Nie mógł się doczekać, aby zobaczyć, jak uśmiech znika z twarzy dziewczyny, kiedy uświadomi sobie, jak bardzo się pomyliła. Jednak ku zaskoczeniu Cole'a, Elizabeth nie przeprosiła. Podała mu po prostu rękę, jakby wcześniej go nie obraziła. Boże, ma dziewczyna nerwy, pomyślał.

Nim zasiedli do kolacji, Cole'a czekała kolejna niespodzianka. Gościom wyznaczono miejsca i okazało się, że ma usiąść obok Elizabeth. Podejrzewał, że dziewczyna też nie jest tym zachwycona. Kiedy drużyna kelnerek zaczęła podawać pierwsze danie — dzikiego gołębia — zauważył, że zerka na wysokiego, władczo wyglądającego mężczyznę siedzącego po przeciwnej stronie stołu. Był nim Magnus Bernstein, właściciel funduszu hedgingowego Aries. Cole poczuł ukłucie zawodowej zazdrości. Bez wątpienia wolałaby siedzieć obok kogoś takiego jak tamten gość, pomyślał, spoglądając z gniewem na mięso; kogoś podobnego do niej. Lecz w taki sposób czy inny, zamierzał uzyskać przeprosiny.

Chrząknął, by zwrócić na siebie uwagę. — Zatem, Elizabeth—zaczął — nie spodziewałaś się zapewne, że będę siedział dziś koło ciebie przy stole? — W jego głosie dało się wyczuć prowokacyjną nutkę.

— Przepraszam?

Nawet na niego nie spojrzała, smarując nadal masłem bułkę. Wydawała się niemal znudzona. Cole spróbował zapanować nad irytacją, ale mu się to nie udało.

— No wiesz. Wcześniej, w ogrodzie. Najwidoczniej sądziłaś, że tam pracuję. — Nie zamierzał jej odpuścić. — Może następnym razem zastanowisz się chwilę, zanim dasz upust swoim uprzedzeniom.

— Jakim uprzedzeniom? — spytała niewinnie, przecinając bułkę na pół. — Odnośnie do Amerykanów?

— Och, nie bądź taka sprytna.

Westchnęła. To co powiedział, musiało odnieść jednak skutek, odłożyła bowiem wreszcie nóż i utkwiała w nim chłodne spojrzenie.

— Sądzi pan, że pomyślałam, iż pracuje pan w ogrodzie dlatego, że jest pan — zrobiła dramatyczną przerwę — czarny?

Ostatnie słowo wypowiedziała scenicznym szeptem. Cole odniósł niemiłe wrażenie, że dziewczyna stroi sobie żarty.

— A tak nie było? — zapytał.

Wygięła w uśmiechu różowe wargi. — Raczej nie. — Ton, jakim zostało to powiedziane, mówił: „Opanuj się, człowieku”. — Proszę posłuchać, może pan tego nie zauważył, lecz jest pan jedynym zaproszonym, któremu nie stuknęła jeszcze pięćdziesiątka. A już na pewno jedynym, który pojawił się tu w dzinsach. To dlatego poczyniłam uzasadnione przypuszczenie, że nie jest pan jednym z gości.

Zamilkła, dając mu czas na odpowiedź. Gorączkowo szukał w głowie zgrabnej riposty, lecz nic nie przychodziło mu na myśl. Dostrzegł w jej bystrych zielonych oczach rozbawienie, kiedy uświadomiła sobie, że go dostała. — Może to nie ja mam uprzedzenia — powiedziała na koniec. Podniosła szklankę i upiła łyk wody mineralnej. A potem odwróciła się do niego, jakby coś przyszło jej nagle na myśl.

— Och, i jeśli rzeczywiście chce pan się tu wpasować — powiedziała, ścisząc konspiracyjnie głos — proszę pozbyć się tego smokinga prosto ze sklepu. Powinien zostać uszyty na zamówienie.

Uśmiechnęła się słodko, a potem odwróciła do mężczyzny siedzącego po drugiej stronie i pograżyła w rozmowie z nim, ignorując Cole’a przez resztę posiłku.

Przez następne dwa dni starał się schodzić jej z drogi, a kiedy w niedzielny wieczór wyjechał wreszcie z Aldringham, odetchnął z ulgą na myśl o tym, że już jej więcej nie zobaczy.

Rozdział piętnasty

Pierwszy rok w Paryżu minął Caitlin bardzo szybko. Kiedy nie uczęszczała na lekcje lub nie zbierała zaliczeń, pracowała w Cafe des Amis.

— Musisz zostać — powtarzał Alain, kiedy zaczął się rok szkolny.

— Jesteś najlepszą pracownicą, jaką miałem kiedykolwiek. Caitlin nadal potrzebowała pieniędzy, chętnie się więc zgodziła.

Kiedy nie przebywała w szkole, pracowała w kawiarni; to zaś oznaczało zajęte soboty i niedziele, a także wieczorne zmiany w tygodniu. Lokal zamykano dobrze po północy, a o siódmej rano była już z powrotem, podając croissantsy i kawę, by potem udać się do Chambre Syndicale na kolejny dzień wypełniony wyczerpującą nauką. Była zmęczona, ale szczęśliwa. Robiła to, po co przyjechała do Paryża

— żyła na własny rachunek.

Tym razem nie zamierzała iść na kompromisy. W pierwszy piątek po rozpoczęciu kursu kilkoro uczniów postanowiło wyjść gdzieś wieczorem. Zaprosili Caitlin, aby wybrała się z nimi.

— Idziemy do Hotel Costes — powiedziała Brooke. — Tam jest naprawdę fajnie.

Pięciogwiazdkowy hotel, usytuowany w sercu dzielnicy mody przy Rue Saint-Honore, słynął z zasobnego w trunki baru, odwiedzanego przez bogatych i sławnych. Gdy tylko się tam znaleźli, Caitlin poczuła, że mroczny, cokolwiek podniszczony lokal nie jest dla niej. Tłum przesadnie wystrojonych gości popijających drinki niewarte swej ceny... Starsi, rozglądający się z drapieżnym błyskiem w oku mężczyźni polujący na utalentowaną młodzież... Wypiła jednego drinka i wyszła.

Była to nie tylko jej pierwsza, ale zarazem ostatnia wyprawa z kolegami. Byli dość sympatyczni, lecz trochę frywolni i sztuczni, ogarnięci obsesją dostania się do miejsc, gdzie można było zobaczyć z bliska sławnych ludzi i samemu się pokazać, miejsc takich jak La Perle czy Buddha Bar. Miała tego dość w Greycourt, za sprawą osób takich jak Morgan.

Zamiast tego woląca zaznajomić się bliżej ze stałymi bywalcami kawiarni. Stanowili interesującą gromadkę, głównie muzyków, pisarzy i artystów. Alain przedstawiał ją znajomym. — To jest Caitlin. Zamierza zostać pewnego dnia słynną projektantką — powtarzał, chociaż prosiła go, by tego nie robił.

Odwiedzająca lokal cyganeria chętnie przyjęła ją do swego grona, wprowadzając do ulubionych barów, klubów i przerobionych na atelier magazynów Belleville, Oberkampf i Ménilmontant. Nie wiedzieli nic o niej ani o jej rodzinie, i zupełnie się tym nie interesowali. Traktowali ją po prostu jak jedną ze swoich. Kiedy pytali, jak się nazywa, przedstawiała się jako Caitlin O'Dwyer z Irlandii. Nie mieli powodu w to wątpić.

Zła strona pracy w Cafe des Amis polegała na tym, że było się narażonym na zaczepki. Dotyczyło to wszystkich kelnerów i Caitlin szybko nauczyła się sobie z tym radzić. Zniechęcała potencjalnych adoratorów, wmawiając sobie i im, że jest zbyt zajęta, by mieć chłopaka. Kilku okazało się bardziej upartych niż inni, lecz w końcu i oni odpuścili. Alain nie mógł zrozumieć, dlaczego zachowuje taki dystans.

— Co jest z nim nie tak? — zapytał ewidentnie sfrustrowany, przyglądając się, jak Jules Martin, solista hinduskiego zespołu grającego tego wieczoru w kawiarni, odchodzi z podkulonym ogonem po tym, jak Caitlin odrzuciła jego zaproszenie.

— Nic — odparła, wycierając z nadmierną starannością bar.

— To dlaczego nie chciałaś wypić z nim drinka?

— Ponieważ nie miałam na to ochoty, Alainie.

Napięcie w jej głosie sprawiło w końcu, że porzucił temat. Lecz nie na długo. Uwielbiał plotki i z zamiłowaniem wikłał się w kolejne romantyczne dramaty.

Caitlin wysłuchiwała cierpliwie, choć z pełnym wyrozumiałości rozbawieniem, jego opowieści, lecz sama nigdy się nic zwierzała. Czasami mówił jej coś w zaufaniu, mając nadzieję, że skłoni ją w ten sposób do zwierzeń. Lecz tak się nigdy nie stało. A kiedy pytał wprost o jej rodzinę i życie w Irlandii, odpowiadała, że nie ma wiele do opowiadania.

— Ale co z mężczyznami? — wypytywał, wracając do ulubionego tematu. — Zostawiłaś tam kogoś? — Przyglądał się jej uważnie, by sprawdzić, czy trafnie odgadł. — Kogoś, kto nie odwzajemnia twoich uczuć?

Caitlin po prostu się roześmiała. — Nie, Alainie. Nie ma nikogo takiego. Czy to tak trudno uwierzyć, że jestem szczęśliwa bez mężczyzny? Ze nikogo nie potrzebuję?

Lecz Alain potrząsnął tylko głową. — Każdy potrzebuje kogoś mieć. Kogoś wyjątkowego.

— Mam ciebie, czyż nie? — odpowiadała, ściskając go z czułością za ramię. — Nikogo więcej nie potrzebuję.

Zazwyczaj wystarczało to, by zamilkł. Przynajmniej na dzień lub dwa.

Kiedy pod koniec pierwszego roku jej pobytu wygasła umowa na wynajem poddasza, Alain zaproponował, by przeniosła się do bardziej przestronnego mieszkania nad Cafe des Amis.

— Nie wezmę od ciebie dużo za wynajem — powiedział — a w zamian popilnujesz za mnie interesu.

Z początku nie chciała się zgodzić, wiedziała bowiem, że musiałyby zamieszkać z drugą osobą, a lubiła mieć mieszkanie tylko dla siebie. Lecz cena, jaką zaproponował, była tak śmiesznie niska, że nie stać jej było, aby odrzucić propozycję.

Okazało się, że będzie dzieliła lokal z inną dziewczyną, Veronique Chabot. Wysoka, wiotka blondynka pracowała jako modelka w Ecole des Beaux-Arts i uzupełniała dochody, dorabiając od czasu do czasu jako kelnerka. Dziewczęta różniły się od siebie jak ogień

i woda — Veronique była otwarta i rozflirtowana, Caitlin introspektywna i z dystansem. Mimo to dobrze się dogadywały — na każdy temat z wyjątkiem mężczyzn.

Véronique lubiła się bawić i miała mnóstwo wielbicieli, ci zaś mieli przyjaciół rozglądających się za dziewczyną dla siebie. Szukała zatem partnerki w przestępstwie i Caitlin stanowiła oczywisty wybór. Przyłączyła się do Alaina i razem niestrudzenie próbowali znaleźć dla niej chłopaka, nalegając, aby wybrała się z Veronique, jej kolejnym wielbicielem i jego kolegą na drinka lub na kolację. Z początku Caitlin starała się znaleźć powód uniemożliwiający jej rzekomo wyjście, potem przestała jednak szukać wymówek i po prostu odmawiała.

— Nie rozumiem — powtarzała Veronique, rozglądając się po mieszkaniu. — Co zamierzasz zrobić tu sama przez cały wieczór?

— Szkicować — odpowiadała od niechcienia Caitlin. — Czytać. Spać. Na to Veronique nie znajdowała już odpowiedzi.

Tymczasem nauka nie stawała się ani trochę łatwiejsza. Caitlin nadal otrzymywała więcej uwag niż pochwał i czasami zastanawiała się, czy w ogóle zdolna będzie osiągnąć jakiś postęp. Zdała jednak końcowe egzaminy, a tylko to się liczyło. William zaprosił ją, aby spędziła wakacje z resztą rodziny nad jeziorem Como, odmówiła jednak. Wolała zostać w Paryżu i pracować.

Z czasem utwierdziła się w postanowieniu, by trzymać się z dala od rodziny Melville'ów. William dzwonił do niej regularnie, podobnie Elizabeth. Od tamtych wydarzeń w Greycourt starała się zacieśnić więź pomiędzy nimi. Do tego stopnia, że kiedy dowiedziała się, iż Caitlin nie zamierza pojechać z nimi nad Como, zaproponowała, że przyjedzie do Paryża, by mogły się zobaczyć.

— Nikt nie jest aż tak zajęty — zauważyła na wpół rozbawiona, a na wpół zirytowana, gdy Caitlin podała jej standardową wymówkę, usprawiedliwiając się brakiem czasu. Nie naciskała jednak i po prostu nadal do niej dzwoniła, przynajmniej raz w miesiącu.

Kiedy rozpoczął się rok szkolny, Caitlin z ulgą przekonała się, że nauka jest teraz bardziej interesująca. Gdy przyswoili już sobie nudne umiejętności w rodzaju sporządzania wykrojów, dano im szansę, by mogli zastosować je w praktyce, projektując ubrania o określonym przeznaczeniu — związanym z porą roku, rodzajem lub kategorią stroju — jakby znajdowali się w prawdziwym atelier.

Mniej więcej w połowie semestru *madame* postawiła przed nimi najważniejsze zadanie.

— Pozwoli mi ono sprawdzić, czy przyswoiliście sobie wszystko to, czego się dotąd uczyliście — planowanie, rysowanie i wycinanie wykrojów, zszywanie i prace wykończeniowe — powiedziała do uczniów. — A co ważniejsze, zyskacie okazję, by przetestować swą kreatywność, poszukać własnego stylu.

Uczniowie poruszyli się podekscytowani na krzesłach, wymieniając półgłosem komentarze. W klasie ostro ze sobą rywalizowano i wszyscy postrzegali zadanie jako szansę na to, by pokazać się z jak najlepszej strony. *Madame* zastukała laseczką w podłogę i w klasie zapanował natychmiast spokój — dokładnie tak jak przewidziała.

— Waszym zadaniem będzie zaprojektowanie i uszycie sukni wieczorowej w stylu epoki, którą dla was wybiorę. — Zaczęła przemierzać klasę, utykając nieco mocniej niż zazwyczaj.

— Wyszlicie umysły — poleciła. — Poszukajcie sposobu, by uaktualnić historyczne odniesienia. Szukajcie inspiracji, gdzie tylko możecie — w czasopiśmie, na pchlich targach, w sklepach ze starzyzną... i w nocnych klubach, gdzie bez wątpienia przesiadujecie, zamiast poświęcić czas na naukę. — Tu i ówdzie rozległ się cichy śmiech, który uciszyła natychmiast spojrzeniem. — Pamiętajcie — tu nie ma złych odpowiedzi. Liczy się kreatywność.

Brooke podniosła rękę. *Madame* skinęła głową. — Ile mamy czasu?

— Spodziewam się zobaczyć produkt końcowy za dwa tygodnie — odparła *madame*. — Och, byłabym zapomniała: wykonacie tę pracę w wolnym czasie.

Caitlin dostała się epoka wiktoriańska.

— Potraktujcie to jak trampolinę — powiedziała *madame*. — Zastanówcie się, co dany okres dla was znaczy. Znajdźcie w nim coś, co was zainspiruje i podążcie za tym. Nieważne, co zaprojektujecie, chodzi głównie o to, byście powiedzieli coś o sobie. Zaangażowali własną osobowość. Tylko w ten sposób uda wam się stworzyć coś naprawdę wyróżniającego się, wartościowego i osobistego.

Caitlin tak właśnie zrobiła.

Na kilka dni zanurzyła się w epoce wiktoriańskiej. Skupiła się na mroczniejszych jej aspektach, takich jak przestępcze podziemie z jego kieszonkowcami i rabusiami grobów, różnice pomiędzy bogatymi a biedotą, pruderia i zdeprawowanie, przemoc i slumsy. Przeczytała ponownie utwory Shelley, Stokera i Radcliffe, by wczuć się w atmosferę gotyckiej powieści z połowy dziewiętnastego wieku.

Potem zaczęło się szkicowanie. Nie samego stroju, lecz tego, co ją zafascynowało: powozów przemierzających mgliste ulice Londynu, omiatanych wiatrem zamków z rzeźbionymi gargulcami, majestatycznymi, ostrymi niczym szczytami, i mrocznych bram. Szkice nie odzwierciedlały określonej koncepcji — zawierały jednak odczucia, wrażenia, jakie chciała uchwycić i oddać w swej pracy.

Jeden motyw powracał ze szczególnym uporem: śmierć. Ludzie epoki wiktoriańskiej mieli obsesję na tle śmierci, a podczas przeciągających się okresów żałoby wdowy nosiły wyrafinowane żałobne stroje. Był to niezwykle pomysł jak na wieczorową suknię, czuła jednak, że się sprawdzi.

Poszła więc za głosem instynktu, szukając stylu i tkanin wykorzystywanych do szycia wdowich szat. A kiedy zgromadziła wreszcie potrzebną wiedzę, zaczęła się zabawa. Wzięła na warsztat typową wiktoriańską suknię żałobną, po czym wycięła w niej dekolt i skróciła spódnicę. Zamiast użyć tradycyjnej krepy, sięgnęła po bardziej dekadentcki materiał: gnieciony aksamit w kolorze głębokiego fioletu i czarną koronkę.

W efekcie otrzymała ozdobny strój, bogaty i zmysłowy, dramatyczny i ekstrawagancki — rodzaj szykownego gotyckiego punka. Był to bardziej kostium teatralny, dzieło sztuki niż suknia. Po raz pierwszy poczuła, że udało jej się wykorzystać w pełni własne zdolności — i nie zdając sobie z tego sprawy, znalazła też własny styl.

Lecz projektowanie to był dopiero początek. Kiedy wszystko już obmyśliła, trzeba było wprowadzić projekt w życie, przenieść go z dwóch wymiarów do trzech. Był to długi i żmudny proces. W profesjonalnej pracowni miałyby do pomocy osoby zajmujące się szyciem próbnymi modelami i sporządzaniem wykrojów. Osoby te pracowały z projektantem, pomagając mu na różnych etapach, póki rzecz nie

była gotowa, aby uszyć ją z właściwego materiału, tymczasem studenci musieli zrobić wszystko sami.

— Pewnego dnia będziecie mieli do pomocy cały zespół — powiedziała *madame* — na razie musicie jednak radzić sobie w pojedynkę.

Było to zajęcie czasochłonne i frustrujące. Lecz Caitlin dostrzegła w nim i pozytywne strony. Wykonanie najpierw *zoile* — próbnej wersji sukni z perkału w jednolitym kolorze — po to, by wyeliminować ewentualne błędy wykroju, pozwalało zaoszczędzić kosztowny aksamit oraz koronkę, przeznaczone na uszycie właściwej sukni.

Dzień wyznaczony na zademonstrowanie projektów nadszedł szybko. Caitlin przyglądała się, jak *madame* chodzi po klasie, oceniając prace i czuła, że opuszcza ją pewność siebie. Wyglądało bowiem na to, iż żaden projekt nie zrobił na nauczycielce wrażenia.

— Marny, marny, marny — powtarzała, krążąc pomiędzy przygnębionymi studentami. Caitlin miała zaprezentować swoją pracę jako ostatnia. Odsunęła się i uzbroiła wewnętrznie, przygotowana na nieuchronną krytykę. Uczniowie spojrzeli na to, co stworzyła i po klasie przebiegł szept. Caitlin patrzyła z uporem przed siebie. Wszyscy zwrócili się ku *madame*, czekając na werdykt. Ta zaś podeszła z wolna do manekina, aby obejrzeć rzecz z bliska i dokładnie ją zbadać.

— Jeśli chodzi o stronę techniczną, model wymaga jeszcze sporo pracy — zaczęła. — Lecz to nie najważniejsze. — Caitlin uniosła, zaskoczona głowę. Reszta klasy przyglądała się *madame* z zainteresowaniem. — Nie szukam szwaczki — kontynuowała. — Jestem tu po to, aby wychować projektantów. — Po raz pierwszy chłodne szare oczy uśmiechnęły się do Caitlin. — *Mademoiselle O'Dwyer*, stworzyła pani coś wyjątkowego. W tej pracy jest pasja, indywidualność. I tego właśnie szukam.

Co powiedziawszy, nagrodziła Caitlin, dając jej najwyższą ocenę.

Kiedy uczniowie wyszli, podeszła jeszcze raz do manekina i ją przyglądać się sukni. Pamiętała Caitlin sprzed roku, z rozmowy kwalifikacyjnej. Wyróżniała się spośród setek kandydatów. Spokojna dziewczyna, z ciekawym portfolio — pod wieloma względami mało wyrefinowana, ale o mocno zaznaczonej indywidualności. Jej prace były obiecujące, przejawiała bowiem oryginalność, której nie sposób

się nauczyć. Dziś dostrzegała w dziewczynie ten sam potencjał. Było w jej pracy coś przyciągającego uwagę, jakiś mrok, samoświadomość wyższa niż u któregokolwiek z uczniów. *Madame* rzadko widywała taką głębię w pracy studenta. Kiedy przeglądała załączony szkicownik pokazujący, jak projekt ewoluował, widziała, skąd Caitlin zaczerpnęła pomysły. Suknia stanowiła idealny przykład gotyckiego romantyzmu, przywołujący wyobrażenie karminowych warg, nieziemsko bladej cery i ciemnych aksamitów rodem wprost z czasów Drakuli i Udolpho. Wrażliwość na detale robiła wrażenie — z reszty materiału Caitlin uszyła bowiem kołnierz: cztery cale postarzonej czarnej koronki, ozdobione drapowaniem z dżetowych łańcuszków, by całość przypominała pajęczą sieć. A wszystko to doskonale wpisywało się w klimat epoki wiktoriańskiej. I choć zainspirowana okresem historycznym, praca była też na wskroś współczesna. Projekt był, jednym słowem, *parfait*. Doskonały.

Rozdział szesnasty

Ostatni semestr w Cambridge minął Elizabeth szybko. Pracowała ciężko, a kiedy w pałacu senatu wywieszono wyniki kursu Economics Tripos, nikogo nie zaskoczyło, iż została wyróżniona.

W maju uczestniczyła w licznych balach i ogrodowych przyjęciach, a potem poleciała do Włoch, gdzie spędziła lato, uczęszczając we Florencji na kurs z zakresu historii sztuki. Pod koniec sierpnia wróciła do Londynu, gotowa stawić czoło wyzwaniu najbliższemu jej sercu: pracy w rodzinnej firmie. Choć mogła wprowadzić się na Eaton Square, postanowiła wynająć samodzielne mieszkanie, ceniła sobie bowiem swobodę. Znalazła lokal na najwyższym piętrze uroczej georgiańskiej kamienicy w Mayfair, o kilka ulic od domu babki i w odległości pieszego spaceru od Melville'a.

W dniu kiedy miała rozpocząć pracę, była gotowa już o wpół do ósmej. Wyszła z mieszkania na zalane porannym słońcem ulice. O tej porze powietrze było jeszcze chłodne, zanosilo się jednak na kolejny ciepły wrześnieowy dzień. Kiedy mijała znajdujący się w tym samym miejscu od dziewiętnastego wieku sklep rusznikarski Purdy&Sons, przejrzała się w oknie wystawowym. W grafitowym kostiumie, ze skórzaną aktówką w dłoni, prezentowała się zdecydowanie profesjonalnie. Postarała się o to, mając nadzieję, że ludzie dostrzegą w niej coś więcej niż tylko młody wiek i ładną twarz. Jasne włosy obcięła na schludnego boba i ograniczyła do minimum makijaż, a jej strój był poważny i klasyczny.

Szybko dotarła na Old Bond Street. Minęła front sklepu, a potem skręciła w uliczkę prowadzącą na Albemarle Street, gdzie znajdowały

się biura firmy. Podobnie jak pozostałe budynki, numer piętnasty był kiedyś wytworną miejską rezydencją.

Budynek umieszczony na liście Grade II — budowli o szczególnym, więcej niż lokalnym znaczeniu — został przerobiony tak, aby zapewnić pracownikom współczesne wygody i nie zaprzepaścić przy tym staroświeckiego uroku. Wstukała kod bezpieczeństwa i drzwi frontowe się otwały. Podeksycytowana weszła do środka.

Recepcję i obszar wokół niej urządzono, podobnie jak resztę pomieszczeń, skromnie, acz z niewymuszoną elegancją: przytłumione barwy, grube dywany, świeże kwiaty. Recepcjonistka знаła Elizabeth z widzenia i powitała ją szerokim, sztucznym uśmiechem.

— Ojciec pani polecił, aby przysłała pani od razu do jego gabinetu, panno Meville.

Elizabeth wsiadła do windy i pojechała na szóste piętro, gdzie mieściły się biura dyrekcji. W windzie wygładziła po raz kolejny kostium, sprawdziła makijaż i uczesanie. To śmieszne, lecz byta zdenerwowana. Tyle miała do udowodnienia... Przez całe życie spodziewała się, że stanic kiedyś na czele firmy. A jeśli okaże się, że się do tego nie nadaje? Elizabeth Melville, która dotąd ani razu w sobie nie zważyła, poczuła nagle strach. Jeśli sądziła, że ojciec doda jej otuchy, srodze się zawiodła. Gdy tylko weszła do gabinetu, rozpoczął wykład, kładąc nacisk na to, iż będzie traktował ją jak każdego pracownika i nie powinna spodziewać się szczególnych względów tylko dlatego, że jest jego córką.

— Postanowiłem, że zaczniesz w dziale strategii — powiedział. — To serce firmy i będziesz mogła wiele się nauczyć. Mają tam nowego szefa. Jest bardzo bystry, bardzo dobry. Prawdę mówiąc, chyba go już poznałaś... — Zapukano do drzwi i musiał przerwać. — Ach, co za zgranie w czasie. To z pewnością on.

Elizabeth odgadła, kim jest jej nowy szef, na sekundę przed tym jak otwarły się drzwi. Serce zamarło jej w piersi, gdy do pokoju wszedł pewnym krokiem Cole Greenwood.

Wspomniała dzień, kiedy ostatni raz go widziała. Zniszczyła mu wtedy spodnie i zachowała się jak ostatnia jędza. Od tego czasu upłynęło już sześć miesięcy i miała nadzieję, że Cole zdążył o wszystkim

zapomnieć. Nadzieja okazała się jednak płonna, uśmiechnął się bowiem chłodno na powitanie:

Witaj ponownie, Elizabeth — powiedział na wypadek, gdyby żywiła jeszcze jakieś wątpliwości.

Był dokładnie taki, jakim go zapamiętała: niemal zastraszająco wysoki i potężnie zbudowany, o chłodnym, aroganckim spojrzeniu ciemnych oczu. Zawstydzona tym, że nie jest w stanie stawić mu czoła, pierwsza odwróciła wzrok.

Jeśli William dostrzegł, że atmosfera w pokoju się zmieniła, nie pokazał tego po sobie.

— Dobrze — powiedział. — Cóż, będę wyglądał niecierpliwie raportu na temat twoich postępów, Elizabeth.

Oznaczało to, że zostali odprawieni.

Cole nie pofatygował się, aby przytrzymać dla niej drzwi. Pędził korytarzem, stawiając wielkie kroki. Musiała biec, by się z nim zrównać. Czekali w milczeniu na windę. A kiedy przyjechała, Cole wcisnął guzik piątego piętra. Gdy drzwi się zamknęły, spróbowała przełamać lody.

— Słyszałam o tobie mnóstwo wspaniałych rzeczy — powiedziała radośnie. — Nie mogę się doczekać, by z tobą pracować.

Obrzucił ją chłodnym spojrzeniem.

— Dla mnie — poprawił.

— Słucham?

— Będiesz pracowała dla mnie, nie ze mną. — Zostało to powiedziane wolno i wyraźnie, jakby rozmawiał z dzieckiem. — To różnica. Duża.

Drzwi otwały się i wyszedł na korytarz, nie zadając sobie trudu, by sprawdzić, czy Elizabeth za nim podąża. Zaczepnęła głęboko oddechu. Cóż, skoro Cole zamierza rozgrywać to w ten sposób, będzie musiała się z tym godzić — przynajmniej przez jakiś czas.

Dział strategii zajmował jedno przestronne, otwarte pomieszczenie. Duże okna wychodziły na ruchliwą ulicę poniżej. Okazało się, że Elizabeth nie będzie siedziała z resztą zespołu.

— Nie ma tu chwilowo miejsca, by wstawić kolejne biurko — wyjaśnił Cole, prowadząc ją do małego pokoiku bez okien w dalekim

kącie pomieszczenia. Mani nadzieje, że za kilka tygodni będziemy w stanie znaleźć ci coś bardziej odpowiedniego.

Elizabeth rozejrzała się skonsternowana. Pomieszczenie było niewiele większe niż pokój na szczotki - z biurkiem upchniętym pospiesznie w rogu, naprzeciw ściany pokrytej śladami po taśmie klejącej i pinezkach. Jedyne oświetlenie pochodziło od gołej żarówki zwisającej pośrodku z sufitu.

— I co myślisz? — zapytał Cole radośnie.

Jego ciemne oczy rzucały jej wyzwanie. Tylko spróbuj się poskarżyć, mówiły. Postanowiła, że tego nie zrobi. Jeśli miał to być test, zdecydowana była zdać go śpiewająco.

— W porządku, dzięki—wykrztusiła. Uśmiechnął się słabo.

— Dobrze. Rozgość się. Ktoś przyjdzie ci powiedzieć, od czego zaczniesz.

Gdy wyszedł, zrobiła dokładnie to, co jej powiedziano: włączyła komputer i sprawdziła, jak działa telefon. A potem czekała.

Po godzinie przydzielono jej pierwsze zadanie. Brunetka po trzydziestce, o twardym spojrzeniu, postawiła z rozmachem na biurku pudło pełne magazynów. Przedstawiła się jako Kathleen McDonnell, zastępczyni Colea. Mówiła z silnym szkockim akcentem świadczącym, iż pochodzi z solidnej klasy robotniczej i całą swą postawą demonstrowała jasno, co sądzi o osobach zdobywających stanowisko dzięki nepotyzmowi, nie umiejętnościom. Niepytana przedstawiła szybko swój zawodowy życiorys, najwidoczniej po to, by uzmysłwić Elizabeth, jak bardzo zasługuje na swą posadę. Wynikało z niego, że przez dziesięć ostatnich lat zajmowała się marketingiem, głównie w zakresie bezpiecznego inwestowania.

Elizabeth pomyślała bezlitośnie, że sądząc po zmarszczkach na jej czole, były to zapewne dwie dekady.

Kiedy skończyła, powiedziała Elizabeth, iż życzy sobie, by ta przejrzała każdy magazyn i zaznaczyła miejsce, gdzie znajduje się wzmianka o Melville'u lub którejsz z rywalizujących firm. Elizabeth zaczęła oceniać w duchu, ile dni jej to zajmie, gdy do pokoju jęli napływać kolejni pracownicy. Patrzyła skonsternowana, jak wnoszą osiem kolejnych pudeł mieszczących magazyny z ostatnich dziesięciu lat.

Po co się to robi? - spytała w końcu.

— By porównać zmiany w naszej strategii reklamowej. Odpowiedź była na tyle mglista, że nie zachęcała do zadawania dalszych pytań.

— Lecz zajmie mi to wieczność...

Kathleen wzruszyła ramionami i skierowała się do wyjścia. Na progu odwróciła się i zadała ostateczny cios.

— Och, nim zaczniesz, mogłabyś przejść się po biurze i zebrać zamówienia na kawę? Nikt nie pije tego świństwa z automatów, więc najmłodszy stażem pracownik wyskakuje zazwyczaj o wpół do dwunastej i przynosi dla wszystkich napoje.

Elizabeth wpatrywała się w nią z niedowierzaniem.

— Nie musisz za nic płacić — zapewniła ją Kathleen. — W kuchni jest skarbonka.

Jakby tu chodziło o pieniądze!

— Nie zamierzam przynosić nikomu kawy — odparła Elizabeth stanowczo.

— To nie moja sprawa — odparła Kathleen zirytowana. — Jeśli masz z czymś problem, porozmawiaj z Cole'em — powiedziała i wyszła.

Najwidoczniej pracownikom polecono, by traktowali ją w ten sposób.

— Doskonale — powiedziała do siebie w pustym pokoju. — Porozmawiam.

Cole nie był ani trochę zaskoczony, kiedy zobaczył Elizabeth zmierzającą ku niemu korytarzem. Zastanawiał się, jak długo wytrwa, nim przyjdzie się poskarżyć. Cóż, niech sobie jęczy do woli. Nie zamierzał ustąpić ani na jotę. Był wściekły, gdy William wezwał go rankiem do siebie i poinformował, że jego najstarsza córka będzie pracowała w dziale strategii. Przez co najmniej sześć miesięcy. Cole nie krył niezadowolenia.

— Co do cholery mam z nią zrobić, Williamie? Nie mamy czasu, by kogokolwiek niańczyć.

William się roześmiał. Cole był jednym z niewielu ludzi, którym wolno było odzywać się do niego w ten sposób. Głównie dlatego, że nie chciał stracić błyskotliwego dyrektora działu strategii.

Elizabeth jest bardzo bystra, Cole powiedział łagodnie. — Nie będzie potrzebowała, jak to ująłeś, niańczenia. Myślę, że cię zaskoczy.

Cole prychnął. Szczerze w to wątpił.

Ale jak zwykle William postawił w końcu na swoim. Czasami Cole nadal się zastanawiał, jak to się stało, że pracuje teraz u Melville'a. Po tamtym weekendzie w Aldringham William zaprosił go na lunch. Poszedł li tylko z ciekawości. Po tym jak przepracował dziesięć lat w dużym, kwitującym amerykańskim banku inwestycyjnym, gdzie stale coś się działo, senna spółka, zajmująca się produkcją i handlem towarami luksusowymi nie miała dlań zbyt wiele uroku.

Lecz William potrafił być przekonujący. Ku zaskoczeniu Cole'a zaoferowano mu wynagrodzenie dalece przekraczające dotychczasowe. Jednak to praca stanowiła najsilniejszy wabik. Melville przechodziło trudny okres. Po raz pierwszy od lat sprzedaż spadała. Spółka potrzebowała wstrząsu, lecz William nie był pewien, gdzie dokładnie miałby on nastąpić. Chciał, by Cole mu to podpowiedział. Jako szef nowo utworzonego działu strategii miałby wolną rękę, mógłby zatrudnić, kogo tylko zechce i wybrać projekty, które uznałby za rokujące nadzieję na poprawę. I to go skusiło. Nim się obejrzał, był już kupiony.

To, że tak o niego zabiegano, bardzo mu pochlebiło. Dało też niezłego kopa. Nie potrafił się powstrzymać, by nie czuć dumy z powodu tego, co udało mu się osiągnąć. To dlatego nie życzył sobie mieć w dziale rozpuszczonego bachora Williama. Pracowali dla niego najzdolniejsi ludzie w branży, urabiając sobie ręce po łokcie, by poprawić wizerunek firmy. Tymczasem Elizabeth dostała wszystko na talerzu.

— Dobrze. Jak sobie życzysz — powiedział w końcu. — Nie licz jednak, że będę traktował twoją córkę inaczej niż pozostałych. A to oznacza, że czekają ostra jazda.

Ku jego zaskoczeniu William się roześmiał.

— Uwierz mi, Cole, nie chciałbym, byś postąpił inaczej.

Cole zamierzał trzymać go za słowo. Wezwał pracowników, przedstawił im sytuację i poinformował, że Elizabeth nie będzie traktowana w szczególny sposób.

Nic mógł zaprzeczyć, że sprawiło mu to przyjemność. Wyraz twarzy Elizabeth, kiedy uświadomiła sobie, kto będzie jej szefem... To

starło pełen wyższości uśmiezek z jej twarzy. Tu nie była kimś wyjątkowym. Gdy zapukała głośno i nagłaco w szklane drzwi, uznał, iż rzeczywistość jeszcze w pełni do niej nie dotarła. Cóż, z ochotą jej w tym pomoże.

Nie przerwał studiowania raportu, który właśnie czytał. Odczekał, aż zapuka ponownie i dopiero wtedy podniósł wzrok, jakby nie wiedział, że ona tam stoi. Zaprosił ją gestem, by weszła i wskazał krzesło przed swoim biurkiem. Nie usiadła jednak. Odgadł, iż uznała, że w ten sposób przyda sobie znaczenia. Odchylił się na krześle i spojrział na nią wyczekująco, niemal z sympatią.

— Zatem, Elizabeth, co mogę dla ciebie zrobić?

Z bliska wyglądała na bardziej rozgniewaną, niż się spodziewał. Patrzył, jak stara się zapanować nad furją, zaprzęgając do tego zadania całą powściągliwość Angielki z wyższych sfer. Odrzuciła do tyłu głowę i jasne włosy opadły jej na ramiona. Były krótsze, niż zapamiętał. Musiała je obciąć, by zyskać bardziej profesjonalny wygląd. Wyglądała teraz jeszcze bardziej pociągająco... Jezu, skąd mu się to bierze?

Zmusił się, by odrzucić precz niestosowne myśli i spojrział znowu w jej gniewne zielone oczy. Przeszła od razu do rzeczy.

— Kathleen poinformowała mnie o drobnym zadaniu, jakie mi wyznaczyła. — Udało jej się wypowiedzieć słowo „zadanie” tak, iż zabrzmiało niemal jak obelga.

— Ach tak? — zapytał spokojnie.

— Ach tak? — Głos jej się załamał. — Tylko tyle ma mi pan do powiedzenia? Ukończyłam Cambridge, a pan spodziewa się, że będę grzebała przez tydzień w czasopismach, zakładając strony karteczkami?

Zostało to powiedziane z jawnym niedowierzaniem.

— Na dodatek — kontynuowała niemal piskliwie — jakby tego nie było dość, mam przynosić jeszcze wszystkim kawę!

Niemal roześmiał się, słysząc w jej głosie święte oburzenie. Postrzymał jednak wesołość i westchnął demonstracyjnie. Potarł grzbiet nosa, jakby to był problem, którym nie powinno się zwracać mu głowy.

— Wiesz, Elizabeth, nie jestem pewny, co moglibyśmy akurat teraz ci zaoferować. — Starał się mówić spokojnie, rozsądnie, gdyż wiedział, że to ją tym bardziej zirytuje. — W moim dziale roi się od doświadczonych fachowców. Mówimy tu o byłych pracownikach banków inwestycyjnych, konsultantach do spraw zarządzania, menedżerach zarządzających marką. Są w swoich dziedzinach najlepsi i wszyscy wnoszą poważny wkład. Jeśli zaś chodzi o ciebie... — Zamilkł, dając Elizabeth jasno do zrozumienia, co sądzi o jej umiejętnościach.

Elizabeth dostrzegła wyraz rozbawienia w oczach Cole'a i wiedziała już, że bitwa jest z góry przegrana. Była to zemsta za ostatni raz, gdy się spotkali, czysta i prosta. Szarpnęła sfrustrowana guzik grafitowego zakietu. Pomyślała o pięknych kostiumach, jakie sprawiła sobie w zeszłym tygodniu, niemądrze ciesząc się na to, że zacznie wkrótce pracę. Jeśli ma grzebać na okrągło w zatechłych starych pudłach pełnych zakurzonych gazet, równie dobrze może przyjść jutro w dżinsach.

— Musi być coś, co mógłby mi pan przydzielić — powiedziała na koniec, traktując to jako ostatnią próbę odwołania się do rozsądku Cole'a.

Cole wzruszył jednak tylko ramionami. — Może za jakiś czas. Gdy udowodnisz, ile jesteś warta. Powiedziano mi jednak, że masz zacząć od samego dołu, jak każdy.

— Tak, ale... — Zamilkła raptownie.

Ale co? Dla niej ten „dół” powinien oznaczać coś innego? Nawet ona czuła, że zabrzmiałoby to po prostu śmiesznie. Spostrzegł, że zabrnęła, i zadał ostateczny cios.

— Posłuchaj — powiedział, rozpierając się na krześle. — Jeśli masz z tym problem, nie krępuj się i porozmawiaj z tatusiem.

Tego byś właśnie chciał, co? pomyślała. Cóż, nie zamierzała dawać mu tej satysfakcji.

— Nie mam żadnego problemu — odparła sztywno. Uśmiechnął się, pozwalając, by zobaczyła, jak wielką sprawia mu to przyjemność.

— Dobra dziewczynka. Proponuję zatem, byś zajęła się napojami. Założę się, że mamy tu biuro pełne spragnionych ludzi.

Powstrzymanie ciętej odpowiedzi wymagało nie lada wysiłku, Zmilczała jednak, odwróciła się i zachowując tyle godności, ile była w stanie z siebie wykrzesać, wyszła z gabinetu Cole'a, wzięła notatnik i zaczęła spisywać zamówienia na kawę.

Potem było już tylko gorzej. Gdy wszyscy poszli wreszcie do domu, miała tak dość, że zmieniła zdanie i była gotowa poskarżyć się ojcu. Lecz kiedy do niego zadzwoniła, asystent przełączył ją do wuja Piersa. Najwidoczniej William musiał wyjechać pilnie do Aldringham, zażegnać kłopoty, w jakie wpakowała się Amber.

— Mogę ci w czymś pomóc? — spytał Piers.

Elizabeth zawahała się. Kusilo ją, by wszystko mu opowiedzieć. Wydawał się szczerze zatroskany, była też pewna, że ją wysłucha i zrozumie. Wiedziała, że ludzie uważają Piersa za niezbyt lotnego, sprawiało to jednak, że był bardziej przystępny. Zawsze mogła zwierzyć się miłemu wujkowi Piersowi — straciła już rachubę, ileż to razy wstawiał się za nią u Williama. A jednak... wciąganie go w konflikt z Cole'em wydawało się nie w porządku.

— Nie — odparła. — Wszystko gra.

Obiecała, że opowie mu, jak minął jej pierwszy tydzień w pracy, kiedy spotkają się w piątek na kolacji. Odłożyła słuchawkę z odrobinę lżejszym sercem. Była pewna, że znajdzie sposób, aby poradzić sobie z Cole'em.

Rozdział siedemnasty

Amber Melville zaciągnęła się mocno papierosem Marlboro Light. Gdy Perkins skręcił w aleję dojazdową do Aldringham, pierwsze co zobaczyła, to bentley ojca, stojący na podjeździe.

— Cholera — zaklęła pod nosem.

Wcisnęła szybko przycisk elektrycznie otwieranego okna i wyrzuciła papieros. Nie spodobałoby mu się, gdyby na domiar złego przyłapał ją jeszcze na paleniu.

— Cholera, cholera, cholera — zaklęła znowu.

Była przygotowana, by stawić czoło matce, nie jemu. Prawdę mówiąc, zaskoczyło ją, że w ogóle przyjechał. Może była naiwna. Właśnie wyrzucono ją z trzeciej szkoły z internatem, i to w ciągu jednego zaledwie roku. Nawet tatusiowi dało to w końcu do myślenia. Otworzyła modną torebkę, wzięła na palec trochę tygrysięgo balsamu i rozsmarowała pod oczami, które zaczęły natychmiast łzawić. Nauczyła się tej sztuczki jakiś czas temu. W takich sytuacjach łzy okazywały się najlepszą strategią. Miała tylko nadzieję, że nikt nie poczuje intensywnie miętowego zapachu.

Zostawiła Perkinsa, by wyładował bagaże. Pani Hutchins powitała ją w holu, nieprzyjazna i z surową miną.

— Rodzice czekają w salonie — powiedziała sztywno.

Amber usłyszała w jej głosie dezaprobatę, lecz się tym nie przejęła. Niech stara krowa pilnuje własnych spraw.

— Mogłaby pani przynieść mi trochę wody mineralnej? — rzuciła od niechcienia, mijając ją. Gospodyni prychnęła z naganą, nie doczekawszy się „proszę” ani „dziękuję”, zrobiła jednak, co jej polecono.

Nim Amber weszła do salonu, przejrzała się w pozłacanym lustrze. Spodobało jej się to, co zobaczyła. Dorastanie okazało się dla Amber Melville łaskawe.

W wieku piętnastu lat wyglądała jak długonogi żrebak. Wysoka i smukła, z masą platynowych loków i kremową cerą, była zdecydowanie najpiękniejszą z sióstr. Wygląd aniołka pomagał jej też wykaraskać się z kłopotów i dobrze o tym wiedziała. Nikt, kto spojrzał w niebieskie niczym bławatek oczęta, szeroko otwarte i po dziecięcemu niewinne, nie był w stanie uwierzyć, że mogła zrobić to, o co ją podejrzewano.

Teraz kombinowała już, jak wybrnąć z sytuacji. Nie była nawet pewna, o co tyle szumu. W końcu nie została przyłapana, jak poprzednim razem, na paleniu trawki. Przekłuła sobie jedynie pępek, aby umieścić w nim kolczyk — z pewnością trudno to uznać za zbrodnię stulecia. Nikt by się nie dowiedział, gdyby dziewczęta nie zebrały się, zaciekawione, wokół niej przed lekcją wuefu. Oczywiście nauczyciel poczuł się zobowiązany podejść i sprawdzić, co aż tak podekscytowało uczennice. Zdaniem Amber wyrzucanie kogoś za coś takiego ze szkoły było przesadą — chociaż przyczynił się do tego zapewne fakt, iż ukradła pieniądze na zabieg z torebki nauczycielki angielskiego.

— Masz przecież wysokie kieszonkowe — powiedziała dyrektorka, ewidentnie skonsternowana i zaniepokojona zachowaniem jednej ze swych podopiecznych.

Amber wzruszyła tylko ramionami. Kradzież stanowiła część zabawy, wyzwanie. Nie doszukiwała się w swoim zachowaniu logiki.

Była jednak zdziwiona, że ojciec zadał sobie trud, aby przyjechać i osobiście udzielić jej nagany. Zazwyczaj nie znajdował czasu na coś tak zwyczajnego — zbyt był zajęty władaniem swoim imperium. Prawdę mówiąc, mogłaby zliczyć na palcach jednej ręki, ile razy widziała go podczas ostatnich osiemnastu miesięcy. I nic w tym nowego. Zawsze był daleki i nieosiągalny. Wiedziała, bez cienia wątpliwości czy użalania się nad sobą, że kocha ją najmniej ze wszystkich córek. Nie trzeba było geniusza, aby się tego domyślić. Elizabeth była do ojca przerażająco wręcz podobna. Wszyscy wiedzieli także, iż William ma słabość do Caitlin i ubolewa wielce nad tym, że dziewczyna się od

niego odsunęła, tymczasem Amber... cóż, była podobna do matki, a żony William raczej nie cenił. Sprawianie kłopotów było zatem jedynym, co jej pozostało.

Oczywiście nie zawsze była tak niesforna. W dzieciństwie zachowywała się nienagannie. Lecz nikt poza matką nie zauważał tego ani o to nie dbał. A potem pewnego dnia, gdy miała pięć lat, znalazła pudełko zapalek. Bawiąc się nimi, podpaliła nieumyślnie ulubiony wschodni dywan babki i niemal puściła z dymem jedno ze skrzydeł Aldringham. Ojciec przyjechał natychmiast do domu. Potem nie pamiętała jego gniewu ani dziesięciominutowego lania, jakie jej sprawił. Pamiętała tylko, że wreszcie ją zauważył. Uznała zatem, że złe zachowanie to skuteczny sposób, by zyskać jego uwagę.

Wtarła jeszcze odrobinę balsamu, odczekała, aż oczy zaczną łzawić i zapukała. Zza drzwi dobiegł ją grzmiący głos ojca, nakazujący, by weszła. Przybrała odpowiednio skruszoną minę i pchnęła ciężkie dębowe drzwi.

W środku sytuacja wyglądała mniej więcej tak, jak się spodziewała. Ojciec siedział pośrodku pokoju, poważny, zdenerwowany jedynie z powodu tego, że musiał porzucić obowiązki w Londynie i przyjechać, by udzielić nagany błędzącej córce. Matka siedziała w kącie, płacząc cicho, bez wątpienia zmartwiona wyłącznie tym, jak zareagują jej znajome z towarzystwa, kiedy dowiedzą się, co zaszło. Po raz pierwszy Amber zaczęła się zastanawiać, co dla niej zaplanowali. Może wyślą ją do miejscowej szkoły. Nie byłoby to wcale takie złe. Fajnie byłoby pomieszkać dla odmiany w domu. A może odpuszczą jej do końca semestru naukę... To byłaby dodatkowa korzyść. I tak nie potrzebowała GCSE, stopnia uzyskiwanego po zdaniu egzaminu dla uczniów w wieku około szesnastu lat. Gdy tylko osiągnie ten wiek, rzuci szkołę. Nie trzeba mieć kwalifikacji, by zostać modelką, taką jak Naomi Campbell, Linda Evangelista, Christy Turlington czy wschodząca gwiazdka mode-lingu, uczennica Croydon, Kate Moss.

Plakaty z ich podobiznami zajmowały w pokoju Amber całą ścianę. Spędzała przed lustrem mnóstwo czasu, naśladowując pozy modelek i rozmyślając z ukrytym zadowoleniem, że nie wygląda wcale gorzej. Musi wytrzymać jeszcze rok, a potem będzie mogła robić, co zechce.

To zaś oznacza, że trzeba przetrwać wieczór i wyjść z tego z jak najmniejszymi stratami.

Zwróciła przepelnione łzami oczy na ojca.

— Naprawdę tak mi przykro, tatusiu... — zaczęła, ocierając policzki. Do licha! Przesadziła z balsamem.

Lecz nim zdołała powiedzieć coś więcej, ojciec podniósł dłoń.

— Nie życzę sobie kolejnych usprawiedliwień, Amber. Szczerze mówiąc, mam ich już dosyć.

Amber przywykła co prawda do kazań wygłaszanych przez ojca, lecz nawet ona zadrżała, gdy usłyszała lodowaty ton jego głosu.

William pochylił się na krześle. Wyraz twarzy miał stanowczy i ponury.

— Próbowaliśmy załatwić to w możliwie najmniej bolesny sposób, lecz na nic się to nie zdało. Zmusiłaś mnie, abym poszukał bardziej zdecydowanego rozwiązania.

Amber przełknęła mocno. To co mówił, nie brzmiało dobrze.

Bardziej zdecydowane rozwiązanie oznaczało kolejną szkołę z internatem. Trudno było doszukać się w tym czegoś ekscytującego. Nie miała nawet szansy się rozpakować. W godzinę po tym jak przyjechała, siedziała już w samochodzie wiozącym ją do Stirling Hall w hrabstwie Yorkshire.

— Stirling Hall to miejsce przeznaczone specjalnie dla osób wymagających zdyscyplinowania — poinformował ją ojciec. — Mają doświadczenie w radzeniu sobie z trudną młodzieżą. Myślę, że będzie to dla ciebie korzystne, Amber.

I to by było tyle, jeśli chodzi o wyjście z sytuacji bez szwanku.

Amber nie zawracała sobie głowy dąsami. Nie było sensu. Naburmuszona mina nie wywierała na ojcu wrażenia, bywała skuteczna jedynie w przypadku tego popychadła, jej matki. Poza tym nie martwiła się zbytnio tym, że wysłano ją do Stirling Hall. Ojciec mógł sobie gadać o dyscyplinie, wiedziała jednak, że w takich miejscach zawsze znajdzie się niepilnowany ką. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie patrzeć. Ona zaś była pewna, że jeśli ktokolwiek jest w stanie tenże ką znaleźć, zrobi to ona.

Krajobraz North York Moors okazał się tak ponury i wyludniony, jak sobie wyobrażała. Zrujnowane opactwa i dwory otoczone nagimi polami i podkradającymi się ku nim lasami. Jałowa wiejska okolica. Sam Sterling House był ponurym gotyckim zamczyskiem datowanym na trzynasty wiek i zajmującym czterdzieści pięć akrów powierzchni Parku Narodowego. Wznosił się, uczepiony szczytu klifu, wysoko nad poszarpaną linią wybrzeża Yorkshire. Budynki z piaskowca, wystawione od wieków na działanie deszczu i porywistych wiatrów, pokryte były plamami, a zdobiące je niegdyś gargulce miały poobtłukiwane krawędzie. Wyglądało to bardziej jak więzienie niż szkoła. Wewnątrz Amber została powitana przez dyrektorkę o ponurej twarzy, pani Dauston. Otyła i niekochana, zmieniła się z czasem w zgorzkniałą starą pannę i była typem osoby, której nie powinno się dopuścić do nauczania. Przyglądała się rok po roku, jak wszystkie te uprzywilejowane dziewczęta opuszczają szkołę, aby prowadzić życie, o którym ona mogła tylko marzyć. Nic dziwnego, że pozostawiło to u niej ślad. Nie widziała też powodu, by nie odgrywać się za swe mało satysfakcjonujące życie na podopiecznych.

Zmierzyła Amber wzrokiem od stóp do głów. Widywała już takie typy. Anielska twarz nie zmyliła jej nawet na sekundę. Zbyt bogata i za piękna, potrzebowała, by dać jej nauczkę i utrzyć nieco nosa. Wręczyła dziewczynie grubą na trzy cale, oprawną w skórę księgę — Kodeks Honorowy Stirling Hall — i poleciła, by wyuczyła się go na pamięć.

— Każdy, kto złamie zawarte w nim zasady, zostanie surowo ukarany — mówiła, wypowiadając słowa z szorstkim szkockim akcentem, kiedy szły przez labirynt korytarzy do przydzielonego Amber pokoju. Zdania, odbite od wysokiego sufitu, wróciły echem tak donośnym, że Amber podskoczyła.

Choć był dopiero wrzesień, w zamku panował lodowaty ziąb. Kamienne podłogi oraz przeciągi spowodowane nieszczelnymi oknami i drzwiami jeszcze go potęgowały. Mikroskopijnych rozmiarów grzejniki nie były w stanie poradzić sobie z chłodem. Amber wołała nie myśleć, jak będzie w zimie. Nie uczyniono nic, by wnętrza wydawały się przytulne. Nie było tu, w przeciwieństwie do poprzedniej szkoły

Amber, wazonów z kwiatami ani tablic z wywieszonymi zawiadomieniami o imprezach sporlowych i klubach. Naprawdę zaczynała się martwić. Może doprowadzenie do tego, że wykopano ją z St Margaret nie było wcale takie sprytne.

Pokój Amber okazał się równie zimny i nieprzytulny jak reszta szkoły. Było to małe, zagracone pomieszczenie z wysokimi, wąskimi oknami. Odłóżące tapety i unoszący się w powietrzu zapach stęchlizny sugerowały, że panuje tu wilgoć. Umeblowanie składało się z dwóch wąskich łóżek, dwóch biurków i dwóch niewielkich szaf. Ściany pozostawiono nagie z wyjątkiem dwóch tabliczek: „Nie palić” i „Nie używać pinezek”. Współlokatorka też nie wydawała się szczególnie zabawowa. Niska, pulchna dziewczyna w olbrzymich okularach o szylkretowych oprawkach, z włosami związanymi w ciasny węzeł, przywitała Amber z kamienną twarzą.

— Nazywam się Eva Mendoza — powiedziała przesadnie staranną angielszczyzną. — Miło mi cię poznać, Amber.

Akcent potwierdził to, co podpowiedziały już Amber z hiszpańska brzmiące nazwisko i ciemna karnacja dziewczyny.

— Eva jest przewodniczącą swego rocznika — oznajmiła z dumą pani Dauston. Eva spuściła wzrok zażenowana pochwałą. — To jeden z naszych sukcesów. Amber nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Eva ma stać się dla niej wzorem do naśladowania. O rany, pomyślała, przyglądając się dziewczynie podejrzliwie. Najwidoczniej ulokowali ją z największą nudziarą na roku. Prawdopodobnie z rozkoszą doniesie dyrektorce, jeśli Amber powinie się noga.

Nie mogła jednak bardziej się mylić. Gdy tylko pani Dauston wyszła, Eva natychmiast się odprężyła.

— To za co tu jesteś? — spytała, opadając na wąskie łóżko. Zdjęła okulary, potrząsnęła głową, uwalniając włosy i odpięła

górne guziki bluzki. W sekundę zmieniła się z poważnej uczennicy w latynoamerykańskiego kociaka. Amber uświadomiła sobie, że wzięła krągłości, za które wiele kobiet dałoby się posiekać, za dziecięcy tłuszcz i nie przejrzała starannie zaplanowanego kamuflażu.

— Za co? — wzruszyła ramionami. — Za wszystko. Eva skinęła ze zrozumieniem głową. — To tak jak ja.

Sięgnęła pod łóżko, wyjęła paczkę papierosów Derby i podała jeden Amber. Amber się zawahała.

— Co z...? — spytała, spoglądając wymownie na tabliczkę z zakazem palenia.

Eva uśmiechnęła się chytrze.

— Zbyt wiele tu zakazów. Musisz nauczyć się, jak je łamać, by cię nie przyłapano.

Amber odpowiedziała uśmiechem. Wyglądało na to, że jednak da sobie tu radę.

Eva okazała się dla Amber idealnym wzorem, tyle że nie w sposób, jakiego oczekiwała pani Dauston. Zrodzona ze związku pomiędzy skorumpowanym członkiem brazylijskiej Partii Pracy a zmysłową gwiazdą filmową, posiadała spryt i ciało, które pozwalały jej zdobyć wszystko, czego zapragnęła. Kiedy skończyła pięć lat, jej rodzice już prawie z sobą nie rozmawiali. Pozbawiona rodzicielskiej opieki oraz kontroli, wyrosła na samowolną pannicę, która robiła, co chciała, nie obawiając się kary. Z Amber sprawa miała się podobnie. Wysyłając ją do Stirling Hall, rodzice zamietli wstydlivy problem pod dywan, oznajmiła nowej koleżance Eva bez śladu użalania się nad sobą. Amber doskonale rozumiała, co dziewczyna ma na myśli.

Amber uważała się dotąd za osobę świetnie zorientowaną. W St Margaret uznawana była za znawczynię trendów, i to nawet przez starsze dziewczęta. Lecz Eva zostawiła ją daleko w pobitym polu. Była bowiem dziko i porażająco wręcz oblatana. Nim minął tydzień, zapoznała Amber z *caipiriną*, cudami chirurgii plastycznej — „poprawiłam sobie nos i piersi, zanim skończyłam czternaście lat, w Brazylii wszyscy tak robią” — oraz, co najważniejsze i najbardziej bolesne, z *cavados* — brazylijską depilacją.

— Auuu! — krzyknęła Amber, gdy Eva oderwała pierwszy plaster wosku. Leżała rozkrzyżowana na łóżku, czując się obnażona i obolała jak nigdy w życiu. W głębi duszy zawsze była dumna ze swego białego krzaczka. Lecz Eva upierała się, że trzeba usunąć wszystkie włosy z wyjątkiem wąskiego paska.

Cii - syknęła Eva spomiędzy jej nóg. Podała Amber kawałek lektury. — Masz. Zaciśnij na tym zęby. Nie chcesz chyba, by wparowała tu pani Dauston, co?

Amber wbiła zęby w tekturę. Ból był taki sam, ale przynajmniej nikt jej nie usłyszał.

Okazało się, że Eva jest też doświadczona w innej dziedzinie. Straciła dziewictwo z amerykańskim studentem college'u podczas ostatniego karnawału, tuż po tym jak skończyła czternaście lat.

— Było okropnie — poinformowała przysłuchującą się temu z szeroko otwartymi oczami Amber. — Miał małego *cacete*. — Wyprostowała mały palec, by unaocznić skalę problemu. — Ale nie martw się. Z czasem jest coraz lepiej, *saca*?

Amber chłoneła każde jej słowo, żądna poznać wszelkie przerażające szczegóły.

— Zrobiłam mu *boquete*. — Tu nastąpiła mała demonstracja.

— Włożył go w moją *cu*. Bolało jak diabli. Następnym razem — nie ma mowy!

Wszystko to było dla Amber, mającej za sobą jedynie niewinne pieśczoły z Andym Daltonem, uczniem z zaprzyjaźnionej z St Margaret szkoły, całkowicie nowe. Andy był najbardziej pożądanym chłopakiem spośród szóstoklasistów, lecz niemal równie mało doświadczonym jak Amber. Po kilku chwilach ukradkowych macanek podczas balu absolwentów nie bardzo miała ochotę na coś więcej. Lecz kiedy mówiła o tym Eva, opisując różne pozycje i to, jak czuje się dziewczyna, gdy facet pieści ją językiem, ogarniała ją ciekawość i czuła, że chętnie dowiedziałyby się, jak to właściwie jest z tym seksem.

Gdy w pierwszą niedzielę po przybyciu zadzwoniła do matki, mogła z czystym sumieniem poinformować ją, że przez cztery dni pobytu w Stirling nauczyła się więcej niż przez rok w St Margaret.

Rozdział osiemnasty

— *Salut*, Caitlin!

Tuzin głosów powitało Caitlin, gdy weszła do zatłoczonego pokoju. Spróbowała wykrzesać z siebie entuzjastyczną odpowiedź. Po długim, męczącym dniu w szkole wróciła do domu, mając nadzieję, że zazna wreszcie odrobiny spokoju. Tymczasem okazało się, że Véronique urządza właśnie jedno ze swych improwizowanych przyjęć. Powietrze wypełniał dym z papierosów i śmiech. Na podłodze wały się puste butelki po winie. Jules Martel, ten, który próbował kiedyś poderwać Caitlin, przyniósł gitarę. Siedział teraz po turecku na poduszce, po-brzękując z cicha, a nieznana Caitlin dziewczyna nuciła do melodii.

Véronique leżała na tapczanie, z głową na kolanach Luciena Dubois. Caitlin uśmiechnęła się do siebie. Véronique uwielbiała posepnych, cierpiących artystów, a Lucien doskonale tu pasował. Uliczny fotograf, znany ze zdjęć portretujących życie współczesnego Paryża, był nie tylko bardzo *cool*, ale i niesamowicie przystojny. Wysoki, smukły i posepnie dramatyczny, stanowił pośród gromadki z Belleville wyróżniającą się postać. Caitlin widywała go w kawiarni, zazwyczaj z jedną lub dwiema nie odstępującymi swego idola wielbicielekami.

Krążyły plotki, że zerwał przed kilkoma tygodniami z ostatnią dziewczyną, modelką pracującą w *École des Beaux-Arts*. Véronique natychmiast zwróciła na niego uwagę. Gdy Caitlin patrzyła na nich teraz, przyglądając się, jak Lucien gładzi włosy dziewczyny, pomyślała, że przyjaciółka niemal go już zdobyła.

Véronique przeciągnęła się leniwie, prezentując długie nogi, by Lucien mógł je podziwiać.

- Lap za kieliszek i przyłącz się do nas — powiedziała. Jules przestał grać i niezdarnie wstał. — Możesz usiąść tutaj, jeśli chcesz.

— Dzięki — odparła Caitlin. — Może za chwilę. Najpierw muszę coś zjeść.

Jules miał tak zawiedzioną minę, że poczuła wyrzuty sumienia. Wydawał się miły, tyle że ona nie była po prostu zainteresowana.

Zniknęła w malutkiej kuchence. W tym tygodniu to Veronique miała robić zakupy, co oznaczało, że lodówka będzie pusta. Dziewczyna żyła o kawie i papierosach i uważała, że skoro ona może obywać się bez jedzenia, to wszyscy inni także. Caitlin znalazła w kredensie trochę makaronu i słoik pesto, które pachniało jeszcze całkiem znośnie.

Kiedy makaron zaczął się gotować, popyrkując przyjemnie, przystawiła krzesło do okna i wyszła na dach. Nie został zaprojektowany jako taras, ale ponieważ było to jedyne miejsce na zewnątrz mieszkania, dziewczęta z niego korzystały. Veronique opalała się tam, kiedy tylko mogła, a Caitlin siadywała wieczorami, rozkoszując się rześkim wiatrem, rysując i czytając w półmroku, rozjaśnionym światłem padającym z sąsiednich budynków. Teraz też wyciągnęła szkicownik, by przyjrzeć się jeszcze raz temu, nad czym pracowała wcześniej tego dnia.

Przebywała na dachu zaledwie przez chwilę, gdy usłyszała skrzypienie krzesła. Podniosła wzrok i zobaczyła gramolącego się przez okno mężczyznę. W pierwszej chwili pomyślała, że to Jules. Lecz potem mężczyzna się wyprostował. W świetle padającym z kuchni zauważyła ciemne ubranie, trupio bladą cerę i czarne włosy opadające puklami na ramiona. Lucien. Odetchnęła z ulgą. Nie była w nastroju, by odpierać znowu zaloty Jules'a.

— Co tu robisz? — spytała.

Wyciągnął paczkę papierosów i pokazał jej. Uśmiechnęła się lekko. Jako jedyny spośród gromadki ich przyjaciół okazał się na tyle dobrze wychowany, by wyjść na papierosa. Tak naprawdę nie miało to znaczenia — mieszkanie i tak przesiąkło już dymem. Lecz Caitlin doceniła gest.

Oparł się o ścianę i zapalił. Przez chwilę oboje milczeli. Nic w tym dziwnego, Lucien nie był bowiem zbyt gadatliwy. Caitlin uświadomiła sobie, że odkąd go zna — czyli od mniej więcej dwóch lat — zamienił

z nią zaledwie kilka słów, a może i to nic. Dlatego tak ją zdziwiło, kiedy zapytał, wskazując na szkicownik: — Mogę zobaczyć?

Zazwyczaj nie znosiła, gdy oglądano jej prace. Lecz prośba Luciena tak ją zaskoczyła, że skinęła mimo woli głową. — Jasne.

Położył papieros na murku i zaczął przeglądać szkicownik. Następne zadanie, jakie przydzieliła uczniom *madame*, dotyczyło wpływu filmu na modę.

— Szukałam inspiracji w *Shoof* — powiedziała, wymieniając tytuł ostatniego hollywoodzkiego przeboju opowiadającego historię gangstera, mieszkającego w latach trzydziestych w Chicago. Jej rysunki przedstawiały garnitury z marynarkami o wysokiej talii oraz spodniami o szerokich nogawkach, zaadaptowane jako strój biurowy dla kobiet, a także śliczne wieczorowe sukienki, noszone w tamtych czasach przez podlotki.

— Twoje projekty są bardzo dramatyczne i teatralne — zauważył. Spojrzał szczerze zainteresowany na Caitlin. — To właśnie chcesz robić?

— Tak, chyba tak. Jeśli potrafię.

Skończył przeglądać szkicownik i oddał go Caitlin.

— Jestem pewien, że potrafisz. Sądząc z tego, co tu widziałem, masz talent i osobowość.

— Dzięki — wymamrotała Caitlin zażenowana pochwałą. Lecz była też zadowolona. W końcu komplement pochodził z ust kogoś postrzeganego jako wybijający się artysta.

Lucien wziął papieros, zaciągnął się po raz ostatni i zgasił go o mur.

— Do zobaczenia w środku — powiedział, nim wrócił do pozostałych.

Gdy tylko zszedł z dachu, odezwał się timer w kuchence. Caitlin przygotowała kolację, wzięła talerz i przyłączyła się do gości. Wypiła kilka drinków i poszła spać.

Gdy wychodziła z pokoju, Lucien zaczął masować stopy Veronique. Nie trzeba było geniusza, aby domyślić się, do czego to prowadzi. Lecz kiedy Caitlin weszła następnego ranka do kuchni, zastała Veronique przy stole z filiżanką kawy. Była sama.

Gdzie Lucien? - spytała. — Kiedy patrzyłam na was wieczorem, wydawało się pewne, że zostanie na noc.

Veronique wzruszyła beztrąsko ramionami. — Ja też tak myślałam. Musiał jednak iść. Następnym razem, co?

Na ten „następny raz” nie trzeba było długo czekać. Kilka dni później Caitlin i Veronique pracowały razem w kafejce. Był wtorkowy wieczór i lokal wyglądał jak wymarły. Alain poszedł wcześniej do domu, zostawiając dziewczęta, by zamknęły kawiarnię. Zresztą zostali już tylko dwaj goście: Lucien i Jules. Caitlin siedziała przy barze, szkicując. Veronique przyłączyła się do Luciena i Jules'a. Siedzieli, popijając *pastis*, gawędząc i flirtując.

— Chodź do nas! — zawołał Jules.

Lecz Caitlin potrząsnęła głową. — Mam zbyt dużo do zrobienia.

O jedenastej zaczęła się zastanawiać, czy nie pora iść spać. Gdy Veronique ruszyła ku niej przez salę, pomyślała z nadzieją, że przyjaciółka zaproponuje, iż sama zamknie lokal. Lecz Veronique miała inne plany. Chłopcy wybierali się do La Fleche d'Or, pobliskiego klubu. Zaprosili Veronique, aby wybrała się tam z nimi, ta zaś chciała, by Caitlin także poszła, jako partnerka Jules'a.

— Proszę, zgódź się. — Zerknęła na chłopców i dodała, zniżając głos: — To może być moja jedyna szansa, aby poderwać Luciena,

Caitlin szczerze w to wątpiła. Odkąd zamieszkały razem, nie zdarzyło się, by Veronique nie dostała w końcu faceta, na którego miała ochotę.

— Proszę — przymilała się Veronique. — Jules to miły facet, sama się przekonasz.

Caitlin zerknęła na Jules'a. Odpowiedział nieśmiałym uśmiechem. Chłopak o świeżej twarzy wydawał się o wiele mniej onieśmielający niż Lucien. Caitlin była pewna, że w razie czego da sobie z nim radę.

— Dobrze, zgoda — powiedziała, wzdychając.

— *Fantastique!* — wykrzyknęła Veronique, ściskając przyjaciółkę.

Caitlin odepchnęła ją ze śmiechem. Zdjęła fartuszek, wepchnęła go pod ladę i przeczesła dłonią krótkie ciemne włosy.

— W porządku, chodźmy.

Veronique obrzuciła powątpiewającym spojrzeniem dzinsy i bluzkę Caitlin, a także jej pozbawioną makijażu twarz.

— Nie chcesz się przynajmniej przebrać? Mam sukienkę, która doskonale by na ciebie pasowała...

Caitlin zmarszczyła brwi. — Nie przesadzaj, bo się rozmyślę — powiedziała z nutką ostrzeżenia w głosie.

W trzy godziny później żałowała, że nie posłuchała tego, co podpowiadał jej instynkt i nie została w domu. Pierwsza część wieczoru była nawet całkiem udana. Lubiła La Fleche d'Or. Budynek opuszczonego dworca został przekształcony w klub przez kilku absolwentów Ecole des Beaux-Arts. To zaś przyciągnęło sporą gromadkę artystycznej braci — zwłaszcza że drinki były tu tanie, muzyka grana na żywo i zawsze na czasie, zamykano zaś dopiero o piątej rano.

Ale choć zespół był dobry, wypad nie okazał się sukcesem. Veronique nawykła do tego, że jej uroda wystarczy, by zainteresować mężczyznę, starała się nawiązać z Lucienem rozmowę.

Pochyliła się i przeciągnęła dłonią wzdłuż jego ramienia. — Słyszałam, że będziesz miał nową wystawę — zamruczała uwodzicielsko. — To musi być bardzo ekscytujące.

— Tak — powiedział, strząsając jej dłoń.

Caitlin stłumiła uśmiech. Veronique stosowała typową dla niej taktykę: słuchać uważnie, komplementować bez umiaru i sprawić, aby mężczyzna poczuł się jak król. Niestety, na Luciena to chyba nie działało.

Veronique nie zamierzała poddać się tak łatwo. — To gdzie odbędzie się wystawa?

— W Le Nabi.

Veronique nic to nie mówiło, lecz oczy Caitlin zabłysły. — Naprawdę? — spytała bez namysłu. — Le Nabi. Fantastycznie.

— Słyszałaś o tym miejscu? — zapytał, ewidentnie pod wrażeniem.

Miał powód, by czuć się zaskoczony. Chociaż galeria uchodziła wśród wtajemniczonych za jedną z najdynamiczniej się rozwijających, próżno by szukać jej w przewodniku — a to dlatego, że mieściła się w nielegalnie zajmowanym budynku.

Zamierzałam się tam wybrać wyjaśniła w odpowiedzi na nie zadane pytanie. Słyszałam, że jest cudowna.

Lucien wydawał się rozbawiony. — Mam nadzieję, że kiedy zobaczysz moje prace, nadal będziesz tak myślała.

Veronique spoglądała to na Luciena, to na Caitlin.

— Nie rozmawiajmy o pracy — prychnęła zirytowana. — To nudne.

Caitlin już miała zapytać przyjaciółkę, o czym dokładnie chce rozmawiać, ale zdołała się powstrzymać. Uznała, że pora zostawić Luciena i Veronique samym sobie i poznać bliżej Jules'a. Lecz chłopak był zbyt nieśmiały, by odpowiadać na jej pytania. Po chwili dała więc spokój i skupiła uwagę na muzyce. Jules spostrzegł, że straciła zainteresowanie i wykorzystał to, by się upić. Podbudowany alkoholem, objął Caitlin ramieniem, zionąc jej w twarz cuchnącym piwem oddechem.

— Wiesz, naprawdę cię lubię — wybełkotał.

— Dzięki. — Odepchnęła go po raz kolejny. Niewiele to jednak dało. Był zbyt pijany, by dostrzec, że jest coraz bardziej zirytowana.

Spojrzał szklanym wzrokiem na Luciena. — Czy to nie twoja kolej?

Lucien wskazał opróżnione butelki na stole. — Nie masz już dość, Jules?

— Ha! Próbujesz się wymigać...

Lucien wzruszył nonszalancko ramionami. — Doskonale. — Spojrzał na Veronique i Caitlin. — A panie? To samo?

— Dla mnie nic — powiedziała Caitlin. — Zaraz wychodzę...

— Och, na miłość boską, Caitlin. — Veronique przewróciła oczami. — Chyba nie chcesz już wyjść. — Zwróciła się do chłopców, nieświadoma zakłopotania przyjaciółki. — Caitlin jest sama, odkąd przyjechała do Paryża. I nic dziwnego, skoro prawie nie wychodzi.

Caitlin pomyślała, że chętnie udusiłaby Veronique.

Jules był zbyt zawiany, by zareagować, lecz Lucien uniósł brwi.

— A to dlaczego, Caitlin? Nie lubisz Francuzów? Zarumieniła się niepewna, czy potraktować pytanie poważnie,

i powiedziała to co zwykle w takich przypadkach: — Nie. Jestem po prostu zbyt zajęta.

Lucien potrząsnął z lekka głową. Nikt nie jest aż tak zajęty, by nie mieć czasu na romans.

I znów nie była w stanie odgadnąć: żartuje czy nie. Nim zdążyła odpowiedzieć, Jules pochylił się nad stołem, zrzucając kilka butelek. — Lucien? Skąd ta zwłoka? Życzę sobie mniej gadania i więcej picia!

Lucien uniósł brwi i spojrzał na Caitlin, jakby chciał zapytać: „Co zamierzasz z nim zrobić?”.

— Jak sobie życzysz, Jules.

Poszedł po kolejne drinki. Ledwie się oddalił, Veronique ruszyła do toalety.

— Zostaliśmy sami? — powiedział Jules. Wyciągnął rękę i ścisnął Caitlin za kolano. Z trudem powstrzymała się, by go nie kopnąć.

Pomyślała, że jeśli ma uciec, musi zrobić to teraz, nim wróci Vero-nique.

— Zobaczyłam kilku znajomych i chciałabym się przywitać — skłamała. — Za chwilę wracam.

Był zbyt pijany, by zauważyć, że wzięła ze sobą torbę i płaszcz.

Dotarła już niemal do wyjścia, gdy wpadła na Luciena wracającego z czterema piwami do stolika. Spojrzał na płaszcz i torbę Caitlin, a ona poczuła się trochę winna.

Uniósł pytająco brwi. — Wychodzisz?

— Wolę wyjść, nim Jules do reszty się upije — odparła sucho.

— Powinno ci to pochlebiać. Pije, bo się denerwuje. Desperacko pragnął, żebyś z nim wyszła.

— Niestety, desperacja nie jest zbyt pociągająca. Roześmiał się cicho. — Tak, masz rację.

Caitlin zastanawiała się, czy nie mówi aby o Vcronique. Przez chwilę była nawet zadowolona, że nie dał się nabrać, jak większość facetów, na jej sztuczki. A potem zrobiło jej się wstyd, że myśli w ten sposób o przyjaciółce. I odkąd to zaczęło ją obchodzić, kogo pociąga Veronique? Najwyższy czas się stąd wydostać, postanowiła.

— Pożegnaj, proszę, ode mnie Jules'a — powiedziała oficjalnym tonem, ruszając ku drzwiom.

Lucien został jeszcze przez jakiś czas w klubie. Udało mu się wcisnąć Veronique Jules'owi, a potem zaczął szukać kogoś dla siebie ko-

goś, kto nie byłby w nim tak zadurzony, lubił Veronique, lecz nie chciał zbytnio jej zachęcać. Może i był kobieciarzem, lecz nie człowiekiem okrutnym — a już na pewno rozmyślnie okrutnym.

Rozglądając się po sali, spostrzegł siedzącą samotnie przy barze dziewczynę. Była zdecydowanie atrakcyjna. Prawdziwa galijska piękność: długie ciemne włosy, skóra koloru gałki muszkatołowej. Okazało się, że nadają na tych samych falach. Żadnych nazwisk ani opowieści o sobie. Jeden drink i byli najlepszymi przyjaciółmi. Dwa, i była gotowa z nim wyjść.

Następnego ranka obudził się wcześniej. Na szczęście dziewczyna jeszcze spała. Wyśliznął się z łóżka, uważając, by jej nie zbudzić. Po dziesięciu minutach stał już przy oknie, popijając kawę, skąpany w bladym świetle wczesnego poranka. Była to jego ulubiona pora dnia. Uwielbiał przyglądać się z okna swej mansardy, jak miasto budzi się do życia. Wyszedł właśnie spod prysznica i był nagi, jeśli nie liczyć owiniętego luźno wokół bioder ręcznika. Wilgotne włosy opadały mu na ramiona, skręcone w drobne loki, jego znak firmowy.

Usłyszał szmer, odwrócił się i zobaczył, że dziewczyna przewraca się na plecy. Kołdra opadła, odkrywając doskonale uformowaną pierś z sutkiem twardym i ciemnym jak rodzynek. Myślni był już jednak gdzie indziej. Zastanawiał się, które zdjęcia wykorzystać podczas wystawy. Przez cały poprzedni dzień wywoływał ostatnie rolki filmu. Teraz podszedł do miejsca, gdzie schły. Zaczął uważnie się im przyglądać, pochłonięty bez reszty tym zajęciem.

Po chwili zatrzymał wzrok na jednym ze zdjęć. Przedstawiała przyjaciółkę Veronique, Caitlin. Odpiął fotografię i zaczął się jej przyglądać. Pamiętał, że została zrobiona przed tygodniem. W kafejce nie było klientów i Caitlin szkicowała za barem, tak zaabsorbowana pracą, że nie zauważyła, iż zamierza zrobić jej zdjęcie. Błysk flesza ją zaskoczył.

Tak było najlepiej — uchwycić obiekt, kiedy się tego nie spodziewa. I tym razem zasada się sprawdziła. To był doskonały portret. Kiedy siedziała, przygryzając zębami koniec ołówka, wydawała się tak skupiona: z ciemnymi włosami opadającymi na policzki, twarzą o trudnym do odgadnięcia wyrazie i szeroko otwartymi oczami, zamysłonymi i skrywającymi tajemnicę.

— Kim ona jest?

Głos dziewczyny przywrócił go rzeczywistości. Odwrócił się i zobaczył, że stoi tuż za nim, owinięta prześcieradłem, z wyrazem zazdrości na ładnej twarzy. Był tak zaabsorbowany tym, co robi, że nie zauważył, iż wstała, przeszła przez pokój i stanęła mu za plecami.

Potrząsnął lekko głową. — Nikim ważnym.

Rzucił zdjęcie na stół rozmyślnie lekceważącym gestem. Jednak dziewczyna nie dała się tak łatwo spławić.

— Na pewno? — Nie spuszczała wzroku z fotografii. Sięgnęła w dół i dotknęła skraju zdjęcia. Minę miała nachmurzoną. — Jest bardzo piękna.

Lucien westchnął w duchu. *Merde*. Trzeba będzie nieco się wysilić. Nie pokazał po sobie, jak bardzo jest zirytowany. Zamiast tego ujął jej dłoń — w równym stopniu po to, aby powstrzymać ją przed dalszym brudzeniem zdjęcia, jak przywrócić nastrój intymności — i uniósł ją do ust.

— To ty jesteś piękna — powiedział, patrząc jej głęboko w oczy. Była to banalna zagrywka, lecz jak się okazało, skuteczna. Dziewczyna uśmiechnęła się bowiem uspokojona.

— Wracamy do łóżka?

Nie musiała pytać dwa razy. Zerknął po raz ostatni na fotografię Caitlin i pozwolił, by pociągnęła go za sobą.

Rozdział dziewiętnasty

Piers i Elizabeth jedli kolację w Le Caprice. Zabrał ją tam, by uczcić pierwszy miesiąc jej pracy w firmie. Wieczór nie przebiegał jednak tak, jak oczekiwał. Ilekroć pytał, jak jej idzie w dziale strategii, wymigiwała się od odpowiedzi. Spodziewał się, że będzie nastawiona entuzjastycznie, tymczasem wydawała się wyraźnie przygaszona.

W końcu, przy kawie, powiedziała mu, jak okropny spotkał ją zawód.

Piers był przerażony. Elizabeth zawsze była jego ulubienicą. Nie mógł znieść tego, że widzi ją tak nieszczęśliwą.

— Chcesz, bym zamienił słówko z twoim ojcem? — zapytał. — Mógłbym zażądać, by porozmawiał z Cole'em. Lub jeśli wolisz, przeniósł cię do innego działu.

Westchnęła.

— Nie — odparła, a potem widząc, że poczuł się urażony, dodała pospiesznie: — Dzięki za propozycję, lecz muszę sama rozgrywać swoje bitwy. — Uśmiechnęła się z przymusem. — Tak czy inaczej, dość o mnie. Porozmawiajmy o czymś innym. Powiedz, czym się ostatnio zajmowałeś.

Gdy opuszczali po dwóch godzinach restaurację, wydawała się zdecydowanie szczęśliwsza. Nalegał, by pozwoliła mu odprowadzić się do mieszkania.

— Teraz, kiedy przeniosłaś się do Londynu, będziemy mogli spotykać się regularnie — zauważył, gdy się żegnali.

Przytaknęła, a on wrócił do samochodu, bardzo z siebie zadowolony. Spotkanie z Elizabeth przypomniało mu, jak ważny jest dla rodziny. Stanowił jej integralną część, spoiwo trzymające ich razem.

Zycie Piersa kręciło się wokół firmy. Zawsze tak było. Kiedy dorastał, matka i brat — zwłaszcza brat — byli dla niego wszystkim. Rodziną, z której mógł być dumny.

Rosalind była kobietą piękną i nieuchwytną, pojawiającą się w Al-dringham w obłoku drogich perfum i szybko znikającą, zawsze spieszącą się do Londynu, stale obecną na stronach gazet i czasopism. Gdy przebywała w Aldringham, wydawała przyjęcia, na których pojawiały się fascynujące osoby. Nic zatem dziwnego, że William, starszy o dziesięć lat, stał się dla młodszego chłopca obiektem głębokiego podziwu zmieszanego z odrobiną strachu. A także zważywszy, że Edward Melville zmarł, gdy Piers miał zaledwie pięć lat, kimś w rodzaju ojca. To on nauczył malca jeździć wpraw na rowerze, a potem konno, udzielał mu lekcji pływania i jazdy na nartach. Był wszystkim, kim chciałby zostać kiedyś Piers i kim — doskonale zdawał sobie z tego sprawę — nigdy nie będzie.

Jedno z pierwszych wspomnień Piersa dotyczyło wyprawy z matką na mecz krykieta w Greycourt. Mieli kibicować Williamowi, zawodnikowi drużyny uczniów grającej przeciwko oldboyom. Był cudowny letni dzień, lecz Piers zapamięta! głównie to, jak bardzo dumny się czuł, patrząc, jak William uderza w piłkę i zdobywa sześć punktów, doprowadzając swoją drużynę do zwycięstwa, pierwszego od dziesięciu lat.

— Jesteś dumny z brata? — spytała Rosalind, kiedy Williama ogłoszono najlepszym zawodnikiem meczu.

On zaś mógł odpowiedzieć, szczerze i z całego serca: — Tak.

To, że jest się Melville'cm, wydawało się młodemu chłopcu najważniejszą rzeczą na świecie. Przekonanie to wzmacniał dodatkowo fakt, że dorastał odizolowany od dzieci w swoim wieku. Gdy okazało się, że jest dyslektykiem, Rosalind uznała, że zamiast wysłać syna do miejscowej podstawówki, lepiej będzie zapewnić mu naukę w domu. Oznaczało to, że nim w wieku jedenastu lat trafił wreszcie do Greycourt, jedyną osobą spoza rodziny, z którą łączyła go bliższa więź, był starzejący się nauczyciel. Nic dziwnego, że szkoła z internatem oka-

zala sie dla chłopca szokiem. Choć nie brakowało mu inteligencji ani pracowitości, nie potrafił odnaleźć się w uczniowskiej społeczności. Inni chłopcy szybko to wyczuli i zaczęli wykorzystywać. Skradziono jmi kieszonkowe, do torby zawierającej strój gimnastyczny ktoś wepchnął cuchnący rybi łeb, a jego prace domowe tajemniczo znikaly. Ponieważ odznaczał się drobną budową, nie był w stanie się obronić. Wieczorami płakał w łóżku, póki nie usnął, a to pogarszało tylko sytuację.

Nauczyciele, świadomi problemu, pilnowali, by uczniowie dręczący chłopca nie posunęli się za daleko, lecz w głębi duszy pogardzali Piersem.

— Nie jest taki jak starszy brat — powiadali, wspominając osiągnięcia sportowe i naukowe Williama, a także zyskaną bez najmniejszego wysiłku popularność.

Przez cały czas nauki Pierś tęsknił za tym, by znaleźć się znów w domu, z rodziną. Przyglądał się, jak William wyrusza, aby pracować u boku matki i nie mógł się doczekać, aż będzie na tyle dorosły, żeby się do nich przyłączyć.

Po trzech latach spędzonych w samotności w Cambridge, gdzie studiował nauki przyrodnicze, jego marzenie wreszcie się spełniło

— wstąpił do rodzinnej firmy. Rosalind umieściła go na niskim stanowisku w dziale finansów, gdzie piął się powoli, ale systematycznie w górę, osiągając wreszcie status dyrektora. Smuciło go jedynie to, że nigdy się nie ożenił. Podczas gdy William chodził w młodości z wieloma pięknymi dziewczętami. Pierś zawsze był w obecności osób płci przeciwnej skrepowany. Dawała tu o sobie znać ta sama społeczna nieporadność, co w Greycourt. W końcu pogodził się jednak z tym, że pozostanie kawalerem i czerpał pociechę z faktu, że traktuje rodzinę Williama jak własną. Od początku serdecznie odnosił się do Isabelle i choć był trochę rozczarowany, że William nie wybrał go na drużbę

— ta rola przypadła Magnusowi Bernsteinowi — z ochotą rzucił się w wir ślubnych przygotowań. Nie był co prawda ojcem chrzestnym Elizabeth, lecz zawsze bardzo się o nią troszczył.

Z czasem polubił kawalerski styl życia. W końcu, po co mu żona? Praca i rodzina, tak nierozzerwalnie związane, wypełniały mu czas; w rzadkich przypadkach, kiedy zostawał jednak sam, spacerował lub

czytał. Gospodyni oraz sprzątaczką utrzymywały w należyтым stanie dom w dzielnicy Richmond Hill, gdzie mieszkał. A kiedy czuł się, jak dziś, odrobinę samotny, pozostawało zawsze NW8.

NWS było prywatnym, bardzo prywatnym męskim klubem. Lokal ulokowany dyskretnie po zadrzewionej stronie ulicy, w pobliżu pola krykietowego Lord, w eleganckiej willi z okresu regencji, odwiedzany był przez celebrytów, polityków i członków rodziny królewskiej. Naczelną zasadą była tu dyskrecja. Lista kandydatów była tak długa, że trzeba było czekać dwa lata, by móc wejść w poczet jego członków, zaś podania rozpatrywano niezwykle wręcz skrupulatnie. Wizyty uzgadniano z wyprzedzeniem, by członkowie nie wpadali na siebie nawzajem. Dokonywało się tego, dzwoniąc pod zastrzeżony numer. Słuchawkę podnosiła nieodmiennie osoba o beznamytnym głosie. Każdemu z członków przydzielano numer PIN, by nie musiał podawać przez telefon nazwiska.

Oferowane usługi były najwyższej jakości: w klubie pracowały wyłącznie dziewczęta eleganckie, wykształcone, inteligentne i znające się na etykiecie. Płatności dokonywano za pomocą przelewu: trzydzieści tysięcy za platynową kartę członkowską, plus od czterech tysięcy funtów za czterogodzinne spotkanie w porze lunchu.

Podczas dziesięciu lat członkostwa Pierś rzadko odwiedzał siedzibę NW8. Wolał korzystać z usług na telefon. Uważał to za bardziej właściwe, a także rozsądne. Ten raz nie stanowił wyjątku. Zadzwonił z samochodu i w dwadzieścia minut po tym jak wrócił do domu, zapukano do drzwi. Otworzył i zobaczył odjeżdżający samochód — smukłego czarnego mercedesa.

Kierowca podrzucił dziewczynę i miał pozostać w pobliżu, na wypadek kłopotów.

Na progu stała drobna blondyneczka o świeżej, niewinnej buzi.

Odsunął się, by zrobić jej przejście. — Wejdz.

Dziewczyna zrobiła, co jej polecono. Kiedy znalazła się w holu, spojrzała na niego pytająco.

— Na górze — powiedział. — Trzecie piętro, czwarte drzwi po lewej.

Była nowa w klubie i nowa dla niego. Zawsze tak bywało. Niektórzy lubili, by odwiedzały ich te same kobiety, ponieważ czuli się

przy kimś znajomym swobodniej. Z Piersem sprawa przedstawiała się inaczej. W NWH o tym wiedziano. I nie tylko o tym. Jego preferencje odnotowano i restrykcyjnie pilnowano, by były przestrzegane. Dziewczeta musiały być naturalnymi blondynkami drobnej budowy, i mieć nic więcej niż osiemnaście lat. Polecano im, by usuwały dokładnie makijaż oraz wkładały coś dziewczęcego i delikatnego, najlepiej z bawełny. Żadnych szpilek, skóry ani lateksu; kolory musiały być pastelowe — należało unikać czerni, czerwieni czy fioletu. Dziewczeta przestrzegały zaleceń co do joty — i choć żądania mogły wydawać się im dziwaczne, spotykały się już ze znacznie gorszymi.

Na górze Piers usiadł na łóżku i przyglądał się, jak dziewczyna rozpina płaszcz i zdejmuje szal zakrywający jej twarz.

— Czy wszystko jest tak, jak pan lubi? — spytała. Piers zwilżył wargi.
— Idealnie.

Co powiedziawszy poczuł, że uczucie samotności w magiczny sposób zniknęło.

Dwieście pięćdziesiąt mil na północ od Londynu Amber Melville także nie czuła się samotna. Miała przecież nową przyjaciółkę, Evę.

Po tygodniu stały się nierozłączne. Dzisiejszego wieczoru czekało je zaś nie lada wyzwanie: planowały wymknąć się ze szkoły i trochę zabawić. Amber podejrzewała, że nie będzie to łatwe. Kampus otaczał wysoki mur, a wejścia starannie zamykano. Zasięg kamer obejmował każdy skrawek terenu, oświetlanego pomiędzy zmierzchem a świtem trzema setkami lamp.

Lecz Eva nie traciła pewności siebie.

— Wygląda to gorzej, niż jest — powiedziała z charakterystycznym akcentem. Odrzuciła ze starannie umalowanej twarzy ciężkie czarne włosy. Jak wszystkie latynoamerykańskie *gatinhas* uwielbiała jaskrawy róż, lycrę i ciężką złotą biżuterię. Zakręciła przed lustrem biodrami w takt samby,

— Nie obejdzie ich to, że wyszłyśmy, jeśli nie będą o tym wiedzieli.

Światła gaszono o dziesiątej. Kwadrans potem dziewczeta były już za drzwiami. Trzymając w dłoniach szpilki, przemknęły korytarzem, a potem zbiegły schodami przeciwpożarowymi na parter. Łapówka

w postaci banknotu dwudziestofuntowego zapewniła im eskortę do bocznej bramy. Spostrzegłszy, jak Eva mruga poufale do strażnika, Amber pomyślała, że przyjaciółka musiała dać mu nic tylko banknot.

Kiedy brama zamknęła się za nimi, serce mocno biło Amber w piersi.

— Jak dostaniemy się z powrotem? — spytała szeptem. Eva odrzuciła w tył głowę.

— Nie martw się — powiedziała, owijając się ciaśniej płaszczem, by ukryć skąpy strój. — Wszystko załatwione. *Saca?*

Chwyliła dłoń Amber i pociągnęła przyjaciółkę w dół zbocza.

Ten pierwszy piątek okazał się jednym z najwspanialszych wieczorów w życiu Amber. Kiedy dotarły do Whitby, zapytały miejscowych, gdzie tu można się zabawić. Po dziesięciu minutach stały już w kolejce przed obskurnym przybytkiem zwanym Laughton's, jedynym klubem nocnym w mieście. Błysnęły bramkarzowi fałszywymi dowodami tożsamości, zostawiły płaszcze w szatni i potrucztały dumnie do baru.

Ładna buzia Amber i silikonowy biust Evy szybko przyciągnęły uwagę grupki uczniów z prywatnej szkoły, oddalonej o pół mili od Stirling Hall.

Dziewczęta przycupnęły na stołkach barowych, otoczone przez chłopców, którzy poili je wódką z sokiem pomarańczowym. Zważywszy, że były tylko dwie, a chłopców kilku, rozsiadły się wygodnie i pozwoliły im walczyć o swoje względy.

W miarę jak upływał wieczór, stało się jasne, że obu spodobał się najprzystojniejszy z grupki, Jed. Lecz kiedy Amber uświadomiła sobie, że chłopak z trudem odrywa wzrok od biustu Evy, przeniosła zainteresowanie na drugiego w kolejności przystojniaka — Lewisa. Gdy stało się oczywiste, że dziewczęta dokonały wyboru, pozostali chłopcy odeszli, uznając, że pora spróbować szczęścia z którąś z miejscowych dziewcząt, nieźle już wstawionych.

Kiedy minęła północ, Jed pochylił się ku Evie.

— Nie chciałybyście zajrzeć na chwilę do naszego pokoju? Mamy parę CD, mogłybyście ich posłuchać...

Eva zeskoczyła ze stołka. Jasne - powiedziała, nie zadając sobie trudu, aby zapytać o zdanie Amber. — Chodźmy.

Jed i Eva ruszyli w dół wzgórza, obejmując się ramionami, szepcząc i chichocząc. Dobrze wiedzieli, co się wkrótce stanie. Amber i Lewis, mniej doświadczeni, podążali za nimi w milczeniu, coraz bardziej świadomi, że się nie dotykają. Alkohol zaczął jednak w końcu działać, przynajmniej na Amber. Przez cały wieczór patrzyła, jak Eva zachowuje się wobec Jeda, muskając niby to przypadkiem jego ramię biustem i zrzucając pantofel, by musiał założyć go dziewczynie na gołą stopę. Przedtem wydawało jej się to nieco zbyt ostentacyjne. Teraz uważała takie zachowanie za szczyt wyrafinowania. Wzdrygnęła się przesadnie, by Lewis to zauważył.

— Zimno ci? — zapytał.

Przytaknęła, wydymając seksownie dolną wargę — tak, jak przećwiczyła to przed lustrem. Wyciągnął z wahaniem ramię i ją objął.

— Lepiej? — zapytał.

Uśmiechnęła się, spojrzała na niego spod opuszczonych rzęs i przytaknęła. W pół godziny później leżeli już razem w łóżku. Ponieważ musiały wrócić do szkoły przed drugą, nie traciły czasu. Amber usłyszała dobiegające od strony łóżka Jeda tłumione pojękiwania i przez chwilę zastanawiała się, czy tamci właśnie „to” robią. Nie sądziła, aby tak było. W tym, że znajdowali się we czwórkę w jednym pokoju, było coś z lekka pospolitego. Czuła to, mimo że alkohol osłabił znacznie jej hamulce.

Pozwoliła, by Lewis przejął inicjatywę. Z początku leżał tylko na niej, całując ją nieśpiesznie. Okazało się, że jest w tym całkiem dobry, nie wpycha przesadnie języka do ust. Kiedy rozpiął jej sukienkę, a potem biustonosz, nie zaprotestowała. Po wszystkim czego nasłuchiwała się od Ewy, była bardzo ciekawa tego, co miało nastąpić później. Jej małe piersi zajęły go na chwilę, a i Amber spodobało się, kiedy ssał je i pieścił palcami sutki.

Wsunął rękę pod gumkę jej majtek. Wiedziała, co powinno się wydarzyć, gdyż Eva zdążyła już zapoznać ją z przyjemnościami masturbacji. Ale choć wtedy bardzo się jej to spodobało, z Lewisem okazało się zdecydowanie mniej ekscytujące. Potarł kilka razy bez przekonania genitalia Amber i jakby stracił zainteresowanie. Odsunęła

więc jego dłonie i skłoniła go, aby przewrócił się na plecy. Lewisa nie trzeba było zachęcać. Zdjął spodnie, a po chwili wahania także bokserki. Uklękła nad nim, wzięła w dłoń twarde teraz członek i zaczęła pieścić go tak, jak nauczyła ją Eva. Widać nie robiła tego jak należy, po chwili nakrył bowiem jej dłoń swoją i jął poruszać obiema w górę i w dół, szybciej i szybciej.

Zaczął jęczeć, a po chwili zeszywniał, wzdrygnął się mocno i jakaś gorąca, lepka substancja trysnęła Amber prosto w twarz. Siedziała przez chwilę nieruchomo, nie wiedząc, co zrobić. Poczowała, że nasienie spływa jej na piersi i zmarszczyła nos. Lewis sięgnął do stolika, znalazł pudełko chusteczek i podał jej kilka. Wytarli się w pełnej zażenowania ciszy. Na szczęście musiały zaraz wyjść.

— To był niezły strzał — powiedziała Eva, kiedy leżały już bezpieczne w łóżkach.

Amber zmarszczyła nos. Nie była pewna, czy chce powtórzyć doświadczenie. Trochę spermy utknęło jej we włosach, gdzie zaschła, usztywniając pasma.

— A co z tobą? — spytała Eva.

— Ze mną?

— Miałaś orgazm?

Amber potrząsnęła głową. Zdecydowanie nic takiego się nie wydarzyło.

— Następnym razem postaraj się, by chłopak zadbał najpierw o twoją przyjemność — oznajmiła Eva stanowczo. — Bo kiedy skończy, straci zainteresowanie. Zawsze tak jest.

Rozdział dwudziesty

To Alain pierwszy powiedział Caitlin, że jej fotografia będzie częścią nowej wystawy Luciena Dubois.

— Myślę, że to kolejna próba, by skłonić cię do zmiany zdania — stwierdził chłodno.

Caitlin skupiła się na wycieraniu ludy, udając, że nie słyszy komentarza. Lecz prawdę mówiąc, aż nadto dobrze zdawała sobie sprawę, że Lucien się za nią ugania. Nie robił z tego tajemnicy. Od tamtego wieczoru we *Fleche d'Or* próbował umówić się z nią na randkę — raz, dwa, trzy razy. Jak dotąd odmawiała, tłumacząc się nawałem zajęć. To go jednak nie zniechęcało.

Randka z nim to byłby zły pomysł. Nikt nie musiał jej o tym przekonywać, mimo to próbowano to robić.

— Trzymaj się od niego z dala, Caitlin — ostrzegła ją Veronique. Po tym jak związała się przed dwoma miesiącami z Jules'em, była jak odmieniona. — Są inni. Tacy, którzy nie złamią ci serca.

Alain też nie krył troski o nią. Przez cały ostatni rok zachęcał Caitlin, aby znalazła sobie chłopaka — ale nie widział w tej roli wyrafinowanego artysty, Luciena Dubois.

— Nie zrozum mnie źle, Caitlin. Lubię Luciena. Ale to facet nie dla ciebie.

Caitlin ani w głowie było się kłócić. Lucien był typem mężczyzny, od jakiego przysięgła sobie trzymać się z daleka: posepny, niebezpiecznie przystojny, z opinią kobieciarza. Niestety, coraz bardziej ją pociągał. Myślała o nim przez cały czas. I choć rozsądek

skłaniał ją, by nadał mu odmawiała, serce miało w tej kwestii własne zdanie.

Ale tym razem spudłował. Jeśli sądził, że umieszczenie zdjęcia na wystawie pomoże mu ją zdobyć, to znaczy, że nie znał jej dobrze. Na samą myśl o wszystkich tych ludziach, którzy będą się na nią gapić, sądząc, że zgodziła się wystawić na widok publiczny, robiło się jej niedobrze.

— Nie przychodzi mi na myśl nic gorszego — powiedziała mu kilka dni później.

Lucien przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. Z ochotą postawiłby roczny dochód na to, iż każda z obecnych w kawiarni dziewczyn zabiłaby, byle znaleźć się na jego fotografii. Każda, ale nie Caitlin. Ona była inna. Weźmy na przykład to, że tak uparcie mu odmawiała. Nie chciałby wydać się zarozumiały, lecz nigdy przedtem mu się to nie zdarzyło. Nigdy. Opór tylko zwiększył jego determinację. Utalentowana, powściągliwa dziewczyna wielce go intrygowała. A niełatwo było wzbudzić w nim zainteresowanie.

— Nie odmawiaj z góry, *cherie* — powiedział. — Przyjdź na wystawę. Obejrzyj fotografię. A jeśli nie będzie ci się podobała, to ją zdejmę.

Caitlin potrząsnęła głową. — Daj spokój, mówisz tak, bo chcesz mnie skłonić, bym wyraziła zgodę.

Przycisnął dłoń do serca, udając, że zabołało go to oskarżenie.

— Czuję się urażony, że możesz tak źle o mnie myśleć. Roześmiała się lekko. — Nie chciałam, aby tak to zabrzmiało.

— Westchnęła. — Chodzi o to... Nie jestem po prostu pewna, czy coś takiego jest w moim stylu. Veronique z pewnością lepiej by się nadała. Robi takie rzeczy przez cały czas.

— Ale ja nie chcę pozowanej fotografii. Chcę zdjęcie, które zrobiłem tobie. — Zamilkł na chwilę. — Dlaczego miałbym zadowalać się jutą, gdy mogę mieć kaszmir?

Caitlin zarumieniła się delikatnie.

— Lucien — ostrzegła go. Taka gadka zawsze do niej trafiała. Wyrafinowane komplementy. Reagowała na nie, chociaż przekonywała samą siebie, że to nic nie znaczy, a flirtowanie w ten sposób stanowi część Luciena w takim samym stopniu, jak ciało i krew.

Lucien wyczuł, że opór Caitlin słabnie, i zadał ostateczny cios: — Proszę, Caitlin. Daję słowo: jeśli zdjęcie ci się nie spodoba, zostanie natychmiast usunięte.

Westchnęła znowu, tym razem z rezygnacją.

— Dobrze. W porządku. Możesz wykorzystać fotografię pod warunkiem, że zgodzisz się ją zdjąć, jeśli o to poproszę.

Nakrył jej dłoń swoją. — Oczywiście. Za nic nie złamałbym obietnicy danej tobie. — Jego długie chłodne palce ścisnęły lekko jej palce, a intensywnie niebieskie oczy zatoneły spojrzeniem w jej oczach.

Cofnęła dłoń i odrzuciła włosy z twarzy, robiła tak, gdy była zdemnerwowana lub czuła się niepewnie.

— Dobrze. Zatem ustalone. — Wstała szybko. — Muszę iść. Z powrotem do pracy.

Pośpieszyła do kuchni.

Alain przysłuchiwał się w milczeniu ich rozmowie. Zaczekał, aż Caitlin wyjdzie, a potem pochylił się nad barem. — Ostrzegam cię, Lucien, uważaj. Caitlin nie jest taka jak dziewczęta, z którymi zazwyczaj się prowadzasz.

Lucien uśmiechnął się, rozbawiony troską przyjaciela. — Wiem o tym, Alainie.

— To dobrze. — Alain nie odwzajemnił uśmiechu. — Bo nie zniósłbym, gdybyś ją zranił.

W następny piątek Caitlin wybrała się po zajęciach do Le Nabi, nielegalnie zajmowanego lokalu, gdzie Lucien wystawiał swoje fotografie. W okolicy znajdowało się kilka podobnych galerii, stanowiących wytwór obecnego życia artystycznego Paryża. Wysokie czynsze, brak dostatecznie przestronnych lokali na pracownie oraz trudności z włączeniem się w główny nurt wystawienniczy skłoniły wielu młodych, niekonwencjonalnych artystów, by zaczęli działać razem, zajmując porzucone budynki w okolicy Belleville i kanału St, Martin.

Le Nabi była wśród nich najślynniejsza. Kiedyś była tu szkoła, zamknięto ją jednak w latach siedemdziesiątych i budynek stał opuszczony przez piętnaście lat, póki grupa artystów, muzyków i fotografów nie włamała się po to, aby urządzić w nim nielegalną galerię i sale prób.

Jak pół tuzina podobnych przybytków, galeria zaczęła zyskiwać sobie szybko opinię miejsca, gdzie ludzie znający się na rzeczy mogą kupić dzieło młodego artysty, zanim stanie się znany.

Gdy weszła, wewnątrz zrobiło na niej wrażenie. Nie wyglądało bowiem ani trochę jak typowy, nielegalnie zajmowany lokal. Nic widać było brudnych materacy — artyści bowiem tu nie mieszkali. Prawdę mówiąc, Le Nabi była większa i lepiej urządzona, niż się spodziewała: około siedemdziesięciu artystów wystawiało tu swoje prace na pięciu piętrach. Były bardzo różnorodne: sztuka uliczna i instalacje, rzeźby w stylu Marcela Duchampa i ozdobne malowidła, sprawiające wrażenie trójwymiarowych. Lecz Caitlin zignorowała wszystko i skierowała się wprost ku wystawie fotografii.

Poprzedniego wieczoru poprosiła Alaina, aby powiedział jej coś o pracach Luciena. Wyjaśnił, że Lucien posługuje się sztuką, aby naświetlić społeczne problemy współczesności, ukazać bardziej mroczną stronę Paryża. — Jego matka była Algierką, a ojciec Francuzem — mówił dalej Alain. — Dorastając, Lucien czuł, że nie przynależy w pełni do żadnej z tych kultur.

Teraz, spoglądając na fotografie, widziała, że wykorzystał to uczucie wyobcowania, aby ukazać tło społecznych niepokojów we Francji. Zabrał aparat na zapuszczone przedmieścia i oto miała przed sobą plon tej wyprawy: ziarniste czarno-białe fotografie ponurych domów czynszowych i pustych autostrad; nędznych lokali z fast foodami oraz sklepików, bezdomności i wojen gangów. Jednym słowem było to okno ukazujące świat codziennej przemocy, biedy i rozpaczki tysięcy zwykłych ludzi. A także najbardziej poruszające prace, jakie Caitlin widziała od dłuższego czasu. Głębia tej sztuki oraz współczucia, jakie się za nią kryło, zrobiły na niej wrażenie.

Długo przyglądała się zdjęciom w głównej sali. W końcu uświadomiwszy sobie, że galeria zostanie wkrótce zamknięta, przeszła do mniejszej salki, gdzie wystawiono prace o trochę lżejszej tematyce — zbiór przypadkowych zdjęć ukazujących to, co Lucien uznał za godne upamiętnienia.

I właśnie tutaj znalazła swoje zdjęcie. Trudno byłoby je przeoczyć, zważywszy, iż zajmowało większą część tylnej ściany. Przez chwilę

czuła się okropnie zażenowana, widząc siebie tak powiększoną, lecz potem uświadomiła sobie, że w sali poza nią nie ma nikogo. Odprężyła się więc trochę i jęła studiować fotografię. W końcu głównie po to tu przyszła.

Lucien uchwycił ją w chwili największego skupienia, wpatrującą się ze zmarszczonymi brwiami w szkicownik, z końcem ołówka pomiędzy zębami i założonymi za uszy krótkimi ciemnymi włosami. Miał rację, przyznała niechętnie. Zdjęcie nie było wcale złe. Chyba zgodzi się, by dalej je wystawiał, jeśli naprawdę tego chce.

Podjąwszy decyzję, odwróciła się i już miała wyjść, gdy coś ją powstrzymało. Spojrzała znowu na zdjęcie i ogarnęło ją uczucie silnego *deja vu*. W fotografii było bowiem coś dziwnie znajomego.

Poczuła się tak, jakby cofnięto ją w czasie o sześć lat, do niedzielnego wieczoru w domku w Vallemount. Kończyła odrabiać lekcje, a mama pochylała się nad wykazem hotelowych dyżurów... Siedziała, wpatrując się ze zmarszczonymi brwiami w kartkę papieru, całkowicie zaabsorbowana tym, co robi. I nagle Caitlin olśniło — na zdjęciu wyglądała zupełnie jak matka.

Trwała tak przez dłuższą chwilę, niezdolna oderwać wzrok od fotografii i do tego stopnia zamyślona, iż nie zauważyła, że Lucien wszedł do sali i stanął obok niej. Uświadomiła sobie, że tam jest, dopiero kiedy przemówił. — Wszystko w porządku?

Podskoczyła na dźwięk jego głosu, odwróciła się i zobaczyła, że wpatruje się w nią z wyrazem troski na twarzy. Otarła szybko łzy.

Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. — Wszystko w porządku, Caitlin? — zapytał ponownie.

Szczere zatroskanie w jego głosie sprawiło, że łzy znów napłynęły jej do oczu. Zakaszłała, by pozbyć się guli w gardle.

— Nic mi nie jest — odparła, a potem uznawszy, że należy mu się jakieś wyjaśnienie, dodała: — Chodzi o to... cóż, zdjęcie kogoś mi przypomniało. Moją matkę.

— I to cię tak zasmuciło? — spytał zaintrygowany.

— No... tak. — Zawahała się, a potem dodała: — Ona nie żyje, wiesz. Od pięciu lat.

Wyciągnął rękę i ścisnął pocieszającym gestem jej ramię.

— Przykro mi to słyszeć — powiedział cicho, a potem zapadła cisza. Ktoś inny mógłby wypytywać Caitlin o szczegóły, lecz Lucien zdawał się szanować jej prawo do prywatności.

— A co sądzisz o reszcie wystawy? — zapytał więc tylko. Caitlin z ulgą powitała zmianę tematu.

— Jest cudowna — odparła szczerze. Wróciła do większej sali, gdyż nagle nie mogła już znieść tego, że jest tak blisko zdjęcia. Lucien poszedł za nią. — Ten najbardziej mi się podoba — wskazała jeden z pejzaży. — Uwielbiam sposób, w jaki posłużyłeś się światłocieniem. Jest... super.

Lucien wydawał się rozbawiony. — Super? — przez chwilę udawał, że zastanawia się nad jej komentarzem. — Co za niezwykle określenie. Lecz skąd mam wiedzieć, że naprawdę tak sądzisz? Może chcesz być po prostu uprzejma.

Uniosła brwi. — A może ty dopraszasz się o komplementy.

Roześmiał się cicho. — Przekonałem się, że człowiek nigdy nie ma dość słuchania, gdy mówią o nim dobre rzeczy.

Nim zdążyła zapytać go o coś jeszcze, do sali zajrzał inny mężczyzna. Był starszy niż Lucien, może pod czterdziestkę. W czarnym garniturze i rozpiętej pod szyją czarnej koszuli wydawał się bardziej niż Lucien konserwatywny, choć nadal szykowny.

— Lucien? — w jego głosie dało się wyczuć zniecierpliwienie. — Wszyscy na ciebie czekają. Jak zwykle. Zamierzasz wreszcie przyjść?

— Za chwilę, Philippe — odparł dobrodusznie Lucien. — Może wyruszyście beze mnie?

Starszy mężczyzna wyglądał, jakby miał chęć zaprotestować. Lecz potem zerknął na Caitlin i wyraz irytacji zastąpiło rozbawienie. Powiedział coś do Luciena. Choć francuszczyzna Caitlin zdecydowanie się w ciągu spędzonego w Paryżu roku poprawiła, kolokwializmy, zwłaszcza kiedy ktoś mówił szybko, nadal sprawiały jej kłopoty. Z tego co zdołała zrozumieć, mężczyzna powiedział coś w rodzaju: *Zamiast stać tu i flirtować przez cały wieczór, może zabrałbyś ją ze sobą?*

Poczuła, że się rumieni. Lucien przewrócił oczami, a mężczyzna roześmiał się i odszedł.

— To jak? — zapytał Lucien, gdy Philippe znikł im z oczu. — Chciałabyś przyłączyć się do nas?

Instynkt podpowiadał jej, że powinna odmówić. Nie przepadała za przesiadywaniem z nieznanymi. Lecz dziś nic chciała być sama. Widok zdjęcia, na którym tak bardzo przypominała matkę, wytrącił ją z równowagi.

Uśmiechnęła się do Luciena. — Bardzo chętnie.

Wydawał się zadowolony. — Doskonale. Chodźmy więc, nim wpakuję się w gorsze tarapaty.

Po półgodzinie dołączyli do grupy przyjaciół Luciena w Point Sphemere, modnej restauracji-barze przy kanale Saint-Martin. Było ich tam około dwadzieścioro. Siedzieli na plastikowych krzesłach, ustawionych na brzegu kanału Saint-Martin. Powitali Luciena entuzjastycznie, przekomarzając się z nim na temat tego, że zjawia się tak późno, co jak się domyśliła, stanowiło jego obyczaj.

Lucien pozostał przy Caitlin przez cały wieczór, nalewając jej wino, pochylając się, aby wyjaśnić żarty, gdy wydawała się cokolwiek zagubiona, przedstawiając ją projektantom, którzy pracowali przy odnawianiu Le Nabi. Wieczór zrobił się chłodny i w pewnej chwili Lucien zauważył, że Caitlin drży.

— Proszę — powiedział, zdejmując marynarkę i zarzucając ją dziewczynie na ramiona.

Schlebiało jej to, że poświęcał jej tyle uwagi. Lucien był w kręgu ich znajomych swego rodzaju znakomitością, wyglądało na to, że i tu jest podobnie. Nie starał się zwracać na siebie uwagi, lecz to się działo samo. Choć siedział z boku, sącząc spokojnie wino i rzucając od czasu do czasu jakiś komentarz, każda opowieść i każdy żart zdawały się być adresowane do niego.

A on poświęcał całą uwagę Caitlin.

Okolo północy zaczęto przebąkiwać, że pora przenieść się gdzie indziej.

— Ruszamy do la Fleche d'Or, Lucien — zawołał Philippe. — Idziesz z nami?

Lucien spojrzał pytająco na Caitlin. Pokręciła głową.

— Nie mogę. Jutro pracuję.

— Odprowadzę cię do domu.

Boże, tylko nie to, pomyślała. Znalezienie się z nim sam na sam było ostatnim, czego by sobie życzyła. Romantyczny spacer we dwoje, pożegnanie pod drzwiami... — Nie ma potrzeby — zapewniła szybko. — To niedaleko. Naprawdę, nic mi nie będzie.

— Nalegam — powiedział stanowczo. — Już choćby dlatego, że gdyby coś ci się stało, Alain chybaby mnie zabił.

Caitlin poddała się, niezdolna znaleźć logiczny powód, by nadal protestować.

Odbyli dwudziestominutowy spacer do mieszkania Caitlin w ciszy. Lucien milczał, ponieważ nie przepadał za rozmową o niczym, a Caitlin, gdyż była zbyt zajęta wspomnianiem tego, jak dotykał przez ostatni tydzień jej dłoni, jak Philippe obrzucił ich wcześniej domyślnym spojrzeniem i tego, jak Lucien troszczył się o nią przez cały wieczór... Zastanawiała się także, czego będzie oczekiwał, gdy staną pod drzwiami jej mieszkania. Nie chciała go zapraszać. Było jeszcze za wcześnie po tym, co... cóż, co zdarzyło się w Greycourt.

W końcu znaleźli się przed jej domem. Caitlin obracała w dłoniach klucze. Postanowiła już, że go nie zaprosi. Mógłby odnieść niewłaściwe wrażenie, a miała okropne przeczucie, że tego wieczoru zrobiła już w tym kierunku wystarczająco dużo.

— Dzięki za odprowadzenie — powiedziała.

— Nie ma sprawy. Będę spał spokojniej, wiedząc, że jesteś bezpieczna.

Czuła, że musi coś powiedzieć, nie dopuścić, by sprawy zaszły za daleko...

— Lucien, proszę...

Uniósł pytająco brwi. — Prosisz... o co?

— Przestań mówić takie rzeczy.

— Dlaczego?

— Wyjaśniłam ci to już wcześniej... Nie zamierzam z tobą chodzić.

— A to dlaczego? — zapytał z nutką rozbawienia w głosie.

— Ponieważ... ponieważ jestem zbyt zajęta. Mam mnóstwo roboty w college'u, no i pracuję jeszcze w kawiarni. Brakuje mi czasu na cokolwiek innego... — zamilkła. Spodziewała się, że Lucien będzie z nią dyskutował. Lecz on wyciągnął tylko dłoń i dotknął długimi

chłodnymi palcami jej policzka. - Cóż, będę musiał się postarać i wymyślić coś, żebyś zmieniła zdanie, chérie.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Lecz on nie czekał na odpowiedź. Nagle uświadomiła sobie, że stoi tuż przy niej. Jak zdołał zbliżyć się tak, by tego nie zauważyła? Był teraz tak blisko, że czuła na policzku jego oddech. Białe światło księżyca posrebrzało zarys jego szczęki, a kiedy pochylił głowę, w jego oczach zabłysło coś, czego nie była w stanie rozszyfrować. Zbyt późno zorientowała się, co zamierza. Nadal zastanawiała się, jak mu to uniemożliwić, kiedy ją pocałował.

Jego wargi musnęły wpierw delikatnie jej usta, a nie napotkawszy oporu, przywarły do nich w zdecydowanym, głębokim pocałunku. Wsunął dłonie we włosy Caitlin i odchylił jej głowę; jego język wdarł się w jej usta, prześliznął po jej języku.

Powieki Caitlin zatrzepotały, a potem bezwiednie opadły, zaś ciało przeszył dreszcz niechcianego pożądania. Tyle czasu minęło, odkąd...

Lecz kiedy przyciągnął ją bliżej, w umyśle Caitlin rozbłysło wspomnienie. Mgliste wspomnienie mrocznego pokoju i łóżka, incydentu zapoczątkowanego pocałunkiem takim jak ten; pocałunkiem, który kosztował ją więcej, niż była w stanie sobie wyobrazić.

Popelniasz błąd.

Przerwała pocałunek i odsunęła się gwałtownie, odpychając go.

— Powiedziałam: nie! — I nim zdążył zareagować, uciekła.

Pobiegła schronić się w bezpiecznej przystani swego pokoju, zatrzasnęła za sobą drzwi i opadła na podłogę. Kiedy sięgnęła do warg, nadal ciepłych od dotyku jego ust, zobaczyła, że dłoń jej drży. Minęło sporo czasu, nim była w stanie się podnieść...

W następny poniedziałek wracając z college'u, znalazła pod drzwiami paczkę. Sądząc z kształtu i rozmiaru, nie trzeba było geniusza, aby domyślić się, co zawiera. Mimo to, gdy ją rozpakowała i przekonała się, że jest to rzeczywiście jej portret z galerii, poczuła się wzruszona tym, że Lucien wyczuł, ile to zdjęcie dla niej znaczy. Przez cały weekend miała do siebie żal o to, jak zareagowała na jego pocałunek. Teraz czuła się jeszcze gorzej. Gdy Lucien przyszedł tego wieczoru do kawiarni, nie omieszkała mu podziękować.

— Chciałem cię w ten sposób przeprosić za... - zawahał się. — Za to, co zrobiłem źle tamtego wieczoru.

Zostało to powiedziane z lekką pytającym tonem, spuściła więc wzrok i powtórzyła cokolwiek zakłopotana: — Dziękuję.

Począł, aż spojrzy znowu na niego, a potem skinął głową, wskazując krzesło naprzeciw siebie.

— Masz czas, by wypić ze mną drinka?

Teraz to ona się zawahała. Po części bała się uczynić następny krok, dopuścić kogoś bliżej. Z drugiej strony pragnęła być z Lucie-nem, a instynkt podpowiadał jej, że powinna chwycić okazję, jeśli chce posunąć się dalej.

W końcu odsunęła krzesło. — Wiesz — powiedziała, siadając — chyba zrobię sobie przerwę.

Obdarzył ją leniwym uśmiechem. — Miło mi to słyszeć.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Elizabeth wymierzyła faksowi precyzyjny cios. W ciągu kilku ostatnich miesięcy przekonała się, jak humorzasta jest to maszyna. Z początku zaglądała cierpliwie do instrukcji, próbując dowiedzieć się, co jest nie tak. Teraz, ilekroć urządzenie nie chciało wybierać numeru, uciekała się do przemocy. Już miała uderzyć ponownie, gdy usłyszała, że ktoś wymawia głośno jej imię. Podniosła wzrok i zobaczyła wpatrującą się w nią Kathleen.

Minęły miesiące, a sztywna Szkotka nie odnosiła się do niej ani trochę przyjaźniej. Elizabeth podejrzewała, że fakt, iż miała władzę nad córką szefa, sprawia jej skrywaną przyjemność. Nauczyła się nie zwracać na to uwagi. Łatwiej było zachowywać się potulnie i czekać na dogodny moment.

— Co mogę dla ciebie zrobić, Kathleen? — spytała, uśmiechając się sztucznie.

— Zostawiłam na twoim biurku stos rzeczy do skserowania. Wychodzę teraz na lunch. Możesz dopilnować, aby zostały skserowane, nim wrócę?

— Oczywiście.

Gdy Kathleen się oddaliła, uśmiech znikł z twarzy Elizabeth. Wymuszona uprzejmość ją zabijała. Za każdym razem. Przekonała się jednak, że to najlepszy sposób, by ukryć fakt, jak okropnie się czuła, pracując w dziale strategii.

Choć wydawało się to niewiarygodne, sytuacja pogarszała się z każdym kolejnym dniem. Przydzielano jej najgorsze, najbardziej nu-

zące zadania. Biegała co dzień po kawę. Odbierała telefony podczas lunchu, wpisywała i archiwizowała dane. Sterczała godzinami przy kserokopiarce, aż pękały jej plecy i wzrok zachodził mgłą.

Próbowała zaprzyjaźnić się z innymi członkami personelu. W pierwszym tygodniu pracy podeszła do Sarah, jednej z młodszych i bardziej sympatycznych dziewcząt, i zapytała, czy nie zechciałaby zjeść z nią lunchu w nowej włoskiej restauracji, którą otwarto właśnie za rogiem.

Sarah nie pofatygowała się nawet, by podnieść wzrok znad klawiatury.

— Nie lubię włoskiego jedzenia.

— Możemy pójść gdzie indziej — spróbowała Elizabeth.

— Nie jadam lunchów.

Kilka siedzących w pobliżu osób zachichotało. Elizabeth przełknęła mocno, zdecydowana nie dać po sobie poznać, co czuje.

— Rozumiem — powiedziała spokojnie.

W końcu wyszła na lunch sama, zaczerpnąć nieco świeżego powietrza i kupić kanapkę. Kiedy szła chodnikiem, mijając Bertollego, nową włoską knajpkę, zerknęła do środka przez szybę i zobaczyła, że siedzi tam, racząc się przekąskami, cały zespół, w tym Sarah. Pochyliła głowę i czym prędzej odeszła.

Od tego wydarzenia minęły trzy miesiące. Trzy miesiące obsługiwania kserokopiarki, wpisywania danych i bycia lekceważoną przez współpracowników. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zrezygnować. Mogłaby powiedzieć ojcu, że potrzebuje trochę czasu, na przykład po to, by uzyskać kolejny tytuł w zakresie biznesu. I pewnie by tak zrobiła, gdyby nie Cole Greenwood. Nie chciała dopuścić, by wygrał. Nie da mu tej satysfakcji...

Sytuację pogarszał jeszcze fakt, że wszystkie kobiety w dziale zdały się być w nim zadurzone. Pewnego dnia gdy poprawiała w toalecie makijaż, podслуchała, jak Kathleen i Sarah rozmawiają o szefie.

— W ostatni piątek upiłam się tak, że niemal poprosiłam go, by zabrał mnie do siebie — mówiła Kathleen.

Sarah zachichotała. — Trudno cię winić. Nie wiesz, czy on kogoś ma?

— Prawdę mówiąc, w ogóle mnie to nie obchodzi.

— Kathy! Sarah zachichotała znowu. Choć z drugiej strony, chyba cię rozumiem. On jest naprawdę super.

Elizabeth prychnęła głośno, zanim zdążyła się zastanowić. Kobiety usłyszały ją i się odwróciły.

— Co jest z tobą nie tak? — spytała Kathleen.

Elizabeth wzruszyła ramionami. — Po prostu nie uważam, że Cole jest aż tak wspaniały.

Kathleen uniosła brwi. — Cóż, skarbie, jesteś w tym odosobniona.

Elizabeth wróciła do biurka i jęła zastanawiać się nad tym, co właśnie usłyszała. W porządku — może Cole i jest przystojny, przyznała niechętnie. Ale niestety zbyt pewny siebie. Za każdym razem gdy mijał ją w korytarzu, uśmiechał się protekcyjnie, jakby chciał powiedzieć: widzisz, dałem ci nauczkę. I za każdym razem kiedy to robił, przysięgała sobie w duchu, że pewnego dnia, już wkrótce, mu pokaże.

Musi tylko wymyślić, jak tego dokona.

Przez kilka następnych miesięcy siedziała cicho i starała się przyswoić każdy strzęp informacji, jaki do niej docierał. Kiedy nie przesiadywała w biurze, spędzała czas, czytając czasopisma poświęcone zarządzaniu. I właśnie po lekturze jednego z artykułów zdecydowała, iż dobrze byłoby spędzać jedną sobotę w miesiącu, pracując w sklepie. „Praca za ladą to najlepszy sposób, aby dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja w twojej firmie”, przekonywał jeden z dyrektorów naczelnych spółki zajmującej się handlem detalicznym o światowym zasięgu. To dlatego każdy nowy pracownik McDonalda musi spędzić przynajmniej jeden dzień, przyrządzając hamburgery, choćby był księgowym czy prawnikiem. Zachowała dla siebie to, czego się dowiedziała, i czekała na okazję, by wreszcie się wykazać.

Ta zaś nadarzyła się wcześniej, niż się spodziewała.

W następnym tygodniu Cole zajrzał do jej pokoiku i powiedział, iż życzy sobie, by sporządzała notatki podczas comiesięcznego spotkania zarządu.

— Mam kupę roboty... — zaczęła.

— Przykro mi — powiedział krótko. — Inni są zbyt zajęci. Westchnęła ciężko. — Dobrze.

— Nie rozumiem, czemu jesteś niezadowolona powiedział, kiedy szli korytarzem. — To chyba ciekawsze niż kserowanie...

— Nawet depilowanie brwi jest od tego ciekawsze — odpaliła. Wydawała się tak rozeźlona, że aż się roześmiał. Spojrzała na niego z gniewem, a potem poddała się i mu zawtórowała.

Rzeczywiście zebranie okazało się bardziej interesujące, niż oczekiwała. Większa część przebiegła rutynowo — oceniano miesięczne wyniki sprzedaży. Lecz potem Cole powiedział coś, co wzbudziło zainteresowanie Elizabeth. Do Londynu przyleciał na kilka tygodni japoński magnat stalowy. Zebrawszy majątek wart dwa i pół miliarda dolarów, wybierał się na emeryturę i rozglądał za przedsięwzięciem, które pozwoliłoby mu zappełnić czas. Odbywał podróż po Europie, szukając, w co by tu zainwestować. Pomimo iż Melville było spółką o zasięgu światowym, firma nie weszła dotąd na rynek azjatycki. Cole sądził, że oto nadarza się po temu okazja i chciał spotkać się z Japończykiem. William nie był zachwycony pomysłem.

— Gospodarka jest tam w zapaści — zauważył. — Wszyscy mówią o „kryzysie azjatyckim”. Gucci wystosował nawet związane z tym ostrzeżenie, gdyż cena jego akcji spadła o trzydzieści procent. Dlaczego mielibyśmy inwestować akurat teraz?

— Ponieważ kryzys osiągnął tam dno i teraz sytuacja może już tylko się poprawiać — stwierdził Cole spokojnie. — Kluczowy czynnik to demografia. Krajobraz społeczny się zmienia. Pewnie — kraj znajduje się w recesji i tradycyjny żywiciel rodziny, żyjący z pensji, na tym cierpi. Z drugiej strony, kobiety mają do wydania coraz więcej pieniędzy. A japońskie kobiety uwielbiają markowe rzeczy. Gucci, Louis Vuitton... biorą, co się da. Zlekceważyliśmy wielki rynek — skorzystajmy z okazji, by na niego wejść.

— Zgadzam się z Cole'em — wtrąciła bez namysłu Elizabeth.

Członkowie zarządu odwrócili się, by na nią spojrzeć. Cole zmarszczył brwi, jakby chciał ją powstrzymać. Lecz ona miała w końcu coś do powiedzenia i wiedziała, że jej opinia jest wiele warta.

— Mamy wielu klientów z Tokio — powiedziała. — Kupują po pięćdziesiąt torebek naraz. Założę się, że sprzedają je potem w Japonii po dużo wyższej cenie.

W sali zapadła cisza. Zebrani przetrawiali to, czego się właśnie dowiedzieli.

- Skąd o tym wiesz? — zapytał William.

Elizabeth wzruszyła ramionami. — Spędziłam trochę czasu za ladą.

Zebranie potoczyło się dalej. Lecz słowa Elizabeth nie pozostały widać bez echa, gdyż następnego dnia Cole zaczął badać możliwości otwarcia filii Melville'a w Japonii.

Po kilku tygodniach zdecydowano, że najlepiej będzie postąpić tak, jak radził — to znaczy powołać joint venture. Japoński magnat, pan Motoyama, miał przylecieć w następnym miesiącu do Londynu, by spotkać się z ewentualnymi partnerami. Cole poinformował o tym Elizabeth osobiście. Lecz jeśli miała nadzieję, że to, iż go poparła, sprawi, że Cole pozwoli jej odegrać w zespole prezentującym większą rolę, to się zawiodła. Cole wyraził się jasno: to Kathleen będzie mu szefować. Elizabeth pomoże jej tylko zebrać dane.

— Wiem, że miałaś nadzieję na coś więcej, Elizabeth — powiedział.

— Lecz jeśli teraz się wykażesz, znajdę ci coś innego. W porządku?

Elizabeth skryła rozczarowanie i przytaknęła. — W porządku.

Ze wszystkich pracowników działu strategii to Kathleen najmniej przypadła jej do gustu. Zuchwała Szkotka o rzeczowym nastawieniu i z ciągłym marsem na czole może i była błyskotliwą, sprytną byłą konsultantką u Mckinseya. Lecz Elizabeth doskonale wiedziała, że to nieodpowiednia osoba, aby prowadzić negocjacje z kimś takim jak pan Motoyama.

Gdyby zadanie to powierzono Elizabeth, usiadłaby i poświęciła trochę czasu, by zastanowić się, czego szuka pan Motoyama i jak Melville może wyjść tym oczekiwaniom naprzeciw. Tymczasem Kathleen wybrała bardziej aroganckie podejście, kierując prezentacją w ten sposób, aby wykazać, jak wspaniałe w porównaniu z konkurentami jest imperium Melville'a. Wszystko to wydawało się jednak wymuszone, pozbawione subtelności.

Z początku Elizabeth próbowała przedstawić swoje zastrzeżenia. Lecz Kathleen dała podwładnej jasno do zrozumienia, że jej sugestie nie są mile widziane.

— Jesteś tu po to, żeby sporządzić wykresy i zdobyć potrzebne mi informacje. Jeśli to dla ciebie problem, idź do Cole'a i powiedz, że nie chcesz uczestniczyć w projekcie.

Elizabeth zamilkła więc, robiła, co jej kazano i przyglądała się, jak zespół popełnia kolejne błędy. Gdy zobaczyła, jaki wystrój zaproponowała Kathleen, wiedziała już, że sprawa jest przegrana. Wszystko było nie tak. Motoyama chciał zainwestować w firmę będącą skrawkiem Anglii. Tymczasem zdecydowanie nowoczesny wystrój sklepów zupełnie do tego nie pasował. Białe ściany, przeszklone przejścia, chromowane wykończenia, mnóstwo światła i luster. Był to ten rodzaj wystroju, który nie mówi nic o marce.

Nastał dzień prezentacji. Wszelka nadzieja na to, że Kathleen jakimś cudem sobie poradzi, rozviała się, gdy Elizabeth zobaczyła, w czym szefowa zamierza wystąpić. Kathleen wybrała na tę okazję dopasowany garnitur, a włosy spięła w ciasny węzeł. Był to agresywny, nieco męski wygląd, zupełnie nieodpowiedni na spotkanie z japońskim biznesmenem.

Potem sytuacja jeszcze się pogorszyła. Kiedy pan Motoyama przerwał prowadzącą, aby zapytać o obraz na drugim slajdzie, potraktowała go obcesowo.

— Wkrótce wszystko się wyjaśni — powiedziała, jakby rozmawiała z dzieckiem. — Może pozwoliliby mi pan dokończyć i dopiero potem zapytał o to, co pana zainteresuje?

Motoyama zmarszczył na chwilę brwi. Potem jego twarz się rozpułodziła.

— Oczywiście — powiedział uprzejmie. — Przepraszam.

Lecz Elizabeth widziała, że nie jest zadowolony. Kathleen nie zamierzała być nieuprzejma, nie orientowała się jednak, że Japończycy prowadzą interesy w inny sposób, zdecydowanie mniej konfrontacyjny. Pan Motoyama wysłuchał grzecznie tego, co mieli mu do powiedzenia, lecz kiedy wyszedł, Elizabeth wyczuła, że nie zamierza wrócić. A przynajmniej nieprędko.

Usiadła przy biurku i jęła zastanawiać się nad sytuacją. Musi być inny sposób, aby pozyskać Motoyame. I właśnie wtedy przypomniała sobie, że biznesmen przyleciał do Londynu z żoną. Otworzyła skoroszyt zawierający informacje na temat Kumiko Motoyamy, które tak starannie zebrała. Kathleen ledwie na nie spojrzała, lecz Elizabeth pomyślała, że właśnie w nich kryje się klucz do sukcesu. Nikt nie zadał sobie dotąd podstawowego pytania: dlaczego magnat stalowy miałby inwestować w rynek towarów luksusowych, o którym nic nie wiedział? Może gdyby poświęcili trochę czasu, dowiedzieliby się, że pani Motoyama jest w swoim kraju ikoną mody, niepoprawną zakupo-holiczką, zwariowaną na punkcie butów nie mniej niż kiedyś Imelda Marcos...

Elizabeth zanotowała kilka spostrzeżeń, a potem zadzwoniła do magazynu. Wcześniej zadała sobie trud, by zaprzyjaźnić się z pracującymi tam młodymi ludźmi. Ponieważ mówiła z akcentem typowym dla osoby z wyższych sfer, zakładano powszechnie, iż musi być snobką. Tymczasem była jedną z niewielu osób, nie zwracających zupełnie uwagi na to, jaką pozycję zajmuje w firmie dany pracownik — jeśli tylko stara się być użyteczny.

— Cześć, Gary, mówi Elizabeth. Myślałam właśnie o najnowszych wzorach. Chcę posłać próbkę klientce. — Opisała krótko, czego szuka, a potem czekała. — Brzmi cudownie — powiedziała w końcu. — Mogę zejść na dół i je obejrzeć?

Kumiko Motoyama czekała w apartamencie hotelu Claridge, znajdującego się w dzielnicy Mayfair, aż mąż wróci z jednego z niekończących się spotkań w interesach. Poranek spędziła, buszując po sklepach w Knightsbridge. Uwielbiała Europę i europejską modę. Elizabeth się nie pomyliła — inwestowanie w luksusowe towary produkowane w Europie było pomysłem Kumiko. Czuła, że to znakomity sposób, aby zaimponować przyjaciółkom.

Zapukano do drzwi. Za drzwiami stał boy z niespodziewaną przesyłką. Pamiętała, by dać mu napiwek: był to europejski zwyczaj, nieznan w Japonii. Zaniósł pięknie opakowane pudło do sypialni. Owinięte czarną satyną, z idealnie zawiązaną białą kokardą, prezentowało się doprawdy niesamowicie. Rozwiązała pośpiesznie wstążkę

i zdjęła wieko. W środku, owinięta w zwoje białej bibułki, leżała para pięknych satynowych pantofli z odkrytą piętą.

Wyjęła buty, by przyrzeć się im bliżej. Ktokolwiek je przysłał, odrobił pracę domową. Jako że Kumiko Uczyła sobie zaledwie sto pięćdziesiąt dwa centymetry wzrostu, nie nosiła butów, które nie miałyby przynajmniej siedmiocentymetrowego obcasa. Te zaś, co była w stanie ocenić jednym spojrzeniem, miały obcas dziewięciocentymetrowy. I były czerwone — w jej ulubionym kolorze. A kiedy je założyła, pasowały na jej drobną stopę doskonale.

Wzięła do rąk załączony do przesyłki bilecik i przeczytała znajdujące się na nim nazwisko oraz numer telefonu. Zawahała się, lecz po chwili sięgnęła po słuchawkę.

Kiedy Yasuo Motoyama wrócił późnym popołudniem do hotelu, z zaskoczeniem przekonał się, iż jego żona pije właśnie herbatę z Elizabeth Melville. Zaniechał już pomysłu, by zainwestować w tę firmę. Poczul się bowiem urażony, że jej właściciel nie pofatygował się na spotkanie osobiście. Na dodatek wysłał w swoim zastępstwie tę okropną kobietę.

Lecz żona była jedną z niewielu osób, z którymi się liczył, zgodził się zatem wysłuchać, co młoda dama ma mu do powiedzenia. Po półgodzinie był już przekonany. Dokładnie o to mu chodziło. Córka Williama przemawiała z pasją. Naprawdę wierzyła w markę i wiedziała, co chce osiągnąć.

— A wystrój sklepów? — zapytał. — Wie pani, co pokazano mi dzisiaj w siedzibie firmy?

To była dla niego kluczowa kwestia. Nie znosił nowoczesnego wystroju — w Tokio było go aż nadto. Elizabeth dobierała ostrożnie słowa.

— Osobiście skłaniałabym się ku czemuś bardziej tradycyjnemu, uosabiającemu wartości, z jakimi kojarzona jest firma...

Zaczęła objaśniać swoje pomysły. Wystrój miał być tradycyjny i kosztowny, stanowiąc kwintesencję tego, co w firmie angielskie. Tapety we wzór z okresu regencji, boazeria z różanego drewna, grube dywany, tak miękkie, iż można byłoby na nich spać. Lecz także bardziej nowoczesne elementy, których zadaniem było pokazać, że firma

nadaża za współczesnością: windy uruchamiane głosem, gabloty działające po naciśnięciu guzika, skomputeryzowane spisy towarów, by klienci mogli zlokalizować i zamówić dokładnie to, co chcą — choćby towar znajdował się w Paryżu czy Londynie. Jednym słowem, doskonała mieszanka tradycji i nowoczesności.

W miarę jak mówiła, Motoyama zaczął przytakiwać. Usłyszał bowiem więcej, niż się spodziewał. Zona pochwyciła jego spojrzenie i się uśmiechnęła. Jak zwykle miała rację. Znalazł oto osobę idealnie nadającą się do tego, żeby robić z nią interesy.

Dwa dni później Motoyama zadzwonił do Williama, by go poinformować, że chce wejść w spółkę z Melville'em.

— Mam jednak warunek — powiedział.

— Czego pan tylko sobie życzy — zapewnił go William.

— Chcę, aby to pańska córka, Elizabeth, nadzorowała otwarcie pierwszego salonu w Tokio.

William z najwyższym trudem ukrył zaskoczenie. — Elizabeth?

— Tak, oczywiście. W końcu to ona przekonała mnie, żebym przyjął pańską propozycję.

William nie był zachwycony tym, co postrzegał jako działanie za swoimi plecami. Prawdę mówiąc, był wściekły.

— Nie ma mowy, żeby tam pojechała — stwierdził stanowczo. — Nie ma wystarczającego doświadczenia.

Kierował te uwagi do Cole'a. Siedzieli we troje w jego gabinecie. Cole został już ostro napomniany za to, że w ogóle dopuścił do takiej sytuacji. Jak dotąd William nie odezwał się do córki. Zupełnie jakby jej tam nie było.

— Wyślemy zamiast niej Kathleen. Zadzwonię do Motoyamy i wyjaśnię mu, jak to będzie wyglądać.

Elizabeth patrzyła skonsternowana na ojca. Nie mogła uwierzyć, że chce jej to odebrać. To nie fair, aby do Tokio pojechała Kathleen, skoro to ona, Elizabeth, ubiła ten przeklęty interes.

Cole pozostawał podczas rozmowy zadziwiająco milczący. Teraz podniósł głowę, ewidentnie z zamiarem zabrania głosu. Elizabeth uzbroiła się wewnątrz. Nie ma mowy, by wziął jej stronę.

A jednak się pomyliła.

— Motoyama chce Elizabeth — powiedział po prostu. — Jeśli jej nie wyślesz, wycofa się z umowy.

To zamknęło Williamowi usta.

— Mogę mieć na nią oko — mówił dalej Cole. — Jeśli będzie zanosilo się, że coś spieprzy, natychmiast ją odwołamy.

William przyglądał się córce przez dłuższą chwilę. Elizabeth wstrzymała oddech. Nie był z pewnością zadowolony, niewiele mógł jednak zrobić. Cole miał rację. Motoyama chciał, aby to ona nadzorowała prace. William miał zatem wybór: albo wyśle córkę do Tokio, albo straci potencjalnego partnera.

— Zgoda — powiedział w końcu. — Załatwmy to po twojemu. Co powiedziawszy, wyszedł, zostawiając ją z Cole'em.

— Dzięki — powiedziała zakłopotana. — Za to, że mnie poparłeś.

— Nie ma sprawy. — Uśmiechnął się. — Do licha, byłbym w stanie zrobić naprawdę dużo, aby usunąć cię z drogi, prawda?

Elizabeth się roześmiała.

— Chciałbyś pójść na drinka? — spytała pod wpływem impulsu. — No wiesz, żeby uczcić to, że się mnie pozbędziesz...

— Nie mogę — stwierdził krótko. — Mam już plany.

Skinął głową w kierunku przeszklonej ściany swego gabinetu. Odwróciła się i zobaczyła Kathleen. Z rozpuszczonymi włosami, makijażem i w soczewkach zamiast okularów wyglądała całkiem ładnie.

— Cóż, może innym razem — powiedziała, starając się, aby w jej głosie nie słyhać było rozczarowania.

Cole uśmiechnął się kątem ust.

— Taaa. Może.

Rozdział dwudziesty drugi

Amber i Eva stały się nierozłączne. W tygodniu były wzorowymi uczennicami — no, prawie wzorowymi. Eva wyciągała Amber z łóżka o szóstej trzydzieści, aby mieć pewność, że przyjaciółka nie spóźni się na sprawdzanie obecności o ósmej; zabraniała jej wagarowania

i nawet skłoniła, aby zgłosiła się do uczestnictwa w biegu przełajowym po wrzosowisku. Wszystko to stanowiło część jej planu. Uznała bowiem, że pani Dauston nie będzie zbyt pilnie się im przyglądać, jeśli uwierzy, że są naprawdę *grzeczne*.

— To linia najmniejszego oporu, *saca*?

Zatem w ciągu tygodnia robiły to, co im kazano. Lecz w każdy piątek i sobotę ubierały się późno wieczorem w kolorowe ciuszki i wymykały do położonego w pobliżu nadmorskiego kurortu, Whitby. Wędrowały na niebotycznych obcasach niemal dwie mile przez ponure pustkowia York Moors, by dostać się do starego miasta, a potem przejść labiryntem krętych uliczek do ruchliwego deptaka — i jedyne klubu nocnego w mieście, Laughton's.

Gdy stały, drżąc z zimna, w kolejce przed wejściem, unosiły od czasu do czasu wzrok, spoglądając na wznoszące się ponad nimi posępne i ciemne budynki szkoły i chichotały zachwycone tym, że znowu im się udało i nie zostały przyłapane.

Przyrzekły sobie, że nie będą wychodziły dwa razy z tymi samymi chłopakami. W tydzień po pierwszej wyprawie Jed i Lewis byli znowu na miejscu, gotowi do powtórki. Dziewczętom wielką przyjemność sprawiło udawanie, że w ogóle ich nie znają.

— Nic chce Stałego chłopaka powiedziała Iwa, odrzucając wspaniałą grzywę włosów. — Teraz zbieram tylko doświadczenia na czas, gdy spotkam kogoś, kto naprawdę mi się spodoba.

Amber skinęła głową. Zawsze zgadzała się z tym, co mówiła Eva.

Jednak mimo manifestowanej brawury Eva nie była wcale chętna, by sypiać z każdym, kogo uda im się poderwać. Gdy Amber próbowała ją o to wypytywać, wzruszyła ramionami.

— To tylko chłopcy — odparła. — Kiedy następnym razem pójdę z kimś do łóżka, będzie to prawdziwy *homem*.

Amber przytaknęła z zapalem.

— Taaa, ja też — powiedziała.

Plan doskonale się sprawdzał. Co tydzień podrywały dwóch chłopców, wałęsały się z nimi trochę, a potem o drugiej nad ranem wracały do szkoły i bezpiecznego schronienia własnych łóżek. Amber nigdy nie była bardziej szczęśliwa.

Kiedy nadeszły zimowe ferie, po raz pierwszy w swej szkolnej karierze nie miała ochoty jechać do domu. Przynajmniej rodzice byli zadowoleni, że tak wspaniale radzi sobie w nowej szkole. Pierwszego wieczoru ferii ojciec wezwał ją do gabinetu, gdzie usiadła, czekając, aż odczyta listę ocen, by w końcu nagrodzić ją letnim „dobra robota”. Później tego wieczoru matka przyszła do pokoju córki i dała jej prezent. Była to sukienka z pracowni Donny Karan, którą obiecała Amber, jeśli wytrwa bez dalszych incydentów do końca semestru.

— Tylko nie mów nic ojcu — ostrzegła ją.

Święta w Aldringham okazały się spokojne i nudne. Wujek Piers przywiózł na kilka dni babcię Rosalind. Jej zdrowie pogorszyło się ostatnio gwałtownie, choć umysł miała nadal bystry.

— Wyrastasz na śliczną młodą kobietę, Amber — zauważyła pierwszego wieczoru. — Uważaj jednak, byś nie polegała w życiu jedynie na swoim wyglądzie. Elizabeth ma rację — ciężka praca zaprowadzi cię dalej niż ładna buzia.

To był ten sam wykład co zawsze, lecz kiedy wygłaszała go babka, nie przeszkadzało to Amber aż tak bardzo. Rosalind potrafiła być zabawna i знаła kilka wspaniałych historii z czasów swej młodości. Niestety, tym razem Amber rzadko miała okazję z nią rozmawiać,

gdyż Piers przebywał zawsze w pobliżu, trzęsąc się nad matką jak stara kwoka.

Nawet potulna zwykle Isabelle wreszcie miała tego dość. — Błagam, Piers — powiedziała, rozcierając skronie. — Nic możesz usiąść choćby na pięć minut? Przyprawiasz mnie o ból głowy. I pewnie swoją biedną matkę także.

Caitlin nie przyjechała na święta do Aldringham — już drugi rok z rzędu. Amber uznała, że to szkoda, ponieważ kiedy ostatni raz widziała siostrę — a było to przed osiemnastoma mniej więcej miesiącami — Caitlin wydała jej się całkiem *cool*, o wiele bardziej niż wtedy, gdy przyjechała z nimi zamieszkać. Amber chętnie by posłuchała o szkole projektowania i życiu Caitlin w Paryżu — prawdę mówiąc, hołubiła też w duszy nadzieję, że uda jej się wyłudzić zaproszenie.

— Dlaczego ona nigdy nas nie odwiedza? — spytała Elizabeth.

— Musisz sama ją o to zapytać — odparła sztywno siostra. Było to denerwujące, gdyż jasno wskazywało, że Elizabeth w i e.

Podczas świąt Elizabeth była jak zawsze nudna i apodyktyczna. Pierwszego wieczoru zrobiła Amber wykład na temat wylatywania ze szkoły — Boże, czasami mówiła zupełnie jak tatuś — a potem zaoferowała się z pomocą podczas przygotowywania się do próbnych egzaminów w styczniu.

— Jeśli zaczniesz już teraz, zaoszczędzisz sobie mnóstwa pracy w lecie — powtarzała. Nuuuuda.

W końcu Amber skłamała, że musi się uczyć i uciekła do swego pokoju. Lecz zamiast wziąć się do książek, zadzwoniła po cichu do Evy. Dziewczęta rozmawiały codziennie, planując, co będą robiły podczas nowego semestru. Eva bawiła się chyba doskonale w Rio — wychodząc co dzień do miasta. Opowiadała o przyjaciółkach i facecie, którego poznała — „Był wspaniały, więc t o z nim zrobiłam. Jest Amerykaninem. O wiele fajniejszym niż angielscy chłopcy”.

Amber przysłuchiwała się temu z zazdrością.

Kiedy wróciły do Stirling Hall ósmego dnia najbardziej chyba po-nurego i zimnego stycznia w historii, Amber niecierpliwie wyczekiwała kolejnej wyprawy do Laughton's. Lecz w piątek rano obudziła się mocno przeziębiona.

Spędziła dzień w łóżku, z butelką gorącej wody, pijąc mnóstwo płynów. Do wieczora jednak wcale się jej nie polepszyło. Rozczarowanie było tym większe, że Eva nie zamierzała rezygnować z wypadu do miasta.

— Kogo zabierzesz? — spytała cichutko Amber, przyglądając się, jak Eva przygotowuje się do wyjścia. Nie mogła się powstrzymać, by nie pomyśleć o tym, że koleżanka mogła choć zaproponować, że z nią zostanie.

— Circe — rzuciła Eva od niechcienia.

— Ach.

Amber zakopała się głębiej w pościel, żalując, że zapytała. Teraz czuła się jeszcze gorzej. Circe Scott była nową uczennicą, niesforną córką gwiazdy rocka z lat siedemdziesiątych, Leonarda Scotta, i zajmowała w hierarchii znacznie wyższe miejsce niż Amber. Ogarnęło ją okropne przeczucie, że wkrótce zostanie zastąpiona. Kiedy Eva w pół godziny później wyszła, pożegnawszy Amber uprzejmym „do widzenia”, dziewczyna rozpląkała się i po raz pierwszy od dawna płaczem utuliła się do snu.

Gdy obudziła się o trzeciej na ranem, zaskoczona stwierdziła, że Evy nadal nie ma. Postanowiła, że nie zaśnie, aby dowiedzieć się wszystkiego jak najprędzej. Minęła jednak czwarta, a Evy nie było. Patrzyła, jak wskazówka zbliża się do wpół do piątej, a potem do piątej...

Koło szóstej musiała jednak się zdrzemnąć, ponieważ gdy się ocknęła, ktoś nią potrząsał. Była to Eva. Dłonie miała zimne jak lód, musiała więc wrócić dopiero przed chwilą. Nadal miała na sobie wyjściowe ciuchy, a do tego potargane włosy i rozmazany tusz. Uśmiechała się jednak radośnie. Amber zerknęła na zegarek. Za dwie wpół do ósmej. Zmarszczyła brwi.

— Gdzie byłaś? — syknęła. — Wpakujesz się w kłopoty...

Eva odrzuciła w tył włosy. Skręciły się w wilgotnym powietrzu poranka, nie wyglądały więc tak efektownie jak zazwyczaj. Evie zdawało się to jednak nie przeszkadzać.

— Nie ma mowy, nikt mnie nie widział. A jeśli nawet, i tak było warto. To był najlepszy wieczór ze wszystkich!

Amber pomyślała o Circe i o tym, że wieczór zapewne był tak udany, bo to ona była z Evą. Poczowała ukłucie żalu i zazdrości.

— Cieszę się, że dobrze się z Círee bawiłyście — powiedziała markotnie.

Już miała odwrócić się do Evy plecami, lecz ta położyła jej dłoń na ramieniu.

— Círee w końcu się ze mną nie wybrała. Stchórzyła. Jest *covarde*.

Ostatnie słowo zabrzmiało niczym splunięcie. Amber natychmiast poczuła się lepiej. Uświadomiła sobie, że Eva obudziła ją, gdyż brakowało jej partnerki w przestępstwie. To zaś stwarzało okazję, by wrócić do łask przyjaciółki.

— Co się więc wydarzyło? — spytała chciwie. Eva się uśmiechnęła.

— Najpierw się posuń i wpuść mnie do łóżka. Zmarłam na kość!

Powodem tego podekscytowania okazał się oczywiście facet. Nie chłopiec, ale mężczyzna, *homem*. Eva poznała go w Laughton's. Miał na imię Jack i był według Evy absolutnie boski. A także starszy, nie była pewna, o ile — chyba gdzieś pod trzydziestkę — i miał własny biznes, choć nie wiedziała dokładnie jaki.

Miał też własny lokal, dom tuż pod Whitby, oraz największy zapas zioła, jaki Eva widziała kiedykolwiek. Pojechała tam z kilkoma osobami po zamknięciu klubu. Nic więcej się między nimi nie wydarzyło — tylko trochę pieśczot. Planowali jednak spotkać się w tygodniu i Eva spodziewała się, że wtedy to zrobią.

Przez cały tydzień nie mówiła o niczym innym, jak tylko o Jacku. Wymykała się co wieczór, by się z nim spotkać. Nim nastał piątek, Amber uświadomiła sobie, że została porzucona — nie na rzecz Círee, lecz Jacka. Eva nie wróciła z czwartkowego wypadu przed śniadaniem. Amber kryła ją, mówiąc, że została w łóżku z powodu bólów miesiączkowych. Lecz w miarę jak mijały godziny, zaczęła się martwić, czy aby na pewno dobrze postąpiła — może Eva leży gdzieś w rowie, martwa?

Pomiędzy dwiema lekcjami matematyki wreszcie się pojawiła. Nie miały wtedy czasu porozmawiać. Ale gdy tylko lekcja się skończyła, Eva chwyciła Amber za ramię i odciągnęła na bok.

— Będiesz musiała wyjść ze mną dziś wieczorem — stwierdziła stanowczo.

Amber spojrzała na przyjaciółkę z powątpiewaniem. Była już trochę znużona zmiennym zachowaniem Ewy.

— A co? Jack wyjechał i nie ma kto cię zabawiać?

— Nie. To znaczy, tak — odparła Eva podekscytowana. — Urządza imprezę. Olbrzymią. Zapytał, czym mam przyjaciółki, które chciałabym zaprosić i wspomniałam mu o tobie. Powiedział, że możesz przyjść!

Cała złość przeszła Amber jak ręką odjął. — Naprawdę? Mogę?

Eva skinęła głową. — Jasne. I Jack obiecał, że z pewnością znajdzie się dla ciebie jakiś facet.

Zostało to powiedziane z odrobiną politowania, jakby Amber, zostawiona sama sobie, nie miała szans nikogo poderwać. Zignorowała jednak afront. Zbyt cieszyło ją to, że nie będzie już stała z boku.

Lecz potem Eva zacisnęła wargi. — Jest tylko jeden problem.

— Jaki?

— Nie możesz być taką cnotką. To są prawdziwi mężczyźni. Będą spodziewali się różnych rzeczy — powiedziała, kładąc nacisk na słowo „rzeczy”. — *Saca?*

Amber skinęła z zapalem głową. Oczywiście rozumiała. W zeszłym tygodniu, pozbawiona towarzystwa Ewy, czuła się okropnie. Tym razem była więc gotowa zrobić, co będzie trzeba, aby umocnić ich przyjaźń.

W noc przyjęcia pojechały do domu Jacka taksówką. Mieszkał w odległości dwudziestu minut jazdy od Whitby, daleko za miastem. Wydawało się, że to dość dziwne miejsce jak na kogoś młodego i samotnego. Amber wspomniała o tym, zanim wysiadły, i Eva obrzuciła ją miażdżącym spojrzeniem.

— To był dom jego rodziców. Zatrzymuje się tutaj, gdy jest w okolicy. Sporo podróżuje.

Zabrzmiało to cokolwiek mgliście, nadając ton reszcie wieczoru.

Jazda trwała dłużej, niż się spodziewały. Drogi były co prawda puste, ale też zryte koleinami, nieoświetlone i pozbawione znaków. Iwa, która gościła już w domu Jacka kilka razy, nie była w stanie pomóc.

— Kiedy tu przyjeżdżaliśmy, zawsze byłam zawiana.

Taksówkarz minął zjazd do Keepers Cottage dwa razy, nim zauważył stary kawałek drewna z białym napisem. Pierwszego i trzeciego „e” brakowało, napis głosił więc: Keepers Cottage.

Sam domek stał na końcu wąskiej bitej drogi i okazał się być budynkiem z czerwonej cegły, wzniesionym w stylu lat pięćdziesiątych, krytym dachówkami, z których wielu brakowało. Stał na spłachetku trawy, mającym uchodzić ewidentnie za ogród. Tyle że zamiast klombów znajdowały się tam jedynie: zepsuty motocykl i złamana huśtawka. Było to ponure, puste miejsce, oddalone o kilka mil od najbliższego sąsiada. Z boku parkowało kilka samochodów, a przez firanki małego okna sączyło się światło. Poza tym dom stał ciemny i cichy.

Taksówkarzowi, sympatycznemu brodatemu mężczyźnie, nie spodobało się, że ma zostawić tu dwie młode dziewczyny. Spoglądał podejrzliwie na ciemny, ponury dom przypominający jako żywo scenerię horroru.

— Na pewno nic wam się nie stanie? Mogę podrzucić was z powrotem do miasta, za darmo.

Miał nastoletnie córki i nie wyobrażał sobie, że mógłby pozwolić, aby spędziły wieczór w takim miejscu. Lecz Eva zaczęła już wysiadać.

— Nie, wszystko będzie w porządku — powiedziała wyniośle, podając mu banknot pięćdziesięciofuntowy. Nie zaczekała na resztę.

Taksówkarz wzruszył ramionami. Napiwek przekraczał trzykrotnie wartość opłaty. Więcej pieniędzy niż rozumu, pomyślał. Wsunął banknot do kieszeni i odjechał.

Wnętrze niczym Amber nie zaskoczyło. Wyglądało jak typowe kawalerskie lokum. Zbieranina mebli, wytarte dywany i stos brudnych naczyń w zlewie. Zupełnie nie przypominało pałacu z opowieści Evy.

Prawdę mówiąc, Amber zaczęła sobie uświadamiać, że Iwa przesadziła też pod innymi względami. Zwłaszcza zaś co do Jacka. Ze spłaszczonym nosem — bez wątpienia efekt bójki w barze — i małymi świńskimi oczkami nie przypominał Brada Pitta.

— Jack! — pisnęła Eva, kiedy otworzył im drzwi, obejmując mężczyznę i całując mocno w usta.

Podekscytowana trąciła go niechcący w ramię, a że trzymał w dłoni szklankę z piwem, nieco trunku się rozlało. Zmarszczył brwi i odsunął lekko dziewczynę.

— Daj spokój, Eva.

Zignorowała ostrzegawczy ton głosu i chwyciła mężczyznę za rękę, jakby chciała dać Amber do zrozumienia, że to ona jest jego dziewczyną.

— To Amber — powiedziała. — Ta, o której ci mówiłam.

Amber zarumieniła się, gdy zmierzył ją od stóp do głów spojrzeniem. W sukience od Donny Karan wydała się sobie nagle zbyt wystrojona. Poza Evą inne dziewczęta — cóż, właściwie kobiety, wyglądały bowiem tak, jakby zbliżały się do trzydziestki — ubrane były w dżinsy i bluzy z kapturem. Zważywszy, iż nie zauważyła, by w domu było jakieś ogrzewanie, wydawało się to nie najgorszym pomysłem.

— Super — powiedział Jack, uznając, że podoba mu się to, co widzi. — Powinnaś poznać Billy'ego. Na pewno przypadniecie sobie do gustu.

Amber nie była pewna, co doprowadziło go do takiego wniosku, ale i tak ruszyła za nim i Evą przez pokój, nieciekawo jak reszta domu. Cztery osoby siedziały na pufach i podniszczonej sofie, słuchając The Prodigy. Przyjęcie okazało się raczej spotkaniem towarzyskim.

— Zdecydowaliśmy się na coś bardziej intymnego. Kilkoro przyjaciół popijających razem piwko — wyjaśnił Jack.

Billy siedział po turecku obok porysowanego stolika do kawy. Amber przekonała się z zadowoleniem, że jest przystojniejszy niż Jack — wysoki, dobrze zbudowany, przyzwoicie ostrzyżony i z cieniem popołudniowego zarostu na twarzy. Bardziej męski niż chłopcy, do których przywykła. Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

— Hej. — Wyglądało na to, że wszyscy tu tak się witają. Poklepał poduchę leżącą obok niego na ziemi. — Siadaj.

Zrobiła, co jej powiedziano, zadowolona, że Iwa i Jack także usiedli. Nie była pewna, czy będzie miała o czym rozmawiać z tym facetem.

Billy wyjął z lodówki piwo i podał im. Amber wolałaby wino, ale ponieważ nie widziała go w zasięgu wzroku, wzięła puszkę. Rozmowa, z początku nieco wymuszona, ożywiła się, gdy trochę wypili.

Okazało się, że chłopcy często podróżują, co wyjaśniało stan domu i unoszącą się w powietrzu woń stęchlizny. Jack był kierowcą ciężarówek na długich trasach, Billy szukał właśnie kolejnej pracy.

— Lubie podróżować, więc nie chcę być uwiązany — wyjaśnił. Amber przytaknęła gorliwie, spijając z jego ust każde słowo. Zastanawiała się, ile też może mieć lat. Wydawał się tak doświadczony.

Skończył robić skręta i podał go jej. Zawahała się. Paliła już wcześniej trawkę, ale nigdy z obcymi. Potem zobaczyła, że Eva spogląda na nią z pochmurną miną.

— No, dalej — ponagliła Amber bezgłośnie.

Amber nie chciała, by wyglądało na to, że nie jest *cool*, wzięła więc skręta. Billy się uśmiechnął.

— Dobra dziewczynka — powiedział.

Billy pochylił się i odsunął jasne loki z twarzy Amber.

— Jesteś bardzo piękna — powiedział. Amber zachichotała.

— Zamierzam zostać pewnego dnia modelką — powiedziała, odzyskując wystudiowanym gestem głowę w tył.

Roześmiał się wraz z nią. — Taak, właśnie widzę.

Zrobiło się późno. Amber była pijana, naćpana i przeżywała właśnie najwspanialszy wieczór w życiu. Alkohol i narkotyk rozluźniły jej hamulce. Czuli się pewni siebie, sprytni i błyskotliwi. Teraz zostało ich już tylko czworo — ona, Eva, Billy i Jack. Siedzieli w tym samym pokoju. Nie pamiętała, kiedy wyszli pozostali. Ich czwórka grała w różne alkoholowe gry. Dziewczęta z rozmysłem przegrywały, gdyż tak zabawnie było się upić. W pewnej chwili Eva zaczęła nalegać, by włączono ostrzejszą muzykę — „Coś, do czego mogłabym śpiewać!”. Wkrótce w pokoju rozległy się pierwsze takty Black Velvet.

Amber pisnęła i zerwała się z podłogi. Uwielbiam tę piosenkę! — zawołała. — Chcę tańczyć!

Była dobrą tancerką, lecz dotąd wstydziła się zaprezentować publicznie umiejętności wyćwiczone przed lustrem w sypialni. Teraz zatraciła się w bluesowej muzyce. Gdy przesycony tęsknotą, południowy głos Alannah Myles wypełnił pokój, zakotysała się do rytmu, przesuając dłońmi po biodrach. Zdawała sobie sprawę, że mężczyźni przyglądają się jej, klaskając i zachęcając pełnym uznania pogwizdywaniem. Nigdy nie czuła się aż tak seksowna. A kiedy do śpiewu włączył się chór, przecesała palcami jasne loki i przesunęła czubkiem języka po wargach, rozkoszując się tym, że choć raz uwaga skupia się na niej.

Gdy Amber tańczyła, Eva próbowała kontynuować rozmowę. Szybko uświadomiła sobie jednak, iż mężczyźni nie interesuje, co ma im do powiedzenia. Patrzyła, jak Jack wpatruje się w Amber i po raz pierwszy poczuła się o koleżankę zazdrosna. Przedtem zawsze to ona miała nad Amber przewagę, przywykła bowiem do towarzystwa chłopców i była bardziej doświadczona. Nagle ogarnęło ją przeczucie, że to się wkrótce zmieni. Teraz chciała jednak pozostać w świetle jupiterów. Dołączyła zatem do Amber i wkrótce dziewczęta rywalizowały, która odważy się wykonać bardziej śmiałe ruchy.

Jack pochylił się do Billy'ego.

— Rany, to lepsze niż klub ze striptizem — wyszeptał rozanielony -

Billy, któremu mignęły właśnie sterczące zuchwale piersi Amber, zamruczał w odpowiedzi.

Po jakimś czasie Jack chwycił Evę za rękę i zniknął z nią na piętrze. Amber zerknęła z nieśmiałym oczekiwaniem na Billy'ego. Na tę chwilę czekała. Miała nadzieję, że oni też wylądują w sypialni. Billy pociągnął ją jednak na sofę, wyjaśniając, że sypia na parterze, gdyż jest tu cieplej.

— Podejź i usiądź koło mnie — powiedział. Usiadła.

Wszystko trwało bardzo krótko, i to było najlepsze, co mogła powiedzieć o tym doświadczeniu.

Podobało jej się całowanie. A kiedy sięgnął pod sukienkę i zaczął pieścić ją przez bieliznę, już prawie się podnieciła. Po chwili usiadł jednak prosto i zaczął się rozbierać. Czowała się zobowiązana, by zrobić to samo. Naga i zmarznięta, naciągnęła na siebie śpiwór i czekała na niego. Dołączył do niej po chwili, a kiedy wsunął dłoń pomiędzy jej uda, pomyślała, że znów zaczną się pieszczoty. On miał widać jednak w tej kwestii inne zdanie, gdyż cofnął dłoń i zaczął wpychać w nią członek. Wyglądało na to, że ma z tym problem, rozsunęła więc szerzej nogi i uniosła nieco biodra, aby ułatwić mu dostęp. Spróbował jeszcze raz, potem drugi. Poczowała ból, i był już w środku. Przyszło jej do głowy, że powinna była wspomnieć o zabezpieczeniu, nie chciała jednak psuć nastroju.

Znieruchomiał na chwilę i spojrzał na nią.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

Przygryzła wargę i przytaknęła, zastanawiając się, kiedy wreszcie zacznie jej być dobrze. Po chwili Billy wzdrygnął się, krzyknął i opadł na nią bezwładnie. Leżała bardzo spokojnie, wpatrując się w sufit. Choć była tak niedoświadczona, wiedziała, że jest po wszystkim. Więc tak to wygląda? Zastanawiała się: gdzie fale intensywnej przyjemności, jakich doświadczała, kiedy pieściła się sama? Gdzie powolne narastanie, a potem błysk oślepiającej rozkoszy, zastąpionej uczuciem błogiego zadowolenia? Nie była pewna, czego powinna się spodziewać, ale z pewnością nie głuchej pustki. Przez jedną okropną chwilę było jej straszliwie wstyd. Billy przetoczył się na bok i podał jej garść chusteczek, by się wytarła. Widok wyciekającego w obfitości nasienia skłonił w końcu Amber, by poruszyła delikatny temat antykoncepcji.

— Cholera. Myślałem, że bierzesz pigułki.

— Nie. Przykro mi.

Wstał, sięgnął po kosmetyczkę i otworzył ją.

— Masz. — Rzucił Amber opakowane w folię tabletki z napisem Levonelle.

— Weź jedną jutro rano, a po dwunastu godzinach drugą. Powinny załatwić sprawę.

Z pewnością nie zabrzmiało to romantycznie. Lecz pierwszy raz nie bywa z reguły przyjemny, prawda?

Gdy tylko się rozwidniło, panowie zadzwonili po taksówkę. Amber zaoferowała się, że zapłaci, gdyż Eva płaciła za kurs poprzednim razem, lecz kiedy sięgnęła do kieszeni, okazało się, że portmonetka zniknęła. Zadzwoniły do Jacka, ten jednak zapewnił je, że niczego takiego nie znalazł.

— Musiała wypaść w tamtej taksówce — powiedziała Eva, nim zapadła w sen. — Przeklęty taksówkarz pewnie po prostu ją sobie przywłaszczył.

Amber mamrotała potakująco. Nie pamiętała o portmonetce. Po kilku sekundach spała już mocno, śniąc o Billym.

Rozdział dwudziesty- trzeci

Caittin jęknęła cicho. Lucien pieścił językiem jej sutki, przesuając drażniąco, leciutko jego koniuszkiem to po jednej, to po drugiej piersi. Drobne fale budowanej powoli przyjemności przenikały całe jej ciało. Lucien był w tym mistrzem. Przygryzł sutek delikatnie zębami i Caitlin poruszyła się pod nim, czując, że robi się coraz bardziej wilgotna. Pewny, że udało mu się ją podniecić, przesunął wargi w dół, wyciskając gorące, wilgotne pocałunki wokół jej pępka. Sięgnął w dół, ku zapięciu dzinsów Caitlin. Dopiero wtedy go powstrzymała.

— Lucien... — powiedziała z nutką ostrzeżenia w głosie. Wycofywała się tak już trzeci raz w ciągu pół godziny. Przedtem po prostu to ignorował, kontynuując całowanie i pieszczoty, póki się w końcu nie poddała. Tym razem nie zamierzała jednak tego zrobić. Słyszał to w jej głosie. Znał ten ton aż nadto dobrze.

Westchnął ciężko i odtoczył się na bok, pozwalając jej usiąść. Leżał wyciągnięty na łóżku Caitlin, przyglądając się, jak naciąga podkoszulek i przeczesuje palcami potargane włosy. Pomyślał po raz kolejny, że uwielbia jej ciało, nieskazitelną mleczną skórę, kobiece kształty z pełnymi piersiami i miękko zaokrąglonymi biodrami.

Wyczuła, że na nią patrzy i odwróciła się ku niemu. Uśmiechała się leciutko, świadoma, co chodzi mu po głowie. Uśmiech nie sięgał jednak oczu.

— Jest późno, Lucien. Powinieneś iść. Wydał z lekka wargi. — Nie chcę, *cherie*.

Byli parą od trzech miesięcy. Starał się być cierpliwy, Caitlin nie pozwalała mu jednak posunąć się dalej. Za każdym razem było tak samo: na początku reagowała z entuzjazmem na pocałunki, dotyk, głaskanie. A potem nagle coś się zmieniło.

Zamykała się przed nim, przestawała czuć, a zaczynała myśleć i wiedział już, że znów nic z tego nie będzie. Z początku próbował rozmawiać, dowiedzieć się, o co chodzi. Upierała się, że wszystko z nią w porządku. Nie uwierzył, lecz nie mógł zmusić jej do zwierzeń, poza tym łatwiej było po prostu dać sobie spokój.

Najbardziej bolało go to, że nie pozwalała mu zostać, choćby po to, by razem spać. Zapewne dlatego, iż nie sądziła, że tylko o to mu chodzi, przyznał w duchu. Lecz dziś nie miał ukrytych motywów. Spodobał mu się po prostu pomysł, że mógłby obudzić się obok niej. Nie czuł czegoś takiego wobec żadnej dziewczyny i bolało go, że Caitlin zdawała się nie doceniać tego, że z nią wszystko jest inaczej, że on jest przy niej inny.

Usiadł zdecydowany, że tym razem się nie podda.

— Jak powiedziałaś, jest późno. Czy byłoby to naprawdę tak okropne, gdybym został?

Spojrzała na niego niewzruszenie. — Mam jutro wcześniej zajęcia.

I muszę trochę się przespać.

— To może w przyszły piątek? — zapytał jak gdyby nigdy nic. — Mogłabyś przyjść do mnie. Przygotowałbym kolację... — Ukląkł na łóżku, ujął Caitlin pod brodę i przesunął kciukiem po miękkich ustach dziewczyny. Rozchyliła bezwiednie wargi, wciągnęła do ust jego palec i lekko go przygryzła.

— A potem — kontynuował cicho, zachęcony tym, że pieści językiem czubek jego palca — mogłabyś u mnie zostać. Nie musiałabyś wstawać tak wcześniej i...

Nim skończył zdanie, zacisnęła mocno zęby na kciuku. Krzyknął i cofnął raptownie dłoń.

— Boże, Lucien. — Jej oczy zabłysły gniewnie. — Nie możesz po prostu odpuścić?

Spojrzał na ślady zębów na kciuku, a potem znowu na Caitlin.

— Chciałbym tylko się dowiedzieć, dlaczego robisz z tego tak wielką sprawę.

Caitlin milczała przez dłuższą chwilę, wpatrując się w mego z wyrażeniem twarzy, którego nic był w stanie rozszyfrować. Przez moment miał nawet nadzieję, że zamierza coś mu wyjaśnić, lecz potem zmieniła widzieć zdanie i odwróciła wzrok.

— Naprawdę uważam, że powinieneś już iść — powiedziała tylko.

Tym razem nie protestował.

Po wyjściu Luciena Caitlin wróciła od razu do łóżka. Minęła godzina, a ona nadal nie spała, rozpamiętując ich rozmowę.

Wiedziała, że nie jest wobec niego w porządku. Był cierpliwy, choć nie rozumiał, dlaczego wciąż się wycofuje i go odpycha.

Kilka razy była już o krok od tego, by powiedzieć mu, co wydarzyło się w Greycourt, lecz zawsze coś ją powstrzymywało. Nie chciała, by zaczął inaczej ją traktować, patrzeć na nią z litością. I nie życzyła sobie, by to, co przydarzyło jej się kiedyś, zdominowało cały ich związek.

Toteż zamiast powiedzieć mu prawdę, łudziła się nieustająco, że z czasem mu zaufa i wszystko potoczy się w naturalny sposób. Lecz nadal nie czuła się gotowa.

A czy kiedykolwiek będzie?

Obróciła się niespokojnie. Cichy głosik szeptał jej do ucha, podsuwając wątpliwości, które starała się ignorować. Ostatnio coraz częściej zmuszona była jednak zadawać sobie pytanie, czy zdoła kiedykolwiek przewyciężyć swoje opory. Nie chciała być ofiarą, kimś, kto dopuszcza, by jeden niefortunny incydent wywierał wpływ na całe jego późniejsze życie. Przeniosła się do Paryża, by zacząć od nowa, zostawić przeszłość za sobą. A teraz, jeśli jej związek z Lucieniem miał stanowić jakąś wskazówkę, widziała jasno, że jej się to nie udało.

Zapadła w niespokojny sen.

— *Mademoiselle O'Dwyer?*

Caitlin wzdrygnęła się zaskoczona i zobaczyła, że wszyscy się w nią wpatrują. Ciekawe na jak długo się wyłączyłam, pomyślała. Sądząc z miny *madame* Maigret, musiało to trwać dobrą chwilę.

Usiadła prosto, starając się sprawiać wrażenie, że jest na bieżąco.

— Eee... przepraszam, *madame*, co pani mówiła? *Madame* spochmurniała jeszcze bardziej.

— Prosiłam, byś wyjaśniła, jakie wady mają systemy CAD i CAM. By cię naprowadzić, dodam, że mówiłam o nich przez ostatnie pół godziny.

Wyraz twarzy Caitlin upewnił nauczycielkę, że dziewczyna nie słuchała. Projektowanie komputerowe i produkcja nie były co prawda najbardziej fascynującymi przedmiotami...

— Przepraszam — powiedziała Caitlin. — Chyba to do mnie nie dotarło.

Madame westchnęła ciężko. — Wada obu systemów, najważniejsza, o której warto wiedzieć — powiedziała cokolwiek zgryźliwym tonem — polega na tym, że firmy komputerowe nie zadały sobie trudu, by w pełni zintegrować projektowanie, sporządzanie wykroju oraz produkcję. Etap projektowania został po prostu pominięty...

Caitlin pochyliła głowę nad notatnikiem i zmusiła się, by zapisać słowa *madame*. Lecz kiedy lekcja się skończyła, nie zdziwiło jej, że nauczycielka poprosiła, aby została dłużej w klasie.

Tylko że zamiast palnąć jej mówkę, spytała, co Caitlin zamierza robić po dyplomie. Do zakończenia kursu zostały już tylko trzy miesiące i rozmawiała z każdym ze studentów indywidualnie. To co chciała przekazać, sprowadzało się głównie do jednego: niełatwo będzie im znaleźć pracę.

— Pozostaję w kontakcie z ludźmi u Lacroix i Gaultiera — powiedziała do Caitlin. — To miejsca, gdzie jak sądzę, doskonale byś pasowała. Niestety, nie szukają akurat nikogo. Powiem ci więc to samo, co powiedziałam twoim kolegom. Jak zwykle trójka najlepszych studentów zostanie nagrodzona półrocznym kontraktem w domu mody. W tym roku zdobycie jednej z tych nagród może okazać się ważniejsze niż kiedykolwiek. — Wzruszyła ramionami. — Gdybym miała przyznać nagrody już teraz, w oparciu o to co widziałam podczas ostatnich dwóch lat, bez wątplenia byś jedną z nich dostała. — Uśmiechnęła się kątem ust. — Nie mówię tego każdemu — i nie spodziewaj się, że powtórzę to poza tym pomieszczeniem. Zrozumiałaś?

— Oczywiście — zapewniła Caitlin pospiesznie.

Niestety, zespół oceniający składa się z fachowców zatrudnionych w przemyśle. Nic potrafię zatem powiedzieć, kto wygra. Nie ma znaczenia, co udało ci się przedtem osiągnąć. Liczy się tylko ten konkurs. To zapewne nie w porządku wobec tych, którzy radzili sobie dobrze przez cały czas, ale cóż, tak to działa.

— Rozumiem.

Madame spojrzała na nią stanowczo. — Nie jestem wcale taka pewna. Te marzenia na jawie w klasie... — Caitlin się skrzywiła. A już sądziła, że jej się upiekło. — Nie czas spoczywać na laurach. Wszyscy rozpaczliwie pragną zwyciężyć. Twoi koledzy i koleżanki zrobią wszystko co w ich mocy, by wygrać — i ty też powinnaś.

Caitlin patrzyła na *madame*, zastanawiając się, co nauczycielka miała nadzieję osiągnąć, mówiąc jej to wszystko. Nie tylko jej to nie zmobilizowało, ale poczuła się wręcz zniechęcona. Prawdę mówiąc, czuła się tak, jakby *madame* próbowała jej powiedzieć, że nie ma szans wygrać.

Madame musiała wyczuć konsternację podopiecznej, bo gdy się odezwała, jej głos brzmiał znacznie łagodniej.

— Mogę ci tylko poradzić, byś dała z siebie wszystko. — Uśmiechnęła się leciutko. — I pokazała kolekcję, która będzie ciebie warta.

Wracając metrem do domu, zastanawiała się nad słowami *madame*. Rozmowa o końcowym pokazie, życiu po dyplomie, sprawiła, że przyszłość stała się nagle bliższa, niż sobie to dotąd uświadamiała. Słyszała pogłoski o tym, że rynek pracy jest trudny: zbyt wielu dobrych kandydatów i za mało posad. Większość absolwentów poprzedniego kursu pozostawała nadal bez zajęcia. Lecz fakt, że usłyszała o tym z ust *madame*, czynił całą sprawę bardziej rzeczywistą.

— Zawsze jest przecież Melville...

Tak powiedział William podczas comiesięcznej, prowadzonej z poczucia obowiązku rozmowy. Nie wspomniała o ewentualnych trudnościach ze znalezieniem posady, napomknął o ofercie sam z siebie, dając jej znać, że byłaby mile widziana w dziale projektowania firmy.

— Dzięki — powiedziała. — Będę o tym pamiętać.

Tak naprawdę sądziła, że nic mogłaby trafić gorzej. Nawet gdyby było to miejsce dobre dla niej pod względem zawodowym — a nie było, z charakterystycznym zamiłowaniem do beżu i granatu, poleganiem na klasycy raczej niż podążaniem za modą — wolałaby robić cokolwiek, niż pracować dla Williama. Nawet przejść na pełny etat w Cafe des Amis. Do tego jednak z pewnością nie dojdzie. Umówiła się już na kilka spotkań. No i jak wspomniała *madame*, był jeszcze końcowy pokaz. Na pewno pojawią się tam łowcy talentów ze wszystkich liczących się domów mody, a także przedstawiciele producentów gotowej konfekcji z Paryża, Londynu, Nowego Jorku i Mediolanu. Jeśli spodoba im się to, co zobaczą, mogą od razu złożyć jej ofertę. Będzie to szansa, aby zabłysnąć, musi tylko w pełni ją wykorzystać.

Rozmyślała o tym nadał, zabierając się do pracy. Największym wyzwaniem było znalezienie tematu przewodniego. Stanowił on klucz do stworzenia dobrej kolekcji, zwłaszcza dla absolwenta, któremu pozwalano zaprezentować jedynie sześć projektów. Nośny i porywający temat stanowił podstawowy warunek tego, by stworzyć logicznie powiązane oraz zapadające w pamięć projekty.

Tylko że jak dotąd nie była w stanie nic wymyślić.

— To takie frustrujące! — pożałowała się Lucienowi, gdy jedli razem późną kolację. — Nie byłam nigdy tak wyzuta z *pomysłów!* Zupełnie jakby to, co powiedziała *madame*, pozbawiło mnie wszelkiej oryginalnej myśli! — Potrząsnęła zrozpaczona głową. — Nie mogę przestać się zastanawiać: a jeśli tak już zostanie? Jeśli po dwóch latach ciężkiej pracy nie potrafię wykorzystać tego, czego się nauczyłam?

Uśmiechnął się łagodnie, gdyż wiedział, skąd biorą się te rozterki i czym naprawdę są. — To się nie zdarzy, *cherie*. Zaufaj mi. Musisz się po prostu rozejrzeć i poszukać inspiracji gdzie indziej.

Coś w głosie Luciena sprawiło, że Caitlin spojrzała na niego ostro. — Masz jakiś pomysł?

— Hmm. Być może...

— Jaki? — spytała zaintrygowana.

— Będziesz musiała trochę poczekać — powiedział tajemniczo.

Otworzyła usta, by zadać kolejne pytanie, lecz Lucien położył jej palec na ustach.

— Nic więcej ze mnie nic wyciągniesz, *cheñe*. Chcę, aby była to niespodzianka.

Na drugi dzień zadzwonił, by się upewnić, czy jest wolna w sobotę. Była.

— Dobrze. Bądź gotowa o szóstej. Przyjdę po ciebie i pójdziemy razem.

— Dokąd?

Odpowiedziało jej milczenie.

— Jeśli mi nie powiesz, skąd będę wiedziała, co na siebie włożyć? — spytała żartobliwie.

— Dobra próba. — Zamilkł na chwilę. — Załóż sukienkę w kolorze burgunda, którą tak lubię.

W sobotę Lucien pojawił się na progu mieszkania Caitlin punktualnie co do sekundy, a to zdarzyło się chyba pierwszy raz, odkąd go znała. W marynarce z zielonego aksamitu, w koszuli z żabotem, rozpiętej pod szyją i wypuszczonej na czarne skórzane spodnie, niewątpliwie zwracał na siebie uwagę. Gdy wyszli, nadal nie chciał nic jej wyjaśnić. Posunął się nawet do tego, że wyszeptał taksówkarzowi do ucha, dokąd ma ich zawieźć.

Dopiero kiedy taksówka zatrzymała się przed gmachem Opery Paryskiej, Caitlin domyśliła się, co zaplanował. Zabierał ją na *Cyganerię*. Pomógł jej wysiąść, a potem przystanęli na chwilę u stóp bogato zdobionej klatki schodowej, przyglądając się, jak tłum dobrze ubranych ludzi zmierza do wejścia.

— I jak? — zapytał. — Co myślisz?

To rozmach i skala zrobiły na Caitlin w pierwszej chwili największe wrażenie. Gmach wysoki na siedemnaście pięter, z widownią na dwa tysiące osób, był bez wątpienia imponującą budowlą. Lecz było w tym coś więcej. Gdy przyglądała się neobarokowej architekturze, połączanym posągom, przypominała sobie historię tego miejsca i wiążące się z nim romantyczne opowieści. Pełen przepychu wystrój — wszystkie te żyrandole i wodotryski — a także labirynt podziemnych sal i korytarzy przydawały gmachowi tajemniczości. Byłaby to idealna inspira-

cja dla jej kolekcji — coś tak bardzo paryskiego, a zarażeni doskonale wpisującego się w dramatyczny styl, który sobie upodobała.

Spojrzała z uśmiechem na Luciena. — Doskonały pomysł — powiedziała.

— To dobrze — odparł ewidentnie zadowolony. — Cieszę się, że mogłem pomóc.

I nagle coś sobie uświadomiła. Lucien zadał sobie tego wieczoru wiele trudu — dla niej. Zależało mu. Naprawdę mu na niej zależało.

Odwrócił się, by ruszyć ku schodom, ale chwyciła go za ramię. Wiedziała, że musi powiedzieć to teraz, inaczej zmieni zdanie. Zatrzymał się i odwrócił, marszcząc brwi.

— Nadal chcesz ugotować dla mnie w piątek kolację? — spytała. Spojrzał na nią zaintrygowany, wiedział bowiem, że nie o to pyta.

— Tak, oczywiście.

— Doskonale. — Zostało to powiedziane nader stanowczo. — Pomyślałam sobie... Pomyślałam, że przyjdę. Tak jak mówiliśmy.

Odczekał chwilę, a potem zapytał: — Czy oznacza to, że tym razem zostaniesz?

Zaczerpnęła głęboko powietrza. — Tak, Lucien. Zostanę u ciebie na noc.

Wydawał się tak zadowolony, że niemal przekonało ją to, iż podjęła słuszną decyzję.

Ujął jej dłoń i pocałował. — Chodź, *chérie*. Musimy znaleźć nasze miejsca.

Odsunęła na bok wątpliwości i ruszyła za nim schodami.

Rozdział dwudziesty czwarty

— Trochę na lewo — poleciła Elizabeth. — I odrobinę niżej...

Do otwarcia butik Melville'a w Tokio został już tylko miesiąc. Było późne piątkowe popołudnie. Miała za sobą pracowity dzień, a przez ostatnie pół godziny próbowała znaleźć najlepsze miejsce dla obrazu Gainsborough. Japońscy dekoratorzy, których zadaniem było nadać salonowi ostateczny szlif, byli wobec niej cierpliwi i była im za to wdzięczna. Niezorientowany obserwator mógłby uznać, że przesadza. Ale to właśnie dbałość o szczegóły miała pomóc im się wyróżnić.

Dotarcie do punktu, w którym się obecnie znajdowali, zajęło trzy miesiące. Otwarcie nowego sklepu w obcym kraju nie było rzeczą prostą — nawet z pomocą pana Motoyamy. Szybko udało jej się znaleźć doskonałą lokalizację — oczywiście w Ginzie, dzielnicy, gdzie mieściły się najelegantsze sklepy. Kiedy dzierżawa stała się przedmiotem zażartej wojny, musiała działać szybko. Motoyama dopilnował, by trzy miliony jenów dotarły do odpowiednich ludzi i wkrótce sprawa była załatwiona. Lecz okazało się, że to dopiero pierwsze z wielu wyzwań. Zaprojektowanie, a potem wykonanie zwalającego z nóg wystroju, znalezienie dobrego personelu: wielojęzycznego, podchodzącego do pracy z entuzjazmem, a zarazem mało wymagającego pod względem finansowym... Lista ciągnęła się w nieskończoność. Tym bardziej że Elizabeth nie godziła się na ustępstwa, nalegając, by dochowano najwyższych standardów.

Cole nic wtrącał się przesadnie. Ustalili, że będzie wysyłała mu co tydzień sprawozdania informujące o postępach, a jeśli zechce o coś ją zapytać, zadzwoni. Jak dotąd, choć przepytował Elizabeth starannie, rzadko sprzeciwiał się podjętym przez nią decyzjom. A gdy już to robił, zazwyczaj miał po temu, musiała to przyznać, dobry powód. Comiesięczne inspekcje na miejscu, w Tokio, też przebiegały zadziwiająco bezboleśnie — ograniczał się zwykle do obserwacji, a jeśli już czynił jakieś uwagi, na ogół były słuszne.

— Teraz doskonale — powiedziała, uznając wreszcie, że obraz wisi tak, jak powinien. Zostawiła robotników, by podłączyli go do systemu alarmowego. Obraz przedstawiał typowo angielski pejzaż

i został wypożyczony z prywatnej kolekcji rodzinnej w Aldringham. Elizabeth dotrzymała słowa danego panu Motoyomie. Salon stanowił idealnie skomponowaną mieszankę tradycji i nowoczesności, mieścił się zaś w ośmiopiętrowym gmachu z betonu i szkła. Budynek skąpany w świetle wywierał zapierające dech w piersi wrażenie. Wnętrze butiku umeblowanego w stylu regencji i utrzymanego w tonacji kremowej bieli oraz granatu, z podkreślającymi klimat drewnem różanym i aksamitem, wyglądało zaś niczym skrawek starej Anglii.

Całość tchnęła luksusem i dobrym smakiem. Elizabeth była pewna, że wzbudzi zachwyt japońskiej publiczności. A gdyby operacja w Tokio okazała się sukcesem, planowano dalszą ekspansję na Dalekim Wschodzie i w Azji Południowo-Wschodniej. Elizabeth nie mogła się już doczekać, żeby usłyszeć, co powie ojciec, gdy się przekona, jak doskonale sobie poradziła. Może i było to dziecinne, ale okazał się tak nieugięty w kwestii tego, że powinna się wykazać... A teraz właśnie to zrobiła.

Zanim wróciła do hotelu, było już późno. Narzuciła jedwabne kimono, sięgnęła do minibarku i przygotowała sobie dzin z tonikiem. Poruszając okrężnym ruchem szklaneczką, podeszła do sięgającego sufitu okna i zapatrzyła się na miasto.

Mieszkała w Apartamencie Prezydenckim hotelu Park Hyatt, w handlowej dzielnicy Shinjuku. Apartament liczący ponad dwieście siedemdziesiąt metrów kwadratowych był, jak na japońskie standardy, olbrzymi. Zważywszy, że znajdował się na pięćdziesiątym pierw-

szym piętrze, z jego okien roztaczał się też spektakularny widok — na wschodzie błyszczały światła miasta, na południu zielenił się Yoyogi Park, na zachodzie zaś majaczyła w oddali góra Fudzi.

Oparła lewą dłoń o zimną szybę i westchnęła. Czasami sama siebie nie rozumiała. Wszystko doskonale się układało. Wkrótce przedsięwzięcie zakończy się sukcesem, a ona udowodni ojcu, ile jest warta. Osiągnęła wszystko, co sobie zamierzyła. Dlaczego czuje się więc tak, jakby ją coś omijało? Przez cały zeszły rok była tak zajęta, że ledwie miała czas pomyśleć. Brakowało jej czasu, by podtrzymywać stare przyjaźnie, a co dopiero zawierać nowe. Od miesięcy nie była w Anglii, a jeśli chodzi o mężczyzn... cóż, nie miała czasu na poważniejszy związek, a ostatnio zrezygnowała nawet z przelotnych. Dotąd szczyciła się tym, że nikogo nie potrzebuje. Lecz tego wieczoru — i nie tylko tego — uczucie wewnętrznej pustki mocno dawało jej się we znaki.

Poczuła niespodziewaną potrzebę, aby do kogoś zadzwonić, usłyszeć znajomy głos. Zostawiła wcześniej wiadomość na sekretarce Magnusa, ale jak dotąd nie oddzwonił. Uświadomiła sobie, że poza nim nie ma zbyt wielu osób, z którymi byłaby blisko. Rozmawiała z ojcem o interesach, a z matką o byciu tolerowaną. Jeśli chodzi o siostry, jakkolwiek by się starała, Caitlin zawsze ją odtrącała, Amber była zaś zbyt młoda i głupiutka. Wujek Pierś był jednym z niewielu ludzi, przy których czuła się swobodnie. Lecz to nie z nim miała chęć porozmawiać. Zatem z kim..?

Cole. Myśl pojawiła się nieproszona. Skąd jej to przyszło do głowy? Odwróciła się i oparła plecami o szybę, rozważając pomysł. Rozmawiała z nim kilka razy w tygodniu, informując na bieżąco o postępach. Nie walczyli już ze sobą, lecz często się przekomarzali. Ale i tak łączyły ich tylko interesy, nic poza tym. Rzadko dzwoniła do niego po to, by pogadać. Miał bez wątpienia mnóstwo przyjaciół — a raczej przyjaciółek, z którymi spędzał czas. Jak choćby Kathleen... Nawet teraz mógł być z nią na randce.

A jednak... Chociaż nie było w tym logiki, odczuwała przemożną chęć, aby z nim porozmawiać. Wahala się chwilę, a potem sięgnęła po telefon.

*

W przeciwieństwie do starszej siostry, Amber nigdy nie czuła się aż tak szczęśliwa. W końcu gdzieś przynależała. Ostatnie miesiące z Evą, Billym i Jackiem były najlepsze w jej życiu. Po jakimś czasie nawet seks zaczął sprawiać jej przyjemność. Podobnie jak imprezy. Billy i Jack z ochotą wprowadzili ją do grupki swoich znajomych.

— Wróciłaś, Amber! — zawołał Billy, kiedy stanęła w następnym tygodniu w drzwiach. Pocałował ją w usta.

Jack też wydawał się zadowolony, że ją widzi.

— Hej, Amber. Chcesz piwo? — rzucił jej puszkę. Dopiero wtedy zauważył stojącą nieco z tyłu Evę. — Ooo, cześć, Eva — powiedział jakby po namyśle. — Chcesz coś do picia?

I właśnie to podobało się Amber najbardziej. Po raz pierwszy to ona, nie Eva, była w centrum uwagi. Kiedy zaczęły bywać w Laugh-ton's, chłopcy tłoczyli się wokół Ewy, zwabieni jej obfitymi wdziękami. Amber, ze swym wyglądem porzuconego dziecka, nie kręciła ich tak bardzo. Lecz Jack i Billy byli inni. Za każdym razem gdy zostawali tylko we czworo, prosili ją, by dla nich tańczyła, a ona ochoczo się zgadzała. Czuła się wtedy kimś wyjątkowym.

Był jednak ktoś, kogo nie cieszyło, że Amber skupia na sobie uwagę — Eva.

Męczyła, naburmuszona, Jacka. — Dlaczego nigdy nie prosisz mnie, żebym dla ciebie tańczyła?

Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. — Ależ proszę. — Pochylił głowę, by pocałować dziewczynę w czoło, lecz chybił i musnął wargami jej włosy. — Przez cały czas.

Odepchnęła go.

— Nieprawda. — Zrobiła nadąsaną minę. — Wolisz Amber. Jack westchnął. Nie po raz pierwszy się o to kłócili. Zwykle próbował ją ułagodzić. Tym razem uznał, że nie ma na to ochoty.

— Myśl sobie, co chcesz.

Odwrócił się i utkwiał wzrok w falującym ciele Amber, nieświadom, że Eva spogląda na niego zwięzonymi z gniewu oczami.

Amber była absolutnie szczęśliwa, mogąc spędzać czas tak, jak robiły to od miesięcy. Dlatego zaskoczyło ją, kiedy w kolejny weekend

Eva zaproponowała, aby zrobiły coś innego, zamiast iść znowu do Keepers' Cottage.

— Mam dość tych facetów — powiedziała. — Może wpadłybyśmy znowu do Laughton's? Tylko my dwie. Tak jak kiedyś.

Amber stała przed toaletką, prostując włosy, by wyglądały tak, jak lubił Billy. Spojrzała na odbicie Ewy w lustrze i ściągnęła brwi.

— Przecież to ty powiedziałaś kiedyś, że Laughton's to nuda. Eva się zaczerwieniła.

— Wiem, ale...

Twarz Amber nie wyrażała niczego. — Ale co?

Eva usiadła z podwiniętymi nogami na łóżku. W mundurku, bez makijażu i ze związanymi włosami nie wyglądała nawet na swoje piętnaście lat.

— Daj spokój, Amber — powiedziała, choć raz poważna. — Zabawiliśmy się, i tyle. Ale ci *homems...* to nic dobrego. Nie szanują nas, *saca!*

Amber się nie odezwała, Eva uznała więc, że się waha i postanowiła kuć żelazo, póki gorące.

— Nie idź tam dzisiaj. Proszę. Zostań ze mną. Coś wymyślimy. Tylko my dwie.

Amber nie spieszyła się z odpowiedzią. Kiedy skończyła prostować ostatnie pasmo, wyłączyła suszarkę i dopiero wtedy odwróciła się do Ewy.

— Przykro mi, że nie chcesz już zadawać się z Billym i Jackiem — stwierdziła zwodniczo łagodnym tonem. — Ja jednak chcę. I jeśli mam być szczerą, myślę, że jesteś po prostu zazdrosna o to, że oni wolą mnie.

— Nie jestem...

— Ależ tak, jesteś — przerwała jej Amber. — Zazdrościsz mi, że skupiam na sobie całą uwagę. Dlatego nie chcesz tam iść. Cóż, ja lubię z nimi przebywać. Nie próbuj zepsuć mi zabawy dlatego, że nie chcesz w niej uczestniczyć.

Co powiedziawszy, odrzuciła w tył długie gęste włosy, chwyciła płaszcz i wyszła, zostawiając Ewę siedzącą z pobladłą twarzą na łóżku.

*

Wyglądało na to, że nikt nie poczuł się zawiedziony tym, iż Eva się nie pokazała. Nawet Jack, chociaż uchodził za jej chłopaka, tego wieczoru byli tylko we troje: Amber, Billy i Jack. Siedzieli po turecku wokół stolika do kawy w zapuszczonym salonie, popijając piwo.

Po jakimś czasie Billy wyjął z plecaka lusterko, położył je pośrodku stołu i wysypał na szkło zawartość małej fiolki. Amber nie zareagowała. Billy i Jack często wspomagali się podczas imprezy jakimś dopalaczem. Jack, prowadząc ciężarówkę na długich dystansach, używał kokainy po to, by utrzymać czujność. Teraz uformował rozsypany narkotyk w trzy schludne kreski. Lecz zamiast wciągnąć go sam, spojrzał pytająco na Amber.

Zawahała się. Proponowali im kokę już wcześniej, lecz Eva zawsze odmawiała, a ona ją naśladowała. Trawka jest nieszkodliwa, powtarzała przyjaciółka, ale lepiej nie tykać niczego mocniejszego. Tylko że Ewy tu nie było. A Amber chciała udowodnić, że jest w stanie to zrobić, że Eva to tchórz, a ona jest odważniejsza, bardziej wyrafinowana.

— Pewnie — powiedziała z wystudiowaną nonszalancją, a przynajmniej tak się jej wydawało.

Wzięła od Jacka dwudziestofuntowy banknot i zwinęła go tak, jak robili to chłopcy. Pochyliła się nad lusterkiem, wsunęła rulonik do lewego nozdrza i wciągnęła głęboko powietrze.

Poczuła, że narkotyk wędruje coraz wyżej, drażniąc delikatną śluzówkę. Na jedną straszną chwilę twarz zupełnie jej zdrętwiała. Lecz potem przestało ją to obchodzić. A to dlatego, że uczucia euforii, jakie ją ogarnęło, nie dało się z niczym porównać. Czowała się spokojna, opanowana, silna i pewna siebie. Mogła zrobić wszystko, absolutnie wszystko. Serce waliło jej w piersi i było jej gorąco... tak gorąco... Zdjęła sweterek. Skąpa bluzeczka, jaką miała pod spodem, nie pozostawiała zbyt wiele wyobraźni. Przyłapała Billy'ego na tym, że się jej przygląda i obdarzyła go leniwym, uwodzicielskim uśmiechem. Pochylił się i zaczął ją całować. Zamknęła oczy.

Pocałunek był słodki i czuły, dokładnie taki, jakie lubiła. Wargi miał miękkie, a jego język delikatnie penetrował wnętrze jej ust. Smakował piwem i papierosami. W końcu wsunął dłoń pod bluzeczkę i zaczął masować lewą pierś Amber, okrążając ją powolnymi, szero-

kimi ruchami poprzez cienki materiał stanika. Dopiero gdy sięgnął do suwaka dżinsów, przyszło jej do głowy, by sprawdzić, czy Jack jest nadal w pokoju.

Uniosła powieki i zamrugła skonsternowana. Coś było nie tak. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to nie Billy ją obejmuje, lecz Jack.

Odsunęła się gwałtownie.

— Billy... — powiedziała, podnosząc dłoń do ust.

— W porządku... wszystko w porządku...—uspokajał ją Jack, ściskając za nogę. — Billy nie ma nic przeciwko temu.

Skinął głową, wskazując przeciwległy róg pokoju. Popatrzyła w tamtym kierunku i zobaczyła Billy'ego. Siedział i się im przyglądał. Kiedy zobaczył, że Amber na niego patrzy, wstał, podszedł i usiadł za nią.

— Jack ma rację — powiedział, masując jej ramiona. — To mi nie przeszkadza.

Musnął wargami jej szyję, a Jack zaczął znów ją całować, powoli, leniwie. Nigdy przedtem nie czuła się tak kochana, tak pożądana. Tym razem, kiedy Jack zaczął rozpinać jej dżinsy, nie zaprotestowała.

Nie usłyszała też cichego szmeru przesuwającej się w kamerze wideo taśmy, zagłuszanego skutecznie przez muzykę.

Rozdział dwudziesty piąty

Piątkowy wieczór. Caitlin tkwi przed lustrem w łazience. Na umywalce, tam gdzie powinna leżeć mydelniczka, stoi na wpół opróżniona szklaneczka wódki. Caitlin przygląda się sobie krytycznie. Nie jest źle, ocenia. Inaczej niż zwykle. Zadała sobie tego wieczoru trud i to widać. Wybrała się w tygodniu na zakupy i wydała miesięczną pensję na markowy ciuszek, który znalazła w jednym z butików dzielnicy Marais. Zakochała się w empirowej sukience w stylu cesarzowej Józefiny, gdy tylko ją zobaczyła i uznała, że idealnie nada się na dzisiejszy wieczór.

Nie tylko ubrała się inaczej, lecz najechała też pokój Veronique i jej kosmetyczkę. Tusz i eyeliner podkreśliły szeroko rozstawione oczy w kolorze indygo, nadając twarzy ostrzejszy, mroczny wyraz; ciemno-wiśniowa szminka uwydatniła pełne, zmysłowe wargi. Nie wyglądała tak od bardzo dawna.

— Dobrze wyglądasz — powiedziała Veronique. Stała w drzwiach łazienki, obserwując koleżankę.

Caitlin uśmiechnęła się słabo. — Dzięki.

— Kiedy wychodzisz?

— Wkrótce — obiecała Caitlin. Wiedziała, że Veronique spodziewa się Jules'a i chciałyby mieć już mieszkanie dla siebie.

Veronique skinęła krótko głową. — Ucałuj ode mnie Luciena. Odeszła i zostawiła Caitlin samą.

Wkrótce, pomyślała Caitlin. Wkrótce wyjdzie. Tak naprawdę powinna była wyjść pół godziny temu. Po drugiej stronie miasta Lucien

będzie na nią czekał. Lecz od soboty jej odwaga gdzieś się ulotniła. W końcu podeszła do lodówki, znalazła wódkę Véronique i nałapała sobie solidną porcję. Nadal czekała, by alkohol objawił swą magiczną moc.

Zacisnęła dłonie na brzegach umywalki, próbując się uspokoić. Lucien to nie Elliott, powtarzała sobie. Tym razem będzie inaczej. Ma dwadzieścia lat. Nic jest już naiwną dziewczynką, która przybyła przed laty do Aldringham.

Czując się trochę lepiej, przełknęła resztę wódki, krzywiąc się, gdy trunek podrażnił jej gardło. Spojrzała jeszcze raz na swoje odbicie i uznała, że pora iść. Odstawiła szklaneczkę na umywalkę i odwróciła się od lustra. Lecz gdy to robiła, zawadziła dłonią o puste naczynie i szklaneczka spadła, rozbijając się na kafelkach. Wpatrywała się w kawałki szkła, czując, jak dreszcz przebiega jej po plecach. Mam nadzieję, że to nie jest zły znak, pomyślała.

Zanim dotarła po pół godzinie do Luciena, wódka zaczęła w końcu działać. Z każdą minutą dręczące ją wątpliwości słabły. Otworzyła żelazną bramę i ruszyła brukowaną alejką do apartamentowca, gdzie mieszkał. Kiedy wchodziła, inny mieszkaniec opuszczał właśnie budynek. Prześliznęła się obok niego i wbiegła na piąte piętro.

Otworzył jej drzwi, ubrany nietypowo w dżinsy i białą bluzę roboczą. Długie włosy miał związane. Poczowała, że się odpręża.

Tymczasem Lucien przebiegł po Caitlin spojrzeniem i uznał, że nie widział jej dotąd tak pięknej. Sukienka, makijaż, to, jak włosy opadały jej na twarz... Podobało mu się, że postarała się dla niego, uczyniła wysiłek, by wyglądać tego wieczoru szczególnie ładnie.

— *Tu es jolie, ma petite.*

Pochylił się, aby ją pocałować, ale wepchnęła mu w dłonie butelkę taniego bordeaux, które kupiła po drodze.

— Przyniosłam wino — powiedziała niepotrzebnie.

— Dzięki. — Zerknął na etykietę i uniósł brwi. — Ale naprawdę niepotrzebnie zadałaś sobie trud...

Zignorowała sarkazm w głosie Luciena i przepchnęła się obok niego.

Uwielbiała tu przychodzić. Mieszkanie stanowiło otwartą przestrzeń, pełną światła, z podłogami z jasnego klonowego drewna, po-

malowanymi na biało belkami stropowymi i wychodzącymi na południe oknami, z których roztaczał się widok na dachy i kominy Paryża.

Powiesiła żakiet na poręczu krzesła i ruszyła śladem woni cynamonu do malutkiej kuchenki, gdzie na kuchence dochodziła z wolna potrawa przypominająca z wyglądu gulasz. Zignorowała jedzenie, znalazła otwartą butelkę wina i nalała sobie kieliszek.

— Co gotujesz? — spytała Luciena, gdy wszedł. Oparta o blat, sączyła wino.

— El Ham Lahlou.

Uniosła brwi. — Brzmi skomplikowanie.

— To jagnię na słodko. Przepis mojej mamy.

Postąpił krok w jej stronę i wyciągnął ręce, jakby chciał objąć ją w talii, ale wymknęła mu się i zaczęła otwierać szuflady.

— Pachnie, jakby miało być wkrótce gotowe, nakryję więc lepiej do stołu. — Wyjęła jakieś sztucce, odwróciła się i wskazała rondel.

— Może powinienes to zamieszać. Byłoby szkoda, gdyby się przypaliło.

Gdy wybiegała z kuchni, obrzucił ją dziwnym spojrzeniem, ale nic nie powiedział. Zanim wróciła, był już zbyt zajęty nakładaniem, aby poruszyć temat, który najwyraźniej go niepokoił.

Posiłek okazał się w każdym calu tak dobry, jak się zapowiadał. Jagnię było słodkie i delikatne, przesycone wonią północnoafrykańskich przypraw: cynamonu i pomarańczy. Ale choć potrawa była doskonała, Caitlin z trudem zmuszała się do jedzenia. Przesuwała po talerzu grudki kuskusu z masłem, mając nadzieję, że Lucien tego nie zauważy. Zamiast jeść, skupiła się na picciu wina. Lucien wyjaśnił jej, że to algierskie Chateau Mansourah. Jakkolwiek się nazywało, bardzo jej smakowało. Nie zdawała sobie sprawy, ile wypiła, póki Lucien nie powstrzymał jej, gdy chciała dolać sobie po raz kolejny.

— Może powinnaś trochę zwolnić, *cherie*. Nie zjadłaś zbyt dużo.

— Wskazał niemal pełny talerz Cailin. — Alkohol uderzy ci do głowy.

— Wszystko ze mną w porządku — powiedziała sztywno.

— Na pewno, Caitlin? — zapytał, przyglądając się jej. — Bo jeśli nie czujesz się dobrze, odwiozę cię do domu.

Nie! zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzyła. Uznała, że skoro już tu jest, niech ma to wreszcie za sobą. — To znaczy, nie chcę jechać do domu — powiedziała znacznie łagodniej. — Chcę zostać tutaj... Z tobą.

By to udowodnić, pochyliła się i go pocałowała. Był to krótki pocałunek, trwający zaledwie kilka sekund, a potem się odsunęła.

Lucien patrzył na nią rozdarty między pożądaniem a przekonaniem, że coś nie jest do końca tak, jak powinno. Piła zbyt dużo i wykonała pierwszy ruch... Takie zachowanie zupełnie do niej nie pasowało.

Może i spróbowałby z nią porozmawiać, gdyby nie to, że wargi miała z lekka rozchylone, a kiedy powędrował spojrzeniem niżej, zauważył, że jej oddech przyspiesza, a cudowne piersi unoszą się, napierając na aksamitny stanik sukienki. Nie pragnął jej nigdy aż tak bardzo. Toteż zamiast wyprawić Caitlin do domu, ujął jej dłoń i poprowadził dziewczynę spiralnymi schodami na antresolę, do swej sypialni.

Była już w tym pokoju wiele razy. Typowa kawalerska sypialnia miała białe ściany, gołe podłogi i skromne umeblowanie. Jednak ostatnim razem była tu w dzień, gdy słońce wlewało się przez otwarte okna. Teraz, wieczorem skąpo oświetlony pokój wydał jej się zupełnie inny. Belki podpierające pochyły dach rzucały tajemnicze cienie. Usiadła na skraju łóżka, czując się tak, jakby serce zaraz miało wyskoczyć jej z piersi.

Lucien nie zauważył widać, że coś jest nie w porządku. Usiadł tuż obok, odgarnął jej włosy z twarzy i powiedział: — Nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, jak bardzo na to czekałem, *cherie*.

Caitlin zaschło w ustach. Zamiast odpowiedzieć, zamknęła oczy, on zaś pochylił głowę i zaczął ją całować.

Próbowała wyprzeć z umysłu wszelką myśl, wyobrazić sobie, że znajduje się gdzie indziej. Wierzyła, że jeśli uda jej się dziś przez to przebrnąć, wszystko będzie w porządku. Na zewnątrz pogoda się zmieniła i rozpętała się burza. Kiedy leżała tak na poduszkach, słyszała, jak strugi deszczu bębnią o świetlik w dachu.

Czuła na ciele jego błędzące dłonie. Zmusiła się, by leżeć spokojnie, kiedy całował ją i pieścił. Lucien zdawał się nie zauważać, że na to nie reaguje. Tak bardzo pograżył się we własnym wyobrażeniu

tego, jak powinien zakończyć się ten wieczór, że nie był w stanie dostrzec, co się naprawdę dzieje.

Ukląkł nad Caitlin i przytrzymując jedną ręką jej nadgarstki, zaczął rozpinąć guziki sukni. Nie spodobało jej się to, gdyż czuła się zniewolona, bezradna. Alkohol wcale nie pomógł — sprawiał jedynie, że czuła się jeszcze bardziej bezwolna. Odwróciła od niego głowę, próbując coś powiedzieć.

— Lucien, nie...

Lecz on nie słyszał. Wtulił usta w jej szyję, a jego ciało, spoczywające obok jej ciała, blokowało drogę, nie pozwalając Caitlin się poruszyć. Zaczęła walczyć, lecz Lucien sądził widzieć, że to część gry wstępnej, gdyż ścisnął tylko mocniej jej nadgarstki.

— Lucien, proszę...

Szarpnęła się gwałtownie, a on roześmiał się cicho, biorąc jej opór za miłosny zapach.

Później nie była w stanie przypomnieć sobie, co dokładnie zaszło. W jednej chwili leżeli razem, oddając się pieszczotom, a w następnej gramoliła się na drugą stronę łóżka, zapinając w pośpiechu guziki, podczas gdy Lucien kuczał, pocierając policzek i patrząc na nią, jakby postradała nagłe zmysły.

— Co jest z tobą, u diabła, nie tak, Caitlin? — zapytał szorstko, pokrywając troskę i zakłopotanie ze wszech miar usprawiedliwionym poirytowaniem.

Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy.

— Muszę iść — powiedziała cicho, prawie nieobecny tonem. Skończyła poprawiać ubranie, wcisnęła stopy w buty i ruszyła ku schodom.

— Caitlin, zaczekaj... — Podążył za nią na parter, zobaczył, że zmierza ku drzwiom i zablokował jej drogę.

— Caitlin, proszę... — Widziała, że stara się zachować spokój. — Powiedz, co się dzieje? Nie rozumiem...

— Proszę, zjeżdż mi z drogi, Lucien. Spróbowała go wyminąć, lecz chwycił ją za ramiona.

— Puść! — Skrzywiła się pod dotykiem jego dłoni.

— Jezu, Caitlin. — Cofnął dłonie i odsunął się, potrząsając głową.

Sięgnęła do klamki i otworzyła drzwi. Na progu zmusiła się, aby na niego spojrzeć.

- To nie był po prostu dobry pomysł — powiedziała, próbując zignorować wyraz bólu i konsternacji w jego spojrzeniu. — Powinnam już iść.

Gdy zbiegła po schodach i wypadła z klatki schodowej na deszcz, nadal słyszała za sobą jego wołanie.

Rozdział dwudziesty szósty

Na tydzień przed planowanym otwarciem butiku Elizabeth zadzwoniła do ojca, by zdać mu relację z postępów. Rozmowa była krótka, nawet jak na nich. Ojciec wydawał się nieobecny duchem, więc po chwili Elizabeth się poddała.

— Nadal zamierzasz przylecieć do Tokio w przyszłym tygodniu?

— spytała wreszcie.

— Obawiam się, że nie dam rady. Jestem tu zbyt uwiązany. Była rozczarowana, ale nie zaskoczona. Niemal spodziewała się, że odwoła przyjazd.

— Kto przyleci zamiast ciebie? Wujek Piers?

— Nie. Zamierzam wysłać Cole'a. Elizabeth wyprostowała się na krześle.

— Ach, tak. — Przeczesała bezwiednie dłonią jasne włosy.

— Kiedy wylatuje? — spytała tak zwyczajnym tonem, jak tylko była w stanie.

Po pięciu minutach rozmowy odłożyła słuchawkę. Wyszła z gabinetu, nucąc. Chihiro, jej sekretarka, podniosła zaskoczona wzrok. Rozmowa z ojcem wprawiała zwykle Elizabeth-san w zły nastrój. Tym razem było inaczej. Ciekawe dlaczego, pomyślała.

Cole zadzwonił później tego samego dnia.

— Ojciec uprzedził cię, że przylatuję sprawdzić, jak sobie poradziłaś?

Owszem - powiedziała, dodając śmiało: Jestem pewna, że będziesz pod wrażeniem.

Jej pewność siebie wzbudziła w nim wesołość, dokładnie tak, jak się tego spodziewała.

— Nie tak łatwo wyrzeć na mnie wrażenie — odparł, przeciągając głoski.

— Cóż, chętnie podejmę to wyzwanie.

— Jestem tego pewien.

Uwaga zawisła na chwilę w powietrzu, gdyż żadne nie wiedziało, co z nią zrobić.

— A co poza tym dzieje się w Londynie? — spytała Elizabeth, nim cisza stała się jeszcze bardziej krępująca.

Rozmawiali przez chwilę, przekomarzając się. A kiedy odkładali po czterdziestu minutach słuchawki, oboje się uśmiechali świadomi, że będą wyczekiwali zbliżającego się weekendu.

Następne siedem dni było najbardziej zwariowane i ekscytujące w całym życiu Elizabeth. Przyglądanie się jak to, co wymyśliła i zaplanowała, stopniowo staje się rzeczywistością, przewyższało pod względem doniosłości każde inne wydarzenie, każde osiągnięcie.

Niewątpliwie dużą rolę odegra! tu fakt, że butik Melville'a okazał się takim hitem. Elizabeth trzymała się konsekwentnie tematu starej Anglii, zastępując zwyczajowe przyjęcie z drobnymi zakąskami oraz szampanem tradycyjną angielską herbatką — kanapki z ogórkiem, ciepłe placuszki, kwaśna śmietana i dzbanki herbaty Twinings English Breakfast znikwały w mgnieniu oka. Pełne zachwyty opisy uroczystości ukazały się we wszystkich opiniotwórczych gazetach i czasopismach, frekwencja przewyższyła zaś dziesięciokrotnie najbardziej optymistyczne przewidywania Elizabeth. Jeśli ten trend się utrzyma, koszt otwarcia sklepu w Tokio zwróci się po kilku miesiącach.

Przyjemnie było mieć w pobliżu Cole'a, aby świętować wraz z nim sukces. Po tylu miesiącach trudów nagroda smakowała cudownie. Kiedy zamęt towarzyszący otwarciu i pierwszym dniom działalności nieco się uspokoił, zaczęli spędzać ze sobą więcej czasu i okazało się to wcale nie takie złe.

W wieczór otwarcia zostali w sklepie do pozna, doglądając liczenia pieniędzy i sprawdzając pierwsze statystyki sprzedaży. Zanim skończyli, umierali oboje z głodu.

Elizabeth zaproponowała, by przeszli piechotą do najbliższego *izakaya*, japońskiego odpowiednika baru z przekąskami, gdzie często jadła z kierownictwem sklepu.

— Nie sądziłbym, że to twój typ restauracji — zauważył Cole, rozglądając się po sali. Było tu tłoczno i tanio — najwidoczniej zabrała go do lokalu, gdzie ludzie zaglądali chętnie po pracy.

— Wiem, co to zabawa, Cole — odpaliła zadowolona, że potrafiła go zaskoczyć. A kiedy podeszła do nich kelnerka, zamówiła piwo — wywołując tym kolejne uniesienie brwi Cole'a.

Po kilku piwach i sporej ilości dań uznali, że mają wreszcie dość.

— Jak tam Kathleen? — spytała Elizabeth.

— Dobrze. — Cole zamilkł, by połknąć łąpczywie ostatnie *yaki-toń*, a potem spojrzał na Elizabeth. — Wiesz, nic jesteśmy parą. I jeśli już o tym mowa, nigdy nic byliśmy. W wieczór po prezentacji poszliśmy po prostu na przyjacielskiego drinka.

Elizabeth wzruszyła z pozorną obojętnością ramionami. — To nie moja sprawa.

Lecz w duchu cieszyła się, że Cole zechciał wyjaśnić jej sytuację.

Uznała, że dał jej w ten sposób zielone światło. Po tym wieczorze starała się nosić tak skąpe stroje, jak tylko było to możliwe. Nie obchodziło jej, czy zachowuje się profesjonalnie. Chciała, by Cole dostrzegł w niej kobietę. Miała świadomość, że przyleciał do Tokio na krótko. Jeśli coś miało się wydarzyć, powinno wydarzyć się wkrótce. A nie była typem osoby skłonnej potulnie czekać.

Strategia okazała się skuteczna. Cole zauważył jej starania. Nie mogło być inaczej. Udawał jednak, że go to zupełnie nie obchodzi. Powtarzał sobie, że pracuje dla jej ojca, że pewnego dnia Elizabeth stanie na czele spółki i że to kiepski pomysł, pakować się w romans z córką pracodawcy. Problem polegał jednak na tym, że choć starał się zachować rozsądek, Elizabeth była bystra, seksowna i zdecydowana go uwieść. Ignorowanie jej coraz bardziej skąpych strojów to jedno. Ignorowanie własnego pożądanego, objawiającego się kłopotliwą erekcją, to coś zupełnie innego.

Sytuacja osiągnęła punkt krytyczny w ostatni wieczór pobytu Cole'a w Tokio. Pracowali do późna w biurze Elizabeth, sprawdzając wyniki za pierwsze dwa tygodnie. Elizabeth zrzuciła buty, oparła się na krześle i położyła stopy na biurku, o kilkanaście zaledwie centymetrów od miejsca, gdzie pracował Cole.

— Boże, ależ jestem zmęczona — powiedziała, przeciągając się demonstracyjnie. Krótka sukienka podjechała w górę, odsłaniając parę jędrnych ud.

Cole chrząknął, skupiając z trudem wzrok na monitorze. Zdawał sobie sprawę, że Elizabeth próbuje zwrócić na siebie uwagę i nie chciał połknąć przynęty. Po chwili skrzyżowała smukłe kostki. Zerknął z ukosa na zadbane paznokcie jej stóp, a potem powędrował bezwiednie spojrzeniem wzdłuż długich opalonych nóg.

Oderwał od nich wzrok i zmusił się, by spojrzeć znowu na ekran. Po chwili uświadomił sobie jednak, że nie ma pojęcia, na co właściwie patrzy. Cholera, pomyślał. Zamknął z rozmachem laptop. Spojrzała na niego zaskoczona.

— Wyjdźmy stąd — powiedział gwałtownie. Uniosła pytająco brwi.

— Masz rację — powiedział. — Ja też jestem zmęczony. Powinniśmy wrócić do hotelu, nieco się odświeżyć i kontynuować pracę w pokoju.

Była to kiepska próba zrzucenia odpowiedzialności za to, co miało nastąpić. Oboje wiedzieli bowiem doskonale, że kiedy już znajdą się w hotelu, ostatnią rzeczą, jaką zrobią, będzie włączenie laptopów. Elizabeth także to zrozumiała i się uśmiechnęła.

— Taaa — powiedziała z udawaną powagą. — Jestem pewna, że w hotelu pójdzie nam o wiele lepiej.

Zebrali pośpiesznie swoje rzeczy i złapali taksówkę. Do Park Hyatt, gdzie się oboje zatrzymali, nie było daleko. Przez całą drogę nie odezwali się do siebie nawet słowem.

Komuś z zewnątrz mogliby wydać się parą kolegów wracających z pracy jedną taksówką. Ale kierowca nie bez powodu co i rusz na nich zerkał, wyczuwając napięcie. Na dodatek Elizabeth nie przestawała postukiwać niecierpliwie palcami o skórzany podłokietnik.

W końcu byli na miejscu. Cole rzucił taksówkarzowi kilka monet i wysiadł, nie czekając na resztę, chociaż w Japonii nie dawało się napiwków. Wyciągnął rękę i pomógł Elizabeth wysiąść. Ich palce się zetknęły i oboje poczuli się tak, jakby przeskoczyła pomiędzy nimi iskra.

— Twój pokój czy mój? — spytała żartobliwie Elizabeth, kiedy czekali na windę. Mieli identyczne apartamenty, położone jeden obok drugiego.

— Czuję się pewniej na własnym gruncie.

— Zatem u mnie — odparła Elizabeth, uśmiechając się słodko.

Po chwili byli już na swoim piętrze. Cole wymamrotał coś na temat zmiany ubrania. Znalazłszy się w swoim pokoju, Elizabeth przebrała się w jedwabne kimono, otworzyła butelkę szampana i nalała sobie kieliszek.

Zapukano cicho do drzwi. W dzinsach i swetrze Cole wyglądał doskonale, nie tak poważnie. Zauważyła, że zdążył opłukać twarz.

Cole miał nadzieję, że kiedy zostanie na chwilę sam, zdoła zapanować nad pożądaniem. Całe opanowanie prysło jednak, kiedy zobaczył Elizabeth. Przywykł widywać ją podczas pracy. Nawet kilka ostatnich dni, kiedy rozmyślnie starała się podgrzać atmosferę, nie przygotowało go na to, co właśnie zobaczył: Elizabeth w roli drapieżnika. Stała upozowana w progu. Z wy szcnot kowanymi do połysku złotymi włosami, w krótkim czarnym kimonie wyglądała jak droga dziwka. Bardzo droga.

— Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza — powiedziała, rozkoszując się tym, jak na nią patrzy. — Pomyślałam jednak, że wśliznę się w coś wygodniejszego.

Chrząknął. — Nie ma problemu.

Kiedy szedł za nią korytarzem, uśmiechnęła się do siebie. Po tylu miesiącach nieustannego upokarzania podobało jej się, że teraz to ona kontroluje sytuację.

— Napijesz się czegoś? — spytała, gdy weszli do saloniku. — Zostało jeszcze pół butelki przyzwoitego szampana.

Ruszyła do barku, iecz Cole był szybszy. Westchnęła zaskoczona, gdy objął ją w tali, obrócił i przyciągnął do siebie. W jego czarnych oczach płonęła niecierpliwość.

Nie chcę przekłętego szampana burknął. Nagle uświadomiła sobie, jak dalece przewyższa ją wzrostem i siłą. Przyciśnięta do jego piersi, pomyślała, że są do siebie podobni. Tak jak ona nie lubił, aby cokolwiek mu dyktowano. Przez całe popołudnie z nim pogrywała i teraz chciał odzyskać kontrolę.

Trzymał ją za nadgarstek na tyle mocno, że trochę bolało, nie zamierzała jednak się skarżyć. Był teraz tak blisko, że czuła na twarzy jego oddech, a przy sobie ciepłe i umięśnione ciało. Już miała wykonać kolejny ruch, lecz ją uprzedził — sięgnął do paska kimona i go rozwiązał. Strząsnęła z ramion gładki jedwab. Opadł, tworząc na podłodze miękką kałużę. Stała przed nim naga, jeśli nie liczyć wążutkiego paska czarnej koronki. Przesuwał po niej wzrokiem, pożerając spojrzeniem długie nogi, twardy brzuch, jędrne piersi, całe jej smukłe ciało bez grama zbędnego tłuszczu.

— Nieźle — powiedział. — Naprawdę nieźle. Elizabeth cofnęła się o krok.

— Nieźle! — wykrzyknęła z gniewem. — A co to niby miało znaczyć...

Słowa zamarzy jej na wargach, gdy sięgnął w dół i objął silnymi palcami jej wznórek. Natychmiast zapomniała, co ją tak rozżłościło. Przez cienki materiał bielizny mógł wyczuć, że jest wilgotna. Naparła na jego dłoń, jakby chciała potwierdzić to, co już wiedział. A potem otarła się o niego powoli, z rozmysłem.

— Hmm — wymamrotał zadowolony z jej reakcji. — Podoba ci się, co?

Westchnęła cicho w odpowiedzi. Widziała, że on też jest już podniecony, twardy członek wybrzuszał bowiem materiał spodni. Sięgnęła do paska dzinsów, lecz ją powstrzymał.

— Jeszcze nie, skarbie. — Był tak rozpalony, że gdyby go teraz dotknęła, w sekundę byłoby po wszystkim. Nie najlepszy sposób, by wyrzucić na niej wrażenie. Zamiast tego ukląkł, wcisnął kciuki z boku pod stringi i zsunął cienki pasek czarnej koronki z jej bioder. Odczekał pełną napięcia chwilę, a potem pochylił głowę i zaczął pieścić ją językiem — z początku delikatnie, a potem intensywniej, póki nie zaczęła jęczeć.

Czuła drobne skurcze zwiastujące rychle nadejście orgazmu. On także widać je wyczuł, pchnął bowiem Elizabeth na łóżko i zaczął się rozbierać. Czekala naga i zniecierpliwiona, aż stanie w końcu przed nią, pozwalając, by dobrze mu się przyjrzała, jak przedtem on przyglądał się jej. Miał piękne ciało, wyjątkowo duże, jędrne i umięśnione.

Nie mogła czekać ani chwili dłużej. Pociągnęła Cole'a w dół, objęła nogami w pasie i wessała w siebie. Zaczął poruszać się w niej, a ona poruszała się wraz z nim, odpowiadając pchnięciem na pchnięcie. Boże, Boże... Wszelka myśl uleciała jej z głowy.

Krzyknęła z rozkoszy, a Cole tuż po niej.

Gdy obudziła się następnego ranka i zobaczyła, że Cole nadal z nią jest, poczuła się zaskoczona i trochę zirytowana. Spodziewała się, że wyjdzie dyskretnie w nocy i wróci do swego pokoju. Tymczasem leżał tu sobie, przyciskając ją ramieniem, jakby nie zamierzał pozwolić jej odejść.

Wyśliznęła się ostrożnie z łóżka, wzięła prysznic i się ubrała. Na szczęście gdy wychodziła, Cole nadal spał. Na dole czekał na nią samochód. O ósmej siedziała już przy biurku.

Cole pojawił się po godzinie. Zerknęła na niego, gdy wszedł, a potem opuściła znów wzrok na biurko.

— Dzień dobry, Cole.

Cole nie wyczytał widać nic z tonu jej głosu, przysiadł bowiem na skraju biurka Elizabeth i się uśmiechnął.

— Hej, nie spodziewałem się, że tak mi rano uciekniesz. Co się stało?

Spojrzała na niego obojętnie. — Nic. Miałam po prostu trochę pracy.

— Zamilkła na chwilę, a potem dodała: — Prawdę mówiąc, teraz też jestem mocno zajęta. Chciałbyś o czymś porozmawiać?

— Zastanawiałem się po prostu, czy nie wyskoczyłabyś ze mną wieczorem na kolację. — Nadal nie wyczuł, w jakim Elizabeth jest nastroju. — Wylatuję o dziesiątej, lecz moglibyśmy wyjść wcześniej...

— Po co? Chciałbyś coś przedyskutować?

Cole zmarszczył brwi. — Właściwie nie. Pomyślałem tylko, że miło byłoby... cóż, pobyć trochę razem. Odłożyła pióro i głośno westchnęła.

z powodu wczorajszej nocy? - spytała wprost. Zamrugał zaskoczony pytaniem. — Tak, przypuszczam, że tak. Pomyślałem...

- Pomyślałeś, że wstałam wcześniej, ponieważ nie mogłam znieść myśli, że się z tobą przespałam?

Tym razem Cole nie pofatygował się, by odpowiedzieć.

Uśmiechnęła się chłodno. — Pozwól więc, że zaoszczędzę ci zmartwienia. — Mówiła wolno i wyraźnie, jakby wyjaśniała coś dziecku. — Wczoraj chodziło tylko o seks. Dwoje czujących do siebie pociąg ludzi, idących za głosem natury. No wiesz, drapanie swędzącego miejsca...

— Hej, nie ma potrzeby tak mówić...

— Owszem, jest. — Odchyliła się na krześle, by mu pokazać, że sytuacja sprawia jej przyjemność. — Widzisz, pragnęłam tylko trochę się zabawić, cieszyć się chwilą. A to rozdzierające serce *post mortem* wszystko psuje.

Cole przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. Widziała, że stara się zapanować nad furją.

— Doskonale — powiedział w końcu. — Zrozumiałem. Jak sobie życzysz, Elizabeth.

Co powiedziawszy, usiadł, włączył laptop i zabrał się do pracy.

Przez resztę dnia nie odzywali się do siebie, a kiedy wychodził wieczorem, by udać się na lotnisko, pożegnali się chłodnym: „do widzenia”. Elizabeth została w biurze jeszcze przez godzinę, a potem wróciła do hotelu.

Dopiero wtedy, w ciszy swego apartamentu, z perspektywą spędzenia kolejnego wieczoru w samotności, zaczęła się zastanawiać, czy aby nie popełniła właśnie poważnego błędu.

Rozdział dwudziesty siódmy

Rosalind Melville umierała i była tego całkowicie świadoma. Śmierć przesyciała każdy metr elegancko umeblowanego mieszkania w Mayfair. Jej świat skurczył się do rozmiarów jednego pokoju. Powietrze w głównej sypialni ciężkie było od miazmatów śmierci i duszącego odoru nocnika, który został co prawda opróżniony, lecz nie wydezynfekowany jak należy. Okien nie otwierano od tygodni.

Teraz mało kto ją odwiedzał. Większość przyjaciół odeszła przed nią. Pamiętała czasy, kiedy co tydzień odbywało się gdzieś wesele, po weselach zaś następowały nieodmiennie chrzciny. A po jakimś czasie zaczęły się pogrzeby. Jej będzie zapewne następny. Większość ludzi nie opuściłaby po drugim zawale szpitala. Lecz oczywiście Rosalind otrzymała najlepszą opiekę, jaką mogły zapewnić pieniądze. Pozwolono jej wrócić do domu, gdzie sztab pielęgniarek czuwał przez okrągłą dobę nad jej zdrowiem. Karmiły ją inhibitorami ACE, nauczono je również, jak posłużyć się defibrylatorem. Urządzenie stało w kącie pokoju, zajmowanym kiedyś przez antyczną toaletkę.

Przekonała się, że w ostatecznym rozrachunku można liczyć jedynie na rodzinę. Synowie regularnie ją odwiedzali, podobnie Elizabeth, jeśli przebywała akurat w Londynie. Dziś była sobota, William wyjechał więc zapewne do Aldringham, lecz Piers z pewnością spędzi z nią wieczór. Przez całe lata żałowała, że młodszy syn się nie ożenił. Teraz była z tego zadowolona. Mógł bowiem przesiadywać z nią godzinami, trzymając za rękę i czytając na głos, jak teraz, *Wojnę i pokój*. Dziś trudno jej było jednak się skupić i często gubiła wątek.

Wyciągnęła rękę i uściśnięła dłoń syna. Wystarczy na dziś, kochanie. — Nawet ją zaskoczyło, jak słaby ma głos. Była pewna, że to nie potrwa długo. Piers zrobił, co mu powiedziała. Wsunął do książki zakładkę i odłożył tom na nocny stolik.

— Mówiłem ci już, co wymyślił ten Cole Greenwood? — zapytał. Rosalind uśmiechnęła się leciutko. Piers nie potrafił usiedzieć chwili w przyjaznej ciszy.

— Nie — powiedziała. — Chyba nie. — Zaczął uskarżać się na zmiany w strategii firmy, czyniąc delikatne aluzje, które nie mogły umknąć uwagi Rosalind. Wiedziała, o co mu tak naprawdę chodzi. William potrafił być zmienny. Ten Cole Greenwood awansował widać na pierwszego doradcę, a tę pozycję Piers zwykł uważać za swoją. Nienawidził, kiedy ktoś stawał pomiędzy nim a bratem.

Kiedy zaczął objaśniać zawile, w jaki sposób zamierzają obronić się przed przejęciem, uświadomiła sobie, że już jej to nie obchodzi. Firma, którą tak kochała, nagle wydała jej się nic nieznacząca. Wszystkie lata spędzone na wytężonej walce o pieniądze i władzę wydawały się bezsensowne w obliczu śmierci.

To było objawienie. Coś, co przyszło do niej podczas długich dni spędzonych w łóżku. Uświadomiła sobie, że po tym jak przez lata uganiała się za dobrami materialnymi i pozycją, teraz liczy się jedynie to, aby umarła w spokoju.

Ostatnio wiele rozmyślała o swoich ostatnich działaniach. A w miarę jak zbliżała się śmierć, rzeczy, które przedtem wydawały się tak istotne, traciły na znaczeniu. Na przykład zmiana testamentu. Wiedziała, że zmieniając jego postanowienia, zrani dotkliwie Williama i nie chciała zostawić po sobie tego rodzaju dziedzictwa. Zwłaszcza powody tych zmian, tak istotne przed pięcioma laty, teraz nie wydawały się już ważne.

Zacząła się też zastanawiać, czy postąpiła mądrze, zostawiając Amber udział w firmie, choć wnuczka miała je przejąć dopiero, gdy skończy dwadzieścia jeden lat. Lecz zmiana testamentu nie była najważniejsza. Gnębiło ją coś jeszcze. Coś, o czym powinna była powiedzieć Williamowi dawno temu.

Dotyczyło to Katie O'Dwyer i tego, co przydarzyło się jej przed laty.

Zamierzała porozmawiać tego wieczoru z Piersem. Wiedziała, że synowi nie spodoba się to, co usłyszy. Pięć lat temu przyrzekła mu, że nie piśnie słówka o tym, co zrobili. Zażądał tego, gdyż wiedział, iż naraziłoby to na szwank jego stosunki z bratem. Teraz zamierzała wycofać się obietnicy. Nie chciała umierać, mając nieczyste sumienie. Musiała wyprostować sprawy z najstarszym synem.

Spojrzała na paplającego bez ustanku Piersa i uświadomiła sobie, że czuje się zbyt zmęczona, by rozmawiać. Będzie jednak musiała wkrótce to zrobić. Nim będzie za późno.

Rozdział dwudziesty ósmy

Zdaniem Billy'ego Rainera seks był najlepszą pigułką nasenną. W solidnym, mocnym dymanku wieczorem było coś takiego, że zawsze spał po nim jak dziecko. Chodziło o chemię. Wytrysk uwalniał w mózgu hormony, które wyłączały człowieka niczym żarówkę. Przeczytał o tym w jakiejś gazecie, co było dziwne, nie czytał bowiem zbyt dużo. Po chwili zastanowienia uznał, że chyba raczej usłyszał o tych hormonach w talk show Rikki Lake. Tak, pokiwał z namysłem głową, to już bardziej prawdopodobne.

Zaciągnął się po raz ostatni papierosem — palenie po seksie stanowiło rytuał, z którego nie potrafił zrezygnować — a potem wrzucił niedopałek do najbliższej puszki po piwie i opadł na sofę. Cienka kołdra nie widziała wnętrza pralki, odkąd się wprowadził, przesiąkła więc zastarzałą, słodkawą wonią jego nasienia. Nie mógł już się doczekać, by wynieść się z tej nory. W przyszłym tygodniu, kiedy tylko dostaną pieniądze, przeprowadzą się z Jackiem do większego i lepszego lokum. A wszystko to dzięki Amber Melville.

To, że ją poznali, stanowiło łut szczęścia. Od razu zorientował się, że ta dziewczyna to kopalnia złota. Młoda, naiwna i bezwstydnie bogata — jednym słowem, manna z nieba. Dostarczała im niezłej rozrywki. Pewnego razu namówili ją, by przyszła ubrana w szkolny mundurek. Cholera, ten film... zarobią na nim krocie. Anielsko jasne włosy, związane w kucyki; piersi nastolatki opięte zbyt ciasnym podkoszulkiem; obcisła króciutka spódniczka i brak bielizny pod spodem... na samą myśl o tym poczuł, że mu staje. Przesunął dłonią

po szortach i sięgnął do na wpol wzwiedzonego członka, jeszcze wilgotnego po ostatnim razie. Spojrzał na śpiącą obok dziewczynę, której imienia nie potrafił sobie przypomnieć, i przez chwilę zastanawiał się, czy zdoła dobudzić ją na tyle, żeby mu obciągnęła.

Już miał nią potrząsnąć, kiedy usłyszał, że pod dom podjeżdża samochód. Po zasłonach przesunęły się światła reflektorów. Natychmiast zorientował się, że coś nie gra. Nie spodziewał się gości. O ile wiedział, Jack także nie. Może kierowca po prostu się pomylił. Za chwilę zorientuje się, że źle skręcił i zawróci.

Lecz nic takiego się nie stało. Zazgrzytały hamulce i silnik zgasł. Trzaśnięcie zamykanych drzwi i chrzęst żwiru pod stopami podpowiedziały mu, że przybyszy musi być kilku.

Zatrzymali się przed drzwiami wejściowymi. Dzwonek nie działał. Chwilę zajęło im zorientowanie się, że nie ma sensu go naciskać. A potem usłyszał pukanie. Trzy krótkie, głośne stuknięcia zadudniły na twardym drewnie, a po nich nastąpiła złowroga cisza.

Instykt podpowiadał mu, że lepiej nie otwierać. W domu nie paliło się światło, a na podjeździe nie było samochodu. Jeśli będzie siedział cicho, oni — kimkolwiek są — dojdą do wniosku, że nikogo nie ma i sobie pójdą.

Leżał w ciemności, czekając. Jedynymi słyszalnymi odgłosami było tykanie zegara i głośne, coraz głośniejsze bicie jego serca. Przez chwilę miał nadzieję, że odchodzą. A potem usłyszał głośne łupnięcie. Dziewczyna obok się poruszyła.

Bum-bum-bum.

Serce zamarło mu w piersi. Jezu, wyważają drzwi.

Zerwał się na równe nogi i zaczął macać rozpaczliwie dookoła w poszukiwaniu ubrania, beztrąsko rzuconego wcześniej na podłogę. Może zdoła wymknąć się tyłem... Lecz wtedy usłyszał ostatnie, potężnie łupnięcie, a po nim trzask pękającego drewna.

Zamarł z jedną nogą w nogawce dzinsów. Znalezienie go nie zajęło im wiele czasu. Trzech osiłków z kijami baseballowymi i twarzami bez wyrazu.

Nie odezwali się, nie zapytali, jak się nazywa. Zrobili po prostu to, za co im zapłacono — spuścili mu łomot.

Pierwszy cios trafił w żołądek, sprawiając, że Billy zgiął się wpół. Drugi rzucił go na kolana. Postanowienie, by przyjąć lanie jak mężczyzna, rozwiało się, kiedy kij trafił go w twarz, gruchocząc kość policzkową. Wrzasnął z bólu.

— Proszę... nie... — zaskomlał. — To z pewnością pomyłka... Powiedzcie tylko, czego chcecie... Możemy się dogadać.

Ale nie byli tym zainteresowani.

Dziewczyna wreszcie się obudziła. Nie słynęła z inteligencji, lecz nawet ona szybko zorientowała się, co jest grane. Chwyła ubranie i bardzo rozsądnie wymknęła się z domu.

Gdy wyszła, Billy przypomniał sobie w końcu, jak ma na imię. — Michelle! — zawołał, lecz go zignorowała. Nie znali się na tyle, by chciała ryzykować, że też oberwie.

Złamanie go nie zajęło im dużo czasu — zaledwie pięć minut — i nawet się przy tym nie spocili. Tymczasem on leżał skulony na podłodze, szlochając jak dziecko. Kije ubabrane były krwią i fragmentami skóry. Dwa zęby leżały na dywanie. Wyglądały na siekacze, lecz nie mógł być pewien, wszystko bolało go jak diabli.

W końcu mężczyźni się odsunęli. Leżał spokojnie, zastanawiając się, na co czekają. A potem usłyszał, że ktoś nadchodzi korytarzem. W progu pojawiła się jakaś postać. Billy podniósł wzrok i kątem za-puchniętego oka zobaczył, że stoi nad nim starszy mężczyzna w grafitowym garniturze. W przeciwieństwie do tamtej trójki, ten z pewnością nie posługiwał się w pracy kijem baseballowym. Lecz w lodowatym spojrzeniu jego oczu było coś, co przeraziło Billy'ego jeszcze bardziej. Tamci robili po prostu to, co im zlecono. Dla tego faceta była to sprawa osobista.

Mężczyzna wyciągnął rękę po kij. Podniósł go i Billy uzbroił się wewnętrznie, czekając na cios. Zamknął oczy, mając nadzieję, że bicie wkrótce się skończy. I była to ostatnia myśl, jaka zagościła na dłuższy czas w jego umyśle.

William Melville trącił stopą w szytym na miarę bucie bezwładne ciało Billy'ego. Pobity jęknął cicho, potwierdzając, że jest co prawda nieprzytomny, ale żywy. William nie był pewny, co w związku z tym czuje.

Jego mała dziewczynka. Okropne rzeczy, jakie te zwierzęta jej zrobiły... Zamknął oczy, próbując o tym nie myśleć. Na szczęście Billy okazał się na tyle głupi, że kiedy zaoferował taśmy facetowi z branży, z którym się skontaktował, zaczął przechwalać się, kto odegrał główną rolę w jego filmie. Dystrybutor porno — wierście lub nie, nazywał się Randy Dickson, Lubieżny Syn Fiuta — rozpoznał nazwisko Melville, dostrzegł szansę szybkiego zarobku i skontaktował się z Williamem, zakładając słusznie, że ten będzie gotów zapłacić małą fortunę, aby wideo nie ukazało się na rynku. Kolejna suma przeszła z ręki do ręki i William otrzymał nazwiska oraz adresy dwóch łobuzów, którzy to zorganizowali.

Mógł pójść na policję, nie chciał jednak ryzykować, że sprawa wyjdzie na jaw. Zamiast tego postanowił, że sam dokona zemsty. Na Old Kent Road roіło się od facetów chętnych wykonać drobną robótkę bez zadawania pytań. Najpierw dopadli Jacka. Zmusili go do zatrzymania ciężarówki, a potem zostawili, mocno pokrwawionego, na poboczu autostrady. Następnie złożyli wizytę Billy'emu. William nie sądził dotąd, iż może być zdolny do przemocy. Jednak wymierzenie tych ostatnich ciosów sprawiło mu nie lada satysfakcję.

Niestety, to była łatwiejsza część problemu. Teraz musiał zrobić coś z Amber. Zabrał ją wcześniej tego wieczoru ze Stirling Hall i postanowił, że córka już tam nie wróci.

Teraz czekała na niego w bentleyu, zalewając się łzami. Nie postanowił jeszcze, co z nią zrobi.

Isabelle chciała, by córka została przez jakiś czas w domu, z nimi. Twierdziła, że Amber ma niskie poczucie własnej wartości i że zamiast córkę karać, powinni udowodnić jej, jak bardzo ją kochają. „Bezwarunkowa miłość”, powtarzała przez całą poprzednią noc. Co za nonsens! Bez wątpienia to szarlatan psychiatra, z którym widywała się co dwa tygodnie, wbił jej te brednie do głowy. William się z tym nie zgadzał. Jego zdaniem nie byli wobec córki dość stanowczy. Teraz będą musieli to zmienić. Zastosować sankcje. „Zanim będzie za późno”, powiedział do żony tonem nie dopuszczającym sprzeciwu. Klócili się aż do wczesnych godzin porannych.

Kiedy wychodził z domu Billy'ego, na tylnym siedzeniu mignęła mu twarz córki, zaczerwieniona i spuchnięta od łez. Pragnął wziąć

ją w ramiona i utulić. Wiedział jednak, że nie wolno mu tego zrobić. Musi trzymać uczucia na wodzy, zachować jasny umysł. Przez całą drogę ze szkoły musiał słuchać, jak wykrzykuje imię Billy'ego, błagając, by nie robili mu krzywdy i zapewniając o swojej miłości do niego. To, że zdawała się nie pojmować, co te bestie jej zrobiły, przeraziło Williama nie na żarty. Nawet kiedy powiedział, że próbowali sprzedać taśmy, nadal utrzymywała, że im na niej zależało.

Nie spojrzała na niego, gdy wsiadł. Przynajmniej przestała w końcu płakać, pomyślał; nie szlochala już rozpaczliwie, lecz pociągała od czasu do czasu nosem. Pragnął coś powiedzieć, nie miał jednak pojęcia, co by to mogło być takiego. Jedyne co mógł dla niej zrobić, to zabrać ją w jakieś inne miejsce, gdzieś bardzo daleko.

Wcisnął guzik interkomu.

— Perkins?

— Tak, proszę pana? — zapytał Perkins rzeczowo, bez śladu zainteresowania czy oceny tego, co wydarzyło się wieczorem. Płacono mu, by nie zauważał, czego zauważać nie powinien, ani się tym nie interesował.

— Zawieź nas na Heathrow. Musimy złapać samolot. Samochód ruszył i William oparł się o poduszki.

— Dokąd mnie wysyłasz? — spytała drżącym głosem Amber. Nie odpowiedział. Prawdę mówiąc, nie miał jeszcze pojęcia, dokąd ją wyprawi. Na pewno wymyśli coś po drodze.

Zanim dotarli na lotnisko, Amber czuła się już o wiele lepiej. Choć zachowała kamienną twarz, w duszy rozkoszowała się dramatycznymi wydarzeniami, w których odgrywała główną rolę. Ojciec nadal się do niej nie odzywał — ledwie na nią spojrzał — lecz z rozmów, jakie ściszone głosem przeprowadził, dowiedziała się, że poleci na lato do Nowego Jorku. Jako kara nie wydawało się to szczególnie dotkliwe.

Przedstawiciel linii British Airways pomógł im przejść przez kontrolę i odprowadził do czekającego Boeinga 747. Ledwie zajęli miejsca w pierwszej klasie, samolot wystartował.

Amber poczekała, aż ojciec zamknie oczy, a potem zasygnalizowała stewardesie, że napiłaby się szampana. Biznesmen na sąsiednim siedzeniu spojrzał na nią z uznaniem, więc do niego mrugnęła. Za-

kłopotany utkwil wzrok w dokumentach. Tak, pomyślała, obniżając oparcie fotela, wszystko układa nie najgorzej. Przez kilka godzin zapewniała co prawda ojca, że gdy tylko stanie się pełnoletnia, odszuka Billy'ego i z nim zostanie, lecz teraz zaczęła sobie uświadamiać, iż być może — tylko być może — nie jest aż tak załamana rozstaniem, jak się jej z początku wydawało. Cotygodniowe imprezy zaczęły ją już nudzić. Billy nie miał pieniędzy, aby kupować jej prezenty, a Keepers' Cottage to była po prostu nora.

Wyjęła z kieszeni przy siedzeniu słuchawki i wybrała film. Nim samolot znalazł się w połowie drogi nad Atlantykiem, Billy, Eva i Stirling Hall byli już tylko odległym wspomnieniem.

William pozostał w Nowym Jorku na tyle długo, by ulokować Amber u Penfoldów, jednej z najstarszych i najbogatszych rodzin w Ameryce. Charles i Audrey Penfoldowie reprezentowali stare pieniądze, błękitną krew oraz nieskazitelne maniery. Ich nazwisko wymieniano razem z Vanderbiltami, Kennedymi i Rockefellerami. Mieszkali oczywiście przy Upper East Side, zajmując najwyższe piętro dziewiętnastowiecznej kamienicy przy Sześćdziesiątej Drugiej, pomiędzy Park i Madison Avenue. Był to jeden z tych wspaniałych starych apartamentów, urządzonych pod koniec lat osiemdziesiątych w stylu Ludwika XV. Wszystkie wystawne detale były ze sobą doskonale zharmonizowane. Podłogi pokrywał barwiony marmur, ściany zdobiły gzymsy i fryzy, meble wykonano zaś z rzadkich gatunków drewna, inkrustowanego macią perłową i kością słoniową.

Penfoldowie byli jak ich mieszkanie: doskonale dobrani po wierzchu, lecz pozbawieni treści pod spodem. Amber spotkała ich tylko raz, gdy miała dziesięć lat. Wyglądali prawie tak, jak ich zapamiętała. Charles Penfold był współudziałowcem w banku inwestycyjnym. Pracował po szesnaście godzin na dobę — w weekendy dwanaście — głosował na republikanów i sypiał od ośmiu lat ze swoją sekretarką. Audrey Penfold nie pracowała, zajmując się przygotowywaniem lunchu i osobistym trenerem. Gdy Amber ostatni raz ją widziała, była dobrze zakonserwowaną czterdziestodwulatką. Botoks i regularne wizyty u chirurga plastycznego sprawiły, że wyglądała niemal tak samo.

Audrey i Charles stanowili idealny przykład małżeństwa z Upper Kast Side; nie dzielili łóżka ani zbyt wiele z sobą nie rozmawiali, zachowywali jednak absolutną dyskrecję co do poza małżeńskich romansów. Ich wspólne życie było przewidywalne i dobrze zorganizowane. Woleliby nie przyjmować pod swój dach krnąbrnej córeczki Melville'a, William był jednak starym przyjacielem, na dodatek udzielił Charlesowi kilka lat temu, w okresie finansowej posuchy, znacznej pożyczki, nie mogli zatem odmówić.

William zabawił w Nowym Jorku jedynie kilka godzin. Wyjeżdżając, zapewnił, że kiedy otrzyma w sierpniu wyniki egzaminów Amber, znajdzie dla córki odpowiedni college i będzie mogła wrócić do Anglii. Złagodziło to nieco obawy Penfoldów. Lecz Amber nie była przekonana. Nie zapamiętała zbyt wiele z egzaminów, które odbyły się przed kilkoma tygodniami — z wyjątkiem angielskiego, kiedy to zapełniła na kokainowym rauszu ponad czterdzieści stron w niewiele ponad godzinę. Podejrzewała, że jej szkolna kariera dobiegła poprzedniego wieczoru kresu i ani trochę się tym nie przejmowała.

Następnego ranka obudziła się zadziwiająco wcześnie, podekscytowana kolejną przygodą. Był początek lipca i w mieście panowała duchota. Przejrzała swoją garderobę. Nie dano jej zbyt wiele czasu, by mogła się spakować, wybrała zatem jedyny przyzwoity strój, jaki przywiozła — prostą sukienkę z białej bawełny. Postanowiła, że musi jak najszybciej udać się na zakupy.

Z początku nie była pewna, czy ojciec powiedział Penfoldom o tym, co wydarzyło się w Anglii. Lecz kiedy zeszła na śniadanie, zorientowała się, że musiał powiedzieć wszystko. Audrey Penfold ledwie była w stanie podnieść na nią wzrok znad śniadania złożonego z czarnej kawy i prozacu, podczas gdy jej mąż nie odrywał od Amber spojrzenia.

— Jeszcze bajgła, skarbie? — zaproponował głębokim, kulturalnym głosem.

Podał jej koszyk z pieczywem, lecz Amber potrząsnęła głową — ledwie spróbowała ten, który miała na talerzu. Lecz Charles zdawał się tego nie zauważać. Wzrok miał utkwiony w jej biuście. Nie założy-

la tego dnia stanika i w chłodzie poranka jej sutki zeszywniały i były wyraźnie widoczne pod cienkim materiałem sukienki.

Audrey, obserwująca dyskretnie wymianę spojrzeń pomiędzy Amber a mężem, zmarszczyła brwi. Uwagi matrony z towarzystwa nic nie umykało. To, że po ich domu będzie szwendać się przez całe lato młoda, ładna dziewczyna ubrana w skąpe łąszki, odsłaniające długie opalone kończyny, nagle stało się problemem. Większym, niż się spodziewała.

Nim śniadanie dobiegło końca i Charles wyruszył do swego banku, uznała, że musi bezwarunkowo znaleźć Amber zajęcie na lato. Inne niż podrywanie jej męża. Sącząc kolejną filiżankę gorzkiej kawy, przekonała się, że łatwiej powiedzieć niż zrobić. Dziewczyna nie miała bowiem żadnego hobby ani zainteresowań. Nic dziwnego, że wpakowała się w podobne tarapaty.

— Co chciałabyś robić, gdy będziesz starsza, kochanie? — spytała myśląc że musi być sposób, jakikolwiek sposób, aby zdjąć jej z głowy opiekę nad Amber.

— Chciałabym zostać modelką — odparła Amber natychmiast.

Jakież to oryginalne, pomyślała Audrey złośliwie. Uśmiechnęła się jednak z przymusem i sięgnęła po notes z adresami. — Cóż, myślę, że będę mogła ci w tym pomóc.

Rich Cassidy był człowiekiem zajęтым. Jego czas, jako właściciela *Cream*, małej, lecz prestiżowej agencji modelek, był cenny, zwłaszcza że stale mu go brakowało. Chociaż siedzibą firmy było Los Angeles, przyleciał na jeden dzień do Nowego Jorku, by przeprowadzić otwarty casting na modelkę, która mogłaby zostać twarzą kampanii najważniejszego klienta agencji, producenta dżinsów, Hiltmana. Jak dotąd żadna z dziewcząt się nie nadawała. Hiltman poszukiwał osoby odznaczającej się konkretnymi cechami — kogoś wyróżniającego się klasą i naturalną swobodą.

Przemykał właśnie przez recepcję, gdy zobaczył młodą dziewczynę o zapierającym dech wyglądzie z najwspanialszymi platynowymi włosami, jakie zdarzyło mu się widzieć. Siedziała na jednym ze skórzanych foteli, przerzucając od niechcienia magazyn i żując gumę.

Rich przyglądał się dziewczynie przez chwilę, założywszy, że to potencjalna kandydatka do wystąpienia w reklamie dżinsów, która się spóźniła. W normalnej sytuacji by ją odesłał. Nie znosił spóźnialskich, a spóźnialskich żujących gumę jeszcze bardziej. Lecz ta dziewczyna... było w niej coś... coś innego...

Podszedł do recepcjonistki.

— Kto to jest, Lindo? — Skinął w kierunku blondynki. — Ktoś dla Hiltmana?

Linda zajrzała do kalendarza Richa. — Nie. Jest umówiona na jedenastą. Amber Melville.

Rich uniósł po kobiecemu cienką brew. Zapomniał na śmierć o obietnicy danej Audrey Penfold. Gdy poprosiła go, by spotkał się z jej niepożądanym gościem, wcale go to nie zachwyciło. Był jednak Audrey winnien przysługę — poznał swego obecnego partnera, ma-kijażystę Louisa Kenta, podczas wydanej przez nią charytatywnej kolacji — wyraził więc, acz niechętnie, zgodę.

Nie spodziewał się, że coś z tego wyniknie. Pewnie, Amber Melville chciała zostać modelką, lecz to niewiele znaczyło. Oczami duszy postrzegał ją jako typową angielską arystokratkę: mysie włosy, pociągła twarz, wąskie usta. Dziewczyna, którą miał przed sobą, taka nie była. Właściwie z burzą mocno skręconych platynowych loków

i ustami jak pączek róży wyglądała niczym rozpustny dworzanin z okresu restauracji. Chociaż jej nic znał, wiedział, jaka jest: dziwka z wyższych sfer, bogaty śmieć, rozpuszczony bachor, który zrobiłby wszystko — i z każdym — dla rozrywki. Lecz jeśli uda mu się uchwycić ten wygląd okiem obiektywu, dziewczyna zarobi fortunę.

— W porządku, Lindo — powiedział zdecydowanie. — Zadzwoń do Paula i powiedz, że posyłam kogoś na dół. Niech zrobi próbne zdjęcia.

Podszedł do Amber i przykucnął obok fotela.

— Zatem, Amber Melville, co sądzisz o tym, by zostać sławną?

Kiedy William dowiedział się, że Amber zamierza zostać w Nowym Jorku dłużej — w dodatku po to, żeby pracować jako modelka — nie był zachwycony.

— Powinna wrócić na jesieni do szkoły i zdobyć przyzwoite wykształcenie, a nie włączyć się z gromadą obcych.

Isabelle, która spędziła poprzedni wieczór przy telefonie, wysłuchując płaczących błagań córki, była bardziej skłonna do ustępstw.

— Nie takich znów nieznajomych. Rozmawiałam z Audrey. Właściciel agencji to jej bliski przyjaciel. Bardzo dobrze się o nim wyraża. Zapewniła mnie, że Amber będzie w dobrych rękach. Nie wiem do prawdy, co ci się w tym aż tak nie podoba...

— Przede wszystkim: dziewczyna ma dopiero szesnaście lat. A to oznacza, że mamy prawo po swojej stronie. Potrzebuje naszej zgody, by mogła zamieszkać poza domem. Jestem gotowy uciec się do środków prawnych, aby sprowadzić ją do Anglii.

— Och, Williamie, z pewnością ci za to nie podziękuję. To dla niej wielka szansa i nie powinienesz być tym, który ją jej odbierze. — Isabelle potrząsnęła lekko głową. — No dalej, bądź z sobą szczery: naprawdę spodziewasz się, że Amber wróci do Anglii, ustatkuje się i pójdzie na uniwersytet? Wiesz, że to do niej nie pasuje. Nie jest taka jak Elizabeth.

Z tym William nie był już w stanie polemizować.

Zatem, z pomocą matki, Amber postawiła znowu na swoim. Wiedziała, że powinna się cieszyć, lecz w głębi duszy czuła się też trochę zawiedziona. Przecież gdyby naprawdę ją kochali, nie puściliby jej tak łatwo...

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Po otwarciu sklepu w rozkładzie dnia Elizabeth niewiele się zmieniło. Motoyama, zachwycony sukcesem przedsięwzięcia, naciskał, aby rozszerzyć działalność na cały region. Po kilku tygodniach Elizabeth oglądała już połyskujące wieżowce i wykładane marmurem pasáže handlowe dzielnicy Central w Hongkongu. Potem była Orchard Road w Singapurze i nowoczesne centrum handlowe pomiędzy Sukhumvit Road i Siam Square w Bangkoku.

Ale choć miała tyle zajęć, nadal wracała myślami do tego, co wydarzyło się pomiędzy nią a Cole'em. Późnym wieczorem, otoczona dyskretnym luksusem anonimowego hotelowego pokoju, wyobrażała sobie, że Cole jest tam z nią, że przesuwa dłońmi po twardych bicepsach i rysujących się wyraźnie pod skórą mięśniach klatki piersiowej kochanka, a jego plecy lśnią od potu, gdy klęczy, wpatrując się w jej twarz ciemnymi oczami o kpiącym wyrazie. To właśnie było dla Co-le'a tak charakterystyczne: osoba płci żeńskiej musiała czuć się przy nim kobieco. Zapewne dlatego, że był wysoki i potężnie zbudowany. Czasami tak bardzo za nim tęskniła, że nie mogła zasnąć i przewracała się godzinami niespokojnie na łóżku. Oczywiście mogłaby zejść do baru, poderwać nieznanego biznesmena i spędzić z nim noc. Czowała jednak, że anonimowy seks już jej nie wystarczy. Z Cole'em to było coś więcej. Uświadomiła sobie, że po raz pierwszy w życiu była gotowa otworzyć się przed kimś, rozważyć bliższy związek.

Gdy to odkryła, nie mogła doczekać się, by z nim porozmawiać. Uznała jednak, że lepiej poczekać, aż sam do niej zadzwoni. Może

i nie rozstali się w najlepszy możliwy sposób, była jednak pewna, że nie użyje tego przeciwko niej. Po tygodniu, gdy Cole nadal się nie odzywał, przełknęła jednak dumę i zadzwoniła.

Jego asystentka poformowała ją, że Cole'a nie ma. Dzwoniła jeszcze kilka razy, zostawiając wiadomości, które, była tego pewna, otrzymał. Gdyby nie wiedziała, że jest inaczej, pomyślałaby, że jej unika. Gdy wreszcie udało im się porozmawiać — w związku z comiesięcznym sprawozdaniem — wydał jej się daleki i nieuchwytny. Po tym jak załatwili sprawy służbowe, nie miał ochoty dłużej z nią rozmawiać.

— Planujesz wrócić na Wschód? — spytała tak naturalnym tonem, na jaki tylko była w stanie się zdobyć.

— Nie teraz — odparł krótko. — Zaczekaj sekundę, Elizabeth. — Zakrył dłonią słuchawkę i przez chwilę słyszała jedynie stłumione głosy. Kiedy wrócił na linię, powiedział tylko: — Posłuchaj, wynikło coś pilnego. Muszę kończyć.

— Jasne — odparła, lecz Cole już się rozłączył.

Siedziała, wpatrując się w aparat. Tym razem naprawdę to schrza-niłam, pomyślała.

Czuła się tak przygnębiona, że kiedy w tydzień później zadzwonił Magnus z wiadomością, że jest akurat w Tokio i chciałby zabrać ją na kolację, zapomniała o postanowieniu, by nie spotykać się z mężczyznami wyłącznie dla seksu i umówiła się z nim na wieczór.

Czy Magnus zawsze był tak nudny? zastanawiała się, gdy jedli kolację w Hamadaya. Zwykle uwielbiała jadać w *ryotei*, luksusowych japońskich restauracjach z wykwinną kuchnią, gdzie stołowali się politycy i korporacyjni bonzowie. Tego wieczoru nie mogła jednak się powstrzymać, aby nie myśleć o tym, o ileż lepiej się bawiła, kiedy siedzieli z Cole'em w zwyczajnej *izakaya*. Rozmowa z Magnusem była jak zawsze grzeczna i oficjalna. Żadnego flirtowania, podniecającego przekomarzania się. Oczywiście, jak na mężczyznę w tym wieku dobrze się prezentował. Lecz kiedy otoczył ramieniem jej talię, nie było w tym siły, mocy. Nie potrafił sprawić, by czuła się bezpieczna i chroniona.

Zatrzymałem się w Mandarin Oriental — powiedział, wyjmując platynową kartę American Express, aby zapłacić za posiłek. — To niedaleko...

Może sprawiła to pewność siebie Magnusa, przekonanie, że Elizabeth dostosuje się do jego życzeń i postąpi zgodnie z utartym schematem, a może świadomość, że wolałaby być z kimś innym, lecz nagle poczuła, że chce znaleźć się jak najdalej od restauracji i kochanka.

— Wolałabym, abyś podrzucił mnie do mojego hotelu — stwierdziła chłodno.

Magnus uniósł brwi, lecz nie zaprotestował. Elizabeth dawała mu oto do zrozumienia, że cokolwiek ich łączyło, dobiegło właśnie kresu. Miał zbyt wiele godności — i żadnej potrzeby — by prosić. Był bogaty i przystojny. Mnóstwo dziewcząt nie mogło się doczekać, by zająć miejsce Elizabeth. A że nie były tak wyjątkowe? Cóż, kogo próbował oszukać? Właśnie dlatego wolał się z nią nie wiązać. Zawsze wiedział, że to jedynie kwestia czasu, a wróci jej rozsądek i znajdzie kogoś w odpowiednim wieku. Miał tylko nadzieję, że kimkolwiek będzie ten mężczyzna, okaże się jej godny.

Rozdział trzydziesty

Dziewczyna zaczerpnęła gwałtownie powietrza, wydając dźwięk będący czymś pośrednim pomiędzy zachętą a protestem, jękiem a westchnieniem. Lucien pompował monotonnie, wbijając się z każdym ruchem głębiej w leżące pod nim ciało.

Doszła już chwilę temu — jej hałaśliwy entuzjazm podpowiedział mu, kiedy dokładnie. Lecz on jakoś nie mógł skończyć. Zwykle nie było z tym problemu. Ostatnio jednak...

Nie zdawał sobie sprawy, jak brutalnie się w nią wbija, nie zauważył, że zaciska zęby i kurczowo chwyta się kołdry, póki nie wykrztusiła w końcu: — Może... spróbowalibyśmy... czegoś... innego?

Przerwał w pół ruchu, a ona skorzystała z okazji, by ścisnąć zachęcającym gestem jego jądra.

— Może mogłabym raczej ci obciągnąć? — zaproponowała.

Chrząknął, po czym zamiast przyjąć propozycję, odwrócił dziewczynę i wszedł w nią od tyłu. Dopiero wtedy, zamknąwszy oczy, był w stanie wyobrazić sobie, że jest z kimś innym. Wystarczyło jedno głębokie pchnięcie i osiągnął wreszcie orgazm, szybki i cichy.

Stoczył się na łóżko, zdjął prezerwatywę i sięgnął po papieros. Kolejny zły nawyk, któremu zaczął ostatnio hołdować. Patrzył, jak dziewczyna się ubiera, świadom, że wcale nie czuje się zaspokojony. W chwili takiej jak ta nie był wcale pewny, czy kiedykolwiek uda mu się zapełnić pustkę, jaką czuł ostatnio w środku.

Ciekawe, gdzie jest teraz Caitlin, pomyślał. Miał nadzieję, że gdziekolwiek się znajduje, czuje się choć w połowie tak paskudnie jak on.

Tymczasem, na drugim końcu miasta, Caitlin siedziała właśnie w szkole. Spędzała tam ostatnio większość czasu.

Był czerwiec. Dla czterdziestu pięciu absolwentów *Chambre Syndicale Fashion School* oznaczało to, że zbliża się termin konkursowego pokazu. Dla Caitlin stanowiło zaś pretekst, aby nie myśleć o Lucienie. Widziała, w jaki sposób radzi sobie z rozstaniem: sypiał z kim popadnie i wychodził co noc z *Café des Amis* z inną dziewczyną. Zareagowała, rzucając się w wir pracy. To, że miała czym się zająć, stanowiło niemal błogosławieństwo.

Napięcie narastało od sześciu tygodni. Perspektywa konkursu ciążyła nad każdą lekcją, zdominowała tematy rozmów podczas przerwy na lunch i kawę. Po dwóch tygodniach najmniejsza wzmianka na temat konkursu spotykała się z teatralnym jękiem ze strony studentów.

— Nie mogę już o tym słuchać! — powtarzali.

Lecz była to czysta brawura. Wszystkim puszczały nerwy, i nic dziwnego. Konkurs stanowił kulminację dwóch lat ciężkiej harówki. A także szansę, aby zaprezentować swoje prace paryskim arbitrom stylu — klientom, dziennikarzom i co ważniejsze, projektantom poszukującym nowych talentów.

Większość studentów zajęta była pracą, dokonując ostatnich zmian w projekcie czy też stawiając czoło nieprzewidzianym trudnościom. Caitlin dręczyły te same obawy, co resztę kolegów. Budziła się zrana zlaną potem, śniąc o tym, że projektanci kręcą z politowaniem głowami nad jej kolekcją, zaprojektowane przez nią stroje rozpadają się na wybiegu, a modelki zostają nagie.

Lecz w miarę jak zbliżał się dzień konkursu, jej uwagę jął zaprzętać inny problem: czy powinna zaprosić Luciena. Wolno im było wprowadzić troje gości. William nalegał, by przyjść. Zaprosiła też oczywiście Alaina. Został więc jeden bilet. Bilet, który należał się Lucienowi.

Nie potrafiła zapomnieć, że to Lucien zabrał ją na *Cyganerie*, dostarczając inspiracji do stworzenia kolekcji. Jej tematem przewodnim była paryska opera w okresie największej świetności, czyli wspaniałym, szalonym wieku dziewiętnastym. Zaprojektowała stroje wieczorowe dla młodej, zamożnej klienteli, bywalców przyjęć. Eks-

trawaganckie barokowe wzornictwo i bogato zdobione wnętrza znalazły odzwierciedlenie w paletcie użytych barw — głębokich czerwieni oraz fioletoń, czerni z metalicznym połyskiem — a także zastosowaniu bogatych materii: brokatu, ciężkiego jedwabiu, krepy, aksamitu i koronki. W tle zaś majaczyła dyskretnie gotycka wspaniałość *Upiora w operze* Gastona Leroux. Cechą charakterystyczną prac Caitlin była dbałość o szczegóły, myszkowała więc w każdej wolnej chwili po pchlich targach w poszukiwaniu odpowiednich akcesoriów, eleganckich wieczorowych rękawiczek i starych kieszonkowych zegarków.

Pomimo nerwów i zwątpienia wiedziała, że wykonała dobrą robotę. I to bez niczyjej pomocy. Czowała też jednak, że jest coś winna Lucienowi, już choćby za to, że podsunął jej pomysł. Wysyłając zaproszenie, dałaby mu do zrozumienia, iż zdaje sobie z tego sprawę. A potem być może, iecz tylko być może, mogliby zostać w końcu przyjaciółmi. Przedstawiła sprawę Alainowi, spodziewając się, że jej przykłaśnie, powie, że to doskonały pomysł, fajka pokoju, jeśli nie coś więcej. Tymczasem Alain potrząsnął głową.

— Moim zdaniem nie powinnaś tego robić, Caitlin.

— Dlaczego?

Alain westchnął. Od początku nie podobał mu się pomysł, aby ci dwoje zostali parą. Czuł, że skończy się to złamanym sercem. Nie podejrzewał tylko, że to Caitlin złamie serce Lucienowi. Nie miał pojęcia, co między nimi zaszło, lecz jego przyjaciel cierpiał, a powodem tego była bez wątpienia Caitlin.

— Jeśli go zaprosisz, będzie wyglądało na to, że chcesz, byście znów byli razem — powiedział ostrożnie. — A jeśli nie o to ci chodzi, byłoby to po prostu okrutne. Chyba się ze mną zgodzisz?

Caitlin nie odpowiedziała. Miała świadomość, że Alain nie pochwalał tego, iż się spotykali. To zaś oznaczało, że trudno ufać w pełni jego ocenie.

Wrzuciła bilet do szuflady, postanawiając zaczekać na znak, który podpowie jej, co z nim zrobić.

Otrzymała go na tydzień przed pokazem. Studenci pracowali jak w amoku. Klasa w *Chambre Syndicale* buzowała przez całą dobę go-

rączkową aktywnością. Słysząc było warkot maszyn do szycia i nerwowe rozmowy przyszłych projektantów.

Długonogie modelki wałęsały się po sali, szukając talentów w oczekiwaniu na kolejną przymiarke. Choć studenci nie mieli na razie wiele do zaoferowania, lepiej było okazać im uprzejmość. Kto wic, może pewnego dnia któreś z nich zostanie drugim Yves'em Saint Laurentem, Issey Miyake czy Valentino.

Madame korzystała z okazji, by rzucić okiem na modele i udzielić studentom ostatnich rad. Zmuszała ich przez dwa lata do ciężkiej pracy, lecz teraz mogła z dumą powiedzieć, że trud się opłacił.

Kiedy dotarła do Caitlin, dziewczyna naszywała ręcznie paciorki na zakiet ze złotego brokatu. Ledwie spojrzała na *madame*, przyglądającą się zaprojektowanym przez nią sztukom odzieży. A kiedy podniosła wreszcie wzrok, zobaczyła, że *madame* nie tylko się uśmiecha — co samo w sobie stanowiło rzadki widok — ale wręcz promienieje — Cóż, *mademoiselle* O'Dwyer, widzę, że Paryż wywarł na ciebie

swój magiczny wpływ.

— Podobają się pani?

— Czy mi się podobają? — *Madame* uniosła brwi. — Caitlin, to zapewne najlepsze prace, jakie widziałam przez cały ostatni rok. Możesz być dumna. Cokolwiek — a może powinnam powiedzieć: ktokolwiek — cię zainspirowało, lepiej się tego trzymaj.

Machnęła ze świstem laseczką i już jej nie było. Caitlin wysłała Lucienowi zaproszenie jeszcze tego samego dnia. I choć nie odpowiedział, miała nadzieję, że jednak się pokaże.

Za pięć szosta w następną środę Caitlin stała wraz z pozostałymi studentami na zapleczu sali Le Nôtre w Carrousel du Louvre, czekając, aż rozpeznie się pokaz. Było to jedno z miejsc wykorzystywanych co roku podczas Paryskiego Tygodnia Mody. Młodzi absolwenci byli dziś równie zdenerwowani, jak zdarzało się to przed pokazem wielkim projektantom.

Caitlin spojrzała ze współczuciem na koleżankę, która wybiegła z sali, by po raz kolejny zwymiotować. Jej także burczało w żołądku, zdołała jednak utrzymać w nim lunch. Upiła łyk szampana, by

uspokoić nerwy. Moet zapewnił darmową dostawę i wszyscy szczerze z tego korzystali. Adrenalina sprawiała, że cały alkohol świata nie wystarczyłby, aby ich tego dnia upić. Atmosfera naładowana była oczekiwaniem. Następne dwie godziny miały zdecydować o dalszej karierze młodych projektantów i oni o tym wiedzieli. Do zdobycia były trzy nagrody. Jury złożone z dwunastu osób, będących autorytetami w dziedzinie mody, wybierze zwycięzców, nagradzając ich półrocznym stażem u Diora, Hermesa lub Saint-Laurenta.

Caitlin stała za olbrzymią kurtyną ze sztywnej bawełny, śledząc z niepokojem przebieg konkursu. Kilka pomysłów zasługiwało na najwyższe uznanie. Szkocka orkiestra wojskowa zapowiedziała wejście modelek Brooke, odzianych w kokietyjne kilty, połączone z ładną dzianiną z najdelikatniejszego kaszmiru. Groźną konkurentką okazała się też Shay Kestler. Najpierw rozległy się dźwięki gitary basowej, a po chwili wybieg zamienił się w parkiet dyskoteki z lat osiemdziesiątych. Neonowe koszulki z napisami, legginsy w jaskrawych kolorach i wściekle różowe cienie do powiek z powodzeniem ukazywały scenerię szalonej zabawy z całą jej barwną zuchwałością

Są wspaniałe, pomyślała Caitlin na wpół z podziwem, na wpół z zazdrością, przyglądając się projektom koleżanki. Trudno było przewidzieć, jak wypadnie w porównaniu z nimi. W końcu nadeszła kolej Caitlin. Serce zaczęło jej mocniej bić, a puls przyśpieszył. Zdenerwowanie walczyło w niej o lepsze z podekscytowaniem. Nagle sala pogrążyła się w ciemności. Widzowie krzyknęli zaskoczeni. Caitlin uśmiechnęła się i czekała. Studenci odpowiadali za całokształt prezentacji: od światła po muzykę. Dotacje od sponsorów pomogły im sfinansować koszty zatrudnienia modelek, zakupu materiałów i opłacenia wszelkiej fachowej pomocy — zaś ochotnicy z zaprzyjaźnionej szkoły aktorskiej zaoferowali swoje usługi w zakresie oświetlenia i zarządzania sceną. Caitlin zaplanowała swój pokaz jako fragment muzycznego przedstawienia, równie dramatycznego jak ubrania, które zaprojektowała. Światła nie zapalano przez dłuższą chwilę, aby podsyć atmosferę wyczekiwania. A kiedy w końcu zapłonęły, na białym ekranie z tyłu wybiegu ukazał się cień pięciu olbrzymich kandelabrow. Maszyna do wytwarzania dymu zaczęła wyrzucać z siebie unoszący się tuż nad

ziemią gesty opar. Agresywny dźwięk elektrycznych organów rozdarł ciszę, zwiastując początek fragmentu muzycznego znanej rock opery i na wybiegu pojawił się pierwszy model.

Caitlin zaryzykowała i pokazała na początek męski strój. Wstrzymała oddech, kiedy Jean Luc ruszył truchtem po wybiegu, przebijając się przez kłęby dymu: współczesny gotycki dandys z laseczką, w brokatowej marynarce ozdobionej broszą w kształcie skarabeusza.

Sala eksplodowała oklaskami.

Caitlin usłyszała okrzyki zachwytu oraz brawa i wreszcie się odprężyła.

William, siedzący w pierwszym rzędzie, klaskał z całych sił, kiedy modele prezentowali kolejne stroje. Przyszedł wcześniej, aby zapewnić sobie dobre miejsce i teraz był z tego zadowolony. Siedząc wśród ważnych osobistości z branży odzieżowej, mógł przysłuchiwać się wypowiedzianym na bieżąco komentarzom.

— Uwielbiam te spodnie! — zachwycił się redaktor działu mody *Paris Matcha*. — Co za dbałość o szczegóły!

— Ta dziewczyna zrobi karierę — wtórował mu jego odpowiednik z *Le Tribune*.

Williamowi nie trzeba było tego mówić. Melville może i było znane bardziej z dodatków niż linii ubrań, lecz działał w modowym biznesie na tyle długo, by rozpoznać talent, kiedy go widział. Pomijając ojcowski subiektywizm, i tak było jasne, że projekty Caitlin są jak dotąd najlepsze. Poczul przyływ dumy, zastąpiony uczuciem smutku. Żałował, że Katie nie może być tego dnia z nimi, cieszyć się tym, co osiągnęła córka. Caitlin przeszła długą drogę od nieśmiałego, nie-opierzonego podlotka, który pojawił się przed sześcioma laty w Al-dringham. Teraz była piękną młodą kobietą i miała przed sobą obiecującą przyszłość. Czyż można było życzyć sobie dla dziecka czegoś więcej?

Reszta pokazu minęła szybko. Nie poświęcał kolejnym prezentacjom szczególnej uwagi, zainteresowany jedynie tym, jak wypadają w porównaniu pracami z Caitlin. Wszystkie projekty były dobre, odpowiadały wysokim standardom wyznaczanym przez Chambre

Syndicale. Uznał jednak, że nikt nie zbliżył się klasą do Caitlin. Nie wątpił, że któryś z czołowych domów mody zaproponuje jej posadę. Miał nadzieję, że zdoła przekonać ją, by odrzuciła propozycję i podjęła pracę w rodzinnej firmie. Właśnie o tym zamierzał porozmawiać z nią po pokazie.

Gdy się odwrócił, wpadł na przechodzącego obok młodego człowieka. Zatrzymał się na chwilę, zaskoczony wyglądem młodzieńca: z długimi, falującymi ciemnymi włosami, przejrzystą cerą i intensywnie niebieskimi oczami wyglądał jak mroczny anioł. Nic sposób było go nie zauważyć. Ale nie tylko wygląd sprawiał, że chłopak wyróżniał się z tłumu, uderzającej powierzchowności towarzyszyła bowiem pewność siebie, galijska zadziorność, napoleońska arogancja, właściwa każdemu niemal Francuzowi.

Mężczyźni przeprosili i każdy ruszył w swoją stronę, nie wiedząc, że znaleźli się tam z tego samego powodu.

Tymczasem Caitlin przeżywała właśnie jeden z najważniejszych pod względem zawodowym wieczorów w życiu. Otaczali ją łowcy talentów z czołowych paryskich domów mody, gratulując wystawnych, a zarazem nowoczesnych projektów i wypytujac o plany na przyszłość. Wygrała co prawda staż u Diora, lecz kiedy ten się skończy, kto wie...

Ktoś postukał ją w ramię. Odwróciła się, sądząc, że to któryś ze studentów. Zobaczyła wpatrującego się w nią niebieskimi oczami wysokiego, smukłego mężczyznę.

Lucien.

Później powtarzała sobie, że to zaskoczenie sprawiło, iż niemal zaparło jej dech. I w pewnej mierze była to prawda. A przecież widywała go od rozstania dość często, choć prawie z sobą nie rozmawiali. Lecz zwykle miała czas się przygotować, zapanować nad emocjami. Tego wieczoru zaskoczył ją, kiedy nie miała się na baczności.

Lucien dostrzegł jej reakcję i sprawiła mu ona przyjemność. Zrywając, mocno zraniła jego męskie ego i przyście tego wieczoru na pokaz wiele go kosztowało.

— Chciałem ci pogratulować — powiedział. — Kolekcja była naprawdę cudowna. Wygrałaś zasłużenie.

Milczała, rozpaczliwie starając się wymyślić, co by tu odpowiedzieć. Mogła jednak myśleć tylko o tym, jak szczęśliwie się złożyło, że zmieniła zdanie i założyła jedną z sukienek, które nie weszły do pokazu. Był to bardzo kobiecy ciuszek, z gorsetem z fiszbinami, kloszową satynową spódnicą i przejrzystą narzutką, na którą zużyła metry koronki. Włosy nieco jej ostatnio odrosły i tego wieczoru poskręcane były w ciemne loczki, nadając jej romantyczno-gotycki *look*, który Lucien z pewnością doceni.

— Nie sądziłam, że przyjdiesz — powiedziała. Wzruszył ramionami.
— Pomyślałem, że jestem ci to winien. Znowu zapadła cisza.

— A teraz powinienem już iść. — Skinął głową i się odwrócił. Czas zwolnił bieg. Widząc, jak odchodzi, uświadomiła sobie, że

wcale tego nie chce. Pomyślała o Williamie czekającym na zewnątrz, chociaż nie miała ochoty się z nim spotkać. A także o przyjęciu w hotelu Costes, na które nie chciało jej się iść. O tym, jak miło było zobaczyć znowu Luciena i o tym, że przyszedł, choć obawiała się, że tego nie zrobi. Podjęła decyzję.

— Lucien?

Coś w jej głosie kazało mu zatrzymać się i odwrócić.

— Tak, Caitlin.

Podeszła do niego. — Wymkniemy się stąd? Zostało to powiedziane z wahaniem, bardziej pytanie niż propozycja.

Lucien uśmiechnął się powoli, leniwie. — Wspaniały pomysł.

Kiedy znaleźli się w jego mieszkaniu, sprawy przybrały szybki obrót. Byli w sypialni, a on całował z zapalem jej usta, szyję, ramiona. Znajdowali się dokładnie w tym samym miejscu, co przed kilkoma miesiącami. Tylko że tym razem Caitlin nigdzie się nie wybierała.

Musnął wargami szczyty jej piersi i zaczął rozwiązywać sznurówkę gorsetu. Usłyszała, jak mamrocze: — Wiedziałem, że zmienisz zdanie, *chińe*.

Gdy rozpiął biustonosz, zdjął z Caitlin bieliznę i położył ją na łóżku, czuła się tak, jakby to wszystko przydarzało się komuś innemu.

A kiedy położył się obok, nic poczuła nawet śladu paniki, która zmusiła ją poprzednio do ucieczki. Teraz była w niej jedynie spokojna determinacja, pragnienie, aby mieć to już za sobą.

Wszedł w nią, mówiąc coś, coś brzmiało jak: — Tak bardzo mi ciebie brakowało, Caitlin. Tęskniłem za tobą każdego dnia. — Zamknęła oczy, gdy zaczął się poruszać, z początku powoli, a potem, w miarę jak narastało w nim podniecenie, coraz szybciej.

To już nie potrwa długo, pomyślała.

I rzeczywiście, jakby odczytał, o czym pomyślała, zacisnął bowiem dłoń na jej ramionach. Otworzyła oczy akurat na czas, by dostrzec na jego twarzy wyraz intensywnej przyjemności, towarzyszący szczytowaniu. A kiedy wtulił po chwili twarz w zagłębienie jej szyi, poczuła coś, co mogła opisać jedynie jako ulgę. Słuchała, jak wypowiada po cichu jej imię, a potem powtarza je wciąż od nowa.

Gdy było po wszystkim, leżała w jego ramionach, a on całował delikatnie jej czoło, nos i usta. Potem odsunął się nieco i patrząc jej w oczy, powiedział z absolutną szczerością w głosie: — Kocham cię, Caitlin.

Dotknęła jego twarzy, żałując, iż nie może powiedzieć tego samego. Czowała jednak tylko pustkę. Rodzaj pustki, który mówił, że między nimi wszystko skończone.

Odczekała, aż uśnie, a potem wyśliznęła się ostrożnie z łóżka, ubrała i wyszła.

Wróciła do mieszkania i zaczęła przygotowania. Wiedziała, że nie ma po co zostawać dłużej w Paryżu. Pragnęła zacząć wszystko od nowa, z czystą kartą.

Zapakowanie dorobku całego życia okazało się zadziwiająco proste. Napisała raptem trzy listy: jeden do Diora, wyjaśniając, że rezygnuje ze stażu, drugi do Veronique, załączając sumę wystarczającą na pokrycie dwumiesięcznego czynszu i ostatni do Alaina, w którym przeproszała za to, że wyjeżdża tak nagle. Wiedziała, że powinna napisać też do Luciena, ale nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. Wytłumaczy mu wszystko innym razem, kiedy przejaśni się jej w głowie. Teraz nie była w stanie o tym myśleć.

Pojechała na tolnisko i wsiadła do samolotu lecącego do Nowego Jorku.

Kiedy wystartowali, spojrzała na niknący w dole Paryż. *Znowu uciekasz*, ostrzegł ją wewnętrzny głos. *Nic mnie to nie obchodzi*, odpowiedziała.

Rozdział trzydziesty pierwszy

— Postanowiłam powiedzieć Williamowi.

Pierś utkwiał spojrzenie w dłoni matki, ściskającej jego dłoń. Było sobotnie popołudnie i przyszedł jak zwykle do Mayfair, aby dotrzymać jej towarzystwa. Lecz zamiast poprosić go, by jej poczytał, powiedziała, że chce coś z nim przedyskutować.

— O czym mówisz, mamó? — zapytał, próbując zachować spokój. — Co zamierzasz mu powiedzieć? — Lecz była to gra na czas. Dobrze wiedział, o co jej chodzi. Jego najgorsze obawy właśnie miały się urzeczywistnić.

— Pierś — powiedziała łagodnie, spoglądając na syna pełnymi łez oczami, błagając go, by zrozumiał. — Zamierzam powiedzieć Williamowi, co zrobiliśmy... jak postąpiliśmy wobec Katie. Zamierzam powiedzieć mu wszystko. Muszę, nim będzie za późno.

Ale dlaczego? Dlaczego musisz mu powiedzieć? pomyślał, a ona zaczęła wyjaśniać mu cichym, słabnącym głosem, dlaczego czuje potrzebę wypowiedzenia się przed synem właśnie teraz, gdy jest umierająca.

Wsparł głowę na dłoniach, masując palcami skronie, aby złagodzić narastający ból. Nie mógł uwierzyć, że matka może być aż tak samolubna. William się wścieknie, a skoro jej już nie będzie, gniew brata skrupi się na nim, i to na długo.

— Już czas, bym zachowała się jak należy — mówiła tymczasem Rosalind. — Choć raz chcę postąpić właściwie.

Ale co ze mną? - zapytał głosem niewiele donośniejszym niż szept.

Zamrugła. — Z tobą?

Spojrzał na nią. Czy to możliwe, by tego nie dostrzegła? — William mnie znienawidzi!

Rosalind milczała przez chwilę. — Tak — odparła spokojnie. — Prawdopodobnie.

— Ale to nie w porządku! — wybuchnął. — Zgodziłem się na to jedynie dlatego, iż uważałem, że tak będzie dla Williama najlepiej! Nie powinienem być teraz za to karany!

— Pierś, proszę. — W głosie matki zabrzmiała nutka stanowczości, taka sama jak wtedy, kiedy napominała go w dzieciństwie. — Nie próbuj mnie przekonać. Nic, co powiesz, nie powstrzyma mnie przed tym, abym zrobiła, co należy. — Zamilkła, zaczerpnęła powietrza, a potem kontynuowała: — Wiem teraz, że nie powinniśmy byli ukrywać przed nim prawdy. — Umilkła znowu, by wziąć kolejny oddech.

Pierś przyglądał się jej czujnie. — Dobrze się czujesz, mamó? Podać ci wody?

— Nie, dzięki, wszystko ze mną w porządku.

— Jesteś pewna? Bo...

— Powiedziałam, że wszystko w porządku, Pierś — rzuciła zniecierpliwiona. — Po prostu pozwól mi dokończyć to, co chcę powiedzieć. To ważne. — Odetchnęła raz, potem drugi. Pierś czekał cierpliwie. — Zamierzam powiedzieć mu, co zrobiliśmy — powiedziała wreszcie.—Wyznać wszystko, a potem prosić go o wybaczenie. Jestem pewna, że jeśli zrobisz to samo, wysłucha cię i w końcu wybaczy.

— Nie, nie wybaczy! — Pierś usłyszał w swoim głosie błagalną nutkę i wiedział, że to ją zdenerwuje. — Wykluczy mnie ze swojego życia, i dobrze o tym wiesz.

Spojrzała na niego trzeźwo. — A czy byłoby to takie złe? Pierś wpatrywał się w matkę. — Co to znów miało znaczyć? — zapytał czujnie.

— Och, Pierś — zaśmiała się lekko. — Dobrze wiesz, co. Masz prawie czterdzieści pięć lat. Pora, byś zaczął żyć własnym życiem, zamiast trzymać się kurczowo nogawki brata, nie sądzisz?

Cios, wymierzony celnie, zabolął. Nienawidził matki, gdy była w takim nastroju. Wydawało się, że wie dokładnie, co powiedzieć, aby najmocniej go zranić.

— Nie sędzę, żeby tak to właśnie wyglądało — powiedział obronnym tonem. — William lubi, gdy jestem w pobliżu.

— William cię t o l e r u j e, a to coś zupełnie innego.

— To nieprawda...

— Oczywiście, że prawda — stwierdziła kategorycznie.

— Ale...

— Och, na miłość boską, Pierś — przerwała mu. — Jestem zbyt zmęczona, żeby się kłócić. — Westchnęła i w jej głosie słychać było prawdziwe znużenie. — Nie obchodzi mnie, co robisz ze swoim życiem. Jesteś wystarczająco dorosły, by podejmować własne decyzje. Podobnie jak ja. — Głos miała teraz ochryply, a oddech płytki. — Chciałam tylko wyświadczyć ci przysługę... — Umilkła i zaczerpnęła oddechu — ...i cię uprzedzić. — Kolejna przerwa na złapanie powietrza. — Zamierzam wyznać Williamowi, co zrobiliśmy i nic... — teraz walczyła już o oddech — nic, co powiesz, nie powstrzyma mnie przed...

Przerwała w połowie zdania, jakby chciała wziąć kolejny oddech, a potem zaczęła gwałtownie kaszleć. Ostry kaszel wstrząsał całą jej wątłą postacią. Pierś stał jak sparaliżowany czekając, aż matka dojdzie do siebie. Lecz ona wciąż kaszlała. Wyglądała tak, jakby nie mogła mówić ani oddychać, a w jej oczach dostrzegł strach. Tylko to widział — unoszącą się w bezowocnym wysiłku pierś i szeroko otwarte, wpatrujące się w niego oczy.

— Mamo? — W końcu odzyskał głos. — Powiedz... co mam robić?

Wyciągnęła rękę, jakby chciała po coś sięgnąć. Podążył za nią spojrzeniem i domyślił się, co usiłowała mu pokazać: pigułki z nitrogliceryną. Miała napad dusznicy. Przypomniawszy sobie, jak w szpitalu ostrzegali ich, że kłótnia może wywołać atak.

Chwycił fiolkę i zaczął ją odkręcać, walcząc z broniącym dostępu dzieciom zamknięciem i tracąc cenne sekundy. W końcu wyrzucił na dłoń cenną tabletkę. Już miał podać ją matce, kiedy przypomniał sobie, co powiedziała tuż przed tym, zanim zaczęła się dusić.

Zamierzam wyznać mu, co zrobiliśmy... Nic, co powiesz, nie powstrzyma mnie...

Może nic, co mógł *powiedzieć*, rzeczywiście by jej nie powstrzymało. Lecz los podsuwał mu oto inne wyjście. To byłoby łatwe, tak łatwe... Myśl — jakże odrażająca, jak przeciwna naturze — zagościła w jego umyśle, nim zdążył ją powstrzymać.

Żrenice Rosalind rozszerzyły się, kiedy uświadomiła sobie, co mu chodzi po głowie. Błagała go spojrzeniem, próbując zapewnić, że jednak nic nie powie. Ale czy mógł jej ufać?

Później, kiedy próbował uporać się w samotności z poczuciem winy, powtarzał sobie, że wcale nie chciał, by to się wydarzyło. To była tylko chwila wahania, drobnego zwątpienia, któremu nie zamierzał ulec. Zamierzał, powtarzał to sobie wciąż od nowa, dać jej pigułkę, pomóc, mimo wszystko ją uratować.

Lecz nie był w stanie się poruszyć. A potem było już za późno. Dostała ataku serca. I choć wiedział, że powinien wybiec i sprowadzić pielęgniarkę... wiedział także, iż jeśli to zrobi, pielęgniarce wystarczy czasu, by uruchomić defibrylator i wrócić matkę do życia. I choć miał świadomość, że nie jest jeszcze za późno, aby coś zrobić, stał jak wrośnięty w ziemię.

W końcu powieki matki opadły. Oddech stał się płytki, a twarz poszarzała. Zaczerpnęła po raz ostatni drżącego ddechu i było po wszystkim.

Dopiero wtedy potworność tego, co się stało, w pełni do niego dotarła. Padł na kolana i przycisnął dłonie do ust.

— Boże — wykrztusił, tłumiąc szloch. — Och, Boże, co ja zrobiłem?

Lucy Fielding była jedną z trzech pielęgniarek zatrudnionych do opieki nad Rosalind Melville. Zajęcie okazało się mało absorbujące. Co dwie godziny miała sprawdzać czynności życiowe pacjentki i podawać leki. Zajmowało to zwykle pięć minut. Przez resztę czasu mogła czytać do woli kolorowe czasopisma albo oglądać telewizję.

Tego popołudnia miała wejść właśnie do sypialni chorej, gdy zobaczyła, że wychodzi z niej młodszy syn pacjentki. Spostrzegłszy Lucy, zamknął za sobą ostrożnie drzwi i przyłożył palce do ust.

— Chyba mamę zmęczyłem — powiedział. — Zasnęła, gdy przy niej siedziałem.

Lucy się zawahała. W agencji przywiązywano wielką wagę do tego, by ściśle trzymać się rozkładu zajęć. Lecz skoro pani Melville odpoczywała, nie chciała jej przeszkadzać. Biednej kobiecie rzadko udawało się złapać trochę snu.

— Dam jej na razie spokój — powiedziała zatem. — Niech się prześpi.

Odprowadziła pana Melville'a do drzwi i westchnęła, gdy wyszedł. Był taki miły — może trochę nieśmiały, lecz zawsze uprzejmy. Doceniał trud pielęgniarek, w przeciwieństwie do brata, który wszędzie dopatrywał się uchybień. Z tą myślą wróciła do swego pokoju i zadzwoniła do chłopaka, by opowiedzieć mu o wydarzeniach dnia.

Zanim dotarła w końcu do Rosalind, minęła prawie godzina. Ciało zmarłej zaczęło już stygnąć. Potem Lucy czuła się trochę winna — gdyby przyszła na czas, może zdołałaby pomóc staruszce, podać jej lekarstwo. Wiedziała jednak, że to niemądre. Rosalind była stara. Miała dobre życie. A przy jej słabym sercu i tak była to tylko kwestia czasu. Nie dało się nic zrobić, aby powstrzymać śmierć.

Elizabeth wróciła z Tokio na pogrzeb. Z trójki wnucząt tylko ona naprawdę opłakiwała babkę.

Pogrzeb odbył się w ostatnim tygodniu sierpnia. Przez cały miesiąc panowała piękna słoneczna pogoda, toteż nikomu nie uśmiechało się uczestniczyć w cudowny letni dzień w tak smutnej uroczystości. Na szczęście w nocy padało i rankiem niebo było szare i zachmurzone, chociaż powietrze nadal ciepłe i wilgotne.

Ceremonia przebiegła w atmosferze podniosłej i pełnej godności, jak życzyłyby sobie Rosalind. Solidna mahoniowa trumna, ozdobiona pojedynczym wieńcem z lilii. Lista żałobników niczym *Who is Who* świata mody: dyrektorzy zaprzyjaźnionych firm przemysłu odzieżo-

wego, projektanci i modelki, tłoczący się we wspaniałej gotyckiej katedrze w Wells. Oczywiście zarząd Melvillea stawiał się w komplecie -wliczając w to, jak zauważyła Elizabeth, Cole'a. Unikała jego wzroku, kiedy wchodzili do kościoła.

Stojąc przy grobie, próbowała myśleć o dobrych czasach — wspominała dzieciństwo i wyprawy z babką do Londynu, kiedy to Rosalind oprowadzała ją po flagowym salonie Melville'a, snując opowieści z czasów wojny. Podczas choroby często odwiedzała babkę. W trakcie kilku ostatnich wizyt Rosalind była jej tak żałośnie wdzięczna, że przekraczając próg mieszkania przy Grosvenor Street dziewczyna czuła się zasmucona i zażenowana.

Wuj Piers przeżywał śmierć matki najbardziej z nich wszystkich. I było to zrozumiałe. William miał własną rodzinę — żonę i troje dzieci — Piers tylko matkę. Elizabeth wiedziała, jak był jej oddany. Próbowała znaleźć słowa, którymi mogłaby go pocieszyć, lecz kiedy wrócili po kremacji do Aldringham, przeprosił i poszedł się położyć. Zważywszy, że wyglądał, jakby nie zmrużył oka od śmierci Rosalind, mogła mieć tylko nadzieję, że zazna w końcu spokoju.

Ponieważ w salonie tłoczyło się ponad stu pięćdziesięciu żałobników, nikt nie zauważył jego nieobecności. Podano lunch, Elizabeth nie miała jednak apetytu. Nie było tu nikogo, z kim mogłaby porozmawiać, nikogo, kto by zrozumiał. Caitlin nie pofatygowała się, aby przylecieć i prawdę mówiąc, Elizabeth nawet ją rozumiała: w końcu Rosalind nie była wobec nieślubnego dziecka syna zbyt serdeczna. Amber gdzieś znikła. Przyleciała z Nowego Jorku naładowana opowieściami o swoim ostatnim koniku — pracy modelki. Na pewno wymknęła się na górę, aby zadzwonić do przyjaciół i o wszystkim im opowiedzieć. Elizabeth potrząsnęła głową. Gromada ludzi prawiących Amber komplementy była ostatnią rzeczą, jakiej siostra potrzebowała. Nadal nie mogła zrozumieć, dlaczego ojciec zgodził się, by córka została poza domem.

Matka zdawała się sądzić, że niezależność wyjdzie Amber na dobre, nauczy ją odpowiedzialności. Lecz dwa miesiące za granicą nie stłumiły młodzieńczego buntu. Dziewczyna miała nawet czelność zjawić się na pogrzebie w czarnych dżinsach, czarnym podkoszulku i wielkich okularach przeciwsłonecznych. Elizabeth była przerażona

tak demonstracyjnym brakiem szacunku. *Gdyby babcia mogła ja zobaczyć, prychnęłaby z pogard i powiedziała, że tego właśnie można się było spodziewać po tak zepsutym dziecku.* Ta myśl sprawiła, że Elizabeth się uśmiechnęła. O to właśnie chodzi podczas stypy: aby przypomnieć sobie, kim była Rosalind Melville.

— Wygłosiłaś w kościele piękną mowę. — Elizabeth podniosła wzrok i zobaczyła ojca.

— Dziękuję — powiedziała. Prawdę mówiąc, poczuła się zaskoczona, gdy ojciec poprosił ją, by wygłosiła pochwałę zmarłej. Dużo ją kosztowało, by się przy tym nie rozplakać. — Postarałam się, jak mogłam najlepiej.

— Rzeczywiście — powiedział stanowczo. — Wiesz, że byłaby zadowolona.

Elizabeth odwróciła wzrok niepewna, jak powinna zareagować. Tak bardzo pragnęła, by ojciec docenił jej starania i przyznał, że jest z niej dumny, że kiedy już coś takiego się zdarzało, nie miała pojęcia, jak sobie z tym poradzić.

Nim zdążyła cokolwiek wymyślić, William wtopił się z powrotem w tłum, wracając do roli idealnego gospodarza. Elizabeth podeszła do baru i poprosiła kelnera, by przygotował jej dzin z tonikiem. Był piątek i planowała zostać w Aldringham do poniedziałku. Usłyszała dobiegający z głębi salonu wybuch śmiechu i odwróciła się, gotowa spiorunować spojrzeniem osobę, która dopuściła się takiego braku szacunku. Lecz kiedy rozejrzała się po pokoju, zobaczyła, że nikt poza nią nie wziął gościom za złe wesołości. Ciche, pełne respektu głosy, jakie rozbrzmiewały w salonie po ceremonii, należały już do przeszłości, podobnie jak marynarki i krawaty. Tak naprawdę śmierć Rosalind nikogo z nich nie obeszła. Większość gości przybyła jedynie po to, by się pokazać. Stojąc tak, otoczona bezmiarem hipokryzji, poczuła nieodpartą chęć, by uciec i zostać sama. Poleciała kelnerowi, by nalał jej kolejny dzin z tonikiem i zabrała drinka na werandę. Lecz nawet tam czuła, że inni są zbyt blisko. Ruszyła więc przed siebie, kierując się ku kortom. Dopiero kiedy znalazła się na tyle daleko od domu, że nikt nie mógł jej zobaczyć, opadła na kamienne stopnie. Wsparła głowę na kolanach zadowolona, iż może zrzucić w końcu maskę.

Przebywała tam nie dłużej niż minutę, gdy usłyszała, że ktoś pokasluje, dając znać o swojej obecności. Podniosła wzrok i serce w niej zamarło. To był Cole.

— Cudownie — wymamrotała — tylko tego mi trzeba. Otarła szybko łzy grzbietem dłoni. Nie znosiła, kiedy przyłapywano ją w chwili słabości, a już na pewno gdy przyłapywał ją Cole. Nie widziała się z nim od tego dnia w Tokio, kiedy go odepchnęła. Zdawał się nie dostrzegać, jak bardzo czuje się zażenowana. Wyjął z kieszeni marynarki czystą chusteczkę i jej podał. Zawahała się, lecz po chwili ją wzięła.

— Dzięki — wymamrotała, wydmuchując nos. Cole przykucnął obok niej.

— Przyszedłem tu za tobą — wyjaśnił niepotrzebnie. — Zobaczyłem, jak wychodzisz i postanowiłem sprawdzić, czy wszystko gra.

— Dzięki, lecz nic mi nie jest. — Chciała tylko, by sobie poszedł. Nie zrobił tego jednak. — Byłaś blisko z babką — zauważył. Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie, mimo to przytaknęła.

Chrząknęła, by oczyścić gardło i zapanować nad emocjami. — Afe, jak powiedziałam, wszystko ze mną w porządku, naprawdę. Powinieneś wrócić do domu. Za chwilę przyjdę.

Spodziewała się, że skorzysta z okazji i sobie pójdzie. Zamiast tego usiadł na stopniu i wziął ją za rękę.

Siedzieli tak w bezruchu, pogrążeni w przyjaznym milczeniu, dłuższy czas.

Tydzień po pogrzebie, gdy życie zaczęło wracać powoli do normy, William umówił się na spotkanie z Gusem Fellowsem, prawnikiem matki i wykonawcą jej testamentu. Później myślał często, że nie zareagowałby tak gwałtownie, gdyby wcześniej go ostrzeżono. Gdyby matka przyszła do niego i powiedziała: „Oto co zamierzam zrobić ze swymi udziałami”. Tymczasem nie miał pojęcia, że cokolwiek zmieniło się od tamtego dnia przed dziesięcioma laty, kiedy Rosalind poczyniła ustalenia, by całe dziesięć procent jej udziałów przypadło kiedyś jemu.

I kiedy siedział tego dnia naprzeciw Gusa w kancelarii Fellows & Sons przy Chancery Lane, ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał, było usłyszeć, że matka zmieniła testament.

- Kiedy to zrobiła? — zapytał, podejrzewając, że skoro nie wspomniała mu o zmianie, z pewnością nic wróży to nic dobrego.

Gus Fellows miał na tyle przywoitości, by sprawiać wrażenie zakłopotanego.

— Hmm... — Udał, że sprawdza datę. — Ponad pięć lat temu.

Pięć lat. To wtedy Caitlin z nimi zamieszkała. Znaczenie tej daty nie umknęło jego uwagi. Nie był też zaskoczony — choć z pewnością go to zabolalo — gdy w chwilę potem okazało się, że Rosalind zostawiła swoje udziały prawowitym wnuczkom — siedem i pół procent Elizabeth i dwa i pół Amber.

Tak oto William, przygnębiony śmiercią matki i nękany nie dającym się zignorować poczuciem własnej śmiertelności, uświadomił sobie z bolesną jasnością, że młodsze pokolenie depcze mu po piętach. Bystra, pewna siebie Elizabeth, której siła oraz opanowanie napawały go dumą poprzedniego dnia w kościele, teraz zdawała się mu zagrażać. Znał starszą córkę na tyle, by wiedzieć, że jest młoda, głodna sukcesu i zdeterminowana — i że zrobi wszystko, by zająć jego miejsce w firmie. Zawsze tak było, lecz przez kilka ostatnich lat mógł przynajmniej kontrolować jej posunięcia. Teraz Rosalind dała wnuczce narzędzie, by mogła zwiększyć swoje wpływy w spółce.

Nie było to z pewnością dziedzictwo, jakie spodziewał się otrzymać.

Rozdział trzydziesty drugi

Walczyła o oddech, kaszląc i krztusząc się, gdy uciekało z niej życie. Wyciągała rękę, błagając go wzrokiem o pomoc. Ale z jakiegoś powodu nie był w stanie się poruszyć. Chciał — Boże, naprawdę bardzo tego chciał — lecz był jak sparaliżowany, wrośnięty ze strachu w ziemię. Mógł tylko stać i przyglądać się, jak matka umiera...

Obudził się ze snu pełnego koszmarów, zlany zimnym potem. W pokoju słychać było jedynie jego oddech, ciężki i dyszący. Był w ciemności sam, przerażony. Wyciągnął rękę, aby zapalić nocną lampkę i przewrócił szklanekę z wodą. Uderzyła z głuchym stukotem o szafkę, a potem wylądowała niemal bezgłośnie na dywanie. Zaklął

i szukał dalej, póki nie znalazł w końcu przycisku. Światło zalało pokój i poczuł się trochę lepiej.

Leżał w łóżku jeszcze przez minutę, czekając, aż uspokoi mu się oddech. Potem wyplątał się z pościeli, wstał i podreptał do łazienki. W jaskrawym świetle spostrzegł w lustrze swoje odbicie. Wyglądał okropnie. Oczy miał nabiegłe krwią, powieki obwisłe i spuchnięte.

Trudno się dziwić, zważywszy, że nie sypiał jak należy od blisko ośmiu tygodni. Za każdym razem kiedy zamykał oczy, widział matkę: walczącą o oddech, krztuszącą się, umierającą... Jakkolwiek by się starał, nie potrafił usunąć z myśli tego obrazu. Brak snu zaczął się już na nim odbijać. Chodził permanentnie otumaniony. W końcu po tym, jak popełnił w pracy kilka błędów, zdecydował się poszukać fachowej pomocy.

To absolutnie normalne powiedział lekarz, uśmiechając się ze współczuciem — po śmierci ukochanej osoby. Rozumiem jednak, iż może się pan czuć odrobinę zdesperowany. Bezsenna noc to straszna rzecz.

Bezsenna noc to straszna rzecz, powtarzał sobie w duchu Pierś, gdy lekarz wypisywał receptę. Było to niedopowiedzenie. Przez osiem tygodni leżał bezsennie noc po nocy, tak wyczerpany, że nie potrafił w ciągu dnia normalnie funkcjonować, desperacko pragnąc pograć się w błogosławionym odrętwieniu tylko po to, by okazało się, że cokolwiek by robił, nie jest w stanie zasnąć. Czasami czuł się tak, jakby ogarniało go szaleństwo.

Miał nadzieję, że tabletki rozwiążą problem. Wieczorem połknął dwie, jak zalecił lekarz i po półgodzinie poczuł, że odpływa... po to jedynie, aby obudzić się w trzy godziny później z tym samym obrazem pod powiekami: matka wyciąga do niego rękę, błagając o pomoc, a on ją zawodzi. Wydawało się to tak rzeczywiste... A teraz czuł się jeszcze gorzej. Tabletki, po których spodziewał się cudu, okazały się raczej przekleństwem.

Wyrzucił resztę pigułek do ubikacji. A potem wrócił do łóżka, nie po to jednak, by spać. Noc zdawała się ciągnąć w nieskończoność...

CZĘŚĆ III

Czerwiec 2001 - luty 2002

Rozdział trzydziesty trzeci

Caitlin O'Dwyer była zdenerwowana, podekscytowana i spóźniona. Spóźniona na najważniejszy wieczór w życiu, myślała z rozpaczą, gdy limuzyna posuwała się w żółtym lempie Piątą Aleją. Śródmieście bywało na ogół zatłoczone, lecz tego wieczoru sytuacja wydawała się gorsza niż zazwyczaj. Zewsząd dobiegał ryk klaksonów tworzących gniewną symfonię. Nerwowość rosła wraz z temperaturą, gdyż wszyscy chcieli jak najszybciej wydostać się z miasta, uciec od klaustrofobicznej duchoty nowojorskiego lata.

Dobrze, że wóz ma przynajmniej klimatyzację, pomyślała. Była to jedna z korzyści poruszania się samochodem gwiazdy rocka. Przyciemnione szyby, telewizja i w pełni wyposażony barek... wszystko to wydawało się Caitlin odrobinę przesadne. Specjalista od public relations nalegał jednak, by skorzystała z limuzyny, powtarzając do znudzenia, że za cholerę nic wolno jej przyjechać na doroczne rozdanie nagród CFDA taksówką.

Nagrody Council of Fashion Designers of America. Odpowiednik Oscara w świecie mody. Dreszcz przebiegł Caitlin po plecach. Nawet teraz trudno jej było uwierzyć, że została nominowana...

Przybyła przed sześcioma laty do Nowego Jorku niemal bez grosza, hołubiąc w duszy marzenie, by zrobić karierę jako projektantka. Oczywiście mogła dostać bez trudu pracę w którymś z wielkich domów mody przy Madison Avenue. Uznała jednak, że nie chce spędzić kolejnych dwóch lat wykonując podstawową robotę — sporządzając wykroje dla innych projektantów i doglądając szycia próbnego egzemplarzy... Chciała pracować dla siebie.

Wynajęła więc kilka zaniedbanych pomieszczeń w pozbawionej charakteru kamienicy czynszowej na Lower Last Side i zaczęła rozglądać się za kimś, kto kupiłby od niej stroje przygotowane na pokaz dyplomowy. Pewna siebie, umawiała się na spotkania z osobami prowadzącymi dział zakupów w każdym z wielkich magazynów odzieżowych: u Neimana Marcusa, Saksa, Bergdorfa... Ale choć towar się podobał, nikt nie chciał ryzykować i czegośkolwiek kupić.

— Przykro nam — powtarzali jeden za drugim. — Nie mamy zwyczaju ryzykować, kupując ubrania nieznanymi projektantów.

Kiedy zaczęły wyczerpywać się jej fundusze, zainwestowała w maszynę do szycia i podjęła się wykonywania przeróbek dla pół tuzina butików. Było to zajęcie kiepsko płatne i daleko poniżej jej umiejętności, pozostawiało jednak dość czasu, by mogła pracować nad własnymi projektami. Spędziła w ten sposób bardzo samotne pół roku. Nie знаła tu nikogo, a Nowy Jork nie jest najbardziej przyjaznym miastem na świecie. Nie miała też wielu okazji, aby poznawać nowych ludzi. Zaglądała do butików raz w tygodniu, zabierała ubrania do przeróbki i pracowała nad nimi w swojej piwnicy. Tęskniła za Alainem i przyjaciółmi z Belleville. Tęskniła za Lucienem bardziej, niż sądziła, że to w ogóle możliwe.

Lecz w pewnym sensie samotność działała także na korzyść Caitlin. Nic jej bowiem nie rozpraszało i mogła zająć się pracą. Z wolna sytuacja zaczęła się poprawiać. Wyrobiła sobie opinię doskonałej szwaczki — szybkiej, starannej i odpowiedzialnej. To zaś oznaczało, że mogła wybierać, dla kogo chce pracować. Lubiła zwłaszcza *White Heat*, modny butik przy West 14th Street, w dzielnicy zwanej Meatpacking. Ubrania były tu śmiałe, modne i bardziej w jej stylu. Co kilka tygodni przynosiła naręcze zaprojektowanych przez siebie ciuchów, próbując namówić właściciela, by zaczął je wystawiać.

— Wkrótce — obiecywał. — Gdy tylko pozbędę się części towaru, który już mam.

Lecz „wkrótce” przestało Caitlin wystarczać. Wiedziała, że musi wykonać kolejny ruch i zaczęła szukać po temu sposobności.

White Heat był popularny wśród młodej, lubiącej zabawę klienteli. Jedną z najważniejszych klientek była Lena Chapman, księżniczka z Park Avenue i początkująca ikona stylu. Teraz zaś, mając w per-

spektywie występ na słynnym balu debiutantek w wiedeńskiej operze, szukała dla siebie czegoś bardziej oryginalnego niż tradycyjna biała sukienka przypominająca kształtem bezę.

— Szukam czegoś, w czym mogłabym wywołać poruszenie — powiedziała.

Dwóm asyistentkom polecono, aby przyniosły wszystkie białe sukienki, jakie tylko znajdowały się w sklepie. Caitlin, która przyszła akurat po kolejną porcję przeróbek, przyglądała się, jak Lena po kolei je odrzuca.

— Nie ma w nich nic szczególnego — poskarżyła się Janiec, zanim wypadła ze sklepu.

— Co za wrzód na tyłku — powiedziała Janice do Caitlin, kiedy dziewczyna wyszła.

Lecz Caitlin się z tym nie zgadzała. Zdażyła poznać Lenę w ciągu kilku minionych miesięcy na tyle, by wiedzieć, że prędzej włoży na siebie coś śmiałego i artystycznie wyzywającego niż ciuch, w którym będzie wyglądać po prostu ładnie. A skoro tak, mogła być dla Caitlin idealną klientką. Rzuciła więc rzeczy do przeróbki na ladę i wybiegła za Leną.

Dopadła dziewczynę, kiedy ta miała wsiąść właśnie do taksówki i szybko wyjaśniła, że jest projektantką i ma sukienkę, która na pewno się jej spodoba.

— Naprawdę? Myślałam, że pokazano mi już wszystkie białe sukienki.

— Ta nie znajduje się w sklepie. Jest w moim mieszkaniu. — Skrzyżowała palce, modląc się w duchu, by Lena nie spytała, dlaczego sukienka nie trafiła do butik. Nie chciała, by się wydało, że jest tylko szwaczka. — Musiałabyś przyjechać ją obejrzeć.

Zdołała wzbudzić widocznie zainteresowanie, ponieważ dziewczyna, zawsze w pogoni za czymś ryzykownym i niezwykłym, zgodziła się przyjść o siódmej. W końcu co miała do stracenia? Najwyżej dwadzieścia minut swego czasu.

Teraz obracała się przed lustrem, pokrzykując: — Uwielbiam ją! Elegancka suknia w stylu Art Deco odpowiadała idealnie jej oczekiwaniom. Z początku była sceptyczna w kwestii tego, co przema-

wiająca łagodnym głosem, cokolwiek wyciszona młoda kobieta może jej pokazać. Sukienka wyglądała jednak tak, jakby Caitlin potrafiła czytać w myślach Leny. Kreacji uszytej z białej krepy, o zwodniczo prostym kroju koszulki, egzotycznego, bogatego wyglądu przydawały pokrywające ją w całości, naszyte ręcznie paciorki.

Po miesiącu Lena pojawiła się więc w hotelu Waldorff Astoria wyglądając nader wyrafinowanie w koktajlowej sukience w stylu szalonych lat dwudziestych. Pozostałe dziewczęta, ubrane w bardziej tradycyjne stroje, mogły jedynie patrzeć, jak kradnie im show.

W następnym tygodniu zdjęcie Leny ukazało się w *Sunday Styles*, poświęconym modzie dodatku do *New York Timesa*. Wspomniano tam również o młodej, zyskującej popularność projektantce, której dziełem była ta cudowna sukienka — Caitlin O'Dwyer.

Przepis na sukces pozostaje od zawsze niezmienny: ciężka praca, pasja oraz wytrwałość. Lecz nie zaszkodzi mieć też odrobinę szczęścia. A Lena Chapman przyniosła Caitlin szczęście, zapewniając tak potrzebny w karierze przełom.

Po sukcesie odniesionym podczas balu debiutantek została pierwszą klientką Caitlin. A co ważniejsze, wspomniała o niej przyjaciółkom, podobnie jak ona bogatym, młodym, pięknym i często fotografowanym. Wszystkim bardzo spodobał się pomysł noszenia strojów zaprojektowanych specjalnie dla nich.

Wkrótce Caitlin prowadziła już własną firmę.

Było to dla niej idealne rozwiązanie, pozwalające tworzyć dramatyczne, ekstrawaganckie stroje stanowiące jej znak firmowy. Młode kobiety z towarzystwa uwielbiały ponadczasową nostalgię projektów Caitlin: zamaszyste suknie wieczorowe bez ramiączek i delikatne sukienki koktajlowe. Jej prace dorównywały kunsztem projektom Dio-ra, klientkom podobało się jednak najbardziej to, iż każda rzecz była unikatowa, zaprojektowana i uszyta specjalnie dla nich. Caitlin nie żałowała czasu, by z nimi rozmawiać, poznawać ich styl, dowiadywać się, co lubią i jak chciałyby wyglądać podczas danej imprezy towarzyskiej. I właśnie ta dbałość o szczegóły sprawiała, że do niej wracały.

Przez pierwszy rok Caitlin rysowała, kroїła i szyła każdą rzecz sama, pracując po osiemnaście godzin na dobę w zarzuconej belami

materiału piwnicy. W miarę jak rosła liczba klientek, zaczęła jednak zatrudniać do pomocy osoby z zewnątrz.

Lecz wybierała tylko najlepsze szwaczki. W dziedzinie, gdzie o wszystkim decydowała jakość, nie mogła sobie pozwolić na nedoróbki. Osobiście sprawdzała każdą rzecz, nim opuściła pracownię, upewniając się, że wykonane ręcznie szwy wyglądają jak należy.

Po roku prosperowała już całkiem nieźle. Miała jednak świadomość, że prowadzi jednoosobowe przedsięwzięcie. Szycie strojów na indywidualne zamówienie było czasochłonne i nieproporcjonalnie kłopotliwe w stosunku do wkładu pracy. Chciała projektować własne linie ubrań gotowych do noszenia — coś, co mogłaby sprzedawać do domów towarowych. Jednak by stworzyć całą kolekcję — opłacić modelki, pracownię i pokazy — potrzebowałyby znacznie więcej gotówki, niż mogła zarobić, pracując dla kilku wybranych klientek.

Pomoc nadeszła ze strony Alexis Reid, przebojowej młodej dziennikarki z Queens. Zaintrygowana rosnącą renomą prac tajemniczej Caitlin O'Dwyer, umówiła się na spotkanie. Zjawiła się w zaniedbanej kamienicy bez windy wcześniej rano, po czym zasiadła w kącie

i przez dłuższy czas przyglądała się, jak Caitlin dokonuje przymiarki. Zanim klientka wyszła, Alexis podjęła decyzję.

Wyłożyła Caitlin swoje zamiary przy tanim lunchu w pobliskiej chińskiej dzielnicy.

— Talent to jedno, skarbie — powiedziała — sukces to coś zupełnie innego. Masz potencjał, by zostać sławną projektantką, lecz potrzebujesz mojej pomocy.

Zaoferowała swoje usługi w zamian za udział w przyszłych zyskach Caitlin. — Sporo ryzykujesz — zauważyła Caitlin, kiedy przypieczętowały umowę. Oczywiście Alexis zabłysły. — Uwierz mi, zamierzam porządnie cię oskubać — odparła.

Połączenie sił z Alexis okazało się dobrym pomysłem. Ze swymi kostiumami bizneswoman i starannie ułożonymi jaskraworudymi włosami była uosobieniem agresywnego stylu lat osiemdziesiątych — i dokładnie taką osobą, jakiej Caitlin potrzebowała. Lena i jej przyjaciółki bywały na wszystkich liczących się nowojorskich przyjęciach i w każdym modnym klubie — a pokazywały się tam w ciuchach

uszytych przez Caitlin. Coś takiego, właściwie wykorzystane, mogło stanowić wspaniałą reklamę, do tego darmową.

Alexis wiedziała, jak to zrobić. Posługując się dostarczoną przez Caitlin listą klientek oraz wydarzeń, w jakich miały uczestniczyć, dzwoniła do znajomych fotografów i dyskontowała wyświadczone kiedyś przysługi, namawiając ich, by suknia została sfotografowana, a zdjęcie ukazało się następnego dnia w prasie.

Lecz miała też inne metody. Kiedy zbliżała się gala oscarowa, postarała się o celowy przeciek informacji, jakoby Caitlin otrzymała od uczestniczek trzy zamówienia. Nie była to prawda, gdyż nikt się jeszcze do Caitlin nie zwrócił. Lecz następnego ranka miała już cztery zamówienia, a zdesperowane klientki błagały ją, by znalazła dla nich czas.

Na ogół pozostawiała Alexis wolną rękę. Zaprotestowała tylko, kiedy współpracowniczka wpadła na pomysł, by wykorzystać jej powiązania z rodziną Melville'ow.

— Ale, skarbie, to bajeczna historia — naciskała. — Jesteś jak współczesny Kopciuszek. A twoja nie tak znów brzydka siostra wyrabia sobie właśnie nazwisko jako modelka.

Sięgnęła do kupionej niedawno torebki, stanowiącej flagowy produkt domu mody Hermes i wyjęła kilka magazynów w błyszczących okładkach, z widniejącą na nich twarzą Amber. — Bardzo wspomogłoby to sprzedaż. — Sprzedajemy i tak wystarczająco dużo — odparła Caitlin.

— To prawda. Wskaźniki wzrosłyby jednak znacząco, gdybyś pozwoliła mi szepnąć słówko...

— Nie, Alexis. — Zabrzmiało to, jak na Caitlin, niespotykanie stanowczo. — Byłabym też wdzięczna, gdybyś nie poruszała więcej tego tematu.

Cóż było robić — Alexis zrezygnowała. W końcu nie potrzebowały już tego rodzaju reklamy. Caitlin została wkrótce ulubienicą najbogatszych klientek, a domy towarowe, które odrzucały kiedyś jej projekty, teraz biły się o to, by zechciała je zaopatrywać. Wybrały na początek firmę Henriego Bendela, znanego z innowacyjnego podejścia do mody damskiej i wspierania młodych projektantów. Caitlin poświęciła wszystkie oszczędności, by stworzyć ograniczoną

linie ubrań dla sieci sklepów Heiulela. Wyprzedano je w ciągu tygodnia.

Teraz, kiedy limuzyna zatrzymała się w końcu przed wejściem do Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, Caitlin poczuła, że dreszcz przebiega jej po plecach. Jej praca została w końcu doceniona, a nominacja do tytułu Najbardziej Obiecującego Talentu w Dziedzinie Mody Damskiej CFDA stanowiła tego dowód. Caitlin była na najlepszej drodze, aby wyrobić sobie w świecie mody nazwisko. Jeśli oczywiście zwycięży...

Alexis Reid stała z boku, przyglądając się z aprobatą, jak Caitlin wysiada z samochodu. Obawiała się nieco, że jej beztroska klientka może pojawić się w długiej wiejskiej spódnicy oraz powiewnej tunice, ozdobionej etniczną biżuterią. Dzięki Bogu Caitlin zrezygnowała jednak z ulubionego stylu i postawiła na strój podkreślający wszystkie jej atuty i odpowiedni do okazji.

Czyż nie wygląda cudownie, pomyślała Alexis z mieszaniną dumy i zazdrości. I rzeczywiście, w ciemnoniebieskiej wieczorowej sukni bez ramiączek — oczywiście własnego projektu — uwydatniającej figurę o kształcie klepsydry, Caitlin wyglądała niesamowicie zmysłowo. Ten wieczór będzie należał niewątpliwie do niej...

Na czerwonym dywanie znajdowała się już Heidi Klum, olśniewająca w sukni Chanel i Heather Graham w kreacji Diora, z zamykającym pochód P.Diddy, lecz kiedy pojawiła się na nim Caitlin, wszystkie obiektywy skierowały się natychmiast na nią.

— Tutaj, Caitlin! — wołali kamerzyści i fotografowie.

Błyskały flesze. Po godzinie spędzonej na fotografowaniu wychudzonych modelek oraz aktorek przyjemnie było zobaczyć znowu prawdziwą kobietę. A jeśli chodzi o kształty, Caitlin mogłaby rywalizować nawet z J.Lo.

Alexis patrzyła, jak Caitlin uśmiecha się grzecznie do fotografów. Dziewczyna ma klasę, pomyślała. Emanuje zmysłowością, lecz nie jak dziwka, raczej w staromodnym stylu gwiazdy. W przeciwieństwie do wielu obecnych kobiet, nie pokazywała zbyt wiele ciała, surowy jedwab jej sukni opinał jednak biust, wąską talię i krągłe biodra niczym druga skóra, pozostawiając niewiele wyobraźni.

z charakterystycznym, przydymionym makijażem oczu, lekko odętymi czerwonymi usłami i wysoko upiciu fryzurą, z której wymykało się kilka ciemnych loczków, wyglądała w każdym calu jak gwiazda kina z lat pięćdziesiątych. Caitlin odznaczała się bowiem rzadkim talentem: potrafiła kreować strojem opowieść. I właśnie dlatego odniosła sukces. Choć, dzięki Bogu, nie uderzył jej on do głowy, pomyślała Alexis. Po czterech latach Caitlin była nadal tą samą trzeźwo myślącą osobą, którą kiedyś poznała. Owszem, dojrzała, zmieniając się z rozczulająco poważnej, chociaż cokolwiek zagubionej dziewczyny w pewną swoich atutów młodą kobietę. Nie straciła jednak dawnej pasji. Projektowanie nadal było dla niej najważniejsze; nic szła na kompromis, nie wykorzystywała znanego nazwiska, jak zrobiłoby to wielu innych. To dlatego została nominowana.

W końcu, uświadomiwszy sobie, że klientka potrzebuje wsparcia, ruszyła jej z odsieczą. — Wystarczy, chłopcy — powiedziała, ujmując Caitlin pod ramię.

— Dzięki — wyszeptała Caitlin pozwalając, by Alexis wprowadziła ją do wnętrza budynku. — Od tego uśmiechania zaczęła mnie już boleć twarz.

— Lepiej się przyzwyczaj — szepnęła w odpowiedzi Alexis. — Jeśli wygrasz, będziesz miała tego więcej.

Protestując skromnie, że nie wiadomo, czy uda jej się zwyciężyć, ruszyła za Alexis. Zajęły wyznaczone miejsca w pięknym forum Celeste Bartos na chwilę przed tym, jak rozpoczęła się uroczystość.

Ceremonię prowadziła Sandra Berhardt, ubrana w elegancki smoking z salonu Yves'a Saint Laurenta. Jak zwykle uroczystość ciągnęła się w nieskończoność, chociaż na szczęście nie tak długo, jak w poprzednim roku, kiedy to trwała bile siedem godzin. Nie przyniosła też wielu niespodzianek: Tom Ford otrzymał Nagrodę Roku dla Najlepszego Projektanta Damskiej Odzieży, zaś Calvin Klein Nagrodę za Całokształt Osiągnięć. — A teraz nagroda dla Najbardziej Obiecującego Projektanta Damskiej Odzieży — oznajmiła Sandra Bernhard. Alexis spojrzała na Caitlin, która starała się wyglądać tak, jakby nie miała nadziei zwyciężyć, ale zupełnie się jej to nic udawało. Alexis ujęła dłoń dziewczyny i mocno ją uścisnęła.

Zwycięzcą jest... prowadząca zamilkła i w przestronnym audytorium jedynym słyszalnym dźwiękiem był teraz szelest rozrywanej koperty — Caitlin O'Dwyer!

Kiedy Caitlin udało się wyrwać wreszcie z przyjęcia w hotelu Gramercy Park, dochodziła czwarta nad ranem. Reszta wieczoru minęła w wirze gratulacji, wywiadów i życzeń. A kiedy od dawna uwielbiany bohater, Michael Kors, podszedł, by jej pogratulować — „Zasłużone zwycięstwo, skarbie”, powiedział, całując ją w policzek — pomyślała, że umrze zaraz ze szczęścia.

— Oddźwięk w prasie będzie niesamowity ~- zauważyła Alexis podekscytowana. — Staniesz się znana na całym świecie.

Caitlin pomyślała o tych, którym chciałaby się pochwalić odniesionym właśnie sukcesem — o Lucenie, Williamie... Wiedziała, że to dziecinne, a przecież... Co za korzyść ze zwycięstwa, skoro nie można się nim pysznić?

Jazda powrotna do domu nie trwała długo. Siedziała wsparta o skórzane poduszki, ze złotą statuetką w dłoni, przyglądając się miejskiemu krajobrazowi za oknem. Minęli charakterystyczne dla Greenwich Village kamienice z piaskowca, fasady z kutego żelaza dzielnicy Sono i skierowali się ku mieszkaniu Caitlin w TriBeCa. Przeprowadziła się tu przed dwoma laty, kiedy zaczęła zarabiać przyzwoite pieniądze. Budynek, w którym mieścił się pierwotnie skład towarów sukiennych, został przebudowany w latach osiemdziesiątych, nim okolica zmieniła się z modnej w ekskluzywną. Caitlin zakochała się w dwukondygnacyjnym lokalu, gdy tylko go zobaczyła. Na dole urządziła pracownię, na piętrze zaś pokój dzienny, połączony z sypialnią.

W mieszkaniu zrzuciła z nóg buty i rozpięła sukienkę. Przyjemnie było ponosić ją przez jeden wieczór, pomyślała. Odwiesiła suknię ostrożnie do szafy, zadowolona, iż może się już rozebrać. Coś tak reprezentacyjnego i formalnego nie było w jej stylu. Założyła elegancką kreację tylko z uwagi na wymogi public relations — gdyby postąpiła inaczej, Alexis chybaby ją zabiła.

Po dziesięciu minutach wszelkie oznaki uroczystego anturażu zostały usunięte. Ubrana w podniszczoną bawełnianą piżamę, z twarzą wyszorowaną do połysku, nie przypominała już gwiazdy kina. Zbyt

pobudzona, aby od razu się położyć, zaparzyła dzbanek herbaty i zabrała go ze sobą na podest schodów przeciwpożarowych, gdzie lubiła przesiadywać, pogrążona w rozmyślaniach. Nocne powietrze było przyjemnie ciepłe, wyzbyte dziennej duchoty. Poniżej miasto budziło się do życia: słyszała warkot silnika ciężarówki przywożącej zaopatrzenie do delikatesów na rogu i ryk syreny przejeżdżającego radiowozu.

Popijała herbatę, rozmyślając o wydarzeniach wieczoru. Odniosła triumf, mimo to czuła się... niespokojna. Powrót do mieszkania, gdzie nikt na nią nie czekał, uświadomił Caitlin, jak bardzo jest samotna. Sukces w świecie nie znaczy wiele, jeśli nie ma z kim go dzielić. Pewnie, miała przyjaciół, którzy dzwonili, by jej pogratulować i dobrze jej życzyli. Alexis, Alain... Nie miała jednak rodziny ani nikogo bliskiego. Oczywiście spotykała się w Nowym Jorku z mężczyznami, na ogół namówiona do tego przez przyjaciół. Wychodziła z facetem raz, czasami dwa. Byli to zwykle przystojni mężczyźni o interesujących zawodach i poważnych zamiarach. Lecz żaden nie był Lucieniem. Nawet teraz wystarczyło, że wspomniała jego imię, a już się krzywiła.

Dużo o nim myślała, kiedy przybyła przed pięcioma laty do Nowego Jorku. Zamierzała zadzwonić, napisać, wyjaśnić... kiedy już zdoła rozeznac się w swoich uczuciach. Lecz jakoś nigdy pora nie wydawała się odpowiednia. Czuła, że powinna zrobić to osobiście, stanąć z nim twarzą w twarz. Pierwsza okazja nadarzyła się po sześciu miesiącach, gdy poleciała do Paryża na czterdzieste urodziny Alaina.

Przed podróżą tygodniami zastanawiała się, co założyć, co powie... Czas oraz odległość pomogły jej uświadomić sobie, że popełniła kosztowny błąd, uciekając od niego tamtej nocy.

Przyjęcie urodzinowe odbywało się w Cafe des Amis. Caitlin przyszła wcześniej i spędziła pierwszą część wieczoru, odnawiając znajomości i zerkając co i rusz na drzwi.

Lucien pokazał się jednak dopiero około północy. Caitlin tak bardzo się ucieszyła, że dopiero po chwili zauważyła uczeponą jego ramienia islandzką blondynkę. Wysoka i długonoga, o skandynawskim typie urody, stanowiła dokładne przeciwieństwo Caitlin. To zmieniało sytuację. Kiedy znaleźli się w końcu twarzą w twarz, wymienili zaledwie uprzejme skinienie głowy.

Caitlin ulżyło, kiedy przyjęcie dobiegło wreszcie końca. Jeszcze lepiej poczuła się, kiedy wróciła następnego dnia do Nowego Jorku. Od tego czasu nie wybrała się już do Paryża, ani tego nie planowała. A już na pewno w najbliższej przyszłości.

To by było tyle, jeśli chodzi o jej życie uczuciowe.

Z tą niezupełnie pozytywną myślą wróciła do pokoju i wreszcie się położyła.

Następnego ranka obudził ją dźwięk telefonu. Podniosła słuchawkę, sądząc, że to Alexis żądna wymiany wrażeń na temat minionego wieczoru. Lecz to nie była Alexis. Dzwonił William.

Kiedy usłyszała jego głos, serce w niej zamarło. Od ich ostatniej rozmowy minęły miesiące, nie widzieli się zaś jeszcze dłużej. Nie życzyła sobie, by psuł jej nastrój.

— Gratulacje z powodu wygranej — powiedział po wymianie zwyczajowych grzeczności.

— Dzięki — odparła krótko. Wszystko czego chciała, to zakończyć rozmowę jak najszybciej.

— Nie dzwonię jedynie po to, żeby powiedzieć „dobra robota” — kontynuował. — Prawdę mówiąc, chciałbym zapytać, jak wyglądają twoje plany na najbliższe tygodnie.

— Jestem zajęta — odparła odruchowo.

— Mam nadzieję, że nie aż tak zajęta, żebyś nie mogła wyskoczyć na trochę do Londynu.

Cisza.

— Bo widzisz — mówił dalej William, nie doczekawszy się odpowiedzi — jest coś, co chciałbym z tobą przedyskutować. Coś ważnego-

Caitlin zmarszczyła brwi. — Nie możemy omówić tego przez telefon?

Tym razem głos Williama brzmiał stanowczo. — Nie. Nie możemy. — Kolejna pauza. — Proszę, Caitlin. Nie żądam wiele. Chciałbym, żebyś zrobiła to dla mnie.

Zgodziła się, acz niechętnie, przylecieć w następnym tygodniu i odłożyła słuchawkę, tłumiąc złe przeczucia.

Rozdział trzydziesty czwarty

Elizabeth przeszła po macie *tatami* do miejsca, gdzie na futonie leżał na brzuchu jej mąż. Był nagi, gdyż zawsze tak sypiał podczas parnych letnich miesięcy w Tokio. Jego skóra w kolorze mlecznej czekolady kontrastowała z bielą prześcieradeł, prężne mięśnie błyszczały od potu. Nie cieszyła jej perspektywa wyjazdu. Tydzień z dala od niego będzie jak zawsze torturą.

Mieszkali w tym miejscu od czterech lat, to znaczy od ślubu. Za obojorną zgodą zrezygnowali z mieszkania w bloku w zachodnim stylu i wybrali coś typowo japońskiego — mały dom z rozsuwanymi drzwiami, zwanymi *shoji*, i minimalistycznie umeblowanym wnętrzem umożliwiającym swobodną zamianę pokoju dziennego w sypialnię i na odwrót. Lokalizacja odpowiadała im obojgu. Dom, położony w niewielkiej, ekskluzywnej dzielnicy w pobliżu Shoto zapewniał łatwy dostęp do sklepów i restauracji Shibuyi — wybór Cole'a — ale znajdował się też w odległości pieszego spaceru od Yoyogi Park, tokijskiego odpowiednika Central Parku, gdzie Elizabeth lubiła biegać w weekendy.

Nad Shoto wstawał już świt. Światło wczesnego poranka przenikało przez żaluzje, przypominając Elizabeth, że pora iść. Pochyliła się, by pocałować Cole'a na do widzenia. Sądziła, że nadal śpi. Tymczasem Cole otworzył oczy, przewrócił się błyskawicznie na plecy, objął ją w tali i pociągnął na siebie. Pisnęła zaskoczona.

— Próbujesz wymknąć się bez należytego pożegnania? — Kolejny szybki ruch i leżała już na brzuchu, a on na niej. — Powinnaś wiedzieć, że to ci się nic uda, Lizzie.

Przyciskał ją do materaca. Przez cienki materiał spódnicy wyczula, że jest podniecony.

- Cole! — zaprotestowała.

— Daj spokój, Elizabeth. — Skubnął ją wargami w szyję. — Cały tydzień bez ciebie? Powinnaś postarać się, żebym miał przynajmniej co wspominać...

— Nie mogę... Samochód... Mój kostium...

— Pieprzyć kostium.

Poruszał się na niej, ocierając delikatnie, w przód i w tył. Czuła, że zaraz ulegnie.

— Nie mam na to czasu — zaprotestowała słabo.

— Nie martw się — wymamrotał, podsuwając jej ołówkową spódniczkę aż na biodra. — To nie potrwa długo.

Elizabeth się roześmiała. — Oto, co pragnie usłyszeć każda dziewczyna.

Lecz słowa zamarły jej na wargach, gdy Cole zaczął zsuwać jej bieliznę.

Naparł biodrami na jej pośladki i natychmiast zrobiła się wilgotna. Rozsunęła instynktownie nogi, gotowa na seks. A kiedy poczuła, że w nią wchodzi, zapomniała o samolocie i czekającej ją podróży.

Po pięciu minutach było po wszystkim. Ku obopólnej satysfakcji.

— Sukinsyn — wymamrotała Elizabeth dobrodusznie, zsuwając się z łóżka. Poprawiła ubranie i podeszła do toaletki. Policzki miała zarumienione, czoło błyszczące od potu, nałożyła więc nieco pudru. — Jeśli przez ciebie spóźnię się na samolot...

Zamknęła puderniczkę.

Cole się roześmiał. — Daj spokój. Podobało ci się i dobrze o tym wiesz.

Wsparty na łokciach przyglądał się, jak Elizabeth nakłada szminkę, poprawia ubranie, zgarnia paszport i torebkę.

— Nie jest jeszcze za późno — powiedział, teraz już poważnie. — Nadal mogę z tobą polecieć.

Potrząsnęła głową.

— Nie, dzięki, dam sobie radę.

Popatrzył na nią z powątpiewaniem. — Skoro jesteś pewna...

Troska w jego głosie przywołała uśmiech na usta Elizabeth. Lubiała, kiedy się o nią martwił, próbował chronić. Kto by pomyślał, że Elizabeth Melville, która szczyciła się swoją siłą i niezależnością, będzie zadowolona z tego, że ma opiekuńczego męża?

— Jestem — odparła, pocałowała go szybko na do widzenia i już jej nie było.

Kierowca czekał przy czarnym lexusie. Przytrzymał drzwi, by mogła wśliznąć się na tylne siedzenie, po czym ruszyli na lotnisko Narita.

Było jeszcze wcześniej, więc ruch panował nieduży. Kiedy pędzili autostradą, rozmyślała o tym, jak szczęśliwą uczynił ją Cole.

Pobrali się w rok po pogrzebie Rosalind. Była to skromna uroczystość: tylko oni dwoje pod kwitnącymi drzewkami wiśni w Kioto. Utrzymywali swój związek w tajemnicy i poinformowali o nim dopiero, gdy się pobrali. Spotkało się to z różnymi reakcjami. William był wściekły, głównie dlatego, że nie przebaczył jeszcze Cole'owi, iż pozostawił go w trudnym dla firmy okresie i odszedł, aby założyć własny biznes. Caitlin przysłała uprzejmą kartkę, nie wykazała jednak chęci poznania Cole'a. Amber zorganizowała wysłanie ekstrawaganckiego bukietu — a raczej zorganizował to jej agent — z załączonym bilecikiem zawierającym życzenia z okazji ślubu siostry z Coli nem. Rozbawiło to ich oboje.

Osiedlenie się w Tokio stanowiło naturalny wybór. Elizabeth spędziła tu sześć lat, dbając o interesy firmy na Dalekim Wschodzie i w Azji Południowo-Wschodniej i otwierając kolejne placówki w Singapurze, Szanghaju i Hongkongu. Przed sześcioma miesiącami została, jako nadzorująca najbardziej dochodowe terytorium Melville'a, nagrodzona miejscem w zarządzie. Tymczasem Cole otworzył w Londynie sieć barów sushi i sashimi. Zatrudnił grupę sprawnych fachowców, by nimi zarządzała i doglądał interesu z Japonii, latając do Anglii raz lub dwa razy w miesiącu.

Określenie tego przedsięwzięcia mianem sukcesu stanowiło wielkie niedopowiedzenie. Obroty firmy sięgnęły piętnastu milionów i w piśmie *Forbes* zamieszczono na jej temat entuzjastyczny artykuł. Cole planował wejść wkrótce na bardziej wymagający rynek, otwierając ekskluzywną, drogą restaurację.

Jednym słowem, Elizabeth i Cole stanowili idealny przykład młodej, odnoszącej sukcesy pary. I byli z sobą bardzo szczęśliwi.

Elizabeth czuła, że na gruncie zawodowym mogłaby jeszcze wiele osiągnąć — wymagałoby to jednak wprowadzenia fundamentalnych zmian w polityce firmy. Planowała stanąć na czele zarządu Melville'a, o ile ojciec zechce kiedykolwiek ustąpić. Wpierw należało jednak się postarać, by mieć w przyszłości czym zarządzać, na razie bowiem sprawy przedstawiały się niewesoło. O ile kariera Caitlin błyszczała coraz jaśniejszym światłem, gwiazda Melville'a gasła, Elizabeth dobrze sobie radziła i zarządzana przez nią część firmy kwitła. Ogólnie jednak sprzedaż spadała. MeWille nie przyciągało już klienteli. Na domiar złego William odmawiał przyznania, że mają problem. Elizabeth próbowała z nim rozmawiać. Gdy była ostatnim razem w Londynie, zaproponowała, by powołano zespół, który zająłby się przanalizowaniem przyczyn spadku zainteresowania. William odrzucił jej sugestie. — W każdym biznesie zdarzają się gorsze okresy. Wkrótce sytuacja się odwróci.

Elizabeth nie była o tym przekonana. Nie miała też pewności, czy mogą pozwolić sobie na podejście typu „zaczekamy i zobaczymy, co się wydarzy”. Sprzedaż spadła tak drastycznie, że pojawiły się kłopoty ze spłatą dostawców, a pracownicy zaczęli odchodzić. Ostatnią ofiarą kryzysu był główny projektant. Opuścił firmę przed miesiącem i Elizabeth zaproponowała, aby zaprosić na spotkanie Caitlin.

Uważnie śledziła karierę siostry. Jej pełne dramatyzmu projekty nie były w stylu Elizabeth i nie współgrały z wizerunkiem firmy, która twardo trzymała się konserwatywnego i klasycznego stylu.

— Lecz Caitlin ma talent — powiedziała Elizabeth do ojca tuż po tym, jak główny projektant wręczył mu rezygnację. — I z pewnością dałoby się jakoś go spożytkować. Williamowi spodobał się ten pomysł, głównie dlatego, że mógł dostarczyć mu pretekstu, by spotkać się z córką. To, że tak bardzo ubolewał nad nieobecnością w jego życiu Caitlin, sprawiało Elizabeth przykrość. Powtarzała sobie jednak, iż można się było tego spodziewać. Starszą córkę widywał bardzo często, podczas gdy Caitlin pozostawała nieuchwytna. Nieważne, jakie kierowały nim motywy, zaproszenie siostry do współpracy stanowiło krok w dobrym

kierunku. A skoro wyraził na niego zgodę, może doceni też inne jej pomysły.

Cole sądził, że to próżne nadzieje. Chciał, by Elizabeth odeszła z rodzinnej firmy. Uważał Williama za autokratę, który nie wyrzeknie się swojej części władzy. Była to jedyna sporna kwestia w ich skądinąd idealnym małżeństwie. Elizabeth postanowiła bowiem udowodnić mężowi, że się myli. W końcu to ona pokieruje kiedyś firmą. Powinna mieć zatem coś do powiedzenia w kwestii kierunku, jaki ta firma obiera. Pozostawało przekonać do tego ojca.

W kilka godzin po tym jak Elizabeth wyleciała z Tokio, Caitlin weszła na pokład samolotu do Londynu. William zaproponował, że opłaci jej przelot, lecz odmówiła — kiedy wreszcie ojciec zrozumie, że ona nic życzy sobie, nie potrzebuje jego wspaniałomyślności? Zaprosił ją, by zatrzymała się w jego mieszkaniu przy Eaton Square. Elizabeth też miała tam być. Caitlin ponownie odmówiła. Zarezerwowała pokój w Baglionim, małym hotelu w Kensington, gdzie zwykła się zatrzymywać, gdy była w mieście. Dotarła tam późnym popołudniem i zastała wiadomość: William prosił, by skontaktowała się z nim zaraz po przyjeździe. Wzięła więc prysznic i zadzwoniła.

Jego głos brzmiał pojednawczo. — Pomyślałem, że moglibyśmy zjeść razem kolację. Elizabeth właśnie przyjechała. Mogłabyś przyjść na Eaton Square...

Caitlin odparła, że jest zbyt zmęczona. Cokolwiek miał jej do powiedzenia, będzie musiało poczekać. Woląca stawić mu czoło, gdy będzie wypoczęta.

Jeśli poczuł się rozczarowany, dobrze to ukrył. — W porządku. Umówmy się na jutro.

Caitlin zgodziła się zjeść z nimi lunch w Mirabelle. Przynajmniej spotkają się na neutralnym gruncie, pomyślała.

Świadomość tego nie sprawiła jednak, że spała dobrze tej nocy.

William i Elizabeth przybyli do restauracji Mirabelle w Mayfair za piętnaście pierwsza. Był to ulubiony lokal Williama, który cenił panującą w nim intymną, klubową atmosferę. Restauracja, położona przy Curzon Street, znajdowała się w dogodnej bliskości Melville'a,

na tyle jednak daleko, by mogli mieć pewność, że nie natkną się tam na nikogo z kierownictwa. Głównie dlatego William wybrał właśnie ten lokal. I dlatego mieli spotkać się tylko we troje: on, Caitlin i Elizabeth. Uznał, że lepiej nie zapraszać Piersa. Jeśli Caitlin odmówi, im mniej osób będzie o tym wiedziało, tym lepiej. Kierownik sali poprowadził ich obok foyer z fortepianem, a potem przez obwieszoną lustrami salę jadalną. Jak zwykle panował tu tłok. Biznesmeni w grafitowych garniturach prowadzili ożywione rozmowy nad pasztetem z gęsich wątróbek, zapijanym winem sauterne. To, że Caitlin już na nich czekała, nie zaskoczyło Williama. Doświadczenie podpowiadało mu, że będzie chciała mieć to jak najszybciej za sobą.

Nie widział jej od dłuższego czasu. Miała teraz... ile właściwie? dwadzieścia sześć lat. Wyglądała pięknie i bardzo stylowo. Zapuszczyła włosy tak, że opadały gęstymi falami na ramiona. W lnianych spodniach i luźnej bluzce bez rękawów wyglądała zarazem zwyczajnie i wyrafinowanie. Elizabeth, w ciemnoszarym garniturze od Josepha, z jasnymi włosami ściągniętymi ciasno z tyłu głowy, stanowiła absolutne przeciwieństwo siostry.

Po dość oficjalnym powitaniu zajęli się składaniem zamówień. Za milczącą zgodą pominęli przekąski i zamówili od razu danie główne i wodę mineralną. Nikt nie zadał sobie trudu, aby udawać, że będzie to miły, przyjacielski lunch. Przy stole zapadła kłopotliwa cisza. Członkowie tej rodziny nie byli zwolennikami beztrudnych pogawędek o niczym i nie zamierzali zmieniać swoich przyzwyczajeń.

To Caitlin przerwała w końcu milczenie. Upiła łyk wody, odstawiła szklanekę, a potem zadała pytanie, które chodziło jej po głowie od tygodnia:

— Zamierzacie powiedzieć mi, po co mnie tu ściągnęliście? William i Elizabeth wymienili znaczące spojrzenia. Odpowiedział

William.

— Ściągnęliśmy cię tutaj, gdyż mam dla ciebie propozycję zawodową.

Spojrzała na niego czujnie. Wziął głęboki oddech, a potem powiedział to, co spodziewała się usłyszeć: — Chciałbym, żebyś objęła stanowisko głównego projektanta w firmie.

Caitlin zajęta się solą z, Dover. Nie zamierzała jeść ryby apetyt opuścił ją, gdy tylko usiadła. Chodziło raczej o to, by zyskać na czasie.

Uznała, że powinno jej to sprawić większą frajdę. Siedziała naprzeciw Williama, na jego terytorium, a on prosił ją — nie, poprawiła się w myśli — błagał, aby zechciała dla niego pracować. Słuchała cierpliwie, kiedy usiłował przedstawić pozytywne strony swojej oferty.

— Wiem, że wyrabiasz sobie właśnie nazwisko w Nowym Jorku

— powiedział. — Jednak kierowanie zespołem projektantów domu mody o międzynarodowym zasięgu... To byłaby dla ciebie szansa.

Szansa? Chyba uważał ją za idiotkę. Branża modowa nie była duża. Słyszała o kłopotach Melville'a — odpływie personelu, zdzięsiątkowanym dziale projektowania. Nikt utalentowany nie poszedłby tam pracować, gdyby mógł tego uniknąć.

— I co o tym sądzisz? — ponaglił ją William.

Przesunęła kawałek ryby po talerzu. — Dziękuję za propozycję.

— Boże, nie miała ochoty tego powiedzieć. — Nie sądzę jednak, aby był to dla mnie właściwy ruch na tym etapie kariery.

William zmarszczył brwi. — Odmawisz? Tak po prostu? Nie chcesz nawet się zastanowić?

Caitlin wzruszyła ramionami. — Nad czym się tu zastanawiać? Mam własną firmę. Bardzo dochodową i osiągającą sukcesy. Dlaczego miałabym z tego rezygnować, aby pracować dla Melville'a?

Teraz wtrąciła się Elizabeth. — Cóż, właściwie nie musiałybyś dla nas pracować. Mogłabyś zaprojektować po prostu linię ubrań przeznaczoną dla młodszej klienteli albo firmować swoim nazwiskiem część kolekcji.

Caitlin potrząsnęła głową. — Nie miałabym na to czasu. Zamierzam rozwinąć w tym roku własną firmę. Mam plany...

— Jakie plany? — wtrącił William gwałtownie.

Caitlin spojrzała na niego chłodno. — Na razie to sprawa poufna.

William prychnął zniecierpliwiony. Caitlin zignorowała go i powiedziała, zwracając się do Elizabeth: — Zamierzam pracować po osiemnaście godzin na dobę, siedem dni w tygodniu...

Elizabeth otworzyła usta, lecz William ją ubiegł.

Nie pomyślałaś nawet o tym, ile mogłoby ci to przysporzyć korzyści.

— Wyłącznie dlatego, że nie sądzę, by mogło mi to przynieść jakąkolwiek korzyść. Doskonale radzę sobie sama. — Zamilkła na chwilę - Szczerze mówiąc, nie usłyszałam dotąd nic, co mogłoby skłonić mnie, abym wam pomogła. Ponieważ o to właśnie prosicie, czyż nie? Chcecie, bym wyświadczyła wam przysługę? Cóż, dlaczego miałabym to zrobić? Podajcie mi jeden dobry powód.

— Ponieważ cię potrzebujemy, Caitlin — odparła Elizabeth spokojnie. — Sytuacja wygląda źle i jesteś nam potrzebna.

Zapadła cisza. William obrzucił Elizabeth pełnym furii spojrzeniem. Lecz nagle opuściła go woła walki. Zgarbił się, a jego spojrzenie przygasło.

— Ona ma rację — przyznał. Caitlin widziała, ile go to kosztuje. — Jeśli sprawy dalej będą iść tym torem, firma może za kilka lat przestać istnieć.

Caitlin otarła usta serwetką, a potem powiedziała: — Cóż, nie rozumiem, w jaki sposób miałoby mnie to dotyczyć.

William zaszokowany podniósł wzrok i przez chwilę wydawało się, że nie wie, co powiedzieć. — Jak to: nie rozumiesz? Nie słyszałaś, co powiedziałem? — Zniżył głos do szeptu. — Melville stoi na krawędzi katastrofy.

— Słyszałam — odparła równie cicho. — Lecz nadal nie rozumiem, co ja mam z tym wspólnego.

Elizabeth była już pewna, że Caitlin nie da się przekonać. Wyprostowała się, gotowa odpuścić. Lecz William nie zamierzał tego robić.

— Chcesz powiedzieć, że to cię nie obchodzi? — zapytał z niedowierzaniem. — Wiem, że wolałaś trzymać się z daleka, ale z pewnością zależy ci na tym, aby nazwisko Melville nie stało się synonimem klęski?

Caitlin spojrzała na niego chłodno. — A dlaczego miałoby mi zależeć? Nie uważam się za członka tej rodziny i nigdy się nie uważałam.

Williamowi zabrakło słów. Wpatrywał się w nią zaszokowany. Elizabeth położyła ojcu uspokajającym gestem dłoń na ramieniu. Caitlin sięgnęła po torebkę, wyjęła portmonetkę i rzuciła na stół kilka

monet, Zdażyła wstać i już miała się oddalić, gdy William wysunął ostatni, desperacki argument. - Czy to, że jesteśmy rodziną, nic dla ciebie nie znaczy?

Nic powinien był tego mówić. Caitlin odwróciła się z wolna i spojrzała na niego.

— Rodziną? — powtórzyła z niedowierzaniem. — Nie jesteśmy rodziną. Nic dla mnie nie znaczą.

Teraz i William był już zły. — Przygarnąłem cię, gdy miałaś piętnaście lat. Dałem ci wszystko, o czym mogłaś zamarzyć...

Caitlin potrząsnęła głową. — Zawsze to samo, co? Sądzisz, że wystarczy sypanąć groszem i problem zniknie.

— A cóż to znowu miało znaczyć?

Caitlin zawahała się. Kusiło ją, aby powiedzieć mu o czekach, które znalazła — dowodach na to, że spłacił jej matkę. Tylko jaki miałyby to sens? I tak by zaprzeczył.

— Caitlin — powiedział ostro. — Pytałem, co to miało znaczyć.

Spojrzała mu wprost w oczy. — To znaczy, iż życzę sobie, byś usunął się z mojego życia. Myślisz, że wyświadczyłeś mi wielką łaskę, zabierając pod swój dach? Cóż, wołałabym zostać w Valleymount i dalej wierzyć, że mój ojciec nie żyje.

Twarz Williama zbieleła. Przez chwilę wyglądał tak, jakby chciał ją uderzyć.

— Jak śmiesz tak do mnie mówić? Jestem twoim ojcem i czas najwyższy, żebyś zaczęła okazywać mi szacunek.

Rozmowy w sali umilkły, a goście zaczęli odwracać głowy w kierunku, skąd dobiegały podwyższone głosy.

Caitlin uświadomiła sobie, że nie myliło jej przeczucie. Nie należało tu przychodzić. Stworzyła sobie własne życie, dobre życie i powinna jak najszybciej do niego wrócić. Nic nie łączyło jej z tymi ludźmi.

— Nie rozumiesz, prawda? Nie jesteś moim ojcem. Nigdy nie byłeś i nigdy nie będziesz.

Co powiedziawszy, odwróciła się i ruszyła ku drzwiom.

William patrzył, jak odchodzi. Był na nią wściekły za to, jak odnosiła się przez wszystkie te lata do niego, do rodziny Melville'ów. Lecz była też jego córką, jedynym ogniwem łączącym go z Katie i nie

chciał, aby rozstali się w ten sposób. Chciał wstać i pójść za nią, lecz kiedy się podniósł, ból przeszył jego lewe ramię. Skrzywił się i opadł z powrotem na krzesło.

Elizabeth zmarszczyła brwi. — Wszystko w porządku, tatusiu?

— Nic mi nie jest — burknął.

Rozcierał ramię z pochmurną miną. Ból pojawił się nie po raz pierwszy. Isabelle męczyła go od tygodni, by poszedł do lekarza. Mężczyzna w jego wieku powinien na siebie uważać, powtarzała.

Jego wiek. Nie znosił, kiedy przypominano mu, że się starzeje, choć lustro mówiło mu o tym codziennie. Wydawało się, że zaledwie wczoraj przejął firmę, pełen marzeń oraz nadziei na przyszłość, obiecując sobie, że uczyni ją większą, niż udało się to matce. Gdzie się podziały wszystkie te lata?

Otwierał i zamykał dłoń, próbując pozbyć się uczucia odrętwienia. Zadziałało i po chwili ból minął. Dobrze. Nie ma się czym przejmować. A ucisk w piersi to prawdopodobnie skutek niestrawności.

— Na pewno dobrze się czujesz? — Elizabeth bacznie mu się przyglądała. — Mam przynieść więcej wody?

— Nie — odparł poirytowany. Czemu nie zostawi go w spokoju? — Zamierzam sprawdzić, czy zdołam dogonić Caitlin.

Spróbował wstać, lecz kiedy się podniósł, ból znowu zaatakował. I tym razem nie minął. Nagle poczuł, że nie jest w stanie oddychać. Teraz bolało go już nie tylko ramię.

Chwycił się za pierś. Zobaczył, że Elizabeth wpatruje się w niego przerażona. Powinien coś powiedzieć, jakoś ją uspokoić... zamiast tego poczuł, że leci, pada na podłogę, ściągając na siebie obrus z całą zawartością.

Jego ostatnia myśl dotyczyła tego, iż być może nie zdoła już wyprostować swoich relacji z Caitlin.

Caitlin stała przy drzwiach, czekając, aż ktoś znajdzie jej okrycie, gdy usłyszała brzęk rozbijających się na podłodze filiżanek i talerzy. Odwróciła się instynktownie. To co zobaczyła, miało prześladować ją przez resztę życia. Dosłownie przed chwilą odeszła do stolika, podkcytowana kłótnią, zadowolona z tego, że powiedziała wreszcie

Williamowi, co myśli. Następne wspomnienie będzie już dotyczyło tego, że słyszy hałas, odwraca się i widzi go leżącego na podłodze, z zamkniętymi oczami, poszarzałą twarzą, słabego i znieruchomiałego. Patrzy zbita z tropu, nie do końca rozumiejąc, co się wydarzyło. A potem elementy układanki wskakują nagle na swoje miejsce i nadchodzi ta okropna, przerażająca świadomość: *To przeze mnie.*

Rozdział trzydziesty piąty

Gdy Rich usłyszał pisk pagera, znajdował się właśnie w salonie Cartiera przy Rodeo Drive, próbując zdecydować, jaki zegarek spodobałby się Louisowi: z platyny, a może z białego złota? Na wyświetlaczu ukazał się numer 911. Westchnął ciężko. To była siódma rocznica ich związku. W apartamencie w West Hollywood chłodził się już szampan, a Louis przyciemniał zapewne światła. Lecz romantyczny wieczór będzie musiał poczekać, gdyż Mała Dama — jak nazywał po cichu Amber — przeżywała oto kolejny kryzys.

Czasami żałował, że odniosła aż taki sukces. Gdyby było inaczej, mógłby odesłać ją do diabła. Lecz w sześć lat po tym, jak ją poznał, Amber Melville nadal była kopalnią złota. Okładki magazynów... pokazy... i ostatni triumf: siedmiocyfrowy kontrakt z *Glamour* na reklamę kosmetyków. Niestety, nie sprawiło to, że przestała być dla niego niczym wrzód na tyłku.

Nim dotarł do jej posiadłości w Beverly Hills, zdążyła wysłać mu trzy następne wiadomości. Ekskluzywne, zamknięte osiedle Summit Circle oferowało wart miliony dolarów widok na zatokę Los Angeles i najnowocześniejszy system alarmowy. Strażnik przy bramie sprawdził tożsamość Richa i machnął dłonią, pozwalając mu przejechać. Rich miał własny klucz na wypadek niespodziewanych okoliczności, takich jak na przykład ta. Zaczerpnął głęboko powietrza i otworzył drzwi.

Znalazł Amber w wykładanym marmurem holu wejściowym, upozowaną z wyczuciem dramatu na krętych schodach i łkającą spazma-

tycznie. Z boku stała ewidentnie bezradna meksykańska pokojówka. Rich odprawił dziewczynę machnięciem dłoni, zapisując sobie w pamięci, by wsunąć jej potem suty napiwek. Jeśli okaże się wystarczający, nie pobiegnie z tą historią do gazet. Potem przybrał stosownie zatroskany wyraz twarzy i podszedł do Amber.

— Kwiatuszku! — Opadł na stopnie tuż przed nią. — Co się u diabła stało?

Jej ciałem wstrząsnął kolejny szloch, tak silny, że nie był w stanie zrozumieć, co mówi.

— Cćć... — uspokajał ją, głaszcząc po włosach. — Powiedz tatusiowi.

Uspokojenie jej na tyle, by mogła opowiedzieć, co się wydarzyło, zajęło mu dwadzieścia minut. Płakała z powodu Wallace'a Marshalla, gwiazdy Lakersów. Para była nierozłączna przez siedem i pół tygodnia — rekord, jak na Amber. Wszystko szło dobrze, póki Wallace nie został sfotografowany w *Teddy's* z ręką w majtkach jednej z fanek drużyny. Amber dowiedziała się o tym, kiedy zadzwoniono do niej z magazynu *Star*, prosząc o komentarz.

— Jak mógł mi to zrobić? — załkała, po czym popłynął kolejny potok łez.

Rich objął ją i przytulił.

— Och, daj spokój, kwiatuszku — powiedział dziecinnym głosem, który nie wiedzieć czemu, lubiła. Było to nieco poniżające, ale trzydzieści procent, jakie mu płaciła, pomagało odsunąć na bok osobiste uczucia. — Tatuś wszystko naprawi.

Głaskał ją po włosach, kiedy szlochała przytulona do jego piersi.

Zarzykował i zerknął na zegarek, zastanawiając się, jak szybko zdoła się wyrwać.

— No już, skarbie. On nie jest tego wart. — Sięgnął do kieszeni i znalazł jedwabną chusteczkę z monogramem Melville'a. Amber podarowała mu ją w zeszłym roku pod choinkę. Skąpa dziwka. Podał jej chustkę. — Otrzyj łzy, kwiatuszku. Nie chcesz chyba zeszpeciść tej ślicznej buzi, prawda?

Prawdę mówiąc, nie było na to szans. Nawet z zaczerwienioną twarzą i ciekącym nosem Amber wyglądała dobrze. Co więcej, potęgo-

walo to jej urok właśnie owo niedoskonale, rozwichrzone piękno uczyniło ją sławną.

Od pierwszej chwili kiedy zobaczył ją przed sześcioma laty, wiedział, że ma w sobie coś szczególnego. Jej wylansowanie było jednym z tych znaczących momentów, o których w branży zawsze będzie się pamiętało — takim jak ten, gdy Kate Moss wylądowała w 1990 na okładce Face, wprowadzając modę na kokainowy szyk.

W przypadku Amber szesnastoletnia dziedziczka spoglądała buntowniczo z okładki *Style*, bogata i znudzona, z miną mówiącą, że widziała już wszystko, i papierosem zwisającym nonszalancko spomiędzy jaskrawoczerwonych warg. Rich namówił stylistę, aby nadał jej ten z lekka wulgarny wygląd. Zrobili zdjęcie wcześniej rano w metrze, pustym, jeśli nie liczyć paru pijaczków i kilku maklerów w prążkowanych garniturach, zdążających na Wall Street. Amber stała pomiędzy nimi, ubrana w szalową złotą sukienkę bez pleców, okryta podniszczonym futerkiem. Prawie nieletnia, ubrana jak dziwka, z rozmazanym pod oczami tuszem wyglądała, jakby wracała do domu po nocy spędzonej na balandze. Nie sposób było jej nie zauważyć.

Wizerunek niegrzecznej dziewczynki i skacowany wygląd wywołały natychmiastowy oddźwięk. I na to właśnie liczył Rich. Po tygodniu wszyscy w branży mówili już tylko o Amber Melville. Towarzyszący zdjęciu artykuł opisywał każdy smakowity szczegół jej krótkiego, a zarazem barwnego życia. Kolejne szkoły, starsi mężczyźni, ostry seks i twarde narkotyki — wszystko to okazało się za dobre, by dziennikarze zdołali oprzeć się pokusie. Ojciec Amber nie był z tego powodu szczęśliwy, ale jej sława — czy raczej niesława — została ugruntowana.

Popatrzył znów na zegarek. Uświadomił sobie, że najgorsze minęło. Teraz chciał już tylko się stamtąd wydostać.

— Kochanie — powiedział, zastanawiając się gorączkowo. — Skorzystaj z mojej rady. Najgorsze co możesz zrobić, to zostać tutaj i zadrećcać się tym przez całą noc.

Amber spojrzała na niego wielkimi, wilgotnymi ufnymi oczami. — Tak myślisz?

— Ja to wiem — nalegał. — Powinnaś wyjść, trochę się zabawić. Pokazać światu, że ten sukinsyn się dla ciebie nie liczy.

Zacząła ssać dolną wargę, zastanawiając się nad tym, co jej powiedział.

- Może masz rację... — Spojrzała na niego z nadzieją. — Pójdiesz ze mną, prawda? Nie mam nastroju, żeby wychodzić dziś sama.

Do licha, tego nie przewidział. Zawahał się. Był już spóźniony i miał pojawić się bez tak ważnego podarku z okazji rocznicy. Jego szanse na seks tego wieczoru blakły z każdą chwilą.

— Cóż, miałem spotkać się z Louistem...

Dolna warga Amber zaczęła znów drżeć. Na tym polegał problem Richa. Był jedyną osobą, na którą mogła liczyć w chwili kryzysu. Miała tabuny znajomych, którzy z ochotą wylegiwali się nad jej basenem i chodzili z nią na imprezy, zwłaszcza gdy nie musieli za nic płacić. Lecz przy nich nie mogła opuścić ani na chwilę gardy. Sprzedaliby to, czego by się dowiedzieli, za samą obietnicę bycia przedstawionym szefowi castingu. Mogła liczyć na Richa, ponieważ w jego interesie leżało, by przy niej trwał.

Rozważył możliwości — i uznał, że prościej będzie iść teraz z Amber. Zawsze mógł zostawić ją tam, gdzie wylądują. Uśmiechnął się z przymusem.

— Oczywiście, że z tobą pójdę, dziecinko.

— Nie przeszkadza ci to? — spytała, pociągając nosem.

— Ani trochę.

— Wspaniale. — Łzy wyschły podejrzenie szybko. Pozbierała się ze stopnia, wstała i powiedziała: — Pójdę się przygotować.

Kiedy zniknęła na górze, Rich spojrzał na swoją koszulę w odcieniu pastelowego błękitu. Na gorsie widniały dwie mokre plamy. Zmarszczył, zde gustowany, nos. Była to jego ulubiona koszula, wybrał ją specjalnie na ten wieczór — Louis zawsze powtarzał, że jej kolor uwydatnia barwę jego oczu. Teraz nie nadawała się już do niczego — podobnie jak jego rocznicowa kolacja. Cóż, znajdzie sposób, aby obciążyć Amber za to, że Louis będzie dziś rozczarowany.

W trzy godziny później Amber czuła się już o wiele lepiej. Opadła na jedną z wyściełanych czarną skórą sof, ustawionych wokół patio

Les Deux, najmodniejszego z modnych nocnego lokalu w LA. Poprzednią godzinę spędziła w środku, ocierając się o innych tancerzy na małym, zatłoczonym parkiecie. Tu, na zewnątrz, było zdecydowanie spokojniej: muzyka mieszała się z wonią jaśminu i ciepłym światłem wielkich kandelabrow.

Kelner przyniósł wiaderko z lodem i kilka butelek Cristal. Amber zsunęła z wypedikiurowanej stopy pantofelek od Jimmy'ego Choo.

— Hej, J.B., pomasuj mnie. — Położyła prawą stopę na kolanach Jima-Boba Lewisa Juniora, wpychając palce głęboko w jego krocze i sugestywnie nimi poruszając.

Zamiast posłuchać, uśmiechnął się tylko leniwie i powiedział, przeciągając głoski:

— Będziesz musiała bardziej się postarać, słodziutka.

Jim-Bob Lewis Junior — J.B. dla przyjaciół — był jedynym spadkobiercą fortuny teksaskiego nafcjarza i stałym towarzyszem imprez Amber. Mając w perspektywie odziedziczenie kilku milionów, nie musiał robić nic poza beztruskim wylegiwaniem się na kalifornijskim słońcu. Za dnia krążył po nadbrzeżnym deptaku w Santa Monica, wypatrując pięknych dziewcząt na rolkach, a w nocy imprezował. Nic dziwnego, że on i Amber szybko znaleźli wspólny język. Najczęściej balowali na Sunset Strip razem. To właśnie tam Amber poznała większość swoich przyjaciół. Ilekroć wychodziła wieczorem, mogła mieć pewność, że spotka kogoś, kto zechce jej towarzyszyć. Rich miał rację, pomyślała, flirtując i przekomarzając się z J.B. — teraz czuła się zdecydowanie lepiej. Żałowała, że go tu nie ma i nie może mu tego powiedzieć. Przepadł jednak gdzieś w tłumie na początku wieczoru. Będzie musiała złapać go później. Rich dawał jej najlepsze rady — takie jak ta, by przeprowadziła się do Los Angeles. Uwielbiała to miejsce. Mnóstwo ludzi go nienawidziło, twierdząc, że potrafi wyssać z człowieka życie. Było jednak idealne dla młodych, bogatych i żądnych rozrywki osób, takich jak Amber. Uwielbiała zwłaszcza lokale w rodzaju *Les Deux*, gdzie przychodziło się, aby oglądać innych i samemu być widzianym. Trudno było nie czuć się *cool* w otoczeniu tłumy pięknych ludzi: długonogich dziewcząt w krótkich modnych sukienkach, którym towarzyszyli mężczyźni w garniturach od Armaniego, zdolni podnieść ciężar równy wadze

własnego ciała i nawet się nie spocić. Tym, co łączyło ich wszystkich, były nieskazitelnie białe uśmiechy, prężne, opalone ciała oraz nadzieja, że zrobią wielką karierę lub pozostaną na szczycie, jeśli zdążyli się tam już dostać.

Amber przebiegła spojrzeniem po tłumie gości. Byli tu „zwykli podejrzani”: starzejący się gwiazdor, otoczony wianuszkami dziewcząt młodszych od niego o dekady; najnowsza gwiazdka wytwórni Disneya, uzależniona ponoć od kokainy; reżyser z Hollywood, który odrzucił kandydaturę Amber do roli w jego najnowszej komedii romantycznej. Wiedziała, że inni przyglądają się jej, szacując wzrokiem. Dlaczego mieliby tego nie robić? Wyróżniała się z tłumu pełnego znakomitości, a przecież w pewien sposób jednolitego. Ubrana w bladą różową dziewczęcą sukieneczkę i kontrastujący z nią żakiet z czarnej skóry, przesadnie umalowana, cała składała się z nóg i platynowych loków. Młodsza, bardziej gorąca wersja Courtney Love.

Badala wzrokiem tłum, gdy nagle nowa, a przecież dziwnie znajoma twarz przyciągnęła jej uwagę. Zmrużyła oczy, próbując umiejscowić przybysza. — Czy to nie Johnny Wilcox? — spytała powoli.

Pozostali podążyli wzrokiem za jej spojrzeniem. — Taa — powiedział po chwili J.B. — Chyba masz rację.

Po raz pierwszy tego wieczoru Amber zapomniała zupełnie o Wallasie.

Johnny Wilcox był członkiem brytyjskiego boysbandu Kalejdoskop. Trzy ich ostatnie albumy zyskały status platynowej płyty i uważani byli za gorący towar — póki przed miesiącem zespół niespodziewanie się nie rozpadł. W oświadczeniu prasowym wspomniano o różnicach artystycznych. Media spekulowały jednak, że trzej pozostali członkowie zespołu mieli po prostu dość Johnny'ego. Kalejdoskop zbudował swoją sławę na wizerunku grzecznych młodzieńców, będących obiektem pożądlivych snów gospodyń domowych. A Johnny bez przerwy ten wizerunek naruszał. Był idealnym dostarczycielem sensacji dla tabloidów. Nic się nie dzieje? Zawsze można liczyć na Johnny'ego. Nie było tygodnia, by w jakimś piśmie nie ukazało się zdjęcie Johnny'ego wciągającego kokainę, przewracającego się w pijanym widzie w rynsztoku lub nokautującego jakiegoś paparazzi.

Dziewczęta ustawiały się w kolejce, by sprzedać opowieści o seksie we troje i całonocnych orgiach... Przebywał na okrągło na jakimś odwyku po to jedynie, aby po wyjściu oddać się z lubością nałogowi, z którego rzekomo dopiero co się wyzwolił.

Ale jak większość złych chłopców, był też nieodparcie seksowny, w ten mroczny, nieco wulgarny sposób. Przypominał Amber Billy'ego, z którym zabawiała się wieki temu w Anglii. I oto był tutaj, w *Les Deux*, otoczony imponującym, nawet jak na standardy Amber, orszakiem. Przyglądała się z zainteresowaniem, jak znany potentat z branży nagraniowej zatrzymuje się przy stoliku Johnny'ego, by złożyć mu uszanowanie.

— Zastanawiam się, co robi w Los Angeles — powiedziała na wpół do siebie Amber.

— Słyszałam, że ma tu nagrać solowy album — wtrąciła piskliwym głosem Devon.

Devon Carter stanowiła typowy wytwór Hollywood. Nastoletnia blondynka była gwiazdą przeznaczonego dla młodzieżowej widowni serialu HBO *Always&Forever* — a przynajmniej była nią, póki nie przerwano w połowie trzeciego sezonu jego produkcji. Nie otrzymawszy kolejnych propozycji, spędzała coraz więcej czasu, imprezując i starając się zapomnieć. Teraz pochyliła się i powiedziała scenicznym szeptem: — Podobno podpisał kontrakt z Phoenix Records.

Amber przetrawiała przez chwilę informację. Choć Devon wypadła nieco z obiegu, nadal miała powiązania, a rozpowszechniane przez nią plotki zwykle okazywały się prawdziwe.

J.B. zobaczył, że jego szanse na wylądowanie tej nocy w łóżku Amber gwałtownie maleją i wcale go to nie ucieszyło. — Nie rozumiem, co jest w nim takiego... Amber go zignorowała. Nadal uważnie przyglądała się Johnny'emu. Uznała, że na żywo jest jeszcze bardziej fantastyczny. Rozwalony niedbale na krześle, z piwem w jednej ręce i papierosem w drugiej, miał w sobie więcej seksapilu niż pozostali goście razem wzięci. Wyglądał, jakby pod warstewką opanowania płonął w nim żar. Miał w sobie to coś, z czym człowiek się rodzi — nie da się tego kupić ani wypracować. Nie zdawała sobie sprawy, że ludzie często mówią tak o niej.

Johnny musiał wyczuć, że Amber mu się przygląda, gdyż spojrzał na nią przez pokój. Nie pofatygowała się, aby odwrócić wzrok. Nieśmiałość nie była w jej stylu. Ich oczy się spotkały i coś przemknęło pomiędzy nimi, jakiś rodzaj wzajemnego rozpoznania. Uśmiechnął się powoli, leniwie.

Nie potrzebowała wyraźniejszego zaproszenia. Dopła szampan.

— Idę się przedstawić. — Odstawiła kieliszek na niski stolik. — Mogę zrobić dla rodaka przynajmniej tyle.

Wsunęła na stopy pantofelki od Choo, wygładziła na pośladkach kusą sukienkę i ruszyła ostentacyjnie seksownym krokiem ku Johnny'emu. Nie myślała już o zdradzie, jakiej dopuścił się wobec niej Wallace. Jak powiadał Rich, najlepszym sposobem, aby wyzwolić się od kogoś, jest poddać się uczuciu do innej osoby. Miała przeczucie, że tym kimś będzie Johnny Wilcox.

Po półtorej godziny byli już w jej mieszkaniu. Przyrządziła drinki i usiadła obok niego na tapczanie. Właśnie mieli zabrać się do sprawy na poważnie, kiedy zadzwonił telefon. Johnny majstrował akurat przy zapięciu jej biustonosza, roztropnie pozwoliła więc, by włączyła się sekretarka. I usłyszała, jak matka głosem zachrypłym od łez powiadamia ją, że ojciec został zabrany do szpitala z podejrzeniem ataku serca. Odsunęła się od Johnny'ego i podbiegła do telefonu.

Rozdział trzydziesty szósty

W Londynie była pora lunchu. Piers Melville odsunął napoczętą kanapkę na skraj biurka i sięgnął po kawę. Wpatrywał się niewidzącym spojrzeniem w okno. Gdyby popatrzył nieco w bok, mógłby zobaczyć swego odpowiednika w biurze po drugiej stronie ulicy. Z ledwie widoczną zza stosu skoroszytów głową wyglądał, jakby miał bardziej produktywny dzień niż Piers — choć nie mówiło to wiele.

Minione sześć lat nie było dla Piersa łaskawe. Od śmierci matki nie przespał spokojnie nawet jednej nocy. Stracił też apetyt. Skutki braku snu i złego odżywiania były oczywiste. Nie wyglądał już dobrze. Z przystojnego mężczyzny zmienił się w chudzielca o posiwiałych, przerzedzonych włosach, ziemistej cerze i ściągniętej twarzy.

Upił kolejny łyk kawy. Kofeina już jednak na niego nie działała. Był stale wyczerpany; przez większość czasu czuł się wyobcowany ze świata, jakby głowę spowijała mu mgła.

Nagły dźwięk telefonu sprawił, że podskoczył. Spojrzał poirytowany na numer na wyświetlaczu. Dzwoniła jego osobista sekretarka. Zmarszczył brwi. Polecił jej przecież wyraźnie, by nie łączyła przez następną godzinę żadnych rozmów. Czy ta kobieta nie potrafi wypełnić najprostszych instrukcji?

Nie spieszył się z odebraniem telefonu. Zanim to zrobił, wyrzucił do kosza resztki kanapki i wytarł starannie dłonie chusteczką. — O co chodzi, Anne? — zapytał znużonym głosem.

Kiedy zaczęła mówić, informując go, że William poważnie zachorował, poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

Piers? — zapytała. Wiedział, że czeka na reakcje z jego strony, lecz był jak ogłuszony. Nie mógł myśleć jasno. Uświadomiwszy sobie, że szef jest w szoku, spytała: — Mam wezwać samochód, by zawiózł cię do szpitala?

— Samochód? — powtórzył nadal oszołomiony. — Tak, Anne. Oczywiście. Dziękuję. — Potrząsnął głową, próbując oczyścić umysł. — Och — dodał nagle — powiadom też Elizabeth. Na pewno zechce wybrać się ze mną.

— Elizabeth już wie — odparła Anne. — Prawdę mówiąc, to ona mnie powiadomiła. Najwidoczniej była z twoim bratem, kiedy to się zdarzyło. — Zamilkła i dodała usłużnie: — Caitlin chyba też.

Zastanowiło to Piersa. Caitlin była w Londynie, a William i Elizabeth jedli z nią lunch. O co tu chodzi? I co ważniejsze, dlaczego nie został zaproszony?

Rozmyślał o tym przez całą drogę do szpitala.

Williamu zabrano do The Wellington, prywatnej kliniki w północnym Londynie. Elizabeth uparła się, by jechać z ojcem karetką. Caitlin ruszyła za nimi taksówką. Kiedy jechali przez miasto, mogła myśleć tylko o jednym: *Nie umieraj. Proszę, nie umieraj.*

Oddział kardiologiczny kliniki The Wellington należał do największych w Zjednoczonym Królestwie. Kilku najznakomitszych kardiologów kierowało tutaj własnymi zespołami lekarzy. Nie uczyniło to jednak diagnozy łatwiejszą do przyjęcia. Choć resuscytacja krążeniowo-oddechowa pobudziła serce do pracy, William potrzebował operacji. Zabieg angioplastyki wieńcowej miał odbyć się nazajutrz rano.

To Elizabeth zadała w końcu pytanie, które chodziło wszystkim po głowie: — Na czym polega ten zabieg?

Do tego czasu Piers zdążył się już do nich przyłączyć. Isabelle jechała z Somerset, a Amber czekała na pierwszy samolot z Los Angeles.

— Angioplastyka polega na otwarciu arterii wieńcowej w kroczu lub ramieniu — wyjaśniał doktor Davies — i wprowadzeniu przez

otwór cienkiego drucika, zakończonego balonikiem w kształcie kiełbaski...

Kontynuował, objaśniając szczegóły operacji, a Caitlin słuchała, żałując, że Elizabeth w ogóle o to zapytała. Jak zrozumiała, tego typu zabieg przeprowadzano zwykle, gdy pacjent poczuł się lepiej — lecz stan Williama był tak poważny, że należało wykonać go od razu.

Amber przyleciała następnego ranka. Wysiadła z samolotu w błysku niezliczonych fleszy. Rich powiadomił dziennikarzy, aby czekali na nią na lotnisku.

— Czy to prawda, że spotykasz się z Johnnym Wilcoxem? — wykrzykiwali reporterzy.

Milczała, patrząc uparcie przed siebie i pozwalając, by ochroniarz zaprowadził ją do czekającej limuzyny. Dopiero kiedy znalazła się w środku, pozwoliła sobie odrobinę się odprężyć. Powrót do Anglii nie był sprawą łatwą. Po tym jak zrobiła w Ameryce karierę, była zbyt zajęta, żeby odwiedzać stary kraj częściej niż raz, dwa razy do roku. I szczerze mówiąc, jeśli nie liczyć matki, nie odczuwała też szczególnej ochoty, aby widywać się z rodziną. Zawsze dawali jej odczuć, że zawód, który wybrała, jest trochę, cóż, „niestosowny”. Wszyscy poza matką, która nieodmiennie ją wspierała.

Ale czy kiedykolwiek było inaczej? pomyślała z odrobiną lekceważenia. Isabelle dzwoniła za każdym razem, gdy zobaczyła zdjęcie córki w czasopiśmie, przychodziła na każdy pokaz i regularnie odwiedzała Amber w LA. Była jej najzagorzalszą fanką. Ale ilekroć Amber spotykała się z ojcem i Elizabeth — podczas obowiązkowo spędzanych razem świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy — wyrażali się o jej sposobie zarabiania na życie z lekką pogardą.

Amber wmawiała sobie, że robią tak z zazdrości: zarabia w końcu duże pieniądze i ma własne życie, z dala od nich. To, że nosi nazwisko Melville, nie ma znaczenia. Gdyby była nikim, też by się przebiła.

Ale czy na pewno? W głębi duszy zawsze w to powątpiewała. Kiedy widziała się poprzednio z ojcem — a było to przed trzema miesiącami, z okazji jego urodzin — pokłócili się o cokolwiek ryzykowną sesję zdjęciową dla FHM, miesięcznika dla mężczyzn, w której wzięła

udział. Pamiętała, jak wrzeszczał; „Pozwalają ci chodzić po wybiegu tylko dlatego, że ośmieszasz naszą rodzinę, nasze nazwisko!”.

Odparła, że opowiada głupstwa, wątpliwość jednak pozostała. Czy mogła to być prawda? Czy osiągnęła sukces jedynie dzięki nazwisku?

Gdy tak siedziała ze wzrokiem utkwionym w przyciemnioną szybę, uświadomiła sobie, że spotkanie z ojcem wywołuje w niej nader mieszane uczucia.

To było pełne napięcia czterdzieści osiem godzin. Wielki człowiek spoczywający z poszarzałą twarzą na szpitalnym łóżku, otoczony popiskującymi monitorami, zdawał się starzeć w oczach. Rodzina postanowiła zostać przy chorym. Patrzyli zaniepokojeni, jak wiozą go, nadal nieprzytomnego, na Oddział Intensywnej Opieki Medycznej, gdzie jego stan miał być przez noc monitorowany.

Caitlin przyglądała się przez szybę OIOM-u macosze czuwającej nad Williamem. Chociaż płakała niemal bez przerwy, wyglądała nienagannie: zachowała staranny makijaż i nie pomięte ubranie. Tam gdzie chodziło o wygląd i styl, Isabelle Melville nie miała sobie równej.

Caitlin uśmiechnęła się leciutko, patrząc, jak macocha odsuwa Williamowi włosy z twarzy. Małżonkowie rzadko okazywali sobie czułość. Lecz uśmiech znikł jej z twarzy, gdy przypomniała sobie ich kłótnię. *Nie jesteś moim ojcem.* Zostało to powiedziane w gniewie, pod wpływem niekontrolowanych emocji. Caitlin zamknęła oczy, żałując, że nie jest w stanie w równie łatwy sposób zamknąć umysłu przed wspomnieniami.

Na OIOM-ie mogła przebywać tylko jedna osoba. Skoro była nią Isabelle, reszta rodziny zasiadła na dwóch rzędach plastikowych krzesełek w pobliżu. Piers, który kupił dla wszystkich kawę z automatu i właśnie ją przyniósł, podał bratanicom kubki i usiadł obok Elizabeth.

— Byliście w Mirabelle, kiedy to się zdarzyło? — zapytał jak gdyby nigdy nic.

— Tak — odparła Elizabeth, nadal oszołomiona. — Rzeczywiście.

— Ty, William... i Caitlin?

Zgadza się.

Piers skinął z wolną głową, — Rozumiem. — Zamilkł na chwilę. - A co tam robiliście?

Pytanie prześladowało go przez cały wieczór. Kiedy usłyszał o chorobie Williama, był w stanie myśleć jedynie o tym, by dostać się jak najszybciej do szpitala, upewnić, że brat wyzdrowieje. Lecz kiedy zamęt związany z umieszczeniem chorego na oddziale trochę się uspokoił i pozostało im już tylko czekać, trybiki w jego głowie znowu zaczęły się obracać.

— Och, nic ważnego — odparła z nieobecną miną Elizabeth — tatuś chciał sprawdzić, czy Caitlin nie mogłaby dla nas pracować.

Piersowi odebrało mowę. Wyznaczenie nowego projektanta było decyzją o strategicznym znaczeniu — nie mógł uwierzyć, że William nie spróbował omówić tego wpierw z nim. Chciał zapytać o coś jeszcze, lecz jedno spojrzenie na zmartwioną twarz Elizabeth powiedziało mu, że lepiej poczekać. Oczywiście, on też martwił się o Williama. Chciałby jednak wiedzieć, dlaczego nie zaproszono go tego dnia na spotkanie.

Elizabeth uświadomiła sobie, że wuj pograżył się w rozmyślaniach. Spojrzała na niego i się przeraziła. Wyglądał okropnie. Zresztą nic w tym nowego. Nigdy do końca nie otrząsnął się po śmierci matki.

— Może wróciłbyś do domu i trochę odpoczął? Zadzwoń, jeśli... — zamilkła, by zebrać się w sobie — ...jeśli coś się wydarzy.

Piers potrząsnął głową. — Wolę zostać.

Po co miałyby wracać do domu? W końcu nie sypia jak należy od sześciu lat. Wątpliwe, aby zmieniło się to akurat teraz.

Amber wyszła z toalety, prezentując świeżo nałożony makijaż. Elizabeth zmarszczyła brwi. Martwiła się o ojca i chętnie wyładowałaby na kimś frustrację. Amber wydawała się równie dobrym celem jak ktokolwiek inny. Kiedy siostra do nich podeszła, Elizabeth potrząsnęła z dezaprobatą głową.

— Wiesz, Amber, to nie pokaz mody.

Amber zmierzyła ją spojrzeniem. — Widzę — odpaliła. Elizabeth się zjeżyła. — Prawdę mówiąc, nie wiem, po co w ogóle tu siedzisz. Nie widzę w pobliżu żadnych fotoreporterów.

Amber wydawała się dotknięta. Na miłość boską, Elizabeth! To przecież także mój ojciec!

— Nie nabierzesz mnie. Kiedy ostatni raz zadałaś sobie trud, żeby się z nim zobaczyć? Albo do niego zadzwonić?

Caitlin, która przysłuchiwała się im w milczeniu, położyła dłoń na ramieniu Elizabeth. — Elizabeth, nie...

Elizabeth spojrzała na nią z gniewem. — A co to ma wspólnego z tobą? Gdyby nie ty, toby tu teraz nie leżał!

Strząsnęła dłoń Caitlin i podeszła do szyby.

— O co jej chodziło? — spytała Amber zaciekawiona.

Caitlin potrząsnęła w odpowiedzi głową. W głębi duszy wiedziała jednak, że Elizabeth ma rację. To ona przyczyniła się do tego, że William miał atak.

Od dawna nie bywała w kościele. Ale jak większości ludzi, w obliczu śmierci nietrudno jej było odnaleźć znów w sobie wiarę. Kłęcząc w szpitalnej kaplicy, odmówiła „Zdrowaś Mario”, a potem akt skruchy, przysięgając, że jeśli Williamowi dane będzie wyzdrowieć, postara się jakoś ułożyć sobie z nim stosunki.

Kiedy wróciła po godzinie na oddział, pozostali czekali na zewnątrz, gotowi jechać na kilka godzin do domu i trochę się przespać.

— Odzyskał przytomność? — spytała z nadzieją.

— Nie — odparła Isabelle.

— Może powinnaś do niego zajrzeć — burknęła Elizabeth. — Pewnie by tego chciał.

Caitlin wiedziała, że jest to forma przeprosin za to, co Elizabeth powiedziała wcześniej. Na nic więcej nie mogła liczyć.

Pozostali wyszli, a Caitlin zasiadła przy łóżku Williama. Przypomniała sobie nagle, jak bardzo się bała, gdy pierwszy raz się spotkali. Trudno jej było to sobie teraz wyobrazić. Wydawał się taki słaby. Oczy miał zamknięte i spał lub pozostawał pod wpływem anestetyków. Podpięty do monitora, z igłą kroplówki wbity w ramię, wydawał się błądzącym niczym okrywające go prześcieradło. Niemożliwe, by mógł kogoś przestraszyć. Niemal żałowała, że tak jest. Łzy spływały jej z kącików oczu. Czowała, że powinna coś powiedzieć, nawet jeśli on tego nie usłyszy.

Ścisnęła jego dłoń zaszokowana tym, jaka jest zimna. Nie wróżyło to nic dobrego.

— Przepraszam — wyszeptała. — Nic powinnam była mówić tego wszystkiego. Wcale tak nie myślę, nie naprawdę. To znaczy, może kiedyś myślałam, ale...

Umilkła. Ale co? Ale teraz, kiedy umierasz... Zastanawiała się przez chwilę, a potem spróbowała znowu.

— Nie powinnam była odpychać cię przez wszystkie te lata. To co się wydarzyło, nie było twoją winą. A ja... — Zamilkła, wiedząc, że niełatwo jej będzie to powiedzieć. — Obiecuję, że zrobię, o co mnie prosiłeś — wykrztusiła w końcu. Ścisnęła mocniej jego dłoń. Czy jej się wydawało, czy William odwzajemnił uścisk? — Przyjadę i będę pracować dla Melville'a. Bardzo chciałabym to robić, być częścią rodziny. To byłby... prawdziwy zaszczyt.

Zamilkła. No, powiedziała, co miała do powiedzenia. Przez chwilę w sali słyhać było jedynie pikanie monitora. Czy to pobożne życzenie, czy wyraz twarzy Williama naprawdę się zmienił? Odbicie światła czy coś więcej? Przyglądała mu się przez chwilę intensywnie. Tak! — poczuła przypływ nadziei — ruch się powtórzył, dokładnie taki sam.

Powieki Williama zatrzepotały. Otworzył oczy.

— Miło słyszeć, że chcesz pracować dla Melville'a. — Głos miał słaby, ledwie słyszalny. Caitlin pochyliła się, aby oszczędzić mu wysiłku. Zaczerpnął kilka razy powietrza, a potem mówił dalej. — Jeśli zaś chodzi o to, co powiedziałaś wcześniej... Twoja matka... Powinnaś wiedzieć...

— To teraz bez znaczenia — uciszyła go, widząc, że brak mu sił.

Poddał się, wyczerpany i zamknął znów oczy. Powie jej innym razem. Ostatnim, co poczuł, nim zapadł znowu w sen, był uścisk dłoni Caitlin. Czuł, jak przepływają pomiędzy nimi miłość, przebaczenie i zrozumienie i wiedział już, że zyskali oto szansę, by wreszcie się dogadać.

Szybkość, z jaką William wracał do zdrowia, zaskoczyła wszystkich. Następnego dnia w porze lunchu siedział jak gdyby nigdy nic na łóżku i jadł. Rodzinie wydało się to niemal cudem. Lecz choć

dochodził do siebie fizycznie, z emocjami sprawa miała się inaczej. Z początku był w zadziwiająco dobrym nastroju. Niemal euforycznym. To, że Caitlin czuwała przy nim, kiedy się ocknął, wiele dla niego znaczyło. W rzeczy samej, jeśli atak miał przyczynić się do tego, by stali się sobie bliscy, warto było trochę pocierpieć.

Została z nim przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny. Nie rozmawiali więcej o tym, co powiedziała podczas kłótni — za każdym razem gdy o tym wspominał, zmieniała temat. W końcu dał sobie spokój, nie chcąc niszczyć kruchego zawieszenia broni, jakie pomiędzy nimi zapanowało. Następnego dnia poleciała do Nowego Jorku, aby załatwić swoje sprawy. Gdy tak się stało, w miejsce euforii wkradło się inne uczucie — bolesna świadomość własnej śmiertelności. Atak go przestraszył. Wobec śmierci wszyscy są równi. Jak mówi to stare porzekadło? Jeśli nie masz zdrowia, nie masz nic. I kiedy początkowa radość z tego, iż przeżył, minęła, zaczął doceniać, co to tak naprawdę znaczy. Nie uważał się za szczególnie uczuciowego, a jednak w odosobnieniu szpitalnego pokoju, kiedy nikogo nie było w pobliżu, zapłakał. Nie był gotowy umierać, jeszcze nie. Chciał dostać szansę, aby wyprostować sprawy z Caitlin, zobaczyć, jak firma znów się podnosi.

Przez kilka pierwszych dni jego nastrój oscylował pomiędzy uniesieniem a rozpaczą. Potem, trzeciego dnia, miała miejsce wizyta, która zmieniła wszystko.

Robert Davics, kardiochirurg, był w swojej dziedzinie znakomitością. Jego sprawne palce dokonywały cudów.

— Wyjdzie pan z tego — zapewnił pacjenta. — Musi pan jednak zmienić styl życia i dać sobie czas, by w pełni wyzdrowieć.

Do domu mógł wrócić dopiero za siedem dni, a po sześciu tygodniach rozpocząć program rehabilitacji kardiologicznej. A potem rzucił prawdziwą bombę: William nie powinien nawet myśleć o tym, by wrócić do pracy wcześniej jak za trzy miesiące.

— Ma pan bardzo stresujące zajęcie — powiedział swym łagodnym, spokojnym głosem. — Musi pan zachować rozsądek. Dać sobie czas na odpoczynek. Ten atak to było ostrzeżenie: ciało mówi panu, że pora zwolnić.

Zostawił pacjenta samego, aby przetrwał wiadomości i William wrócił natychmiast myślami do Elizabeth. Jego nader ambitna córka nie kryła, że pragnie zająć miejsce ojca. Teraz pole zostało oczyszczone. Gdyby zależało to od niej, nie miałby po co wracać, a na coś takiego nie był jeszcze gotowy. Miał dopiero sześćdziesiąt jeden lat i uważał dotąd, że emerytura to odległa przyszłość.

Jeśli doktor Davies sądził, że to co powie, zmniejszy stres pacjenta, to się pomylił. Jego słowa wywarły wręcz przeciwny skutek.

Następnego dnia była niedziela. William poprosił Hugh Maki-na, członka zarządu Melville'a i jednego z najbliższych przyjaciół, by wpadł do niego do szpitala. Trzeba było przedyskutować plany na najbliższą przyszłość, a Hugh był jednym z niewielu ludzi, którym William ufał. Hugh pojawił się, taszcząc wyładowany owocami kosz od Fortnuma. Wcisnął wiktuwały Piersowi, podszedł do Williama i potrząsnął energicznie jego dłonią.

— Dobrze wyglądasz, Williamie! Gdybym nie wiedział, że było inaczej, pomyślałbym, że symulowałeś ten cały atak!

Roześmiał się głośno z własnego dowcipu.

William uśmiechnął się nieznacznie. — Zapewniam cię, że tak nie było.

Spojrzał na koszyk w dłoniach Piersa. — Mógłbyś się tym zająć?

Każdy skrawek miejsca w pokoju zakrywały już kartki z życzeniami oraz bukiety. Isabelle musiała powiedzieć w końcu pielęgniarce, by zносиły kwiaty i upominki innym pacjentom.

— Oczywiście. Pierś ruszył do drzwi.

— A skoro już tam będziesz, może przyniosłbyś Hugh kawy?

Tak naprawdę znaczyło to, że chce porozmawiać z Hugh na osobności. Chętnie też odpocząłby od młodszego brata. Nieustanna troskliwość Piersa zaczynała już działać Williamowi na nerwy. Przypomniało mu to, jak Pierś zachowywał się względem matki, kiedy Rosalind była chora i sprawiało, że tym boleśniej uświadamiał sobie, że nie jest już młody ani zdrowy. Wspomnienia o tym, co stało się pod koniec życia z jego tak zawsze silną i energiczną matką, nadal tkwiły świeże w jego umyśle — był o wiele za młody, by tak kończyć.

Wizyta Hugh zirytowała trochę Piersa. Lubił mieć Williama tylko dla siebie. Jeszcze mniej ucieszyło go, że brat polecił mu przynieść kawę, jakby był zwykłym lokajem. Maszerował korytarzem, gdy natknął się na pielęgniarkę, która zajmowała się chwilę wcześniej jego bratem. Wcisnął jej kosz z owocami, po czym pod wpływem impulsu poprosił, aby przyniosła im kawę. W ten sposób mógł wrócić do sali od razu i nie stracić zbyt wiele z rozmowy.

Drzwi do pokoju Williama zastał zamknięte. Już miał zapukać, dać im znać, że wraca. Lecz cienkie drzwi z płyty nie tłumiły dźwięków. A kiedy usłyszał, co mówi William, uznał, że lepiej będzie po prostu posłuchać.

Tymczasem William wyjaśniał właśnie Hugh, że poradzono mu, aby nie wracał do pracy przez następne trzy miesiące.

— Co to w praktyce oznacza? — zapytał Hugh. — Wyznaczysz Piersa na swojego zastępcę?

Pierś był bowiem nie tylko dyrektorem finansowym, lecz także zastępcą dyrektora naczelnego. Byłoby więc naturalne, gdyby zastąpił Williama.

Lecz William nie postrzegał tego w ten sposób. — Daj spokój! — prychnął z pogardą. — Oczywiście, że nie. Chcę mieć do czego wracać. To znaczy, Pierś jest moim bratem i dobrze sobie radzi jako dyrektor finansowy, ale nie dałby rady poprowadzić samodzielnie firmy.

Hugh roześmiał się cicho. — Cieszę się, że to mówisz. Wszyscy podzielamy ten pogląd. Trudno nam było jednak z tobą o tym rozmawiać, skoro jesteś jego krewnym...

— Och, nie przejmuj się. Wiem, czego Piersowi brakuje. To typ osoby, którą trzeba ciągnąć za uszy. Nie ma dość siły charakteru, aby sprawować władzę.

Hugh wymamrotał coś, co miało znaczyć, że w pełni się zgadza.

— Tak czy inaczej — powiedział William krótko — załatwię to z nim później. Lecz najpierw muszę prosić cię o przysługę, Hugh.

— Oczywiście, jeśli tylko będę w stanie pomóc... — zapewnił go Hugh.

Będiesz. Poprosiłem, byś przyszedł, gdyż chciałbym, żebyś to ty został naczelnym dyrektorem na czas mojej nieobecności. Doskonale radziłeś sobie jako członek zarządu w ciągu pięciu ostatnich lat, znasz branżę i firmę i masz szacunek dla zarządu. — Zamilkł na chwilę. — Wiem, że proszę o wiele, gdyż musiałbyś sprawować równocześnie dwie funkcje. Ale... czy się zgodzisz?

— Jestem zaskoczony, że pytasz, Williamie — powiedział Hugh. — Oczywiście. Będę zaszczycony.

— Doskonale — powiedział William usatysfakcjonowany.

Na korytarzu Pierś oparł się o ścianę, próbując zapanować nad uczuciami. Zlany zimnym potem, drżał na całym ciele z szoku wywołanego tym, co usłyszał. William, śmiejący się z niego wraz z Hugh... i co właściwie Hugh powiedział? Że wszyscy podzielają ten pogląd? To okropne, gdy się pomyśli, że rozmawiają o nim za jego plecami, wyśmiewają się...

Pojawiła się pielęgniarka z kawą. Wiedział, że musi nad sobą zapanować. Nie mógł dopuścić, żeby brat lub Hugh dowiedzieli się, że słyszał, co o nim mówili.

— Wezmę je — powiedział do pielęgniarki. Wziął głęboki oddech, a potem wszedł.

— O, jesteś, Pierś — powiedział William. — Czekałem, aż wrócisz, żebyśmy mogli zacząć.

Pierś patrzył na brata, myśląc: kłamca.

— Przepraszam, że trwało to tak długo — powiedział na głos. Opanował chęć, by chlusnąć Hugh w twarz gorącym napojem i podał mu filiżankę.

A potem odwrócił się do Williama. Jego brata. Człowieka, któremu poświęcił życie i który teraz go zdradził. Jakoś udało mu się uśmiechnąć. A kiedy przemówił, w jego głosie nie słychać było goryczy ani nienawiści. — To co, może byśmy tak zaczęli?

Rozdział trzydziesty siódmy

Rankiem w niedzielę Elizabeth zostawiła resztę rodziny w szpitalu i ruszyła na Albemarle Street. Sklep był zamknięty, a biura dziwnie opustoszałe. Pozdrowiła ze swobodą wynikłą z długiej znajomości nocnego strażnika, przekazała nowiny na temat zdrowia Williama i wjechała na siódme piętro, gdzie mieściły się biura dyrekcji, a potem, niczym prowadzona przez autopilota, ruszyła korytarzem do gabinetu ojca. Na szczęście drzwi były otwarte — widać w całym tym zamieszaniu sekretarka zapomniała je zamknąć. Elizabeth zawahała się, świadoma, że przekracza oto granicę. Potem nie będzie już odwrotu. Sięgnęła do klamki.

W gabinecie wszystko było tak jak wtedy, gdy William opuścił pokój, by udać się na spotkanie z nią i z Caitlin. Papiery i skoroszyty walały się na podłodze. Schyliła się i zaczęła porządkować dokumenty.

Dopiero gdy wszystko zostało na powrót poukładane, podeszła do biurka Williama i odsunęła fotel. Przed kilkoma laty zainstalowano w gabinetach wszystkich dyrektorów fotele typu Aeron. William odmówił jednak ustępstwa na rzecz nowoczesności, i to pomimo nawracających bólów krzyża. Elizabeth wahała się jeszcze przez chwilę, lecz w końcu usiadła. Przesunęła dłońmi po skórzanych podłokietnikach, rozkoszując się tym, że siedzi oto w fotelu szefa. Po chwili przypomniała sobie jednak, dlaczego tak jest i zrobiło jej się wstyd. Co z niej za człowiek, że myśli o wzmocnieniu własnej pozycji, kiedy ojciec leży chory w szpitalu?

Nie było jednak czasu na sentymenty. Odsunęła na bok poczucie winy i włączyła komputer. Znalezienie hasła ojca, zapisanego dogodnie na karteczce, nie zajęło wiele czasu. Też mi zabezpieczenie, pomyślała. Po kilku minutach zyskała dostęp do osobistych plików Williama. Przywołała na ekran spis telefonów członków zarządu, a potem przez kilka minut zastanawiała się, co dokładnie im powie. Wreszcie sprawdzwszy, czy pora jest odpowiednia, zadzwoniła najpierw do Hugh Makina. Był dyrektorem naczelnym, więc jeśli chciała przedstawić zarządowi jakieś propozycje — a właśnie to zamierzała zrobić — należało mieć go po swojej stronie.

Po półgodzinie rozmawiała już z Hugh. Powiedziała, że po zastanowieniu uznała, iż chętnie przeniosłaby się do Londynu. Gdyby coś przydarzyło się ojcu, wolałaby znajdować się bliżej niż o cztery godziny lotu. Poza tym — to zatrzymała jednak dla siebie — jeśli zostanie kierowniczką biura, łatwiej jej będzie podczas nieobecności ojca mieć oko na firmę.

Hugh słuchał, gdy objaśniała starannie przemyślany plan. Posada szefa działu strategii, zajmowana kiedyś przez Cole'a, pozostawała nieobsadzona. Uznała, że byłoby sensowne, gdyby to ona ją objęła.

— Mogłabym nadzorować azjatyckie przedsięwzięcia z Londynu

— mówiła. — Prawdę mówiąc, wszystko idzie tam gładko i nie wymaga stałego nadzoru, rozglądałam się więc i tak za nowym wyzwaniem.

Nietrudno jej było przekonać Hugh. Elizabeth cieszyła się w firmie szacunkiem, no i poruszyło go to, że chce być blisko ojca.

— Jestem pewien, że William będzie zachwycony, mogąc mieć cię bliżej domu — powiedział. Elizabeth, która nie była wcale pewna, czy ojciec będzie zadowolony z tego, iż udało jej się wmanewrować na stanowisko dające władzę, słuchała w milczeniu, jak Hugh zatwierdza słownie jej nominację.

Dopiero gdy wszystko załatwiła, zadzwoniła do Cole'a.

Gdy się dowiedział, co postanowiła, nie był tym uszczęśliwiony.

— Przenosisz się do Londynu? — powtórzył z niedowierzaniem.

— Do cholery, Elizabeth! Nie przyszło ci do głowy, by wpierw omówić to ze mną?

Nic tylko to go zdenerwowało. Od półtora dnia się do niego nie odzywała. Zważywszy, że jej ojciec miał atak serca... po tym jak zadzwoniła, by powiadomić go, co się stało, nie znalazła czasu, aby ponownie zadzwonić. Poczowała przyływ wyrzutów sumienia, lecz szybko je odsunęła. Cole wiedział przecież, że zechce wrócić w końcu do Londynu.

— Posłuchaj, Cole, naprawdę nie sądziłam, że możesz mieć coś przeciwko temu — powiedziała, zastanawiając się gorączkowo. — Dla ciebie też byłoby lepiej, gdybyś był tutaj, bliżej swojej firmy. Mógłbyś rozszerzyć wreszcie działalność, przecież zawsze o tym mówiłeś.

Colebwi trudno było odeprzeć tak logiczne argumenty. Mimo to... Nie mógł wprost uwierzyć, że Elizabeth nie zechciała omówić tak poważnego posunięcia najpierw z nim. Najbardziej zaś martwiło go, że nie widziała w tym nic nienormalnego.

Nim wróciła następnego dnia do Tokio, zdążył już ochłonąć. Prawdę mówiąc, pomysł powrotu do Londynu zaczął mu się coraz bardziej podobać. Od jakiegoś czasu sugerował, że pora zapuścić gdzieś korzenie. I to Elizabeth oponowała, twierdząc, że nic jest jeszcze gotowa, aby porzucić gorączkowy wielkomijski styl życia. Może teraz zdoła nakłonić ją, żeby trochę się ustatkowała.

Elizabeth przebywała w Japonii zaledwie przez tydzień — na tyle długo, aby przekazać bieżące sprawy zaufanej asystentce. Umówili się, że Cole zostanie jeszcze przez miesiąc lub dwa, póki nie dopilnuje pozostałych spraw związanych z przeprowadzką, a potem do niej dołączy.

Przyglądał się, jak żona przygotowuje się do wyjazdu po raz drugi w ciągu dwóch tygodni i bardzo żałował, że musi znów go opuścić.

— Hej, cukierczku, będzie mi ciebie brakowało — powiedział impulsywnie, chwytając ją w niedźwiedzi uścisk.

Odwzajemniła go i powiedziała: — Mnie także. — Nie mógł się jednak oprzeć wrażeniu, że myślami przebywa już gdzie indziej, planując, co by tu zmienić w firmie.

Rozdział trzydziesty ósmy

Kiedy Caitlin wróciła do Nowego Jorku i przekazała nowiny przyjaciółom, byli przerażeni. Zostawia firmę? Po to, by przenieść się do Londynu i pracować dla rodziny, z którą niewiele ją łączy? Wydawało się to zbyt nagle i nieprzemyślane.

Alexis próbowała wyperswadować jej ten pomysł. — Popemiasz zawodowe samobójstwo.

— To moja rodzina.

Alexis westchnęła sfrustrowana. — Sądziłam, że ich nie lubisz.

— Ja także — odparła Caitlin z zadumą.

Alexis dostrzegła nieugięty wyraz oczu przyjaciółki i wiedziała już, że marnuje tylko czas. Na tym polega problem z ludźmi o łagodnym na pozór usposobieniu. Kiedy już mówią „nie”, robią to na poważnie. Zamknięcie sklepu w Nowym Jorku okazało się łatwiejsze, niż Caitlin przypuszczała. Zakończyła sprawy związane z bieżącymi kontraktami w dwa tygodnie, zarekomendowała swoich pracowników innym projektantom i zwróciła wkład pierwotnym inwestorom — na szczęście zarobiła już dość, by móc bez problemu się wycofać. A potem wynajęła na rok swoje mieszkanie.

I choć mogła już spakować walizki i przenieść się do Londynu, trudniej było wytłumaczyć swoją decyzję innym. Nic tylko Alexis sądziła, że Caitlin musiała oszaleć, decydując się na pracę dla Melvil-le'a. W branży uważano tę firmę za straconą. Ona tymczasem, znajdując się u progu wielkiej kariery, zostawia wszystko, niepotrzebnie ryzykując.

Jednak ku zaskoczeniu samej Caitlin okazało się, że im bliżej było wyjazdu, tym większą odczuwała chęć, by zacząć już pracę dla Melville'a. Z początku zgodziła się prawdopodobnie dlatego, że czuła się winna. Ostatnio uświadomiła sobie jednak, że chce to zrobić, chce podjąć zawodowe wyzwanie. Chociaż Alexis i wszyscy jej przyjaciele z kręgu modowego biznesu ostrzegali, że rujnuje sobie karierę, wierzyła, iż może to być jej ukoronowanie. Ożywić umierającą markę, taką jak Melville, zrobić to, co Karl Lagerfeld zrobił dla Chanel, Tom Ford dla Gucciego... Pewnie, cieszyło ją, że odniosła samodzielny sukces. Ale to byłoby przedsięwzięcie na zupełnie inną skalę. Szansa, by nadać własny kształt marce znanej na całym świecie.

Wróciła do Londynu w tydzień po tym, jak William zachorował. Za jego sugestią zgodziła się wprowadzić na jakiś czas na Eaton Square. Miała wrażenie, że w ten sposób czuł, iż jest bliżej córki, choć sam miał odbywać rekonwalescencję w Aldringham. Wieczorem w dzień poprzedzający rozpoczęcie pracy stała w bibliotece na drugim piętrze, spoglądając przez ulicę na ławkę w parku, gdzie siedziała kiedyś jej matka, i rozmyślając o czekającym ją wyzwaniu. Nie mogła się doczekać, by zacząć.

Następnego ranka, pierwszego u Melville'a, postanowiła wyjść wcześniej i przespacerować się piechotą wzdłuż Old Bond Street. Okolica bardzo się w ostatnich latach zmieniła. Po okresie zastoju w latach osiemdziesiątych, kiedy to wyszła z mody, w ostatniej dekadzie nastąpił jej renesans i teraz znajdowały się tu butikiki największych kreatorów mody: Versace... Lacroix... Donna Karan... Stare salony sprzedaży, takie jak Melville, wyglądały w porównaniu z wystylizowanymi nowymi butikami na zbyt poważne i jakby przestarzałe. Jako główna projektantka marki będzie musiała temu zaradzić.

Ku zaskoczeniu i uldze Caitlin, wszyscy w firmie wydawali się nastawieni do niej entuzjastycznie. Uświadomiła to sobie już po dziesięciu minutach od chwili, kiedy otworzyła drzwi imponującej siedziby głównej przy Albemarle Street, gdzie natychmiast zaczęto traktować ją jak prawdziwą znakomitość. Rozpromieniona recepcjonistka rozpoznała Caitlin. Pogratulowała jej zwycięstwa w konkursie CFDA, zaproponowała kolejno kawę, herbatę i czasopismo — Caitlin odmó-

wiła - w końcu zadzwoniła do działu projektowania, by powiadomić pracowników, że nowa szefowa właśnie się pojawiła.

— Rany, dobrze panią widzieć — entuzjazmowała się Ellie Armstrong, asystentka, którą wysłano po Caitlin. — Oprowadzę panią i wszystko pokażę. Mam nadzieję, że tak będzie dobrze? — spytała nerwowo.

Ładna, drobna dziewczyna tuż po dwudziestce przysłała do Melville'a bezpośrednio po szkole, którą skończyła cztery lata wcześniej.

— Nie miałam na tyle dobrych stopni, by uczyć się dalej, pomyślałam więc, że nabędę zamiast tego nieco praktyki. — Okazało się, że mimo młodego wieku jest jedną z najdłużej zatrudnionych pracownic. — Ostatnio wiele osób odeszło — wyjaśniła, uśmiechając się z zażenowaniem, kiedy wsiadały do windy. — Choć jestem pewna, że teraz, gdy pani tu jest, to się zmieni.

Dział projektowania zajmował całe trzecie piętro siedziby głównej przy Albemarle Street, co nie było tak wspaniałe, jak mogłoby się wydawać. W wysokim, wąskim budynku wciśniętym pomiędzy miejską zabudowę nie było bowiem zbyt wiele miejsca. Caitlin obejrzała najpierw pracownię — obskurne, nieprzytulne miejsce o pożółkłych ścianach i betonowej podłodze. Projektanci, spece od wykrojów i szwaczki tłoczyli się w tym samym ciasnym pomieszczeniu.

— Teraz panuje tu niezłe zamieszanie — wyjaśniła niepotrzebnie Ellie.

Caitlin skinęła głową. Do październikowego pokazu zostało zaledwie osiem tygodni, pracowano więc gorączkowo, przygotowując modele na sezon pokazów. Na stołach leżały rozwinięte bele materiałów, dookoła rozlegał się nieustający warkot maszyn do szycia, a na manekiny przypinano fragmenty strojów.

— A to sala pokazów — Ellie wprowadziła Caitlin do pomieszczenia, gdzie demonstrowano kolekcje kupującym oraz przedstawicielom mediów, połączonego z pracownią wewnętrznymi drzwiami.

Caitlin zniechęciła się oficjalnie urządzone, ozdobione żyrandolami pomieszczenie, gdy tylko na nie spojrzała. Było duszne i staromodne. Jak cała firma, pomyślała.

— Może pokazałabyś mi po prostu, nad czym pracujecie? zaproponowała, kiedy Ellie oprowadziła ją już po wszystkich pomieszczeniach.

Dziewczyna skinęła głową, pełna entuzjazmu niczym szczeniak.

— Tak, tak. Oczywiście.

Pobiegła zebrać szkice, a Caitlin weszła do swego biura — niewielkiego boksu w rogu sali, oddzielonego gipsowymi ściankami. Nie było tu okien, wewnątrz sprawiało więc dość klaustrofobiczne wrażenie. Caitlin nie była w stanie sobie wyobrazić, że mogłaby spędzać w nim więcej czasu. Zaczynała czuć wagę odpowiedzialności, jaką wzięła na swoje barki. Gdy szła za Ellie przez salę, zauważyła, że członkowie zespołu spoglądają na nią z nadzieją. Nagle uświadomiła sobie, że będzie musiała uratować nie tylko samą firmę, ale też posady zatrudnionych w niej ludzi. Nie mogła dopuścić, by Ellie i pozostali znaleźli się na bruku.

Przejrzała projekty powstającej właśnie kolekcji i nie poczuła się ani trochę lepiej. Zespół tworzył bowiem oto kolejną wersję prostej, eleganckiej klasyki w angielskim stylu: dwurzędowe żakiety oraz blezery, starannie skrojone spodnie i spódnice do potowy łydki; jedwabne bluzki zapinane na ciężkie złote guziki i luźne dżersejowe sukienki. Wszystko w stonowanych barwach brązu, beżu i śmietanki. Bezpieczne, lecz pozbawione fantazji. Kolejna wersja tego, co stworzono przedtem. Z apaszkami, prostymi w kroju sukienkami i satynowymi koszulami, opatrzonymi charakterystycznym monogramem. Caitlin zdawała sobie sprawę, że jest to część tradycji firmy, niemniej...

— Wszystko to jest bardzo konserwatywne — powiedziała na głos.

Ellie siedząca naprzeciw niej przytaknęła. — Tak, wiem. Myślę, że pan Melville — to znaczy, ojciec pani — życzył sobie, by tak to właśnie wyglądało.

Caitlin zamknęła zdecydowanym ruchem teczkę ze szkicami.

— Cóż, może więc pora na zmianę — powiedziała, uśmiechając się leciutko.

Szybko uświadomiła sobie, że na tym polega właśnie problem; słowa „zmiana” nie używano w dziale projektowania zbyt często.

Miało to wiele wspólnego z historią firmy, znanej i cenionej głównie za swe wyroby skórzane — buty oraz torebki. Ubrań nigdy nie traktowano tu priorytetowo. Odkąd zaprojektowano w latach sześćdziesiątych linię gotowych do noszenia strojów, próbowano podejść do sprawy na różne sposoby, lecz wszystkie okazały się nieudane, niektóre zaś, jak próba stworzenia kolekcji *haute couture*, nieudane wręcz katastrofalnie. William postanowił zostać więc przy bezpiecznej klasycie. Kilku ostatnich projektantów zatrudniono z uwagi na to, że projektowali stroje konserwatywne, świetnie skrojone i przeznaczone dla starszych kobiet.

Nic dziwnego, że markę postrzegano jako nudną, a jej kolekcje jako naśladowcze raczej niż narzucające trendy. Projektowane tu ubrania przeznaczone były dla pięćdziesięcioletnich dam z towarzystwa, które ubierały się u Melville'a przez całe życie, oraz turystów traktujących wyprawę do sklepu oferującego typowo angielskie towary jako obowiązkowy punkt programu, podobnie jak zwiedzanie Tower czy pałacu Buckingham. Wiadomo było, że nic nie zaskoczy tu kupującego i obie grupy klientów były z tego zadowolone.

Caitlin potrafiła dostrzec płynące z tego rodzaju strategii korzyści, osobiście uważała jednak, że akurat na tym etapie nie jest ona właściwa. Nie można wykreować wizerunku firmy, projektując niemal wyłącznie beżowe spodnie i granatowe blezery. Jeśli William chce przywrócić marce blask, będzie musiał zaryzykować.

Chętnie podzieliłaby się tymi przemyśleniami z ojcem, lecz Isabelle zabroniła choćby wspominać w obecności Williama o interesach. Ilekroć Caitlin przyjeżdżała go odwiedzać, a czyniła to w każdy weekend, macocha przypominała jej, by nie dyskutowała z ojcem o pracy.

— Jak tam firma? — pytał, gdy tylko się pojawiła, ona zaś udzielała standardowej odpowiedzi: — Wszystko idzie doskonale. Zresztą i tak nie powinieneś się teraz niczym przejmować. Skup się na tym, by jak najprędzej wyzdrowieć.

Zbywał jej troskę machnięciem dłoni. — Wiesz, nie jestem inwalidą — burczał. — Mój umysł działa doskonale.

Lecz w duchu to, że córka tak się o niego troszczy, sprawiało mu przyjemność. Jeśli trzeba było ataku serca, by wreszcie zbliżyła się do niego, zechciała lepiej go poznać, warto było pocierpieć.

Nie rozmawiali nigdy o przeszłości. Williamowi wystarczyło, że Caitlin pracuje teraz dla Melville'a. Miała swój okres buntu, a on jej wybaczył — nawet jeśli nie rozumiał jego powodów. Teraz spędzali razem czas, chodząc na długie spacerunki, odbywane w przyjaznym milczeniu. Stanowiło to część rehabilitacji Williama i zdawało się przynosić efekty. Z początku czuł się nieustająco zmęczony i był w stanie przejść zaledwie kawalek, lecz wkrótce mógł już sobie pozwolić na półtoragodzinną przechadzkę.

Cieszyło go, że wraca do zdrowia. Nienawidził tkwić na wsi, z dala od Londynu, nie mając nic do roboty. Brakowało mu podekscytowania związanego z pracą i nie mógł się już doczekać, by do niej wrócić. To, że nie wie, co dzieje się w firmie, było frustrujące. Zwłaszcza niepokoiło go, że nie ma pojęcia, co robi podczas nieobecności ojca Elizabeth. Nie spodobało mu się, że zagarnęła dla siebie stanowisko dyrektora działu strategii.

Isabelle nie dopuściła jednak, żeby powiedział córce wprost, co o tym sądzi. Ta sprawa będzie musiała poczekać, aż wróci zdrowy do firmy — kiedykolwiek miałyby to nastąpić. Na razie cieszyło go, iż może spędzać czas z Caitlin, poznając córkę bliżej i nadrabiając stracone lata.

W miesiąc po tym jak przybyła do Londynu, Caitlin przedstawiła zarządowi firmy swoje propozycje. Dotąd pracowała na własny rachunek, czuła się więc nieco dziwnie, zmuszona zabiegać o aprobatę innych. Przekonała się jednak z ulgą, że dyrektorzy stanęli jak jeden mąż po jej stronie. Słuchali uważnie, gdy przedstawiała propozycje zmian mających ożywić wizerunek marki przed sezonem pokazów w lutym, podczas Londyńskiego Tygodnia Mody.

— Mam nadzieję, że zdołam przedstawić pierwsze szkice za kilka miesięcy — powiedziała zaskoczona i uradowana tym, że obecni słuchają jej z nieskrywanym entuzjazmem. Jeden czy dwóch spośród mężczyzn kiwało nawet potakująco głowami, kiedy mówiła.

To powinno dać mi dość czasu, bym zdążyła przygotować jesienną kolekcję — zakończyła. Ku zażenowaniu Caitlin w sali rozległy się burzliwe oklaski.

Po spotkaniu Elizabeth podeszła, by jej podziękować.

— Daj mi znać, jeśli pojawią się problemy — powiedziała. — Przepraszam, że nie mam czasu, by dłużej pogadać, lecz spieszę się na kolejne spotkanie. Musimy wkrótce umówić się na kawę.

Caitlin patrzyła, jak siostra odchodzi, myśląc o tym, że choć pracują w tym samym budynku, widują się nader rzadko. Elizabeth nie miała nigdy czasu, pracując zawzięcie i z gorączkowym zapamiętaniem.

Caitlin zastanawiała się, czy siostra zapyta ją, dlaczego po wszystkich tych latach, kiedy starała się trzymać z daleka, postanowiła pogodzić się wreszcie z Williamem. Lecz jeśli Elizabeth była tego ciekawa, nigdy o nic nie zapytała.

Była z natury dyskretna i wyciąganie na siłę informacji nie było w jej stylu. Zamiast wypytywać, przyjęła po prostu do wiadomości, że Caitlin jest teraz częścią ich życia. Nie przeszkadzało jej nawet, że siostra zamieszkała przy Eaton Square.

— Ja wolałabym zatrzymać się w hotelu — odparła, gdy Caitlin zapytała ją, czy nie będzie miała nic przeciwko temu. — Szczerze mówiąc, w tym domu panuje cokolwiek duszna atmosfera, poza tym wolę mieszkać bliżej biura.

Caitlin starała się zbliżyć do Elizabeth, tak jak zbliżyła się do ich ojca. Okazało się to niełatwe, gdyż Elizabeth była stale zajęta. Caitlin uparła się jednak, by poznać jak należy Cole'a. Kiedy przybył do Anglii, nalegała, by zjedli we trójkę kolację.

Wieczór okazał się udany. Wypili trochę za dużo, a potem śmiali się i gawędzili do późna. Caitlin nie zaskoczyło, że Cole wydaje się równie dynamiczny i pełen energii jak Elizabeth. Rzuciło się w oczy, że jest z niej dumny — i że za nią szaleje. W pewnej chwili Caitlin musiała wyjść do kuchni, a kiedy niespodziewanie wróciła, zobaczyła, że Cole przypiera jej siostrę do obramowania kominka. Odskoczyli od siebie gwałtownie, a Caitlin odwróciła wzrok, by Elizabeth mogła poprawić dyskretnie ubranie, na pół zażeno-

wana, na pol zazdrosna o to, że tamci czują do siebie tak silny pociąg.

Postanowili wówczas, że będą spotykać się co dwa tygodnie, ale ilekroć ustalili datę, Elizabeth odwoływała w ostatniej chwili spotkanie, tłumacząc się nawalem zajęć. Caitlin nie miała pojęcia, co porabia siostra, lecz Elizabeth znajdowała się najwyraźniej w swoim żywiole, pełna energii i entuzjazmu. Caitlin miała nadzieję, że kiedy minie szaleństwo pierwszych miesięcy, będą mieli więcej okazji, by spędzać razem czas.

Z biegiem dni jej życie zaczęło toczyć się stałym rytmem. Pracowała przez cały tydzień nad projektami, a w piątek wieczorem wyruszała do Aldringham, spędzić weekend z Williamem. I jeśli martwiło ją, że nie robi w pracy postępów, nie zdradzała się z tym przed ojcem. W końcu coś wymyśli, była tego pewna, potrzebuje tylko więcej czasu. Niestety, termin spotkania zarządu, na którym miała przedstawić swoje pomysły, zbliżał się nieubłaganie. Nie spodziewała się, że praca w firmie okaże się aż tak trudna. Jednakże — choć nie przyznałaby tego na głos — tak naprawdę toczyła z sobą ciężką walkę. Brawura, która kazała jej sądzić, iż będzie w stanie zmienić styl Melville'a, zaczęła się ulatniać.

Podczas jednego ze spędzanych w Aldringham weekendów wydarzyło się coś, co oderwało jej myśli od pracy. Wrócili właśnie ze spaceru i czytali w Georgiańskiej Oranżerii niedzielne gazety. Caitlin wzięła do rąk jeden z dodatków i zaczęła go przeglądać. Zauważyła zapowiedź artykułu na temat artystycznego życia Londynu, który wydał się jej ciekawy. Otworzyła gazetę na właściwej stronie i zamarła.

Z rozkładówki spoglądała na nią twarz Luciena Dubois.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Elizabeth spędziła pierwszy miesiąc po powrocie do Anglii starając się rozeznąć we wszystkim, co działo się w biurze. Gdy przebywała w Japonii, trudno jej było pozostawać w pełni zorientowaną — William zachowywał się bowiem jak zwykle, to znaczy był władczy i skryty. A kiedy w końcu udało jej się poznać wszystkie szczegóły, wiedziała już dlaczego. Cyfry ujawniły smutną prawdę. Melville przeżywało poważne trudności. Ledwie dawali sobie radę z płatnościami. Dostawcy mieli dość czekania. Firma znalazła się niebezpiecznie blisko utraty płynności finansowej.

— Jak mogłeś do tego dopuścić, tatusiu? — wymamrotała do siebie pod nosem, kiedy siedziała pewnego wieczoru sama w jego gabinecie.

Na razie mogła jednak tylko minimalizować straty. Spotkała się z najważniejszymi dostawcami, prosząc, błagając i niemal żebrząc o to, by dali im więcej czasu. Dokonała przeglądu wierzycieli i pracowała ramię w ramię z szefem działu zakupów, ustalając kolejność spłat.

Cole zjechał do Londynu w sześć tygodni po żonie. Wykorzystał ten czas, aby wyszukać dla nich w stolicy jakieś lokum. Dzięki pomocy przyjaciela udało mu się znaleźć mieszkanie: w pełni wyposażone, puste i gotowe do wynajęcia od zaraz.

— Jest idealne — powiedział, gdy je obejrzał — a co najważniejsze, możemy od razu się wprowadzić.

Elizabeth, mieszkającej od prawie dwóch miesięcy w Mandarin Oriental, nie obchodziło, jak wygląda lokal — liczyło się jedynie, że

nic jest to hotel. Nie podania jednak ukryć zaskoczenia, gdy Cole go jej pokazał. Spodziewała się zobaczyć modnie urządzonego apartament w Docklands, tymczasem mieszkanie znajdowało się w kamienicy z zamykaną bramą w Chelsea Harbour.

— Bardzo rozsądny wybór — powiedziała, kiedy ją oprowadzał.

Cole wydawał się zadowolony. — Wiedziałem, że ci się spodoba — powiedział.

Nie to miała na myśli, nie dokładnie, odpuściła jednak. W końcu, chociaż mieszkanie znajdowało się jak na jej gust zbyt blisko przedmieść, rozumiała, dlaczego Cole chciał zamieszkać akurat tam. Jeśli pominąć pseudoedwardiańską fasadę, dom zaprojektowany został w zgoła nowoczesny sposób. Wnętrze utrzymane w neutralnej tonacji i umeblowane minimalistycznie, z naciskiem na światło i przestrzeń, wyposażono we wszelkie wygody oraz luksusy: wykładaną marmurem łazienkę z jacuzzi, zintegrowany system dźwiękowy firmy Bang&Olufsen, a nawet salę kinową w piwnicy.

Cóż, dom był doprawdy przyjemny. Poza tym i tak nie starczyłoby jej czasu, by samej czegoś poszukać. — Kiedy możemy wpłacić kaucję? — spytała.

Na tydzień przed planowanym powrotem do pracy William pojechał na badanie i lekarz zalecił mu, aby pozostał w domu jeszcze przez trzy miesiące. Choć Elizabeth zmartwiło, że ojciec nie wraca szybko do zdrowia, w głębi duszy ucieszyła się jednak trochę, że będzie miała więcej czasu, aby rozeznąć się w sprawach firmy bez Williama wiszącego jej nad głową. Znaczyło to również, iż może poświęcić więcej uwagi głównemu problemowi: jak zwiększyć sprzedaż. Zażyczyła sobie, by przedstawiono jej najnowszy raport działu strategii. Otrzymała pięćset stron szczegółowych analiz, nie zakończonych jednak konkluzją. Innymi słowy, strata czasu. Musiano widocznie uznać, że jeśli zapełnią dość papieru, nikt nie zorientuje się, że w dziale nie mają pojęcia, co się naprawdę dzieje. Nic takiego nie mogłoby się wydarzyć, kiedy szefem był Cole. Cóż, jeśli w sprawozdaniu brakowało rzeczowej analizy, sama będzie musiała ją sporządzić.

Postanowiła wrócić do źródeł. Kiedy zaczynała pracę w firmie, uznała, że najlepszy sposób, by poznać tajniki jej funkcjonowania,

polega na tym, aby spędzać soboty, pracując w sklepie. Teraz zamierzała postąpić tak samo. Poświęci dwa tygodnie, żeby rozeznac się w sytuacji, stojąc za ladą.

Była to nużąca rutyna. Przychodziła do pracy o siódmej, spędzała trzy godziny w swoim biurze, przeglądając sprawozdania i studiując analizy kosztów, by o dziesiątej stanąć za ladą w sklepie na dole. Pracowała tam do szóstej, kiedy to stopy bolały ją już tak bardzo, iż marzyła jedynie o tym, by paść na łóżko i zasnąć. Zamiast tego wracała jednak do biurka i pracowała, aż ledwie mogła utrzymać oczy otwarte. Wracała wtedy do domu, gdzie padała wyczerpana na łóżko po to, aby obudzić się następnego ranka i zacząć wszystko od nowa.

Niewątpliwie pomagał jej fakt, iż potrafiła funkcjonować, sypiając zaledwie cztery godziny na dobę. Tyle że na jedzenie też nie starczało jej czasu, chudła więc w oczach. Cole'owi to się nie podobało — i tak uważał, że jest za szczupłą. Zdesperowany zaczął podsyłać jej posiłki z restauracji. Tylko w ten sposób mógł mieć pewność, że cokolwiek zje. Lecz nawet wtedy zdarzało jej się odsuwać pojemnik na bok po zjedzeniu zaledwie kilku kęsów po to, by zająć się czymś wymagającym natychmiastowej uwagi. Przy życiu trzymała ją wyłącznie adrenalina. A ona to uwielbiała. Praca w sklepie okazała się strzałem w dziesiątkę. Od razu rzuciło jej się w oczy, jak nędznie wygląda w porównaniu z placówkami, jakie otwierali na Dalekim Wschodzie: tam był luksus, a tu przetarte dywany i kurz na powierzchni gablot — efekt niedbalstwa sprzątaczek. Sprzedawczynie nie dbały ani trochę o wizerunek firmy, żując gumę i pojawiając się w pracy z odpryskującym lakierem na paznokciach. Lecz przede wszystkim obserwowała uważnie klientów.

Mnóstwo ludzi oglądało wystawione towary, niewielu jednak kupowało. Trochę ją to zaskoczyło, gdyż jeśli pominąć ubrania — to była teraz działka Caitlin — z tego co widziała, reszta towaru była na ogół w porządku. Solidna, ręczna robota, z jakiej firma słynęła od ponad stu lat. Dlaczego więc marka traciła wciąż na popularności?

Odpowiedź nadeszła pewnego popołudnia w drugim tygodniu pracy Elizabeth w sklepie. Obsługiwała właśnie klientkę, która zwracała jedną z torebek, klasyczny model Devonshire: torba na pasku, z brązowej cielejącej skóry, opatrzona monogramem Melville'a. Choć

kosztowała pięćset funtów, była i tak jedną z najtańszych w kolekcji. Za ten sam model ze skóry strusia trzeba było zapłacić około dwóch tysięcy.

Elizabeth obsługiwała klientkę w milczeniu. Polityka firmy nakazywała przyjmować zwroty bez protestu. Kobieta była w średnim wieku i pochodziła też z klasy średniej. Najwidoczniej miała właśnie przerwę na lunch. Wydawała się odrobinę zdenerwowana, jakby nie przywykła robić zakupów w tego rodzaju sklepach. Elizabeth odczekała, aż kobieta dostanie pieniądze, a potem zapytała o powód zwrotu.

Klientka pochyliła się nad ladą i powiedziała konspiracyjnym tonem:

— Cóż, szczerze mówiąc, zawsze chciałam mieć torebkę Melville'a. Kiedy pracowałam jako dwudziestolatka w Londynie, w ogóle nie było mnie na nią stać. Lecz obchodziłam niedawno pięćdziesiąte urodziny i mąż podarował mi torebkę, o jakiej marzyłam. Nie mogłam się doczekać, żeby się nią pochwalić, ale...

Kobieta się zawahała.

— Ale co...? — naciskała Elizabeth.

— Cóż, weszłam do miejscowego domu towarowego i zobaczyłam dokładnie taką samą za dwadzieścia pięć funtów. To znaczy wiem, że nie mogła być taka sama — dodała pospiesznie. — Musiała pochodzić z linii tańszych produktów i po bliższym przyjrzeniu się było to widoczne. Lecz jakoś odechciało mi się mieć tę prawdziwą. Chyba fakt, że można mieć podobną za grosze, zepsuł mi całą przyjemność.

Odpowiedziało jej milczenie.

Kobieta spojrzała na Elizabeth i zmarszczyła zmartwiona brwi. — Przepraszam, kochanie. Może nie powinnam była nic mówić. Nie będę musiała oddać pieniędzy, prawda?

Elizabeth zmusiła się, by się uśmiechnąć.

— Nie, oczywiście, że nie. — Zamilkła na chwilę. — Dziękuję za pomoc.

Po zamknięciu sklepu zdjęła uniform sprzedawczyni, wsiadła w taksówkę i pojechała wprost na Oxford Street. Weszła do najbliższego sklepu Pharm-Martu — sieci, o której wspomniała klientka. Informacja, że można kupić tam ich towary, zaszokowała Elizabeth.

W placówkach tej sieci sprzedawano produkty prozdrowotne i służące pielęgnowaniu urody. Ceny były tam niskie, zaś atmosfera przyjazna, dlatego ludzie lubili robić w nich zakupy. Z pewnością nie był to jednak wizerunek, z jakim chciałyby się identyfikować poważna firma, oferująca towary luksusowe. Oczywiście Elizabeth wiedziała o funkcjonującej od lat siedemdziesiątych linii tańszych produktów, nie sądziła jednak, że są aż tak tanie...

Najbliższy sklep znajdował się przy północnym krańcu Oxford Street, w kierunku na Tottenham Court Road. Wciśnięty pomiędzy bary z hamburgerami a magazyny dyskontowe oferujące ręcznie farbowane ubrania i ciuchy w stylu gotyckim, nadrabiał braki w otoczeniu sztucznie radosną atmosferą i potokami jaskrawego światła. Towary ustawiono tu zgodnie z przeznaczeniem: osobno produkty do pielęgnacji skóry, włosów, zębów i tak dalej. Z tyłu, obok produktów leczniczych, znajdował się dział zwany szumnie „designerskim”.

i właśnie tam, wrzucone do plastikowego kosza, piętrzyły się tanie wersje torebki Devonshire. Nad nimi umieszczono napis: „Dwadzieścia pięć funtów jedna albo dwie za czterdzieści”.

Wyglądało to zdecydowanie gorzej, niż sobie wyobrażała. Wzięła do ręki replikę torebki, jaką zwróciła tego dnia klientka. Dotyk taniego plastiku odstręczał, a zamek w kształcie podwójnego M wyglądał, jakby miał zaraz się złamać. Kolory były podejrzanie intensywne, a kiedy potarła torbę mocniej palcem, farba zaczęła schodzić. Przyjrzała się uważniej metce i zobaczyła, że jest autentyczna. To nie były podróbki. Gdzieś ktoś postanowił produkować taką tandetę pod marką Melville'a.

Co gorsza, szybko przekonała się, że chodzi nie tylko o torebki. Znalazła też tanie wersje kosmetyczek, zapalniczek, nawet grzebieni. Wszystkie opatrzone logo Melville'a. I wszystkie kiepskiej jakości. Jak firma mogła odzyskać blask, skoro kojarzono ją z tanimi, byle jakimi produktami z supermarketu?

Kupiła dwie najbardziej tandetne torebki, a potem spędziła resztę wieczoru, spacerując po Oxford Street i sprawdzając, które sklepy sprzedają towary z metką Melville'a.

*

Kiedy wróciła do domu, była już prawie dziewiąta. Cole przygotowywał w nowocześnie wyposażonej kuchni kolację. Zainteresował się gotowaniem, kiedy założył sieć restauracji. Jako właściciel nic musiał odróżniać spodka od sosjerki, był jednak typem faceta, który musi poznać to, czym się zajmuje, od podszewki. Nie zadowalało go przyglądanie się wszystkiemu z boku. Nie miał ostatnio zbyt wielu okazji, aby gotować dla żony — pojawiła się bowiem tego wieczoru w domu przed północą po raz pierwszy, odkąd przeprowadził się do Londynu — i jego umiejętności wywarły na Elizabeth wrażenie. Przy kolacji opowiedziała mu, co zobaczyła i co w związku z tym planuje.

— I co o tym sądzisz? — zapytała.

— Brzmi wspaniale. — Zmniejszył temperaturę pod patelnią z olejem. Na deser miały być naleśniki. Podeszedł do Elizabeth, wyjął jej z dłoni kieliszek i odstawił na ladę. Odsunął z twarzy żony lok miodowoblond włosów, założył go jej za ucho i powiedział: — Jednak zważywszy, że mam okazję zjeść z tobą kolację po raz pierwszy od tygodni, może zapomnielibyśmy na resztę wieczoru o Melville'u?

Przesunął dłonie na ramiona Elizabeth i zaczął masować kciukami wrażliwe miejsce pod obojczykami. Zamknęła oczy i westchnęła z zadowoleniem, poddając się magii jego dotyku.

Pochylił się i powiedział jej do ucha głosem niskim i zachęcającym: — Pomyślałem, że moglibyśmy zabrać deser na górę. Zrobiłbym ci mój specjalny masaż. To doskonały sposób na pozbycie się stresu...

Elizabeth westchnęła znowu, tym razem z żalem. Jej powieki zatrzepotały.

— Naprawdę żałuję, Cole. Nie mogę. Muszę zrobić notatki.

— To nie może poczekać?

— Przykro mi, chcę je zrobić, póki mam wszystko na świeżo w pamięci.

Cofnął dłonie i się odwrócił.

— Doskonale. — Podeszedł do kuchenki. — Nadal masz ochotę na deser?

— Może później.

Stał odwrócony do niej plecami, nie mogła więc dojrzeć jego twarzy, sztywne ułożenie ramion podpowiedziało jej wszakże, iż jest

zdenerwowany. Podeszła i objęła go w talii. — Naprawdę bardzo mi przykro. Postaram się pospieszyć, a potem dołączę do ciebie na górze...

Zamilkła i przesunęła dłonie na przód jego spodni.

Nie zareagował, lecz stał, mieszając w rondlu. Zwiększyła nacisk i Cole w końcu jęknął.

— Dobrze już, dobrze — ustąpił. — Możemy skończyć to później. — Sięgnął w dół i odsunął jej dłonie. — Lepiej przestań, bo nie będę w stanie poczekać.

Pochylił się i pocałował ją delikatnie w czoło. Ruszyła do gabinetu, czując się odrobinę bardziej szczęśliwa.

Obudził się w nocy i zobaczył, że Elizabeth nadal nie ma. Odwrócił się i spojrzął na zegarek: dochodziła trzecia nad ranem. Jezu. Nie mogła przecież pracować tak długo. Ale czy na pewno? Przez chwilę kusiło go, aby dać sobie spokój, wiedział jednak, że nie zaśnie, póki nie przekona się, że z nią wszystko w porządku.

Kiedy szedł korytarzem, przypomniał sobie, dlaczego tak lubi to mieszkanie: czuł się w nim jak w prawdziwym domu. To zabawne, jak bardzo doceniał ostatnio rzeczy tego rodzaju. Zaczął już nawet myśleć o dzieciach. Kiedy oglądał apartament po raz pierwszy, przyłapał się na tym, że zastanawia się, który pokój najbardziej by się dla nich nadawał. Nie ośmielił się jak na razie poruszyć tego tematu z Elizabeth. Kiedy uczynił to przed kilkoma miesiącami, przypomniała mu natychmiast, że ma dopiero dwadzieścia osiem lat i jeśli chodzi o nią, rozmowa o dzieciach jest przedwczesna i jeszcze długo taka pozostanie. Przyznał jej wtedy rację. Przed dziesięcioma laty, kiedy był w wieku Elizabeth, pracował na okrągło, by dostać się na szczyt. Choć bardzo chciał, aby zaczęli żyć wreszcie bardziej spokojnie, będzie musiał poczekać, aż i ona tego zapragnie.

Znalazł żonę w gabinecie. Spała zwinięta w kłębek na sofie. Na podłodze poniżej spoczywało roczne sprawozdanie z działalności firmy. Najwidoczniej położyła się, żeby poczytać, i odpłynęła. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie przenieść jej na górę, uznał jednak, że lepiej jej nie budzić. Potrzebowała każdej minuty wypoczynku. Podeszedł więc tylko do szafy, wyjął ciepły pled i ją otulił.

A potem stał przez chwile, przyglądając się zonie. Uśpiona, wydawała się odprężona i zadowolona. Nie widywał jej takiej zbyt często i uświadomił sobie, że bardzo za tym tęskni. Choć kochał żonę za ambicję i siłę, miło było dostrzec w niej od czasu do czasu zwyczajną kobietę. Zwłaszcza że nie pozwalała na to nikomu poza nim. Miał nadzieję, że William wróci wkrótce do pracy. Może wtedy Elizabeth trochę odpuści i będą mieli dla siebie więcej czasu.

Po wyprawie na Oxford Street Elizabeth zaczęła badać, jak wygląda sprawa z linią tańszych produktów. Szybko odkryła, na czym polega problem. Z początku pomysł Williama sprawdzał się doskonale: zbyt rosi, me wpływając na sprzedaż towarów luksusowych. Z czasem ojciec robił się jednak coraz bardziej chciwy. W szczytowym okresie popularności do firmy zgłosiło się kilku producentów, proponując, że będą wnosili roczną opłatę w zamian za możliwość opatrzenia swoich produktów logo Melville'a. Mogli umieszczać je na wszystkim, co produkowali — od plastikowych kółek do kluczy po tanie i tandetne torebki. Po jakimś czasie nikt nie chciał kupować drogich towarów, skoro mógł mieć *ich* tańszą wersję. Melville pogrążyło się w ten sam sposób, co Pierre Cardin i Gucci — udzielając zgody na opatrywanie towarów swoim logo, co wpłynęło na obniżenie jakości marki.

Uświadomiwszy sobie, jak głęboko sięga problem, skupiła się na tym, by zebrać wszelkie informacje, które mogłyby wesprzeć ją w dążeniu do zaniknięcia linii Melville Essentials. Wierzyła niezachwianie, że tytko w ten sposób zdołają przywrócić marce blask. Wiedziała też jednak., że niełatwo jej będzie przekonać zarząd. Tańsze produkty stanowiły połowę sprzedaży — a co ważniejsze, ich wprowadzenie było pomysłem Williama. Na szczęście nie będzie go w pobliżu, gdy przyjdzie jej stoczyć tę bitwę, pomyślała. Zastanawiała się długo, jak zacząć prezentację. Poprosiła Piersa, aby dokonał kilku analiz i dowiedziała się, że choć tańsze towary stanowią połowę wszystkich sprzedanych, ich ceny są tak niskie, że linia dostarcza zaledwie dziesięć procent dochodu. Nie chciała jednak zaczynać od szczegółowej analizy. Musiała przyciągnąć uwagę członków zarządu, i to od początku.

Zgromadziła zatem towary, charakterystyczne dla każdej z dekad działalności Melville'a. Wymagało to mnóstwa czasu i starań — prze-

szukiwania magazynów, pchlich targów i sklepów z używaną odzieżą, lecz wreszcie się udało, Leżały teraz przed nią, a każdy przedmiot opowiadał historię firmy i to, jak ewoluowała. Były tu szyte ręcznie huty z lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku, a także obuwie produkowane dla wojska w latach pierwszej wojny światowej, pierwszy model damskich pantofli wyprodukowany w latach dwudziestych ubiegłego stulecia, jedwabna apaszka uszyta w fabryce spadochronów, którą Rosalind, jej babka, kupiła po drugiej wojnie, a obok niej sukienka stanowiąca część pierwszej kolekcji gotowych do noszenia ubrań z lat sześćdziesiątych.

Kiedy stanęła po dwóch tygodniach przed zarządem, przemawiała z pasją, opisując każdy przedmiot, podawany sobie następnie z rąk do rąk, aby członkowie dobrze mu się przyjrzeni. Nie mieli pojęcia, czego dotyczyć będzie prezentacja — dopilnowała, by sprawa nie wyszła przedwcześnie na jaw. Chciała wykorzystać element zaskoczenia. Dała im czas, by mogli podziwiać jakość materiału, wykonanie, nieskazitelność ręcznych szwów. I stopniowo na twarzach mężczyzn zaczął pojawiać się wyraz, którego nie widziała tam od dawna — głębokie zadowolenie, wiara i duma z firmy. Uśmiechnęła się dyskretnie. O to jej właśnie chodziło. Pora zadać ostateczny cios.

— A oto wyrób, z którym jak sądzę, klientela kojarzy dziś Melville'a.

Skinęła na asystentkę, aby podała jej ostatnie pudło. Wcześniej zapakowała starannie każdy przedmiot w opatrzone etykietą pudełko z czarnej satyny, jakich używano w sklepie, pakując zakupy przeznaczone na prezenty. Urządziła małe przedstawienie, rozwiązując powoli wstążkę z białej koronki, zdejmując ostrożnie wieko, a potem odwijając kolejne warstwy bibułki, póki nie ukazał się ukryty pod nią produkt. Wyjęła go ostrożnie, jakby był niezwykle cenny. Członkowie zarządu pochyłili się ku niej ciekawi, co też wymaga aż takiej dbałości.

Wyjęła przedmiot i uniosła w górę, by wszyscy mogli mu się przyjrzeć.

Była to tania plastikowa kopia torebki Devonshire. Mężczyźni poruszyli się skonsternowani. Skinęła znowu na asystentkę, ta zaś podeszła i podała każdemu z członków identyczną torebkę, by mógł ją sobie dobrze obejrzeć.

— Ależ to tania podróbka — wybuchnął Peter Harding, dyrektor do spraw marketingu.

— Tak, Elizabeth — poparł go Hugh. — Wiemy, że na rynku znajdują się nielegalne kopie naszych towarów. To coś, z czym musi zmierzyć się każda firma. Nic się tu nie da zrobić.

Pozostali zamamrotali na znak, że się zgadzają. Elizabeth położyła dłonie na płask na stole i pochyliła się ku nim.

— Prawdę mówiąc, panowie, mylicie się. I to bardzo. — Odczekała chwilę, by to co powiedziała, w pełni do nich dotarło. — Ten wyrób został wyprodukowany dzięki umowie licencyjnej zawartej z firmą Van Welling, trzeciorzędnym niemieckim producentem, który płaci nam rocznie trzy miliony funtów za to, by móc produkować torebki takie jak ta. Produkt nosi nasze logo i ma do tego pełne prawo.

Obecni zamilkli zaskoczeni.

Milczeli tak przez następne czterdzieści pięć minut, kiedy przedstawiała argumenty przemawiające za tym, by zamknąć linię Melville Essentials. Mówiła, iż liczba tego rodzaju produktów wzrosła z trzystu modeli w latach siedemdziesiątych do ponad dwudziestu tysięcy, z czego absolutna większość nie była produkowana przez Melville'a, ale przez producentów, którzy zapłacili, by opatrywać swoje towary logo ich firmy. Wyjaśniła, że choć na świecie jest obecnie zaledwie dwadzieścia pięć sklepów firmowych Melville'a, towary opatrzone podwójnym M sprzedaje się w ponad czterystu innych placówkach — drugorzędnych domach towarowych, drogeriach, stoiskach z towarami niepodlegającymi ocleniu, outletach, butikach hotelowych. Pokazała zdjęcia jaskrawo oświetlonego drugstore'u o tandetnym, krzykliwym wystroju, z koszami pełnymi tanich wyrobów opatrzonych logo Melville'a. Przedstawiała widok godny pożałowania.

— Nic dziwnego, że nie jesteśmy w stanie sprzedać tego — zakończyła, wskazując torebkę za pięćset funtów — skoro sprzedajemy w podrzędnym sklepie to za dwudziestokrotnie niższą cenę.

Zamilkła na chwilę. Wiedziała, że członkowie zarządu obawiają się, jak zareagowałby William, gdyby zgodzili się jej posłuchać. Była jednakże przekonana, że to właściwy krok i trzeba go wykonać.

— *Meliora Cogito* — powiedziała więc tylko, przytaczając motto firmy. — *Dążę do najlepszego*. Czyż nie tak powinniśmy postępować?
Mężczyźni zaczęli z wolna przytakiwać. Nie mogło być wątpliwości, jak zamierzają głosować.

Rozdział czterdziesty

William miał dość. Po kilku następnych atakach **angina pectoris** lekarz zalecił mu, aby nie wracał do pracy przez kolejne trzy miesiące — jakby te trzy pierwsze nie wystarczyły.

— Ma pan bardzo stresujące zajęcie — powiedział — i naprawdę uważam, iż byłoby z pańskiej strony wielce nierozsądne, gdyby poddał się pan związanej z nim presji już teraz.

William ignorowałby z ochotą zalecenie, lecz Isabelle ubłagała go, aby posłuchał lekarza.

— Zrób proszę, co mówi, Williamie — nalegała. — Nie zniósłabym, gdyby coś ci się stało.

Zona uwielbiała dramatyczne gesty, lecz tym razem nie było płaczu ani załamywania rąk, jedynie płynąca z głębi serca prośba, tak poruszająca, że William ustąpił.

— Debrze - westchnął — Zostanę w domu do Bożego Narodzenia. Lecz potem wracam, nieważne, co mi powiedzą.

Usatysfakcjonowałyby to Isabelle, gdyby nie fakt, iż w miarę upływu czasu William stawał się coraz bardziej nieznośny i zirytowany — burczał na lekarza, pielęgniarki, personel i samą Isabelle, a nawet na córki, jeśli znalazły czas, by go odwiedzić albo zadzwonić. Praca odgrywała w jego życiu tak ważną rolę, i to od tak dawna, że nie miał pojęcia, jak wypełnić czas z dala od biura. Nie uświadamiał sobie przedtem, jak istotne miejsce zajmuje w jego życiu firma, podobnie jak tego, że jego status jest nierozzerwalnie związany z tym, co robi.

Najbardziej martwiło go zaś to, że im dłużej przebywał z dala od biura, tym bardziej obawia się powrotu.

Tamto popołudnie w szpitalu zmieniło wszystko. Chwila, kiedy Piers podслуchał, jak William naśmiewa się z niego wraz z Hagh, stanowiła punkt zwrotny. Dopiero teraz zobaczył, jakim człowiekiem jest naprawdę jego brat.

Poczuł się urażony tym, iż William nie zaprosić go na rozmowę z Caitlin, uznał jednak, że stało się tak przez zwykłe niedopatrzenie. Lecz kiedy dowiedział się, jak bardzo William nim gardzi, jak dalece go nie szanuje... Dopiero wtedy zaczął uświadamiać sobie, jakim był głupcem. Poświęcił bratu życie — pracował dla Widia ma i zawsze przedkładał jego potrzeby nad własne. Lecz nic zostało to docenione. Williamowi na nim nie zależało. Było dokładnie tak, jak powiedziała matka — William go tolerował. Pożałował, że nie posłuchał tamtej nocy Rosalind. Gdyby to uczynił, zamiast się z nią kłócić, matka może nadal by żyła. I nagle go olśniło. Przez cały czas obwinał się za to, co się jej przydarzyło, podczas gdy tak naprawdę była to wina Williama.

Kiedy wyszedł tamtego wieczoru ze szpitala, zadzwonił do NW8 i polecił, aby przysłano mu dziewczynę. Spodziewa! się, że seks go uspokoi. Tymczasem, chociaż dziewczyna bardzo się starała, nie był w stanie osiągnąć spełnienia. Im dłużej próbowała, tym bardziej go to irytowało.

— Posłuchaj, może dajmy sobie na dziś spokój — powiedziała w końcu, tłumiąc ziewnięcie. — To oczywiste, że nic z tego nie będzie.

i właśnie owo ziewnięcie połączone z dyskretnym popatrywaniem na zegarek sprawiło, że stracił nad sobą panowanie. Płacił, i dziewczyna winna była okazać mu trochę szacunku. Nie uświadamiając sobie do końca, co robi, zamachnął się i wymierzył jej policzek.

— Co ty do cholery wyprawiasz? — zawołała., przyciskając dłoń do twarzy.

— Przepraszam... — wykrztusił zaskoczony własną reakcją i przerażony tym, co zrobił. — Nie chciałem...

Lecz ona nie słuchała.

— Zbok — prychnęła, a potem pozbierała pospiesznie ubranie i wybiegła.

W NWS to się nie spodobało. Dziewczyna powiedziała widać, co się wydarzyło, gdyż do Piersa, nie zaskoczonego takim obrotem spraw, zadzwonił ktoś z klubu. Anonimowy głos zażądał dwudziestu tysięcy funtów zadośćuczynienia dla dziewczyny oraz poinformował Piersa, że jego członkostwo zostanie wkrótce anulowane. Piers nie protestował, przepraszając jednak i zapewniając, że nic takiego więcej się nie powtórzy. Głos po drugiej stronie słuchawki nie wydawał się jednak zainteresowany.

Niefortunny incydent czegoś go jednak nauczył — teraz wiedział już, że trzeba zachować spokój, trzymać uczucia na wodzy, nie przyspieszać biegu spraw. Zrezygnował zatem z pomysłu, by stawić Williamowi czoło. Istniały bardziej subtelne sposoby, by się odegrać. Odwiedzał go więc nadal w szpitalu, grając rolę oddanego, troskliwego brata, znaną mu od lat. Potem zwołał członków rady i poinformował ich, że lekarz sądzi, iż William szybciej wróci do zdrowia, jeśli nie będzie wiedział zbyt dużo o tym, co dzieje się w firmie. Na razie lepiej byłoby go też nie odwiedzać.

Dni mijały, a William coraz bardziej niepokoił się tym, że nikt nie przyszedł się z nim zobaczyć.

— Gdzie też podziewa się Hugh? — burczał pod koniec tygodnia. — Myślałem, że przynajmniej on się pokaże.

Piers udał zakłopotanie. — Jestem pewien, że wpadnie za dzień lub dwa.

W jego głosie nie było jednak przekonania. William przyjrzał się bratu zmrużonymi oczyma.

— Cóż, będą mieli szczęście, jeśli nie wyleję paru z nich, kiedy wrócę — powiedział z fałszywą brawurą.

Piers liczył na to, że brat nie zadzwoni do biura, aby zapytać, dlaczego do niego nie przychodzą. I nie pomylił się. William był na to zbyt dumny. Poza tym atak serca pozbawił go w dużej mierze dawnej pewności siebie.

Po kilku tygodniach przeniósł się do Aldringham. Z początku Elizabeth i Caitlin odwiedzały go regularnie. Lecz w miarę jak zbliżał się termin pokazu, miały coraz mniej czasu i William był niemal zupeł-

nie odizolowany. Teraz został mu już tylko Piers. Musiał polegać na młodszym bracie i jego sprawozdaniach, a Piers doskonale wiedział, jak go zdenerwować.

— Nie musisz się o nic martwić, Williamie. Elizabeth panuje nad wszystkim.

William spochmurniał. — Doprawdy?

— Tak, tak. Doskonale sobie radzi, wszyscy to mówią. Przypomina mi pod wieloma względami naszą matkę.

Przyglądał się, jak twarz Williama blednie.

— Choć oczywiście wszystkim nam ciebie brakuje — dodał szybko, zbyt szybko, aby zabrzmiało to przekonująco.

Po czym wyszedł, zostawiając Williama pogrążonego w ponurych rozmyślaniach.

A kiedy pojawił się w następny weekend w Aldringham, pierwszym, o co brat go zapytał, było, co też knuje Elizabeth.

Piers udał, że czuje się zakłopotany. — Och, nic takiego. Doprawdy nie powinienem być ci nic mówić.

— Cóż, ale powiedziałaś. A teraz chcę wiedzieć, co się dzieje.

Tym razem Piers postarał się, by to co mówi, zabrzmiało szczerze. — Nic, czym powinieneś się przejmować. Musisz myśleć jedynie o tym, aby wyzdrowieć.

— Piers. — Głos Williama brzmiał stanowczo. — Powiedz mi. Piers zerknął z niepokojem na drzwi, jakby obawiał się, że Isabelle może wrócić lada chwila.

— Przypuszczam — powiedział, zniżając głos — że najważniejszy ruch polega na zlikwidowaniu linii tanich produktów.

William zacisnął dłonie w pięści.

— Tanich produktów? — wykrztusił. — I zarząd wyraził na to zgodę?

— Tak, jednogłośnie — zaczął Piers, a potem, jakby dopiero teraz zobaczył wyraz twarzy Williama, zamilkł. — Boże — westchnął

— wiedziałem, że lepiej było nic nie mówić. Widzę, że cię zdenerwowałem.

William potrząsnął szybko głową. — Nie, nie — zapewnił. — Nie jestem zdenerwowany, jedynie... zaskoczony. — Przełknął mocno.

— No dalej, powiedz mi, co się dzieje.

I Pierś posłuchał. Zajęło mu to całą godzinę.

Wszystko starannie zaplanował. Ilekroć ktoś z firmy pytał go, czy można już odwiedzać Williama, powtarzał:

— Może za kilka tygodni. Nadal jest bardzo słaby.

Przytakiwali z powagą głowami zadowoleni, że nie muszą jechać do Aldringham. Zamiast tego prosili, by przekazał Williamowi życzenia powrotu do zdrowia — co ten zawsze robił, ponieważ przypominało to bratu, że nikt nie przyszedł go odwiedzić.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Caitlin wpatrywała się w kartkę notatnika. Była pusta. Za to kosz obok biurka wypełniały kule zmiętego papieru. Pomysły — podjęte i zarzucone. Została główną projektantką przed trzema miesiącami i tytuł okazał się być przekleństwem, straciła bowiem całe natchnienie.

Pomimo iż odniosła w Nowym Jorku sukces, praca dla Melville'a to było coś zupełnie innego, niewyobrażalnie bardziej wymagającego. W prasie spekulowano, że nie uda jej się zmienić wizerunku firmy. *Tatler* poświęcił Melville'owi artykuł zatytułowany pesymistycznie: *Upadek angielskiej instytucji*.

„Zatrudnienie w roli głównej projektantki osoby bez odpowiedniego doświadczenia, takiej jak Caitlin O'Dwyer, było ryzykownym posunięciem” — napisano w konkluzji. — „Pozostaje mieć nadzieję, iż nic okaże się to gwoździem do trumny”.

Z początku zespół spoglądał na Caitlin z nadzieją, widząc w niej swego wybawcę. Jednak z upływem czasu nadzieja zmieniła się w rozczarowanie, a potem naganę. Tylko Ellie zdawała się nadal pokładać w Caitlin wiarę. Zwykła też wsuwać co i rusz głowę do pokoju, pytając:

— Jakiś przełom?

— Jak dotąd, nie — odpowiadała Caitlin, próbując zignorować fakt, że po takiej odpowiedzi Ellie rzednie mina.

Rozumiała, dlaczego członkowie zespołu czują się sfrustrowani. Tak dobrze radziła sobie w Nowym Jorku, więc co się nagle stało?

Nie była pewna, czy zna odpowiedź na to pytanie. Problem polegał prawdopodobnie na tym, iż nie pracowała dotąd na taką skalę. Nie pocieszało to jednak personelu. Wszyscy wiedzieli, że Melville ma kłopoty. Plotkowano, że wkrótce zaczną się zwolnienia. Troje spośród najbardziej doświadczonych asystentów znalazło już sobie nowe posady. Musiała wykazać się przed personelem, zasłużyć na ich szacunek. A nie uda jej się to bez kilku cholernie dobrych pomysłów. Czas naglił, siadała zatem codziennie przy biurku, otwierała szkicownik, ostrzyła ołówki i... nic. Żadnego natchnienia. Żadnej wizji. Zareagowała, pracując ze zdwojoną gorliwością. Przesiadywała w biurze od ósmej rano do późnego wieczoru, ale jedyną zapłatą za ten wysiłek były kolejne stosy zmiętego papieru w koszu.

Nie miała komu się zwierzyć. Nie chciała zamęczać swoimi problemami Williama, Elizabeth zaś była ciągle zajęta. Przyjaciele zostali w Nowym Jorku, a nie miała dotąd czasu, by zaprzyjaźnić się z kimś w Londynie. Podczas następnego spotkania zarządu pokazała zestaw szkiców zebranych w całość jedynie dlatego, że musiała cokolwiek pokazać. Członkowie zarządu podawali je sobie w milczeniu z rąk do rąk i widać było, że nie wywarły na nich wrażenia.

— To dopiero zarys projektu — powiedziała z nutką desperacji w głosie. — Do następnego spotkania będę już miała coś więcej.

Te frazesy spotkały się z pełnym dezaprobaty milczeniem.

Po spotkaniu Elizabeth wzięła ją na bok i zapytała szczerze zatroskana: — Co się dzieje, Caitlin? Coś nie tak?

Caitlin nie była w stanie nic wyjaśnić. — Nie, nic takiego. Po prostu zabiera to więcej czasu, niż się spodziewałam.

Elizabeth ściągnęła brwi. — Rozumiem — powiedziała, choć widać było, że jest dokładnie na odwrót. — Daj mi znać, jeśli będziesz potrzebowała pomocy, dobrze? Obdarzyła Caitlin uśmiechem, który miał dodać jej otuchy, po czym odeszła. Caitlin westchnęła. Wolałaby już chyba, żeby Elizabeth ją złąjała — byłoby to w pełni usprawiedliwione. Tymczasem fakt, że siostra okazała wyrozumiałość, sprawiał, że czuła się jeszcze gorzej. Wszyscy na nią liczyli. Musiała wreszcie coś wymyślić. Postanowiła wziąć się do pracy, czując się jeszcze bardziej zestresowana i pod

presja. Zrobiła sobie mocną kawę i zasiadła za biurkiem, czekając na przyływ natchnienia.

O szóstej po południu pracownia zaczęła powoli pustoszeć. Teraz, pomyślała. Węszcie będę mogła zabrać się na poważnie do roboty.

Lecz w dwie godziny później była już gotowa się poddać. Spojrzała na to, co narysowała — projekty były wtórne i banalne. Sfrustrowana dziabnęła ołówkiem kartkę, łamiąc grafit. Cudownie.

Szarpnęła szufladę tak gwałtownie, że aż wypadła z szyn. Wepchnęła ją na powrót i zaczęła grzebać w zgromadzonych tam rzeczach w poszukiwaniu temperówki. I wtedy natknęła się na artykuł wycięty kilka tygodni wcześniej z gazety i zawierający opis galerii, gdzie wystawiał Lucien. Wycinek leżał wciśnięty pomiędzy papiery i długopisy, jakby w oczekiwaniu na chwilę jej słabości.

Aż do tamtej niedzieli w Aldringham nie wiedziała, że Lucien przebywa w Londynie. Z artykułu — po prostu musiała go przeczytać — dowiedziała się, że przeprowadził się do Anglii rok wcześniej. Najwidoczniej życie artystyczne było tu bardziej ożywione niż w Paryżu — angielskie media i handlarze dzieł sztuki wypromowywali co i rusz nowe gwiazdy, takie jak Tracey Emin i Damien Hirst.

Gdy tylko wróciła tamtego wieczoru na Eaton Square, zadzwoniła natychmiast do Alaina.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi, że on tu jest? — spytała urażona i zdenerwowana. Niemal widziała, jak wzrusza ramionami.

— Myślałem, że tak będzie lepiej.

Wpatrywała się w adres przez dłuższą chwilę. *On prawdopodobnie wie, że jesteś w Londynie, podpowiadał rozsądek. A skoro się z tobą nie skontaktował, zapewne nie życzy sobie cię widzieć...*

Do diabła z tym, pomyślała. Pora zawalczyć o to, czego pragnie. Spojrzała na siebie. Biały podkoszulek poplamiony miała jedzeniem, na twarzy zero makijażu, a kiedy przeglądała się po raz ostatni w lustrze, jej włosy pilnie potrzebowały mycia.

Stojąc w pół godziny później przed lustrem w damskiej toalecie, pożałowała, nie po raz pierwszy zresztą, że nie jest bardziej podobna do Elizabeth. Nic nie było w stanie wyprowadzić z równowagi jej wyrafinowanej, dobrze zorganizowanej siostry. Na pewno byłaby

w polni przygotowana na ten moment, na to niespodziewane spotkanie z... przyjacielem. Miałyby makijaż, a w szafie zmianę ubrania. Albo, co bardziej prawdopodobne, nie wyszłyby rano z domu, wyglądając tak, jak teraz Caitlin.

Musiała jakoś sobie poradzić. Spenetrowała pracownię i znalazła pozostałe z ostatniego pokazu podkład oraz grzebień. Róż i szminka dodały nieco koloru jej bladej, zmęczonej twarzy. Z włosami niewiele dało się zrobić. Na szczęście fryzura z założenia miała sprawiać wrażenie rozwichrzonej.

Ubranie stanowiło problem. Ponieważ kształty miała dosyć zmysłowe, ciuszki przeznaczone dla chudych modelek zdecydowanie na nią nie pasowały. W końcu udało jej się znaleźć pasującą do spódnicy bluzkę z czarnej satyny. Bluzka była luźna, co przedtem jej się nie podobało. Ponieważ została jednak uszyta dla modelki szczuplejszej o kilka rozmiarów, na Caitlin wydawała się dopasowana, przylegając ściśle do figury. W końcu usatysfakcjonowana wyszła z biura i złapała taksówkę.

— Dokąd? — zapytał taksówkarz, gdy wsiadła.

— Borden Gallery w Hoxton.

O tej porze, poza godzinami szczytu, dotarcie do wschodniego Londynu, gdzie znajdowała się galeria, zajęło im dwadzieścia minut. Taksówkarz nie słyszał co prawda o tym miejscu, lecz Caitlin była pod wrażeniem. Galeria usytuowana przy modnym od lat Hoxton Square była niewielka, lecz ekskluzywna. Charakteryzowały ją białe ściany, przestronność, oszklone korytarze i doskonale oświetlone sale wystawowe. Słyszeła zaś z tego, że nieodmiennie stawiano tu na tych, którzy mieli odnieść wkrótce spektakularny sukces. A Lucien był jednym z nich.

Obecnie życie artystyczne Londynu skupiło się w dzielnicach Hoxton i Shoreditch. Podobnie jak Belleville, dzielnice te były kiedyś ostoją klasy robotniczej i jak ich paryski odpowiednik, zyskiwały coraz bardziej na znaczeniu. Młodzi ludzie sukcesu oraz brać artystyczna przekształcili niegdysiejsze składy meblowe w apartamenty, zaś Hoxton Square w ośrodek współczesnej bohemy. Gdzież Lucien mógłby czuć się lepiej?

— Hej, jestem Zara. Mogę w czymś pomóc?

Caitlin obejrzała się i zobaczyła szykownie ubraną asystentkę błyskającą stuwatowym uśmiechem sprzedawcy. Zaczerpnęła głęboko powietrza.

— Mam nadzieję. Jestem starą znajomą Luciena. Wiesz może, czy jest dziś w galerii?

Uśmiech Zary przygaśł o kilka stopni. — Powinien gdzieś tu być. — Zostało to powiedziane z absolutnym brakiem entuzjazmu. Dziewczyna przywykła widać do tego, że kobiety wypytyują ją o Luciena. Nie znaczyło to jednak, że jej się to podoba. Westchnęła i skinęła głową, wskazując przeciwległy kąt sali. — O, tam jest.

Caitlin poczuła, że serce zaczyna gwałtownie bić jej w piersi. Odwróciła się... i tak, był tam, pogrążony w rozmowie z parą młodych ludzi — zapewne potencjalnymi klientami. Minęło pięć lat, a on ani trochę się nie zmienił. Ciemnowłosy i posepny, pozostał najbardziej charyzmatycznym mężczyzną, jakiego poznała. Odwróciła się, dając sobie czas, by zapanować nad emocjami.

Musiał wyczuć, że na niego patrzy, gdyż podniósł wzrok. Teraz nie mogła już się wycofać, nawet gdyby chciała. Ich spojrzenia się spotkały. Przez chwilę po prostu się w nią wpatrywał. Jeśli zaskoczył go jej widok, nie okazał tego. Zwrócił się znowu do swoich klientów i przez jedną okropną chwilę Caitlin sądziła, że ją zignoruje. Lecz zaraz uświadomiła sobie, że kończy po prostu rozmowę... A potem szedł już ku niej.

— Lucien...

— Witaj, Caitlin. — Zabrzmiało to oficjalnie, jakby spodziewał się, że pewnego dnia ją zobaczy, że Caitlin pojawi się ot tak, znikąd.

Mało entuzjastyczne powitanie sprawiło, że poczuła się rozczarowana. Nie była pewna, czego właściwie się spodziewała. Wielkiego pojednania? Może przynajmniej aluzji do tego, jak byli sobie kiedyś bliscy. Lecz Lucien zachowywał się bardzo oficjalnie. Nie mogła nie zauważyć, że po wymianie powitalnych cmoknięć pospiesznie się odsunął. Naprawdę nie wyglądał na zaskoczonego tym, że ją widzi. Wydawał się... cóż, trudno powiedzieć... Ani zadowolony, ani też wytrącony z równowagi.

— Dowiedziałam się, że wystawiasz w Londynie. — Nie zapytał, jak to się stało, że trafiła do galerii, poczuła się jednak w obowiązku

wyjaśnić: — Pomyślałam, że wpadnę i obejrzę wystawę... a przy okazji zobaczę się z tobą. — Zwalczyła pokusę, aby zapytać, czy wiedział, że ona przebywa od jakiegoś czasu w Londynie. Jaki miałoby to sens? Jeśli nie wiedział, cóż... właśnie rozmawiali, a jeśli było inaczej... Lepiej się w to nie zagłębiać.

Nadal się nie odzywał, powiedziała zatem pospiesznie, czując, że jeszcze chwila, a opuści ją odwaga i znowu ucieknie: — Zastanawiałam się, czy nie poszedłbyś ze mną na drinka... no wiesz, żeby odnowić znajomość.

Cisza. Zaraz powie mi, żebym spadała, pomyślała.

Zamiast tego powiedział: — *D'accord*. — Spojrzał na zegarek.

— Zamykamy o dziesiątej. Po drugiej stronie ulicy jest bar. Mogłabyś tam zaczekać?

Odwrócił się i odszedł. Niezbyt obiecujący początek, uznała, lecz potem będzie lepiej. Musi.

Bez trudu znalazła bar. Był to jeden z tych modnych lokali położonych wokół Hoxton Square, urządzone w surowym, miejskim stylu charakterystycznym dla okolicy, w której się znajdował. Ceglane ściany, porysowane meble i kiepskie oświetlenie. Przykład trendu właściwego dla SoHo. Poczowała się tak, jakby znalazła się znów w Belleville. Tyle że atmosfera była tu mniej autentyczna. W piątkowy wieczór w lokalu przesiadywało prawdopodobnie więcej adwokatów i bankowców niż artystów czy ludzi mediów.

Musiała czekać dwadzieścia minut, zanim dopchała się wreszcie do baru, a dalszych dziesięć zajęło jej wyszukanie wolnego boksu

— do tego czasu potracono ją już tyle razy, że połowa drinków wylądowała na podłodze. Miała nadzieję, że starczy jej czasu, by się pozbiierać, zdążyła jednak upić zaledwie kilka łyków ciepłego białego wina, kiedy pojawił się Lucien, ciemnowłosey i w posepnym nastroju. Zostawiła mu dość miejsca, aby mógł usiąść obok niej, lecz wołał wśliznąć się na ławę naprzeciw.

— Przyszedłeś — powiedziała. Uniósł brwi. — Myślałaś, że cię wystawię? Prawdę mówiąc, coś takiego przemknęło jej przez myśl... — Nie, oczywiście, że nie — skłamała.

Cóż, nawet nie przyszło mi to do głowy. — Zamilkł, a potem dodał znacząco: — Może dlatego, że uciekanie nigdy nie było w moim stylu.

Auc, pomyślała Caitlin, kiedy cios sięgnął celu. Najwidoczniej Lucien nie był w nastroju, aby wybaczać, a tym bardziej zapomnieć.

Z umieszczonych nad ich głowami otworów klimatyzacyjnych napływało chłodne powietrze, w barze było jednak tak tłoczno, że nadal panował tu upał. Caitlin zsunęła z ramion żakiet. Poczowała, że Lucien przesuwając spojrzeniem po jej ciele. Ponieważ bluzka była tak ciasna, górny guzik ciągle się rozpinął i nagle Caitlin uświadomiła sobie, jak głęboki ma dekolt. Ściągnęła na wpół świadomie połę bluzki, lecz tak naprawdę było jej przyjemnie, że ją zauważył, nie był tak uodporniony, jakim starał się wydawać.

Popchnęła w jego stronę piwo. — Proszę — powiedziała, uśmiechając się z przymusem. — Nie jestem pewna, czy wybrałam właściwy gatunek.

Skinął głową, ale się nie uśmiechnął. Jedno było absolutnie jasne — nie zamierzał ułatwiać jej sytuacji. Zapanowało milczenie. Caitlin świadoma, że Lucien nie zamierza podtrzymywać rozmowy, gorączkowo zastanawiała się, co powiedzieć. Wypiła pośpiesznie kilka łyków wina, mając nadzieję, że alkohol zacznie szybko działać.

— Alain informował mnie, co porabiasz — powiedziała, chwytając się najbardziej neutralnego tematu, jaki przyszedł jej do głowy — jego pracy. — Wygląda na to, że sobie radzisz.

Skinął głową, przyjmując komplement. — Ty także. Śledził więc jej karierę.

— Nie wiedziałam jednak, że jesteś w Londynie, póki nie natknęłam się na artykuł w *Observerze* — powiedziała, czując się nieco swobodniej. — Nie wiedziałeś pewnie, że się tu przeniosłam...

Bładoniebieskie oczy Luciena napotkały spojrzenie jej oczu. — Wiedziałem.

To wyjaśniało sprawę. Pokazał Caitlin, gdzie jest jej miejsce. Niezręczna cisza wróciła. Wypiła jeszcze trochę wina i przez chwilę zastanawiała się, czy nie zamówić kolejnej lampki. Doszła jednak do wniosku, że upicie się to nie najlepszy sposób, aby poradzić sobie z sytuacją.

Spróbowała zatem innego tematu. Pracuję teraz tutaj powiedziała. —
U Melville'a.

— Tak. W rodzinnej firmie — uzupełnił.

— Zgadza się. Chyba ci o niej nie mówiłam. To nie miało znaczenia...

— Jestem pewien, że nie miało. — Zamilkł. — Dla ciebie. — Upił łyk
piwa. — I jak to jest? Pracować dla Melville'a?

— Nie tak łatwo, jak sądziłam — odparła szczerze.

— Dlaczego?

Po raz pierwszy odkąd się spotkali, wydawał się zainteresowany. Cóż,
jeśli naprawdę chce wiedzieć...

Zacząła mówić. A kiedy mówiła, Lucien powoli się odprężył. Opowiedziała mu o przeprowadzce do Londynu, o tym, że zastała dział projektowania w rozsypce i że musiała pokonać opozycję niechętną zmianom, które chciała wprowadzić, a wreszcie o braku natchnienia. Jako artysta i pokrewna dusza, instynktownie to zrozumiał.

— W końcu natchnienie samo przyjdzie, *chérie*. Coś ci poradzę: wyluzuj. Przestań się zamartwiać. A kiedy najmniej będziesz się tego spodziewała, natchnienie wróci.

Jego pełne zrozumienia zapewnienia sprawiły, że poczuła się lepiej, niż sądziła, że to w ogóle możliwe. Potem rozmowa potoczyła się już gładko. Opowiedział o swojej pracy, o galeriach, w których wystawiał. Większość z tego nie była Caitlin obca, słuchała jednak chętnie. Potem zaczęli rozmawiać o wspólnych znajomych. Oboje utrzymywali kontakt z Alainem oraz kilkoma innymi osobami z czasów Belleville. Snuli wspomnienia, unikając choćby wzmianki o tym, co zaszło pomiędzy nimi przed laty.

Pomimo iż wino było marne, zamówiła kolejną lampkę, a potem następną. O północy czuła się już beztroska i ośmielona.

— Jeszcze jedno? — spytała, wskazując niemal pustą butelkę po winie. — Twarz Luciena przybrała czujny wyraz. — Raczej nie, Caitlin, muszę iść. — Zignorowała z roztropnym ostrzegawczym tonem w jego głosie. — Daj spokój, Lucien — złązała go delikatnie. — Nie możesz. Jest przecież wcześnie.

— Mam się z kimś spotkać — wypalił.

Spojrzała na niego skonsternowana. Spotkać się? O tej porze? A potem ją olśniło. Oczywiście, chodziło o dziewczynę...

— Jasne — powiedziała czując, że rumieniec zalewa jej policzki. Lucien na pewno to zauważył, pomyślała. — Oczywiście, rozumiem. Jasne, powinieneś iść.

Wstał. — Chodź, wsadzę cię do taksówki.

Jeśli Caitlin miała nadzieję, że uda jej się szybko uciec, to się zawiodła. W piątkowy wieczór o taksówkę nic było wcale łatwo, zwłaszcza w porze gdy zamykano puby. Stali na chodniku przez całe dziesięć minut, pogrążeni w niezręcznym milczeniu, nim jedna z taksówek litościwie się zatrzymała. Lucien otworzył Caitlin drzwi. Ruszyła, by wsiąść, a potem się zatrzymała. Nie chciała rozstawać się z nim w ten sposób.

— Chciałbyś, żebyśmy jeszcze się spotkali? — Pożałowała, że to powiedziała, gdy tylko słowa wyszły z jej ust. Zwłaszcza że Lucien nie odpowiedział od razu, ale wpatrywał się w nią przez chwilę przenikliwym spojrzeniem jasnych oczu. Nie powinna była nic mówić, gdyż nie był najwyraźniej zainteresowany. Lecz skoro zaczęła...

— Chodzi o to, że nie znam nikogo w Londynie — dodała pośpiesznie. — Gdybyś znalazł wolny wieczór, żeby wypić drinka lub zjeść kolację, wyświadczyłbyś mi przysługę...

— Dobrze — przerwał jej paplaninę. — Zadzwoń.

Trzasnął drzwiami taksówki, zanim zdążyła powiedzieć coś jeszcze. Była w tym dźwięku jakaś ostateczność. Kiedy taksówka ruszała, Caitlin zastanawiała się mimo woli, czy jeszcze go zobaczy.

Nim w końcu zadzwonił, minał tydzień. Do tego czasu straciła już nadzieję, że się z nią skontaktuje.

Przeszedł od razu do sedna. — Przyjaciół gra dziś wieczorem w Shunt. Słyszałaś o tym miejscu?

— Tak, oczywiście. — Było to lokal, gdzie odbywały się offowe imprezy artystyczne, ukryty głęboko w tunelach pod stacją metra London Bridge. — Lecz nigdy tam nie byłam — dodała pośpiesznie.

— Cóż, trafia ci się okazja. Mam wolny bilet. Chciałabyś pójść?

— Z największą ochotą — odparła ciepło.

— Dobrze. — Zostało to powiedziane niezwykle rzeczowo. —
Spotkamy się przed lokalem, o dziesiątej.

Nie bawiąc się w dalsze uprzejmości, odłożył słuchawkę. Caitlin siedziała przez dłuższą chwilę przy biurku, próbując domyślić się, co miał oznaczać ten telefon. Niestety, nim nastał wieczór, do niczego nie udało jej się dojść. Zawsze to jakiś początek, pocieszała się.

Rozdział czterdziesty drugi

Amber zatrzymała z piskiem opon czerwone jak grzech ferrari na parkingu przed plażą w Santa Monica. Wóz zajął miejsce przeznaczone dla trzech samochodów, lecz ani trochę jej to nie obeszło. Prowadzenie samochodu nie należało do mocnych stron Amber. Obróciła wsteczne lusterko, żeby się przejrzeć i ściągnęła z niezadowoleniem brwi na widok podsinionych oczu i szopy przesuszonych loków. Farba, której używała, aby utrzymać platynowy kolor włosów, ewidentnie im szkodziła. Zanotowała sobie w pamięci, żeby umówić się na wizytę u Sheri Eskridge w Art Luna i powierzyć jej rozwiązanie tego problemu, po czym chwyciła torbę od Gucciego i ruszyła ku miejscu, gdzie czekał już zespół złożony z kamerzystów, speców od makijażu oraz stylistów.

W połowie drogi podszedł do niej Rich. Nie był w dobrym nastroju— Spóźniłaś się dwie godziny, Amber — powiedział krótko. —

Lepiej przygotuj się na poważny ochrzan. Derek nie jest zadowolony — mówiąc delikatnie. Będziesz musiała jakoś go przebłagać.

Mieli kręcić reklamówkę kosmetyków Glamour, przeznaczoną dla telewizji. Reżyser, Derek Moss, nie znosił spóźniałstwa. Pomysł polegał na tym, aby pokazać, jak Amber spędza dzień na plaży, a potem opatrzyć to mało oryginalnym hasłem: — *Twój makijaż jest w stanie wytrwać równie długo jak ty.* Derek zaplanował wcześniej ujęcia, które chciał wykorzystać: Amber na nabrzeżu podjadająca popcorn i watę cukrową, przechadzająca się alejką pomiędzy straganami, uprawiają-

ca jogging wzdłuż trasy rowerowej South May, a potem ochładzająca rozgrzane biegiem ciało w niesamowicie błękitnych wodach Pacyfiku, dokonująca zakupów na Third Street Promenadę. Na koniec mieli wrócić na plażę i sfilmować ją podczas romantycznego spaceru o zachodzie słońca, ze stopami zapadającymi się w miękkim piasku.

Był niedzielny poranek i Derek chciał zacząć jak najwcześniej, nim plaża zacznie się zapelniać. Początek zdjęć wyznaczono na siódmą rano. Teraz była dziewiąta i ludzie zaczęli się już schodzić.

Amber, podobnie jak pozostali członkowie ekipy, doskonale zdawała sobie sprawę, że trudno im będzie pracować pod okiem przyglądających się wszystkiemu, rzucających komentarze i wchodzących w kadr gapiów: turystów, osób uprawiających jogging, rowerzystów i rolkarzy, a także dziewcząt z podmiejskich dzielnic Los Angeles, wypracowujących tu sobie opaleniznę. Nie zamierzała jednak przeproszać.

Wypłuła gumę na piasek. Rich zmarszczył brwi. Plaża Santa Monica szczyła się tym, że było tu czysto. Wszędzie stały kosze na śmieci. Amber zdawała się jednak tego nie zauważać.

— Powiedziałeś mu, że źle się czuję? — Uniosła wyżej na czoło olbrzymie okulary słoneczne Chanel.

— Owszem. — Odczekał chwilę, a potem kontynuował. — Niestety, ktoś z ekipy widział cię wczoraj wieczorem z Johnnym. Wyszedłem na kłamcę, ty zaś na kogoś, kto nie dba za cholere o kontrakt z Glamour.

Amber przewróciła oczami. Rich nie dawał jej ostatnio spokoju. Chodziło głównie o Johnny'ego. Jej agentowi nie podobał się nowy kochaś. I prawdę mówiąc, wcale się z tym nie krył. *Johnny nie jest dla ciebie dość dobry. Ściąga cię w dół. Nie możesz imprezować tak intensywnie w nieskończoność. Martwię się o ciebie.*

Guzik prawda.

Dobrze wiedziała, co tak naprawdę go gryzie. Nie podobało mu się, że w życiu Amber pojawił się ktoś ważny. Chodziła z Johnnym od trzech miesięcy — w Los Angeles była to wieczność. Gdy wyjechała na tydzień do Anglii po tym, jak ojciec doznał ataku serca, dzwonił do niej codziennie. A kiedy wróciła, zesłi się na dobre. Nigdy tego nie żałowała. Johnny był tak wyluzowany, tak pewny siebie.

I nie związany z ludźmi, z którymi się dotąd widywała. Wolał tych osadzonych mocniej w rzeczywistości. Ci, których zapraszał do jej domu, nie byli wciąż tymi samymi starymi znajomymi — lecz zwyczajnymi ludźmi poznanymi w barach, restauracjach i klubach. Chcieli tylko przyłączyć się do nich i balować na całego. Czasami Johnny brał do rąk gitarę i zaczynali improwizować, popalając najlepszy towar, jakiego Amber miała dotąd okazję skosztować.

Żyli dniem dzisiejszym, nie martwiąc się o jutro. Cóż, pewnie, może imprezowali ostatnio zbyt intensywnie. Ale co z tego? Była jeszcze młoda. Większość dwudziestodwulatków zrywa się od czasu do czasu ze smyczy. Jednak Rich nie postrzegał tego w ten sposób. W zeszłym tygodniu mocno się pokłócili. Powstrzymał się przez jakiś czas, nie zdzierzył jednak, kiedy zjawiała się na sesji zdjęciowej do *Vogue'a*, mając za sobą niespełna dwie godziny snu.

— To niedopuszczalne, żebyś zjawiała się na planie z przekrwionymi oczami i twarzą pokrytą trądzikiem — wrzeszczał.

— Co cię to obchodzi? — wrzasnęła w odpowiedzi. — Odpieprz się i zajmij swoimi sprawami!

Kłótnia przybierała na sile, czemu przyglądali się zafascynowani fotografowie oraz członkowie redakcji. Wreszcie oboje się popłakali. Amber przeprosiła, uściskała Richa, a potem przysięgli sobie, że coś takiego więcej się nie powtórzy. Lecz teraz, zaledwie pięć dni później, czuła, że Rich zamierza znowu wygłosić jej kazanie.

Stłumiła ziewnięcie. Boże, ależ jest zmęczona. Przyjechała na plażę wprost z klubu. Żuła gumę, by zamaskować woń alkoholu. Dotknęła włosów, zmatowiałych i poplątanych po nocy spędzonej na parkiecie. Zdawała sobie sprawę, że nie wygląda najlepiej. Nie był to jednak problem, którego nie rozwiązałoby trzydziestom i nutowe posiedzenie z makijażystą. A zanim wyszła, Johnny zdążył wsunąć jej trochę speedu. Miała go w torebce i mogła wziąć później, kiedy dopadnie ją znużenie. Sytuacja pozostawała pod kontrolą. Nic było czym się martwić. Rich przesadzał, jak zwykle. A ona nie była w nastroju, by starać się go udobruchać.

— Weź coś na uspokojenie, Rich — powiedziała ze złośliwym błyskiem w oczach. — A może powinnam była powiedzieć: weź wię-

cej. Kto tu jest gwiazdą? W Glamour powinni być szczęśliwi, że udało im się mnie zatrudnić. Miałam mnóstwo ofert, a wybrałam tę, ponieważ uznałam, że mi się opłaci. Cóż to oni powiedzieli takiego, aby usprawiedliwić fakt, że płacą mi kupę forsy? — Zmarszczyła brwi, udając, że się namyśla. — A, tak — dodała po chwili. — Już wiem. „Jest tylko jedna Amber Melville”. I o ile mi wiadomo, nic się w tym względzie nie zmieniło. A że się spóźniłam? — Wzruszyła szczupłymi ramionami. — I co takiego się stało?

Nie dała Richowi szansy, by odpowiedział. Zamiast tego rzuciła mu kluczyki, jakby był służącym.

— A może byś się tak na coś przydał i znalazł kogoś, kto popilnowałby mi samochodu? Nie chciałabym zastać po powrocie porysowanej karoserii.

Odwróciła się zniecierpliwiona i odmaszerowała. Gdyby zadała sobie trud i się odwróciła, zobaczyłaby, że Rich spogląda w ślad za nią z wściekłą miną. Potrzebował całej siły woli, aby nie wziąć tych głupich kluczyków i nie przejechać nimi po masce.

Johnny wyciągnął się na leżaku stojącym obok ogrzewanego basenu Amber. Nie to, żeby woda potrzebowała o tej porze roku podgrzewania. Był kolejny letni dzień w Kalifornii, pora lunchu. Z nieba lał się żar, a liście palm zwisały nieruchomo.

Johnny uwielbiał Beverly Hills z jego pomalowanymi na cukierkowe kolory domami i idealnie wypielegnowanymi trawnikami. Wszystko tu sprawiało wrażenie doskonałości, co jak najbardziej mu odpowiadało. Ostatnio prawie nie zaglądał do swego stosunkowo skromnego mieszkania w Brentwood — po co miałby to robić, skoro u Amber było tak cudownie? Tu, w Summit Circle, w powietrzu unosił się zapach sosen, z okien domu rozciągał się cudowny widok na położone w dole miasto, a wszystko dookoła spowijała atmosfera spokoju. Nawet teraz, mimo iż w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin prawie nie spał, czuł się zrelaksowany, wyciszony.

Nadeszła pokojówka, przynosząc Krwawą Mary.

— Proszę, *señor*.

Przyglądał się, jak stawia na stoliku szklaneczkę z drinkiem, ozdobionym pałeczką z selera i doprawionym tabasco. W lokalu Amber

Melville można było liczyć na pięciogwiazdkową obsługę. Kucharz, lokaj i pokojówka na cały etat — choć jeśli chodzi o niego, mógłby obyć się bez pierwszych dwóch i zadowolić jedynie pokojówką. Dziewczyna: ciemnowłosa, o śniadej cerze i ciemnych oczach, musiała pochodzić z drugiej strony granicy, z Meksyku. Jej latynoamerykańska uroda stanowiła przyjemną odmianę po tych wszystkich silikonowych blondynkach, od których aż roiło się w Los Angeles.

— Dzięki... — zamilkł, czekając, aż powie mu, jak ma na imię.

— Rosita — podpowiedziała.

— Dzięki, Rosito.

Obdarzyła go zachęcającym uśmiechem z rodzaju tych, których znaczenie potrafiłby odczytać z odległości mili. Odwróciła się i ruszyła z powrotem ku domowi, a on przyglądał się, jak pełne, krągłe pośladki falują pod cienkim materiałem mundurka pokojówki. Poczuł, że jego członek porusza się w spodenkach — dokładnie tam, gdzie powinien pozostać. Nie mógł pozwolić sobie na to, by Amber się do niego zraziła. Była niczym bilet do łatwego życia. Och, zakładano powszechnie, że jest bogaty — nagrał kilka świetnie się sprzedających albumów, więc musi być dziany, czyż nie? Błąd. Kiedy wszyscy zgarnęli już swoją część — wytwórnia płytowa, studio, promotorzy, menedżer i pozostali członkowie zespołu — dla niego nie zostało wcale tak dużo. A to co zostało, udało mu się bez większego trudu przepuścić. Musiał żyć na określonym poziomie... dbać o wizerunek... Nie mógł tak po prostu wprowadzić się do motelu. I dlatego za sam wynajem bulił miesięcznie dwadzieścia osiem tysięcy. Naruszało to poważnie jego topniejące gwałtownie konto bankowe. No i te wieczory spędzane w mieście. Wszyscy spodziewali się, że to on zapłaci rachunek. Dlaczego mieliby sądzić inaczej? Był w końcu gwiazdą pop, nieprawdaż? Nie mógł poprosić, by członkowie jego paczki zrzucili się na benzynę. Nawet on był jednak zaszokowany, kiedy księgowy o ponurej twarzy powiedział mu, jak niewiele zostało. Wiadomość sprawiła, iż pożałował niemal, że odszedł z zespołu. Chciał jednak pograć przez jakiś czas sam — w końcu z nich wszystkich tylko on był gwiazdą. Jak powiedział wtedy chłopakom: „Chcę odejść od brytyjskiej muzyki pop, zagrać coś bardziej *cool*, może trochę rocka, odrobinę soulu...”.

Gdy zespół się rozpadł, zatrudnił nowego menedżera. Pierwsza rada, jakiej udzielił mu Brett, brzmiała: „Przenieś się do Los Angeles”. Johnny nie zamierzał protestować. Przeprowadzka do Stanów wydawała się dobrym pomysłem. Jeśli zdoła zaistnieć na amerykańskim rynku, będzie urządzony.

Z początku życie w LA było jednym pasmem przyjemności. Nowy menedżer wykonał kilka telefonów, powiadamiając właściwych ludzi, że jego podopieczny jest w mieście i rozgląda się za kontraktem. Wszyscy rozpoznawali Johnny'ego, a tam gdzie się pojawił, budził poruszenie. Dyrektorzy wytwórni płytowych, odziani w najmodniejsze garnitury, zapraszali go na prestiżowe lunche do Ivy i Spago, a dziewczęta rzucały mu się na szyję — i to jakie dziewczęta! Piękne, zgrabne, cudownie opalone kandydatki na aktorki oraz modelki, nie angielskie *groupies* ze zniekształconymi od cellulitu udami i bluzkami wysuwającymi się z tanich dzinsów. Zapraszano go na odpowiednie przyjęcia, a kiedy wchodził do baru czy klubu, oferowano najlepsze miejsca.

Jednak po kilku miesiącach strumień zaproszeń zaczął z wolna wysychać. Stawało się bowiem oczywiste, że nikt nie zamierza podpisać z Johnny'ym kontraktem. Zapraszali go zaś jedynie po to, by sprawdzić, czy konkurencja nie dopatrzyła się w nim czegoś, co oni przegapili. A kiedy menedżer próbował nakłonić ich, by wystąpili z konkretną propozycją, nieodmiennie spotykało go rozczarowanie. Było dużo gadania na temat członków zespołu, którzy „nie zawsze sprawdzają się jako soliści”, doradzano im także, by zaczekali, aż opadnie kurz po rozpadzie zespołu i sytuacja nieco się uspokoi.

Tylko że Johnny — i jego bank — nie mogli pozwolić sobie na czekanie. Johnny znał swoją branżę i wiedział, że musi wykonać kolejny ruch teraz, póki Kalejdoskop nadal uważany jest za gorący towar. Inaczej trzeba będzie zastanowić się nad obraniem innej ścieżki kariery — na przykład w zamiataniu podłóg.

A potem nastąpił upragniony przełom — poznał Amber Melville.

Z początku nie zorientował się, kim jest dziewczyna. Wtedy, pierwszego wieczoru w Les Deux, był już tak zaprawiony, że uznał, iż to kolejna ładna panienka, która próbuje go poderwać. Dopiero kiedy wylądowali nad ranem u niej, zaczął sobie uświadamiać, że jest

warta więcej niż to, by raz ją przelecieć. Jego menedżer był zachwycony.

— Cholera! Amber Melville! Właśnie czegoś takiego było nam trzeba!

Za radą podeksycytowanego Bretta roztoczył cały swój czar, zdobył numer Amber i dzwonił do niej regularnie, gdy była w Anglii. Kiedy po tygodniu wróciła, zamówił stolik w restauracji Fred 62 — pokazanie się tam dawało gwarancję, że zostanie się sfotografowanym. I rzeczywiście, następnego dnia zdjęcia ich obojga, robiących do siebie słodkie oczy nad mlecznym koktajlem, ukazały się we wszystkich tabloidach, opatrzone krzykliwym tytułem: „Czy Amber i Johnny są parą?”. Poczul się urażony tym, że jej imię podano jako pierwsze, uznał jednak, iż da się z tym żyć. W końcu od miesięcy aż tyle o nim nie pisano.

Zatrudniani przez oboje szacowni specje od public relations natychmiast zaprotestowali, informując, jak zwykle w takich wypadkach, że ich pracodawcy są „jedynie przyjaciółmi”. Było to niczym wyzwanie rzucone sępom z prasy. Jeden anonimowy telefon do każdego reportera w mieście wystarczył, by Johnny został sfotografowany, jak opuszcza nad ranem rezydencję Amber w ubraniu, które miał na sobie poprzedniego wieczoru w barze Teddy'ego. Później tego dnia wystosowali oświadczenie, w którym przyznawali, że są razem, byliby jednak wdzięczni, gdyby prasa zostawiła ich w spokoju, ł nagle nie mogli opędzić się od fotografów.

Wokół Johnny'ego zaczęło sporo się dziać. Był znów w centrum uwagi mediów. A prowadzenie się z Amber trudno uznać za przykry obowiązek. Dziewczyna była piękna i zabawna. Wytwórnice płytowe znowu się nim interesowały, wysuwając z wahaniem czułki. Uznał, że podpisanie dużego kontraktu to już tylko kwestia czasu. A wtedy będzie mógł robić, co zechce — i z kim zechce. Potrzebował tylko utrzymać przez jakiś czas stado wilków z dala od swego progę. To zaś oznaczało, że trzeba znaleźć sposób obniżenia kosztów, i to na tyle zręczny, by nikt nie domyślił się, co właściwie robi.

Kiedy Amber wróciła po kilku godzinach do domu, nadal wylegiwał się nad basenem. Zrzuciła ubranie i dołączyła do niego naga, jeśli nie liczyć wąziutkich różowych stringów. Zaczęła opowiadać, jak

minął dzień — Kich znowu się do niej o coś przyczepił. Jeśli chodziło o Johnny'ego, im szybciej ten nieudacznik zniknie z widoku, tym lepiej. Wyłączył się i przestał słuchać. Po jakimś czasie Amber zamilkła.

— A co u ciebie? — spytała. Przewróciła się na plecy i zakryła dłonią oczy. — Co porabiałeś?

Uniósł się na łokciu, spojrzał na jej sterczące zuchwale piersi i długie, kształtne nogi. Da się z tym żyć, pomyślał, a potem położył dłoń na płaskim brzuchu dziewczyny.

— Cóż, dziecino, trochę rozmyślałem, gdy cię nie było.

— Hmm? — Był to bardziej pomruk niż pytanie. Uśmiechnął się, gdyż wiedział, jak będzie brzmiała odpowiedź Amber, chociaż nie zadał jeszcze pytania.

— Może bym tak się do ciebie wprowadził?

Rozdział czterdziesty trzeci

Caitlin postanowiła pójść w kwestii projektów za radą Luciena, „Wyluzuj” — powiedział tamtego wieczoru w Hoxton. — „Przestań się zamartwiać. Natchnienie wróci, kiedy najmniej będziesz się tego spodziewała”. Nie uśmiechało jej się brać sobie wolne akurat teraz, kiedy tak bardzo zalegała z robotą, ale skoro nic innego nie skutkowało, co szkodzi spróbować?

Zatem w następny weekend zamiast pojechać, jak planowała, do Aldringham, spędziła sobotę i niedzielę, spacerując ulicami Londynu i starając się patrzeć na miasto oczami turysty. Wędrowała od National Galery po Tower, próbując wczuć się w atmosferę stolicy.

W poniedziałek rano zadzwoniła do Ellie.

— Nie będzie mnie dziś w firmie — powiedziała.

— Tak? — odparła Ellie ewidentnie zmartwiona. — Ale nic złego się nie stało?

Tymczasem Caitlin uznała, że dzień spędzony z dala od oskarżycielskich spojrzeń personelu może pomóc jej się odblokować. Ubrała się ciepło i ruszyła ze szkicownikiem do Hyde Parku. I właśnie tam, na ławce przy Serpentine, udało jej się to, czego nie zaznała od tak dawna — zatopiła się w szkicowaniu. Przedtem usiłowała myśleć o nowych spódnicach i sukienkach. Teraz chwytiała wrażenia, uczucia, nastrój, nie skupiając się na ubraniu, nie zamartwiając, czy to co stworzy, będzie pasowało do kolekcji. Szkicowała dla czystej przyjemności tworzenia.

Dopiero wieczorem na Halon Square uświadomiła sobie, jak dobre są to szkice. Było w nich coś... innego, coś, czego nie widziała od dawna. Oddawały ducha Londynu - ale Londynu z lat minionych miasta balów maskowych, śmiałych rozbójników napadających na wyelegantowanych dżentelmenów i ich biuściaste małżonki, zatłoczonych ulic pełnych krzykliwie ubranych ladacznic — jednym słowem, Londynu Neli Gwyn i przesiąkniętego rozpustą dworu Karola II. Nie były to szkice ubrań — lecz całe obrazy, scenki z życia. Ubrania pozostawały co prawda w tle, były jednak widoczne. Odgrywały ważną rolę, niczym w wielkim kostiumowym dramacie.

Patrzyła na nie podekscytowana, czując, jak ogarnia ją twórczy zapach. *Nareszcie.*

Następnego dnia zwołała zebranie personelu. Przysiadła na skraju roboczego stołu, czekając, aż wszyscy przyciągną sobie krzesła. Spojrzała na ich znużone, pozbawione złudzeń twarze.

— Zdaję sobie sprawę, że ostatnie miesiące nie były łatwe — powiedziała.

Kilka osób wymieniło znaczące spojrzenia. Plotki o redukcjach krążyły teraz ze zdwojoną siłą. Sądziła widać, że zwołała ich, by porozmawiać właśnie o tym.

Zeskoczyła ze stołu i stanęła przed podwładnymi, wsparłszy dłonie na biodrach.

— Cóż, z tym już koniec — powiedziała stanowczo. — Jeśli Melville ma odnieść sukces, musimy sprawić, aby zaczęto kojarzyć znów markę ze stylem życia. A oto jak się do tego zabierzemy.

Teraz słuchali jej uważnie. Prostowali się na krzesłach, wypluwali gumę i sięgali po długopisy, by zanotować, co powie. W czasach swej świetności klientami Melville'a bywały głównie gwiazdy kina oraz bogacze podróżujący z jednej strony Atlantyku na drugą. Należało zwabić ich z powrotem. Zamierzała wymieszać przeszłość i teraźniejszość, by stworzyć zmysłowy, dekadenski *look* — kosztowny i wyrafinowanie ozdobny. Podsumowała swój wywód jednym zdaniem.

— Kiedy modelki ruszą na wybieg, mają wyglądać tak, jakby kurtyzana z okresu restauracji spotkała się ze współczesną celebrytką.

Kiedy zamilkła, ludzie zaczęli nagle mówić, jakby odzyskali niespodziewanie głos.

To była najłatwiejsza część zadania. Teraz, kiedy miała już pomysł, należało rozwinąć go tak, aby powstała obszerna kolekcja: od ubrań po buty, torebki i inne akcesoria. Nigdy przedtem nie czuła się aż tak wyczerpana i podekscytowana zarazem. Musiała zrobić wszystko sama, mając do pomocy nieliczny personel. Pod pewnymi względami tak było nawet lepiej. Dawało jej to bowiem całkowitą artystyczną kontrolę.

Wróciła do pierwszych rysunków. Wybrała te przesycone uwodzicielskim klimatem, resztę odrzuciła. Skupiła się na pomysłe zaprezentowania wampa z wyższych sfer, czarnego charakteru z historycznych powieści oraz dramatów kostiumowych. Potraktuje go jako inspirację i przetworzy tak, aby powstała garderoba odpowiednia dla zmysłowej współczesnej kobiety.

Szukała natchnienia, oglądając wciąż od nowa stare filmy i starając się uchwycić nastrój, jaki chciała wytworzyć podczas pokazu. Spodobały jej się zwłaszcza filmowe adaptacje *Frenchman's Creek* Daphne du Maurier, *Forever Amber* Kathleen Windsor oraz *The Wicked Lady*. Wystawne kostiumy noszone przez bohaterki stanowiły niekończące się źródło inspiracji. Zakochała się w pelerynie ze szmaragdowego aksamitu i przetworzyła ją w długi do pól uda, zamaszysty płaszcz, obsyty sztucznym sobolowym futrem. Suknia ze złotogłowi zainspirowała ją do stworzenia ślicznej koktajlowej sukienki posiadającej identyczny jak oryginał, głęboko wycięty szeroki dekolci, ale spódnice

— nadal obfita — sięgającą zaledwie do kolan. Sterczała na boki niczym spódniczka tancerki.

— Chcę stworzyć gorsety — oznajmiła pewnego dnia personelowi. Był piątkowy wieczór, lecz oni przywykli już do przyływów natchnienia Caitlin. — Prawdziwe gorsety, wiązane i usztywnione tak, by nadawały sylwetce kształt klepsydry.

Poleciła im, by obejrżeli podczas weekendu film *The Wicked Lady*

— opowieść o lady Barbarze Skelton, która porzuca nudne życie damy z wyższych sfer i zostaje rozbójniczką.

A kiedy zjawili się w poniedziałek rano w pracy i zobaczyli szkice sukienki ze skóry w kolorze burgunda, z odkrytymi ramionami, ołówkową spódnicą i wiązaniem na tasiemki gorsetem, wiedzieli dokładnie, skąd wziął się ten pomysł.

Gdy podczas następnego spotkania zarządu podała jednemu z członków szkice swoich projektów, by puścił je w obieg, w sali zapanowała kłopotliwa cisza. Widać nie spodziewano się po niej zbyt wiele. Caitlin nie powiedziała im o nowych projektach. Uznała, że najlepiej będzie, jeśli prace przemówią same.

Przyglądała się dyrektorom uważnie, oceniając ich reakcje. Początkowa obojętność zmieniała się w zainteresowanie, a wreszcie podniecenie. Podawali sobie szkice, pomrukując z cicha.

Elizabeth przemówiła pierwsza. Zmartwiona tym, że Caitlin może nie podołać zadaniu stworzenia kolekcji na skalę potrzebną firmie, zaczęła rozpytywać po cichu, czy nie znajdzie się ktoś o przyzwoitych umiejętnościach, kto mógłby zastąpić siostrę na stanowisku głównego projektanta. Dzięki Bogu nie ma potrzeby dalej szukać, pomyślała, zerknąwszy na szkice.

— Są naprawdę dobre — powiedziała z wolna. Przerzucała rysunki, przyglądając się im z rosnącym zainteresowaniem. Prezentowały kierunek, w jakim zdaniem Elizabeth winna podążać firma, tworząc linię ubrań z górnej półki, zaprojektowanych bez oglądania się na koszty, dramatycznych w wyrazie i olśniewających. Oznaczało to całkowite zerwanie z nudnym stylem reprezentowanym dotąd przez Melville'a. Kiedy podniosła w końcu wzrok, spojrzała na siostrę z nieskrywanym podziwem. — Chciałam powiedzieć, że są zadziwiające. Absolutnie doskonałe.

Caitlin poczuła przyływ dumy zmieszanej z ulgą.

— Oczywiście to na razie tylko szkice — powiedziała pośpiesznie. — Bez faktury i barwy materiału trudno sprawić, aby ubrania ożyły...

Ależ skąd znowu, jeśli zapewniać ją pośpiesznie, widzą przecież doskonale, jak będzie wyglądać kolekcja. Nie są co prawda ekspertami w dziedzinie mody, lecz nawet ich niewyćwiczone oczy potrafią dostrzec, że powstaje oto coś niezwykłego. Odwieczne beże i brązy

zostały zastąpione przez krwistą czerwień i hebanową czerń; tweed i len przez aksamit i koronkę; dopasowane kostiumy i rozsądne dzianiny ustępowały miejsca spodniom o obniżonej talii i strojnym sukniom.

Entuzjazmowali się tak jeszcze przez pół godziny, nim zebranie dobiegło wreszcie końca. Elizabeth, jak zwykle zaganiana, znalazła jednak czas, żeby pogratulować Caitlin. — Wykonujesz wspaniałą robotę — powiedziała, ściskając ramię siostry. — Cokolwiek cię zainspirowało, lepiej się tego trzymaj.

Dokładnie to samo powiedziała kiedyś *madame*, patrząc na prace Caitlin, przeznaczone na końcowy pokaz. Wtedy, podobnie jak teraz, zawdzięczała inspirację Lucienowi. To on wskazał jej właściwą drogę. Pozbierała szkice i zeszła na dół, do pracowni. Ledwie znalazła się za drzwiami, otoczyli ją współpracownicy. Nie było jej zaledwie przez dwie godziny, a oni mieli już mnóstwo pytań.

— W porządku, chłopcy — powiedziała, unosząc w górę dłonie. — Po kolei.

W duchu cieszył ją jednak ich entuzjazm. Stanowił bowiem zapowiedź sukcesu.

Zyskanie aprobaty zarządu stanowiło zaledwie punkt wyjścia. Teraz trzeba było uszyć próbne sztuki odzieży, wybrać modelki, sprowadzić je na przymiarki i znaleźć lokal, gdzie mógłby odbyć się pokaz. Caitlin zdecydowała, że sala w firmie zupełnie się do tego nie nadaje. Należało radykalnie zerwać z przeszłością.

Pracowała ciężko, lecz czuła się szczęśliwa. Wiedziała bowiem, że znalazła wreszcie sposób, aby przywrócić firmie blask.

Choć życie zawodowe układało jej się doskonale, to w osobistym panował jak zwykle chaos. Od czasu tamtego wieczoru w galerii widywała się z Lucieniem dość często. Spotykali się co najmniej dwa razy w tygodniu, a potem szli do jednego z licznych przy Curtain Road oraz Old Street pubów czy klubów. Nie zostawali jednak nigdy tylko we dwoje, unikając jak ognia tematów osobistych.

Dzisiaj zdołała go wreszcie namówić, by wybrał się z nią — i tylko z nią — na kolację. Mieli spotkać się w CRU, w pobliżu galerii, i zjeść zwyczajną, późną kolację w barze, gdzie podawano głównie przeką-

ski. — Nie będę mógł zostać długo — zastrzegął się przez telefon, kiedy się umawiali. Lecz fakt, że mieli spędzić trochę czasu tylko we dwoje, stanowił już jakiś postęp.

Caitlin miała na sobie zwykły roboczy strój — dżinsy, podkoszulek i stare trampki. Przyniosła co prawda zmianę ubrania i kosmetyki do makijażu, lecz jakoś odechciało jej się przebierać. Lucien i tak nie zauważał ostatnio, w co jest ubrana. Związała więc włosy w luźny kucyk, zostawiając przy twarzy kilka kosmyków, by nie wyglądać zbyt surowo. Przechodząc, zatrzymała się przed lustrem, gdyż coś zwróciło jej uwagę. Zastanawiała się przez chwilę, co by to mogło być takiego, a potem ją olśniło. W tym stroju, ze związanymi włosami, wyglądała młodziej — prawie tak, jak przed laty w Belleville. Cóż, może cofnięcie wskazówek w czymś pomoże. Bo z pewnością nie mogło zaszkodzić.

W trzy godziny później musiała uznać, że wieczór nie układa się tak, jak zaplanowała. Lucien próbował odwołać w ostatniej chwili spotkanie, tłumacząc, że zapomniał, iż umówił się wcześniej z przyjaciółmi w Cargo.

— Mogłabym też przyjść? — spytała, nie chcąc rezygnować ze spędzenia wieczoru poza domem, do tego w towarzystwie Lucie-na.

— Jeśli masz ochotę — odpowiedział dyplomatycznie.

Nie była to entuzjastyczna reakcja, mimo to Caitlin się umówiła.

Cargo był jednym z najmodniejszych klubów we wschodnim Londynie. Usytuowany pod wiaduktem, zatrudniał najlepszych w Europie didżejów. Caitlin nie miała dotąd okazji go odwiedzić i nie była wcale pewna, czy jej się tam podoba. Przedtem umawiała się z Lucieniem w pobliskim 333, który uwielbiała, panowała w nim bowiem spokojna, intymna atmosfera. Cargo wydawało się o wiele bardziej szpanerskie.

Nastroju nie poprawiał jej też fakt, że jednym z „przyjaciół”, z którymi obiecał spotkać się Lucien, była Zara, zarozumiała pracownica galerii. Nim Caitlin dotarła na miejsce, zdążyła już wcisnąć się do łoży obok Luciena.

Wspaniale cię widzieć, Caitlin — zaintonowała donośnie, kładąc gestem posiadaczki dłoń na kolanie Luciena. — Przyłączysz się do nas? Cudownie!

Zara była z grupą przyjaciółek wywodzących się z zamożnych dzielnic, ubranych w suknie z głębokimi dekolcami i ściskających wytworne wieczorowe torebki. Caitlin rozejrzała się i stwierdziła, że nie jest odpowiednio ubrana. Nawet dziewczęta w dzinsach starały się podkreślić wieczorowy charakter stroju, zakładając bluzeczki na ramiączkach i buty ze spiczastymi noskami.

Wieczór nie był od początku udany, a wkrótce sytuacja jeszcze się pogorszyła. Zara nie odstępowała Luciena na krok. Wyciągała go na parkiet lub po to, aby przedstawić znajomym — „Oni umierają wręcz z chęci, aby cię poznać, Lucien!” Co gorsza, Lucienowi najwidoczniej to nie przeszkadzało.

Klientelę stanowili tu głównie mężczyźni, i to nader pewni siebie. A pozbawiona męskiego towarzystwa Caitlin stanowiła łatwy cel.

— Mogę postawić ci drinka? — usłyszała w pewnej chwili.

Podniosła wzrok i zobaczyła wysokiego, starannie ogolonego faceta trzymającego butelkę szampana Moet. Miał około trzydziestki, a na sobie dzinsy i modną koszulę, wsuniętą za pasek. Konsultant w dziedzinie zarządzania albo bankowiec, pomyślała.

— Nie, dziękuję — odparła grzecznie.

Trącił ją w ramię. — Daj spokój, tylko jeden drink. — Obdarzył Caitlin tym, co uważał zapewne za zwycięski uśmiech. — Zapewniam cię, że nie gryzę.

Wrócił barman, przynosząc Caitlin zamówioną wodę mineralną. Zapłaciła pośpiesznie. — Jeszcze raz dziękuję. — Uniosła wyżej butelkę, pokazując ją natrętowi. — Mam już to, co chciałam.

Przestał się uśmiechać. — Zarozumiała dziwka — wymamrotał, odwracając się.

Czarujące. Teraz była już na siebie wściekła. Po co w ogóle tu przychodziła?

Wróciła do stolika. Lucien znów zniknął, podobnie Zara. Caitlin nie wiedziała, dlaczego czuje się aż tak rozczarowana. Od tygodni próbował dać jej do zrozumienia, że nie jest nią zainteresowany. Po

prostu nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Pora z tym skończyć. Jeśli Lucien chce, aby zniknęła z jego życia, niech i tak będzie.

Chwyliła żakiet, wysliznęła się przez boczne drzwi klubu... i zatrzymała raptownie. *I to by było tyle, jeśli chodzi o dyskretne ulotnienie się...* Lucien stał oparty o mur, paląc papierosa. Zary nigdzie nie było widać.

Spojrzał na okrycie w jej dłoniach.

— Znowu uciekasz, Caitlin? — zapytał z cichą kpina w głosie.

— Nie zajęło ci to wiele czasu.

Caitlin się najeżyła. W końcu to on ignorował ją przez cały wieczór. — Cóż, nie mam po co dłużej tu zostawać. Jesteś z Zarą, a...

— A co? — przerwał jej. — Rozmawialiśmy. To wszystko. A nawet gdyby było w tym coś więcej, to nie twój interes, czyż nie? Zrezygnowałaś z prawa, by mieć w tej kwestii cokolwiek do powiedzenia, dawno temu.

Postąpił krok w jej stronę, stając w świetle latarni i zobaczyła w jego oczach coś, czego nie spodziewała się tam ujrzeć — gniew. Po raz pierwszy dopuścił, by maska obojętności i chłodu opadła.

— To ty ode mnie odeszłaś, Caitlin — syknął. — Zrezygnowałaś z nas. Dwukrotnie. Bez powodu.

— To nie było bez powodu...

— Zatem mi powiedz — wycedził przez zaciśnięte zęby. — Powiedz, dlaczego odeszłaś?

Zapadła przedłużająca się cisza. W końcu Caitlin spuściła wzrok.

— Nie mogę...

Wyglądało to tak, jakby gniew opuścił go w jednej chwili. Potrząsnął głową, a potem powiedział, jak się jej zdawało, niemal ze smutkiem: — Tak myślałem.

Zgasił papieros o mur i odszedł. Nieodwołalność tego gestu przeraziła Caitlin. Nie może znowu go stracić.

Otworzyła usta, żeby zawołać, ale nie była w stanie tego zrobić.

Powrót do domu nie zajął Lucienowi dużo czasu. Jego mieszkanie znajdowało się bowiem o pięć minut spacerkiem od klubu. Minął bez słowa nocnego portiera, wsiadł do windy i wcisnął mocno guzik najwyższego piętra.

Zazwyczaj mieszkanie było dla niego niczym swego rodzaju sanktuarium. Lokal, przerobiony z dawnego składu, stanowiło jednoprzestrzenne wnętrze z sięgającymi od sufitu do podłogi oknami, ceglanymi ścianami i drewnianymi belkami. Ciemne drewno kontrastowało mocno z białymi tkaninami. Idealne lokum dla kawalera — miejsce do pracy i spania. Lecz po raz pierwszy wchodząc do mieszkania, nie poczuł się zrelaksowany.

Podszedł do barku, wyjął butelkę whisky i nalał sobie solidną porcję. Upił łyk, obracając szklaneczkę w dłoniach. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że cały drży z powstrzymywanej furii. Nigdy przedtem coś takiego mu się nie przydarzyło, nie wiedział nawet, że zdolny jest odczuwać podobny gniew. Wściekało go, że Caitlin nadal jest w stanie mu to robić. Zamachnął się i walnął szklanką o ścianę. Rozbiła się na ceglanym murze.

— *Putain* — zaklął.

Caitlin, Caitlin, Caitlin. Przycisnął dłonie do skroni, żałując, że nie potrafi przestać o niej myśleć. Dlaczego zjawiała się jego życiu akurat teraz, gdy sądził już, że ma to za sobą?

Wyjął kolejną szklanekę, nalał sobie więcej whisky i opadł na fotel. Czuł się jak idiota. Z jakiegoś powodu łudził się, że tym razem będzie inaczej, że Caitlin w końcu się przed nim otworzy. Jak mógł się aż tak pomylić? Nadal była tak samo, chorobliwie wręcz skryta. Zacisnął dłoń w pięść i uderzył nią o poręcz fotela. Boże, nie potrzebował czegoś takiego.

Po pięciu minutach, kiedy zdążył wypić jeszcze jednego drinka, rozległ się dzwonek interkomu. Wiedział, że to ona. W pierwszej chwili nawet się nie poruszył. Siedział po prostu w fotelu, zmuszając ją, by czekała. Niech się przekona, jakie to frustrujące, rozmawiać z kimś, kto nie odpowiada.

W końcu, po trzech kolejnych rozpaczliwych dzwonekach, nie wytrzymał i wstał.

To była ona.

— Proszę, Lucien — powiedziała błagalnie. — Pozwól mi wejść. Wpuść ją, choć wiedział, że robi źle.

Czekając, aż dotrze do drzwi, przemierzał niespokojnie pomieszczenie, próbując nie myśleć i skupiając uwagę na zgrzytaniu mechani-

zmu starej windy towarowej, która zjechała wpierw na parter, a potem ruszyła powoli w górę.

Kiedy dotarła na jego piętro, odsunął ciężka kratę i zobaczył Caitlin. Stała czekając, by ją zaprosił. Spostrzegł, że płakała i zmusił się, by zignorować rodzące się współczucie.

— Jak tu trafiłaś? — zapytał ostro.

— Dałeś mi kiedyś ten adres... — odparła zakłopotana. Potrząsnął zniecierpliwiony głową. — Nie o to chodzi. Powiedz mi, po co przyszłaś.

Zaczerpnęła powietrza raz, potem drugi i wypowiedziała słowa, na które czekał od tak dawna.

— Przyszłam, by wszystko ci opowiedzieć.

Rozdział czterdziesty czwarty

William wszedł powoli do sali posiedzeń. Przybył ostatni. Był to jego pierwszy dzień pracy po sześciomiesięcznej rekonwalescencji. Członkowie zarządu powitali prezesa oklaskami, a potem wstali, witając go uściskiem dłoni, kiedy przechodził.

— Dobrze widzieć cię znowu.

Uśmiechał się lekko, kwitując machnięciem dłoni entuzjastyczne powitania. Prawda wyglądała tak, że czuł się *zmęczony* i zdezorientowany. Lekarz odradzał mu powrót do pracy. Isabelle błagała, by został w domu. Lecz musiał wrócić. Raporty Piersa dotyczące się kroków, jakie przedsięwzięła Elizabeth, mocno go niepokoiły.

Rezygnacja z linii tanich produktów... „Zdecydowano jednogłośnie”, powiedział Pierś. Nietrudno było dopatrzeć się w poczynaniach córki krytyki pod jego adresem. Lecz teraz wrócił i nigdzie się nie wybiera. Elizabeth będzie musiała się z tym pogodzić. Mogę polegać przynajmniej na Caitlin, pomyślał i od razu poczuł się lepiej. Odwiedzała go podczas choroby, pokazując szkice, nad którymi pracowała. Musiał przyznać, że wywarły na nim wrażenie. Był to odważny krok jak na Melville'a, wierzył jednak, że się opłaci.

Wkrótce się przekonamy, pomyślał. Pokaz miał odbyć się już za miesiąc. Wtedy cały świat przekona się, czy zatrudnienie Caitlin było słusznym posunięciem. Jednak cokolwiek się stanie, niczego nie żałował — zawsze będzie wspominał ze wzruszeniem kilka minionych miesięcy, kiedy to miał wreszcie okazję, by lepiej ją poznać.

Chrząknął, odczekał, aż wszyscy zwrócą na niego uwagę i powiedział: — Cóż, myślę, że pozostałem daleko z tyłu i powinienem o wielu sprawach się dowiedzieć. Od czego zaczniemy?

Elizabeth, siedząca po przeciwnej stronie stołu, pomyślała, że ojciec wygląda znakomicie: stracił sporo na wadze i miał w oku zdrowy błysk osoby, która przestrzega ściśle diety. Cieszyło ją, że wyzdrowiał, choć wolałaby, aby nie wracał jeszcze do pracy. Nie w tak kluczowym momencie.

Zmiana wymaga czasu. Właśnie się o tym przekonała. Zyskanie aprobaty zarządu dla własnych pomysłów stanowiło zaledwie pierwszą bitwę w długiej batalii o to, by zmienić wizerunek firmy.

Przez kilka ostatnich miesięcy pracowała ciężko, by zmniejszyć asortyment, ograniczając liczbę oferowanych towarów z dwudziestu do pięciu tysięcy, modeli torebek z dwustu do zaledwie pięćdziesięciu

i liczbę sklepów oferujących towary opatrzone logo Melville'a z pięćset do dziewięćdziesięciu.

— Wydaje się to dosyć drastycznym posunięciem — zauważył Hugh, a pozostali skinęli na znak zgody głowami.

— Nie mamy czasu, by postępować krok po kroku — odparła Elizabeth. — Potrzebujemy wyników, i to szybko.

Nie da się sprawić, by firma odzyskała blask stopniowo. To po prostu kwestia popytu i podaży. Przez lata Melville było luksusową marką działającą według schematu: zgromadź dużo, sprzedaj tanio. Pora to zmienić.

Odmówiła odnowienia kontraktów licencyjnych i rozesłała do ponad tysiąca klientów detalicznych w Wielkiej Brytanii oraz Stanach pisma informujące, że kiedy wyprzedadzą posiadane towary, ich zapas nie zostanie odnowiony. Dyrektor do spraw sprzedaży Pharm-Martu poskarżył się pierwszy. — To niesłychane! Robiliśmy interesy od lat!

Lecz Elizabeth była nieugięta. Tak musi być — wszystko albo nic. Jeszcze rok i produkty Melville'a przestaną być dostępne w drogeriach i supermarketach — wszędzie poza firmowymi salonami oraz kilkoma luksusowymi sklepami, takimi jak Sachs czy Harvey Nichols.

Niestety, zamknięcie linii tanich produktów spowodowało dalszy spadek przychodów, nierekompensowany dochodami ze sprzedaży

towarów luksusowych. Z każdym miesiącem sprzedaż spadała. Teraz, gdy Piers przedstawiał sporządzone na polecenie ojca zestawienie finansowe, czuła, że członkowie zarządu spoglądają na nią oskarżycielsko. Nie spuściła jednak wzroku.

— To długoterminowa strategia — powiedziała. — Nie można spodziewać się, że przyniesie natychmiastowy efekt. Musimy wpierv sprawić, by klienci zaczęli postrzegać markę inaczej.

Wobec powszechnej niechęci coraz trudniej jej było wytrwać przy swoim, nie poddała się jednak. Nie zdradzała się z wątpliwościami, zdając sobie sprawę, że jeśli okaże choć cień słabości, sepy rozszarpią ją na sztuki.

— Cóż, postanowiliście podjąć te kroki bez mojej zgody — powiedział William, nie kryjąc dezaprobaty. Większość dyrektorów spuściła wzrok i utkwiała spojrzenie w kartkach z rozpisany porządkiem zebrania. William zwrócił się więc do córki: — Mam tylko nadzieję, że wiesz, co robisz, Elizabeth — powiedział tonem nie pozostawiającym wątpliwości co do tego, iż obwinia za bieżące niepowodzenia właśnie ją.

Do pewnego stopnia Elizabeth nawet go rozumiała. Zachowała jednak niewzruszoną minę.

— Nie martw się — powiedziała z pewnością siebie, której akurat nie czuła. — Wiem.

— Dobrze — stwierdził krótko. — Nie będziesz więc miała nic przeciwko temu, aby sporządzić prognozę przewidującą, jak dalece spadnie jeszcze sprzedaż i kiedy zaczniesz wreszcie rosnać.

Skinęła głową. — Nie powinno to stanowić problemu.

— Doskonale. Spodziewam się zobaczyć ją na moim biurku jutro rano.

Otworzyła usta, aby zaprotestować. Obiecała mężowi, że wróci do domu najdalej przed siódmą, tymczasem sporządzenie prognozy zajmie prawdopodobnie całą noc. Lecz potem ujrzała w oczach Williama wyzwanie. Czuła, że pozostali czekają, co odpowie. Jeśli odmówi, straci twarz, a na to nie mogła sobie pozwolić. — Oczywiście — wymamrotała.

Cole zrozumie. W końcu chodziło tylko o jedną noc.

Dziesięć minut drogi od biura żony, w sercu Soho, Cole uczestniczył właśnie w spotkaniu dotyczącym jego firmy. Spotkaniu, które mogło wiele zmienić.

Rzucił kontrakt na biurko. Lekceważący gest miał pokazać mężczyźnie siedzącemu po drugiej stronie, co Cole sądzi o przedstawionej przez niego ofercie: dwadzieścia milionów funtów za czterdzieści procent udziałów. Cole nie zamierzał jej przyjąć.

Ed Linton zmarszczył brwi, urażony natychmiastowym odrzuceniem propozycji. — Hej, to dobra oferta, Cole.

Cole odchylił się na skórzanym krześle. Zaskrzypiało pod ciężarem jego ciała. — Taaa, na pewno. Ale i tak zamierzam odmówić, Ed.

Ed otworzył usta, gotów wysunąć kolejne argumenty, ale przemyślał to i zmilczał. Pracował z Cole'em wystarczająco długo, by wiedzieć, że jeśli ten raz coś postanowi, nie zmieni zdania.

Poznali się podczas praktyki u Sedgwicka Harta. Ed, ambitny i zdolny, był tam, podobnie jak Cole, wysoko ceniony. Kilka lat później odszedł, aby założyć wraz z kilkoma innymi firmę inwestującą kapitał w spółki nienotowane na giełdzie. Od jakiegoś czasu przyglądał się poczynaniom Cole'a w Kobe i wreszcie przedstawił dawnemu koledze kuszącą ofertę. Lecz Cole nie zamierzał tracić nad firmą kontroli — podobało mu się, że nie musi przed nikim się tłumaczyć.

— Cóż, powiedziałbym, że postępujesz niemądrze — stwierdził Ed — mam jednak wrażenie, że wiesz, co robisz.

Cole uśmiechnął się szeroko. — Zawsze miałem i zawsze będę miał.

Zapukano lekko, z wahaniem, do drzwi i do pokoju weszła sekretarka Cole'a, Mariko. Przed paroma miesiącami, po tym jak firma zaczęła gwałtownie się rozrastać, wynajął kilka pomieszczeń na najwyższym piętrze walącej się kamienicy w sercu Soho i urządził tam skromne biuro. A jednym z pierwszych jego posunięć było zatrudnienie Mariko. Choć miała zaledwie dziewiętnaście lat, posiadała wymagane kwalifikacje — była też rodowitą Japonką i mówiła biegle po angielsku.

Podeszła do biurka i podała mu dokumenty. Czekwała spokojnie, ze spuszczonej skromnie oczami, aż je podpisze.

Chciałby pan, żebym została dziś dłużej? — spytała cicho, gdy skończył.

— Nie, dzięki, Mariko. Miłego wieczoru. Ed odprowadził dziewczynę spojrzeniem.

— Ładniutka — powiedział, gdy wyszła.

— Kompetentna — odparował Cole. Ed uniósł brwi. — Założę się, że tak.

— A cóż to miało znaczyć?

— Daj spokój, dziewczyna wygląda jak Azjatka z erotycznego pi-semka.

Cole skrzywił się zdegustowany. — Jezu, ona ma dopiero dziewiętnaście lat.

— Aż tyle? — skomentował Ed rozbawiony reakcją Cole'a.

— Hej, chłopie, powinieneś znaleźć sobie dziewczynę.

Ed roześmiał się beztrzesko. — Uwierz, to ostatnie, czego mi trzeba. — Upił łyk wody. — To co, jesteś zajęty w przyszły czwartek?

— Dosyc. — W czwartek przypadała piąta rocznica otwarcia placówki w Kobe. Cole planował wielką uroczystość. — Nadal zamierzasz przyjść, czy jesteś zbyt wściekły o to, że odrzuciłem dziś twoją propozycję?

Ed uśmiechnął się łobuzersko. — To zależy. Mariko też będzie?

Cole natychmiast spoważniał, — Daj spokój, Ed — powiedział z nutką nie budzącego wątpliwości ostrzeżenia w głosie. — To jeszcze dzieciak.

— Taaa, masz pewnie rację. — Zerknął spod oka na Cole'a. — Poza tym ona nie jest zainteresowana mną.

Cole nie zadał sobie trudu, aby zapytać, co kolega miał na myśli. Zdawał sobie sprawę, że podoba się Mariko, i z całych sił starał się to ignorować, uważając za niegroźne zadurzenie — bardziej kult bohatera niż prawdziwe uczucie. Póki nie przeszkadzało im w pracy, zamierzał pozostać na nie obojętnym, przekonany, że prędzej czy później dziewczyna straci zainteresowanie.

Ed odczekał chwilę, nim zadał logicznie się nasuwające pytanie. — A co tam u Elizabeth? Krążą pogłoski, że u Melville'a wrze.

Znasz Elisabeth - odparł Cole spokojnie. Doskonale sobie radzi.

Odpowiedź, choć niejasna, mówiła jednak wiele.

Gdy wrócił wieczorem do domu, eleganckie mieszkanie w Chelsea było znów puste. Elisabeth zostawiła wcześniej wiadomość, że wróci późno. Nic nowego. Zastanawiał się, co zrobić z długim wieczorem. Mógłby wpaść do siłowni. Bywał tam jednak dzień w dzień od dwóch tygodni. Muskły rozpychały rękawy jego białej koszuli i prawdę mówiąc, wydawał się bardziej napakowany niż łykający garściami sterydy trenerzy. Chrzanić to. Wyluzuje się, otworzy parę piw, zamówi pizzę i obejrzy mecz koszykówki na Sky Sports.

Wyjął z lodówki butelkę budweisera i ruszył na górę, aby się przebrać. Sypialnia, podobnie jak reszta domu, wyglądała nieskazitelnie niczym ilustracja z *House and Garden*. Sprzątaczką miała przyjść nazajutrz. Ciekawe po co! Zamknął kopnięciem drzwi szafy, rzucił się na łóżko, ubrany jedynie w bokserki i podkoszulek i włączył telewizor. Elisabeth nie znosiła, kiedy oglądał w łóżku telewizję —jak również, kiedy jadł w nim lub pił.

— To takie pospolite — powiedziała kiedyś.

Nie było jej tu jednak, więc co go to obchodzi. W rzeczy samej miał nawet nadzieję, że zjawi się, gdy będzie wpychał w siebie ostatni kawałek pizzy. Nie miałby nic przeciwko temu, by się pokłócić i upuścić w ten sposób trochę pary.

Prawda wyglądała bowiem tak, że nie był szczęśliwy. I to od czasu, kiedy przenieśli się przed sześcioma miesiącami do Anglii. Elisabeth zawsze była pracoholiczką, ostatnio jednak przybrało to wręcz rozmiary manii. Prawie już razem nie wychodzili, zapomniała o kolacji z okazji rocznicy ich ślubu, a w zeszłym tygodniu zaczęła napomykać coś o tym, by zrezygnowali z tegorocznych wakacji. Prawie jej nie widywał. Ciągle podróżowała. Trzy kontynenty, dziesięć państw w miesiąc. A kiedy napisano o nim w *Sunday Timesie*, musiał prosić ją trzy razy, aby raczyła zerknąć na artykuł. Nie kochali się od sześciu tygodni. Oni, którzy robili to kiedyś co noc! Przeczytał któregoś dnia, że siedemdziesiąt procent małżeństw obywa się bez seksu. Nie życzył sobie stać się częścią tej siedemdziesiątki.

I wtedy zaczął zauważać Mariko. Dokończył piwo i sięgnął po następne.

Zdawał sobie sprawę, że nie był z Edem szczery. I miał po temu dobry powód. Był bardziej świadomy powabu Mariko, niż chciałby przyznać.

Pamiętał, kiedy pierwszy raz ją zobaczył. Przez cały dzień odbywał rozmowy z kandydatkami. Poznał kilka odpowiednich osób, chciał jednak mieć pewność, że chemia będzie działała jak należy. Mariko weszła do gabinetu jako ostatnia. W sztywnym czarnym kostiumie wydawała się ubrana nazbyt poważnie i mocno zdenerwowana. Przycupnęła na skraju krzesła i odpowiadała głosem niewiele donośniejszym od szeptu, gdy wypytywał ją o doświadczenie zawodowe i o to, dlaczego sądzi, że jest odpowiednią osobą na stanowisko jego osobistej sekretarki. Nie znosił na ogół wątlých lilii, zwłaszcza w pracy. To, że polubił Mariko, wielce go zaskoczyło. Zaproponował jej kawę i nim wrócił do pokoju, dziewczyna zdążyła zapanować nieco nad nerwami. Przekonał się, że pod powierzchownością sarenki schwytej w światła samochodowych reflektorów kryje się osóbką bystra i zorganizowana. Od razu ją zatrudnił, czym jeszcze bardziej siebie zaskoczył.

Pracowała lepiej, niż się spodziewał. Była spokojna, kompetentna i chętna zostawać w biurze do późna. Szybko domyślił się, że wpadł jej w oko. Trudno, aby mu to nie pochlebiało. Zbliżał się do czterdziestki, ona zaś miała dziewiętnaście lat i była seksowna w słodki, kobiecy sposób: ciemne jedwabiste włosy do pasa, szeroko rozstawione, spoglądające łagodnie oczy i drobna figura o doskonałych proporcjach. Ponieważ liczyła sobie zaledwie sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, czuł się przy niej jak olbrzym.

Jeśli miał być szczery, podobało mu się też, jak na niego patrzy, chłonie każde jego słowo. Przedtem nie gustował zbytnio w uległych kobietach, lecz ostatnio zaczął dostrzegać uroki związku z dziewczyną, która pozwala ci robić ze sobą, co tylko zechcesz. Czasami gdy siedział przy biurku, zdarzało mu się odpływać myślami — wyobrażał sobie na przykład, że wzywa Mariko, każe jej klęknąć i mu obciągnąć. Zrobiłaby to bez wahania, zarzucając długie jedwabiste włosy na jego mocne nagie uda. Czasami wyobrażał sobie, jakby to było, przelecieć

ją na biurku, przysłuchiwać się, jak pomiaukuje z przyjemności, kiedy w nią wchodzi.

A potem wracał nagle do rzeczywistości i zastanawiał się, skąd u licha biorą się takie myśli. Kochał Elizabeth, czyż nie? Poślubił ją i tylko jej powinien pragnąć.

Jednak ostatnio erotyczne marzenia na temat Mariko budziły w nim coraz mniejsze poczucie winy. W końcu co komu szkodzi, że sobie pomarzy?

Zerknął na zegar przy łóżku. Za dwadzieścia minut dostarczą pizzę. Wyłączył telewizor i odłożył pilota. Kiedy wsuwał dłoń w bokserki, wiedział, że kobieta, o której będzie myślał, pieszcząc się, nie jest, jak jego żona, blondynką. Przeciwnie, była zdecydowanie brunetką — drobniutką, potulną brunetką o jedwabistych włosach. Próbował wmówić sobie, że nie ma to znaczenia.

Rozdział czterdziesty piąty

Wieczór zaczął się od kłótni. Nie było w tym nic niezwykłego. Życie z Johnnym nie okazało się, jak oczekiwała, pasmem przyjemności. Przypominało raczej jazdę kolejką, nieprzewidywalną i czasami przerażającą. Niekiedy traktował Amber jak księżniczkę. Po tym jak uprawiali miłość — lubiała tak to nazywać — opierał się na łokciu, odsuwał jej włosy z twarzy i patrzył na nią, jakby była najcenniejszą rzeczą na świecie. Wtedy była najszczęśliwsza, czuła się tak, jakby nic nie było w stanie jej zranić.

Zdarzały się też jednak ponure dni, kiedy wszystko co robiła, zdawało się go irytować. Żyła wówczas w nieustającej niepewności, strachu przed tym, że zrobi coś, co go zdenerwuje. Godziła się na to, gdyż go kochała. I w głębi duszy przekonana była, że i on ją kocha. Musiało tak być, skoro się do niej wprowadził. Po raz pierwszy ktoś podjął wobec niej tego rodzaju zobowiązanie.

W ten piątek od rana dręczyły ją złe przeczucia. Johnny zakończył rozmowę z Brettern, swoim menedżerem, w ponurym nastroju. Właśnie dowiedział się, że kontrakt z wytwórnią płytową, który uważał za niemal pewny, nie dojdzie jednak do skutku. Na pocieszenie Brett zaproponował mu dwutygodniowe występy w jednym z kasyn w Vegas. Johnny zareagował, wrywając z gniazdka telefon i rzucając nim przez pokój.

— Pieprzony, bezużyteczny dupek! — wrzasnął. Słuchawka wylądowała tuż obok Amber, która siedziała po turecku na białej sofie, przeglądając *Vogue*. Nawet nie mrugnęła, przy-

wykła bowiem do wybuchów Johnny'ego. Rzucił już w nią gorszymi rzeczami.

— Zamierzasz wziąć to zlecenie? — spytała od niechcienia. Od razu uświadomiła sobie, że popełniła błąd.

— Co takiego? — Głos Johnny'ego brzmiał bardziej jak syk. — Pytasz poważnie, czy zamierzam przyjąć tę głównianą propozycję?

Odłożyła magazyn.

— Nie, Johnny, oczywiście, że nie... — odparła pospiesznie, mając nadzieję, że zdoła jakoś go ułagodzić. Nic takiego się jednak nie stało.

— Uważasz, że jestem wart tylko tyle? — Ruszył ku niej i Amber skuliła się na sofie, przywierając plecami do oparcia. Serce zaczęło jej szybciej bić ze strachu. — Zaslługuję jedynie na dziesięciminutowy występ w Ceasar Palace, wciśnięty między popisy taniej striptizerki i osiemdziesięcioletniego magika? Na to twoim zdaniem zasługuję?

Kiedy był o kilka stóp od sofy, gniew nagle go opuścił. Ramiona mu opadły i powiedział ze smutkiem: — Do diabła, może masz rację.

Amber nie znosiła, gdy tak się zachowywał. Było to gorsze niż atak szału. Ten defetyzm i brak nadziei, obwinianie się o to, iż nie potrafi wykorzystać okazji. Było to dla niego tym trudniejsze, że widział, iż Amber radzi sobie doskonale. Niemal ulżyło jej, gdy okazało się, że straciła tydzień wcześniej kontrakt z firmą Get Fit produkującą ubrania sportowe.

Zeskoczyła z kanapy, podbiegła do Johnny'ego i zarzuciła mu ramiona na szyję. Wspięła się na palce i przywarła wargami do jego zaciśniętych ust.

— Przykro mi, kochanie — zaczęła pokrywać drobnymi pocałunkami jego szyję. — Naprawdę.

A kiedy nadal nie reagował, opuściła rękę i przycisnęła ją do jego krocza. — Może mogłabym jakoś cię pocieszyć...

Strząsnął jej dłoń. — Daj spokój. Nie jestem w nastroju, okay?

Podszedł do barku i nalał sobie whisky. Próbowwała udawać, że nie zabolalo jej, iż ją odtrącił. To nic osobistego, wmawiała sobie. Wiedziała, jaki jest, gdy nie docenia się jego muzyki.

— Może byśmy gdzieś wyszli? — postarała się, aby zabrzmiało to radośnie, choć wcale tak się nie czuła. — Otwierają dziś nowy klub, Dynamite. Wszyscy się tam wybierają...

Odwrócił się w końcu i uśmiechnął. Chociaż wiedziała, że to dla niego trudne, poczuła przyływ ulgi. Udało im się uniknąć kolejnej głośnej kłótni.

— Pewnie — powiedział. — Dlaczego nie?

Przyływ dobrego nastroju nie potrwał jednak długo. W drodze do klubu prawie się nie odzywał. A kiedy już się tam znaleźli, odszedł i przyłączył się do grupki znajomych, zostawiając Amber samą. Ilekroć się zbliżała, odwracał się plecami, jakby jej nie widział. Zagryzła wargę. Nie znosiła, gdy tak się zachowywał, nie zauważał jej i nie dotykał.

— Masz ochotę na działkę?

To był Luke, jeden ze znajomych modeli. Amber się zawahała. Próbowwała zwolnić ostatnio tempo — przynajmniej publicznie. Rich ostrzegał ją nieustająco, iż zażywanie narkotyków szkodzi reputacji. Poza tym i tak kręciło jej się w głowie po wszystkich tych drinkach z tequilą. Spojrzała jednak przez pokój i zobaczyła, że Johnny rozmawia z Mercedes Maguire. Poczowała ukłucie zazdrości. Krążyły pogłoski, że to Mercedes podebrała jej kontrakt z Get Fit. Typowa amerykańska blondynka o cudownych cycuszkach, szerokim uśmiechu i rozwichrzonych włosach pojawiła się w Los Angeles przed sześcioma miesiącami i nie schodziła od tej pory z okładek. O ile Amber wiedziała, Mercedes i Johnny się nie znali. Lecz może się myliła. Wyglądali bowiem na mocno zaprzyjaźnionych.

Odwróciła się do Luke'a.

— Taa, dobry pomysł.

Koka spełniła swoje zadanie, sprawiając, że Amber poczuła się znów niezwyciężona i pewna siebie. Ruszyła z nowymi siłami do baru. Po jakimś czasie zjawili się jej starzy znajomi i zaczęła dobrze się bawić, tańcząc z Devonem oraz flirtując z J.B. Niestety, Johnny zdawał się tego nie zauważać. Nadal tkwił w boksie z Mercedes. Kolejny drink z tequilą sprawił, że poczuła się lepiej.

— Hej, zwolnij, Amber.

Zaśmiała się, gdyż rozbawił ją zatroskany wyraz twarzy J.H. Nie, to ty zwolnij. — Uniosła dłoń, aby poklepać go po ramieniu, chybiła jednak i spadła z barowego stołka, lądując na kolanach. Wszyscy się roześmieli. Ktoś pomógł jej się podnieść.

Kibelek. Muszę pójść do kibelka, uświadomiła sobie. Ruszyła niepewnie przez salę. Ludzie ustępowali jej z drogi, odsuwając krzesła. Wszystko zdawało się kołysać. Jakbym była na statku, pomyślała leniwie.

Jakoś udało jej się dotrzeć bez wypadku do toalety. Była tam długa kolejka. Próbowwała policzyć, jak długa, zrezygnowała jednak. Nie była pewna, czy wytrzyma. Mogła skończyć, sikając wprost na podłogę. Zachichotała na samą myśl o tym. Dziewczyna na przedzie odwróciła się i zmarszczyła brwi, jakby chciała zapytać: *Z czego się do cholery śmiejesz?* Amber ją zignorowała. Oczekała, aż zwolni się kabina i wcisnęła się do środka, zanim ktokolwiek zdążył zrobić to przed nią. Od strony kolejki dobiegły ją okrzyki protestu. Dziewczęta nie mogły jednak nic zrobić, skoro się zamknęła.

Uniesienie spódnicy i zdjęcie majtek zajęło jej zaskakująco dużo czasu. Usiadła ciężko na muszli, opierając głowę o chłodne kafelki. Musiała odpłynąć, bo gdy się ocknęła, ktoś pukał do drzwi.

— Wszystko w porządku? — dobiegi ją czyjś głos.

— Taa, pewnie — wymamrotała, wracając z trudem do rzeczywistości.

Przez chwilę zmagala się z majtkami, w końcu pomyślała jednak: — Pieprzyć to, wyjdę bez. Nikt nie zauważy. A w drodze do domu Johnny będzie miał miłą niespodziankę.

Zostawiła majtki obok kosza zwinięte w kulkę i wyszła poszukać Johnny'ego.

Nie zdążyła jednak go znaleźć, gdyż w dwadzieścia minut później jechała już do szpitala, by wypłukano jej żołądek. Niestety, nim ją zabrano, bawiący przypadkiem w klubie reporter zdołał wypstrykać całą rolkę filmu, uwieczniając ją w stanie godnym pożalowania.

Wylądowała na okładce *Celebrity Magazine*. Zdjęcie ukazywało Amber leżącą bez świadomości na kanapie w Dynamite, z dwoma kre-

skami koki na stojącym obok niskim stoliku i — na wypadek gdyby ktoś nie skojarzył — ze smugą białego proszku wokół nosa, która to smuga, mogłaby to przysiąc, została do zdjęcia dodana. Co gorsza, reporter sfotografował ją od dołu i choć w redakcji zaciemniono krytyczne miejsce, było oczywiste, że Amber nie ma na sobie bielizny. Podpis pod zdjęciem głosił: „Czy tak wygląda prawdziwe oblicze Glamour?”.

Magazyn ukazał się w dniu, gdy wypuszczono ją ze szpitala. Czowała się paskudnie i z pewnością mogłaby obejść się bez dodatkowego rozgłosu.

Johnny uznał incydent za zabawny.

— Zostałaś więc przyłapana z cipką na wierzchu — powiedział, odrzucając magazyn. — Kogo to obchodzi?

Włączył telewizor, dając tym samym znak, że rozmowa skończona. Poczowała się lepiej, przynajmniej do chwili kiedy Rich odpowiedział w końcu na jej telefon. Sądząc z tonu jego głosu, wieści nie były dobre. Nie próbował nawet złagodzić ich wymowy.

— Glamour zerwało z tobą kontrakt.

— Nie mogą tego zrobić!

Westchnął ciężko. — Owszem, mogą. Jest tam klauzula mówiąca, że jeśli zrobisz coś, co zaszkodzi dobremu imieniu marki, kontrakt może zostać natychmiast unieważniony. Na twoim miejscu nie traciłbym czasu na sprzeciwy. Rozmawiałem z twoimi prawnikami i powiedzieli, że szanse są marne. Pięćdziesiąt procent czytelniczek pisma to nastolatki. Szczerze mówiąc, będziesz miała szczęście, jeśli magazyn nie pozwie cię, domagając się odszkodowania za straty — zamilkł na chwilę. — Dali jednak do zrozumienia, że tego nie zrobią, jeśli zgodzisz się odejść po cichu.

Po raz pierwszy Amber nie wiedziała, jak się odgryźć. Przełknęła mocno. Nie spodobało jej się, że Rich powiedział „twoi” prawnicy — zamiast, jak dotąd, „nasi”.

— Ale to był tylko głupi wybryk — zaprotestowała załośnie. — Nie zamierzałam dać się sfotografować...

Rich się nie odezwał. Czowała, że tym razem nie ma co liczyć na współczucie. Ostrzegał ją od tygodni, że coś takiego może się wydarzyć. Chrząknęła.

— Doskonale - powiedziała z fałszywą brawurą, Glamour zachowało się okropnie, lecz będą inne kontrakty. Sparkles i Night & Day błagali mnie, bym zgodziła się dla nich pracować. I co z dzinsami Hiltmana? Nadal ich reprezentuję, czyż nic?

— Oni też cię wylali. — Westchnął znów ciężko. Amber miała wrażenie, że Rich dobrze się bawi, jakby to „a nie mówiłem” sprawiało mu przyjemność. — Nie rozumiesz chyba, jak bardzo zawaliłaś. Wisiałem na telefonie przez cały rano. Nikt nie zaoferuje ci kolejnego kontraktu. Nie chcą mieć z tobą nic do czynienia.

Odczekał chwilę, by groza sytuacji w pełni do niej dotarła. A kiedy przemówił, jego głos brzmiał łagodniej.

— Jest tylko jeden sposób, by to naprawić, Amber.

— Jaki?

— Musisz pójść na odwyk. To jedyna droga. I pozbyć się ze swego życia Johnny'ego. — Zamilkł, a potem zadał ostateczny cios. — Jeśli tego nie zrobisz, ja także odejdę.

Odmówiła pójścia do kliniki. A także pozbycia się Johnny'ego. Zanim odłożyła pół godziny później słuchawkę, Rich przestał być jej menedżerem. Zabolało ją to bardziej niż strata kontraktu z Glamour. Rich był z nią od początku. Nie była pewna, czy poradzi sobie bez niego. Może miał rację i to już koniec jej kariery.

Kiedy po kilku minutach zadzwoniła Elizabeth, Amber nadal była przygnębiona. Najwidoczniej wieści o skandalu dotarły już do Wielkiej Brytanii. Zdjęcia Amber zamieściło pismo *Heat* i rodzina wydelegowała starszą siostrę, by coś w tej sprawie zrobiła. Rozmowa nie trwała długo. Podobnie jak Rich, Elizabeth była przekonana, że Amber potrzebuje profesjonalnej pomocy, Amber zaś upierała się, że nic podobnego.

— Na miłość boską, Amber — westchnęła Elizabeth, ewidentnie zirytowana. — Chociaż raz mogłabyś nie być tak samolubna i nieodpowiedzialna i pomyśleć o kimś innym. Wiesz, jak bardzo chory był tatuś. Ostatnie, czego mu trzeba, to zobaczyć coś takiego...

Amber rzuciła słuchawkę, przerywając siostrze w pół słowa. Nie potrzebowała kolejnego kazania. Zresztą dlaczego miałyby słuchać Elizabeth? Siostra, chociaż tak bystra, nadal pracowała dla ojca —

podobnie jak teraz Caitlin. Z nich trzech tylko ona, Amber, poszła własną drogą. Najwidoczniej zazdrościły jej sukcesu. Lecz jakoś nie poprawiło jej to samopoczucia. Najpierw Rich, a teraz Elizabeth. Czy to możliwe, by mieli rację? Czyżby niszczyła sobie życie?

Przygnębiona ruszyła do pokoju rekreacyjnego. Johnny oglądał telewizję na pięćdziesięciocalowym plazmowym odbiorniku, na kupno którego nalegał. Z trudem udało jej się skłonić go, aby przyciszył dźwięk na tyle, by mogła opowiedzieć mu, popłakując, co się wydarzyło. Jak zwykle wcale go to nie poruszyło.

— Nie przejmuj się — powiedział, spoglądając na ekran. — Mam za sobą mnóstwo takich sytuacji. Za kilka dni wszystko wróci do normy.

— Naprawdę? — spytała, pociągając nosem.

— Taaa. Pewnie. Do cholery, to prawdopodobnie najlepsze, co mogło ci się przytrafić. Jest mnóstwo ludzi, którzy chętnie zajmą się twoją karierą. Porozmawiam z Brettem i dowiem się, co może zrobić.

Amber już miała powiedzieć, że Brett nie sprawdził się za bardzo, skoro nie udało mu się znaleźć pracy dla Johnny'ego, zamilczała jednak. Johnny potrafił być drażliwy, kiedy wspomniała o tym, że nie podpisał jeszcze kontraktu z wytwórnią. Nie, żeby miało to znaczenie. Wyjaśnił jej to już wcześniej. Takie sprawy wymagały czasu. Musiał odczekać, aż zamieszanie wokół rozpadu Kalejdoskopu ucichnie, nim zacznie nagrywać solowy album. Tymczasem gromadzi pomysły, mnóstwo pomysłów. Gdy tylko podpisze kontrakt, wróci natychmiast do studia.

Poklepał sofę obok miejsca, gdzie siedział. — Chodź, dziecinko. Mam coś, co cię uspokoi.

Posłuchała, a potem patrzyła, jak wysypuje na kawałek folii trochę brązowego proszku i sięga po zapalniczkę.

— Gdy to podgrzeję, wdychaj głęboko dym — powiedział.

— Co to takiego? — spytała, spoglądając nieufnie na proszek.

— Heroina — powiedział rzeczowo, jakby nie było to nic nadzwyczajnego.

Odsunęła się raptownie. — Nie ma mowy! Johnny się roześmiał.

— Spokojnie — powiedział zwodniczo łagodnym głosem. To nic takiego. Nie zastryk, tylko dym. Nie można uzależnić się w ten sposób. Po prostu się rozluźnisz, przestaniesz być tak spięta. — Mrugnął do niej. — Uwierz mi, pokochasz to.

Amber się zawahała. Nie miała nic przeciwko temu, by wziąć od czasu do czasu trochę koki czy wypalić skręta. Robiła tak, odkąd trafiła do Stirling Hall. Johnny poprowadził ją dalej. Na początku ich związku pokazał jej, jak to jest, kochać się pod wpływem ecstazy. Amber była zachwycona: narkotyk wzmacniał każde doznanie, sprawiając, że odczuwała względem Johnny'ego czułość oraz empatię, jakiej nie doświadczała, kochając się z jakimkolwiek innym mężczyzną. Znał też inne sztuczki — czasami wcierał kokę w członek. Narkotyk działał jak lek znieczulający i mogli kochać się godzinami.

Amber nie miała z tym problemu. W heroinie było jednak coś specyficznego... skojarzenia, jakie budziła, wszystkie te plakaty z lat osiemdziesiątych, ukazujące degeneratów wstrzykujących sobie narkotyk... Lecz Johnny nie był taki. Ani ona. Skoro mówił, że to w porządku... Cóż, może raz spróbować. Żaden problem.

Podgrzał folię, a ona pochyliła się i wciągnęła głęboko do płuc unoszący się spiralnie dym. Dokładnie tak, jak jej powiedział.

Ogarnęła ją fala mdłości i przez chwilę żałowała, że nie posłuchała głosu rozsądku i nie zrezygnowała. Lecz po sekundzie nie miało to już znaczenia, ponieważ mdłości zmieniły się w coś, czego się nie spodziewała — uczucie intensywnej przyjemności, euforii, cudownej niczym suma wszystkich orgazmów, jakich udało jej się zaznać.

Johnny spojrzał na nią i uśmiechnął się ze zrozumieniem. — A nie mówiłem, że ci się spodoba?

Rozdział czterdziesty szósty

Elizabeth rzadko bywała aż tak zdenerwowana. Jednak tym razem, kiedy przybyła na pierwszy pokaz kolekcji zaprojektowanej przez Caitlin, stwierdziła zaskoczona, że ramiona zeszywniały jej z napięcia i ma ściśnięty żołądek. Niemal spodziewała się, że nikt nie przyjdzie.

Przed miesiącem poleciła, aby dział public relations poinformował ją, ilu gości potwierdziło przybycie — i z przerażeniem dowiedziała się, że połowa odrzuciła zaproszenie. Kolejne dwadzieścia procent nie pofatygowało się nawet, by odpowiedzieć. Ruszyła na piętro do biura Chantal, asystentki szefa PR.

— Co się u diabła dzieje? — Rzuciła listę na biurko Chantal. — Dlaczego nie chcą przyjść?

— Nasza impreza zaczyna się o dziewiętnastej trzydzieści. O tej porze kończy się pokaz Stelli McCartney. Goście będą woleli zostać na West Endzie, niż wlec się do wschodniego Londynu — odparła drżącym głosem Chantal, a potem dodała z wahaniem: — Większość nie widzi powodu, by zadawać sobie trud po to, żeby przekonać się, co ma im do zaoferowania Melville...

To była klęska. Po co przechodzić cudowną przemianę, jeśli ma odbyć się bez świadków?

— Wyświadczyć mi przysługę, Chantal, dobrze? — powiedziała Elizabeth łagodniejszym tonem, uznając, że lepiej mieć dziewczynę po swojej stronie. — Dowiedz się, jaki numer buta noszą najważniejsze redaktorki z branży w Nowym Jorku, Londynie, Paryżu i Mediolanie,

i jaki jest ich ulubiony kolor. Musze znaleźć sposób, by ściągnąć ja na pokaz.

Następnego dnia rozesłano trzydzieści par modelu Juliet, zaprojektowanego przez Caitlin: smukłych satynowych pantofelków bez piąty i na obcasie. A rankiem centrala telefoniczna omal nie została zablokowana. Dzwonili asystenci redaktorek, które zmieniły jednak zdanie i chciały obejrzeć pokaz. Plan Elizabeth zadziałał, podobnie jak w przypadku żony pana Motoyamy.

Oczywiście nie był to koniec problemów. Prawem serii, gdy przebudziła się rankiem, zobaczyła, że za oknem szaleje śnieżycą. Pod koniec dnia biały puch zmienił się w paskudną breję. Elizabeth spędziła popołudnie, wpatrując się z przygnębieniem w niebo i zastanawiając, czy fatalna pogoda nie zniechęci wielkich ze świata mody do przyścia wieczorem na pokaz, zorganizowany na domiar złego w Bermondsey. Lecz teraz, gdy Cole *zjechał* z drogi, przekonała się, że jej obawy były bezpodstawne. Sznur bentleyów i jaguarów czekał grzecznie, aż odprowadzą je parkingowi. Inna kolejka, złożona tym razem z czarnych taksówek, utworzyła się przy wejściu oznaczonym aksamitnym sznurem, wypluwając co i rusz wyelegantowanych przedstawicieli mediów.

Cole spojrzął na żonę. — Szczęśliwa? — To on musiał borykać się od kilku dni ze skutkami jej stresu.

Elizabeth uśmiechnęła się z zakłopotaniem. — Na pewno mi ulżyło. — To dobrze.

Odźwierny z wielkim parasolem otworzył drzwi auta. Elizabeth ominęła zgrabnie kałużę roztopionego śniegu, zastanawiając się po raz kolejny, dlaczego uparła się założyć w taki dzień sandałki z pasków. Po dzisiejszym wieczorze nie będą się już do niczego nadawały. Uniosła dłoń ku prostym jak druty włosom. Dobrze przynajmniej, że nie jest zwolenniczką loków...

Cole rzucił parkingowemu kluczyki i okrążył samochód.

Wziął żonę za rękę. — Chodźmy.

Elizabeth spojrzała na męża i poczuła przypływ dumy. Zawsze dobrze wyglądał, lecz dziś prezentował się po prostu wspaniale: smoking od Armaniego leżał doskonale, podkreślając szerokość mocnych

ramion. Musiał ostatnio sporo ćwiczyć. Kiedy będzie to miała już za sobą, zacznie poświęcać mu znów więcej czasu. *To znaczy, jeśli wszystko pójdzie dobrze...*

Nie widziała jednak powodu, by miało być inaczej. Rodzina zwarła szeregi i byli tu dziś wszyscy, spodziewając się sukcesu. Cóż, wszyscy z wyjątkiem Amber. Poczowała lekkie wyrzuty sumienia. Nie potrafiła wyzbyć się przekonania, iż to, że nie ma tu Amber, jest przynajmniej po części jej winą. Może powinna była inaczej rozmawiać z siostrą. Lecz te okropne zdjęcia wytrąciły ją z równowagi. I nie tylko ją. Isabelle obawiała się, że William może doznać kolejnego ataku serca, poprosiła więc starszą córkę, aby zrobiła coś w tej sprawie. Elizabeth zamierzała zachować spokój, ale rozmowa okazała się tak frustrująca

— Amber odmówiła przyznania, że w ogóle ma problem — że zaczęła krzyczeć i pouczać, sprawiając mimo woli, że siostra poczuła się jeszcze bardziej samotna i wyobcowana.

Gdy się uspokoiła, było jej przykro, że się pokłócili. Chciała to naprawić i uznała, że najlepiej będzie poprosić Amber, by wystąpiła podczas pokazu. Z zaproszeniem wystąpiła Caitlin, lecz choć prosiła i namawiała, Amber odmówiła, z uporem twierdząc, że potrafi sama znaleźć sobie pracę i nie potrzebuje łaski rodziny.

— Nadal jest zła — tłumaczyła Caitlin w rozmowie z Elizabeth.

— Daj jej kilka tygodni i spróbujemy znowu,

Elizabeth wiedziała, że Caitlin ma rację. I choć trudno im było się z tym pogodzić, Amber była już dorosła i nie mogły do niczego jej zmusić. Teraz, zajmując miejsce w pierwszym rzędzie, wyrzuciła Amber z pamięci i pomyślała zamiast tego o Caitlin i o tym, jak bardzo musi być zdenerwowana. Tymczasem Caitlin była na szczęście zbyt zajęta, żeby się denerwować. Do rozpoczęcia pokazu zostało zaledwie kilka minut, a ona musiała wszystko sprawdzić.

— Wasze topy pomieszały się widać na wieszaku — powiedziała do dwóch dziewcząt. Stała nad nimi, póki nie zamieniły się bluzkami, a potem powiedziała do kolejnej: — Pamiętaj: gdy dojdiesz do końca wybiegu, zatrzymaj się na kilka sekund i dopiero zdejmij żakiet.

Zerknęła wcześniej na widownię i zobaczyła, że sala wielkości stadionu zaczyna się zapęlniać. Wiele zależało od tego, jak przebiegnie

wieczór w tym jej reputacja. Melville nie organizował dotąd show na taką skalę. Po raz pierwszy wynajęto top modelki i zaproszono śmietankę świata mody. Caitlin zastanawiała się nawet, czy nie zatrudnić rozchwytywanego organizatora pokazów, lecz w końcu postanowiła zrobić wszystko sama. To była jej wizja — i nie wierzyła, że ktokolwiek inny zdoła przedstawić ją jak należy.

Przejrzała listę ewentualnych lokalizacji. Znajdowali się na niej „zwykli podejrzani”: hotele, muzea... Żadne z tych miejsc się jej nie spodobało. Nie chciała też organizować pokazu w jednym z użytkowanych zazwyczaj, minimalistycznie urządzonych białych wnętrz. Jej projekty związane były z miastem, stanowiły połączenie starego i nowoczesnego Londynu i potrzebowała miejsca, które by to odzwierciedlało. Wyszukała zatem opuszczony magazyn w dzielnicy artystów, Bermondsey.

— Dlaczego u licha właśnie tam? — spytała Elizabeth, gdy usłyszała o pomysłe. Caitlin wiedziała jednak, że to właściwe miejsce. Poczula to, gdy tylko weszła do budynku, gdzie przechowywano niegdyś herbatę oraz przyprawy z Dalekiego Wschodu. Panowała tu dokładnie taka atmosfera, jakiej szukała, a składały się na nią: nagie cegły, wysoko sklepiony sufit i żeliwne słupy. Nie potrzebowała dodatkowych dekoracji. Wybieg, krzesła i oświetlenie nietrudno zaś było wypożyczyć i ustawić.

Teraz jej sztuka będzie musiała przemówić sama za siebie. Wiedziała, że William, Elizabeth i reszta rodziny siedzą na widowni, trzymając za nią kciuki. Podobnie Lucien. Po południu przysłał jej bukiet z życzeniami powodzenia. Był biały: białe róże, lilie, frezje i gerbery — prosto i elegancko. Cały Lucien. Obiecała sobie, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, przedstawi go wreszcie Williamowi.

Światła przygasły i wszelka myśl o Lucieniu, ojcu czy kimkolwiek innym wywietrzała Caitlin z głowy. Poczula przyływ adrenaliny. To było to. Chwila, na którą czekała.

Na widowni panowała atmosfera intensywnego wyczekiwania. Dyskretny szum wokół najnowszej kolekcji Melville'a zaczął się na długo przed tym, nim ruszył Londyński Tydzień Mody. Dziennikarze,

celebryci i redaktorzy działów mody zajmowali więc miejsca, gawędząc i plotkując z podekscytowaniem.

Zazwyczaj pokaz Melville'a miał niewiele wspólnego z bieżącymi trendami. Od kilku miesięcy krążyły jednak pogłoski, że w angielskim domu mody coś się dzieje. W dziale dodatków pojawiły się nagle fantastyczne torebki i seksowne pantofelki, przedmiot ogólnego pożądania. Kilka starannie zaaranżowanych przez Elizabeth przecieków dało asumpt do przypuszczeń, że w firmie zachodzą poważne zmiany. „Coś dzieje się u Melville'a...”.

Teraz prasa oraz handlowcy czekali podekscytowani, pragnąc jak najszybciej przekonać się, czy pogłoski były prawdziwe.

Na początek, aby wywołać właściwy nastrój, Caitlin wybrała prelude do semiopery Purcella, *The Fairy Queen*. Kiedy dostojny, triumfalny dźwięk smyczków, trąbek i obojów wypełnił salę, wszyscy się uciszyli. Potem poważną barokową muzykę wzmocniły niespodziewanie rytmiczne tony hip hopu, dobiegające z wielkich głośników. Połączone, stanowiły błyskotliwą kombinację klasyki i nowoczesności, skomponowaną przez znajomego Caitlin z branży muzycznej.

Na wybieg padła struga jaskrawego, białego światła, a zaraz potem wmaszerowała nań dumnym krokiem modelka Sapphire Klint. Wciśnięta w gorset z najgłębszego fioletu i obcisłe bryczesy z czarnej skóry z pasującymi do nich rękawiczkami, wyglądała niczym współczesna rozbójniczka. Stąpając wyniośle w seksownych wysokich butach, strzeliła kilka razy z bata. Potargane włosy wymykały się jej spod trój-graniastego kapelusza, wargi zaś miała umalowane ciemnowiśniową szminką.

— Niesamowite! — wyszeptał do sąsiada szef działu zakupów Harveya Nicholasa. Redaktor pisma *InStyle* był jednak zbyt zajęty odnotowywaniem każdego szczegółu, by choć przytaknąć.

Publiczność wzdychała i biła brawo, gdy na wybiegu pojawiały się kolejne modelki, wyglądając po prostu sensacyjnie w zakietach z gniecionego aksamitu, satynowych bluzeczkach bez ramiączek i eleganckich wieczorowych sukienkach, na uszycie których zużyto metry koronki... Kolekcja była wyrazista, nowoczesna oraz zmysłowa — określenia, których nie łączono dotąd z Melville'em.

— Ciuchy były po prostu cudowne! — zachwycała się korespondentka *Timesu*, przekazując telefonicznie swoje wrażenia. — To było jak dramat kostiumowy połączony z dubbingiem.

— Nie widziałem nic równie ekscytującego, odkąd Tom Ford został głównym projektantem u Gucciego — powtarzał w kółko redaktor *Women's Wear Daily*.

Przyjęcie po pokazie odbyło się w szykownych wnętrzach Annabel's przy Berkeley Square. Lokal wybrał William. Miał on stanowić nawiązanie do okresu, gdy firma odnosiła w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych największe sukcesy. Kiedy rodzina przybyła do prywatnego klubu, dziennikarze, fotoreporterzy i kamerzyści prześcigali się, aby wypytać ich o nowy wizerunek firmy. Najwięcej uwagi poświęcali oczywiście Caitlin. Po pokazie przebrała się w sukienkę z aksamitu o barwie wina, inspirowaną barokiem, z dopasowanym stanikiem i szeroką spódnicą, ozdobioną przy dekolcie oraz rękawach starą koronką. Dekadencki w wyrazie strój doskonale odzwierciedlał ducha kolekcji, toteż wszyscy chcieli go sfotografować.

William wysunął się do przodu i objął Caitlin ramieniem.

— Wszystko co widzieliście dzisiaj, stanowi dopiero pierwszy krok na drodze pokazania światu, że Melville to nadal znakomita marka. Chciałbym przedstawić wam osobę, która jest za to odpowiedzialna — moją cudowną, utalentowaną córkę, Caitlin.

Przyciągnął Caitlin bliżej siebie. Zabłyśły flesze i tuziny fotoreporterów uwieczniły pamiętą chwilę.

Elizabeth stała z boku, rozmyślając o tym, dlaczego nie czuje się bardziej szczęśliwa. Przecież właśnie tego chciała — nowego początku, którego marka rozpaczliwie potrzebowała. Lecz była tylko człowiekiem i trudno jej było patrzeć, jak cała zasługa przypada Caitlin. Zwłaszcza iż dobrze wiedziała, że gdyby nie jej wysiłki, ten wieczór po prostu by się nie zdarzył.

Okolo północy pracownicy działu PR przynieśli do klubu pierwsze wydania gazet. Na stronach poświęconych modzie i biznesowi zamieszczono artykuły opatrzone tym samym nagłówkiem: „Ojciec i córka tchnęli nowe życie w Melville'a”. Pod spodem widniały zdjęcia

Williama obejmującego Caitlin. Na twarzy ojca malował się wyraz dumy. Jakże pragnęła, by spojrzął tak na nią!

Pierś promieniał. — Czyż to nie wspaniałe? Twój ojciec zachwyca się wszystkim, co zrobiła Caitlin.

Elizabeth, niczym sterowana autopilotem, uśmiechnęła się i przytaknęła. Zajęta udawaniem, że cieszy ją sukces Caitlin, nie zauważyła, iż Pierś bacznie się jej przygląda.

Cole nie miał pojęcia, co wstąpiło w Elizabeth. Wcześniej była w doskonałym nastroju, a teraz zirytowana i niespokojna, nalegała, aby natychmiast wyszli.

— Nie miałem jeszcze okazji porozmawiać z twoim ojcem — zaprotestował.

— Więc zrób to teraz — odpaliła. — Zaczekam na zewnątrz. Cole czuł, że wolałaby, aby z nią wyszedł, nie zamierzał jednak

uciekać, nie przywitawszy się choćby z Williamem. Wiedział, jak drażliwy potrafi być teść i jak łatwo go urazić.

Gdy go odszukał, William stał otoczony wianuszkami dyrektorów. Zajęło to chwilę, lecz w końcu udało mu się zostać z nim sam na sam. Powiedział, co należało, na temat tego, że William wygląda lepiej.

— A jak się czujesz po powrocie do pracy?

— Dobrze — odparł William cokolwiek obronnym tonem. Zawsze pozostawał czujny w obecności swego dynamicznego, odnoszącego sukcesy zięcia. — Szczerze mówiąc, nie wiem, czy wytrzymałbym dłużej w domu — dodał. — Troskliwość Isabelle zaczęła doprowadzać mnie do szaleństwa! Cole się uśmiechnął. — To zdecydowanie ekscytujący okres dla firmy — powiedział wspaniałomyślnie, świadom, jak bardzo William lubi być chwalony. Rozejrzał się po sali. — Dzisiejszy wieczór należał zdecydowanie do Melville'a.

Pochlebstwo odniosło skutek i William ewidentnie się odprężył.

— Owszem — przytaknął. — Nie wątpię, że pokaz okaże się sukcesem, lecz nie sądziłem, że aż takim.

Zamilkli, popijając drinki. — A co tam u ciebie? — spytał w końcu William.

Cole skinął z wolna głową. — Dobrze — odparł, jak wcześniej William. — Odkąd się przeprowadziliśmy, żyjemy jak w gorączce.

Zawahał się, niepewny, jak wyrazić prośbę. Czekał na okazję, aby poprosić Williama, by porozmawiał z córką i skłonił ją do zwolnienia tempa. Wcześniej próbował namówić żonę, aby się odprężyła, przestała traktować pracę tak poważnie, lecz jakoś nic potrafił jej przekonać. Elizabeth liczyła się jednak ze zdaniem ojca — może więc Williamowi uda się do niej dotrzeć.

Niestety nim zdążył się odezwać, podeszła do nich Caitlin, prowadząc mężczyznę, który był tego wieczoru jej partnerem.

— Wybacz, że wam przerywam — powiedziała do Williama. Twarz miała zaróżowioną, oczy błyszczące z podekscytowania. — Chciałabym jednak kogoś ci przedstawić.

Cole spojrzał z nieskrywanym zainteresowaniem na młodego człowieka stojącego obok Caitlin. Z długimi, powiewającymi czarnymi włosami i bardzo jasną cerą wydawał się cokolwiek nierzeczywisty. Zdecydowanie artystyczny typ, pomyślał. W końcu niewielu prawników czy księgowych zdecydowałoby się na taki strój — czarne zamszowe spodnie, rozpiętą pod szyją czarną koszulę i szalik w kolorze burgunda. Wszystko zbyt niemęskie, jak na gust Cole'a.

Mógł sobie jedynie wyobrazić, co pomyśli o młodzieńcu William. Choć nie znał Caitlin zbyt dobrze, czuł, że nie przedstawiłaby ojcu kogoś, z kim nie łączyłoby jej uczucie. A z tego co wiedział o Williamie, niełatwo będzie go zadowolić.

Chętnie zostałby i zobaczył, co się wydarzy. Lecz Elizabeth dość się już naczekała. — Zostawię was samych — powiedział zatem niechętnie, dodając w myślach: *Powodzenia. Będzie wam potrzebne.*

William przyglądał się Lucienowi z uwagą — jak każdy ojciec, któremu córka przedstawiła właśnie swojego chłopaka. Cole miał rację — Francuz wydał mu się być zbyt ekscentryczny. Poradził sobie jednak doskonale, odpowiadając na kontrolne pytania o pracę i pochodzenie ze swobodą oraz szczerością, które sugerowały, że nie ma nic do ukrycia.

— Lucien ma teraz wystawę swoich prac — wtrąciła Caitlin, spoglądając z niepokojem to na ojca, to na chłopaka. Nie była w stanie ocenić, jak przebiega spotkanie. — We wspaniałej galerii w Hoxton.

— Doprawdy? - Na Williamie nie zrobiło to wrażenia. Nie wiedział, jak ma traktować cały ten fotograficzny interes.

Jeśli Lucien zauważył ten brak entuzjazmu, nie dał tego po sobie poznać. Galijska pewność siebie sprawiała, że niełatwo było go urazić. — Oczywiście będzie pan tam zawsze mile widziany — powiedział łaskawie.

William podniósł wzrok i zobaczył, że Isabelle próbuje podchwycić jego spojrzenie. Umówili się, że wyjdą o pierwszej, a było już dobrze po północy. Odstawił drinka na stolik.

— Musimy lecieć, Caitlin — powiedział. — Jedziesz z nami? Rozejrzała się po sali. Część gości zbierała się powoli do wyjścia, ale przyjęcie nadal było w rozkwicie. Pragnęła, aby ten wieczór trwał jak najdłużej.

— Zostanę jeszcze trochę, jeśli nie masz nic przeciwko temu — powiedziała.

William zmarszczył brwi. — Mam przysłać po ciebie samochód? Nim Caitlin zdążyła odpowiedzieć, Lucien otoczył opiekuńczym gestem jej barki.

— Dopilnuję, aby dotarła bezpiecznie do domu, proszę pana. William wpatrywał się w niego przez chwilę, a potem uśmiechnął się z wolna.

— Cóż, dziękuję, Lucien. Od tej pory możesz zwracać się do mnie po imieniu.

Do czwartej przyjęcie prawie się skończyło. Caitlin siedziała z podkurczonymi nogami na miękkiej skórzanej sofie, przyglądając się ostatnim gościom. Samotna kobieta kiwała się niepewnie na parkiecie, nucąc do wtóru piosenki Madonny; kilka osób z działu projektowania przysiadło w barze, przekomarzając się hałaśliwie przy butelce tequili. Próbowali zwabić do siebie Caitlin, odmówiła jednak ze śmiechem. Nie potrzebowała alkoholu — sukces stanowił wystarczającą podniechęć.

Podszedł do niej Lucien. — Samochód czeka przed wejściem.

Caitlin westchnęła. — Chyba pora iść. — Rozejrzała się po raz ostatni po sali.

— Chodź, *cherie*.

Pomógł jej wstać. Wyszli z klubu, trzymając się za ręce. Od tamtej nocy u Luciena, kiedy wreszcie się przed nim otworzyła, wszystko zaczęło się układać. Opowiedziała mu o śmierci matki, o tym, jak poznała Williama, musiała opuścić Irlandię i zamieszkać z jego rodziną. O tym, jak źle czuła się w Aldringham i co spotkało ją w Greycourt. Jak uciekła do Paryża, aby zapomnieć o przeszłości, rodzinie i zacząć wszystko od nowa, co zupełnie się jej udało.

— Żałuję, że nie wiedziałem — zauważył, kiedy skończyła. — Nie naciskałbym tak na ciebie.

— Możliwe, ale nie o to chodziło... Przypuszczam... Nie chciałam chyba, żebyś się nade mną litował.

Uniósł do ust jej dłoń. — Nikt nie ma powodu się nad tobą litować.

Odbudowywali związek powoli, i tak było dobrze. Po raz pierwszy czuła się szczęśliwa i odprężona.

Podeszli do samochodu, który miał odwieźć ją na Eaton Square, gdzie nadal mieszkała. Kierowca pozostał dyskretnie wewnątrz, dając im czas, by mogli się pożegnać. Lucien dotknął policzka Caitlin.

— *Dors bien, ma petite.*

Pochylił głowę, musnął wargami jej usta i otworzył drzwi samochodu.

Zawahała się, myśląc o tym, że nic nie zmieniło się od dnia, gdy zabrał ją przed laty na przedstawienie w paryskiej operze — to jedyny mężczyzna dla niej. Nie chciała się z nim rozstawać — teraz ani nigdy.

I czuła w końcu, że jest gotowa zostawić przeszłość za sobą, oddać się Lucienowi tak, jak nie była zdolna uczynić tego wcześniej.

— Lucien? — powiedziała niespodziewanie.

— Tak, *cherie*.

— Wiesz, chyba nie jestem jeszcze gotowa wrócić. Uniósł brwi. — Nie?

— Nie. — A potem dodała prawie nieśmiało: — Wolałabym pojechać z tobą. Do ciebie.

Spojrzeni na siebie i już wiedzieli. Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, a potem powiedział: — Ja też bym tego chciał.

*

Latarnia rzucała na pokój przymglony blask. Stali w pełnym cieniu mroku, blisko siebie, lecz się nie dotykając. Caitlin wyczuła, że Lucien się waha, odwróciła się więc do niego plecami i zapytała: — Pomożesz mi z tym?

Rozwiązał powoli, acz zręcznie sznurówkę gorsetu, muskając chłodnymi palcami jej skórę. Caitlin poczuła, że budzi się w niej pożądanie. Potem poluzował wiązanie spódnicy i suknia opadła.

Ulicą przejechał samochód, oświetlając reflektorami pokój. Caitlin pochwyciła swoje odbicie w lustrze wiszącym na drzwiach, jasna skóra, której perłowy blask podkreślała bielizna w głębokim odcieniu wina. Po raz pierwszy w życiu nie czuła wstydu. Napotkała w lustrze spojrzenie Luciena. Podeszedł do łóżka i przysiadł na jego skraju, zostawiając Caitlin samą na środku pokoju. Kiedyś czułaby się nadmiernie wyeksponowana i bezbronna. Dziś czuła się seksowna i śmiała.

Odwróciła się i stanęła twarzą do niego, rozkoszując się tym, jak przebiega spojrzeniem po ciężkich piersiach i krągłych biodrach, pożerając wzrokiem jej ciało. Wchłaniając w siebie jego obraz. Mogłaby od razu do niego podejść, nie chciała jednak się spieszyć. Nie tym razem. Uniosła więc dłonie i zaczęła wyjmować z włosów grzebyki podtrzymujące skomplikowaną fryzurę. Po chwili czarne jak noc pukle opadły jej na ramiona. Kiedy skończyła, wsparła dłonie na biodrach. — I jak? — zapytała.

— Bardzo ładnie — odparł z uśmiechem. — Ale jak na mój gust, masz jeszcze na sobie za wiele ciuchów.

Po chwili majtki i stanik wylądowały na podłodze obok sukienki. Podeszła i stanęła przed nim naga.

— Lepiej? — spytała głosem niskim i chrapliwym.

Na usta Luciena wypłynął z wolna uśmiech. — O wiele.

Wpatrywali się w siebie przez dłuższą chwilę, nic nie mówiąc. Potem Caitlin opuściła ręce i zaczęła się pieścić. Dotknęła wpierv piersi, masując kremowe ciało, obejmując je dłońmi i pocierając zwilżonymi śliną kciukami bladoróżowe sutki, aż stały się twarde i sterczące.

— *Mon Dieu*, Caitlin... — wykrztusił Lucien oczarowany, zaszokowany i zachwycony zmianą, jaka w niej zaszła. — Boże...

Podążał spojrzeniem za dłońmi Caitlin, kiedy zsuwała je na brzuch, a potem jeszcze niżej... między uda. Gładziła i pocierała wrażliwe miejsce, póki nie zwilgotniało. Teraz była już gotowa.

Ujęła więc rękę Luciena i zastąpiła nią swoją dłoń. Pozwolił jej na to zahipnotyzowany i uszczęśliwiony, czerpiąc przyjemność z dawania rozkoszy. A gdy nie był już w stanie dłużej się wstrzymać, chwycił Caitlin i pociągnął na siebie.

Zanim w nią wszedł, byli już oboje bliscy orgazmu. A kiedy nadszedł, wstrząsając ich ciałami w spazmie rozkoszy, przywarł do niej mocno, wiedząc, że po czymś takim już nigdy nie pozwoli jej odejść.

CZEŚĆ IV

Maj 2004 — grudzień 2004

Rozdział czterdziesty siódmy

Financial Times — Obserwacja spółek Londyn, 2 maja Melville znów w modzie

Angielski Dom Mody Melville opublikował wczoraj kolejne wyniki finansowe. Obroty spółki wzrosły w stosunku do roku poprzedniego dwukrotnie, co pokazuje, jak dużą popularnością cieszy się dziś wśród klientów podupadająca do niedawna marka.

Niespodziewany zwrot robi tym większe wrażenie, że przed niespełna trzema laty analitycy spisali już spółkę na straty. Spodziewano się wówczas powszechnie, że zostanie przejęta przez francuskiego magnata z branży towarów luksusowych, Armanda Boucharda. Na przeszkodzie wrogiemu przejęciu stanął jedynie fakt, iż większość udziałów w spółce pozostaje nadal w rękach rodziny. Bouchard przepowiadał wówczas, że sytuacja firmy będzie się pogarszać, póki patriarcha rodu, a zarazem dyrektor naczelny spółki, William Melville, nie zostanie wreszcie zmuszony do sprzedania jej Bouchardowi za o wiele niższą cenę.

Nie mógł bardziej się pomylić. Po dekadzie powolnego osuwania się w niebyt, cena akcji Melville'a podwoiła się w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Wczoraj, podczas zebrania z analitykami firmy. William Melville stwierdził, iż wierzy, że z modowego biznesu da się wycisnąć jeszcze więcej.

Jednakże przełom to w mniejszym stopniu jego zasługa. Bardziej przyczynili się doń przedstawiciele młodej generacji, którzy objęli niedawno w firmie kluczowe stanowiska. Podobno to zwłaszcza córka

William, Caitlin, dyrektor kreatywny firmy, odegra/a w przywróceniu marki do życia istotną rolę. To jej wizjonerskie projekty wprawiły w zachwyt luminarzy wybiegów i zwabiły kupujących do sklepów.

Zważywszy, iż William Melville skończy w przyszłym roku sześćdziesiąt pięć lat, wielu spodziewa się, że wyznaczy w najbliższym czasie spośród członków rodziny swego następcę. Dopływ świeżej krwi wpłynąłby z pewnością korzystnie na cenę udziałów i spowodował dalszy ich wzrost.

Rekomendacja: KUPOWAĆ

Caitlin skończyła czytać artykuł i schowała go do teczki z wycinkami. Oprawny w skórę skoroszyt był już niemal na cal gruby i odpowiednio ciężki. Dwa inne, podobnej grubości, stały na półce w rogu jej gabinetu. Pracownicy działu PR pilnowali, by dyrektorzy otrzymywali kopie wszystkich artykułów na temat firmy. Czytanie entuzjastycznych opinii stanowiło dodatkową nagrodę za trud. Gdy zaczynała pracę w spółce, sytuacja wyglądała zgoła inaczej. Pamiętała negatywne komentarze, brak złudzeń i zniechęcenie widoczne na twarzy każdego pracownika. Teraz wszystko się zmieniło, pomyślała, zerkając na salę przez szybę swego gabinetu. Wszędzie dookoła pracowano z zapałem. Trudno uwierzyć, że taki przełom mógł dokonać się w zaledwie dwa lata.

Już w dniu pierwszego pokazu stało się dla Caitlin jasne, że jej projekty się spodobały. Reakcja widowni stanowiła najlepszy dowód. Lecz nawet ona nie uświadamiała sobie, jak wielki sukces odniosła, póki nie pojawiła się następnego ranka w pracowni. W pomieszczeniu panował taki tłok, że z trudem przecisnęła się przez drzwi.

— Co się dzieje? — spytała nieznajomego mężczyznę.

Jak się okazało, był to pracownik działu zakupów Liberty, jednej z wielu firm, które ignorowały przez lata Melville'a i wypełzały teraz pośpiesznie z ukrycia.

— Przegapiłem wczorajszy pokaz — przyznał. — Dziś jestem na siebie wściekły, bo był podobno fantastyczny.

— Doprawdy? — zauważyła Caitlin z niewątpliwym zadowoleniem w głosie.

Usłyszał to i zapytał: — Hej, pracujesz tutaj? Bo jeśli tak, może mogłabyś umówić mnie na spotkanie z główną projektantką.

Nie był jedynym handlowcem, który pojawił się bez uprzedzenia; przybyli też inni, z których wielu, podobnie jak wysłannik Liberty, nie widziało pokazu. Dotarła jednak do nich pogłoska, że jesienna kolekcja Melville'a to „gorący towar”.

Z każdą godziną przybywało chętnych, przekrzykujących się, mówiących jeden przez drugiego i próbujących złożyć zamówienie.

Mniej więcej w południe pojawiła się też Elizabeth. Caitlin powitała siostrę z radością.

— Mogłabyś uwierzyć? — spytała rozdarta pomiędzy zdziwieniem a rozpaczą. Elizabeth obrzuciła zatłoczony pokój chłodnym spojrzeniem. — Robi wrażenie — powiedziała krótko. — Masz jednak inne priorytety. Dzwonią do nas z najważniejszych magazynów mody i gazet na świecie, próbując umówić się z tobą na wywiad. Sama się tym zajęłam. — Podała Caitlin arkusz papieru. — Tu masz zarys planu na następne dziesięć dni. Wylatujesz wieczorem.

— Wylatuję? — powtórzyła Caitlin. — Dokąd?

Elizabeth zmarszczyła brwi. — Do Nowego Jorku oczywiście.

— Zajrzała do notesu.

— *Harper's Bazaar* i *Women's Wear Daily* są pierwsze na liście.

— Zmierzyła Caitlin ostrym spojrzeniem. — Stworzyłaś przebojową kolekcję, Caitlin. Masz teraz szansę, aby ją wypromować... a co ważniejsze, wypromować Melville'a.

Co powiedziawszy, odwróciła się i wyszła.

Były to najbliższe gratulacjom słowa, jakich doczekała się od Elizabeth.

Następne dziesięć dni minęło jak w gorączce. Caitlin krążyła pomiędzy stolicami — Nowy Jork, Tokio... A potem Paryż, Mediolan i Madryt... Odpowiadała w kółko na te same pytania...

Proszę opowiedzieć nam, co panią zainspirowało...

Jak wyobraża sobie pani przyszłość Melville'a?

Dlaczego zdecydowała się pani pracować po tylu latach dla rodzinnej firmy?

Próbowała uniknąć odpowiedzi na ostatnie pytanie, podobnie jak omawiania wszelkich osobistych kwestii, skupiając się ubraniach.

Kiedy wróciła wreszcie do Londynu, miała ochotę zakopać się w łóżku i spać przez tydzień. Nie było jednak czasu na odpoczynek, gdyż Melville stało się nagle modne.

Pierwszy zwiastun pojawił się w pewien poniedziałkowy rano, kilka tygodni później. Caitlin przysłała do pracy i zastała w gabinecie Chantal z działu public relations.

— Widziałaś *Paris Match*¹? — spytała podekscytowana.

— Nie...

Chantal podała jej egzemplarz gazety. Na okładce widniało zdjęcie Kristiny Gates. Ulubienica Hollywood wybrała się na zakupy ubrana w pięknie skrojony kostium ze spodniami uszyty z czerwonego aksamitu. Pochodził z ostatniej kolekcji Melville'a.

Nie była jedyną gwiazdą, która uległa magii strojów Melville'a. Księżniczka popu Cindy Simon odebrała nagrodę Grammy dla Najlepszej Nowej Artystki odziana w rozciętą do pępka suknię z czarnej satyny; brazylijską supermodelkę Alessandrę sfotografowano, jak bawi się w klubie, mając na sobie króciutkie złote szorty i pasujące do nich sandaalki. A potem zadzwonił do nich agent piosenkarki R'n'B, Sapphire.

— Byłaby ogromnie szczęśliwa, gdybyście przygotowali dla niej kostiumy na zbliżającą się trasę koncertową...

Dopiero teraz Caitlin zyskała pewność, że dotarli do właściwej klienteli. Firma odzyskała wreszcie blask.

Od tego czasu zdążyła stworzyć cztery następne kolekcje, przyjęte równie entuzjastycznie jak pierwsza. Dział projektowania mocno się rozrósł. Gdy tylko budżet na to pozwolił, zatrudniła sześć nowych asystentek. Tym razem nie było problemu z naborem — mogli przebierać w ofertach, i to ze strony naprawdę zdolnych kandydatów. W minionym roku William nagroził Caitlin, mianując córkę dyrektorem kreatywnym, co zapewniło jej miejsce w zarządzie.

Lecz nawet teraz, kiedy działali na większą skalę, a zakres jej obowiązków wzrósł, nie rezygnowała z projektowania. Każdy opuszczający magazyn Melville'a produkt nosił na sobie znak jej talentu.

A to dlatego, że uwielbiała swoją pracę — projektowanie stanowiło pasję, której nie potrafiła wyjaśnić. To nie była praca, ale czysta radość.

Jedyna skazę na idealnym skądinąd obrazie stanowiła Elizabeth. W ciągu ostatnich dwóch lat bardzo się od siebie oddaliły. Choć kiedyś to Elizabeth była jej z rodziny najbliższa, obecnie ich stosunki były niemal tak chłodne jak wówczas, gdy Caitlin przybyła po raz pierwszy do Aldringham. Wszystko co zaproponowała, zdawało się teraz siostrę irytować.

Tego popołudnia stoczyły kolejną potyczkę. Podczas comiesięcznego zebrania zarządu Caitlin zaproponowała, by wprowadzić na rynek perfumy sygnowane logo Melville'a.

— Wiele domów mody zajmujących się zarówno *haute couture*, jak produkcją gotowej odzieży poszło w tym kierunku — powiedziała, kończąc prezentację. — Jeśli cena byłaby w porównaniu z linią ubrań stosunkowo niska, moglibyśmy wejść na masowy rynek i wygenerować znaczny dochód, dyskontując popularność marki.

Podczas całej prezentacji Elizabeth wzdychała ciężko i postukiwała długopisem o stół. Gdy tylko Caitlin skończyła, natychmiast się odezwała.

— Nigdy się na to nie zgodzę — prychnęła. — Przez ostatnie dwa lata zaharowywałam się, by zmienić wizerunek firmy. Jak możesz proponować, byśmy wrócili do tańszych produktów?

Caitlin próbowała przemówić jej do rozsądku. — To nie byłoby to samo. Perfumy mogłyby być tańsze, ale nie gorsze jakościowo. Mówię o kosztownym zapachu — powiedziała, zwracając się do pozostałych dyrektorów. — Jeśli właściwie się do tego zabierzemy, możemy wręcz podnieść wartość marki.

— A to w jaki sposób? — spytała drwiąco Elizabeth.

— Dobrze wycelowana kampania reklamowa mogłaby wzmocnić linię ubrań, podnieść wartość marki.

Lecz nawet gdy wyjaśniła, że mogliby uniknąć dawnych błędów, wytwarzając jedynie ograniczoną ilość produktów i sprzedając je wyłącznie w najlepszych sklepach, Elizabeth nie ustąpiła. W końcu poddano projekt głosowaniu. Tylko Pierś poparł Elizabeth. Caitlin patrzyła, jak na twarz siostry wypływa wyraz pogardy, gdy William

poparł młodszą córkę. Zmroziło ją, gdy zobaczyła, jak bardzo przeżywa to Elizabeth.

Zamierzała wstąpić przed wyjściem do biura siostry i spróbować jakoś ją ułagodzić. Zerknęła jednak na zegarek i uznała, że pora iść. Była już prawie ósma, a ona chciała znaleźć się jak najszybciej w domu, z Lucienem. Rozmowa z siostrą może poczekać. Zresztą czyż nie zostali zaproszeni na otwarcie restauracji Cole'a w przyszłym miesiącu? Choć Caitlin podejrzewała, że otrzymane tego ranka zaproszenie było pomysłem raczej szwagra niż Elizabeth, uznała, że w mniej oficjalnym otoczeniu łatwiej jej będzie stawić czoło siostrze. Chwyła więc torbę i ruszyła do domu.

Wprowadziła się do Luciena w pół roku po pierwszym pokazie, choć wcześniej i tak spędzała tam niemal każdą noc. Uwielbiała to miejsce niemal tak samo jak Lucien — było bowiem niesamowicie podobne do jej mieszkania w TriBeCa.

A kiedy po roku Lucien zaproponował, by poszukali czegoś większego, Caitlin nie miała ochoty się przeprowadzać.

— Twoje mieszkanie jest doskonałe — przekonywała. — No i jesteśmy tu szczęśliwi.

Lucien, jak zawsze logiczny, odparł ze spokojem: — Będziemy równie szczęśliwi w większym.

Oczywiście miał rację. Zaś kupowanie wspólnego mieszkania okazało się o wiele bardziej ekscytujące, niż uważała to za możliwe. Apartament zawsze byłby jego, podczas gdy nowe lokum będzie ich domem, miejscem reprezentującym ich jako parę. Na szczęście nietrudno im było się dogadać. Zgodzili się, że chcą pozostać w okolicy Shoreditch, Spitalfields i Floral Market przy Columbia Road, poza tym mieli podobny gust, jeśli chodzi o domy. Gdy tylko zobaczyli czteropiętrową kamienicę z osiemnastego wieku, oboje uznali natychmiast, że to dom dla nich. Był przestronny, widny i jasny.

— Chociaż rozpaczliwie potrzebuje przemeblowania — powiedziała Caitlin do Williama w dniu, gdy ich oferta została przez właściciela przyjęta.

William wymamrotał coś pod nosem, dziwiąc się, dlaczego nie woleli zbudować po prostu nowego domu. „Mniej roboty”, burknął. Lecz Caitlin i Lucienowi to nie przeszkadzało. Przez ostatnie pół roku większość weekendów spędzili, doprowadzając z pasją dom do stanu, w jakim chcieli go widzieć. Zaczęli od przerobienia piwnicy na ciemnię dla Luciena i strychu na przestronną, widną pracownię dla Caitlin.

Gdy otworzyła frontowe drzwi, jej nozdrzy dobiegła woń świeżej farby. Lucien wziął się więc wreszcie do malowania jadalni, pomyślała. Pomimo iż mieli tyle obowiązków, postanowili zrobić wszystko sami. Zajmowało to jednak mnóstwo czasu.

W domu panowała cisza.

— Lucien? — zawołała.

Nie było odpowiedzi. Najpierw sprawdziła parter. Nie znalazłszy Luciena, zeszła do piwnicy, a gdy przekonała się, że i tam go nie ma, ruszyła na piętro.

Znalazła go w końcu śpiącego w ich łóżku i ubranego jedynie w poplamione farbą dżinsy. Podkoszulek leżał, rzucony niedbale, na podłodze. Uśmiechnęła się na widok plam farby na jego dłoniach, ramionach i włosach. Najwidoczniej postanowił wziąć prysznic, po czym uznał, że przedtem chwilę odpocznie, i zasnął.

Zdjęła po cichu buty i położyła się obok niego. Dzień był ciepły, w pokoju panował jednak przyjemny chłód. Przez otwarte na oścież francuskie okna wpadał wieczorny wiaterek, wydymając przejrzyste białe firanki.

Z początku tylko mu się przyglądała. Po chwili nie mogła jednak się oprzeć, by nie przysunąć się bliżej i nie położyć mu głowy na ramieniu. A kiedy mimo to się nie obudził, zaczęła całować jego pierś, przesuwając leciutko językiem po ciepłej skórze. Wreszcie się poruszył.

— Przepraszam — wyszeptała, kiedy zamrugał, a potem otworzył oczy. — Nie chciałam cię obudzić.

— Nie skarzę się — powiedział, ziewając. — Bardzo miło jest być budzonym w ten sposób, *cherie*. — Przeciągnął się i potarł dłońmi twarz. Zerknął na zegar przy łóżku i jęknął. — Jak to możliwe, że jest już tak późno?

— Tak bywa, kiedy przesypia się całe popołudnie zauważyła, drocząc się z nim.

Lucien się skrzywił. — Obiecałem chyba, że coś dla ciebie ugotuję — powiedział przeproszającym tonem.

— Możemy wyjść.

Sięgnął ku dłoni Caitlin, spoczywającej na jego płaskim brzuchu i splótł palce z jej palcami. — Może lepiej zostańmy — powiedział głosem niskim i cokolwiek ochryłym.

Pociągnął ją na siebie.

Westchnęła zadowolona. Życie nie mogłoby być bardziej doskonałe.

Rozdział czterdziesty ósmy

Gdy William przyszedł później tego wieczoru do biura Elizabeth, sądziła, że zjawił się, aby przeprosić za to, że poparł Caitlin. Tymczasem ojciec poprosił ją, by pojechała za dwa tygodnie do Tokio.

— Chciałem się tam wybrać, lecz po wczorajszym badaniu lekarz poradził mi, żebym się nie forsował. A twoja matka nie chce słyszeć o tym, że miałbym wsiąść do samolotu.

Elizabeth sprawdzała już swój terminarz. — O, nie! — jęknęła.

— O co chodzi?

— Te daty... zbiegają się z otwarciem Osaki. — A widząc, że ojciec patrzy na nią, nie rozumiejąc, dodała: — Wiesz, nowej restauracji Cole'a.

Jego marzenie o stworzeniu bardziej ekskluzywnej wersji Kobe wreszcie się urzeczywistniło. Nie ma mowy, by mogło jej tam nie być. — Nie mogłabym polecieć tydzień później? — spytała błagalnie.

William prychnął zirytowany. — Za późno już, by wszystko zmieniać. Wiesz, jak ważny jest ten wyjazd.

Owszem, wiedziała. I dlatego zaczęła natychmiast zastanawiać się, jak by tu zadowolić wszystkich: męża, ojca...

Po półgodzinie, sprawdzwszy plan spotkań i rozkład lotów, uznała, że prawdopodobnie będzie to możliwe. Mogłaby przylecieć do Londynu w dniu otwarcia i uczestniczyć w przyjęciu, choć nie była wcale pewna, czy zadowoli to Cole'a.

I miała rację.

— Chryste, Elizabeth — powiedział, gdy przekazała mu wieczorem nowiny. — Proszę cię tylko o jeden wieczór.

Wiesz, jak ważna jest ta podróż. Cole! Czego się spodziewałeś?

Spojrzał na nią chłodno. — Właśnie tego. Ze ta pieprzona firma znowu okaże się ważniejsza.

Zmieniła zatem podejście. — Obiecuję, że wrócę na czas. — Podeszła i pocałowała go w ramię. — Wiesz, że nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć restaurację.

Lecz Cole nie dał się tak łatwo ułagodzić. — Jasne. Zrobisz, jak zechcesz. — Odsunął ją, podszedł do lodówki i wziął sobie piwo, nie pytając żony, czy ma na coś ochotę. Elizabeth poczuła się nagle bardzo zmęczona.

Podczas gdy ostatnie dwa lata były najlepsze w życiu Caitlin, Elizabeth nie miała tyle szczęścia. Pracy nie ubywało, a życie rodzinne coraz bardziej kulało — sprzeczki, takie jak ta przed chwilą, zdarzały się im nagminnie. A co najgorsze, nikt nie doceniał jej wysiłków.

Dzisiejszy incydent w sali posiedzeń zarządu też był typowy. Wszyscy uważali, że to, iż firma znowu rozkwitła, jest wyłącznie zasługą Caitlin.

— Czyż nie dopisało nam szczęście, że mamy Caitlin? — powtarzano.

Za każdym razem gdy to słyszała, czuła się tak, jakby kopnięto ją w żołądek. Nikt nie doceniał znaczenia zmian, jakie wprowadziła, a przecież były dla firmy równie kluczowe, co sukces kolekcji. Próbowwała się nie przejmować. Pracowała ciężko i doglądała wszystkiego, pilnując, by nic nie zagroziło sukcesowi. A potem w gazecie ukazywał się artykuł podobny do *tego w Financial Times*, gdzie pomijano zupełnie jej rolę w odzyskaniu przez firmę dawnego blasku, napomykając wręcz, że to Caitlin może zostać mianowana następczynią Williama. Czytała i stare rany otwierały się na nowo.

Oczywiście tego rodzaju przypuszczenia były po prostu śmieszne. Caitlin może i stworzyła zabójczą kolekcję, nie miała jednak wiedzy i umiejętności niezbędnych, by zostać dyrektorem naczelnym. Elizabeth wiedziała, że stanowisko przeznaczone jest dla niej. Ojciec jeszcze tego co prawda nie potwierdził, nie miała jednak poważnych konkurentów. Pracowała na to od lat. To było jej dziedzictwo.

Gdy William wyznaczy w końcu następcę, życie stanie się łatwiejsze, Była tego pewna. — Poczuję się wtedy pewniej — powtarzała mężowi. — I zacniemy znów żyć normalnie.

Zawsze przytakiwał, odpowiadając, że brzmi to wspaniale. Ostatnio czuła jednak, że już jej nie wierzy.

W dwa tygodnie później wysiadła z samolotu wprost w przymglony, wilgotny upał Tokio. Nim doszła do terminalu, jej ciało zdążyło pokryć się warstewką potu. Nie była to najlepsza pora roku, by wybrać się do Japonii. O ile wiosna, ze słynnymi kwitnącymi wiśniami, mogła być przyjemna, lato bywało niezmiennie parne i wilgotne. Oddałaby wszystko, aby być tego dnia gdzie indziej, głównie z powodu konfliktu z Cole'em. Niestety, nie mogła odmówić ojcu...

Po blisko ośmiu latach partnerstwa pan Motoyama chciał wycofać się ze spółki. Zawsze był niechętnym inwestorem, a po tym jak rozwiódł się rok wcześniej z ogarniętą obsesją na tle markowych ubrań żoną, jego zainteresowanie Melville 'em zanikło. Suma, którą wyłożył kiedyś, wzrosła dziesięciokrotnie. Chciał wycofać gotówkę i zainwestować ją gdzie indziej. Gdyby chodziło o kogoś innego, Elizabeth poprosiłaby o przełożenie terminu spotkania. Znała jednak Motoyamę. Był władczy mężczyzną, którego łatwo było urazić, a nie chcieli, by zepsuł im opinię u miejscowych odbiorców.

Piers zaproponował, że pojedzie zamiast Elizabeth, lecz William nie chciał o tym słyszeć.

— Nie bądź śmieszny, Piers — powiedział z lekceważeniem. — Nie ma mowy, żebyś poradził sobie z tym sam.

Elizabeth spostrzegła, że Piers czuje się zraniony szorstką odprawą. Zrobiło jej się żal wuja, toteż podeszła do niego później i powiedziała, że jeśli zechce jej towarzyszyć, będzie bardzo mile widziany.

— Cóż... skoro jesteś pewna — odparł z powątpiewaniem.

— Będziemy mieli okazję побыć trochę razem, wujku — powiedziała. — Prawie cię ostatnio nie widuję.

Ich cotygodniowe wspólne kolacje należały już do przeszłości. Skoro nie miała czasu dla męża, byłoby jej trudno wytłumaczyć, dlaczego znajduje go dla wuja. Poza tym, szczerze mówiąc, miło jej będzie mieć go przy sobie. Czuła się ostatnio zaskakująco samotna.

Zanosiło się na bardzo intensywny pobyt. Elizabeth zorganizowała go z wojskową precyzją, zdecydowana załatwić sprawę i wrócić na otwarcie restauracji Cole'a. Przylecieli do Tokio we wtorek rano i spędzili dzień w salonie w Ginzie. Główne spotkanie z panem Motoyama zaplanowane zostało na środę, a wylot z Tokio na środowe popołudnie. Na Heathrow znaleźliby się o czwartej następnego dnia.

— Będę miała dość czasu, aby przyjechać do domu, przebrać się i dotrzeć do Soho, kochanie — zapewniała Cole'a w wieczór przed wylotem.

Za całą odpowiedź musiało jej wystarczyć chrząknięcie.

Kiedy spotkali się we wtorek z Motoyama przy kolacji, Elizabeth spróbowała poruszyć temat joint venture w nadziei, że zaoszczędzi jej to czasu we środę. Lecz Motoyama machnął tylko dłonią, niwecząc jej starania.

— Dziś spotkaliśmy się dla przyjemności. O interesach porozmawiamy jutro.

Choć takie postawienie sprawy było jej mocno nie na rękę, nie miała wyboru. Pocieszała się myślą, że Motoyama wydaje się być w dobrym humorze — to zaś dawało nadzieję, że środowe negocjacje przebiegną szybko i bezboleśnie. Nie mogła bardziej się mylić. Po pierwsze, Motoyama spóźnił się półtorej godziny.

— W mojej hucie w Kawasaki miał miejsce wybuch — wyjaśnił. — Oczywiście musiałem się tym zająć.

Elizabeth próbowała wyglądać tak, jakby doskonale to rozumiała. — Oczywiście — przytaknęła, myśląc o tym, że jeśli zaczną niezwłocznie, nadal ma szansę zdążyć na samolot.

Tak się jednak nie stało. Motoyama przerywał kilka razy rozmowę, żeby wyjść i dowiedzieć się, jak przebiega akcja w hucie. Nie sposób było skupić się na szczegółach umowy, skoro co chwila trzeba było się zatrzymywać, a potem z marszu kontynuować. Co gorsza, w miarę jak upływały godziny, Elizabeth przekonała się, że jej też trudno skupić uwagę. Tak bardzo martwiło ją, że nie zdąży na samolot, iż prawie nie była w stanie myśleć o tym, co mówi.

Piers znalazł jednak wyjście z sytuacji. Kiedy Motoyama wyszedł po raz szósty z pokoju, odciągnął Elizabeth na bok i powiedział:

W trzy godziny po naszym wylądowaniu z Tokio kolejny samolot British Airways. Może przenieśliśmy rezerwację? Dałoby nam to czas, żeby zakończyć spokojnie rozmowy, a ty zdążyłabyś na londyńskie przyjęcie.

Elizabeth zastanawiała się przez chwilę, uznała jednak, że to doskonały pomysł. Przyleci trochę później i nie będzie miała czasu się przebrać, nic lepszego nie zdoła jednak wymyślić.

— Zgoda — odparła zatem. — Tak zrobimy. — Uścisnęła dłoń wujka. — Dziękuję, wujku. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Piers ruszył na poszukiwanie telefonu, bardzo z siebie zadowolony. Liczył na to, że Elizabeth, zajęta negocjacjami, nie zwróci uwagi na wiadomości. Latem w Tokio, poza duchotą i upałem, często zdarzały się tajfuny. Od kilku godzin ostrzegano, że oto nadciąga kolejny. Kilka ostatnich samolotów właśnie odlatywało, a potem lotnisko miało zostać zamknięte. To zaś oznaczało, że będzie miał Elizabeth dla siebie przez cały wieczór — co da mu dość czasu, by mógł zacząć nad nią pracować.

Czekał ponad dwa lata, by zemścić się na Williamie. Intrygował i knuł, czekając na właściwy moment. Teraz miał tylko nadzieję, że starczy mu odwagi, by przeprowadzić to, co sobie zamyślił.

Po czterech godzinach Elizabeth wyszła ze spotkania w fantastycznym humorze. Ustalili warunki wykupu przez Melville'a udziałów Motoyamy w joint venture i miała jeszcze mnóstwo czasu, by złapać późniejszy samolot. Dopiero gdy spróbowała zamówić samochód, by zawiózł ich na lotnisko, zorientowała się, że coś jest nie tak.

— Nie jeździmy na lotnisko. — Recepcjonista wskazał na ekran telewizora nastawionego na stację CNN, podającą co i rusz ostrzeżenia o tajfunie. — Samoloty nie latają.

Elizabeth wpatrywała się przerażona w ekran ukazujący opustoszałe ulice, chłostane wściekle zacinającym deszczem. Kiedy to się u licha stało? Zamknięci w wytwornie urządzonej, odpornych na trzęsienia ziemi wnętrzach siedziby głównej Motoyamy nie mieli pojęcia, co dzieje się na zewnątrz. I co teraz? pomyślała.

*

Cole wiedział, jak skończy się ten wieczór. Wiedział to od chwili, kiedy odebrał wiadomość od Elizabeth. Przepraszała, zapewniając, że jest jej naprawdę bardzo przykro i przemawiając błagalnym, chociaż cokolwiek obronnym tonem. Cóż, pewnie, może i to, że Tokio nawiedził przekłęty monsun, tajfun czy jak go tam zwał, nie było jej winą. Jakikolwiek był powód, nie stała przy boku męża podczas najważniejszego wieczoru w jego życiu. Przeciwnie niż Mariko.

Może sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby Osaka nie okazała się aż takim sukcesem. Lecz wszyscy zgadzali się co do tego, że tak właśnie jest. To było coś więcej niż restauracja — atmosfera w lokalu przypominała raczej szykowny nocny klub: mroczny, nastrojowy, seksowny. Podchodzili kolejno do Cole'a, by mu pogratulować — dziennikarze, celebryci, koledzy z branży. Wymieniali nazwy najlepszych restauracji z kuchnią Dalekiego Wschodu. Mówili, że Osaka to kolejny Zuma, następny Hakkasan. Nic dziwnego, że czuł się jak król stworzenia i nie chciał, by wieczór szybko się skończył.

O pierwszej nad ranem goście zaczęli się jednak rozchodzić. Caitlin i Lucien wyszli jako jedni z ostatnich.

— Musimy lecieć, Cole — Caitlin ucałowała go w oba policzki, a potem dodała, zniżając głos: — Elizabeth na pewno bardzo żałuje, że nie mogła być tu dziś z tobą.

— Chodź — powiedział Lucien, ujmując jej dłoń. — Zabieram cię do domu, inaczej nie będziesz w stanie podnieść się rano z łóżka.

Cole przyglądał się, jak wchodzi razem po schodach i nagle zateśknął za czasami, gdy on i Elizabeth zachowywali się tak samo.

Zatem gdy po chwili słodka, potulna Mariko podeszła do niego — wyglądając szczególnie ślicznie w blad różowej sukience — i zapytała, czy nie miałby ochoty wybrać się z nią na drinka, co miał, u diabła, powiedzieć? Pomyślał o pustym domu i pustym łóżku. Spojrzał na stojącą przed nim piękną młodą kobietę i uznał, że co to szkodzi? Tylko jeden drink.

— Dokąd chcesz pojechać? — zapytał, kiedy znaleźli się w taksówce.

— Może wolałbyś wstąpić do mnie? — odparła z oczami skromnie spuszczone.

Mieszkała sama w niewielkim apartamencie z jedną sypialnią w Angel. Niedawno się wprowadziła, toteż w mieszkaniu czuć było jeszcze świeżą farbę. Nim tam dotarli, Cole zdążył już zrozumieć, że popełnił poważny błąd. Nie mieli sobie nic do powiedzenia. Mariko po prostu chichotała i spoglądała na niego z absolutnym podziwem. Trochę było mu jej żal. Zostanie na drinka, a potem się wymknie.

— Zaraz wracam. — Zachichotała znowu. Zaczynało go to już irytować. — Rozgość się.

Zniknęła w pokoju, który był prawdopodobnie sypialnią.

Przemierzał salonik, kołyszając tanią whisky w szklance i zastanawiając się, jak by tu uciec. Gdy tylko Mariko wróci, on wyjdzie. Czekał i czekał. Co ona tam u licha robi? Może powinien zmyć się już teraz, nim sytuacja stanie się jeszcze bardziej niezręczna? Dopił drinka.

— Posłuchaj — zawołał. — Może lepiej pójdę...

Słowa zamarły mu na ustach, gdy drzwi sypialni otworzyły się gwałtownie i dziewczyna weszła do pokoju. Teraz było już jasne, co zajęło jej aż tyle czasu. Różowa sukienka zniknęła, zastąpiona kremowym negliżem i zachęcającym uśmiechem.

Kogo próbował oszukać? Nigdzie się tej nocy nie wybierał.

Tymczasem Elizabeth i Piers schronili się w hotelu. Elizabeth próbowała dostać się mimo wszystko na lotnisko, mając nadzieję, że uda im się załapać na ostatni lot. Lecz Piers przekonał ją, że nie ma na to szans.

Zgodziła się chętnie, by przeczekali razem sztorm. Rozmowa z wujem pomoże jej nie myśleć przez cały czas o Cole'u. Teraz siedzieli więc na niskich skórzanych fotelach w hotelowym lobby wraz z innymi przestraszonymi gośćmi. Choć było dopiero późne popołudnie, na zewnątrz zapadł już zmrok, a ulice opustoszały. Wiatr dął z taką mocą, siekąc strugami deszczu o ściany, że trudno im było usłyszeć się nawzajem.

— Zdecydowali już państwo, co zamówią? — spytała kelnerka, podchodząc do nich.

Piers zamówił zieloną herbatę, a Elizabeth brandy. Potrzebowała czegoś, co pomogłoby jej się odprężyć. Cole nie oddzwonił, wiedziała zatem, że jest wściekły.

Na szczęście Piers zdawał się rozumieć, co czuje bratanica. Podtrzymywał niezobowiązującą rozmowę, póki nie poczuła się lepiej.

W końcu zaczęli rozmawiać o Armandzie Bouchardzie. Krążyły pogłoski, że potentat zamierza podjąć kolejną próbę przejęcia Melville'a. Elizabeth jęła zastanawiać się, jakie mają możliwości obrony. Tak, Bouchard mógł wykupić czterdzieści procent akcji dostępnych na wolnym rynku. Gdyby mu się to udało, mógłby utrudnić im życie, domagając się miejsca w zarządzie i próbując wpłynąć na politykę firmy.

— Wszystko sprowadza się do tego, byśmy zdołali przekonać udziałowców, że spółka może zyskać jeszcze na wartości, a obecny zarząd będzie w stanie to zrealizować — powiedziała.

— Owszem — przytaknął. — Przypuszczam jednak, iż może się to okazać trudne, skoro nadal nie wiadomo, kto zostanie mianowany następcą twego ojca.

Elizabeth uniosła raptownie głowę. — Nie wiadomo? — podchwyciła. — Dlaczego miałyby to budzić wątpliwości?

Piers potrząsnął szybko głową. — Przepraszam. Nie wiem, dlaczego tak powiedziałem. To nic takiego... zapomnij, że o tym wspomniałem.

Elizabeth zmrużyła oczy. — Gdybyś coś o tym wiedział, wujku, to byś mi powiedział, prawda?

Pochylił się nad stolikiem i ścisnął jej dłoń. — Oczywiście, Elizabeth. Ale zapewniam, że nie ma o czym mówić. Tak tylko palnąłem. Nie miałem na myśli nic konkretnego.

Elizabeth wpatrywała się w niego przez chwilę. Wydawał się Okropnie wzburzony, policzki miał zaróżowione, na czole i wokół kołnierzyka perlił się pot. Zmusiła się do uśmiechu, widząc, jak bardzo przejmuje się tym, że ją zdenerwował.

— Wiem, że nie miałeś — powiedziała. — Tak czy inaczej — potrząsnęła głową, jakby próbowała pozbyć się niechcianych myśli — dość o interesach. Może opowiedziałbyś mi, jak zamierzasz zmienić wystrój swojego domu?

Spostrzegła, że się odprężył, i uznała, że miała rację. Ojciec napomknął widać o tym, kogo zamierza mianować swoim następcą i najwidoczniej nie chodziło tu o nią. Lecz kogo mógł mieć na myśli?

Caitlin.

Imię pojawiło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wspomniała artykuł sprzed kilku tygodni, w którym siostrze przypisywano całą zasługę za to, iż firma była znowu w rozkwicie. Lecz ojciec wie przecież, że nie tak to wyglądało. Tylko czy na pewno?

Przez resztę wieczoru niewiele się odzywała. Uświadomiła sobie nagle, że Armand Bouchard to najmniejszy z jej problemów. Dlatego gdy zadzwoniła następnego ranka do Cole'a i okazało się, że nie jest na nią aż tak wściekły, jak się spodziewała, odetchnęła z ulgą. Nie protestował nawet, kiedy mu powiedziała, że chciałyby zmienić trasę przelotu i zajrzeć po drodze do Los Angeles.

— Tatuś nie miał od jakiegoś czasu wieści od Amber — powiedziała. — Chciałby, żebym sprawdziła, co u niej. Zostanę tam tylko jedną noc i wrócę do Londynu. — Zawahała się na chwilę, a potem dodała: — To znaczy, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Nie — odparł. — Nic a nic.

To, że okazał się tak zgodny, było zaskakujące, ale sprawiło też Elizabeth ulgę. Ostatnim, czego teraz potrzebowała, były kłopoty małżeńskie. Cokolwiek spowodowało, że Cole złagodniał, nie zamierzała się skarżyć.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Amber zamknęła oczy. Przez krótką chwilę była znów w swoim ferrari F430, mknąc ulicami Beverly Hills. Nagły dźwięk klaksonu przywołał ją do rzeczywistości. Poobijany nissan, którym obecnie jeździła, utknął w korku na 1-405 prowadzącej w stronę jeziora Balboa.

Na domiar złego było kolejne parne popołudnie, a klimatyzacja w samochodzie nie działała. Opuściła niżej szybę, wpuszczając gorące, cuchnące wyziewy. Nic dziwnego, że w Valley było tak tanio. Pogoda zachęcająca do zamieszkania w Los Angeles, tutaj, w niżej położonej okolicy, potrafiła dać się we znaki. Było tu zdecydowanie goręcej, a smog gęściejszy.

Wreszcie samochody ruszyły. Skreśliła w następny zjazd, podążając za znakami — opisanymi po hiszpańsku — póki nie wjechała w skromną podmiejską ulicę, gdzie od sześciu tygodni mieszkała. Skreśliła na podjazd, zgasiła silnik i siedziała przez dłuższą chwilę, spoglądając bezmyślnie przed siebie. Nie przywykła jeszcze do tego, że mieszka w takim domu. Jego widok nieodmiennie ją zaskakiwał.

Mniej więcej przed sześcioma miesiącami stało się oczywiste, że jest splukana. Księgowy Amber, Taylor Hammond, dżentelmen o ojcowskim wyglądzie, skłonił ją, by z nim usiadła, i przedstawił twarde fakty.

— Nie możesz już sobie pozwolić, aby tu mieszkać — powiedział, wskazując luksusowe wnętrza domu przy Summit Circle.

— A gdyby zaciągnąć kolejną pożyczkę pod hipotekę? — zaproponował Johnny. Pojawił się nie wiadomo skąd i teraz brat udział w spotkaniu.

Taylor obrzucił go pełnym pogardy spojrzeniem, a potem zwrócił się znów do Amber: — Bank prolongował ci spłatę już dwukrotnie, zakładając, że wrócisz wkrótce na szczyt. Teraz to się wydaje nieprawdopodobne. — Zamilkł i odwrócił wzrok, niezdolny spojrzeć jej w oczy.

Amber rozumiała sytuację. Od czasu skandalu z Glamour prawie nie pracowała. Przez dwa lata żyli oboje z jej oszczędności... Nic dziwnego, że była spłukana.

Przeprowadzka stała się więc nieuchronna. Ponieważ chciała zyskać za swoje pieniądze jak największą przestrzeń, zatrudniła pośrednika nieruchomości, działającego w Dolinie San Francisco. To było przykre przebudzenie. Po sześciu latach w Los Angeles okazało się nagle, że niewiele wie o tym mieście. Szybko nauczyła się omijać dzielnice, do których lepiej było się nie zapuszczać — Van Nuys, Reseda. W porównaniu z nimi Lake Balboa nie było wcale takie złe. Dom też był taki sobie — dwie sypialnie, dwie łazienki, żadnych bajerów. Z tyłu znajdował się niewielki basen nadający się jedynie do tego, by się ochłodzić. I tak było to najlepsze, co zobaczyła w ciągu pięciu dni szukania. Johnny nie wykazał zainteresowania poszukiwaniem nowego domu.

— To twoje pieniądze, dziecino — powiedział, wzruszając ramionami.

Zatem, jak to się jej ostatnio nagminnie zdarzało, także i tę ważną decyzję musiała podjąć sama.

Przeprowadzka stanowiła wstrząs. Amber uświadomiła sobie, jak była dotąd arogancka. Miała świat u stóp i wszystko zepsuła. Po tym, jak w *Celebrity Magazine* ukazały się tamte fotografie, żadna z wielkich marek nie chciała mieć z nią już do czynienia. Prasa zwróciła się przeciwko niej. Zaczęto plotkować, że spóźnia się na zdjęcia i nagle okazało się, że ma reputację primadonny.

Johnny nie mógł zrozumieć, dlaczego Amber tak się tym przejmuje.

— Pieprzyć ich wszystkich — powiedział.

A ona, głupia, posłuchała. Zapewne mogłaby ocalić coś ze swej kariery po tamtym skandalu w klubie, gdyby choć trochę się postarała. Lecz łatwiej było zgodzić się z Johnnym i wszystko lekceważyć.

Z początku w ich życiu niewiele się zmieniło. Wstawali, ubierali się i wychodzili balować w te same miejsca co przedtem, z tymi samymi ludźmi. Jednakże z czasem strumień zaproszeń zaczął wysychać. Coraz trudniej było zamówić stolik w Ivy lub Spago, nie umieszczano już ich na listach VIP-ów zapraszanych na otwarcie nowych klubów.

Jim-Bob i Devon, podobnie jak inni tak zwani „przyjaciele”, przestali odpowiadać na telefony. Lecz Amber nadal się nie przejmowała. Wszystko się ułoży, była tego pewna.

Tylko że tak się nie stało.

Wyprowadzka z Summit Circle stanowiła bodziec, którego potrzebowała, by się otrząsnąć. Wieczorem w dniu, gdy się przeprowadzili, po raz pierwszy od dłuższego czasu nie tknęła alkoholu ani narkotyków. Spróbowała nawet ugotować dla siebie i Johnny'ego kolację.

— Muszę pozbierać się do kupy — powiedziała, kiedy wcinali rozgotowany makaron. — Wrócić do pracy, zarobić trochę forsy.

— Jak chcesz. — Johnny odsunął na wpół opróżniony talerz i sięgnął po papierosa. — Nie wiem, czym się tak przejmujesz. Myślałem, że masz dzianą rodzinę. Nic możesz poprosić tatusia, żeby kapnął ci trochę forsy?

— Chcę sama na siebie zarabiać. — Poza tym i tak nie dałby mi pieniędzy, dodała w myśli.

Cóż, nie była to tak do końca prawda. Rodzina była w pełni świadoma, jak nisko Amber upadła podczas ostatnich dwóch lat — tego, co przemilczała, dowiedzieli się z prasy. Jednak plotki o narkotykach sprawiły, że stali się czujni. Ojciec uznał, że pora zastosować „twardą rękę”. — Wróć do domu, poddaj się leczeniu, a ja z radością będę cię wspomagał. Ale dopóki upierasz się, by mieszkać w tym miejscu — nie krył swej pogardy dla Los Angeles — pozostajesz zdana na siebie. I słowa dotrzymał. Oczywiście dostawała od czasu do czasu trochę gotówki, były też prezenty — urodzinowe oraz świąteczne. Prosiła zwykle o biżuterię, którą łatwo było sprzedać. Gdyby mocno się postarała, mogłaby zapewne wyciągnąć trochę pieniędzy od matki czy Caitlin. Tym razem nie chciała iść jednak po linii najmniejszego oporu.

Amber nie była typem osoby skłonnej analizować swoje postępowanie oraz pobudki. Lecz podczas kilku ostatnich tygodni zaczęła

zastanawiać się, co dokładnie osiągnęła w życiu. Niestety, odpowiedź, brzmiała: nic. Wielkie, okrągłe zero. To była trzeźwiąca myśl: dwadzieścia pięć lat i nic, czym można byłoby się pochwalić. Och, pewnie, była modelką znaną na całym świecie. Lecz stało się tak głównie za sprawą szczęścia, nie pracy czy umiejętności. Tym razem miało być inaczej.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, pomyślała, wysiadając z samochodu.

Przed miesiącem udało jej się zawrzeć umowę z trzeciorzędnym agentem, który wysłał ją dziś na pierwszy casting. Miała to być kampania reklamowa dla Break, marki gotowych ubrań. Nie poszło jej tak, jak by sobie życzyła. Musiała stać w kolejce ze stu pięćdziesięcioma innymi dziewczętami po to jedynie, aby po trzech godzinach usłyszeć, że nie ma świeżego wyglądu, jakiego szukają. Może następnym razem pójdzie mi lepiej, pomyślała, wysiadając.

Weszła do domu i natychmiast rzuciło jej się w oczy, że Johnny nie zrobił tego, o co prosiła: nie posprzątał, choć nie miał nic innego do roboty. Westchnęła ciężko i pochyliła się, by podnieść wiaderko z KFC, leżące na podłodze obok telefonu w nadal pustym holu. Meble z jej dawnego lokum były za duże i zbyt luksusowe, by przenieść je tutaj, a nie miała dotąd czasu albo gotówki, żeby rozejrzeć się za innymi. Johnny siedział z tyłu domu, otoczony ósemką kumpli, z których większości nie znała. Wyglądało na to, że zrobili sobie popołudniową imprezę — wszędzie walały się pudełka po pizzy i ktoś ustawił w piramidę puszki po piwie. Amber zmrużyła gniewnie oczy, gdy zobaczyła, że Johnny wciera krem do opalania w plecy blondynki. Miała na imię Sheri i była królową piękności z Teksasu. Przyjechała do Los Angeles przed sześcioma miesiącami i uczęszczała w dzień na kursy aktorskie, wieczorami zaś pracowała jako barmanka w jednym z klubów. Tam właśnie poznał ją Johnny. Na Sheri, która uwielbiała do niedawna Kalejdoskop, to, że poznała lidera grupy, zrobiło wielkie wrażenie.

Johnny, który nigdy nie miał dość uwielbienia, z ochotą włączył ją do swego kurczącego się orszaku.

Nie zauważyli Amber, cofnęła się więc i przez chwilę patrzyła, jak Johnny wmasowuje krem w skórę Sheri, pozostawiając dłonie na ciele dziewczyny dłużej, niż było trzeba.

W końcu chrząknęła, dając im znak, że tam jest. Johnny podniósł wzrok i spojrzął na nią.

— Hej, Amber. Jak poszło?

Nie wydawał się ani trochę zmieszany, że przyłapała go z Sheri. Zirykowało to Amber. Wiedział, że ona nie lubi dziewczyny — Sheri miała dziewiętnaście lat i była bardzo zarozumiała — mimo to ją zaprosił.

— Dobrze — odparła chłodno. Nie zamierzała opowiadać w obecności Sheri, jak poniżające było to doświadczenie.

Sheri usiadła. Miała na sobie najmniejsze z możliwych bikini w kolorze metalicznego srebra. Zdjęła stanik, żeby równo się opalić, nie zadała sobie jednak trudu, by zakryć silikonowe piersi.

— To był casting dla Break? — spytała, wyciągając długą, smukłą nogę i podziwiając opaleniznę. — Słyszałam, że zjawił się tam istny tłum.

Amber zmarszczyła brwi. Nagle uświadomiła sobie, że poznaje srebrne bikini — należało do niej. Sheri weszła najwidoczniej do sypialni i po prostu je sobie wzięła. Miała ochotę coś powiedzieć, wiedziała jednak, że zabrzmiałoby to małostkowo.

— Boli mnie głowa, więc zdrzemnę się w domu. Może mógłbyś trochę przystopować — powiedziała znacząco.

Johnny nie zrozumiał aluzji lub postanowił ją zignorować.

— OK, dziecino. Do zobaczenia później.

Gdy szła przez patio, usłyszała, jak śmieją się z Sheri. Doskonałe zakończenie okropnego dnia, pomyślała.

Odczekała, aż nieproszeni goście sobie pójdą i dopiero wtedy wyszła z pokoju. Przesiedziała tam, wściekając się, całe popołudnie i czuła, że musi powiedzieć Johnny'emu coś do słuchu. Znalazła go w pokoju telewizyjnym. Leżał na sofie, oglądając program na kanale muzycznym. Wziął sobie kolejne piwo, nie pofatygował się jednak, by zajrzeć do Amber i zapytać, jak się czuje.

— Czy Sheri musi tu stale przesiadywać? — spytała, przycupnąwszy w nogach sofy, tuż przy jego stopach. — Wiesz, że jej nie lubię.

Podrzucił orzeszek, odchylił w tył głowę i złapał go ustami.

— Dlaczego? — zapytał, przeżuwając. — Bo jest od ciebie ładniejsza?

Skuliła się, jakby ją uderzył. Spozregł to i przewrócił oczami.

— To był żart, Amber. Potrafisz chyba zrozumieć pieprzony żart, co?

— Nie zabrzmiało to wcale jak żart — odparła słabiutkim głosem.

— Och, pieprzyć to. Opuść sobie, dobra? Jakbym nie miał dość zmartwień.

Chciała sprawić, żeby zrozumiał, jak bardzo dotknęła ją ta uwaga. Znała jednak ten ton głosu aż nadto dobrze i wolała nie ryzykować. Opuściła więc — dokładnie tak, jak się spodziewał.

— Przepraszam — powiedziała, choć nie była pewna, w czym zawiniła. — To dlatego, że nie poszło mi dziś za dobrze.

Spojrzał na nią chłodno.

— Ciebie przynajmniej ktoś chciał posłuchać, Amber. Jak wiesz, mnie olewają od miesięcy. Nie ma potrzeby kłuć mnie tym w oczy.

— Nie o to mi chodziło!

Rzucił pilota i zsunął nogi z sofy, mijając o centymetry jej głowę.

— Pieprzę. Spadam stąd.

Amber wstała niezgrabnie i wyszła za nim.

— Proszę, Johnny. Nie idź. Nie chciałam, by tak to zabrzmiało. Lecz on nie słuchał. Wskoczył do samochodu i trzasnął drzwiami.

Patrzyła bezradnie, jak wyjeżdża z rykiem silnika z podjazdu.

Czekała na niego aż do świtu. Bała się, że nie wróci, a wszystko przez to, że była w złym nastroju z powodu głupiego castingu. Martwiła się, ponieważ choć rozum podpowiadał jej, że związek z Johnnym jest dla niej zgubny, serce mówiło, że bez niego byłoby jeszcze gorzej.

Gdzieś pomiędzy łzami a zmartwieniem musiała wreszcie zasnąć. Obudziła się, kiedy poczuła, że Johnny wchodzi do łóżka.

Czekała, by ją przytulił. A gdy tego nie zrobił, odwróciła się na bok i spojrzała na niego. Leżał na kołdrze, jak zawsze nagi, z rękami założonymi za głowę. Poznała po oddechu, że nie śpi.

— Przepraszam za wczorajszy wieczór — powiedziała cicho.

Ziewnął i poczuła woń whiskey.

— Nie przejmuj się.

Przynajmniej już się na nią nie gniewał. Chcąc wynagrodzić mu to, że go zdenerwowała, sięgnęła w dół i potarła dłonią jego członek. Nie zareagował, a po chwili odepchnął jej dłoń.

— Nie teraz, kochanie. — Odwrócił się od niej.

Przywarła do jego pleców. I jeśli nawet wyczuła zapach perfum Sheri, postanowiła się tym nie przejmować. Wystarczyło jej, że wrócił.

W kilka dni później zadzwoniła Elizabeth. Powiedziała, że przylatuje na jedną noc do Los Angeles i zapytała, czy Amber chciałaby się z nią zobaczyć.

Amber podskoczyła niemal z radości. — Och, tak — odparła zaskoczona tym, jak bardzo cieszy ją perspektywa spotkania z siostrą. — Jak najbardziej.

Elizabeth chciała przyjść do nich, lecz Amber — nagle uświadomiła sobie, jak bardzo wstydzi się nędznego domku — zaproponowała, aby spotkały się na późnym śniadaniu w hotelu Bel-Air, gdzie zatrzymała się Elizabeth.

Gdy Amber weszła do restauracji, Elizabeth musiała bardzo się postarać, by ukryć, jak jest zaszokowana. Nie chodziło o to, że włosy miała oklapnięte, a cerę tłustawą jak u kogoś, kto notorycznie źle się odżywia. Najbardziej zaniepokoiło Elizabeth to, że Amber straciła całą żywotność. Sprawiała wrażenie osoby, która doznała zbyt wielu rozczarowań. Elizabeth musiała użyć całej siły woli, by przełknąć Izę i przywitać się tak, jakby z siostrą wszystko było w porządku. Zaczęły rozmawiać o tym, co działo się ostatnio w ich życiu. Amber zapytała, jak się ma Cole. — Doskonale — odparła szorstko Elizabeth, a potem zapytała, co u Johnny'ego. Spotkała chłopaka siostry tylko raz i z miejsca wzbudził w niej niechęć. — U niego też wszystko w porządku — powiedziała Amber ze wzrokiem utkwionym w menu. Przeszły czym prędzej do bezpieczniejszych tematów, plotkując o znajomych i członkach rodziny.

Dopiero gdy zjadły, a obsługa sprzątnęła talerze, Elizabeth spoważniała.

— Domyślasz się zapewne, że to tatuś zasugerował, bym przyleciała do Los Angeles — powiedziała.

— Ach, tak? — spytała Amber czujnie.

— Owszem. — Podczas lotu zaplanowała sobie dokładnie, co powie. Teraz wyciągnęła jednak rękę nad stołem, ujęła dłoń siostry i powiedziała po prostu: — Martwi się o ciebie, Amber. Wszyscy się martwimy. Wróć, proszę, do domu.

Łzy zakłuły Amber pod powiekami. Oczekiwała zwykłego kazania na temat stylu jej życia, braku ukierunkowania i tego, jakim rozczarowaniem okazała się dla rodziny. Na coś takiego była przygotowana. Ale to... Nie spodziewała się prostej, nie obwarowanej żadnymi warunkami prośby.

Elizabeth zachęcona tym, że Amber nie odrzuciła z miejsca propozycji, kontynuowała: — Musisz tylko się zgodzić, a natychmiast zarezerwuję ci bilet — mówiła z zapalem. — Możemy wyjechać jeszcze dzisiaj. Mamusia i tatuś na pewno bardzo się ucieszą...

Łzy napłynęły Amber do oczu. To było tak kuszące... Wrócić do Aldringham, zamieszkać w swoim dawnym pokoju, pozwolić, by dla odmiany to ktoś zajął się nią. Ale czy nic przyznałaby się tym samym do porażki? Chciała udowodnić im, że potrafi się pozbierać, że nie potrzebuje ich pomocy.

Jakoś udało jej się przełknąć łzy. — Och, Elizabeth, to miłe, że się martwicie — powiedziała z uśmiechem — lecz ze mną wszystko w porządku. Rzeczywiście przechodziłam ostatnio trudny okres, lecz teraz wszystko idzie ku lepszemu. Wspomniałam ci o filmie, w którym mogłabym ewentualnie zagrać? Producenci biorą mnie pod uwagę przy ustalaniu obsady.

Elizabeth westchnęła. — Nie — odparła. — Nie wspomnialiś.

— Cóż, nie mam pewności, czy coś z tego wyjdzie, lecz sytuacja wygląda dobrze i...

Elizabeth przysłuchiwała się, jak Amber paple z charakterystycznym dla siebie przesadnym zapalem. Wiedziała, że siostra kłamie, nie miała jednak serca tego jej wytknąć. Powiedziała, co miała powiedzieć — i teraz od Amber zależy, czy przyjmie wyciągniętą do niej dłoń.

*

Przez kilka tygodni po wizycie Elizabeth Amber starała się wytrwać w postanowieniu, że się poprawi. Zaczęła bardziej o siebie dbać, odstawiła prochy oraz alkohol i kładła się wcześniej, zamiast balować z Johnnym. Lecz była to niekończąca się walka. Każdy dzień przynosił nowe upokorzenia. Z celebrytki stała się nikim i wyglądało na to, że wszyscy postanowili nieustająco jej o tym przypominać.

— Co robię źle? — pytała błagalnym tonem swą agentkę.

Zena DeLaney była żującą gumę, palącą jak komin kobietą w średnim wieku. Wszystko co najlepsze miała już za sobą, i to pod każdym względem. Wynajmowała na biuro jeden pokój nad pralnią automatyczną i nie planowała w najbliższym czasie się przenieść.

Teraz wzruszyła obojętnie ramionami. — Kto wie? — powiedziała charakterystycznym nosowym głosem.

W duchu spisała już dziewczynę z Anglii na straty. Gdy uderzająco atrakcyjna dziedziczka weszła po raz pierwszy do biura, pomyślała, że trafia jej się okazja. Lecz szybko uświadomiła sobie, że Amber to ślepy zaułek. — Powrót w twoim wieku zawsze jest trudny.

Amber wyszła przygnębiona. Za stara w wieku dwudziestu pięciu lat. Najwidoczniej nie czeka jej długa przyszłość w zawodzie, jak przydarzyło się to Cindy Crawford czy Naomi Campbell. Lecz co innego mogłaby robić? Nie miała wykształcenia ani zawodu, więc jak zarobi na życie? Nagle ogarnęło ją zmęczenie. W kinie wyglądało to zdecydowanie inaczej — bohaterowie stawali bez trudu na wysokości zadania.

Johnny też nie okazał się pomocny. Próżno było spodziewać się z jego strony wsparcia.

— Spójrz prawdzie w oczy, skarbie — powiedział tamtego wieczoru, zaciągając się skrętem. — Jako modelka jesteś skończona. Zdarza się najlepszym. Ja musiałem się z tym pogodzić, więc i ty powinnaś.

Kusiło ją, by mu przypomnieć, że kiedy jeden z byłych członków zespołu, Dave Ridwell, wydał solową płytę, która trafiła na szczyt listy przebojów, wpadł w ciąg, który trwał dwa dni. Od tamtego czasu nie wspominał już o podpisaniu kontraktu z wytwórnią.

Ale czy miał rację? Naprawdę powinna poddać się nieuchronnemu?

Musiał wyczuć, że wola Amber słabnie, gdyż wyciągnął ku niej dłoń z jointem. — Masz. Od razu poczujesz się lepiej.

Wpatrywała się w skręta, myśląc o tym, jak dobrze byłoby zaciągnąć się słodkim dymem i nie myśleć o niczym, sprawić, by twarda rzeczywistość zniknęła, a kontury się rozmyły. Poczuć wreszcie upragniony spokój.

W końcu potrząsnęła jednak głową, zaskoczona tym, że jest w stanie to zrobić. Nie podejrzewała, że ma aż tyle silnej woli.

Johnny wzruszył ramionami. — Jasne. Twój wybór.

Amber poczuła przyływ dumy. Nie była gotowa się poddać. Jeszcze nie.

Po raz pierwszy odkąd się poznali, to Johnny zarabiał na życie. Teraz nie brakowało mu gotówki. Amber dobrze wiedziała, skąd pochodzą pieniądze, udawała jednak, że nie ma o tym pojęcia. W ich domu zjawiali się o każdej porze obcy ludzie z torbami na ramię i plecakami wypchanymi nie wiadomo czym. Szli za Johnnym do pokoju z tyłu domu i nie zostawali potem długo.

Interesy zawsze odbywały się za zamkniętymi drzwiami. Amber nie pytała, co się tam dzieje, a Johnny nie wspominał o szczegółach. Zawsze trzymała się z dala, kiedy „partnerzy od interesów”, jak lubił ich nazywać, kręcili się w pobliżu. Nie znosiła zwłaszcza jednego. Miał ksywkę Łasica i był Whiggerem — wysokim, chudym białym chłopakiem, któremu zdawało się, że jest Murzynem. Nosił zwisające nisko w kroku, workowate dżinsy, miał kolekcję podkoszulków bez rękawów, a jego chudy, blady biceps zdobił tatuaż wyobrażający łasicę palącą skręta. Nie uśmiechał się zbyt często, a kiedy to robił, widać było, iż zęby ma pożółkłe i zbrązowiałe — poza rzucającym się w oczy siekaczem, opatrzonym solidną złotą koronką. Najbardziej denerwowało Amber to, że próbował mówić jak chłopak z czarnego getta.

— *Sup my niggaz?* Jak leci, czarni bracia? — pytał, po czym przybijał z Johnnym piątkę, przesuwając pożądlivym spojrzeniem po ciele Amber. Kiedy przychodził, sięgała pośpiesznie po kolejną sztukę ubrania, aby się okryć.

Nie znosiła, kiedy wałęsał się poblizu. Dom nie był duży, lecz Łasica zdawał się znikać w ciemnych zakamarkach, czając się w cieniu i wyskakując znienacka, gdy przechodziła.

— Czy on musi tu przychodzić? — spytała pewnego razu Johnny'ego.

— Jeśli chcesz mieć co jeść, to tak. Cóż mogła na to odpowiedzieć?

Pewnego wieczoru wróciła do domu po szczególnie katastrofalnym przesłuchaniu do reklamy telewizyjnej. Czekala w kolejce dwie godziny, trzymając głowę wysoko i próbując ignorować wredne uwagi innych dziewcząt. Lecz kiedy o szóstej prowadzący casting wyszedł i poinformował je, że na dziś koniec i muszą przyjść jutro, poczuła, że ma dość.

Pospieszyła do domu, mając nadzieję, że Johnny nie zaprosił nikogo i spędzą wieczór we dwoje, jak na parę zakochanych przystało. Ale gdy tylko tam dotarła, od razu zorientowała się, że Johnny'ego nie ma. W domu było ciemno. Weszła, tłumiąc rozczarowanie. Z pozostawionej na kuchennym blacie notki dowiedziała się, że wyszedł z Łasicą i powinien wkrótce wrócić. Zmiała kartkę — przekonała się już, że jeśli chodzi o Johnny'ego, nigdy nie wiadomo, jak długo potrwa to „wkrótce”.

Godziny wlokły się nieznośnie. Nie chciała jeść — ktoś powiedział jej w zeszłym tygodniu, że zaczyna zaokrąglać się w biodrach — włączyła więc telewizor. Nie była jednak w stanie się skupić. Spoglądała co chwilę na zegarek, niespokojna i spięta, zastanawiając się, gdzie też może być Johnny.

O północy nadal go nie było, poszła więc spać. Do rana na pewno wróci, była tego pewna.

I rzeczywiście, wrócił, tyle że po dwóch dniach. Wszedł, jakby wyskoczył na chwilę po mleko. Tymczasem Amber była już nieprzytomna ze zdenerwowania.

— Gdzie byłeś? — krzyknęła histerycznie, rzucając mu się w ramiona. Obdzwoniła wszystkie szpitale i posterunki policji, szukając go. — Myślałam, że coś ci się stało!

Hej!, hej! - odsunął ją. — Przecież wróciłem, nie? Przestań sklamrzeć, kobieto.

— Ale gdzie byłeś? — spytała, pociągając nosem.

— Z Łasicą. Wybraliśmy się do Nuevo Laredo.

— Och. — Chciała zapytać, co robił w meksykańskim przygranicznym miasteczku, dlaczego nie zadzwonił. Wiedziała jednak, że to by mu się nie spodobało, więc się wstrzymała.

— Martwiłam się — powiedziała zamiast tego, czując, że zaraz znów się rozpłaczę.

Johnny potrząsnął głową. — Jeezu. Musisz się uspokoić. Uświadomiła sobie, że Johnny ma rację. Była wyczerpana. Od czterdziestu ośmiu godzin prawie nie spała, ale chodziło nie tylko o to. Była znużona bezowocnymi staraniami, ciągłym odrzucaniem

i świadomością własnego żalosego położenia. Wiedziała, że tylko jedna rzecz może przynieść jej ulgę.

— Tak — zgodziła się z nim. — Tak, masz rację. Co proponujesz?

Rozdział pięćdziesiąty

W Paryżu był wczesny ranek. Armand Bouchard siedział w gabinecie na najwyższym piętrze siedziby głównej GMS, rozmyślając o swym angielskim odpowiedniku, Williamie Melville'u.

Podobnie jak inne liczące się domy mody, GMS mieściło się przy Rue du Faubourg Saint-Honore. Była to w świecie mody prestiżowa lokalizacja. I choć koszty wynajmu były tu astronomiczne, Bouchard z ochotą je ponosił. Ilekroć rozejrzał się po siedzibie firmy, ogarniała go duma z tego, co osiągnął. Nie ma to jak możliwość oglądania co dzień efektów swoich życiowych osiągnięć, by człowiek czuł się zadowolony.

Oczywiście nawet najbardziej skuteczni biznesmeni popełniają czasami błędy. Dla Armanda, Melville było właśnie takim błędem. Teraz to widział. Osiem lat wcześniej wiedział jedynie, że angielski dom mody ma kłopoty. Powinien był wtedy działać, lecz się zawahał. Nie widział w przejęciu firmy interesu dla siebie i uznał, że jeśli trochę poczeka, zgarnie ją za bezcen.

Cóż, pomylił się. Teraz spółka warta była trzy razy tyle, ile zapłaciłby wówczas. Nie zamierzał jednak robić sobie wyrzutów. Williamem Melville'em kierowały duma i arogancja, podczas gdy on stawiał na chłodne rozumowanie i logikę. Właśnie dlatego prasa nadała mu przydomek „Napoleon”. Oczywiście żałował, że nie wykonał ruchu wcześniej. Nie znaczyło to jednak, że zrezygnował. Przeciwnie — gra nadal wydawała się warta świeczki.

*

Ale od ostatniego razu nie się z pewnością nie zmieniło, Armandzie — zaprotestował jego zastępca podczas ostatniego spotkania członków zarządu. — Skoro sześćdziesiąt procent udziałów pozostaje w rękach rodziny, jaką możesz mieć nadzieję, że zdołasz przejąć pakiet kontrolny? Żadne z nich ci nie sprzeda...

Pozostali dyrektorzy wymamrotali coś pod nosem, kiwając zgodnie głowami. Normalnie Armand by się z nimi zgodził. Dyrektorzy nie wiedzieli jednak o rozmowie, jaką odbył niedawno przez telefon. Rozmowie sugerującej, że rodzina nie jest tak jednomyślna, jak sądzono.

Ostatnio — a właściwie odkąd wprowadziła się do Luciena — Caitlin złapała się na tym, że myśli o urodzeniu dziecka. Może miało to coś wspólnego z faktem pozostawania w stabilnym związku, a może chciała mieć po prostu własną rodzinę, coś, czego brakowało jej przez całe dorosłe życie.

Z początku próbowała wyprzeć niewczesne myśli z głowy. Oczywiście zgadzali się co do tego, że pewnego dnia będą mieli dzieci, wyobrażała sobie jednak, że ten dzień nastąpi nie wcześniej jak za kilka lat. Poza tym wyglądało to na swego rodzaju psychologiczny banał — chce zostać matką, by wynagrodzić sobie to, że swoją straciła, gdy jej charakter i osobowość dopiero się kształtowały. Ale choć bardzo się starała, nie była w stanie o tym zapomnieć.

— Wiem, że to niemądry pomysł — powiedziała pewnego wieczoru do Luciena, kiedy zdecydowała się wyznać mu wreszcie, co czuje. — Jest mnóstwo powodów, by z tym poczekać — mamy oboje tyle zajęć i nie jesteśmy ze sobą zbyt długo...

Lucien przytaknął z poważną miną. — Masz rację. Jest milion powodów, by nie mieć teraz dziecka. — Caitlin poczuła przyływ rozczarowania. Lecz wtedy Lucien pochylił się ku niej i w jego oczach zabłysło rozbawienie. — Lecz kogo to obchodzi?

Odsunęła się zaskoczona. — Naprawdę?

Uśmiechnął się po swojemu, leniwie. — Naprawdę.

Dwa miesiące później, ku radości obojga, okazało się, że Caitlin jest w ciąży. W następny weekend wybrali się więc do Aldringham,

przekazać nowiny Williamowi. Ku rozbawieniu Caitlin ojciec wydawał się w pierwszej chwili z lekka zaszokowany i zażenowany. Tego się właśnie spodziewała, był w końcu tak staromodny...

— Nie będzie mógł za bardzo nas łajać — zapewniła Luciena, kiedy jechali samochodem. — Nie po tym, co przydarzyło się mojej matce.

Nie powstrzymało to jednak Williama, przed spoglądaniem z dezaprobatą na Luciena. Choć kiedy wyjaśnili, że zamierzają się pobrać, nim dziecko przyjdzie na świat, znacznie poprawiło mu to humor.

W rzeczy samej perspektywa zostania wkrótce dziadkiem wprawiła Williama w zachwyt. Kiedy Elizabeth opowiedziała mu, jak przebiegło spotkanie z Amber, bardzo się zmartwił. Nie miał pojęcia, jak dotrzeć do popadającej w ciągle tarapaty córki, skoro odrzuciła po raz kolejny jego starania. Dopiero wieść o tym, że wkrótce doczeka się pierwszego wnuka, poprawiła mu nastrój.

Od jakiegoś czasu zastanawiał się, jak wynagrodzić Caitlin za wszystko, co zrobiła dla firmy i dać jednoznacznie do zrozumienia, iż uważa ją za pełnoprawnego członka rodziny. Spodziewane przyjście na świat dziecka dawało po temu doskonałą okazję. W następny poniedziałek polecił więc swemu prawnikowi, by zaczął przygotowywać dokumenty, w których przekazywał pięć procent swoich udziałów w spółce Caitlin.

— Nie musisz tego robić — zaprotestowała, kiedy poinformował ją o swych zamiarach.

— Nie muszę, ale chcę — stwierdził stanowczo. — Elizabeth i Amber mają już udziały, i ty też powinnaś je mieć.

Nalegał także, by urządzono zaręczynowe przyjęcie. Z początku chciał wyprawić wielką fetę, lecz Caitlin jakoś zdołała mu to wyperswadować. Uzgodnili już z Lucieniem, że wolą załatwić wszystko po cichu. W następnym tygodniu spotkali się więc po prostu na skromnym przyjęciu przy Eaton Square i poinformowali rodzinę oraz wybranych przyjaciół o mających nastąpić wydarzeniach.

Wszyscy ucieszyli się z takiego obrotu spraw. Tylko Elizabeth wydawała się nieco chłodna, jej gratulacje wymuszone, a pytania dotyczące planów na przyszłość cokolwiek uszczypliwe.

— To gdzie planujecie zawiązać małżeński węzeł? — spytała.

— W Aldringham — odparła Caitlin. — To będzie skromna...

— W Aldringham? — przerwała jej Elizabeth. Dopiła wino i podsunęła przechodzącemu kelnerowi kieliszek. — Jak miło. Tatuś będzie zachwycony. — Uśmiechnęła się lodowato. — Wygląda na to, że ostatnio doskonale ci się układa.

— Elizabeth — powiedział Cole ostrzegawczym tonem. Odwróciła się do niego. — Co takiego? — prychnęła. Wskazał kieliszek w jej dłoniach. — Nie sądzisz, że dość już wypijaś?

Zamrugła. — Nie, nie sędzę — powiedziała, a potem odeszła.

Caitlin patrzyła, jak Cole podąża za żoną na taras, gdzie kontynuowali sprzeczkę, na szczęście poza zasięgiem słuchu gości. Mimo woli przypomniawszy sobie, jak bardzo ci dwoje kiedyś się kochali. Co się u licha z nimi stało?

— Mam nadzieję, że z nami tak nie będzie — powiedziała do Luciena, kiedy leżeli wieczorem w łóżku.

Odwrócił się i przyciągnął ją delikatnie do siebie. Zauważyła, że ostatnio często tak się zachowuje. Traktował ją, jakby była ze szkła i mogła w każdej chwili się potłuc.

— Oczywiście, że nie, *cherie*. Zawsze będziemy szczęśliwi. Zamknęła oczy, poddając się znużeniu. Teraz, gdy wszystko wydawało się tak doskonale, nietrudno było mu uwierzyć.

Kiedy w następny poniedziałek zjawiła się w pracy, zastała wiadomość o tym, iż zwołano na dziesiątą pilne spotkanie zarządu. Ponieważ była za pięć dziesiątą, chwyciła kubek z rumiankową herbatką i ruszyła pośpiesznie na górę.

— Wiesz może, o co chodzi? — spytała Douglasa Levana, wślizgując się na miejsce tuż obok. Nie przepadała co prawda za cokolwiek obleśnym dyrektorem do spraw sprzedaży, tego dnia nic nie mogło jednak zepsuć jej nastroju. Odnosiła sukcesy, była kochana i spodziewała się dziecka. Co mogło pójść nie tak? Douglas skrzywił się. — Skąd mam u diabła wiedzieć? Nikt nic mi nie mówi.

Caitlin zignorowała przytyk. Była szczęśliwa i żadna złośliwość nie mogła dziś jej dosięgnąć. Zatopiona w swym małym światku ledwie zauważyła, jak ponure miny mają wchodzący właśnie do sali

Elizabeth, Piers i William. Dopiero, gdy William wstał, szykując się, by przemówić i w sali zapanowało pełne wyczekiwania milczenie, uświadomiła sobie z troską, że coś musiało się stać. O ile wiedziała, firma kwitła — wskaźniki sprzedaży wyglądały imponująco, w prasie zamieszczano wyłącznie pochlebne komentarze. Co się więc u licha działo?

— Miałem nadzieję, że już się z tym uporaliśmy — zaczął William. — Sądziłem, że wraz z ozdrowieniem... — zamilkł.

Obecni spoglądali po sobie zakłopotani, marszcząc brwi. Caitlin zauważyła wreszcie, że twarz ojca ma barwę popiołu. Cokolwiek się działo, sprawy musiały przybrać zdecydowanie zły obrót.

Chrząknął dyskretnie, a potem powiedział: — Na rynku pojawiła się właśnie informacja, że ktoś wykupił pięć procent akcji spółki.

— Kto? — zapytał Douglas Levan, zaskoczony.

William prychnął z pogardą. — Armand Bouchard, oczywiście.

Cisza eksplodowała głosami.

William uniósł dłoń, by uciszyć zebranych.

— Wiem, wiem. To szok dla nas wszystkich. Nie popełnijcie jednak błędu. Przewyciężymy kryzys. — Wyprostował się, zapalając do tematu. — Dzwoniłem już do naszych bankowców. Urządzimy naradę wojenną, zbierzemy siły i rozeznamy się w możliwościach obrony. — Odwrócił się ku Caitlin. — Chcę, żebyś usiadła ze specjalistami od zasobów ludzkich i przejrzała swój kontrakt — zamierzają umieścić w nim klauzulę stwierdzającą, iż możesz wycofać się ze spółki w razie, gdyby ktoś z zewnątrz wszedł w posiadanie akcji o wartości przewyższającej trzydzieści procent kapitału. Elizabeth, pójdziesz ze mną. Porozmawiamy o wzmocnieniu naszej pozycji finansowej.

— Chcesz, żebym też poszedł? — zapytał Piers. William zerknął na brata. — To nie będzie konieczne.

— Ale...

— Piers, proszę. — William nawet nie próbował ukryć rozdrażnienia. — To ważne. Piers przyglądał się, jak odchodzą. Dał bratu ostatnią szansę, by włączył go do ich wewnętrznego kręgu, a William po raz kolejny ją odrzucił. Jeśli do tej pory wahał się, czy wprowadzić w czyn swój plan, teraz wiedział już, że to robi.

Dom wyglądał całkiem zwyczajnie. Anonimowy bliźniak przy ruchliwej ulicy w Hounslow, w zachodnim Londynie. Dzielnica była po części handlowa, po części mieszkaniowa, mieściły się tu bowiem zarówno podniszczone budynki mieszkalne, jak chiński bar z jedzeniem na wynos, pralnia chemiczna i sklep z płytami DVD. Zamieszkiwali ją zaś głównie lokatorzy, za których czynsz płaciło miasto, i niezamożni emeryci. Nikt nie przebywał w okolicy na tyle długo, by zauważyć, co dzieje się pod numerem trzydzieści dwa.

Irina Serapiniene mieszkała tam już od pięciu miesięcy, lecz nie wiedziała zbyt wiele o okolicy. Wiedziała jedynie, i tylko to się liczyło, że dom znajduje się w odległości zaledwie dwudziestu minut jazdy samochodem od Heathrow, lotniska, na którym wylądowała przed dwudziestoma trzema tygodniami, pięcioma dniami i siedemnastoma godzinami. Od Litwy dzieliły ją zaś tylko dwie godziny lotu. Świadomość tego, jak blisko jest domu, pozwalała jej przetrwać, gdy wyglądała z okna najwyższego piętra — zabitego gwoździami, by uniemożliwić jej ucieczkę — na ruchliwe skrzyżowanie poniżej.

Wiedziała teraz, jak była głupia. W rodzinnym Wilnie zawsze rozglądała się za przygodą. W wieku piętnastu lat była ładną dziewczyną z jasnymi włosami i o drobnej budowie, tryskającą energią, najodważniejszą z grupki przyjaciół, chętną, aby poznawać nowe lokale i przesiadywać tam do późna. Kiedy zgadała się więc w nocnym klubie z kobietą, która wspomniała, że organizuje wakacyjny wyjazd do pracy w Anglii, natychmiast uczepiła się okazji.

— Co będę robiła? — dopytywała się.

Nowa przyjaciółka, Sonia, nie była tego pewna. — Pewnie każą ci sprzedawać lody w Londynie, fajna praca i dobrze płatna. Och — dodała, jakby po namyśle — zapłacą też za twój przelot.

Irina sfalszowała więc podpis rodziców na dokumencie zezwalającym jej opuścić bez opieki Litwę. Potem spakowała niewielką torbę, zostawiła matce nabazgraną w pośpiechu wiadomość i ruszyła spotkać się z Sonią na lotnisku.

Dopiero gdy przylecieli na Heathrow, zaczęła trochę się denerwować. Sonia poprosiła ją o paszport, a potem spotkały się ze starszym, tęgim mężczyzną, Albańczykiem nazwiskiem Bedari.

— To przyjaciel — powiedziała Sonia. — Zawiezie cię na kwatere. Wtedy widziała Sonię po raz ostatni.

Podczas podróży coraz bardziej się denerwowała. Mężczyzna nic odezwał się ani razu. A kiedy przybyli wreszcie pod numer trzydzieści dwa przy Pears Road, wprowadził ją do małego nędznego pokoiku na pierwszym piętrze. Ledwie zdążyła postawić walizkę, rzucił się na nią i zgwałcił.

— Przywiezienie cię do Anglii kosztowało dwadzieścia tysięcy funtów — powiedział, gdy skończył. — W ten sposób będziesz je spłacała. A jeśli spróbujesz uciec, to cię zabiję.

Potem zostawił ją samą, przekreśliwszy demonstracyjnie klucz w zamku, aby nie miała wątpliwości, że jest jego więźniem.

Przez kolejny tydzień Bedari i trzech innych mężczyzn kolejno ją urabiali. Po miesiącu nie była już nawet w stanie płakać. Wymagano od niej, by obsłużyła dwudziestu do trzydziestu mężczyzn dziennie. Szybko przekonała się, że lepiej robić, co każą i się nie skarżyć, niż ryzykować, że Bedari potraktuje ją pięściami. Klienci budzili w niej odrazę. Czasami bywali brutalni, czasami płacili więcej za seks analny lub za to, by mogli wziąć ją bez prezerwatywy. Panicznie bała się, że zajdzie w ciążę albo czymś się zarazi. Nie mogła sama wychodzić. Dziewczęta rzadko ze sobą rozmawiały, lecz to co usłyszała, jeszcze bardziej ją przeraziło — niektóre zostały bowiem sprzedane trzem, czterem, pięciu różnym osobom. Miała nadzieję, że jej nic takiego się nie przydarzy. Przynajmniej wiedziała, że niedaleko znajduje się lotnisko. Świadomość tego pomagała jej przetrwać. A teraz miała ważniejszy powód, żeby pozostać tam, gdzie była. Nadzieję. Ktoś obiecał jej pomoc. Jeden ze stałych klientów, facet imieniem Matthew. Był cichy, nieśmiały, pod trzydziestkę, i miły. Zaczął odwiedzać Irinę regularnie i chyba poczuł do niej sympatię, ponieważ przynosił drobne prezenty: mydełka, czekoladę. Nawet Bedari żartował sobie z tego.

— Może kiedyś cię poślubi, co, Irina? — powiedział, szturchając ją w żebra. Zastanawiała się czasami, dlaczego Matthew nie ma dziewczyny — domyślała się, że powodem może być jego tusza. Był jednak miłym mężczyzną. Podczas trzeciej wizyty poprosił ją, by powiedziała coś o sobie: skąd pochodzi, czy wszystko jest w porządku. Nie mówiła

dobrze po angielsku, lecz chyba zrozumiał, że przebywa w burdelu wbrew swojej woli. Obiecał, że pomoże jej uciec. W następny czwartek. To jeszcze tylko cztery dni. Wytrwała tak długo, wytrzyma jeszcze trochę.

Usłyszała zgrzyt obracanego w zamku klucza i serce podskoczyło jej, jak zawsze, w piersi. Bedari stanął w progu i powiedział coś do stojącego z tyłu mężczyzny. Ten podszedł bliżej i spojrzał na Irinę. To musi być klient, o którym mówił wcześniej Bedari, pomyślała. Ewidentnie bogaty, o szczególnych upodobaniach.

— Lubi naturalnie jasne włosy — powiedział. — Nie to farbowane gównem.

Przyniósł jej też ubrania — tym razem miało nic być wyzywającej, obcisłej i krótkiej spódniczki ani ostrego makijażu. Zamiast tego kazano jej włożyć kwiecistą sukienkę z długimi rękawami i skromnym dekoltem. Twarz wyszorowała do czysta, włosy, wyszczotkowane starannie, lśniły. Pociągnęła zdenerwowana za kołnierzyk sukienki. Teraz wszystko co odbiegało od normy, wprawiało ją w zdenerwowanie. Mężczyzna przyjrzał się jej, a potem odwrócił do Bedariego i coś powiedział. Zrozumiała wystarczająco dużo, aby się zorientować, że jest zadowolony. Pieniądze zmieniły właściciela, a potem uszczęśliwiony Bedari wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz. Kiedy zostali sami, mężczyzna polecił jej, by usiadła na łóżku. Posłuchała, a wtedy uśmiechnął się do niej leciutko. Zaczęła się odprężyć. Mężczyzna różnił się od innych klientów. Był lepiej ubrany i atrakcyjny — czysty i starannie ogolony. Mówił trochę jak Matthew. Zastanawiała się, dlaczego chodzi do miejsc takich jak to — z pewnością mógł mieć wiele kobiet.

Podszedł i usiadł obok niej. Nadal był całkowicie ubrany, nie wyglądało też na to, by chciał Irinę rozebrać. Odsunął jej tylko delikatnie włosy z czoła i obrysował palcami kontur twarzy. Dotykał jej niemal z czułością. Po miesiącach emocjonalnego wygłodzenia zaskoczyło to Irinę całkowicie. Z niepojętego powodu odczuła nieodpartą potrzebę, by się roześmiać. Chichot wzbierał jej w gardle. Próbowwała go powstrzymać, na próżno jednak. I kiedy mężczyzna pochylił się, aby ją pocałować, z jej ust dobył się dziwny, piskliwy śmiech, nerwowy i niezamierzony.

Natychmiast zakryła dłonią usta, lecz było już za późno. W sekundę wyraz twarzy mężczyzny się zmienił. Przez moment wydawał się zraniony, lecz potem jego spojrzenie stwardniało, a usta się zacisnęły. Wiedziała, iż sądzi, że się z niego wyśmiewa, że kpi.

Po miesiącach seksualnej niewoli wyrobiła w sobie instynkt ostrzegający o niebezpieczeństwie. Alarm rozbrzmiewający teraz w jej głowie przypominał chwilę, kiedy spotkała się po raz pierwszy z Bedarim. Dostrzegła cios na chwilę przed tym, jak mężczyzna podniósł rękę.

— *Ne...* — pisnęła błagalnie, kiedy wymierzył jej otwartą dłonią policzek. Gdyby tylko potrafiła wyjaśnić mu, że jej zachowanie nie wynikało z braku szacunku. — *Prasau, ne...*

Lecz on nie słuchał. Wstał, by móc włożyć w cios więcej siły. Irina widywała już mężczyzn w takim stanie i dobrze wiedziała, że nie ma co odwoływać się do jego rozsądku... tak jak zdawała sobie sprawę, że nikt nie zareaguje na jej krzyki ani błagania.

Uderzył ją grzbietem dłoni w drugi policzek. Ważyła zaledwie czterdzieści pięć kilogramów, nie była więc godnym przeciwnikiem dla mężczyzny ważącego osiemdziesiąt, zwłaszcza takiego, który dostał ataku furii. Cios był tak silny, że rozerwał jej skórę na policzku. Poczula, że spada z łóżka. Wyciągnęła dłonie, aby złagodzić upadek. Jednak spadając, uderzyła głową o szafkę nocną. Szyja wygięła się jej do tyłu i poczuła, że coś w niej pęka.

Musiała na przemian tracić i odzyskiwać przytomność. Kiedy ocknęła się po raz kolejny, leżała na plecach, wpatrując się w sufit. Mężczyzna klęczał nad nią. Nie był już wściekły, jedynie przerażony. Krzyczał coś z głową zwróconą ku drzwiom — wołając zapewne o pomoc. Lecz było za późno. Czula, że znika, odchodzi na dobre.

To było tak niesprawiedliwe. Przed kilkoma tygodniami śmierć byłaby jedynie wybawieniem. Teraz jej męki miały się wreszcie zakończyć — za cztery dni Matthew pojawi się, aby ją uratować. Ale jej już nie będzie. Czy w ogóle to zauważy? Czy ktokolwiek przejmie się tym, że odeszła? To była ostatnia myśl, jaka przemknęła jej przez głowę.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Elizabeth nie była w stanie uwolnić się od myśli o Tokio. A właściwie o tym, czego dowiedziała się wówczas od Piersa, a co dotyczyło wątpliwości narosłych wokół wyznaczenia przez ojca następcy. To co wydawało się nieprawdopodobne, kiedy czytała przed kilkoma miesiącami artykuł w prasie, nabrało nagle znaczenia.

Na domiar złego ostatnio wszystko zdawało się kręcić wokół Caitlin. Elizabeth miała już wyżej uszu świętowania osiągnięć siostry, podziwiania jej cudownego, doskonałego życia. A teraz ojciec zamierzał podarować Caitlin pięć procent udziałów w spółce. Może i po to, by jak twierdził, związać ją bliżej z rodziną. A może kryło się w tym coś innego, bardziej złowróżbnego.

Elizabeth podzieliła się swymi obawami z Piersem —jedyną osobą, która zdawała się stać teraz po jej stronie. Próbował zapewnić ją, że nie ma się czym przejmować. Lecz w końcu widząc, że nie zamierza odpuścić, westchnął i powiedział: — Skoro aż tak cię to niepokoi, powinnaś z nim porozmawiać. Zapytaj go, jakie ma plany. Może wtedy się uspokoisz.

Tego wieczoru miał zjeść z Williamem kolację. Ostatnio różnica wieku pomiędzy nimi stała się wyraźnie widoczna. Stres związany z działaniami Armanda Bouchera spowodował następny atak dusznicy. Pierś wyczuł, że zaniepokoiło to brata, przypomniało mu po raz kolejny, iż jest istotą śmiertelną. Uznał więc, że to doskonały moment, by porozmawiać z nim o Elizabeth.

— Więc Elizabeth w końcu umówiła się z tobą na rozmowę?

William spojrzał ostro na brata. — Nic. Po co miałyby to robić?

— Och! — Piers udał zaskoczenie. — Och, bez specjalnego powodu.

William zmarszczył brwi. — Dalej, Piers. Wyduś to z siebie.

— Szczerze, Williamie. To nic takiego. Po prostu się o ciebie martwi.

— Martwi się o mnie? — powtórzył William obronnym tonem.

— A to czemu? Co powiedziała?

Piers uszczyptał grzbiet nosa. — To nie było nic takiego... Wspomniała po prostu, że martwi się o twoje zdrowie, zwłaszcza teraz, gdy Bouchard znowu zaczyna sprawiać kłopoty.

— A cóż to miało znaczyć?

Piers wydawał się zakłopotany. — Hmm... sądzi, że potrzebujemy usteru kogoś silnego, jeśli mamy poradzić sobie z zagrożeniem.

William zmrużył gniewnie oczy. — I nie uważa, abym był w stanie podołać zadaniu, to chciałaś powiedzieć?

— Na Boga, nie! — zaprotestował Piers. — Martwi się po prostu o ciebie i o to, jak cały ten stres odbije się na twoim zdrowiu.

— Cóż, możesz jej przekazać, że nie ma powodu się przejmować

— oznajmił William lodowatym tonem.

W kilka dni później Elizabeth w końcu udało się spotkać z ojcem. Weszła do jego gabinetu i natychmiast przejęła inicjatywę.

— Tatusiu, uważam, że powinniśmy porozmawiać poważnie o twoich planach związanych z wyznaczeniem następcy.

— Jakich znów planach? — zapytał William, przechodząc natychmiast do kontrataku.

— Cóż, założyłam...

— Na twoim miejscu niczego bym nie zakładał, Elizabeth — powiedział, przyglądając się jej spokojnie. — Jak widzisz, jestem zdrowy, w dobrej formie i nigdzie się nie wybieram.

— Lecz w zeszłym tygodniu...

— To co wydarzyło się w zeszłym tygodniu, nie miało znaczenia. To był tylko drobny atak. — Roześmiał się szorstko. — Chciałabyś już widzieć mnie pogrzebanym, Elizabeth? Nie za szybko?

Nic o to mi chodziło! zaprotestowała urażona, że w ogóle mógł tak pomyśleć. — Uznałam po prostu, że powinniśmy porozmawiać o tym, kogo zamierzasz wyznaczyć w przyszłości na dyrektora.

— Dlaczego? — zapytał. — I co to ma wspólnego z tobą? Elizabeth nie wiedziała, co odpowiedzieć. Rozmowa nie przebiegała tak, jak się spodziewała.

— Sądziłam, że bardzo dużo — odparła. — W końcu przez ostatnie trzy lata wyciskałam z siebie siódme poty, by firma stanęła znowu na nogi!

William zmrużył oczy. — Nie przesadzaj, Elizabeth. Nie tylko ty troszczysz się o firmę i nie tylko ty przyczyniłaś się do tego, że wyszła znowu na prostą.

— Ach, tak. A kto jeszcze pomógł? — spytała urażona. — Caitlin, jak sądzę?

Nadal się jej przyglądał. — Skoro już o tym wspomniałaś, Caitlin zrobiła, co do niej należało.

Właśnie tego nie powinien byt mówić.

— Może i jest dobrą projektantką, lecz nie wic, jak zarządzać dużą firmą. Nie ma do tego talentu i jeśli sądzisz, że mogłaby robić coś takiego, tracisz rozeznanie!

— Nie mów w ten sposób o mnie ani o siostrze!

— Siostrze przyrodniej, tatusiu — powiedziała. — Może zechciałbyś o tym pamiętać.

— Ty zaś zechciej łaskawie pamiętać, że to ja kieruję nadal spółką. — Głos miał zimny, spojrzenie ostre niczym diament. — A póki tak się sprawy mają, będzie, jak ja zechcę.

Wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę. — I właśnie to mnie martwi.

Rozmowa nie mogła przebiec gorzej. Nie sądziła jednak, że sprawy mogą przybrać jeszcze gorszy obrót.

Nie zapomni nigdy momentu, kiedy uświadomiła sobie, że Cole ma romans. Były jego urodziny i postanowił uczcić je, wydając kolację w prywatnej salce Osaki.

Przyszła jak zwykle spóźniona, musiała bowiem zażegnać nagły kryzys w biurze. Wmaszerowała do restauracji podekscytowana, zda-

jąc sobie sprawę, że nie wygląda najlepiej, załując, że nie starczyło jej czasu, by odświeżyć fryzurę i przebrać się w strój, który kupiła specjalnie na tę okazję.

Zanim dotarła do jadalni, wszyscy siedzieli już przy stole: Cole u szczytu, a obok niego cicha Japonczka, osobista sekretarka. Elizabeth miała właśnie wejść, ale nie wiedzieć czemu, przystanęła. Nie wierzyła dotąd w te bzdury o kobiecej intuicji, czuła jednak, że coś jest nie w porządku.

Zatrzymała się na chwilę w drzwiach, przyglądając się mężowi i Mariko. Nie robili nic, co można byłoby uznać za oczywisty dowód nadmiernej zażyłości: nie trzymali się za ręce ani nie szeptali sobie do ucha — jedli po prostu, jak wszyscy, sashimi. Lecz kiedy odrobina sosu wasabi spłynęła Colebowi po brodzie, Mariko zachichotała i wyciągnęła rękę, by mu ją obetrzeć.

I wtedy Elizabeth już wiedziała. Po prostu wiedziała.

To było niczym cios. Zachwiała się na nogach i musiała uchwycić futryny. Poczowała, że w gardle rośnie jej gula i przypomniała sobie, jak Cole żartował z tego, że Mariko się w nim durzy i jak mu żartobliwie dokuczała.

Nie pora jednak było użalać się nad sobą. Goście już ją zauważyli. Nie mogła uciec i się rozpłakać — poza tym, na Boga, i tak nie byłoby to w jej stylu. Nie miała wyboru: musiała wejść do sali i stawić im czoło.

Gdy szła po marmurowej posadzce, rozmowy cichły. Ludzie odwracali się, by na nią spojrzeć. Czekali, chcąc się przekonać, jak zareaguje. Cóż, nic da im satysfakcji i nie zrobi sceny. Uśmiechnęła się z przymusem i podeszła do Cole'a.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, kochanie. — Pochyliła się i pocałowała go lekko w usta. — Przepraszam za spóźnienie.

— Nic się nie stało. — Wiedziała, że mówi poważnie.

Teraz wiedziała już, dlaczego nic wściekł się na nią o to, że nie zdążyła na otwarcie Osaki; dlaczego przestał zarzucać jej, że za dużo pracuje.

Nadal stała. Cole nie zamierzał widać się ruszyć i znaleźć jej miejsce. Po drugiej stronie stołu było co prawda wolne krzesło, lecz prędzej trafi ją szlag, niż tam usiądzie.

— Mogłabyś się przesiąść, Mariko? — powiedziała, wskazując wolne miejsce. — Chciałabym usiąść obok męża.

— Oczywiście, Elizabeth.

Zostało to powiedziane grzecznie, lecz w oczach Mariko dostrzegła cień wyzwania. Musiała stoczyć ze sobą prawdziwą walkę, by nie spoliczkować dziewczyny, kiedy zbierała rozmyślnie powoli swoje rzeczy.

Kolacja była okropna. Elizabeth czuła, że wszyscy się jej przyglądają, szacują wzrokiem. Jakoś udawało jej się podtrzymać uprzejmą rozmowę. Wypiła jedynie łyk szampana, spełniając urodzinowy toast, a potem ograniczyła się do wody mineralnej z obawy, że alkohol sprawi, iż przestanie nad sobą panować i powie coś, czego mówić nie należało.

Przyjęcie skończyło się około północy. Patrzyła, jak Cole całuje Mariko w policzek, zatrzymując dłoń dłużej na jej ramieniu i zastanawiała się, ile jeszcze wytrzyma.

Podczas jazdy taksówką prawie z sobą nie rozmawiali. Wcześniej, w restauracji, Elizabeth wyobrażała sobie, jak staje twarzą w twarz z Cole'em i zarzuca mu zdradę. Lecz kiedy znaleźli się w domu, jakoś nie była w stanie znaleźć odpowiednich słów. Poszli od razu do sypialni i rozebrali się w milczeniu, odwróceniu do siebie plecami. Od jak dawna tak się między nimi zmieniło? zastanawiała się.

Kiedy się położyli i zgasili światło, przytuliła się do Cole'a. Natychmiast wyczuła jego opór, to, że chce się odsunąć. Nie zrezygnowała jednak, ale zaczęła go całować, dając jasno do zrozumienia, czego pragnie.

Uległ w końcu, ale na własnych warunkach. Nie było w tym romantyzmu ani uczucia. Odwrócił ją na brzuch, aby nie mogli się całować, a potem dosiadł, wbijając się w nią szybko i mocno. Przez cały czas żadne z nich się nie odezwało, jeśli nie liczyć cichego jęku, jaki wydał z siebie Cole, dochodząc. Gdy było po wszystkim, stoczył się z niej, nadal nic nie mówiąc.

Odczekała, aż jego oddech się wyrówna i będzie miała pewność, że zasnął. Dopiero wtedy wysliznęła się ostrożnie z łóżka, weszła do przyległej łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Usiadła na skraju wanny i wreszcie się rozplakała. Płakała długo i rozpaczliwie, jak nigdy

przedtem, zaciskając zęby na grzbiecie dłoni, by stłumić spazmatyczny szloch, który wstrząsał całym jej ciałem.

Trwało to i trwało, lecz wreszcie Izy przestały płynąć. Wstała, obmyła twarz i wróciła do łóżka.

Zamierzała powiedzieć coś następnego ranka, lecz nadal nie potrafiła znaleźć słów. A w miarę jak upływały kolejne dni, a potem tygodnie, uświadomiła sobie, że nie zamierza mówić nic. Zaskoczyło ją to i przeraziło zarazem. Przez wszystkie te lata pogardzała matką za to, że toleruje zdrady ojca, a teraz robiła dokładnie to samo.

Prawda wyglądała jednak tak, że po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, jak postąpić. Wszystko sprowadzało się bowiem do tego, że nadal kochała męża.

Nie była pewna, na co właściwie czeka. Lecz los działa często jak katalizator, dzika karta, niespodziewany rzut piłką — i dzieje się coś, czego za nic byśmy się nie spodziewali. W przypadku Elizabeth przełomowy moment nastąpił, kiedy uświadomiła sobie, że klęczy trzeciego ranka z rzędu przy sedesie, wymiotując. A kiedy przysiadła wreszcie na piętach, wycierając usta pośpiesznie chwyconym kawałkiem papieru toaletowego, przypomniała sobie, jak bardzo była zajęta sześć tygodni wcześniej. Na tyle zajęta, aby zapomnieć o zażywaniu pigułek antykoncepcyjnych mniej więcej w tym czasie, gdy Cole miał urodziny. A także na tyle, żeby nie zauważyć, co zrobiła, póki nie było za późno.

Przetrawianie następnych dni okazało się dla Elizabeth trudne. Wszystko waliło się jej na głowę i czekała już tylko na kolejną katastrofę. Stosunki z ojcem ani trochę się nie poprawiły. Przeraziła ją myśl, że William na serio zastanawia się, czy nie uczynić dyrektorem naczelnym Caitlin.

Caitlin, Caitlin, Caitlin. Elizabeth miała już absolutnie dość słuchania o niej. Pamiętała, jak Caitlin przybyła po raz pierwszy do Aldringham, nieśmiała, naiwna i skrepowana. Jak to się stało, że teraz zdawała się mieć wszystko — spółkę, mężczyznę, który był w niej do

szaleństwa zakochany i dziecko w drodze — podczas gdy ona, Elizabeth, niegdysiejsza „złota dziewczyna”, nie miała nic?

Nie sadziła dotąd, że posiadanie dziecka może być dla niej ważne. Lecz teraz, bez partnera, który mógłby dzielić z nią radość, uświadomiła sobie, jak bardzo go pragnie. Nie mając nikogo, komu mogłaby powiedzieć o ciąży, czuła się jak nigdy niezależna.

Jedyną osobą, która zdawała się stać po jej stronie, był Piers. I tylko jemu zwierzyła się ze swoich obaw, pożałowała, że William faworyzuje Caitlin. Spędzali długie godziny zamknięci w jego gabinecie, kiedy to Elizabeth perorowała, skarżąc się na to, że nie jest traktowana sprawiedliwie.

— To śmieszne! — powtarzała po raz już chyba setny. — To stanowisko mi się należy! Oddałam firmie wszystko — cały mój czas, całą energię. Nawet moje... — już miała powiedzieć „małżeństwo”, lecz w porę się powstrzymała.

— Wiem, wiem, Elizabeth — przytakiwał współczująco Piers. — Jestem po twojej stronie. Uważam, że mój brat jest o krok od popełnienia wielkiego błędu i nie chcę, byś została okradziona z dziedzictwa, które ci się należy.

Nagle opuściła ją wola wałki. Ta sprawa z Cole'em, a teraz to... nie miała już po prostu siły ani energii. Zgarbiła ramiona. — Przypuszczam, że skoro tatuś tego chce, nic nie da się zrobić, prawda?

Było to pytanie retoryczne. Spojrzała jednak na wuja i dostrzegła w jego oczach iskierkę. Wyglądał, jakby się zastanawiał, coś kalkulował.

— O co chodzi? — spytała z wolna. — O czym myślisz?

— Może znalazłby się sposób, by z tego wybrnąć, zadbać, żebyś dostała to, na co zasługujesz. — Mówiąc, przyglądał się Elizabeth uważnie, oceniając jej reakcję. — Nie jest oczywiście doskonały — kontynuował — lecz może się okazać, że to jedyne wyjście.

Elizabeth poczuła ukłucie niepokoju. Sądząc po sposobie, w jaki wuj to powiedział, jego plan zakładał sprzeciwienie się ojcu. Lecz jaki miała wybór?

— Powiedz mi — wyszeptała.

Plan Piersa polegał na tym, by zorganizować wykup menedżerski — nabycie udziałów spółki przez jej dyrektorów. Chciał połączyć udziały swoje i Elizabeth - jego pięć procent i jej siedem i pół — a potem zainicjować wspólnie wykup. Był jednak problem — ponieważ nie mieli dość osobistych funduszy, by kupić pakiet kontrolny we dwoje, potrzebowaliby kogoś z zewnątrz, kto zechciałby zainwestować w firmę.

— Trudno byłoby znaleźć kogoś takiego? — spytała Elizabeth, podekscytowana i przerażona zarazem. Czy naprawdę się nad tym zastanawiali? I czy wystarczy jej odwagi?

— Zdażyłem się już rozejrzeć — odparł cokolwiek enigmatycznie Piers. — Myślę, że kilku prywatnych inwestorów chętnie wyłożyłoby gotówkę.

Przedstawił rzecz jasno i zwięźle. Jeśli dwoje członków rodziny połączy siły, ich oferta będzie postrzegana życzliwie przez rynek — zwłaszcza gdy uświadomią potencjalnym inwestorom, jak ważną rolę w odniesieniu przez spółkę spektakularnego sukcesu odegrała Elizabeth. Przygotował nawet wyliczenia ukazujące, jaką cenę powinni zaoferować. Jeśli zaskoczyło ją, że poczynił sam tak daleko idące przygotowania, nic nie powiedziała. Na pierwszy rzut oka liczby wyglądały dobrze: mogli zaproponować kupującemu czterdziestoprocentową premię. Oczywiście ustalenie ceny w przypadku, kiedy udziały wykupywali dyrektorzy, nie było trudne — oboje znali bowiem branżę doskonale.

Elizabeth przestudiowała wyliczenia i doszła do wniosku, że plan ma szansę powodzenia. Na poziomie, jaki oferowali, próba przebicia ich oferty nie miałaby dla Armanda Boucharda większego sensu. A William nic byłby w stanie zdobyć na tyle silnego poparcia, by pokrzyżować im plany.

— Zważywszy na kiepski stan jego zdrowia, wątpię, czy jakikolwiek bank zechce zaryzykować i udzielić mu znaczącej pożyczki — zakończył wywód Piers. — Oczywiście żadne z nas nie chce skrzywdzić twojego ojca — zapewnił pospiesznie. — Odnoszę jednak wrażenie, że brat nie myśli ostatnio zbyt jasno. Może kiedyś podziękuje nam, że to zrobiliśmy.

Wracając, Elizabeth zastanawiała się, czy zdobędzie się na to, aby omówić propozycję Piersa z Cole'em. Zwykle lubiła zasięgać jego rady przed podjęciem ważnej decyzji dotyczącej się spółki — potrafił bowiem dostrzec coś, co jej umykało. Może to dobry sposób, byśmy zaczęli znowu ze sobą rozmawiać, pomyślała.

Lecz kiedy weszła do domu, od razu zorientowała się, że nic z tego. Obok drzwi wejściowych stały dwie walizki z brązowej skóry. Cole odchodził.

Znalazła go w pokoju dziennym. Siedział w ciemności, wpatrując się w ledwie napoczętą butelkę whisky. Elizabeth zatrzymała się, czując, że ogarnia ją chłód. Lecz kiedy się odezwała, zaskoczyło ją, że jej głos brzmi tak mocno i zdecydowanie:

— Co się dzieje, Cole?

Cole zakłósał trzymaną w dłoniach szklaneczką z bursztynowym trunkiem.

— Wyprowadzam się — powiedział po chwili, potwierdzając to, co było i tak oczywiste. Podniósł powoli wzrok i spojrzał na Elizabeth. — Nie ma sensu, bym dłużej tu przebywał — kontynuował, jakby spodziewał się, że Elizabeth zaprotestuje. — Nie jestem szczęśliwy, i to od dawna. Sądzę, że z tobą sprawa ma się podobnie.

Podeszła do stojącego naprzeciw krzesła i usiadła.

— Skąd wiesz, co czuję, skoro nie zadałeś sobie trudu, żeby zapytać? — zostało to powiedziane o wiele spokojniej, niż się czuła.

— Pytałem, Elizabeth. Tylko że ty nie zauważałaś. Próbowałem z tobą rozmawiać. — Pochylił się na krzesło i złączył dłonie. — Próbowałem od miesięcy. Ale ty nie wydawałaś się ani odrobinę zainteresowana tym, żeby naprawić to, co się pomiędzy nami zepsuło.

— A ty byłeś? — odpaliła. — Wytłumacz mi, proszę, jak pieprzenie kogoś na boku miałoby pomóc naszemu małżeństwu?

Cole milczał przez chwilę, przetrawiając to, co powiedziała. Zauważyła, że jej słowa go zaskoczyły i niemal sprawiło jej to przyjemność.

— Tak, zgadza się — powiedziała cicho. — Wiem o Mariko.

Miał przynajmniej tyle przyzwoitości, by się zawstydić. — Posłuchaj, to się po prostu stało, w porządku? Nigdy nie było cię w domu...

— Och, więc to moja wina? przerwała mu Elizabeth. To ja cię do tego doprowadziłam, czy tak? Niech zgadnę: nie rozumiem cię tak dobrze, jak ona.

Cole potrząsnął głową. — Nie. Nie to miałem na myśli. — Przeczesał palcami krótkie ciemne włosy. — Po prostu... między nami nie było już tak, jak kiedyś. A Mariko... cóż, pochlebiała mi, poświęcała mnóstwo uwagi...

— Taa, mogę się założyć.

Cole skrzywił się, słysząc jad w jej głosie. Elizabeth to dostrzegła i pożałowała, iż nie może cofnąć swoich słów. Dlaczego łatwiej było odpać coś złośliwie, niż wyznać, co leży jej na sercu? Chętnie zaczęłyby tę rozmowę jeszcze raz, tym razem mówiąc mu, co czuje: jak bardzo zabolęła ją to, co zrobił, jak płakała godzinami, cierpiąc z powodu jego zdrady... a także to, że nadal go kocha i bardzo żałuje, że nie słuchała uważniej, co mówił. Gdyby słuchała, nie musiałyby do tego dojść.

Lecz kiedy zamknęła oczy, nie potrafiła pozbyć się obrazu ich dwojga razem. Nie była pewna, czy uda jej się to kiedykolwiek. Mariko: cicha i potulna, słodka i egzotyczna... jednym słowem taka, jaka Elizabeth nigdy nie będzie.

— Przypuszczam, że było ci to na rękę — powiedziała ostro, podejmując znów sprzeczkę.

Spojrzał na nią, znużony. — Co mianowicie?

— To, że tak ciężko pracowałam. Miałeś mnóstwo czasu, żeby spotykać się z nią.

Nie potrafiła się zmusić, aby wymówić znów imię Mariko. — Jak długo to już trwa? Zapewne od jakiegoś czasu. Domyśliłam się kilka tygodni temu, a jak to mówią, żona dowiaduje się ostatnia. — Parsknęła krótkim, gorzkim śmiechem. — Musieliście więc zacząć na długo przedtem... — Proszę, Elizabeth — powiedział Cole zasmucony. — To nas donikąd nie doprowadzi.

— Cóż, Cole, myślę, że mam prawo poznać szczegóły. Jak to się zaczęło? I gdzie odbywaliście schadzki?

— Elizabeth, nie...

Lecz ona nie słuchała. — Chodziliście do hotelu? Przyprowadzałeś ją tutaj? — Czuła, że głos zaczyna jej drżeć. Była na krawędzi

histerii, mimo to perorowała dalej. — Czy wszyscy w twojej firmie wiedzieli? Wyśmiewali się ze mnie za plecami?

Zamilkła nagle, uświadomiwszy sobie, jak wytrącona z równowagi musi mu się wydawać.

Cole wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę. — Może lepiej już pójdę — powiedział spokojnie.

— Dokąd? — prychnęła. — Do niej?

Cole uznał widać, że rozmowa nie ma sensu, gdyż wstał. Odchodził, naprawdę ją opuszczał. Rozpaczliwie pragnęła powiedzieć coś, by go zatrzymać. Wiedziała, że jeśli w ogóle ma poinformować go o dziecku, należy zrobić to teraz. Lecz nie pozwoliła jej na to duma. Jeśli mieli się rozstać, nie chciała, by zapamiętał ją jako słabą kobietkę błagającą, by został.

Nie powiedziała więc nic, patrzyła jedynie, jak odchodzi.

Przy drzwiach odwrócił się i rzucił na pożegnanie:

— Nie chodzi tu o Mariko, Elizabeth. Nie chodziło wtedy, i nie chodzi teraz. Ona stanowi objaw, nie przyczynę tego, że się nam nie udało.

Co powiedziawszy, wyszedł.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Amber nie czuła już bólu. Była szczęśliwa, och, jakże szczęśliwa. Nic nie mogło równać się z chwilą, kiedy siedziała po turecku przy ogniu, czekając, aż szczypta brązowego proszku zmieni się kulkę płynnej substancji, by potem pochylić się i wdychać chciwie magiczną woń.

Przez lata folgowała sobie, próbując wszystkiego od alkoholu i marihuany po ketaminę, kokainę, ecstazy i speed. Uważała jednak, że nic nie może równać się z odjazdem po heroinie: ten nagły przypływ euforii, kiedy narkotyk docierał przez krew do mózgu, eksplozja intensywnej przyjemności, przechodząca z wolna w uczucie ciepła i błogości, jakby unosiła się wysoko na chmurze, gdzie nikt nie może jej dosięgnąć. Heroina dawała słodką ulgę, uwalniając od zmartwień i wątpliwości. A za tym Amber tęskniła najbardziej.

Oczywiście zdarzało jej się wachać heroinę w ciągu ostatnich dwóch lat, od czasu gdy Johnny skłonił ją, by spróbowała. Tym razem było jednak inaczej. Brała teraz regularnie, co pewnie by ją zaniepokoiło, gdyby nie fakt, że przez większość czasu przebywała w szczęśliwym miejscu, gdzie o nic nie trzeba było się martwić.

Jedyną wadą tej sytuacji było to, że Łasica kręcił się teraz po ich domu częściej niż kiedykolwiek.

— Musisz go tu sprowadzać? — poskarżyła się pewnego dnia. — Nie podoba mi się, jak na mnie patrzy. — Wzdrygnęła się na samą myśl o tym. — Ciarki chodzą mi po kręgosłupie.

Johnny wzruszył obojętnie ramionami. — Taaa, wpadłaś mu w oko, księżniczko. Powinno ci to pochlebiać. — Zerknął na nią chytrze. — Może gdybyś była dla niego miłsza, on byłby miłszy dla nas.

Amber aż się cofnęła. — A to co miało znaczyć?

Johnny potrząsnął pospiesznie głową. — Nic. Tak sobie żartowałem. Zapomnij o tym.

Zaczął podgrzewać srebrną folię i Amber z ochotą zapomniała.

Jednak z upływem tygodni coraz trudniej było osiągnąć stan euforii. Brała więc częściej, na próżno jednak. Pragnęła tego, co miała kiedyś.

— Wiem, jak możesz znów dobrze się poczuć — powtarzał Johnny, gdy się skarżyła. Czuła, że ma na myśli strzykawkę. Podsuwał ją Amber wraz z obietnicą, że narkotyk podziała szybciej, zapewni taki sam odjazd, jak na początku. Na myśl o tym zasychało jej w ustach, a dłonie wilgotniały. Musiała użyć całej siły woli, aby odmówić.

Pewnego wieczoru Johnny przyniósł szczególnie dobry towar, jak ją zapewnił, „absolutnie czysty”. Nie kłamał. Towar był tak dobry, że Amber przestała myśleć o tym, że w pokoju są oprócz nich także Sheri i Łasica. Kiedy heroina zaczęła działać, opadła na poduszki rozłożone na podłodze saloniku. Nadal nie mieli mebli, ale co z tego? Czuła się tak błogo, jakby patrzyła na wszystko przez mgłę. Życie było dobre.

Sheri wstała i wyciągnęła rękę do Johnny'ego. Pozostała trójka ograniczyła się do koki, nie byli więc tak zaćpani jak Amber.

— Może pójdziemy tam? — zaproponowała Sheri, wskazując gestem pusty pokój.

Johnny zerknął na Amber, uznał, że jest tak naćpana, iż nie wie, co się dookoła niej dzieje i ruszył za Sheri. Kiedy zamykał drzwi, zobaczył, że Łasica przesuwa się ku Amber. Nie czuł wyrzutów sumienia z powodu drobnej umowy, jaką zawarli. Amber i tak była nieprzytomna, poza tym najwyższy czas, by zaczęła płacić za to, co dostawała.

Amber patrzyła poprzez zaciemniającą umysł mgłę, jak Johnny i Sheri wychodzą. Czuła się senna i pomyślała, że ona też powinna się

położyć. Jednak nic chciała zostać jeszcze sama. Łasica dotrzymania jej towarzystwa. Wyciągnęła do niego ramiona.

— Łasica — zawołała śpiewnie. — Śliczna Łasiczka.

Zachichotała i odpłynęła.

Łasica spojrział na nieprzytomną dziewczynę. Czekał na tę chwilę od bardzo, bardzo dawna. Musiał znosić to, że traktowała go z wyższością od miesięcy. Lecz teraz wszystko się zmieniło. Była niczym, a on miał nad nią władzę.

Oblizwał spękane wargi, obserwując, jak Amber przeciąga się i uśmiecha we śnie. Była w dobrym miejscu i dobrze się bawiła. Poczul, że jego podniecenie słabnie. Fantazjując, wyobrażał sobie zawsze, że Amber jest świadoma tego, co jej robi. To właśnie aż tak go nakręcało.

Dziwka, pomyślał. Pieprzona dziwka. Cóż, teraz zrobi z nią, co zechce. Ma na to całą noc. Może powinien zacząć twórczo myśleć.

Poczuwszy się lepiej, schylił się i zarzucił sobie Amber na ramię. Nie był silny —jego przydomek to potwierdzał — lecz Amber prawie nic nie ważyła. Nietrudno było zanieść ją do sypialni. Zamknął kopniakiem drzwi i rzucił dziewczynę na łóżko.

Nim ją rozebrał, był już nakręcony i gotowy do akcji. Zrzucił pośpiesznie ciuchy i dostrzegł kątem oka kondom, który wypadł mu z kieszeni dzinsów. Boże, nienawidził tego szajsu. Wszyscy zmuszali cię, byś go używał — nawet prostytutki. Cóż, nie dziś. Na myśl o tym jeszcze bardziej się podniecił. Odwrócił Amber i przesunął dłońmi po jej chudych, białych pośladkach.

Zanosilo się na wspaniałą zabawę.

Amber ocknęła się rano w swojej sypialni. Pierwsza jej myśl, jak każdego dnia, dotyczyła tego, że za pięć minut będzie mogła się zaciągnąć. Łzy napłynęły jej do oczu. Boże, czuła się paskudnie. Nie pierwszy raz, jeśli już o to chodzi. Często budziła się przygnębiona i nieszczęśliwa. Czasami tak bardzo, że chciała już tylko, aby to wszystko wreszcie się skończyło. Johnny wyczuwał, kiedy jest naprawdę źle i zawsze znajdował na to lekarstwo. Była nim oczywiście heroina. Brała działkę i złe myśli znikaly. Lecz dziś Johnny'ego przy niej nie było. Była sama i czuła, że coś nie gra.

Nie mogła sobie przypomnieć, jak dostała się do sypialni. Leżała na pościeli ubrana, ale nie tak, jak trzeba. Podkoszulek miała założony na lewą stronę, guziki džinsów zapięte na niewłaściwe dziurki. Próbowwała przypomnieć sobie wczorajszy wieczór. Siedzieli w pokoju: ona, Johnny, Łasica i Sheri. Wzięła jakiś towar, wspaniały towar, a potem... Zmarszczyła brwi. Musiała odpłynąć. Miała okropny sen. Śniło jej się, że Łasica...

Poczuła, że ogarniają chłód. W pokoju pozbawionym klimatyzacji gorąco było jak w piekarniku, mimo to jej ciało pokryło się gęsią skórką. Nagle uświadomiła sobie, że odczuwa silny ból między nogami i w krzyżu. Zupełnie, jakby ktoś próbował rozerwać ją na dwoje. Natrafiła spojrzeniem na stojący w kącie kij do baseballa. Na uchwycie była krew.

Jej krzyki sprawiły, że Johnny wpadł biegiem do pokoju.

— Co on zrobił? — krzyczała wciąż od nowa. — Co pozwoliłeś mi zrobić?

Szłochała histerycznie. Johnny próbował przytulić ją i uspokoić, tym razem nie było to jednak takie łatwe. Poprzez krzyki i szloch dobiegł ją nagle dźwięk zamykanych drzwi.

— Co to było? — spytała czujnie. — Sheri? Spałeś z nią, podczas gdy ten zbok... — Zamilkła, gdyż nie była w stanie oddychać. Chociaż wciągała gwałtownie powietrze, czuła się tak, jakby nie docierało ono do płuc. — O Boże! O Boże, o Boże, o Boże... — powtarzała, dysząc.

— Uspokój się, do cholery! — wrzasnął Johnny. Wymierzył jej mocny policzek, a potem drugi. Przeczytał gdzieś, że szok spowodowany uderzeniem może przerwać atak hysterii. Było to ryzykowne posunięcie, lecz okazało się skuteczne. Amber przestała w końcu się wydzierać. Krzyki i wrzask ucichły i wkrótce siedziała na skraju łóżka, szlochając cicho.

— Ale ty nie rozumiesz. To, co mi zrobił...

Johnny klęczał teraz u stóp Amber. Chwycił ją za ramiona i lekko potrząsnął. — Nie bądź niemądra. Nic się nie wydarzyło. To był tylko sen.

Amber zmarszczyła zakłopotana brwi. To wydawało się tak realne... Nie mogło jednak się zdarzyć, prawda? Johnny nie dopuściłby, żeby coś takiego jej się przydarzyło.

— Mam coś dla ciebie — mówił teraz cichym, uspokajającym tonem.
— Spraw, że o wszystkim zapomnisz. Czyż nie brzmi to wspaniale?

Skinęła odrętwiała głową. Wiedziała, co Johnny zamierza, ale nie miała już siły, by protestować. Wyciągnęła ku niemu chude ramię.

Po tym okropnym poranku zaczęła brać trzy razy dziennie. Uznała, że Johnny miał rację: nie było to wcale takie straszne. Życie toczyło się jak dotąd, było nawet lepsze, bo gdy tylko sprawy przybierały zły obrót, wiedziała, gdzie szukać słodkiej ulgi. Czasami zastanawiała się, czemu tak bała się strzykawki. Nie była ćpunem — kimś, kto kradnie telewizor, żeby mieć na działkę albo napada na aptekę, nie myśląc o tym, iż może zostać złapany. Była osobą uzależnioną, która funkcjonuje jednak w społeczeństwie: potrafi ukryć przed znajomymi, przynajmniej na razie, zwięzione źrenice, ślady ukłuć i napady wilczego głodu.

Rich przyszedł się z nią zobaczyć. Amber dziwiło, że nadal chce to robić.

— Jezu, Amber! — powiedział, kiedy otworzyła drzwi. — Co ci się u diabła stało?

Zmarszczył brwi spostrzegłszy, że mimo panującego na dworze upału włożyła bluzkę z długimi rękawami. Uświadomiła sobie, że popełniła błąd. Ludzie zauważają to, co wykracza poza normę. Musi być sprytniejsza.

Nawet ją samą dziwiło, jak potrafi być cwana. Nauczyła się maskować ślady po igle makijażem, a wychudzenie workowatymi ubraniami. Jeśli pytano ją, dlaczego jest tak chuda, wspominała mimochodem, iż cierpi na anoreksję. Nie obchodziło jej, co myślą. Dbała jedynie o to, aby nie dowiedzieli się o cennej heroinie i nie pozbawili jej narkotyku.

Johnny Wilcox wyszedł tego dnia z domu z mocnym postanowieniem, że się zabawi i upije. Wylądował w barze w Reseda, jednej z najbliższych dzielnic Los Angeles. Był to typowy podrzędny lokal: stół do bilardu, klientela składająca się z tępych mięśniaków i byczkowaty barman, chowający pod ladą glocka na wypadek kłopotów. I oczywiście był tam alkohol. Tani alkohol.

Tylko że tego wieczoru procenty jakoś na niego nie działały. Był winien pieniądze ludziom, których śmiertelnie się bał. I strach nie pozwalał mu się upić. Kelnerka o pustym spojrzeniu spostrzegła, że skończył drinka. — Mogę podać coś jeszcze?

— Taaa. Czemu nie?

Powiedzieli mu wczoraj, że ma tydzień, by zjawić się z gotówką. Nie ma mowy, za nic tyle nie uzbiera. Nie był w ogóle pewien, jak wpakował się w to bagno. Kiedy nie udało mu się podpisać kontraktu z wytwórnią, zaczął kręcić interesy na boku. Z początku wydawało się, że to łatwy szmal. Miał kontakty w branży muzycznej, to zaś oznaczało stały dopływ klientów dysponujących dużą gotówką.

Lecz potem interes, w który wciągnął go Łasica, nie wypalił. Kiedy Johnny pojawił się jak zwykle na miejscu spotkania, zamiast wozu stałego klienta podjechał ku niemu hummer. Nie potrafiłby rozpoznać twarzy siedzących w nim ludzi, zbyt był zajęty wpatrywaniem się w lufę pistoletu maszynowego. Nie miał wyboru — musiał oddać towar. Podejrzewał, że został wystawiony, i że Łasica ma z tym coś wspólnego.

— Sto tysięcy dolarów, Johnny — powiedział przez telefon anonimowy głos poprzedniego wieczoru. — Do końca przyszłego tygodnia.

Równie dobrze mógłby to być milion. Amber pozostał już tylko dom, ale nie starczy mu czasu, aby go sprzedać. Można byłoby pomyśleć, że skoro dziewczyna ma tak bogatą rodzinę, będzie w stanie wycisnąć z nich trochę forsy.

Jedynym wyjściem wydawała się ucieczka — ostrzeżono go jednak, że jeśli spróbuje zwiać, nie skończy się to dla niego zbyt dobrze. Nie zamierzał sprawdzać, czy groźba jest realna. Zwłaszcza że odkąd wyszedł z domu, nie opuszczało go wrażenie, iż jest śledzony. Może to przejaw paranoi, pomyślał, mógłby jednak przysiąc, że czarny mercedes siedzi mu na ogonie. To prawda, przyspieszył i minął samochód Johnny'ego, kiedy ten zjechał na pobocze i się zatrzymał, a jednak...

Dopił drinka, rzucił na stolik trzydzieści dolarów, na co nie było go stać, i ruszył ku drzwiom.

Alejka z tyłu za barem była pusta. Naciągnął bejsbolówkę niżej na czoło i ruszył szybko ku samochodowi. Dobiegł go dźwięk syren. Dwa

policyjne radiowozy oraz karetka przemknęły główną ulicą. Kolejny pracowity wieczór w centrum Los Angeles. Podskoczył, kiedy gdzieś za nim opadła z głośnym hukiem pokrywa od śmietnika. Usłyszał miauknięcie przerażonego kota i trochę się odprężył.

Prawie dotarł już do miejsca, gdzie zaparkował, kiedy zauważył inny samochód. Pojazd zatrzymał się przed nim, a kiedy podszedł bliżej, oślepiło go światło reflektorów.

— Hej! — zaprotestował.

Uniósł dłoń, żeby osłonić oczy przed blaskiem. A kiedy przywykł do światła, uzmysłowił sobie, że stoi przed nim samochód, który zauważył wcześniej: czarny mercedes. Przednią szybę miał przyciemnioną, nie mógł więc dojrzeć, kto jest w środku.

Zatrzymał się i stał nieruchomo. Pomyślał o tym, żeby odwrócić się i uciec. Nie miał jednak dokąd pójść.

Drzwi samochodu otwarły się i wysiadł z niego mężczyzna, którego Johnny nie znał.

— Pan Wilcox? — zapytał kulturalnym głosem z angielskim akcentem. — Mam dla pana propozycję.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Caitlin uwielbiała odwiedzać rodziców Luciena. Wizyty w Aldringham zawsze miały w sobie coś przytłaczającego, nawet teraz, gdy pojednała się z Williamem. Domostwo rodziny Dubois było zupełnie inne — wielkie, hałaśliwe i niezbyt zorganizowane.

— Tak powinna wyglądać prawdziwa rodzina — powiedziała do Luciena, kiedy wracali do Londynu po tym, jak im ją przedstawił. Pragnęła, aby jej przyszły dom był właśnie taki.

Po tym jak ojciec Luciena, były nauczyciel, przeszedł na emeryturę, wyprowadzili się z podmiejskiej dzielnicy Paryża do ślicznej wioski Saint-Robert w departamencie Correze, w regionie Limousin. Postąpili tak, aby być bliżej starszego syna, który mieszkał tam z rodziną: żoną i trójką dzieci.

— A potem zorientowaliśmy się, że mamy lepsze powody, by tu zostać — zwykł żartować ojciec Luciena. Na przykład to, że okolica była wielce malownicza. Wioska, położona nad otaczającymi ją dolinami, składała się z wąskich uliczek, przy których stały średniowieczne domy, a pośród nich romański kościół. Miejscowość, choć niewielka, kipiała życiem. Liczne tu sklepy i restauracje pełne były klientów, zwłaszcza w słonecznej porze roku. Przypominało to Caitlin Valleymount.

Rodzice Luciena mieszkali w cudownym starym domu farmerskim, w odległości spaceru piechotą od miasta. Caitlin i Lucien starali się bywać u nich przynajmniej raz w miesiącu. Tym razem przyjechali specjalnie po to, by poinformować rodziców osobiście o dziecku i zbliżającym się ślubie.

Ach! — wykrzyknął ojciec Luciena, kiedy usłyszał nowiny. Objął Caitlin serdecznie. — Teraz mogę powitać cię oficjalnie w rodzinie!

Mama Luciena była następna w kolejce. Ujęła dłonie Caitlin i powiedziała poważnie: — Wiem, że będzie to dla ciebie trudne, skoro nie masz już matki. Daj mi więc znać, jeśli będziesz potrzebowała pomocy. Jesteś dla mnie jak córka.

Łzy napłynęły Caitlin do oczu.

Zaimprovizowana uroczystość przeciągnęła się aż do kolacji. Kiedy nadeszła pora posiłku, mężczyźni wynieśli stół na trawę. Spędzili na powietrzu kilka następnych godzin: dorośli pili, śmiali się i pojadali, a dzieci bawiły się pośród drzew owocowych oraz orzechów.

Zanim udali się w końcu na spoczynek w pięknie odrestaurowanej przybudówce głównego budynku, wydawało jej się, że zaraz padnie. Była w tym wczesnym stadium ciąży, kiedy stale odczuwa się zmęczenie.

Lecz gdy wylądowała w końcu w dużym mosiężnym łóżku, okazało się, że nie jest w stanie zasnąć. Coś nie dawało jej spokoju. Może była to cisza — noce bywały tutaj ciche i mroczne, tak różne od londyńskich, pełnych zgiełku i światła. W mieście zawsze paliły się latarnie, przejeżdżały samochody, hałaśliwi przechodnie pokrzykiwali do siebie na ulicy. Tutaj, kiedy otwierała oczy, nie robiło to różnicy — nadal było ciemno jak w jaskini, a także cicho, jeśli nie liczyć pohukiwania sowy.

— Nie możesz zasnąć? — dobiegł ją z ciemności głos Luciena. Zorientował się, że Caitlin nie śpi, oddychała bowiem płytko, nie tak głęboko jak podczas snu.

Poczuła raczej niż zobaczyła, że przewraca się na bok, twarzą ku niej. Jak miał ostatnio w zwyczaju, położył dłoń na niewielkiej wypukłości jej brzucha.

— Co się dzieje, chérie! — zapytał cicho.

— Nic.

— Gdyby nic się nie działo, to byś spała — zauważył. Zaśmiała się cicho. — Wszystko ze mną w porządku, naprawdę.

— Po chwili zaś dodała: — Rozmyślałam chyba po prostu o dzisiejszym wieczorze.

Czekał przez chwilę, aby dodała coś jeszcze, a gdy to nie nastąpiło, powiedział: — Nie wierzę ci ani trochę. Lecz jeśli zechcesz powiedzieć mi, co cię trapi, chętnie posłucham.

Uśmiechnęła się. Dobrze było leżeć tak w ciemności, wiedząc, że Lucien jest tuż obok, czując na brzuchu dotyk jego ciepłej dłoni. Tylko że, prawdę mówiąc, nawet jej trudno było odgadnąć, co jest nie tak.

Pomimo iż bardzo cieszyła się ze ślubu i dziecka, coś nie dawało jej spokoju. Czowała się tak... samotna. A tego wieczoru, kiedy widziała narzeczonego w otoczeniu rodziny — która jest teraz też jej rodziną, napomniała się w myśli — nagle to sobie uzmysłowiła. Gdy matka Luciena krzątała się uszczęśliwiona wokół przyszłej synowej, wypytując o ślubną suknię i dziecko, przypominało to Caitlin, że ona nie może liczyć na to samo.

Ostatnio wiele myślała o matce. Może z powodu ciąży i zbliżającego się zamążpójścia nagle zapragnęła zostawić przeszłość za sobą. Jakikolwiek był powód, uświadomiła sobie, że chce wiedzieć, co zaszło przed laty pomiędzy Williamem a Katie.

Nie rozmawiała dotąd o tym z ojcem. Kiedy przybyła po raz pierwszy do Aldringham, zbyt się go bała, by zadawać pytania. Gdy wyjechała do Paryża, nie obchodziło jej, co ma do powiedzenia, potem zaś, po ataku serca Williama i po tym jak się pogodzili, nie chciała poruszać drażliwego tematu, by nie zakłócić kruchego pokoju, jaki wreszcie pomiędzy nim zapanował.

Lecz teraz pragnęła odpowiedzi. Jest dorosła, poradzi więc sobie ze wszystkim, co usłyszy, choćby było to nie wiem jak przykre lub niepokojące. Gdy wróci do Anglii, zrobi, co należy. Porozmawia z ojcem. Podjąwszy decyzję, wreszcie spokojnie zasnęła.

William odgadł, o czym Caitlin chce z nim rozmawiać, gdy tylko poprosiła, by spotkał się z nią któregoś dnia na kolacji. Nie był pewny, co dokładnie sprawiło, że się domyślił. Może stało się tak dlatego, że on też o tym myślał, pragnął oczyścić atmosferę, nim Caitlin zostanie żoną i matką. Wiedział też jednak, przeczuwał, że rozmowa nie będzie łatwa.

Już miał wyjść z biura na spotkanie z Caitlin, gdy zadzwoniła Elizabeth.

Mógłbyś zjeść dziś ze mną kolację? spytała. Chciałabym omówić kilka spraw. — Prawda wyglądała tak, że bardzo chciała z nim porozmawiać. Szybkość, z jaką Piers organizował wykup, przeraziła ją. Doszła do wniosku, że jeśli spróbuje po raz ostatni pogodzić się z ojcem, może nie będzie musiała przechodzić przez całą tę aferę z przejęciem. Nie było jeszcze za późno, by wszystko odwołać.

— Przykro mi, Elizabeth — powiedział krótko. — Dziś nie mogę.

Czekała przez chwilę, by wyjaśnił dlaczego. Nie zrobił tego jednak.

— Zadzwoń jutro rano do Sheili — powiedział tylko. — Powiedz jej, by umówiła nas pod koniec tygodnia.

Elizabeth, rozczarowana, postanowiła zebrać rzeczy i wrócić do domu. Wyszła z budynku w dziesięć minut później, co okazało się niefortunne, zobaczyła bowiem Williama, jak maszeruje Albemarle Street z Caitlin u boku.

William zabrał córkę do restauracji hotelu Ritz. Nie był tam od lat, miejsce wydawało się jednak ze wszech miar stosowne.

— To tu zabrałem po raz pierwszy twoją matkę — powiedział, kiedy usiedli.

Caitlin spojrzała na ojca zaskoczona tym, że poruszył temat, nim zdążyła to zrobić ona.

Uśmiechnął się krzywo. — Bo o tym chciałaś ze mną rozmawiać, prawda?

— Owszem — przyznała. Na chwilę zapadła cisza. Caitlin spojrzała na przeładowany ozdobami wystrój w stylu Ludwika XVI, próbując wyobrazić sobie w tym otoczeniu jej skromną, mocno stojącą na ziemi matkę. — Podobało jej się?

Uśmiechnął się leciutko. — O, tak. Sądzę, że bardzo. Podeszedł kelner, aby odebrać zamówienie. Gdy się oddalił, William podjął temat, tym razem bardziej rzeczowo.

— Powiedz mi zatem, Caitlin, co właściwie chcesz wiedzieć?

— Chcę, byś opowiedział mi, co zaszło kiedyś między wami — odparła szczerze. — I jak zakończył się wasz romans.

William pociągnął długi łyk wina, wspominając to, co wydarzyło się przed trzydziestoma laty. Pamiętał, jak zobaczył po raz pierwszy Katie w swoim biurze. Natychmiast podbiła jego serce spokojnym, pełnym godności zachowaniem. Wspomnił, jak bardzo chciał zobaczyć ją znowu i jak się w niej zakochał, choć wcale tego nie pragnął. Przedtem nic podobnego mu się nie przydarzyło. Dopiero Katie była w stanie wzbudzić w nim tego rodzaju uczucie. Przypomniał sobie ich ostatnie spotkanie, tuż przed tym jak wyjechał z rodziną nad Como, a także to, iż spędził tamte dwa tygodnie, myśląc o niej, tęskniąc bardziej niż sądził, że to możliwe. Postanowił wówczas, że kiedy wróca, odejdzie natychmiast od Isabelle.

— Ulżyło mi, kiedy podjąłem w końcu decyzję — powiedział teraz do Caitlin. — Byłem zmęczony nieustannym ukrywaniem się, wykradaniem chwil, które mogliśmy spędzić razem. Chciałem, żebyśmy byli z sobą jak należy. Pragnąłem tego bez względu na konsekwencje.

Umilkł na chwilę i zapatrzył się w przestrzeń, rozmyślając o tym, jak mogło potoczyć się jego życie.

— Ale? — ponagliła go delikatnie Caitlin, zmuszając, by wrócił do rzeczywistości.

— Ale Katie zniknęła — powiedział szorstko. — Poszedłem do jej mieszkania tuż po powrocie. Dozorca powiedział, że wyprowadziła się, nie zostawiając adresu. Następnego dnia zaszedłem do sklepu, ale i tam jej nie było. Wyglądało na to, że odeszła z pracy tuż po tym, jak wyjechałem nad Como.

Nie uwierzył z początku, że zniknęła z jego życia na zawsze, odchodząc bez słowa czy choćby listu. Na przemian wściekał się na nią i martwił, rozmyślając o tym, jak daje sobie radę sama. Zatrudnił prywatnych detektywów, podając znane mu szczegóły z jej życia, na próżno jednak.

— I tak wygląda prawda — powiedział, gdy skończył. — To właśnie się wydarzyło.

Caitlin nie odzywała się przez chwilę. Chciała mu wierzyć. Wolała by wierzyć, że nie miał pojęcia o jej istnieniu ... Jednakże...

— Nie rozumiem jednego — powiedziała. — Co z czekami? William zmarszczył brwi. — Jakimi czekami?

Szybko opowiedziała mu o czekach, które znalazła wśród rzeczy matki.

— Założyłam, że o mnie wiedziałeś, i dlatego systematycznie je przysyłałeś... Myślałam, że mama skłamała, by cię ochronić.

— Nic! — zostało to powiedziane z taką mocą, że goście przy sąsiednim stoliku odwrócili zaciekawieni głowy. William przeprosił, a kiedy się znów odezwał, jego głos brzmiał spokojniej, choć oczy nadal ciskały błyskawice. — Zapewniam cię, Caitlin, że nie spłaciłem twojej matki. A już na pewno nie wiedziałem o tobie.

Milczeli oboje przez chwilę, a potem Caitlin zapytała: — Ale co napisała ci o mnie w liście?

William westchnął. — Zanim się ze mną skontaktowała... cóż, koniec był już wtedy bliski. Musiała sądzić, że zostało jej więcej czasu...

— Tak — wtrąciła Caitlin cicho. — Pod koniec stan jej zdrowia pogarszał się błyskawicznie.

— Napisała zaledwie kilka linijek, informując, że mam śliczną piętnastoletnią córkę, i wyraziła nadzieję, że zaopiekuję się tobą po tym, jak ona... odejdzie.

Caitlin potrząsnęła głową. Wszystko było tak frustrująco niejasne.

— Nie zdążyliście więc porozmawiać?

Teraz to William potrząsnął głową. — Nie. Starczyło mi czasu jedynie na to, by powiadomić szpital, że przyjeżdżam. Złapałem pierwszy odlatujący samolot, ale... było już za późno.

Caitlin rozważała przez chwilę to, czego się właśnie dowiedziała.

— Więc skąd te czeki? — zastanawiała się na głos. — Kto jeszcze mógł wiedzieć o moim istnieniu?

William potrząsnął głową. — Nic mam pojęcia, naprawdę.

Caitlin pomyślała, że tylko jedna osoba może udzielić jej na te pytania odpowiedzi. Spojrzała na Williama i powiedziała: — Sądzę, że powinnam pojechać do Valleymount, porozmawiać z Nualą.

Czekała, by William udzielił jej swego błogosławieństwa, chociaż wiedziała, że nawet jeśli tego nie zrobi, ona i tak pojedzie.

Lecz William skinął powoli głową.

Elizabeth przygryzła fragment wyschniętej skórki na wardze. Był to nerwowy nawyk, od którego nic potrafiła się ostatnio uwolnić.

Zastanawiam się, o czym mogli rozmawiać — powiedziała do Piersa. Rankiem, po nieprzespanej nocy, poszła od razu do gabinetu wuja i powiedziała mu, że widziała Williama i Caitlin wychodzących poprzedniego wieczoru razem z biura.

Piers przyglądał się, jak warga Elizabeth pęka i z ranki wypływa kropla krwi. Bratanica nie wyglądała ostatnio najlepiej. Jej włosy przypominały, cóż, siano, jakby nie miała czasu porządnie ich wysuszyć, powinna też ufarbować odrosty. Po raz pierwszy dostrzegł na jej czole zmarszczki, spowodowane zapewne nieustannym ściągnięciem brwi. Wyglądała na swój wiek. Stres odcisnął na niej piętno. On jej to zrobił. Poczł przyływ poczucia winy. Lubił Elizabeth i nie podobało mu się, że *ją* wykorzystuje. Stanowiła jednak kluczowy punkt jego planu. Tamtej nocy w Tokio zasiał w jej umyśle ziarna wątpliwości. Teraz pilnował, żeby wzrastały podsycane obawą o to, że William woli Caitlin.

— Masz jakieś pomysły? — spytała po raz chyba dwudziesty. Jej wyobraźnia pracowała widać pełną parą.

— Nie wiem — odparł Piers z wolna.

Elizabeth wstała gwałtownie. — Cóż, chcę wiedzieć. Mam prawo wiedzieć. Zapytam go wprost.

Piers patrzył, jak bratanica zmierza ku drzwiom. Wyniosła, opanowana dziedziczka zmieniła się w osobę paranoiczną i znerwicowaną.

— Zaczekaj, Elizabeth — powiedział. Odwróciła się, marszcząc brwi. Podszedł do niej. — Może ja spróbowałbym porozmawiać z Williamem? Wobec mnie będzie zapewne bardziej szczerzy.

Zwykle Elizabeth nie dopuściłaby, aby ktokolwiek mówił jej, co ma robić. Lecz teraz się zawahała. Zaczęła wątpić w siebie podczas kilku ostatnich tygodni i to czyniło ją słabą.

— W porządku — powiedziała wreszcie. — Może to dobry pomysł. — Uśmiechnęła się słabo. — Dzięki, wujku. Dobrze jest mieć kogoś, na kim można polegać.

Ostatnie zdanie zostało wypowiedziane z odrobiną tęsknoty w głosie. Piers poklepał bratanicę po ramieniu.

— Tak powinno być, moja droga. Wiesz, że zrobiłbym wszystko, żeby ci pomóc. — Zamilkł na chwilę, a po chwili wahania zapytał:

A co z tamtą drugą sprawą? Odnosiło się to do planów przejęcia firmy. Zajął się wszystkim osobiście: od znalezienia osoby chętniej wyłożyć pieniądze, po opracowanie niezbędnych dokumentów. Wszystko było już prawie gotowe. Czekał tylko, aż Elizabeth wprawi maszynę w ruch. — Podjęłaś decyzję?

Elizabeth odwróciła wzrok. — Ja... nie wiem. — Głos jej się lekko załamał. — Nie potrafię się zdecydować.

Piers zdawał sobie sprawę, iż najgorsze co może zrobić, to ją naciskać. — Daj sobie tyle czasu, ile potrzebujesz — powiedział łagodnie. — Musisz być pewna, że postępujesz słusznie.

Nic zapytał Williama o Caitlin od razu. Był mistrzem w wyciąganiu informacji i wiedział, że najszybciej osiągnie cel, jeśli pytanie zostanie rzucone ot tak, od niechcienia. Zaczekał do chwili, kiedy miał wyjść z gabinetu brata, a potem rzucił, jakby po namyśle: — Dzwoniłem wczoraj wieczorem, ale musiałeś już wyjść... jak zrozumiałem, z Caitlin. Wszystko w porządku?

William zastanawiał się przez chwilę, co odpowiedzieć. Umówili się z Caitlin, że nie wspomną nikomu o wyprawie do Irlandii. Nie chciał jednak okłamywać brata.

— Caitlin wraca do Valleymount, gdzie dorastała — odparł więc szczerze. A potem opowiedział Piersowi o tajemniczych czekach znalezionych wśród rzeczy Katie. — Chce porozmawiać osobiście z Nualą — dodał na zakończenie. — Może dowie się, co spowodowało, że jej matka odeszła przed laty bez słowa.

Piers pobladł, jakby cała krew odpłynęła mu z twarzy.

— Dobrze się czujesz? — spytał William zatroskany.

Piers uśmiechnął się z przymusem. — Oczywiście, to tylko początki migreny. Mam tu gdzieś tabletki, więc jeśli mi wybacysz...

Dotarłszy do swego biura, zamknął drzwi, oparł się o nie i przymknął oczy. Sądził, że tajemnica została pogrzebana głęboko i na dobre. Nuala wiedziała jednak dość, by Caitlin zdołała powiązać fakty. Będzie musiał zmienić swój rozkład zajęć i wprawić wszystko w ruch, nim bratanica zdoła dotrzeć do Valleymount.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Gdy Caitlin zeszła z pokładu samolotu, poczuła przyływ gorzko-słodkiej nostalgii. Przez chwilę miała znowu piętnaście lat, opłakiwała matkę i wysyłano ją do rodziny, która być może wcale jej nie chciała. Przebyła od tego czasu długą drogę. Irlandia także. W ciągu ostatnich dziesięciu lat celtycki tygrys się obudził, przeciągnął i ryknął. Eire nie było już obiektem żartów ludzi z innych części Europy, ale kwitnącym krajem, przeżywającym okres prosperity, pożądanym miejscem do życia.

Wydostała się szybko z lotniska. Zarówno William, jak i Lucien zaproponowali, że będą jej towarzyszyć, odmówiła jednak obu, tłumacząc, że jest to coś, co musi zrobić sama. Lucien nie był uszczęśliwiony tym, że podejmuje stresującą oraz wyczerpującą emocjonalnie wyprawę.

— Nie chcę, byś się denerwowała, *cherie* — powiedział, spoglądając instyktownie na jej brzuch. — To mogłoby odbić się na dziecku.

Uśmiechnęła się czule, poruszona jego troską. Nie pozwoliła jednak, aby odwiodło ją to od powziętego zamiaru.

— Wiem, że się martwisz, kochanie. Muszę jednak to zrobić. Czuję, że Lucien miałby ochotę dalej ją przekonywać. Dostrzegł widać jednak w oczach Caitlin determinację i uświadomił sobie, że to na nic.

Przed lotniskiem czekał już wynajęty samochód, który miał zawieźć ją do Valleymount. Usiadła z tyłu zdumiona tym, jak bardzo czuje się zdenerwowana. Odwiedzała co roku grób matki, ciulając

pieniądze na bilet nawet podczas chudych lat w Paryżu, a potem w Nowym Jorku. Zatrzymywała się jednak zawsze w Dublinie, skąd wyruszała na jeden dzień do Valleymount, unikając spotkania z ludźmi, których kiedyś znała.

Dlatego tak trudno jej było zdobyć się na to, by zadzwonić do Nuali. Lecz jeśli sądziła, że przyjaciółka matki nie zechce z nią rozmawiać po wszystkich tych latach, gdy ją zaniedbywała, nie mogła bardziej się mylić. Nuala wydawała się zadowolona, wspomniała nawet, że śledziła karierę Caitlin w gazetach.

— Jesteśmy z ciebie tacy dumni — powiedziała. — Twoja mama też by była.

Caitlin tego nie skomentowała.

Rozmawiały przez dłuższą chwilę. Róisín nie mieszkała już w Valleymount, wyjechała do Australii z mężem i dwójką dzieci.

— Pozostali też się wynieśli, mam więc mnóstwo miejsca, by cię ugościć.

— Och, nie — zaprotestowała Caitlin pospiesznie, niepewna, czy zdoła poradzić sobie z nawałem wspomnień. — Nie chciałabym sprawić ci kłopotu.

— Cóż, oczywiście — Nuala wydawała się zakłopotana. — Na pewno wolisz zatrzymać się w hotelu.

To przesądziło sprawę. Nie o snobizm przecież Caitlin chodziło.

— Ależ skąd, bardzo chętnie się u was zatrzymam — zapewniła serdecznie. Czas nie zmienił Valleymount. Ładne kamienne domki wyglądały tak samo, sąsiedzi postarzelisi, lecz nic zmienili. Caitlin nie mogła przestać się zastanawiać, jak też potoczyłyby się jej losy, gdyby matka żyła, a ona nie wiedziała nic o swoich powiązaniach z rodziną Melville'ow. Nuala otworzyła drzwi wymazana farbami, z dwoma wnukami uczeponymi spódnicy. Były to dzieci starszej siostry Róisín, Evelyn. Babcia opiekowała się nimi, gdy córka była w pracy.

— Najmłodsze śpi teraz na górze — powiedziała do Caitlin, zapraszając ją, by weszła. Pachniała ciepłym mlekiem i talkiem i wydawała się absolutnie szczęśliwa. Usadowiła dzieci przed telewizorem — ściany bawialni pokrywały te same co przed laty kwieciste tapety i stał tam tapczan kryty brązowym aksamitem, zauważyła z senty-

mentem Caitlin a potem przeszły obie do kuchni. Nuala nastawiła czajnik, a Caitlin usiadła przy starym wiejskim stole, który pamiętała z dzieciństwa.

Gawędziły swobodnie, podczas gdy Nuala kręciła się po kuchni.

— O co więc chodzi? — spytała, kiedy naląła już herbaty do wielkich kubków. — O twoją mamę, prawda?

Dostrzegła na twarzy Caitlin wyraz zaskoczenia i uśmiechnęła się przebiegle.

— Zgadłam, że właśnie po to przyjechałaś do Valleymount po latach. Chcesz zapytać mnie, co się jej przydarzyło, prawda?

— Tak. Tak, zgadza się. — Caitlin zmarszczyła lekko brwi. — Znalazłam coś... kilka czeków... pomiędzy jej... cóż, pomiędzy osobistymi rzeczami. Było to w kilka miesięcy po tym, jak przeniosłam się do Anglii. — Chrząknęła, aby oczyścić gardło. — Chciałabym cię zapytać, czy coś o nich wiesz, a także o to, co wydarzyło się pomiędzy nią a moim ojcem.

Nuala wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę. — Tak — powiedziała. — Tak, wiem, co się wydarzyło. A potem opowiedziała o tym Caitlin.

— Musisz podjąć decyzję, Elizabeth — stwierdził Pierś. Minę miał poważną.

Elizabeth westchnęła ciężko. Był piątkowy wieczór i czuła się zmęczona. Napięcie ostatnich tygodni zaczęło odciskać na niej swoje piętno. Cole dzwonił kilka razy, odkąd się wyprowadził. Jak dotąd nie była w stanie z nim rozmawiać. Zadzwoiła — z czystej ciekawości

— na stacjonarny numer, który jej zostawił, gotowa odłożyć natychmiast słuchawkę, gdyby odezwała się kobieta. Jednak ku swej uldze usłyszała jedynie obojętnie uprzejmy głos hotelowej recepcjonistki. Choć poczuła się lepiej — przynajmniej Cole nie mieszkał z t a m t a

— nie zdecydowała się zostawić wiadomości. Czuła się zbyt zraniona i wściekła, żeby rozmawiać o ich małżeństwie — albo powiedzieć mu o dziecku.

Stawiła się tego ranka na pierwsze ciążowe badanie — sama. Była w dziesiątym tygodniu ciąży i jak poinformowała ją przesadnie radosna położna — mama i dziecko miały się doskonale.

Kobieta zerknęła pospiesznie na lewą dłoń Elizabeth, a potem zaćwierkała: — Nie ma dziś z nami tatusia, co?

Elizabeth wbiła w nią gniewne spojrzenie i odparła lodowatym tonem: — Jest zajęty. — Po tym położna traktowała ją już nieco łagodniej. Poinformowała Elizabeth, że skoro to jej pierwsza ciąża, będzie musiała odbyć dziesięć badań kontrolnych. Przez chwilę Elizabeth zastanawiała się, jak to będzie, stawiać się za każdym razem samej, postanowiła jednak o tym nie myśleć.

Mogłaby wziąć w pracy wolny dzień, nie chciała siedzieć jednak sama w pustym domu, wróciła zatem na Albemarle i spędziła resztę popołudnia przy biurku, zatopiona w rozmyślaniach. A potem o siódmej, gdy pomieszczenia opustoszały, przyszedł Piers, zapytać, czy zdecydowała się posunąć do przodu sprawę przejęcia — jakby nie miała już tego dnia dość stresów.

Utkwiła wzrok w dokumentach przed sobą. Z powodu, którego nie była w stanie zrozumieć, czuła się dziwnie nieswojo, przepisując swoje udziały — chociaż wiedziała, że musi to zrobić, jeśli chce przejąć kiedyś firmę. Nie mogłaby dokonać tego w pojedynkę, trzeba było utworzyć spółkę holdingową, połączyć w niej posiadane przez nią

i Piersa udziały i złożyć ofertę w imieniu tejże spółki. Dokumenty, które przygotował Piers, dotyczyły przekazania ich udziałów w Melville'u w zamian za proporcjonalny udział w spółce holdingowej. Zachowałyby w niej kontrolę, mając sześćdziesiąt procent prawa głosu.

— Nie możemy wstrzymać się z tym jeszcze przez jakiś czas? — spytała.

Piers potrząsnął głową. — Ryzykujemy, że inwestor się wycofa — powiedział z żalem. — Ci ludzie chcą, byśmy ruszyli z przedsięwzięciem, albo rozejrzą się za inną okazją.

Elizabeth przygryzła wargę. Na tym polegał problem. Ktoś inwestujący anonimowo za pośrednictwem fasadowej firmy z siedzibą w Luksemburgu, zaoferował im wspaniałe warunki. Zazwyczaj inwestor nalegałby, aby mieć udział w spółce holdingowej i pozostać zaangażowanym w jej codzienną działalność. Ci faceci byli jednak gotowi sfinansować wykup poprzez dług i pozostać anonimowi, pobierając po prostu godziwe odsetki. Oczywiście była tam też klauzula

dotycząca podziału zysku, nie znaczyło to jednak nie w porównaniu z korzyściami, jakie dawało zachowanie kontroli.

Elizabeth słuchała Piersa jednym uchem, skupiając uwagę na dokumentach. Leżały przed nią na biurku, gotowe do podpisu. Czuła się trochę winna, jakby zdradzała coś, co zawsze było jej drogie. Częściowo winiła za to ojca. Gdyby w nią uwierzył... gdyby nie faworyzował Caitlin...

W głębi duszy czuła, iż nie może stracić firmy, nie po tym, co przeszła. Straciła Cole'a. Potrzebowała czegoś, by móc zbudować wokół tego swoje życie.

— Elizabeth? — zapytał Piers, ponaglając ją delikatnie.

Podjęła decyzję.

Piers przyglądając się, jak Elizabeth składa podpis, poczuł wielką ulgę. W końcu sprawa ruszyła. Zadbał o każdy szczegół. Stworzył plan tak sprytny i doskonały, że to wstyd, iż nie może nikomu o tym opowiedzieć. Póki w posiadaniu rodziny znajdowało się sześćdziesiąt procent udziałów, oferent z zewnątrz nie byłby w stanie zyskać większości potrzebnej, by przejąć nad spółką kontrolę. Elizabeth zniszczyła tę przewagę. Wykorzystując zazdrość i brak pewności bratanicy, skłonił ją, żeby zgodziła się na wykup udziałów przez członków zarządu — co ułatwiało Bouchardowi dokonanie przejęcia.

Elizabeth ufała Piersowi, pozwoliła więc, by sam ustalił szczegóły kontraktu. Nie przeczytała zapisanej drobnym drukiem klauzuli stwierdzającej, że inwestorowi — którym był nie kto inny, jak Bouchard — wolno będzie zamienić zainwestowaną kwotę na akcje, jeśli wkład spółki holdingowej stanowić będzie więcej niż dwadzieścia procent kapitału firmy. A jako że Bouchard dysponował już udziałami Piersa oraz dziesięcioma procentami, które skupił z rynku, miałby w spółce holdingowej pakiet dwóch trzecich jej wartości. Obniżając wartość pakietu kontrolnego rodziny, Elizabeth zrezygnowała praktycznie ze swoich udziałów oraz przyszłości w spółce — ułatwiając tym samym jej przejęcie.

Aby przypieczętować los Melville'a, Piers zamierzał zdobyć także udziały posiadane przez Amber. Ta część planu wymagała jednak więcej starań. Wiedział o problemach bratanicy wystarczająco dużo,

by zdawać sobie sprawę, że stanowi ona łatwiejszy cel niż Elizabeth. Musiał znaleźć jednak słaby punkt, klucz pozwalający pozbawić ją udziałów tak, by nie uświadomiła sobie, co się dzieje. Zatrudnił więc prywatnego detektywa, a kiedy dowiedział się o Johnnym i pieniądzach, jakie winny był mafii, wiedział już, że znalazł sposób.

— Jeśli skłonisz Amber, by podpisała dokumenty, które ci dam, dostaniesz sto tysięcy — powiedział, a potem zgodził się, by Johnny podbił stawkę do stu pięćdziesięciu. Był gotów zapłacić jeszcze więcej. Udziały Amber spoczywały złożone przez opiekuna w prywatnym banku Coutts. Dokumenty, które miała podpisać, przenosiły prawo ich własności na Piersa. Zamierzał odprzedać następnie udziały Bouchardowi.

Pierś otwarł tylne drzwi i wpuścił wilka do zagrody. Teraz Bouchard będzie musiał zaoferować pozostałym udziałowcom tyle, aby zgodzili się sprzedać mu swoje udziały. Nie wątpił jednak, że mu się to uda. William nie orientuje się, co im grozi, póki nie spadnie cios.

Amber potrzebowała działki. Siedziała na podłodze, objawszy ramionami kolana i kiwała się w przód i w tył, rozmyślając o tym, iż potrzebuje narkotyku bardziej niż czegokolwiek na świecie. Gdzie też podziewa się Johnny? Obiecał, że coś zorganizuje.

— Jeśli będziesz miła dla mnie, ja będę miły dla ciebie — powiedział.

Cóż, zrobiła, czego żądał — podpisała te przeklęte papiery. Teraz on powinien wywiązać się z umowy.

Od kilku tygodni męczył ją, żeby przepisała na niego swoje udziały. Z początku odmawiała. Nawet w stanie całkowitego uzależnienia zdawała sobie sprawę, że ojciec by się wściekł.

— Nie rozumiesz — powtarzał niemal z płaczem. — Ci ludzie, którym jestem winny pieniądze... Tak mnie załatwią, że wyląduję w szpitalu.

— Przykro mi — odparła. — Będziemy musieli znaleźć inny sposób.

Wtedy zrobił się niemiły — zaczął ograniczać jej narkotyki. Osiem godzin bez działki i ani trochę nie obchodziło jej, kto jest właścicie-

lem udziałów. Po dziesięciu godzinach błagała go już, by pozwolił je przepisać.

Obiecał, że potem jej pomoże. Ale tego nie zrobił. Zamknął się w sypialni i nie wychodził. To nie było w porządku. Musi wziąć działkę albo umrze, po prostu to wiedziała.

Wstała i potykając się, ruszyła do sypialni. Już miała wejść, gdy usłyszała, że Johnny rozmawia. O to więc chodzi. Umawia się z kimś przez telefon. Na pewno z Sheri. Choć teraz nie obchodziło jej już, z kim sypia.

Lecz jeśli go przyłapie, będzie mogła urządzić awanturę, a wtedy może coś jej da — coś specjalnego, lepszego niż zazwyczaj.

Podniosła powoli, ostrożnie, słuchawkę drugiego aparatu, zakrywając mikrofon dłonią, by nie usłyszał jej oddechu.

To nie z Sheri rozmawiał. Zamrugła zaskoczona, usłyszawszy znajomy głos. Uzmysłowanie sobie, do kogo należy, zajęło jej chwilę, lecz potem już wiedziała — to był wujek Pierś. Po co u diabła dzwoni? zastanawiała się podekscytowana, próbując rozpędzić zaciemniającą umysł mgłę. Czyżby tatuś poprosił go, żeby sprawdził, czy u córki wszystko w porządku? Podczas kilku ostatnich miesięcy zdarzały jej się chwile, gdy gorzko żałowała, że nie wróciła wówczas z Elizabeth do domu. Teraz może dostać drugą szansę.

Już miała się odezwać, powiadomić, że jest na linii, lecz coś ją powstrzymało. To co mówił wuj, zdawało się nie mieć sensu...

— Mój przedstawiciel czeka w hotelu — powiedział Pierś. — Kiedy przyniesiesz papiery, a on stwierdzi, że zostały jak należy podpisane, przeleję pieniądze wprost na twoje konto.

Johnny zakaszlał nerwowo. — Wszystko zgodnie z prawem, tak?

— Absolutnie — zapewnił go Pierś. — Amber podpisała po prostu kontrakt zezwalający opiekunom na sprzedaż udziałów, które są w jej posiadaniu. Nikt nie będzie tego kwestionował.

— Dobrze — powiedział Johnny bez przekonania. — Proszę mi powiedzieć, gdzie mogę spotkać się z tym pańskim facetem.

Amber odłożyła słuchawkę — powoli, ostrożnie, by nikt nie zorientował się, że podsłuchiwała.

Zaczekała, aż Johnny wyjdzie. Wiedziała, dokąd się udał — zanieść dokumenty przedstawicielowi Piersa.

Gdy tylko wyszedł, zadzwoniła do ojca. Kiedy nie odpowiedział, spróbowała dodzwonić się do Elizabeth, a potem do Caitlin. Za każdym razem odpowiadano jej tak samo — są nieosiągalni.

— Ale to bardzo pilne! — powiedziała do sekretarki ojca.

Na kobiecie nie zrobiło to wrażenia. — Jak powiedziałam, przekażę mu, że pani dzwoniła.

Problem polegał na tym, że zbyt często wszczyniała alarmy. Przywykli do telefonów zwiastujących jeden kryzys za drugim. Nie mogła liczyć, że ktoś z rodziny oddzwoni na czas. Pozostawało jej więc tylko jedno: polecieć do Londynu. Na chwilę ogarnęło ją podniecenie — pierwsze naturalne uczucie tego rodzaju od dłuższego czasu. Oto trafiała jej się okazja, by udowodnić, że jest coś warta.

Zarezerwowała bilet na następny samolot. Nie mogła sobie pozwolić na lot pierwszą klasą — ojciec unieważnił jej karty kredytowe już przed kilkoma miesiącami w ramach „twardej ręki”. Musiała wyciągnąć wszystko co do centa z trzech innych kart, aby zapłacić za przelot „last minutę” w klasie ekonomicznej. Kiedy taksówka czekała na zewnątrz, wzięła ostatnią działkę — zmusiła Johnny'ego, aby pokazał jej, gdzie trzyma zapasy, nim opuścił dom. Wiedziała jednak, że to nie wystarczy. Długi lot, a potem droga z lotniska do Londynu... Musi zabrać coś z sobą.

Opróżniła pośpiesznie puderniczkę Chanel, zastępując puder innym proszkiem. Zawahała się, spoglądając na solidne srebrne pudełeczko. Wiedziała, że to ryzykowne. Taksówkarz nacisnął klakson. Podjęła decyzję. Wrzuciła pośpiesznie puderniczkę do kosmetyczki, a tę do torby podręcznej. Prawdopodobnie i tak nie skorzysta z zapasu, czuła się jednak lepiej, wiedząc, że go ma.

— Wszystko w porządku, proszę pani?

Amber otworzyła oczy i spojrzała na zatroskaną twarz stewardesy. Nic nie było w porządku, absolutnie. Mijała właśnie siódma godzina trzynastogodzinnego lotu do Londynu i co gorsza, ósma, odkąd wzięła po raz ostatni. Głód zaczynał dawać się jej mocno we znaki. Ciało

pokryło się zimnym potem i cała się trzęsła. Musiała wyglądać, jakby zapadła na kilka tropikalnych chorób naraz.

— Nic mi nie jest — wykrztusiła, powstrzymując szcęknięcie zębami.
— To tylko grypa.

Stewardesa spojrzała na nią dziwnie. — W porządku — powiedziała.
— Chce pani, żebym przyniosła koc?

Amber skinęła głową. Zależało jej tylko na tym, by kobieta odeszła. Tak naprawdę potrzebowała wylądować. Gdy tylko wyjdzie z samolotu, odszuka toaletę dla pań i weźmie działkę.

Przetrwała, trzęsąc się, następnych sześć godzin. Czowała się coraz gorzej. A kiedy samolot wreszcie wylądował, pasażerów trzymano na pokładzie jeszcze przez dwadzieścia minut, nim w końcu pozwolono im wyjść.

Amber wysiadła pierwsza. Kiedy schodziła po stopniach, zauważyła trzech umundurowanych policjantów z wielkim owczarkiem niemieckim, czekających u podnóża schodów. Nie mogła zrobić nic innego, jak tylko iść dalej. Zeszła z ostatniego stopnia i ruszyła przed siebie, udając, iż nie zauważyła, że stewardesa wskazuje ją policjantom. Jednak mężczyzna w ciemnym garniturze, który stał obok mundurowych, postąpił krok w przód i położył jej dłoń na ramieniu.

— Pozwoli pani tędy — powiedział.

— Zatem to prawda? — spytała Caitlin rozczarowana. Nie to chciała usłyszeć. — William ją odprawił?

Nuala spojrzała na nią ze współczuciem. — Tak mi powiedziała. Kiedy wyjechał, kierowniczka sklepu kazała jej się wynosić... i jasno dała przy tym do zrozumienia, że polecenie wyszło z jego biura. — Wyciągnęła rękę i uściśnęła dłoń Caitlin. — Nie możesz jednak mieć mu tego za złe teraz. To zdarzyło się tak dawno...

— Rozumiem — Caitlin milczała przez chwilę. Coś w tej historii nie dawało jej spokoju. — Nie pojmuję tylko, jak dowiedział się o mnie?

Nuala westchnęła. — Widzisz... mama nie miała komu się zwierzyć, powiedzieć o dziecku. Nikomu z wyjątkiem mnie. Chciałam, by powiedziała Williamowi. Odmówiła, lecz w końcu ją zmusiłam. — Przerwała i znowu westchnęła. — Niestety w dniu, kiedy zdecydo-

wała się pójść do niego do domu... cóż, zobaczyła go z żoną. Uznała, że najlepiej będzie zostawić sprawy ich biegowi i po prostu wyjechać. — Nuala zagryzła wargi, zdając sobie sprawę, że to co zamierza powiedzieć, nie będzie dla Caitlin przyjemne.

— Mów — ponagliła ją Caitlin. — Muszę to usłyszeć.

— W tamtych czasach matki nieślubnych dzieci nie miały w Irlandii łatwo. Mogły mówić o szczęściu, jeśli nie odebrano im dziecka i nie wysłano ich do którejś z placówek prowadzonych przez siostry zakonne i zwanych „pralnią magdalenek”, gdzie musiałyby ciężko harować, najczęściej właśnie w pralni. Katie o tym wiedziała. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie oddać cię do adopcji, czy tak nie byłoby dla ciebie lepiej. Nie była jednak w stanie tego zrobić, niech ją Bóg błogosławi — zapewniła pośpiesznie. — Pamiętam, jak mówiłam jej, że chyba oszalała, lecz ona upierała się, że cię zatrzyma. — Spojrzała na Caitlin. — Zrobiłam to, co robiłam, wyłącznie z jednego powodu: ponieważ martwiłam się o nią, o to, jak da sobie radę sama, bez pieniędzy.

— Zrobiłaś... co?

Nuala zaczerpnęła głęboko oddechu. — Wtedy nie pracowałam już u Melville'a. Wyszłam za męża i byłam w ciąży z Róisín. Rozmawialiśmy o powrocie do starego kraju i chciałam pomóc twojej mamie, nim wyjedziemy. W tydzień po tym, jak się urodziłaś, poszłam więc do Melville'a i zażądałam, by pozwolono mi zobaczyć się z tą kobietą, kierowniczką sklepu. I właśnie tam, w sklepie, powiedziałam jej wprost, co się dzieje i zażyczyłam sobie widzieć się z panem Melville'em... twoim ojcem. — Podniosła wzrok, a jej oczy zaszklily się łzami. — Oczywiście Anne — tak miała na imię — nie mogła pozwolić, bym urządziła scenę w obecności klientów. Zabrała mnie więc na górę do swego biura i kazała czekać.

Caitlin potrząsnęła głową. Nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

Nuala prychnęła. — Cóż, okazało się, że jest zbyt zajęty, aby się ze mną zobaczyć. Kiedy po dwudziestu minutach Anne wróciła, przyprowadziła nie szefa, lecz starą panią Melville i jej młodszego syna. Musiał wysłać ich w zastępstwie.

W głowie Caitlin rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. — To znaczy, rozmawiałaś z Piersem i Rosalind, nie z moim ojcem?

— Zgadza się — potwierdziła Nuala. — Potraktowali mnie bardzo oficjalnie. Musieli ustalić przedtem, co powiedzą, gdyż przemawiali bardzo zgodnie. Nie zamierzali przyznać, że Williama coś z tobą łączyło — pamiętaj, że wtedy nie było jeszcze testów DNA. Powiedzieli jednak — Nuala zaczęła naśladować akcent osoby z wyższych sfer — że Katie była oddanym i wartościowym pracownikiem, czują się więc zobowiązani pomóc jej w trudnej sytuacji. Będą wysyłać co roku na twoje urodziny czek. Należy potraktować to jednak wyłącznie jako gest dobrej woli ze strony spółki. — Nuala potrząsnęła zde gustowana głową. — Gest dobrej woli, też mi coś. Tak czy inaczej miałaby chociaż to, przynajmniej tak wtedy myślałam. Twoja mama była jednak dumną kobietą. Gdy dowiedziała się, co zrobiłam, była oczywiście wściekła. Odmówiła realizowania czeków. Przychodziły co roku, a ona je ignorowała.

Serce zaczęło mocniej bić Caitlin w piersi. Nuala mogła nie pojąć znaczenia tego, co powiedziała, z nią sprawa przedstawiała się jednak inaczej. — Nie przyszło ci do głowy, że Anne sprowadziła właśnie tę dwójkę, ponieważ to oni kazali jej pozbyć się mamy? To znaczy, miałoby to sens, prawda? W końcu wyrzucili ją, kiedy Williama nie było w Londynie. Może to była od początku ich sprawa.

Nuala wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę. — Słodki Jezu — westchnęła w końcu. — Nigdy o tym nie pomyślałam.

Caitlin zadzwoniła do Williama, żeby poinformować go, czego się dowiedziała.

— Moja matka i Pierś? — powtórzył z niedowierzaniem. — Wiedzieli o tobie?

— Tak — odparła Caitlin spokojnie.

— Ale... minęło tyle lat i nic mi nie powiedzieli. — Wydawał się zaszokowany. — Pierś miał okazję wyznać wszystko choćby w zeszłym tygodniu... Powiedziałem mu, że lecisz do Valleymount, spotkać się z Nualą...

Odpowiedziało mu milczenie. Caitlin nie miała pojęcia, co powiedzieć — zdawała sobie przecież sprawę, jak zżyci są bracia. — Chcesz, żebym wróciła jeszcze dzisiaj? — spytała w końcu.

Nie - odparł William. Nie ma potrzeby. Spróbuję znaleźć Piersa i dowiedzieć się, co ma mi do powiedzenia. Nadal... cóż, nadal trudno mi w to uwierzyć.

Nim pozwolono Amber zadzwonić, była już prawie północ. Myślała teraz trochę jaśniej. Dyżurny lekarz podał jej metadon i to ją uspokoiło. Lek nie był tak skuteczny jak działka, spełnił jednak swoje zadanie. Nie wiedziała, do kogo zadzwonić najpierw. Postawiła na Elizabeth. Wybrała numer, spodziewając się, że odpowie automatyczna sekretarka. Nie mogła wręcz uwierzyć w swoje szczęście, gdy usłyszała głos siostry.

Wyjaśniła szybko, co się dzieje, że Piers próbował przejąć jej udziały.

— Nie martw się jednak — powiedziała. — Wyjęłam papiery z torby Johnny'ego. Mam je ze sobą.

Po drugiej stronie zapadło na długą chwilę milczenie. A kiedy Elizabeth w końcu się odezwała, Amber wiedziała, co usłyszy.

— Za późno. Przepisałam już swoje.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Armand Bouchard i Piers Melville wystosowali ofertę przejęcia w poniedziałek rano. Nawet bez udziałów Amber, w rękach Boucharda znalazło się dwadzieścia dwa i pół procent kapitału akcyjnego. Gdyby wszyscy akcjonariusze zdecydowali się przyjąć jego ofertę, wartość kontrolowanych przezeń udziałów wyniosłaby pięćdziesiąt dwa i pół procent — co stanowiło oczywistą większość. Kawalki układanki zaczęły wskakiwać na swoje miejsca podczas weekendu. Po rozmowie z Amber Elizabeth zorientowała się w końcu, co zrobił Piers. Zadzwoiła do Williama i zostawiła spokojną, pełną godności — nawet jeśli wypowiedzianą cokolwiek drżącym głosem — wiadomość, w której wyjaśniała dokładnie, co zrobiła, oraz rezygnowała z miejsca w zarządzie. Od tej chwili nie sposób było się z nią skontaktować. Piers też zapadł się pod ziemię.

O dziesiątej rano zarząd spółki — z rzucającymi się w oczy wyjątkami w postaci Piersa i Elizabeth — zebrał się, aby rozpatrzyć ofertę Boucharda. Caitlin, która wróciła z Dublina wieczorem poprzedniego dnia, zajęła miejsce obok Williama.

Hugh Macklin zabrał głos jako pierwszy i szybko stało się oczywiste, że przemawia w imieniu pozostałych dyrektorów. — Większość z nas uważa, że powinniśmy zalecić naszym akcjonariuszom, aby przystali na ofertę — powiedział, przyznając w ten sposób, że rankiem musiało odbyć się już jedno, tajne, zebranie.

Wszyscy spojrzeli na Williama. Jego zaś opuściła woła walki. Ramiona mu opadły, głowę trzymał spuszczoną. Zdrada ze strony brata i córki zdawała się go przytłaczać.

— Może macie rację -wymamrotał. - Może już czas się poddać.

— Nie. — Głos Caitlin brzmiał głośno i wyraźnie. Niech ją diabli, jeśli pozwoli Piersowi wygrać.

Douglas spojrział na nią z gniewem. — Nie sędzę, by stanowisko upoważniało cię...

— Pozwól jej mówić, Douglasie.

Choć w głosie Williama słyhać było znużenie, nadal miał w sobie dość stanowczości, by skłonić Douglasa do milczenia.

— W posiadaniu rodziny znajduje się obecnie czterdzieści siedem i pół procent udziałów — zaczęła Caitlin. — Gra idzie zatem o pozostałe trzydzieści procent, które nadal znajdują się na rynku. Musimy tylko przekonać akcjonariuszy, że lepiej będzie, jeśli firma pozostanie w rękach rodziny...

— Bouchard oferuje czterdziestoprocentową premię — przerwał jej Douglas.

— Tak, lecz nadal mamy duże szanse. Wystarczy przekonać akcjonariuszy, że jeśli teraz nam zaufają, w przyszłości będą mogli dostać za akcje jeszcze więcej. — Zamilkła, czekając, aż to co powiedziała, do nich dotrze. — Bouchard próbuje kupić spółkę tanio, a wy, chłopcy, mu na to pozwalacie.

Teraz przemówił William. — Ona ma rację. Nie możemy poddać się bez walki. Musimy przynajmniej spróbować się bronić. Jesteśmy to winni akcjonariuszom. Kto wie, może nam się uda. A jeśli nie, zmusimy przynajmniej sukinsyna, żeby przepłacił.

Nie sposób było się z tym nic zgodzić. Jako dyrektorzy powinni działać w najlepiej pojętym interesie akcjonariuszy. Będą więc walczyć, przynajmniej na razie.

Gdy wszyscy wyszli, Caitlin spojrzała na Williama. Tyle się wczoraj wydarzyło! Nim wydostali Amber z aresztu i wykoncypowali, co zamierzają Bouchard i Piers, nic starczyło już czasu, by porozmawiać o tym, co przydarzyło się jej matce.

— Posłuchaj, przepraszam, że ci nic uwierzyłam...

William uniósł dłoń. — Nie mówmy o tym teraz — burknął. — Co się stało, to się nie odstanie. Chcę skupić się na ratowaniu firmy. Grzebanie w duszy zostawmy na czas, kiedy wybrniemy z tarapatów.

Caillin zawahała się na chwilę, a potem zapytała: — Czy oznacza to włączenie Elizabeth? Bo jeśli chcemy mieć choć cień szansy, by wygrać, będziemy potrzebowali jej pomocy.

Dochodziła jedenasta, a Elizabeth nadal była w szlafroku. Nie otworzyła od rana gazet i unikała programów informacyjnych w telewizji.

Nie mogła uwierzyć, że okazała się aż tak głupia, ufając bez reszty Piersowi. Tak rozpaczliwie pragnęła zostać dyrektorem naczelnym, że straciła wszystko. Zdradziła ojca i Caitlin, zniszczyła firmę, a co najgorsze, odepchnęła Cole'a.

Dzwonek do drzwi przerwał jej niewesołe rozmyślenia. Przez chwilę łudziła się, że to Cole. W głębi duszy wiedziała jednak, że jej nadzieje są śmieszne, nie poczuła się więc przesadnie rozczarowana, gdy zobaczyła na progu Caitlin.

— I co o tym myślisz?

Minęła godzina. Siedziały w kuchni Elizabeth. Caitlin przedstawiła właśnie plan ratowania spółki.

Zgodnie z zasadami Melville miało czterdzieści dwa dni, by zorganizować obronę. Kiedy zaczęły się plotki o możliwym przejęciu, William nalegał, aby umieścić w kontraktach obu córek klauzule zwane *poison pills*, trującymi pigułkami. Stanowiły one, że jeśli ktokolwiek spoza rodziny zdoła zebrać ponad trzydzieści procent kapitału akcyjnego firmy, Caitlin i Elizabeth będą mogły natychmiast się wycofać. Plan Caitlin polegał na tym, by w pełni to wykorzystać.

— Naszą najlepszą bronią jest to, że Melville zawsze było firmą rodzinną i jako rodzina jesteśmy najbardziej predestynowani, aby nią zawiadywać — powiedziała do Elizabeth.

Zasady przejęcia stanowiły także, iż Melville może zwołać walne zebranie, aby wyjaśnić inwestorom, analitykom i mediom, dlaczego spółka warta jest więcej, niż wynosi cena proponowana przez oferenta.

Ich wysiłki powinny iść zatem w dwu kierunkach — podniesienia oferowanej ceny i zachęcenia inwestorów, by odrzucili z miejsca ofer-

tę. Podczas spotkania Caitlin chciała zaprezentować nową kolekcję — zamiast zrobić to, jak wszyscy, w październiku.

— Trochę to nieortodoksyjne, najlepsze jednak, co możemy wymyślić — powiedziała Caitlin. — Pracowałabym w tajemnicy, tylko ja i kilku współpracowników, którym mogę zaufać.

Elizabeth zastanawiała się przez dłuższą chwilę. — Miałabyś więc... ile? Czterdzieści dni, by przygotować kolekcję? Będiesz w stanie to zrobić?

— Mogę spróbować.

Elizabeth skinęła głową, a potem zamilkła. — Cóż, ty i tatuś panujecie chyba nad sytuacją — zauważyła sztywno. — Mam nadzieję, że wam się uda.

Caitlin uśmiechnęła się łagodnie. — Daj spokój, Elizabeth. Przyszłam, ponieważ jesteś nam potrzebna. Mój plan wypali tylko wtedy, gdy rodzina zjednoczy siły.

Elizabeth z początku nic nie odpowiedziała. Tylko jedno powstrzymało ją od wyrażenia zgody. — A co sądzi tatuś? — spytała z wahaniem. — Nie przypuszczam, żeby był zachwycony tym, co robiłam...

— Myślę, że teraz to najmniejsze z jego zmartwień — odparła Caitlin.

Elizabeth rozmyślała nad tym przez chwilę, w końcu skinęła jednak głową. — Doskonale. Powiedz mi, co mam zrobić.

Ponieważ Caitlin zajęta była przygotowywaniem zabójczej kolekcji, a większość członków zarządu przyjęła wobec ewentualnego przejęcia ambiwalentną postawę, to William i Elizabeth musieli zrobić wszystko, co możliwe, by pokonać Boucharda.

William przejął po bracie funkcję dyrektora finansowego. Zasiadł wraz z podwładnymi, by opracować nową, opartą na solidnych podstawach prognozę na następnych pięć lat. Kiedy uznał, że jest wystarczająco przekonująca, zaczął pracować z zespołem konsultantów z Sedgwicka Harta, dawnej firmy Cole'a. Sprawdzali, jak dalece mogą naciągnąć wyceny.

Elizabeth miała pełnić bardziej eksponowaną rolę.

- Wiem, że nic jestem teraz w najlepszej formie — przyznał William. — Uważam poza tym, że potrzebujemy bardziej nowoczesnego wizerunku, dopływu ożywczej energii, a ty lepiej się do tego nadajesz.

Oznaczało to, że Elizabeth będzie musiała spotkać się ze wszystkimi ważnymi inwestorami i przedstawić im swoje pomysły na zarządzanie firmą. Zważywszy, że było ich aż piętnastu, do tego rozsianych po czterech kontynentach, okazało się to zadaniem nie lada. Co noc padała na łóżko do cna wyczerpana. W pewnej mierze była jednak zadowolona, że praca odrywa ją od myślenia o sprawach osobistych. Cole dzwonił kilka razy, proponując spotkanie i zapytując, jak się miewa. Odprawiła go jednak.

— Potrzebuję więcej czasu, zanim podejmę jakąkolwiek decyzję

— powiedziała, a on to przyjął. Nie zapytała, czy sypia nadal z Mari-ko. Pozostawali w separacji, nie była to zatem jej sprawa.

Zaczynała sobie jednak uświadamiać, że bardzo za nim tęskni. Wracała wieczorem do pustego domu, nie mając komu opowiedzieć, jak minął jej dzień, porozmawiać o tym, co było dobre, a co złe. Dojmująca samotność skłoniła ją również do zastanowienia się nad tym, jak musiał czuć się Cole, gdy pracowała bez ustanku, stawiając zawsze na pierwszym miejscu dobro firmy. Nie usprawiedliwiało to zdrady, sprawiało jednak, że zaczęła postrzegać ją w nieco inny sposób. Nieuchronne pytania o Cole'a zbywała, udzielając krótkiej informacji:

— Mieliśmy trochę problemów i wyprowadził się na jakiś czas.

Nie podawała szczegółów, dając jasno do zrozumienia, iż nie życzy sobie dalszych pytań.

W domu w Hoxton Caitlin pracowała, ile tylko mogła, pod czujnym okiem Luciena. Zwykle zaplanowanie kolekcji oraz konieczne analizy zajmowały jej miesiące, teraz miała zaledwie tygodnie. Nie oznaczało to jednak, iż może pozwolić sobie na niedociągnięcia. Bystre oczy przedstawicieli świata mody oraz finansjery z pewnością wypatrzyłyby każdą oznakę słabości.

Temat przewodni nasuwał się sam. Chciała podkreślić patriotyzm, angielski charakter marki. Wiele małych i średnich firm zostało prze-

jętych ostatnio przez obce spółki, francuskie i hiszpańskie konglomeraty skupujące, co się da — pomysł sprowadzał się więc do tego, aby Melville pozostało niezależne. Uważała, że druga wojna światowa doskonale odda panującego w firmie ducha walki.

Elizabeth i Williamowi pomysł niezbyt się spodobał. Caitlin to nie zaskoczyło. Pod wieloma względami lata czterdzieste, z racjonowaniem tekstyliów, narzucaniem przez rząd fasonów nie wymagających zużycia wielkiej ilości tkanin oraz kampanią nakazującą „szyć i przerabiać”, stanowiły w damskiej modzie ponury okres. Działali jednak wówczas wielcy krawcy, tacy jak Norman Hartnell czy Hardy Amies, potrafiący zaprojektować skromne, acz niezwykle eleganckie stroje przy użyciu jak najmniejszej ilości materiału. Jeśli skupi się właśnie na tym, nada pomysłowi własny, niepowtarzalny styl...

— Wszystko w twoich rękach — powiedział William. Elizabeth przytaknęła. — Rób, co uważasz za słuszne — powiedziała.

I Caitlin tak właśnie postąpiła. Zatrudniła Ellie oraz dwie inne zaufane asystentki i założyła kwaterę główną we własnym domu. Zważywszy na sytuację, atmosfera w pracowni projektowej była tak przygnębiająca, że kiedy pracownikom powiedziano, iż trzy pracownice odeszły z firmy, nikt tego nie kwestionował.

Na szczęście Caitlin dysponowała pomieszczeniem długim na trzydzieści stóp i zalewanym potokami naturalnego światła. Przenieśli meble do jednej z gościnnych sypialni i urządzili w nim pracownię. Maszyny, manekiny i deski kreślarskie przewieziono głęboką nocą z Melville'a. Caitlin była w dobrych stosunkach z dostawcami, mogła więc zadzwonić, powiedzieć, czego potrzebuje i towar dostarczano jej szybko i bez zbędnych pytań — w końcu potrzebowali go tylko tyle, by uszyć stroje na pokaz.

Choć wydawało się to nieprawdopodobne, cała trójka bawiła się jak nigdy — pracując na maksa, pochylając się nad maszynami do szycia, aż plecy pękały im z bólu, zamawiając na zmianę pizzę, chińszczyznę i dania hinduskie, wypijając hektolitry kawy.

Na dwa tygodnie przed planowaną datą pokazu Elizabeth przyszła zobaczyć, co udało się im osiągnąć.

Miałam z początku wątpliwości — powiedziała, nie kryjąc, że to co zobaczyła, wywarło na niej wrażenie — lecz poradziłaś sobie doskonale. Zwalisz ich z nóg.

— Dzięki.

Elizabeth zmarszczyła brwi. — Lecz kto zaprezentuje modele? Jeśli zwrócimy się do którejś ze znanych agencji, nastąpi przeciek i będzie wiadomo, że coś szykujemy.

Caitlin uśmiechnęła się tajemniczo. — Mam pewien pomysł.

Następnego dnia pojechały odwiedzić Amber w The Causeway Retreat, jednej z najbardziej ekskluzywnych prywatnych klinik odwykowych w Anglii. William umieścił tam córkę po tym, jak odebrał ją z komisariatu w nocy, gdy przyleciała ze Stanów. Poddanie się kuracji stanowiło jeden z warunków, by mogła uniknąć aresztowania. Na szczęście miała przy sobie tylko tyle prochów, by wystarczyło do osobistego użytku — władze okazały więc łaskawość, powierzając Amber pieczy rodziny.

Przebywała w Causeway od miesiąca i byli ciekawi, jak sobie radzi. Kiedy ostatni raz ją widzieli, jej wygląd ich zaszokował. Puste spojrzenie, wychudzone ciało, brudne włosy i szara cera.

Ośrodek znajdował się na prywatnej wyspie położonej u wybrzeży Essex — o pół godziny lotu śmigłowcem z Londynu. Najlepiej było się tam dostać drogą powietrzną, gdyż grobla pozostawała sucha tylko przez cztery godziny dziennie, podczas odpływu.

Gdy przyleciały, Amber była na zajęciach terapii grupowej, dyżurny zabral je więc na obchód posiadłości. Przypominała ona raczej pięciogwiazdkowy hotel niż klinikę, znajdowały się tu bowiem: sala gimnastyczna, basen i pokój do gier. Kiedy wróciły, zasiadły w wypielegnowanym, zaprojektowanym starannie ogrodzie, aby poczekać tam na siostrę.

W końcu się pojawiła, niosąc dzbanek z sokiem pomarańczowym. Po miesiącu odwyku przypominała już bardziej dawną Amber. Najgorsze objawy głodu wystąpiły po czterdziestu ośmiu godzinach od przyjęcia ostatniej działki i nie ustępowały przez tydzień.

— Trudniej będzie pokonać demona, który siedzi w mojej głowie — powiedziała. Głęboka, obezwładniająca depresja minęła, ale głód

nie. Pozostanie z nią na zawsze, wyjaśniła pielęgniarka, tylko od niej zależy, czy zdoła powstrzymać się od brania.

— Porozmawiajmy jednak o czymś innym — powiedziała szybko. Odcięta od mediów, bardzo chciała się dowiedzieć, jak wygląda sytuacja.

Elizabeth szybko wyjaśniła, co zostało przedsięwzięte.

— Żałuję, że nie mogę wam pomóc — powiedziała Amber, gdy siostra zamilkła. Zobaczyła, że Caitlin i Elizabeth wymieniają spojrzenia. — O co chodzi?

— Prawdę mówiąc — powiedziała Elizabeth z wolna — jest coś, co mogłabyś zrobić. Właśnie dlatego przyjechałyśmy.

— Musiałabyś jednak stąd wyjechać — wtrąciła szybko Caitlin — a nie chciałybyśmy, żebyś to zrobiła, póki nie będziesz się czuć gotowa.

Pod pewnymi względami Amber też tego nie chciała. Nietrudno było pozostać czystym w tak spokojnym, odosobnionym otoczeniu, mając wsparcie ze strony wykwalifikowanego personelu i żadnych pokus. Myśl o tym, że miałyby opuścić bezpieczny kokon, przerażała ją. Wiedziała też jednak, że nie może pozostać w klinice na zawsze. Zaczęto już omawiać z nią plany na czas, gdy wróci do domu i zacznie odbywać spotkania z psychoterapeutą z Londynu. W końcu będzie musiała wykazać się siłą i stanąć na własnych nogach.

Zaczerpnęła głęboko oddechu. — Powiedzcie, co miałabym zrobić.

Podczas gdy Melville zwierzało szeregi, przygotowując obronę, Armand Bouchard zaczął wywierać naciski. Piers bardzo mu pomógł, wskazując słabości firmy. Główny kredyt Melville'a wygaszał na kilka dni przed walnym zebraniem i w banku, który sprawował nad nim kontrolę, zaczęto przebąkiwać o tym, by wycofać finansowe wsparcie. Grupa GMS Boucharda była korporacyjnym molochem, a jej wpływy w kręgach finansowych dalece przewyższały wpływy Melville'a. Nikt nie chciał odstręczyć potencjalnie lukratywnego klienta.

Elizabeth wisiała na telefonie, lecz zamykano jej przed nosem wszystkie drzwi. Żaden z banków, z którymi zwykle współpracowali, nie chciał z nimi rozmawiać. Zbyt bano się tam Boucharda. Nie była w stanie skłonić ich, żeby odpowiedzieli choć na telefon.

Rzuciła wściekła słuchawkę po tym, jak poinformowano ją, że kolejny dyrektor działu kredytów odbywa właśnie ważne spotkanie i nie wiadomo, kiedy będzie wolny. Spojrzała na listę. Nazwisko dyrektora, który właśnie ją spławił, widniało tam jako ostatnie. Skreśliła je— Cholera — zaklęła pod nosem.

Brakowało jej już pomysłów. Czyżby na tym sprawa miała się zakończyć?

Kiedy po chwili zadzwonił telefon, podskoczyła. Chwyciła pośpiesznie słuchawkę, zastanawiając się, czy któryś z dyrektorów zdecydował się wreszcie oddzwonić. Okazało się, że to żaden z nich. Czekala ją o wiele przyjemniejsza niespodzianka.

— Witaj, Elizabeth — powiedział znajomy głos. — Słyszałem, że szukasz stu milionów funtów i myślę, że będę w stanie ci pomóc.

Umowę podpisano bez niepotrzebnego rozgłosu w trzy dni później. Gdy Cole usłyszał, że bank gwarantujący kredyt Melville'a zamierza się wycofać, zadzwonił do swoich dawnych kolegów. W kilka godzin utworzono syndykat pięciu banków ze Stanów Zjednoczonych, chętnych, by wejść do interesu. A ponieważ dzielili pomiędzy siebie ryzyko, udało się wynegocjować lepsze warunki niż zawarte w umowie, którą Melville miało ze starym bankiem.

William przyszedł do biura Elizabeth, aby poinformować ją, że umowa została podpisana.

— Cole naprawdę się dla nas postarał — powiedział, siadając.

— Rzeczywiście — przytaknęła Elizabeth krótko. Przyglądał się córce przez chwilę, a potem powiedział: — Mam nadzieję, że zadzwoniłaś, żeby mu podziękować.

Elizabeth zacisnęła lekko usta. — Zamierzam to zrobić. — Na chwilę w pokoju zapadła cisza. — Coś jeszcze? — spytała.

William westchnął. — Posłuchaj, Elizabeth. Nie wiem, co zaszło pomiędzy tobą a Cole'em, i nie chcę tego wiedzieć. Cokolwiek to było, musiał mocno cię zranić. — Przerwał, czekając, aż odpowie. Elizabeth utkwiała wzrok w blacie biurka.

— Tak — odparła cicho. — Tak właśnie było.

William skinął głową. — Zdaję sobie sprawę, że tylko ty możesz zdecydować, czy chcesz dać mu drugą szansę. Cokolwiek jednak po-

stanowisz, upewnij się, że decyzja została podjęta z właściwych powodów. Zbyt łatwo jest działać pochopnie, kierując się złością albo uporem. — Wstał i ruszył do wyjścia. Przy drzwiach zatrzymał się jednak i odwrócił. — Pamiętaj o jednym, przebaczenie nie oznacza, że jest się słabym.

Gdy wyszedł, Elizabeth siedziała przez dłuższą chwilę za biurkiem, badając swoje uczucia. A potem zadzwoniła do Cole'a.

— Chciałam po prostu powiedzieć, jak bardzo jesteśmy ci wdzięczni — powiedziała, a potem świadoma, jak oficjalnie to zabrzmiało, dodała; — Nie wiesz, jakie to dla nas ważne... to znaczy, dla mnie.

— Wiem, Elizabeth. Zdaję sobie z tego sprawę lepiej, niż sądzisz. Żałuję tylko, że nie zdobyłaś się na to, aby poprosić mnie o pomoc. — Odczekał chwilę, a potem zaczął: — Elizabeth...

Zamknęła oczy. — Cole, proszę...

— Nie — przerwał jej stanowczo. — Pozwól, że powiem ci jedno. Czekala.

— Tęsknię za tobą, Elizabeth.

Milczeli oboje przez długą chwilę i w słuchawce słychać było tylko ich oddechy.

— Cóż, właśnie to chciałem ci powiedzieć — powtórzył burkliwie. — Wiem, że masz teraz mnóstwo na głowie, więc może za kilka tygodni...

— Ja też za tobą tęsknię — powiedziała nagle.

— Naprawdę? — wydawał się zadowolony.

— Owszem.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła ósma. Pomyślała o wszystkim, co ma jeszcze tego dnia do zrobienia, i podjęła decyzję.

— Cole?

— Tak, Elizabeth?

— Mógłbyś zjeść dziś ze mną kolację?

Gdy dotarł, było już po dziewiątej. Przywitali się niezręcznym, niemal platonickým pocałunkiem w policzek.

— Naprawdę cieszę się, że zadzwoniłaś — powtórzył Cole po raz czwarty, odkąd przyszedł. Ulżyło jej, że wydaje się równie jak ona zdenerwowany.

Przeszli do kuchni. Cole przyniósł butelkę szampana Taltingei z dobrego rocznika. Otworzył ją, podczas gdy Elizabeth zamawiała chińszczyznę.

— Mnie nie nalewaj — powiedziała, kiedy podszedł do kredensu, by wyjąć kieliszki.

Wydawał się rozczarowany, miał widać nadzieję, że alkohol pomoże im się odprężyć. — Myślałem, że będziemy dziś świętować?

Zaczerpnęła głęboko oddechu. — Widzisz, chętnie bym poświęciła, ale... — zawahała się — cóż, akurat teraz nie piję.

— W porządku — powiedział, marszcząc brwi. — Domyślam się, że wobec tego, co dzieje się w firmie, wolisz zachować jasny umysł.

— Nie — odparła z naciskiem. — Nie o to chodzi. Zrozumienie, co próbuje mu powiedzieć, zajęło Cole'owi dobrą

chwilę. A kiedy wreszcie się tego domyślił, wyraz jego twarzy natychmiast się zmienił.

— Jesteś w ciąży — powiedział niemal szeptem.

Nie była w stanie zorientować się, czy wiadomość go ucieszyła. Wydawał się raczej... oszołomiony.

— Owszem — przyznała. — Jestem w ciąży. — Odczekała sekundę. A potem, kiedy Cole nadal się nie odzywał, spytała niepewnie: — W porządku?

Patrzyła, jak oczy Cole'a wilgotnieją od łez.

— W porządku? — wykrztusił. — Elizabeth, to najlepsza pieprzona nowina, jaką usłyszałem kiedykolwiek!

Matthew Monroe wpatrywał się w numer telefonu miejscowego posterunku. Zbierał się na odwagę, aby zadzwonić. Wiedział, że powinien tak postąpić, że jest to winny Irinie. Bał się jednak konsekwencji.

Był z gruntu porządnym facetem. W wieku trzydziestu ośmiu lat prowadził spokojne, choć nieprzesadnie emocjonujące życie. Miał dobrą pracę i własny dom. Posiadał też szeroki krąg przyjaciół i przez większość wieczorów można było go znaleźć w którymś z licznych w Kingston nadrzecznych pubów. Co niedziela jadał lunch z matką, a raz w miesiącu zawoził ją na grób ojca.

Ale choć był miłym mężczyzną, i na dodatek wypłacalnym, nic miał nigdy dziewczyny. A to z powodu chorobliwej otyłości, spowodowanej problemami z tarczycą. Ludzie mogą sobie mówić, że wygląd nie jest ważny i że nie należy osądzać książki po okładce, lecz Matthew wiedział swoje. Od dzieciństwa gapiono się na niego na ulicy i przezywano.

Z czasem nauczył się akceptować siebie i był od tej pory o wiele szczęśliwszy. Miał wiele przyjaciółek, lecz doskonale zdawał sobie sprawę, że choć kobiety go lubią, pozostanie dla nich zawsze jedynie facetem, któremu można zwierzać się z sercowych rozterek.

Skorzystał po raz pierwszy z usług prostytutki, kiedy miał dwadzieścia siedem lat i zwątpił już w to, że uda mu się znaleźć kobietę, która by go zechciała. Potem powtarzał od czasu do czasu doświadczenie. Nie był z tego dumny, uważał jednak, iż każdemu należy się odrobina przyjemności.

Poznał Irinę, gdy poszedł po raz pierwszy do domu w Hounslow. Od razu zorientował się, że coś jest mocno nie w porządku. Nie mówiła dobrze po angielsku, mimo to zrozumiał, co jej się przydarzyło. Czytywał przecież gazety, wszystkie te historie o dziewczętach zmuszanych do prostytucji.

Zaplanowali razem ucieczkę. Coś jednak poszło źle. Kiedy zadzwonił, aby umówić się na kolejne spotkanie, powiedziano mu, że wróciła do rodziny na Litwę. Udał, że przyjmuje to za dobrą monetę.

W głębi duszy czuł jednak, że stało się coś okropnego. Z tego co zrozumiał, była w burdelu więziona. Dlaczego mieliby nagle odesłać ją do domu?

Wiedział, co musi zrobić. Podniósł słuchawkę i wybrał numer. — Chciałbym zgłosić zaginięcie.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Świat finansów nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego.

Dokładnie w czterdzieści dwa dni po tym, jak Armand Bouchard rzucił na rynek ofertę, wszystkie zainteresowane strony zostały zaproszone na spotkanie, podczas którego Melville miał przedstawić argumenty służące obronie.

— Dlaczego dopiero teraz? — dopytywano się.

Inwestorzy byli sfrustrowani, społeczność finansistów sceptyczna. Cena akcji ustabilizowała się na poziomie zaproponowanym w ofercie Boucharda, to zaś oznaczało, że rynek uznał, iż przejęcie dojdzie prawdopodobnie do skutku. A jednak w Somerset House, gdzie miało odbyć się spotkanie, wrzało. Udziałowcy, akcjonariusze, dziennikarze i analitycy czekali niecierpliwie, aby przekonać się, co Melville ma im do zaoferowania. Rodzina zdołała wyprowadzić przed dwoma laty firmę z niebytu, może więc i tym razem uda im się zadziwić świat.

Caitlin, ukryta za sceną, czuła nieprzyjemny ucisk w żołądku. Pojawiał się przed każdym pokazem. Przyszłość Melville'a spoczywała dzisiaj w jej rękach. Świadomość tego wielce jej ciążyła.

Elizabeth spojrzała na siostrę i uśmiechnęła się, by dodać jej otuchy. Zupełnie jakby wiedziała, co też chodzi Caitlin po głowie.

— Nie martw się. Pójdzie doskonale.

Caitlin uśmiechnęła się, acz z trudem. W głębi duszy czuła jednak, że siostra ma rację. Z pomocą Amber i Elizabeth stworzyła, jak jej się wydawało, najlepszą kolekcję w całej dotychczasowej karierze. Zamiast urządzić spotkanie w dusznym banku, zdecydowali się po-

stawić na dziedzińcu Somerset Mouse wielki namiot. Budynek położony na nabrzeżu, z widokiem na rzekę, uosabia! — bardziej niż cokolwiek innego — ducha Londynu. Namiot rozstawiono na głównym dziedzińcu, gdzie zimą urządzano lodowisko, na tle stojących za nim neoklasycznych budowli.

— Przynajmniej da to bankierom okazję, by mogli wyrwać się na trochę z City — argumentowała Caitlin, kiedy zastanawiali się, gdzie urządzić pokaz.

Miała rację. Kiedy odziani w ciemne garnitury analitycy, inwestorzy i przedstawiciele prasy zajmującej się finansami zajęli miejsca, w namiocie zapanowała atmosfera niecierpliwego wyczekiwania. Przywykli do poważnych prezentacji — a tu zanosilo się na dobrą zabawę. Obok nich zasiedli wybrani starannie przedstawiciele świata mody.

— Zapraszając ich, pokażemy, iż jesteśmy przekonani, że kolekcja okaże się sukcesem — powiedziała Elizabeth. Wnętrze namiotu urządzono tak, aby przypominało salę dansingową z lat czterdziestych. Zespół muzyczny, usadowiony w kącie, miał grać wojenne szlagiery. Z sufitu zwieszały się maski gazowe oraz flagi Zjednoczonego Królestwa. Zadbano jak zwykle o szczegóły.

Caitlin zerknęła na tłum, szukając Luciena. Wiedziała, że widok jego twarzy ją uspokoi. Spostrzegła go, pomachała... i nie było już czasu się martwić.

William postukał w tarczę zegarka. — Zaczynajmy.

Caitlin przeszła do reżyserki. Była zaledwie szósta po południu, lecz zapadł już, jak to w listopadzie, zmierzch. Kiedy zgaszono światła, namiot pogrążył się w ciemności. Posłużyła się tą sztuczką już podczas dyplomowego pokazu w Paryżu i uznała, że i tym razem poskutkuje — przydając pokazowi dramatyzmu. W sekundę później powietrze rozdarł ryk syren przeciwlotniczych. Widzowie podskoczyli na siedzeniach, a jedna z kobiet krzyknęła, lecz zaraz rozległy się nerwowe śmiechy: publiczność uświadomiła sobie, że zaciemnienie to część pokazu. Caitlin wymieniła uśmiechy z dźwiękowcem. Właśnie o coś takiego im chodziło.

Syreny umilkły, zastąpione dźwiękami muzyki. To zespół grał klasyczny, swingujący kawałek z lat wojny. Na wybiegu pojawiła się Am-

ber, wyglądając bardzo dramatycznie w czarnym skórzanym trenczu i pasujących do niego butach z wysoką cholewką. Z włosami ściągniętymi mocno do tyłu wyglądała jak funkcjonariuszka gestapo.

Postarała się wrócić na czas do formy i nie tylko wzięła udział w pokazie, lecz namówiła do tego kilka dawnych koleżanek — celebrytek, które wypadły z łask i zostały opatrzone przez kapryśne media etykietką byłych sław.

— Może sprawi to, że choć niektóre zostaną znów dostrzeżone, a ich kariera zyska nowy impet — powiedziała.

Amber potruchtała wybiegiem, nagrodzona frenetycznymi oklaskami. A to był dopiero początek. Pomysł Caitlin, żeby uczynić tematem kolekcji lata czterdzieste, sprawdził się i zaowocował powstaniem kolejnej oszołamiającej kolekcji. Pokazano tweedowe kostiumy z szerokimi spodniami o podwyższonej talii, ołówkowe spódnice, noszone do pończoch ze szwem, bryczesy i luźne bawełniane sukienki. Przeważały akcenty militarne: kurtki lotnicze, szykowne marynarskie płaszcze oraz wojskowe buty, utrzymane w barwach głębokiej śliwki, butelkowej zieleni, rdzawego pomarańcza, czerni i granatu.

— Większość moich przyjaciółek to nie są modelki — ostrzegła ich Amber na początku.

Okazało się jednak, że wyszło to kolekcji na dobre, gdyż zaprojektowane przez Caitlin stroje leżały zdecydowanie lepiej na dziewczętach o bardziej kobiecych kształtach, nie tak wychudzonych jak modelki. Dotyczyło to zwłaszcza sukien wieczorowych, z zaznaczonymi poduszkami ramionami, dopasowanymi stanikami i pełnymi, marszczonymi spódnicami, podkreślającymi smukłość talii. Szerokie, wszyte w pasie taśmy ozdobiono haftowanymi w skomplikowany wzór paciorkami oraz klejnotami, co dodało strojom blasku.

Wszystko to razem tworzyło wyrazisty, wytworny, bardzo kobiecy styl, dramatyczny, a zarazem pełen fantazji. Jednak to dbałość o szczegóły wyróżniała jak zwykle kolekcję. Caitlin zwołała na tydzień przed pokazem zebranie zespołu stylistów i powiedziała:

— W latach czterdziestych kobiety rekompensowały sobie ograniczenia w dostępie do nowych ubrań wymyślnymi fryzurami i mocnym makijażem — powiedziała.

Zadbano więc i o to: włosy modelek, rozdzielone z boku przedziałkiem, opadały miękkimi falami na ramiona. Usta dziewcząt, pociągnięte karmazynową albo szkarłatną szminką, przyciągały uwagę, podobnie jak mocno zaznaczone, wygięte brwi. Za dodatki posłużyły kapelusze, skórzane rękawiczki i eleganckie kopertówki.

Analitycy i inwestorzy szaleli z zachwytu. Może i nie byli ekspertami w dziedzinie mody, lecz nawet oni zdawali sobie sprawę, że pokazano oto coś wyjątkowego. Funty błyskały im przed oczami. Wyjęli czym prędzej swoje BlackBerries i cena akcji poszybowała w górę, przewyższając tę oferowaną przez Boucharda. A kiedy oklaski wreszcie ucichły, na podium wszedł William. Wyglądał doskonale: prawdziwy angielski dżentelmen w garniturze z Savile Row, uosobienie godności i autorytetu. Zaczął przemawiać silnym, kulturalnym głosem. Było to porywające przemówienie — napisali je poprzedniego wieczoru z Elizabeth. Wrócił w nim do korzeni firmy, opowiedział o szewcu Johnie Millerze i o tym, jak firma trwała na przestrzeni lat, mimo zmiennych kolei losu.

— Melville zawsze było firmą rodzinną — zakończył. — Pomimo tego co mogliście wyczytać ostatnio w prasie, nadal stanowimy zwartą drużynę. I by to udowodnić, pozwólcie, że przedstawię wam moje córki. To one sprawiły, że ten dzień jest tak cudowny. — Przywołał Amber. — Myślę, że zdążyliście już poznać moją piękną córkę Amber — pochylił się, aby ją ucałować. Wyglądała cudownie. W rozciętej dołem wieczorowej sukni z ryzykownie wielkim dekoltem z tyłu przypominała do złudzenia gwiazdę z lat czterdziestych, Veronikę Lake.

Następnie odwrócił się ku Caitlin. — To zaś, oczywiście, utalentowana projektantka odpowiedzialna za dzisiejszy pokaz, Caitlin. — Caitlin podeszła, a on uścisnął jej dłoń. Kiedy oklaski ucichły, stanęła obok Amber, trzymając siostrę za rękę.

A potem William zwrócił się ku Elizabeth. Przez chwilę zastanawiała się, czy się do niej przyzna. Po tym co zrobiła, nie było to wcale takie pewne. On jednak się uśmiechnął.

— Chodź, Elizabeth, podejdź tu do nas. — Wyciągnął rękę i Elizabeth weszła na podium. Niemal drżała, zastanawiając się, co powie. Lecz on uścisnął ją równie serdecznie, jak pozostałe dziewczęta, a potem odwrócił się plecami do publiczności, otaczając ramieniem

jej barki. Niezwykły gest jak na kogoś, kio nie miał w zwyczaju okazywać dzieciom czułości.

— A to moja najstarsza córka, Elizabeth — powiedział z nieskrywaną dumą w głosie. — W ciągu ostatniej dekady zrobiła dla firmy więcej, niż ja przez trzydzieści pięć lat piastowania funkcji dyrektora naczelnego. Mając to na uwadze, chciałbym dziś ogłosić, że zamierzam rekomendować ją na to stanowisko, gdy przejdę pod koniec roku na emeryturę.

Elizabeth wpatrywała się w ojca oszołomiona. Publiczność szalała.

— Ale... po tym co zrobiłam... — wyszeptała. — Niemal straciłeś przeze mnie firmę... Myślałam, że wolisz Caitlin...

William potrząsnął głową. — Caitlin jest wspaniałą projektantką i mamy szczęście, że chce dla nas pracować. Lecz ty udowodniłaś, i to nie raz, że masz wizję tego, jak firma powinna być w przyszłości zarządzana. Jeśli ci tego nie mówiłem, to jedynie z obawy, że zechcesz wysadzić mnie z siodła!

— Ale przejęcie...

— Mam świadomość, że to nie była twoja wina. Teraz już wiem, jak Pierś potrafi manipulować ludźmi. — Potrząsnął dłońmi córki, nie wypuszczając ich z uścisku. — Zaslugujesz na to, by stanąć na czele spółki. Nie przychodzi mi na myśl nikt, kto byłby tego bardziej godny.

Były to słowa, które przez całe życie pragnęła usłyszeć.

Później tego wieczoru William otworzył butelkę szampana, by uczcić sukces. Zebrali się w jego gabinecie, pragnąc omówić wydarzenia dnia.

— Ja dziękuję — powiedziała Amber, kiedy wyjmował kieliszki z szafki. Od jakiegoś czasu obywatela się bez alkoholu i wolała, aby tak pozostało.

— Ja także — wtrąciła Elizabeth. Pozostali spojrzeli na nią pytająco. To Amber spytała pierwsza.

— Wiem, czemu ja nie piję, ale ty...?

Caitlin natychmiast domyśliła się powodu. Och, Elizabeth, ty też jesteś w ciąży. Oczywiście! — powiedziała, spoglądając na cokolwiek zaokrągloną talię siostry. — Gratulacje! Cole musi być wniebowzięty!

Prawdę mówiąc, Elizabeth dziwiło, że nikt nie zauważył wcześniej, co się święci. Była już w czwartym miesiącu i nawet troskliwie dobrane stroje — empirowe sukienki i długie ciemne żakiety — nie mogły ukryć powiększającego się brzucha.

Wróciła myślami do dnia, gdy powiedziała o ciąży mężowi. — Tak — odparła. — Masz rację, Cole bardzo się cieszy. Nie może się doczekać, kiedy staniemy się rodziną.

W końcu William musiał wznieść toast samotnie. — Kolejny wnuk — powiedział, potrząsając z niedowierzaniem głową. — Chyba już rzeczywiście czas, żebym się wycofał.

Tymczasem na zewnątrz Pierś wpatrywał się w okna biura Williama. Wiedział, że są tam wszyscy, świętując sukces, naśmiewając się z niego.

Obserwował wydarzenia na żywo w sieci. Nie mógł pogodzić się z tym, że wieczór okazał się aż takim sukcesem. Pomimo jego wysiłków wszystko wskazywało, że William zatrzyma spółkę. Dostało mu się już od Armanda Bouchera. Nie dbał jednak o to. Teraz ani nigdy. Mógł myśleć jedynie o tym, że William okazał się od niego lepszy. Postawił wszystko na jedną kartę i przegrał. Lecz to nie koniec. Nadal zamierzał się postarać, by William zapłacił. W końcu nie miał już nic do stracenia.

Wysiadł z samochodu, podszedł do bagażnika i wyjął wielką torbę. W środku znajdowała się jego ulubiona strzelba myśliwska. Z torbą w rękę przeciął ulicę i ruszył do wejścia. Odczekał wcześniej, aż strażnik zacznie obchód. Wyjął klucz i przekonał się, że nadal pasuje. Tak jak przypuszczał, nikt nie zadał sobie trudu, by zmienić z jego powodu zamki.

Otworzył drzwi i miał już wejść do holu, gdy ktoś położył mu na ramieniu ciężką dłoń. Odwrócił się i zobaczył wysokiego, krzepkiego mężczyznę w kiepsko skrojonym garniturze.

Piers Melville? — zapytał mężczyzna. — Jestem detektyw Rob Lumes z policji. Chciałbym porozmawiać z panem o zniknięciu niejakiej Iriny Serapiniene.

Epilog

Piers został aresztowany za zabójstwo Iriny. Podczas procesu obrońcy wnioskowali o uznanie go za niewinnego, powołując się na to, iż zabił w stanie niepoczytalności. Sąd skazał go na dwadzieścia pięć lat odsiadki w Broadmoor — niegdysiejszym więzieniu dla umysłowo chorych przestępców.

Caitlin i Lucien pobrali się pewnego mroźnego zimowego dnia w Aldringham. Suknia ślubna Caitlin została tak zaprojektowana — przez nią samą oczywiście — by ukryć zaawansowaną ciążę. W trzy miesiące później przyszła na świat ich córka. Dali jej na imię Katie.

Dwa miesiące po tym wydarzeniu Elizabeth urodziła chłopca. Nazwała go, po dziadku, Edward. W noc, kiedy przyszedł na świat, jego rodzice odbyli długą dyskusję, zastanawiając się, czy syn stanie kiedyś na czele imperium mody czy gastronomii.

W następnym roku spółka przyniosła znaczące zyski. Cena akcji skoczyła niebotycznie. William nabrał w końcu przekonania, że jego rządy zostaną uznane za sukces i ustąpił ze stanowiska, zadbawszy o to, by jego następczynią została Elizabeth.

Ze zdziwieniem przekonał się, że nie brakuje mu biura. On i Isabelle złagodnieli z wiekiem i odnaleźli w końcu wspólny język, żyjąc spokojnie w Aldringham i zajmując się z oddaniem wnukami.

Elizabeth została uznana za najbardziej efektywnego dyrektora naczelnego, jakiego Melville kiedykolwiek miało. Znajdowała jednak czas, żeby być dobrą żoną i matką. Dwa razy w tygodniu wychodziła z biura przed lunchem. Wprowadziła też ruchome godziny pracy oraz zorganizowała żłobek dla zatrudnionych w firmie matek.

Byli z Cole'em bardzo szczęśliwi. Kiedy w następnym roku przyznano mu tytuł Ernst&Young Entrepreneur of the Year, co stanowiło odpowiednik biznesowego Oscara, stała podczas uroczystości u jego boku. Później tego wieczoru świętowali zwycięstwo w tóžku. W dziewięć miesięcy po tym wydarzeniu Elizabeth urodziła kolejne dziecko, dziewczynkę imieniem Charlotte.

Po pokazie Amber otrzymała mnóstwo propozycji pracy jako modelka. Odrzuciła wszystkie i rozpoczęła staż w dziale marketingu Melville'a. Ku powszechnemu zaskoczeniu — zwłaszcza jej samej — okazało się, że praca sprawia jej przyjemność. Skupienie uwagi na karierze pomagało trzymać się z dala od narkotyków, alkoholu... i mężczyzn.

Innowacyjne kolekcje Caitlin stały się symbolem marki. Na późniony miesiąc miodowy zabrała Luciena i Katie do Irlandii. Zwiedziwszy kraj, wrócili do Valleymount, zobaczyli niewielki domek na skraju spokojnej wioski i natychmiast postanowili, że go kupią.

Odtąd spędzali tam większość wakacji oraz weekendów.